

MARTIN  
LANGFIED

SEKRETNA  
SZKATUŁA

Z języka angielskiego przełożyła Alina Siewior-Kuś

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA

*Mojej żonie Amy i synowi Christopherowi, Andrei, Eddiemu i Tomowi oraz moim rodzicom za dar serdecznych słów*

## Podziękowania

Wielki dług wdzięczności zaciągnąłem u następujących osób: Michaela Sissons'a i pracowników PFD; Mari Evans i Aleksa Clarke'a z wydawnictwa Michael Joseph; Donny Poppy i Larry'ego Rostanta; Davida Schlesingera, Betty Wong, Paula Holmesa, Toma Kima, Marka Egana, Stephena Naru, Chada Rublea, Sorena Larsona i Bernda Debusmanna z Reutersa, moich współpracowników w biurach w San Salvadorze, mieście Meksyk, Miami i Nowym Jorku; Nicki Kennedy, Sama Edenborougha i Tessy Girvan z ILA; George'a Lucasa z Inkwell Management w Nowym Jorku.

Wielkie podziękowania należą się też osobom, które w części lub w całości przeczytały brudnopisy tej książki: Pilar Prassas, Allison Tivnon, Manueli Badawy, Rashy Ellass, Jonathanowi Lyonsowi, Patricii Arancibia i Bettie Jo Collins.

Wszystkie niedokładności czy niezręczności ostatecznej wersji wynikły wyłącznie z mojej winy.

Danielowi Soucy'emu i personelowi Auberge Les Passants du Sans Soucy w Montrealu, Randy'emu St Louisowi i kolegom w Cafe Un Deux Trois w Nowym Jorku oraz Gwen i Gary'emu Fadqunrechtom z Mili City w Oregonie dziękuję za gościnność okazaną mi w czasie, gdy pracowałem nad książką.

Za zapoznanie mnie z zakamarkami Nowego Jorku jestem wdzięczny Glenowi Leinerowi, Suzanne Halpin, Mayi Israel i Peterowi Dillonowi, Luz Montano i personelowi MTA oraz New York Transit Museum, Janet Wells Greene i General Society of Mechanics and Tradesmen of the City of New York, Kevinowi Walshowi, twórcy strony Forgotten New York ([www.forgotten-ny.com](http://www.forgotten-ny.com)) oraz Jimowi Naureckasowi, autorowi wirtualnego przewodnika po Nowym Jorku ([www.nysonglines.com](http://www.nysonglines.com)).

Dziękuję też wielebnemu Michaelowi Relyeaz St. Marks Church-in-the-Bowery, Nathanowi Brockmanowi z Trinity Church Archives oraz Colleen Iverson z NYC Marble Cementry.

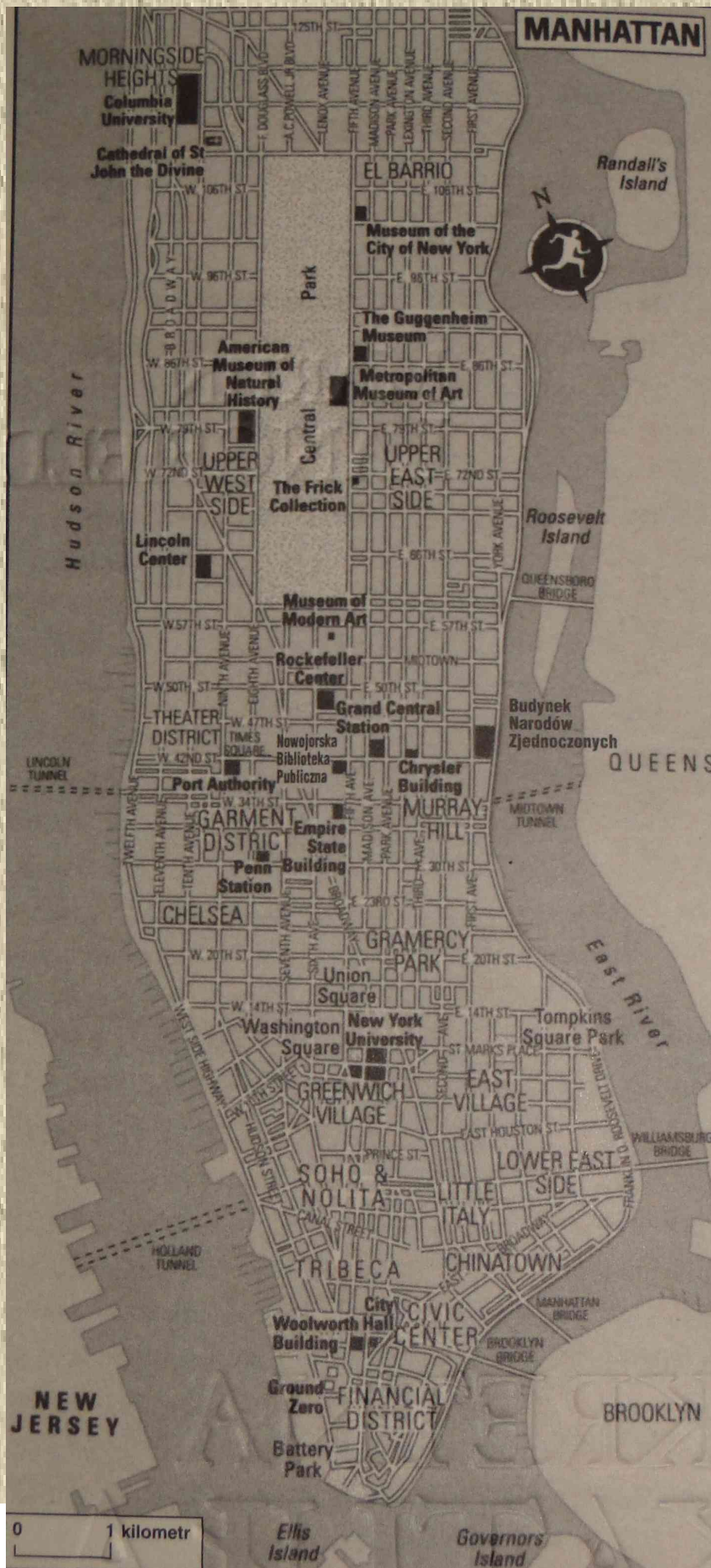
W kwestiach rzeczowych: magiczna kostka występująca w próbie czwartej została odkryta w listopadzie 2003 roku przez Waltera Trumpa i Christiana Boyera, aczkolwiek podejrzewam, że była znana wcześniej. Diana Carulli namalowała labirynt, przez który Robert wędruje w kluczowym punkcie historii, Ellen Driscoll jest autorką dzieł sztuki, które bohater podziwia na Grand Central, a zegar cyfrowy na Union Square jest dziełem Kristin Jones i Andrew Ginzela. Zmieniłem nieco datę przejścia huraganu Georges, a także wyobraziłem sobie, że jest otwarta część Central Parku, w rzeczywistości zamknięta.

Specjalne podziękowania za zachętę i rady pragnę złożyć Toni Reinhold, Clive'owi McKeefowi, Stacy Sullivan, Jasonowi (Jayowi) Rossowi i Nicole Revere. Za akompaniament muzyczny na podziękowania zasługują: Raquy i „Cavemen”, Ken Layne i „Corvids”, Tsar, Matt Welch, Don Collins i „Alien” (Chris, Libby i Jeff) oraz Steve Deptuła z Liberty Heights Tap Room.

George Short, Keith Stafford, Dave Nicholson, Francois Raitberger, Anneliese Emmans-Dean, Leslie Crawford, Juliette Aiyana, Donald Coleman, Vincent Sherliker, Ian i Fiona Gausden, Janie Gabbett, Robert Lethbridge, Alison Sinclair, Joe Cramona, Stephen Boldy,

Andrew Paxman, mój brat Graham Langfield, Kristin Roberts, Barbara Brennan i Catherine Karaś - oto osoby, które pomogły mi odnaleźć własną drogę i nauczyły mnie nią kroczyć.

Na koniec pragnę wyrazić ogromną wdzięczność mojej żonie Amy, która wysłała mnie do Montrealu, bym tam rozpoczął pisanie, i której wnikliwe uwagi oraz miłość - w połączeniu z bystrym okiem redaktorki - pozwoliły mi znaleźć sens w tej historii.



## Prolog

NOWY JORK, 2 WRZEŚNIA 2004

Wszystkowiedzące oko - piękne, bezlitosne, magnetyczne - wpatrywało się w duszę Roberta. Z wysiłkiem walczył o zapanowanie nad oddechem, o przekształcenie swego strachu.

Ofiaruję siebie zamiast nich. Mnie zabierz. Ich uwolnij...

Serce mu waliło. Tylko krok dzielił go od zwycięstwa albo porażki. Życie milionów istnień wisiało na włosku.

... modłę się za mojego porywacza...

Nic nie słyszał ani nie widział, ale wiedział, że urządzenie jest blisko. Czuł jego energię w swoim ciele.

... jako i my wybaczymy naszym winowajcom...

Walczył z paniką.

... nas zbaw ode złego...

Surowa energia urządzenia była przerażająca. Światło tysiąca słońc. Jego myśli gnały jak szalone, wnioskując, oceniając, wspominając: śródmieście Manhattanu, metro.

... bądź wola Twoja...

Powietrze było gęste, strzelające wrogą energią, niewypowiedziane słowa niczym płonący oddech parzyły jego skórę. Jego zmysły wyostrzyły się, wyczuwając zło, wielką krzywdę, ale i coś jeszcze: pragnienie, by go nie zranić, świadomość, że prowokuje ostrożność, wręcz strach.

... wypełnij moje serce współczuciem...

Czuł, jak badawcze spojrzenie oka sięgnęło w najdalsze zakątki jego duszy. Urządzenie - Skrzynia Złośliwości, Ma'rifat' - pragnęło go poznać. To była bomba, która zaraz eksploduje, niepowstrzymana reakcja łańcuchowa, karmiąca się sercami tych, którzy ją otaczają.

Zadawała pytania: Kim jesteś? Czego w głębi duszy najbardziej pragniesz?

Był tu z własnego wyboru, pragnął tego, wszystkie jego poczynania właśnie to miały na celu. Dokładał wszelkich starań, by stłumić strach, utrzymać nad nim kontrolę.

... zamień strach w miłość....

Przed oczami miał fragmenty miejskich budowli. Łuki, tunele i obeliski, wskazujące z ziemi w niebo, spirale, sześciokąty, liczby i gwiazdy

... umysł niczym zwierciadło...

Polowanie rozpoczęło się siedem dni temu, a wraz z nim destrukcja tego, co uważał za swoje życie.

Łamał kolejne kody, podążał za dziwnymi i wspaniałymi tropami przez miasto, odtwarzał linie światła i pragnień, żądzy i strachu. Podchody, gra w geocaching. Odszyfrować miasto. Spenetrować labirynt. Odczytać tajemną historię, zanim uczyni to wróg.

Wskazówka zawsze wracała do punktu zero. Oto miał przed sobą koniec, a znalazł się w miejscu, od którego zaczął.

... litościwe serce...

Leżał na ziemi i wyteżając wzrok, wpatrywał się w czerń, szukając urządzenia. Przekreślił głowę. A potem je zobaczył: misternie rzeźbiony złoto-biały bęben, mgliście połyskujący, z bokami zdobionymi czymś w rodzaju arabskich inskrypcji z metali szlachetnych. W półmroku bęben wymykał się spojrzeniu, jakby rządził się własną geometrią.

Górna i dolna krawędź obracały się wolno w przeciwnych kierunkach. Ma'rifat'. Uzbrojony, gotowy do eksplozji.

Męski głos, szorstki i gwałtowny, przeszył go niczym prąd.

- Robercie.

Kiedy próbował się odezwać, usta miał zaklejone, gardło zapchane i nie wydobył ani jednego słowa.

Czas walczyć. Był gotów. Wrócił myślami daleko w przeszłość.

... wybacz mu...

# Część pierwsza

## Inicjacja

CAMBRIDGE, ANGLIA, MARZEC 1981

Robert biegł, rozpędzając stopami mgłę. Wszystko zostało odarte z powłoki, nic nie było takie jak przedtem. Znajome widoki stały się surowe i obce. Wspaniała bryła kaplicy King's College z białego piaskowca z iglicami niknącymi w mgle świadczyła o potędze i złu. Szyldy sklepów wzdłuż King's Parade zapisane były w obcym języku, nowymi i groźnymi symbolami. Własne ciało wydawało mu się odległe, cudze.

Oczami umysłu zobaczył przerażający obraz. Zamknięte drzwi, spod których wypływały języki ognia, złowrogie, nienaturalne światło.

W uszach dudniła mu krew. W ciemności biegł Trinity Street, o plecy niczym kowbojski kapelusz obijała mu się biała maska karnawałowa, a zdobiona gwiazdami peleryna wydymała się jak balon.

Zegary wybiły północ.

Drzwi znajdowały się na końcu mrocznego korytarza. Wiedział, do czyjego pokoju prowadzą. Wiedział, co oni tam robią. Nie rozumiał, co się stało. Jeśli jednak nie zdąży na czas, oni umrą.

Wieczór rozpoczął się pojedynczą czerwoną różą.

Dokładnie o wpół do dziewiątej Robert Reckliss, student pierwszego roku lingwistyki, zjawił się w akademiku pod drzwiami młodej damy, której nie znał. Postępował zgodnie z instrukcjami zawartymi w liście: twarz zakryta maską, strój czarnoksiężnika, długa róża w dłoni.

Zapukał.

Katherine Rota, studentka trzeciego roku filozofii w Kings College, która zgodnie z regułami gry zakleiła swoje nazwisko na wiszącej przy schodach liście mieszkańców, by zachować w tajemnicy tożsamość, zawołała śpiewnie:

- Otwarte. Proszę wejść.

Robert pchnął drzwi palcem. Siedząca za biurkiem młoda kobieta w stroju czarownicy uśmiechnęła się na powitanie.

- Ciekawam, kim jesteście, szlachetny panie.

Rozbawione błękitne oczy błyszcząły w otworach czarnej maseczki. Była czarownicą w stylu punk, bardzo popularnym w czasie Halloween. Miała usta pociągnięte czarną szminką, czarne rajstopy z dziurami, wojskowe buty, czarną suknię ze sklepu Oxfam, kilka sznurów czarnych paciorków i opartą o biurko miotłę. Czarne włosy związane były na boku głowy w poszarpany kucyk.

Robert zaklaskał i sztywno się kłaniając, wręczył jej różę.

Dziewczyna teatralnie dygnęła.

- Dzięki, szlachetny czarnoksiężniku.

Ścianę za jej plecami zdobiły plakaty zespołu Clash i obraz Gustawa Klimta. Na środku biurka stała wielka maszyna do pisania, otoczona zwykłymi studenckimi drobiazgami. Z wieży płynęła muzyka klasyczna.

- Naprawdę nic nie powiesz? Dobrze, w takim razie usiądź, proszę - wskazała zapadnięty fotel. - Czy mój szlachetny gość napije się kawy albo herbaty? - spytała i spojrzała na czajnik elektryczny stojący na niskim stoliku obok biurka. - A może drinka? Mogę dać ci słomkę, jakoś sobie poradzisz.

Robert pokręcił głową i uniośł dłoń w uprzejmej odmowie. W jej akcencie wykształconej mieszkanki Londynu było coś intrygującego, dziwnego. West Country? Może nawet Ameryka?

Dziewczyna przeszła do części sypialnej, mieszczącej się w niszy po lewej. Obok łóżka stał parawan, za którym zapewne się przebierała - Robert uznał to za bardzo stylowe. Dziewczyna wyjęła zza parawanu mały spiczasty czarny kapelusz i przymierzyła go przed lustrem wiszącym nad nieużywanym kominkiem.

- Dzisiaj wieczorem jestem w bardzo czarnoksiężskim nastroju.

Nie odpowiedział, nie było mu wolno. Kiwnął głową; miał nadzieję, że wyglądało to jak dworski ukłon.

Na półkach stały książki historyczne, matematyczne i filozoficzne. Sąsiednią ścianę w połowie pokrywały plakaty ze studenckich przedstawień. Robert poczuł lekkie zdenerwowanie. Dziewczyna była śliczna. Ale czy wybrałaby go, gdyby wiedziała, kim naprawdę jest?

Dzisiejszą zabawę zorganizował niejaki Adam Hale-Devereaux. Był to rodzaj skomplikowanej randki w ciemno dla sześciu osób, która miała się zakończyć balem kostiumowym w Szkole Pitagorasa, dwunastowiecznej budowli na terenie St. Johns College. Adam, czarujący młodzieniec, syn dyplomaty, drobny arystokrata i wielki pijak, studiował na ostatnim roku i bez wysiłku osiągał najlepsze wyniki z języków obcych - mówił nimi od dziecka.

Robert poznał go na wieczorku lingwistów na początku swojego pierwszego semestru i potraktował nieuprzejmie, uznając, że ma do czynienia z rozpieszczonym młodzieńcem, od urodzenia korzystającym z przywilejów.

- Zatem właściwie nie musiałeś się uczyć języków, bo je przyswajałeś, kiedy twój ojciec przenoślił się z kraju do kraju - powiedział. - Szczęściarz z ciebie.

- Wyjątkowy szczęściarz, to prawda.

Rodzice Roberta pracowali dla utytułowanego małżeństwa w Anglii Wschodniej; ojciec był utalentowanym ogrodnikiem i cieślą, a matka pełniła funkcję kucharki i gospodyni.

Mieszkali w domku na terenie posiadłości. Robert, ich jedyne dziecko, jako pierwszy z rodziny poszedł na uniwersytet.

- Mój ojciec bardzo często się przenoślił i snułem fantazje, że mieszkam ciągle w jednym miejscu - ciągnął Adam. - Ale nie narzekam, nie ulega wątpliwości, że byliśmy uprzywilejowani.

- Naprawdę uważam, że nie powinni ci pozwolić na studiowanie czegoś, co z taką łatwością ci przychodzi. To niesprawiedliwe.

- Ale to chyba niewiele ma wspólnego z umiejętnością posługiwania się danym językiem, nie uważasz? Raczej z tym, co masz do powiedzenia. Zetknąłeś się ze średniowiecznym francuskim? Le Roman de la Rose to nie bułka z masłem, a La Chanson de Roland przyprawia o ból głowy. Lektury satysfakcjonujące, ale... - Powiedział to z czarującym uśmiechem, po czym zmienił temat. - Chociaż wiem, o co ci chodziło. Bez obrazy. Jak oceniasz w tym sezonie australijską drużynę krykieta?

Odkrywszy wspólne zainteresowania, z przyjemnością dyskutowali o zaletach Brearleya i Bothama oraz przyszłości Ashes.

Na początku marca Robert znalazł w swojej przegródce w akademiku Trinity Hall wypisane ręcznie na sztywnej karcie zaproszenie do udziału w „randce w ciemno albo wstępnych działaniach prowadzących do zbudowania nowego towarzystwa poświęconego



badaniom mądrości niekonwencjonalnej”. Na dole widniał podpis Adama, poprzedzony zwrotem: „Będę zaszczycony, jeśli się do nas przyłączysz”.

Robert, zdecydowany twardo stąpać po ziemi i nie dać się wplątać w studenckie zabawy, przyjął zaproszenie z ciekawości, w celach, jak to ujął, antropologicznych: będzie miał okazję obejrzeć te dziwne stwory w ich naturalnym środowisku i na pewno czegoś się nauczy, nawet jeśli nie pochwała ich sposobu życia. Poza tym na jego decyzję wpłynął fakt, że będzie miał okazję spotkać dziewczyny.

Zgodnie z regułami gry uczestnicy nie znali się. Trzej zamaskowani dzentelmeni mieli o wpół do dziewiątej w mglisty i chłodny wieczór zapukać do drzwi nieznanym dam, których numery pokoiów otrzymali w zapieczętowanych kopertach. To zadanie Robert wykonał. Dziewczyny także otrzymały instrukcje od mistrza ceremonii.

- Adam napisał, że nie wolno ci się odezwać do dziesiątej wieczorem - powiedziała Katherine do lustra. - Jeśli się odezwiesz, mam cię odesłać.

Robert kiwnął głową.

Przypięła stożkowaty kapelusz kokieteryjnie na bakier, odwróciła się, by przyjąć nieme wyrazy uznania od Roberta, i nalała sobie czerwonego wina do kieliszka.

- To trochę trudne. Adam lubi trudne rzeczy, nie uważasz?

Robert wzruszył ramionami.

- Napisał, że osoba gościa będzie niespodzianką. Ze będzie to ktoś, kogo nigdy bym się nie spodziewała. Myślałam, że może sam przyjdzie, w przebraniu. To byłoby w jego stylu. - Uśmiechnęła się. - Nie jesteś Adamem, prawda?

Robert siedział bez ruchu. Wpatrywała się w niego uważnie. Adam, starszy od Roberta o trzy lata, był podobnego wzrostu i budowy - w stroju czarnoksiężnika można było ich pomylić. Adam najwyraźniej bardzo podobał się Katherine.

Zachichotała, rozważając ten pomysł.

- Nie jesteś Adamem?

Robertowi przyszła do głowy niesamowita myśl: oboje chcą, żeby to była prawda. Czuł się gorszy od Adama. Pragnął mieć jego magnetyzm, arystokratyczną swobodę i olbrzymią wiedzę. I czuł, że Katherine zaakceptowałyby go, gdyby posiadał choć jedną z tych cech. Bał się, że przestanie ją interesować, jeśli zbyt się odsłoni.

Po krótkiej chwili nieznacznie pokręcił głową.

Ukrywając rozczarowanie, Katherine wstała i podeszła do okna.

- Wiesz, chyba mi nie zależy na dyplomie. Ale nie potrafię znieść myśli, że za trzy miesiące będę musiała opuścić to miejsce. A ty?

Przesunął palcem po masce, pokazując wyimaginowaną łzę spływającą po policzku, a potem położył dłoń na sercu. Katherine uśmiechnęła się.

Organizując zabawę, Adam dobrał pary i poszczególne przebrania w oparciu o to, co wiedział o każdym z uczestników. Katherine i Robertowi, z przyczyn nie do końca zrozumiałych dla tego ostatniego, przypadły role czarownicy i czarnoksiężnika. Pozostali nosili stroje damy i rycerza oraz dziwki i księdza. Przed spotkaniem na balu każdy miał rozszyfrować zagadkę umieszczoną w kopercie, zawierającą wskazówki, jak dotrzeć w pewne miejsce, gdzie, według instrukcji, będzie czekała druga zagadka do rozwiązania. „Musicie odnaleźć magiczne słowa i zapisać je, a następnie spełnić tajemne życzenie. Nagrodę zdobędzie ten, kto poda właściwe odpowiedzi i rozwiąże trzecią zagadkę. Specjalnie uhonorowani zostaną ci, których w czasie wyprawy spotka najbardziej niezwykła lub skandaliczna przygoda - nie będzie za nią uznane nachalne obmacywanie. Tożsamość uczestników ujawniona zostanie o dziesiątej wieczorem”.

- Zajmijmy się podpowiedziami - zaproponowała Katherine.

Robert odpieczętował kopertę i wyjął dwie karty. Na jednej widniało: „Trop: jestem echem Świętego Miasta”, a na odwrocie była podana uwaga: „Sugestia: ona ma tajemne

zyczenie związane z tym miejscem. Kiedy się tam znajdziecie, zrób pierwszą rzecz, którą każe ci zrobić. Pamiętaj, że nie możesz się odzywać”.

Na drugiej karcie znajdował się szereg kropek i linii oraz zdanie: „Zachowaj na później”. Robert pokazał ją Katherine, która wzięła nóż do papieru i otworzyła swoją kopertę. „Trop: widziany z nieba, jestem okiem...” Chwilę się nad tym zastanawiała, później odwróciła kartę.

- Hm. - Nie powiedziała, co tam było.

Jej koperta zawierała też drugi list z czerwoną pieczęcią i uwagą: „Otworzyć dopiero w miejscu, którego szukacie”.

Narysowała oko na kartce papieru i pokazała Robertowi.

- Z czymś ci się to kojarzy?

Pokręcił głową.

- Co to jest Święte Miasto? Jerozolima, Al-Quds. Chrześcijanie, muzułmanie i żydzi. Muszą też być inni, ale...

Wzięła z półki ilustrowany przewodnik po Cambridge i zaczęła go kartkować.

- Oko. Widziane z nieba. Echo Świętego Miasta...

Robert gestem poprosił o notatnik. Zapisał pośpiesznie:

„Źrenice i tęczę są okrągłe. Może to Okrągły Kościół?”. Do zbudowanej w czasach normańskich świątyni można było dotrzeć piechotą w niecałe dziesięć minut.

Katherine zajrzała do przewodnika i pisnęła z radości.

- Oczywiście, jesteś genialny! Tu jest napisane, że Okrągły Kościół jest repliką Bazyliki Grobu Pańskiego, jak wszystkie okrągłe kościoły na całym świecie. Mają jakiś związek z templariuszami. - Złapała swoją miotłę. - Idziemy!

NOWY JORK, 25 SIERPNIĄ 2004

Upał kończącego się lata wisiał nad ulicami, złapany w pułapkę przez metal i szkło. Było parno. Zbierało się na burzę.

Robert przystanął przed witryną sklepową na Piątej Alei. Był to jeden ze sklepów z tandetnymi nowojorskimi pamiątkami: wieże World Trade Center w śnieżnej kuli, plastikowy Empire State Building z King Kongiem zwieszającym się z czubka, zapalniczki w kształcie Statui Wolności. Nie potrafił wyjaśnić dlaczego, ale fascynowały go te przedmioty. Ciągłe je kupował. Małe gmachy Chryslera. Miniaturowe Flatirony. Zdaniem Katherine to była choroba.

Wszedł do środka, czując lekkie wyrzuty sumienia.

Katherine miała słabość do pornografii kulinarnej: błyszczących magazynów poświęconych kuchni, programów o gotowaniu w telewizji kablowej, niezdrowej obsesji na punkcie Maria Batalego. Robert dorobił się własnych, a były nimi piesze wycieczki po mieście, albumy o architekturze, tandetne modele ważnych budynków.

Jego uwagę zwrócił tani, pomalowany na srebrny kolor przycisk do papieru. Na owalnej podstawie tłoczyło się ponad dwadzieścia konstrukcji: gmach Narodów Zjednoczonych, budynek Chryslera, Empire State Building, Most Brooklyński, Statua Wolności. Postanowił go kupić, gdy zobaczył, że są tam też Rockefeller Center i Washington Square Park, które chyba można odłupać. Trudno znaleźć je pojedynczo.

Zapłacił i wyszedł. Był spocony i kręciło mu się w głowie. Chyba był trochę odwodniony.

Idąc na Times Square, a stamtąd na zachód Czterdziestą Ulicą w kierunku dworca autobusowego Port Authority, rozmyślał o Katherine i przepaści, która między nimi się pojawiła. Od poronienia minęło osiem miesięcy. Nie miał pojęcia, jak sobie z tym poradzić.

Kiedy wrócił do domu, Katherine sprawiała wrażenie zmęczonej. Jego nabytek rozbawił ją, ale tylko do chwili, gdy wyjął dłuto.

- I teraz to zniszczysz. Super.

- Trudno znaleźć miniaturę Rockefeller Center.

Katherine nie okazała zrozumienia.

- Oddaj się nałogowi, jeśli musisz.

- Jak ci minął dzień, Kat?

Roześmiała się sucho.

- Czuję się, jakbym miała osiemdziesiąt lat.

Na stole w gabinecie Roberta leżała mapa Manhattanu. Stawiał na niej swoje miniaturki, jakby budował trójwymiarowy model wyspy. Budynek Rockefeller Center będzie pasował idealnie.

Katherine obserwowała go ze smutkiem.

- Robert, nic dobrego z tego nie wyjdzie. Naprawdę.

- Jedną... minutę.

Podeszła bliżej, by przyjrzeć się jego poczynaniom. Przycisk do papieru pękł, część budynku Narodów Zjednoczonych i Most Brooklyński odpadły. Ramię z pochodnią Statui Wolności o mało nie trafiło Katherine w oko. Rockefeller Center wyszedł z operacji prawie nietknięty.

- Przestań! Natychmiast!

- Dobrze, dobrze.

Katherine przyglądała mu się z desperacją.

- Więc kiedy otworzysz tę tajemniczą przesyłkę?

Paczka przysłała poranną pocztą na nazwisko niejakiego Ricklesa. Wysłana w Nowym Jorku, bez adresu nadawcy. Katherine przypomniała o niej, bo wiedziała, kto ją przysłał, i sądziła, że to może być coś ważnego.

Tylko jeden człowiek tak się zwracał do Roberta. W pierwszej chwili Robert zaproponował, żeby włożyła ją do wiadra z wodą i wystawiła za drzwi. To było najlepsze miejsce na drobne prezenty i gry od Adama. Ale Katherine położyła paczkę na biurku w gabinecie, blisko wszystkich trudnych do rozwiązania spraw, których dokumentacje trzymał w teczce oznaczonej „Zbyt skomplikowane”.

- Może przysłał ją ktoś inny - powiedziała Katherine.

Ale nie.

Przesyłka była sześcianem o krawędziach mniej więcej trzycalowych.

Robert wskazał drzwi.

- Idź na chwilę do sąsiedniego pokoju, dobrze? Któraś z nas musi zachować życie, żeby pozwać go do sądu, gdyby to eksplodowało.

Katherine roześmiała się krótko i wyszła.

Robert jedną ręką trzymał paczkę, drugą przecinał brązowy papier nożem. To nie miało sensu, ale prawa dłoń mu drżała. Dla uspokojenia wziął głęboki oddech. Gry Adama bywały egoistyczne i irytujące, nawet denerwujące. Ale ta wydawała się inna, jakby wszystkie poprzednie stanowiły tylko rozgrzewkę przed tym, co miało zaraz się zacząć.

Ostrożnie przeciął papier i odwinął paczkę. Jego oczom ukazało się pudło z grubego kartonu zabezpieczone taśmą klejącą. Przebił ją i przeciągnął nożem wzdłuż rowka między górnymi klapami.

Otworzył pudełko.

W środku znajdowała się koperta oraz tajemniczy przedmiot zawinięty w kawałek plastiku z bąbelkami i bibułkę. Robert delikatnie przystawił nóż do opakowania. Dłoń wciąż mu drżała.

Przerwał i odetchnął. Potem przeciął plastik.

To było okrągłe metaliczne pudełko, platynowożłote, o średnicy około dwóch i pół cala. Przywodziło mu na myśl toczek albo bębenek. Na górnej pokrywie widniały koncentryczne kręgi. Sprawiało wrażenie wyjątkowo lekkiego.

W kopercie znajdowała się napisana wielkimi literami notka: „POMÓŻ MI, PROSZĘ”. Na odwrocie mniej starannym pismem dodano: „Czas minął”. List nie był podpisany, ale Robert rozpoznał pismo Adama. Zamknął oczy.

Pewnego dnia zostaniesz wezwany. Słyszał wyraźnie słowa Adama, choć minęło ponad dwadzieścia lat. Usta wypełnił mu kwaśny smak. Wrzucił list do szuflady.

Pudełko na bokach zdobiły geometryczne motywy. Żaden oczywisty sposób otwarcia nie rzucał się w oczy Robert obracał je na wszystkie strony, naciskał, ciągnął, szukał szczelin, w które mógłby wsunąć paznokiec. Nic. Im dłużej trzymał je w rękach, tym większa ogarniała go frustracja. Odnosił wrażenie, że z czasem robi się coraz cięższe. Odstawił je na biurko i zawołał Katherine.

- Typowe dla Adama. Przyjrzyj się temu, dobrze? - powiedział. - Cholera, zamknięte na głucho.

Katherine wzięła od niego pudełko i przyjrzała mu się uważnie, wpierw podstawiając pod lampę, później zbliżając do oczu.

- To jakiś metal? Wygląda prawie jak szkło. Myślisz, że Adam zaczyna następną grę? Odłożyła pudełko na biurko. Robert uśmiechnął się do niej cierpko.

- Mam nadzieję, że nie. Nie jestem pewien, czy nasze ubezpieczenie pokryłoby straty. Katherine obrzuciła go badawczym spojrzeniem.

- Nie lubisz, jak mówią do ciebie Rickles, prawda?

Pudełko leżące na biurku wyglądało jak ropucha. Teraz było złotoczerwone.

- Tak, to zawsze mnie irytowało.

- Chodziło o coś jeszcze?

- Nie - skłamał.

Katherine poszła na górę.

Robert walczył z przeklętym pudełkiem przez pół godziny, starając się przy tym nie myśleć. W pewnej chwili górna krawędź przesunęła się o cal w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, jakby udało mu się uruchomić precyzyjny mechanizm, ale nic więcej nie osiągnął. Usiłował powtórzyć ułożenie palców, ale bez skutku. W końcu poddał się i poszedł do Katherine.

- Kiedy byłam mała, miałam specjalne tajemne pudełko, które strasznie trudno się otwierało - powiedziała, odwracając się od komputera. - Dostałam je od przyjaciela pod koniec wakacji we Francji. Było drewniane i bardzo ściśle dopasowane, trzeba było znać określoną sekwencję ruchów, żeby je otworzyć. Zapisywałam wszystkie okrutne, złośliwe rzeczy, które ludzie mi powiedzieli albo zrobili, i chowałam do tego pudełka. Zamykało wszystkie krzywdy.

- Przydałoby mi się takie w pracy.

- Moje nazywałam skrzynką złośliwości<sup>1</sup>.

Robert zmarszczył czoło.

- O ile pamiętam, *boite à malice*<sup>2</sup> znaczy raczej „pudełko sztuczek, pudełko magiczne”, jeśli to miałaś na myśli. - Zdjął z półki francuski słownik. - Tak, popatrz tutaj, to błąd w tłumaczeniu.

Katherine nie podniosła wzroku.

- Wiem, mieszałam francuski z angielskim. Miałam dopiero trzynaście lat.

<sup>1</sup> W oryg. *Malice Box* [przyp. tłum].

<sup>2</sup> Po angielsku *malice* oznacza „złośliwość, zły zamiar” [przyp. tłum.].

- Podoba mi się ten zwrot, choć jest niepoprawny. Skrzynka złości. Nieoczekiwane. Bardzo ponure. Adam byłby zachwycony, nie wątpię. Tak czy owak mam zamiar rozbić ją pogrzebaczem.

- Nie rób tego.

- Nie rozbijać?

- Nic rób tego, co robisz. Po prostu przestań.

- Co?

- Poniżyć mnie. Zachowywać się upierdliwie. Okazywać niechęć w stosunku do Adama. Robert jęknął.

- I daj mi to pudełko, jeszcze je obejrzę. Wygląda na marokańskie, a może egipskie? Nieważne pochodzenie, nie niszczy go. Może być wartościowe. I jest piękne.

Podał jej pudełko i wyszedł.

Kiedy wreszcie Katherine otworzyła skrzynkę złości, okazało się, że jest w niej skórzany woreczek, zawierający dwa klucze i złożony kawałek papieru z adresem na jednej i słowem „vitriol” na drugiej stronie.

Jakże stosownie, pomyślał Robert.

Adres wskazywał mieszkanie w West Village.

Katherine ożywiła się.

- Cudownie. Cieszę się, że znowu się bawi w zagadki.

- Pokażesz mi, jak je otworzyłaś?

- Nie jestem pewna, czy potrafię. Próbowałam na różne sposoby, kręciłam i naciskałam w różnych miejscach, i przez cały czas wpatrywałam się w wieczko. Coś w tym jest.

Widzisz? W jednej chwili wydaje się wypukłe, w następnej wklęsłe. Niesamowite. Jakbyś patrzył w oko. Gdybym nie wiedziała, że jest inaczej, przysięgłabym, że sama się zahipnotyzowałam.

- Co za brednie. Miałaś szczęście, a teraz nie potrafisz tego powtórzyć.

Robert wziął od niej pudełko i wrócił do swojego gabinetu, by zastanowić się, o co może chodzić Adamowi.

Jakimi informacjami dysponował?

Adam, który mieszkał w Miami i od kilku lat rzadko się odzywał, wysłał paczkę z Nowego Jorku albo kogoś o to poprosił. Ani na opakowaniu, ani w środku nie umieścił nic, co mogłoby zidentyfikować go jako nadawcę.

Zwracał się o pomoc wprost, co nie było typowe dla wcześniejszych zagadek, które w większości zawierały prośby o przedstawienie go kobietom, pożyczki i inne, czasami podejrzane, przysługi.

I zaczynało brakować mu czasu.

Robert podniósł skrzynkę złości i utkwiał w niej wzrok. Czuł, jak do szpiku kości przenika go chłód. Coś było nie w porządku.

CAMBRIDGE, MARZEC 1981

Mgła jeszcze bardziej zgęstniała, powietrze było ostre. Katherine ujęła Roberta pod ramię, gdy szli opustoszałą King's Parade koło Senate House, a potem skręcili w Trinity Street. Oboje wyglądali niczym postaci ze snu w witrynie księgarni Heffersa, zagubieni pomiędzy światami. Katherine wzięła latarkę i próbowała rozproszyć ciemność, ale bez większego efektu.

Minęli Great Gate of Trinity, college Adama z rosnącym na trawniku przed nim drzewem Newtona, a potem główne drzwi St. John's College z podtrzymującymi herb fundatora mitycznymi stworami z ogonami słońca, tułowiami antylop, łbami kozłów i rogami wskazującymi równocześnie w przód i w tył, zwanymi *yalets*.

Niedaleko Okrągłego Kościoła Robert kątem oka dostrzegł ich odbicie w kolejnej sklepowej witrynie i przez moment wydało mu się, że ktoś z nimi jest. Zamrugał i przywidzenie znikło.

Okrągły Kościół, koło którego Reckliss często przechodził, ale nigdy nie wstąpił do środka, otaczał niski murek. Wewnątrz budowli migotało światelko. Gdy weszli na dziedziniec, Katherine mocniej chwyciła się Roberta.

- Trochę tu upiornie. Chodzisz do kościoła?

Robert pokręcił głową. Łukowe drzwi były zamknięte. Poszedł na lewo po trawie porastającej dawny cmentarz i zaczął się przyglądać podświetlonym od środka witrażom.

- Według przewodnika poza tym w kraju są tylko cztery takie kościoły - powiedziała Katherine. - Zbudowane zostały jako kaplice dla wędrowców w dwunastym wieku przez Braterstwo Świętego Grobu, o którym nic ponad to nie wiadomo. Może byli to powracający krzyżowcy? Sprawdźmy następną podpowiedź.

Katherine wyjęła kopertę i złamała pieczęć, po czym podeszła do Roberta i podała mu latarkę. Ponad jej ramieniem przeczytał: „Szukacie magicznego ptaka. Nazwijcie go i podajcie powody, dla których jest magiczny. Zapiszcie słowa, które tworzą jego gniazdo”.

- Chyba nie oczekuje, że się włamiemy, co?

Robert wzruszył ramionami i wskazał rzeźbione kolumny przy drzwiach. Obejrzeni je dokładnie, ale ptaków na nich nie było. Wyszli z cmentarza i przeszli na tył kościoła, gdzie w późniejszych czasach postawiono bardziej typowy dla tego rodzaju architektury budynek. Za ich plecami wznosiła się wiktoriański siedziba towarzystwa dyskusyjnego Cambridge Union.

Przy świetle latarki wpatrywali się w witraż przedstawiający Ukrzyżowanie. Robert odcyfrował od tyłu - znajdowali się na zewnątrz - datę: 1942.

Nagle z mgły dobiegł męski głos:

- W czasie wojny spadła tu bomba.

Katherine krzyknęła i złapała za ramię Roberta, który zapominając o przysiędze milczenia, wrzasnął:

- Ty pieprzony głupku! O mało nie dostaliśmy przez ciebie ataku serca!

- Przepraszam, że was wystraszyłem - mężczyzna w obszernej puchowej kurce i gumowcach zbliżył się do nich. Twarz miał ukrytą pod kapturem.

- Kim pan jest?

- Stróżem. Lubię, jak jest porządek. Zawsze ktoś się pałęta po dziedzińcu. Wy też możecie kogoś nieźle wystraszyć w tych przebraniach. Idźcie na bal?

- Później - powiedziała Katherine.

- Wygląda na to, że potrzebujecie pomocy. Rozwiązujecie zagadkę?

Miał głos mężczyzny po pięćdziesiątce, łagodny, bez śladu miejscowego akcentu.

- No cóż - odparła Katherine z powątpiewaniem. - Wie pan, gdzie tu są magiczne ptaki?

- Ach, ofiarny pelikan.

- Słucham?

- Chodzi wam o pelikana.

- A co to właściwie jest?

- Witraż. Od zachodu, więc traficie na niego przy wyjściu. Weźcie latarkę.

Stróż zniknął we mgle. Katherine przysunęła usta do uszu Roberta.

- Miałam tajemne życzenie związane z tym miejscem, ale on zepsuł nastrój - szepnęła z uśmiechem.

Robert chrząknął.

- Nawet nie próbuj się odezwać. Ja w każdym razie cię nie odeślę. Chodźmy, poszukajmy go.

Wrócili do frontowych drzwi kościoła. Stróż stał nieruchomo jak posąg z jedną ręką uniesioną; zwinięty parasol w jego dłoni nadawał mu zdeformowany wygląd. Wskazywał okno nad gankiem.

- Poświeć tam, gdzie pokazuję - powiedział. - Widzicie?

Ich oczom ukazał się abstrakcyjny okrągły biały kształt na czerwonym jak krew tle. Przyjrzawszy się bliżej, Robert dostrzegł krzywiznę szyi i skrzydło. Przypominało mu to bardziej smoka niż pelikana.

- O Boże - westchnęła Katherine. - On je swoje serce.

Rzeczywiście, stwór wbijał dziób we własną pierś.

- Żeby nakarmić młode - odezwał się stróż. - Ofiarny pelikan. Składa ofiarę z siebie. Jak Chrystus, to jedno ze znaczeń tego symbolu. Widzicie gniazdo i młode?

Katherine przesunęła niżej światło latarki. Zobaczyli gniazdo, a pod nim kielich mszalny i rodzaj wstęgi. Niżej widniały jakieś słowa.

- To te magiczne słowa. Zapisz je. Ale są od tyłu, poczekaj ...

- Oszczędź wam kłopotu - powiedział stróż. - *Hic est enim sanguis meus novi testamenti* w czymś tam *peccatos*. Brakuje słowa, jest nieczytelne. Jak u was z łaciną?

Katherine skrzywiła się.

- Całkiem marnie, prawdę mówiąc.

- Właściwie powinno być *sanguis*, nie *sanguis*, a ostatni zwrot jest przekreślony. W przekładzie znaczy to: *Oto moja krew nowego testamentu w czymś tam grzechów*. Brakujące słowo to „wybaczenie” albo „zbawienie”. Zapisalesz?

Robert, który gorączkowo notował, potaknął.

- Niewiele mówisz, jeśli nie przeklinasz, co? Spójrzcie na górną część okna.

Katherine poświeciła we wskazanym kierunku. Robert dostrzegł czerwono-białą kopułę.

- Jerozolima - wyjaśnił stróż. - Bazylika Grobu Pańskiego, zbudowana nad grobem Chrystusa. Okrągła.

- Był pan bardzo uprzejmy - powiedziała Katherine tonem sugerującym, że stróż powinien już się pożegnać. - Bardzo panu dziękujemy.

- Ofiarny pelikan - ciągnął stróż z zadumą. - W heraldyce używa się terminu pożeranie. Pożera własną pierś. Poświęcenie siebie, rozumiecie. Ludzie niegdyś wierzyli, że pelikan w taki sposób karmi młode. Oczywiście nonsens. Rozumiecie jednak, dlaczego pelikan stał się symbolem Chrystusa. Składa siebie w ofierze. Uważacie się za chrześcijan? - Jego wzrok powędrował od usianej gwiazdami peleryny Roberta do stożkowego kapelusza i miotły Katherine.

- W pewnym sensie - odparła Katherine. - Musimy już iść. Do widzenia.

Mężczyzna lekko się skłonił.

- Może jeszcze się spotkamy.

Katherine zadrżała i pociągnęła Roberta w stronę St. John's College. Robert obejrzał się. Ledwo widoczna postać stróża wciąż wpatrującego się w pelikana powoli zniknęła we mgle.

NOWY JORK, 25 SIERPNI 2004

Adam Hale z przerażeniem w sercu stał przed trzema białowłosymi mężczyznami. Ubrani byli w doskonale skrojone ciemne garnitury, mieli dyskretne, acz niezwykle kosztowne spinki do mankietów i sygnety, oraz nierzucające się w oczy krawaty. Emanowali aurą nieśpiesznej potęgi.

- Adamie Hale, dziękujemy, że przyjął pan nasze zaproszenie - powiedział najwyższy z trójki.

- Wziąwszy pod uwagę okoliczności, nie miałem wielkiego wyboru.

- Istotnie, aczkolwiek nie umniejsza to naszej wdzięczności.

Znajdowali się w biurze na siedemdziesiątym ósmym piętrze Empire State Building.

- Proszę usiąść, panie Hale.

- Wolę stać.

- Jak pan sobie życzy.

Mówił tylko najwyższy z mężczyzn. Pozostali dwaj siedzieli z obu jego stron przy mahoniowym stole konferencyjnym i mierzyli Adama lodowatym wzrokiem.

- Od naszego ostatniego spotkania minęło niewiele ponad rok.

- Racja. To było 14 sierpnia 2003.

- Dzień zaciemnienia.

- Możecie to nazywać, jak chcecie. Wszyscy wiemy, co to było.

- Od tamtego dnia jesteśmy, by tak to ująć, pod pewnymi względami związani ze sobą.

Mężczyzna ledwo poruszał szczęką przy mówieniu. Wypowiadane przez niego krótkie zgłoski sprawiały, że wydawało się, iż przemawia jakiś patriarcha starego rodu, omawiający stan posiadłości. Przerażenie Adama zagrażało jego woli. Oni byli bardzo potężni, zbyt potężni dla niego. I dzień po dniu, cał po cału wkradali się w jego duszę.

- Uważamy, że nadszedł czas, by pana wezwać.

- Tak szybko?

Na samym dnie serca Adam powtórzył przysięgę, którą złożył ponad dwadzieścia lat temu. Ochraniać niewinnych. Dotrzymywać tajemnicy. Niezależnie od kosztów musi spowolnić ich działania.

- Czego dokładnie oczekujecie? Chcę was zrozumieć.

Mężczyzna po prawej stronie mówiącego roześmiał się.

Pozostali z uznaniem przymrużyli oczy, jakby Adam powiedział doskonały żart.

- Jak pan wie, działamy przez innych. Jesteśmy cierpliwi. Istniejemy od dawna, tak samo jak grupa, do której pan należy. Nie mamy adresu. Jutro to biuro będzie puste. Nie znajdzie nas pan, jeśli my tego nie będziemy chcieli.

Z kieszeni na piersi wyjął coś, co Adamowi wydało się srebrnym piórem, i przekreślił, uwalniając połyskliwe metalowe ostrze. Wstał, nachylił się i na pięknym blacie stołu wyrył cztery litery: IWNW

Adam skrzywił się na widok swobody tego gestu.

- Czasami nazywają nas Braterstwem Iwnw - powiedział mężczyzna, wymawiając tę zbitkę liter jak „junu”; ostatnia głoska przypominała słaby oddech. - W wielu krajach mieliśmy wiele różnych nazw.

Adam prychnął pogardliwie.

- Dla mnie wyglądacie jak trzech zbirów w garniturach z Saville Road.

Przywódca utkwiał w nim świdrujące spojrzenie. Przez chwilę rozważał obelgę, później ostentacyjnie ją zignorował.

- Iwnw jest nazwą Świętego Miasta. Miejsca mocy, w którym nasi przodkowie oraz ci ze Światła Doskonałego po raz pierwszy, by tak to ująć, weszli w konflikt. Mity wielu krain odzwierciedlają toczony przez nas od tamtego czasu bitwy. Wszystkie są tylko fragmentami.

- Wy w tych historiach zawsze przegrywacie, czyż nie?



- To zależy, w którym momencie przerwać opowieść. Ona nigdy się nie kończy. Żadna ze stron nie może zdobyć całkowitej przewagi. Zawsze będziemy na świecie. Więcej, wy nas potrzebujecie. Wy także macie wiele nazw, z których nie wszystkie są precyzyjne. Może pan dojdź do wniosku, że w gruncie rzeczy stoi pan po niewłaściwej stronie.

- Poniesiecie porażkę. Już raz was powstrzymałem. W zeszłym roku.

- Istotnie. Ale sporo to pana kosztowało, panie Hale, zgodzi się pan chyba? Nie jest pan dostatecznie silny, by zrobić to ponownie. Prawdę mówiąc, wielką przyjemnością byłoby móc przeciągnąć pana na naszą stronę. Nasz rodzaj - pański i mój - istniał od zawsze. Garstka ludzi na świecie, która słyszy harmonię wyższych sfer, widzi światy inne poza fizycznym. By służyć wyższym panom.

- To błogosławieństwo.

- To także przekleństwo. Myślę, że przekona się pan o tym. Na własnej skórze. -

Przywódca Iwnwu wolno zbliżał się do Adama. - Uważamy, że ta wiedza, ta umiejętność postrzegania i ujarzmiania mocy powinna zostać użyta do kształtowania świata zwykłych kobiet i mężczyzn. Trzeba ją wykorzystać do celów politycznych. Do zbudowania określonego typu społeczeństwa. Wolimy oddzielić ziarna od plew, by tak to ująć. Niewiele nas obchodzi Ameryka czy cały świat pod obecnymi rządami. Zanieczyszczona ziemia, zmierzająca ku katastrofie. Niekończące się swary. Władza w rękach ignorantów.

Mężczyzna zatrzymał się tuż za plecami Adama, który wyczuwał jego intensywne spojrzenie, ale nie odwrócił głowy.

- Jaki kształt chciałby nadać światu Iwnwu?

- Posłuszny Podległy. Poddany oświeconym, silnym władcom. Ludziom jak my. Ludziom jak pan.

- Idźcie do diabła.

Nagle żelazna dłoń popchnęła Adama do przodu; uderzył głową w stół. Całe jego ciało eksplodowało bólem. Usłyszał słowa szeptane mu do ucha:

- Nasz czas nadszedł. Postąpisz według naszej woli. Wiesz, co się stanie, jeśli tego nie zrobisz.

Adam walczył, by uwolnić się z uchwytu mężczyzny. Jego głowa znowu odbiła się od stołu, przed oczami zobaczył wybuchające gwiazdy.

- Odwróćcie to, coście uczynili - warknął do mężczyzn.

- Twoje nienarodzone dziecko i jego matka. Pomóż nam, a może będą żyli.

- Jak mógłbym? To, o co prosicie, jest niewybaczalne!

- Sprzeciwisz się nam albo spróbujesz nas oszukać, oboje umrą. Żądamy, byś posłużył nam jako narzędzie.

Adam zamknął oczy. Zobaczył ciemność napierającą ze wszystkich stron. Schronił się w miejscu, gdzie skrywał najcenniejsze zamiary. Zaczerpnął stamtąd tyle siły, ile był w stanie, po czym przemówił:

- Nie poświęcę ich. Oszczędź ich, a zrobię, czego żądacie.

Dłonie mężczyzny lekko połuźniły uścisk. Adam w najgorszym razie zyskał trochę czasu.

- Mów, co mam robić.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Dobrze. Doskonale. Chodzi o człowieka nazwiskiem Lawrence Hencott. Chcemy, żebyś złożył mu wizytę. Dzisiaj wieczorem.

LITTLE FALLS, NEW JERSEY, 25 SIERPNIĄ 2004

Wieczorem Katherine siedziała i czytała. Robert podszedł do niej, położył dłonie na jej ramionach i zaczął masować napięte mięśnie. Katherine jęknęła z radości. Robert wsunął palce pod kołnierz bluzki i zwiększył nacisk.

- Może pójdziemy na górę? - szepnął. - Odwiedzę cię w twoim pokoju i bardziej rozpraszę te węzły?

To była najbardziej bezpośrednia propozycja, jaką złożył w przeciągu ostatnich kilku tygodni.

Cała jej postawa uległa zmianie.

- Nie dzisiaj - powiedziała po chwili. - Przepraszam. Jeszcze nie.

Robert masował ją jeszcze przez minutę.

- Idę się położyć - powiedział.

- Poczytam trochę. Później do ciebie zajrzę.

- Nie cieszysz się, że Adam się odezwał, Kat?

- Ty nie sprawiasz wrażenia ucieszonego.

- Tym razem jest inaczej.

- Wyglądasz niemal... na przestraszonego.

- Nie jestem pewien, czy to odpowiednie słowo.

- Adam był dla ciebie jak brat. Albo nieco szalony kuzyn.

- Wiem.

- Co cię gryzie?

- Nic. Też trochę poczytam.

Dla dziecka wybrali imię Moss. Chłopiec miał się urodzić pod koniec maja, ale stracili go w Boże Narodzenie. Był ich cudownym dzieckiem zaciemnienia, poczętym w noc, gdy zgasły światła w całych północno-wschodnich Stanach Zjednoczonych. 14 sierpnia 2003 roku. Byłby ich pierworodnym, całkowitą niespodzianką, wzięwszy pod uwagę wiek Katherine; następnego już nie będzie. Zmarły brat Adama nosił to imię. Kiedyś Adam wyjaśnił im, że to forma imienia Mojżesz, którego w niemowlęctwie puszczono z nurtem rzeki w wiklinowym koszyku. Wydało im się odpowiednie.

Czasami Robert mówił do Mossa; były to wspaniałe, długie, szeptane monologi, pozornie bezsensowne. Dzisiaj wieczorem tylko chwilę posiedział w pokoju przygotowanym dla chłopca, sam ze swoimi myślami.

Potem położył się i zasnął. Wydawało mu się, że minęło jedynie kilka sekund zanim zadzwonił telefon.

- Halo?

Usłyszał, jak w tle ktoś mówi, wali, tłucze szkło. Przeklina.

- Halo? Kto mówi?

Nie miał pojęcia, czy spał pięć minut czy pięć godzin. Adam? Dlaczego? Robert wytężył słuch, by rozróżnić słowa, zaraz jednak okazało się to zbędne. W uchu zadudnił mu męski głos, wywrzaskujący nabrzmiąle cierpieniem urywki:

- Ty... głupcze! Zaraz... cię zranię... kula... ciebie i wszystkich... do piachu... ty... śmieciu... umrzesz!

Robert odłożył słuchawkę i natychmiast pożałował, że nie odpowiedział. Serce mu waliło. Rozejrzał się po pokoju, jakby dzwoniący znajdował się w domu. Oddychał szybko, czuł się zagrożony, atakowany. Dłonie mu się trzęsły.

Wybrał numer oddzwaniania \*69, ale nie udało mu się połączyć. Wstał, by sprawdzić zamki i zajrzeć do Katherine: smacznie spała. Wrócił do łóżka i siedział w milczeniu, próbując przypomnieć sobie, skąd zna ten głos.

Analityczna część jego umysłu mówiła, że telefon przypuszczalnie nie był do niego: jakiś świrnięty pijak zły na cały świat na chybił trafił wybierał numery i dawał upust gniewowi. Robert usiłował się zastanawiać, ale wbrew sobie co jakiś czas zapadał w sen. W pewnym momencie złapał się na tym, że patrzy wprost przed siebie na świetlne wzory, które rozplywały się, nim zdążył skupić na nich wzrok. Znowu zasnął.

Ze snu wyrwał go dzwonek telefonu. Męski głos.

- Robercie Reckliss, pobudka! Jesteś gotów na spotkanie ze swoim stwórcą?

Przez moment znowu był w pokoju w Trinity tamtej nocy, gdy o mało nie umarł.

- Kto...

- Koniec snu. Słyszysz ten grzmot? Masz spotkanie ze śmiercią.

- Idź do diabła! - wrzasnął do słuchawki.

Ale po drugiej stronie już nikogo nie było.

W progu stała zaspana Katherine.

- Cholera, co się z tobą dzieje? Z kim rozmawiasz w środku nocy?

- Z jakimś pijakiem.

Robert porzucił wszelką myśl o śnie. Dochodziła piąta rano, zaczynał się czwartek 26 sierpnia, pierwszy dzień jego destrukcji.

NOWY JORK, 26 SIERPNIĄ 2004

Padło, kiedy jechał do pracy. Krople deszczu bębniły o dach samochodu z hipnotyzującą regularnością.

Katherine i Robert mieszkali w Little Falls w stanie New Jersey, po drugiej stronie Tunelu Lincolna. Prowadzenie samochodu w New Jersey nie było zajęciem dla ludzi nerwowych, zwłaszcza przy śliskiej nawierzchni. Robert, chociaż wypił trzy kawy, był nieprzytomny. Co kilka mil nieco opuszczał szybę, by odetchnąć świeżym powietrzem.

Za każdym razem kiedy wjeżdżał pod most, basowe dudnienie deszczu cichło na moment, ale nim to sobie uświadamiał, zaczynało się od nowa. Jak w czasie tych chwil na przyjęciach, kiedy wszyscy równocześnie milkną: powiada się, że wówczas przeleciał anioł. Most, szyba. Most, szyba, przerywane bębnienie deszczu i szum opon.

Były też inne rzeczy nie pozwalające mu zasnąć: młodociani piraci drogowi i inni niespełna rozumu kierowcy, mijający go pędem, zygzakami prąc naprzód mrocznym pasem drogi nr 3.

Od czasu do czasu w oddali widać było szare sylwety Manhattanu.

Myśli o szalonych telefonach i błaganie Adama wypełniały głowę Roberta. Starał się je ignorować.

W czasie dojazdu do pracy zwykle rozmyślał o możliwych rozwiązaniach problemów w pracy - jakby próbował ułożyć trójwymiarowe puzzle albo zastanawiał się nad grą z rodzaju tych, w których przesuwana się kostki w ramce z jednym pustym miejscem po to, by ułożyć je w określonym porządku.

Wyobrażał sobie kwestie związane z zasobami personalnymi lub materiałowymi jako serię kolorowych kostek czy kul albo liter alfabetu i manewrował nimi tak długo, aż uzyskiwał sensowną kombinację, którą mógł zrealizować przy pomocy drobnych łapówek, pochlebstw lub gróźb. Wnętrze jego umysłu wyglądało jak obraz Mondriana.

Pracował w dziennikarstwie od prawie dwudziestu lat. Nigdy nie był śmiałym korespondentem w egzotycznych krajach, a raczej podporą firmy, człowiekiem, który dba o załatwienie wszystkich nudnych, acz niezbędnych spraw. Bardziej hydraulik niż poeta; bardziej głowa rodziny niż kochanek. Można było go nazwać odpowiedzialnym dorosłym

człowiekiem; zawsze taki był, już od czasów szkolnych. Od dziecka wpajano mu, że nie może pozwolić, by zawładnęły nim fantazje.

Co nie znaczy, że nie miał swoich wielkich chwil. Był solidny. Sprawdzał się zwłaszcza w sytuacjach kryzysowych. Właśnie on dowodził oddziałami dziennikarzy jedenastego września, kiedy w Nowym Jorku runęły wieże WTC. To on panował nad wszystkim podczas załamań giełdy, huraganów, zamachów, spadków notowań waluty

Ale w przeciwieństwie do Adama nigdy żadnego z tych wydarzeń nie spowodował.

Z prawej wyprzedził go wiśniowy samochód sportowy, skręcił na prawo i po kilku sekundach wcisnął się w niewielką lukę po lewej.

Tylko kilka dni pozostało do Ogólnokrajowej Konwencji Republikanów. Jak zwykle trzeba było dopracować szczegóły i przygotować się do rozwiązywania problemów, które wynikną w ostatniej chwili. To był żywioł Roberta. Uwielbiał to robić. Lubił, kiedy wszystko działało jak w dobrze naoliwionej maszynie.

Biura GBN mieściły się na siedmiu piętrach dawnego budynku RCA Victor na rogu Pięćdziesiątej Pierwszej i Lexington. Tę lokalizację firma zawdzięczała jakiejś klauzuli, której Robert nigdy do końca nie rozgryzł. Przebywanie w urządzonych w rozbuchanym stylu art deco pomieszczeniach było prawdziwą przyjemnością. Ostatnio ich wystrój wsącał się w jego sny: ożywione pioruny, stylizowane fale radiowe, cudowne wzory pod powiekami.

Kiedy ubiegłej nocy się obudził z półsnu pomiędzy dwoma telefonami od nieznanego szaleńca, zobaczył w ciemności przed sobą błękitny piorun, niczym wykuty z kamienia, który z wolna się rozpraszał.

Na wielkim łuku przy wjeździe do Tunelu Lincolna Robert usiłował ocenić poziom aktywności policji. Nie potrafił powiedzieć dlaczego, ale wydawało mu się, że jest wyższa niż zwykle. Wcześniej czy później ktoś znowu podejmie próbę ataku na Nowy Jork, to tylko kwestia czasu. Z tego też powodu zgodził się z Katherine, gdy na wieść o ciąży zapragnęła zamieszkać poza Manhattanem. Znaleźli skromny dom w Little Falls, miłym spokojnym miasteczku. Dom ze zbyt wieloma pokojami.

W tunelu policja sprawdzała kilka ciężarówek. Liczba funkcjonariuszy była taka sama jak co dzień, jak zwykle mieli też ze sobą czujniki do wykrywania radioaktywności, ale Robert odniósł wrażenie, że na ich twarzach maluje się czujność, że bardziej się niepokoją i z większą starannością wykonują rutynowe czynności. Trudno zresztą się dziwić, skoro do konwencji pozostało kilka dni.

Dochodziła siódma rano, lampy w wieżach tunelu, obeliskach z krętymi schodami biegnącymi w ich wnętrzu, wciąż się paliły, oświetlając późnoletni deszczyk.

Wjeżdżając do tunelu, Robert rozmyślał o seksie. Zanim się zorientował, był w pracy.

Nigdy nie dostrzegasz ciosu, który na ciebie spada. Zaciemnienie i ataki z jedenastego września (a także Katherine i Moss) nie były jedynymi niespodziewanymi wydarzeniami. Perspektywa nużących spotkań dręcząca Roberta w drodze do pracy straciła na ważności, gdy zadzwonił telefon.

- Robert?

- Witam, John.

John był jego nowym szefem. Mieszkał w Waszyngtonie, mieście, które z niewytłumaczalnych przyczyn przedkładał nad Nowy Jork.

- Mógłbyś wyjaśnić ten koszmar bałagan?

Robert uznał, iż postąpi mądrze, nie pytając, o co dokładnie chodzi. Chrząknął niezobowiązująco.

- Sprawa Hencotta. Koszmar. Bałagan.

- Coś się stało z Hencottem, o czym nie wiem?

- To zależy, czy skontaktowali się z tobą jego prawnicy.

Robertowi zrzęda mina. Prawnicy to prawnicy.

- Mogą się odpieprzyć.

- No, wygląda na to, że jednak nie. Najwyraźniej o niczym nie masz pojęcia. Prezes firmy zastrzelił się dwie godziny temu.

Hencott Inc. było średniej wielkości prywatnym przedsiębiorstwem z branży chemicznej i wydobywczej. Dzięki Robertowi jeden z dziennikarzy GBN zdołał przeprowadzić wywiad z jego prezesem Lawrence'em Hencottem, surowym byłym wojskowym, który w normalnych okolicznościach raczej dałby sobie odciąć prawą rękę, niż zgodziłby się na rozmowę z prasą.

Brat Lawrence'a, Horace, anglofil o błyszczących oczach i entuzjasta architektury, był jego przeciwnikiem. Robert poznał go w czasie pieszej wycieczki po śródmieściu Manhattanu. Choć wyglądał na sześćdziesiąt parę lat, to przypominał Robertowi chłopca. Zawsze nosił muszkę. Od razu się polubili, połączyło ich zainteresowanie historią Nowego Jorku - wiedza Horace'a na ten temat była ogromna.

Robert spotkał Lawrence'a na przyjęciu wydanym przez Horace'a dla uczczenia publikacji cienkiej książeczki o architekturze w stylu egipskim. Kilka miesięcy później, po paru następnych spotkaniach, Robert zapytał Horace'a, czy jego brat nie udzieliłby wywiadu GBN. Choć oczywiście nie było to głównym powodem utrzymywania znajomości z Horaceem, doszedł do wniosku, że warto spróbować - najwyżej mu odmówi.

Minęło parę miesięcy bez odpowiedzi. Nagle, w środę zadzwonił do niego Lawrence i powiedział, że się zgadza, jeśli Robert przyśle do niego dziennikarza w ciągu dwóch godzin. Wywiad wywołał duże poruszenie, bo prezes Hencott Inc. mówił o zamknięciu kilku starych kopalń z wyczerpanymi złożami i związanych z nimi instytutów badawczych. Dziennikarz napisał artykuł, cena złota poszła lekko w górę; w sumie agencja zyskała rewelacyjny materiał, wyprzedzając Bloomberg, Reutersa i Dow Jonesa.

Natychmiast po ukazaniu się tekstu zadzwonił rzecznik prasowy firmy i zażądał, by zdementowali podane informacje. Usłyszał uprzejmą odmowę. Nalegał, więc w końcu połączyli go z Robertem.

- Ale to pomyłka - mówił zdenerwowany. - Bardzo kłopotliwa.

- Twierdzi pan, że on tego nie powiedział?

- Wasz artykuł nie przedstawia jego intencji. Źle się wyraził.

- Jego intencji? - Chryste. Że też akurat ten wywiad musiał sprawić problem.

- Popęłił błąd. Źle się wyraził. Przecież pan wie, że on nigdy nie rozmawia z prasą. Nie jest przyzwyczajony. Nie zamykamy kopalń ani laboratoriów.

- W takim razie powinien to sprostować. Nas niech pan o to nie prosi. Wasz szef nie wie, co mówi? Daj pan spokój. Mamy wywiad na taśmie. Cytowaliśmy go dosłownie i nie były to zdania wyrwane z kontekstu. Nie był pijany, obie strony z góry znały zasady, mówił do mikrofonu. Coś pominąłem?

Horace nigdy mu nie wybaczy. A skoro o tym mowa, Robert nie potrafił uwierzyć, że Lawrence mógł być zdezorientowany.

- Ostatnio żył w wielkim stresie. Wie pan, jaki jest spięty. Problemy ze zdrowiem. Między nami mówiąc, małżeństwo mu się rozpadło. On... wszystko mu się pomieszało.

Robert nie miał czasu na takie bzdury. Biedny człowiek, jeśli to prawda... Westchnął do słuchawki, ocenzurował swoje bardziej dosadne myśli i spróbował pomóc. Zaczął od spraw zawodowych.

- Jeśli to prawda, musicie wydać oświadczenie, że się pomylił. Połączę pana z dziennikarzem, pan przekaże mu oświadczenie, my natychmiast je wydrukujemy. Giełda już jest otwarta, nie możecie ukrywać tego rodzaju informacji.

Rzecznik jęknął do słuchawki. Robert mówił dalej:

- Przykro mi z powodu jego kłopotów, ale jeśli wasz prezes opowiada bzdury w wywiadach, firma musi ten fakt podać do publicznej wiadomości. Nie próbujcie nas oskarżać o złą interpretację jego wypowiedzi.

- Wiem, ale...

- Połączę pana z dziennikarzem.

Wydrukowali nowy artykuł z oświadczeniem rzecznika o niezgodnych z prawdą wypowiedziach prezesa. Cena złota znowu zareagowała, tym razem nieznacznym spadkiem; dziennikarz połączył wszystko w dobrze przemyślanym komentarzu, w którym zanalizował skutki całej sprawy dla firmy, uwzględniając opinie wszystkich zainteresowanych stron.

Robert próbował zadzwonić do Horace'a, ale nikt nie odebrał, a automatyczna sekretarka jak zwykle była wyłączona.

- O Boże. Boże... - Robert gorączkowo usiłował przyswoić sobie straszną nowinę.

- Nie żyje, na wypadek gdybym nie wyraził się jasno. Przez całą noc pił w hotelu przy Times Square. Zostawił list, z tego powodu prawnicy jego firmy już szykują na nas pozew. Wymienił w nim twoje nazwisko. Napisał, że w nocy chciał ci wszystko wytłumaczyć.

Telefony. Dobry Boże. I biedny Horace.

John mówił dalej. Na przekór surowemu tonowi głosu wydawał się zadowolony obrotem spraw.

- Szefostwo zastanawia się, czy nie spaprałeś sprawy, przyjacielu.

Myśli Roberta gnały jak szalone. Czy Lawrence mógł zdobyć numer jego domowego telefonu od Horace'a?

- Jesteś tam, Robercie?

- Faktycznie zadzwonił. Nazwał mnie głupcem i powiedział, że czas, żebym umarł. Trudno to nazwać tłumaczeniem. Powiedziałem mu, żeby poszedł do diabła. Myślałem, że to jakiś świr. Co za brednie. Gorzej niż brednie.

- Nie musisz tak się gorączkować. Nasi prawnicy już się tym zajmują. Nikt nie twierdzi, że ty jesteś za to odpowiedzialny

- Świetnie.

- Zostaje może kwestia moralnego osądu, ale... Pamiętasz, co jeszcze mu mówiłeś?

- Nie.

- Robercie, tak między nami, jest kilka osób, które zamierzają tę sprawę wykorzystać przeciwko tobie. Jestem w twoim narożniku, ale miej oczy szeroko otwarte. Czasy są ciężkie.

- Mam oddać odznakę i broń?

- Nie bądź śmieszny

- Na litość boską, facet był zalany.

Robert złożył wstępne oświadczenie prawnikom GBN. Przez cały czas był podenerwowany. Rzeczywiście, co za koszmarny bałagan. Rozpoznał u siebie stan lekkiego szoku i próbował się z niego wydobyć. Znowu zadzwonił do Horace'a, ale bez skutku. Katherine także nie odbierała. Nie miał pojęcia, co jej powiedzieć, więc nie zostawił wiadomości. Poprosił swojego przyjaciela Scotta z działu prawniczego, by go osłaniał i miał oko na innych.

W południe znowu zadzwonił John.

- Zrób sobie wakacje. Idź do domu.

- Co?

- Do końca tygodnia masz urlop. To był dla wszystkich straszny szok, ale firma jest zdania, że tobie najbardziej ze wszystkich potrzebny jest krótki odpoczynek.

- Nie potrzebuję odpoczynku - warknął Robert. - To oburzające.

- Ty może nie potrzebujesz odpoczynku, ale firma uznała za konieczne, żebyś odpoczął. Będzie dochodzenie.

W jego ustach zabrzmiało to jak informacja o kolonoskopii a nie o dochodzeniu.

- Nigdzie nie idę, John.

- Musisz, Robercie.

Nagle przed drzwiami gabinetu Roberta pojawili się Gerry i Dave z ochrony. Sprawiali wrażenie zakłopotanych, ale nieugiętych.

- Nie rób tego.

- Do widzenia, Robercie. Do poniedziałku.

Nie wiedział, co powiedzieć. John kazał go wyprowadzić jak przestępcę. Kiedy ochroniarze, byli policjanci z przetrąconymi kolanami, eskortowali go z sali, niektórzy z podwładnych przyglądali mu się takim wzrokiem, jakby już stał się pariasem.

Oszołomiony wyszedł z zalanego żółtym światłem holu budynku przy Lex 570 na ulicę. Deszcz przestał padać.

Skręcił w prawo koło wielkiej bryły hotelu Waldorf-Astoria, na Czterdziestej Dziewiątej ponownie skręcił w prawo w kierunku Park Avenue. Minał mosiężne drzwi wind, prowadzące do prywatnej hotelowej stacji metra - jednej z tajemnic miasta, którą zawsze pragnął zbadać. Na Park Avenue po raz kolejny poszedł w prawo. Rozgniewany i z zamętem w głowie dotarł do stopni kościoła św. Bartłomieja.

W tej budowli było coś egzotycznego i niestosownego, co zawsze go pociągało. Potężna bizantyńska kopuła pomiędzy kamiennymi, szklanymi i stalowymi wieżowcami wyglądała jak skorupa ponurego zółwia.

Robert wszedł do narteksu. Przystanął przed księgarnią, usytuowaną pod mozaikami i kopułami Guastavina, i poczekał, aż wzrok przyzwyczai się do półmroku. Każda kopuła przedstawiała scenę z Księgi Rodzaju na złotym tle. Robert głęboko oddychał.

To wszystko są bzdury, Hencott o nic nie mógł go oskarżyć. GBN będzie walczyło w tej sprawie dla zasady, a Scott dopilnuje jego interesów. Zadzwoił do przyjaciela. Zostawił mu wiadomość, że odsyłają go do domu, i poprosił o informowanie na bieżąco. W takich wypadkach mieli wewnętrzne procedury

Szczerze mówiąc, w obecnym stanie psychicznym nie nadawał się do pracy, chociaż to w żaden sposób nie usprawiedliwiałoby wyprowadzenia go z firmy pod eskortą. Kiedy to wszystko się skończy, John pożałuje, że tak go potraktował. W GBN tak nie postępują.

Wyłączył dzwonek telefonu, wszedł do mrocznej nawy i ruszył w kierunku ołtarza. Po prawej widział jaskrawe błękity i czerwienie róży w witrażu. Usiadł w ławce. Nie chodził do kościoła, ale były takie momenty, zwłaszcza po stracie Mossa, gdy pragnął być sam, przez nikogo nie niepokoiony.

A jeśli go pozwą jako prywatną osobę? To byłby podły chwyt. Sporo pieniędzy pochłonęła ciąża i nowy dom.

Robert pochylił się, chowając głowę w dłoniach. Wracało przerażenie. Przez całe życie dążył do stabilizacji i bezpieczeństwa, do przewidywalności. Odpychał od siebie i swoich bliskich mroczny świat strachu i śmierci. Teraz jednak... Był taki zmęczony. Wyczuwał, jak wokół niego rośnie mrok. Uwodzicielski. Nieodparty. Zapadł w sen.

Z kościelnych organów rozbrzmiała głęboka basowa nuta, przenikając świat zawieszony pomiędzy snem a jawą. To nie była melodia, tylko jedna przeciągła nuta. Robert zatracił się w niej bez reszty, zapomniał, gdzie jest. Kiedy organy umilkły, obudził się niemal w innym świecie. Usłyszał inne nuty, wyższe, chaotyczne. I znowu ta basowa, tak niska, że prawie poza zasięgiem słuchu, chociaż czuł jej wibracje w kościach.

*We śnie o piorunie też było słowo, strumień słów płynął jak inkantacja, której po przebudzeniu nie będzie w stanie sobie przypomnieć... W pamięci pozostał tylko rytm... jakby ktoś powtarzał: Mary, Fat Mary, Fat Mary, Fat Mary...*

W kieszeni na piersi wibrował telefon komórkowy. Ktoś do niego dzwonił, gdy spał, i zostawił wiadomość.

Horace, kochany przyjaciel, drżącym głosem mówił:

- Robert, tu Horace Hencott. Dotarła do nas bardzo smutna wiadomość o Lawrensie, obawiam się, że najgorsza. Przypuszczam, że już o tym wiesz, pracujesz przecież w agencji informacyjnej. Miałem nieprzyjemne spotkanie z ludźmi z firmy i chciałem ci powiedzieć, że w żadnym razie nie powinieneś czuć się odpowiedzialny za to, co się stało. Bardzo cię o to proszę. Czy mógłbyś do mnie zadzwonić?

Robert utkwiał wzrok w rózę.

Nagle nie mógł dłużej znieść bezruchu. Wyszedł z kościoła i zadzwonił do Horace'a.

Przyjaciel sprawiał wrażenie roztrzęsionego. Cicho podziękował Robertowi za kondolencje.

A potem zadał pytanie, które sprawiło, że Robert znieruchomiał.

- Odnoszę wrażenie, Robercie, że znasz dżentelmena nazwiskiem Adam Hale. Mam rację?

Gdzie Horace o nim usłyszał? Robert zebrał myśli.

- Och, rzeczywiście...

- Ile wiesz o Adamie?

- Całkiem sporo, a równocześnie niezbyt wiele. Dlaczego pytasz?

- Ponieważ na kilka godzin przed samobójstwem mojego brata ten człowiek złożył mu wizytę w biurze.

W głowie Roberta zawirowało.

- Co takiego?

- Robercie, muszę się z tobą zobaczyć. Gdzie jesteś?

- Na Park Avenue, przed kościołem św. Bartłomieja.

- Wejdz do środka i poczekaj na mnie. Proszę. To bardzo ważne.

Wracając do świątyni, Robert zapytał o organy. Dowiedział się, że co tydzień są strojone. Usiadł w ławce i przysłuchiwał się dźwiękom, mając zamęt w myślach. Wydało mu się, że już po kilku minutach Horace zajął miejsce obok niego.

- Dziękuję, że czekałeś. Nie mamy wiele czasu. Proszę, powiedz mi wszystko, co wiesz o Adamie Haleu.

Sprawił wrażenie poruszonego, nie pogrążonego w żałobie, ale zatroskanego. Rozgniewanego.

Robert zastanowił się chwilę, po czym zaczął półgłosem, chociaż w kościele oprócz nich nikogo nie było.

- Był moim przyjacielem na uniwersytecie. Kimś w rodzaju mentora. Chyba traktował mnie jak projekt społeczny, wiesz, buraka z Fens, któremu chciał pomóc. Był dla mnie miły. Żartowniś, lubi urządzać gry i szarady dla znajomych. W kilku również brałem udział. Bywają zabawne, aczkolwiek czasami trochę ponure. Nieprzyjemne dla pewnych ludzi, ale zwykle na koniec wszyscy są zadowoleni, że brali w nich udział. Adam jest uroczym człowiekiem, z poczuciem humoru. W ostatnich latach coś go chyba gryzie. Nie jest złośliwy.

- Czy przytrafiło mu się kiedyś coś niezwykłego?

- Wiele razy. Adamowi przytrafia się mnóstwo rzeczy. Miał też kłopoty. Osobiste tragedie. Powinienem dodać, że w latach dziewięćdziesiątych był mężem Katherine. Nie wyszło im.

- Twojej Katherine?

- Tak.

- Co jeszcze? - Głos Horacea lekko zadrzał.

- Horace, tak mi przykro z powodu Lawrence'a...

- Wiem, dziękuję. Mów dalej.

- Po studiach był korespondentem zagranicznym i zakochał się w niezwykle mądrej i pięknej kobiecie.



- Tak.

Horace usiłuje ustalić, czego nie wiem o Adamie - uświadomił sobie Robert.

- Na imię miała Isabela - ciągnął. - Przeżyli namiętny romans podczas wojen domowych w Ameryce Środkowej, w Nikaragui i Santo Tomas. Potem ona umarła w dziwnych okolicznościach. W przypadku Adama okoliczności zwykle są dziwne. Mniej więcej w tamtym czasie pomogłem mu wyjechać i załatwiłem tymczasową pracę w biurze GBN. Nie znosił tego, jednak potrzebował pieniędzy. Jego rodzina jest bogata, ale wiele lat temu strasznie pokłócił się z ojcem.

- Dziękuję za te informacje. A te gry, o których wspomniałeś?

- Przesyłał połówki pocztówek do osób, które miały działać razem, zlecał tajemnicze zadania, czasami swatał, czasami stawiał ludzi w sytuacjach, o których wiedział, że będą dla nich nieprzyjemne, wymyślał podróże kolejną nie wiadomo. dokąd albo ryzykowne nocne wypadki.

- Czy ostatnio się z nim widziałeś?

- Od kilku lat nie. To znaczy aż do...

- Tak?

- Do wczoraj. Nie widziałem się z nim, ale dostałem od niego przesyłkę. Dość tajemniczą. Z ozdobnym, zagadkowym pudełkiem i prośbą o pomoc. Żadnych szczegółów, tylko adres w West Village.

- Byłeś tam?

- Nie, ja...

- Uważam, Robercie, że powinieneś tam pójść. Najpierw jednak musisz dowiedzieć się o paru sprawach. Adam jest w wielkim niebezpieczeństwie. Wszyscy jesteśmy. Opowiedz mi o nocy pożaru.

Robert poczuł, jak skręcają mu się wnętrzności.

- O czym?

- O nocy, kiedy w Cambridge uratowałeś życie Adamowi. I Katherine.

Robert bez słowa wpatrywał się w Horace'a. Tak głęboko pogrzebał to wspomnienie w pamięci, że niemal stało się cudzą historią, wypadkiem z życia kogoś innego.

- Skąd o tym wiesz?

Horace zawahał się, próbując ocenić, jak daleko może się posunąć. Musi zachować równowagę. Wyjawi za mało i nie przekona Roberta o niebezpieczeństwie, które im wszystkim zagraża. Wyjawi za dużo i straci Roberta, może nawet doprowadzi go do szaleństwa. Od wielu, wielu lat obserwował ich z bliska i z daleka, w Anglii i Ameryce. Był nauczycielem i mentorem Adama na Drodze, nawet wtedy, gdy Adam zdecydował się pójść własną ścieżką. Doradzał Katherine z oddali, kiedy jej władze rozplywały się i słabły wraz z upływem lat. Robert jako jedyny o niczym nie wiedział, ponieważ aż do dzisiaj nie było potrzeby go wzywać.

- Przepraszam, jeśli cię oszukałem, Robercie. Interesowałem się tobą, odkąd poznałem Adama w Anglii. Opowiedz mi o tamtej nocy. To pomoże ci zrozumieć.

I znowu przerażenie skręciło Robertowi wnętrzności. To jakieś szaleństwo. Horace go oszukiwał? Co Adam mu powiedział? Nie potrafi mówić o tamtej nocy. Nigdy nie potrafił.

Oczy Horace a, choć nadal malowała się w nich uprzejmość, spoglądały z intensywnością, jakiej Robert nigdy by się nie spodziewał. Miał wrażenie, że wzrok przyjaciela przesywa go na wylot. Czuł się nagi.

- Horace, istnieje racjonalne wyjaśnienie wydarzeń tamtej nocy.

- Ale ty nie wierzysz w nie.

- Wierzę w rozum, za to nie wierzę w nawiedzane domy, poltergeisty, różdżkarzy, mrowienie w kciukach czy potwory pod łóżkiem.

- Boże wielki, ja też nie.

- Wierzę w to, co sam potrafię zweryfikować. W to, co mam przed oczyma. Co mogę zobaczyć i dotknąć. Tamta noc to były głupie studenckie zabawy. Na litość boską, byliśmy prawie dziećmi.

- Zgodzisz się jednak, że pewne niewidzialne rzeczy są prawdziwe? Przyciąganie ziemskie na przykład? Większa część spektrum elektromagnetycznego? Miłość? Strach?

- Kat i ja nigdy nie rozmawiamy o tamtej nocy.

- Dotąd nie było takiej potrzeby Ale teraz, Robercie, czas najwyższy się obudzić.

- Co?

- Musisz się obudzić. Katherine i Adam cię potrzebują.

Robert oddychał głęboko. W głowie mu szumiało, serce biło jak szalone.

- O czym ty mówisz?

- Wszyscy jesteśmy w twoich rękach. My i wielu, wielu innych. Ty jako jedyny możesz nam pomóc.

Robert czuł, że głęboko na dnie serca coś nowego miesza się ze strachem: świadomość, że przez całe życie czekał na słowa, które teraz wypowiedział Horace.

Ale to było szaleństwo.

- Co masz na myśli, Horace?

- Robercie, coś się wydarzyło. Coś strasznego. Zdaję sobie sprawę, że będziesz zaskoczony, słysząc to ode mnie, ale bardzo cię proszę, zaufaj mi.

- Nie...

- Wysłuchaj mnie. Musisz wiedzieć, że Adam zaryzykował swoim życiem, nie, duszą, by zapobiec straszliwej niegodziwości w tym mieście. Wypadkom o potężnej mocy niszczenia.

- Atak? Czy Adam pracuje w policji? FBI o tym wie? CIA?

- Władze nie mają o tym pojęcia. Nie mogą. Bo sam fakt, że się dowiedzą, może spowodować te wypadki.

- Nie rozumiem.

- Robercie, świat jest o wiele bogatszy, o wiele głębszy, o wiele bardziej cudowny i o wiele bardziej niebezpieczny niż...

- Śniło się filozofom?

- Tak jest.

Robert patrzył przed siebie, usiłując zapanować nad wzburzonym umysłem. Obrazy i doznania z jedenastego września przewijały się w jego głowie. Wibrująca nienawiść ataków. Niedowierzanie zmieniające się w strach i przerażenie. Odwaga, gniew i poczucie strasznej straty. Czy to możliwe? Ze znowu się to powtórzy? Jak?

Potarł twarz obiema dłońmi.

- Opowiadasz bzdury

- 14 sierpnia 2003 roku zdarzyło się wiele niewytłumaczalnych rzeczy. W zaciemnieniu było więcej, niż mógłbyś sobie wyobrazić.

- Awarię spowodowały linie wysokiego napięcia ocierające się o gałęzie drzew. Niewłaściwa konserwacja, a potem błędy systemu. Czytałem raport.

- To było zdarzenie psychiczne. Splątanie. Jak w noc pożaru. Doszło do złączenia egzystencji.

- Nonsens. Do diabła, kim ty jesteś, Horace? I co znaczy ten atak? Kto go przeprowadzi? Chłopcy Osamy?

Horacy patrzył mu głęboko w oczy.

- Adam. Od środka zżera go... coś w rodzaju diabła, tak to ujmijmy. Opiera się. Jest odważny. Ale przegra i uruchomi broń. Chyba że ty go powstrzymasz. Chyba że go uratujesz.

Fala gniewu ogarnęła Roberta, zaskakując go swą intensywnością. Adam, który zawsze uważał, że reguły go nie dotyczą. Adam, który zawsze był przekonany, że może pójść tam, gdzie anioły boją się postawić stopę.

- Jak to się stało? Przeholował? O raz za dużo zaryzykował?

- Nie... i tak. Już wcześniej podjęto próbę przeprowadzenia tego ataku. 14 sierpnia 2003 roku. Adam uniemożliwił go, i to niemal w pojedynkę. To właśnie spowodowało zaciemnienie. Chybiona próba uruchomienia urządzenia. Teraz za to płaci. Został zainfekowany. Wystawiony na działanie sił, nad którymi nie ma kontroli.

- Jak długo zdoła się opierać?

- Daję mu najwyżej tydzień. Może mniej.

- Ile osób jest zagrożonych?

- Miliony. Wyobraź sobie bombę nuklearną niszczącą dusze.

- Co? Co to znaczy?

- Idź do mieszkania w West Village. Tam znajdziesz wszystkie odpowiedzi. Tam jest brama.

Robert ponownie ukrył twarz w dłoniach, próbując dopatrzeć się w tym jakiegoś sensu. Czy to kolejna gra Adama? Czy Horace też bierze w niej udział?

Uniósł głowę i spojrzał na przyjaciela.

- Myślisz, że Adam zabił Lawrence'a?

- Tak, w ten czy inny sposób.

- To nie jest gra?

- Z całą pewnością nie. Obiecuj mi coś.

- Co?

- Pójdiesz do tego mieszkania w West Village. A tam odrzucisz swoje niedowierzanie.

Robert siedział oszołomiony. Zamknął oczy i przywołał wspomnienia z dnia zaciemnienia. Światła zgasły w całej północno-wschodniej części Stanów. Był wtedy w łóżku z Katherine; późnym popołudniem na Times Square nie zapłonęły lampy. Radość z jej ciąży i poczucie niewypowiedzianej straty, gdy czekali na pierwsze kopnięcie dziecka, na przyspieszenie, które nie nadeszło.

Spojrzał w oczy swego towarzysza. Horace przypominał mu zmarłego ojca, który przez całe życie przekonywał syna o bezsensie przesądów i cnotach rozumu. A teraz Horace mówił mu coś zupełnie przeciwnego. Wzrok starca przenikał duszę Roberta. Czy powinien odejść? Wysłać Horace'a, Adama i wszystkie ich sprawy do diabła? Popatrzył na błękity i czerwienie witrażu z różą. Odejść? A może dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi?

Podjął decyzję.

- Pójdę. Nic więcej nie mogę obiecać, ale tam pójdę.

Horace zgarbił się, zamknął oczy.

- Dobrze. Dziękuję ci. Muszę już iść, Robercie. I jeszcze jedno: nikomu o tym nie mów, nawet Katherine. Skontaktuję się z tobą, jak tylko będę mógł, ale na wszelki wypadek proszę, żebyśmy spotkali się po pogrzebie.

- Co ustaliliście? - zapytał Robert jak w transie.

- To będzie rodzinna uroczystość, jestem pewien, że to rozumiesz. W poniedziałek rano. Z radością spotkam się z tobą po pogrzebie, aczkolwiek podejrzewam, że wcześniej się skontaktujemy.

Po tych słowach odszedł.

Robert siedział jakiś czas w kościele, spoglądając w swoją przeszłość. Potem wyszedł na ulicę i zadzwonił do Katherine. Nie odebrała. Przypomniawszy sobie, że miała sesję u psychoanalityka. Zirytowany, nie zostawił żadnej wiadomości.

A potem zamiast do domu pojechał do West Village.

CAMBRIDGE, MARZEC 1981

Szkoła Pitagorasa mieściła się w północno-zachodnim zakątku rozległych terenów zajmowanych przez St. John's College. Prowadziła tam brama usytuowana niemal dokładnie po przekątnej od Okrągłego Kościoła. Katherine i Robert szli przez szesnastowieczny Pierwszy Dziedziniec, czując, jak zimno przenika przez ich kostiumy. Kaplicę prawie całkowicie zasłoniły tumany mgły

- Cieszę się, że wyszliśmy z tego cała - powiedziała Katherine. - Ścisłej rzecz biorąc, cieszę się, że jemu się to udało. Myślałam, że go pobijesz.

Ujęła go pod ramię, a kiedy przejściem koło Dining Hall wchodzili na następny dziedziniec, zatrzymała się, objęła go i trzęsąc się na całym ciele przycisnęła twarz do jego piersi.

- Ogrzej mnie - powiedziała.

Robert poczuł, jak jego ciało reaguje i krew zaczyna szybciej krążyć w żyłach. Po chwili Katherine się odsunęła.

- OK, idziemy. Doskonale radzisz sobie z przysięgą milczenia. Nazwanie stróża pieprzonym głupkiem się nie liczy.

Na opuszczonym Drugim Dziedzińcu obrócili się, by podziwiać widok.

- W każdym momencie ostatnich czterystu lat to miejsce wyglądało tak samo - powiedziała Katherine. - Okręć mną. Będzie świetna zabawa. Nic nie ważę.

Robert chwycił ją mocno za przeguby, Katherine oderwała stopy od ziemi. Miał wrażenie, że bawi się z małym dzieckiem. Zaczął szybciej się kręcić, zachęcony okrzykami zachwytu. Dopiero kiedy jej przeguby zaczęły wysuwać mu się z dłoni, zwolnił, by wreszcie postawić ją na ziemi. Zatoczyła się i wpadła w jego objęcia. Uniosła twarz, chcąc go pocałować.

- Zdejmij tę cholerną maskę.

Zaczął zmagać się ze sznurkiem. Tak mu zależało, żeby maska nie spadła w nieodpowiedniej chwili, że za mocno ją związał. Roześmiał się, ale zabrzmiało to jak ryk frustracji.

Katherine uściskała go i ruszyła dalej.

- OK, tygrysie, to był przelotny kaprys. Idziemy.

Na Trzecim Dziedzińcu, mniejszym i o stulecie młodszym, Katherine pobiegła ku krążgankom stojącym nad brzegiem rzeki.

- Złap mnie! - krzyknęła, wpadając w grupę zakutanych w szale i grube kurtki studentów.

Zatrzymała się na odległym końcu dziedzińca, w przejściu prowadzącym do Mostu Westchnień, i tam poczekała na Roberta. Z jej ust wydobywały się białe obłoczki pary

- Z zewnątrz wygląda to bardzo romantycznie, ale myślę, że w środku jest zimno jak w psiarni.

W połowie mostu przystanęli i patrzeli na rzekę Cam, pustą i widmową. Cienkie sylwetki nielicznych drzew rysowały się w kłębach białej mgły.

- Chciałabym poczuć bicie twojego serca.

Położyła dłoń na jego klatce piersiowej, później przycisnęła do niej ucho, a serce jej odpowiedziało. Robert czuł, jak bije głęboko, wolno, mocno, regularnie. Spojrzała mu w oczy przez swoją maseczkę. Wzięła jego rękę i umieściła na swoim sercu, tuż pod ciepłym wzgórkem piersi. Wpatrywali się w siebie, nieświadomi upływającego czasu.

- Masz dobre serce, tajemniczy panie. Rozumiem, dlaczego Adam cię wybrał.

Przerwała im grupa znękanych studentów, którzy wykrzykiwali, że spóźnią się na Arts Cinema. Robert wciąż nie potrafił zrozumieć, dlaczego ludzie zaczynający studiować w Cambridge nabywają tę dziwną nosową wymowę.

- Och nie - powiedział jeden z nich, choć zabrzmiało to jak „O ne”.

Robert wyjął z kieszeni kopertę i pomachał nią Katherine przed nosem, wskazując na północny zachód.

Z mostu wkroczyli na Nowy Dziedziniec, zbudowany w szalonym stylu dziewiętnastowiecznego gotyku z ekstrawagancką okrągłą wieżyczką pośrodku, powszechnie nazywaną Weselnym Tortem. Gdy Katherine znowu się do niego przytuliła, Robert zamknął oczy i wyobrażał sobie zakończenie wieczoru. W myślach widział ją nagą i uśmiechniętą, z rozpuszczonymi czarnymi włosami. Nie potrafił jednak zobaczyć jej bez maski.

W milczeniu przeszli przez Weselny Tort i znaleźli się w dwudziestym wieku, a ściślej mówiąc, w latach sześćdziesiątych - powszechnie pogardzanym, acz nagradzanym królestwie betonu i szkła.

- Szybko, biegnijmy, nie patrz na architekturę! - krzyknęła Katherine, pędząc przez dziedziniec ku wysokiemu Cripps Building. - Nie widzę tego, nie widzę!

Robert pognął za nią.

- Och! - zawołała Katherine, nie zwalniając kroku. - Rozumiem, dlaczego Adam to robi. Już wiem!

Dogonił ją przy domku stróża.

- Nagina nasze umysły. Oboje pisaliśmy sztukę. „Pisma Newtona”. Oczywiście o sir Isaacu Newtonie. Czytałeś jego prace? Są w King's College, Keynes kupił ich mnóstwo na aukcji przed wojną.

Robert naturalnie znał dzieła Newtona. Nim zdecydował się na studiowanie języków nowożytnych, które uważał za swoisty system, czuł pokusę zgłębiania fizyki. Skalowanie i przewidywalność silnie do niego przemawiały.

Katherine roześmiała się piskliwie.

- Z tych materiałów jasno wynika, że Newton więcej czasu poświęcał alchemii i teologii niż sprawom, dzięki którym znamy go obecnie, czyli grawitacji, optyce, matematyce i tak dalej, choć w gruncie rzeczy wcale ich nie różnicował. Każda dotyczyła poznania dzieła Boskiej kreacji, a tropy znajdowały się wszędzie, w proporcjach świątyni Salomona, w orbitach komet i planet, w kamieniu filozoficznym. Keynes twierdził, że Newton nie był pierwszym przedstawicielem wieku oświecenia, ale ostatnim z magów.

Robert spojrzał na nią pytająco i wzruszył ramionami. Newton stworzył świat współczesny. Słowa Katherine wydały mu się pretensjonalnymi bzdurami.

- A więc o to chodzi w tej grze - powiedziała Katherine z uśmiechem. - Myślę, że próbuje odtworzyć tego rodzaju przeżycie. Świat starożytnych, tak jak postrzegał go Newton, wszystko splecione razem w wielkiej zagadce. I dorzucił picie oraz kostiumy. Całkiem zwariował, zgadzasz się?

Robert potaknął, nie wiedząc, jak właściwie powinien zareagować. To wszystko było dość mętne.

Mijając współczesne wieżowce z betonu, przeszli na ostatni dziedziniec. Na odległym końcu opustoszałego trawnika wznosiła się Szkoła Pitagorasa, piętrowa kamienna kamienica ze świetlikami w dachu i całkowicie zmodernizowanym wnętrzem. Impreza, bal kostiumowy z okazji urodzin Adama, urządzony przez jego przyjaciół, trwała już w najlepsze. Z parteru dobiegała piosenka Davida Bowie'ego. Katherine i Robert szybko znaleźli jubilata: stał na krześle i machał do nich. Ubrany był biały strój, z wyjątkiem szmaragdowego turbanu i krwistoczerwonej kamizelki, stanowiący krzyżówkę szat sułtana i fakira. Twarz zasłaniała mu długa sztuczna broda. Towarzyszyła mu para konspiratorów, dziwka i ksiądz. Adam gestem prosił Katherine i Roberta, by przyłączyli się do stojącej nieco z boku, z dala od zatłoczonego parkietu, grupki.

- Dobra robota, doskonała! Znaleźliście? Macie magiczne słowa? - Adam nie posiadał się z radości, w jego oczach błyszczało dobrodusze szaleństwo. - Musimy poczekać na damę i rycerza, którym przypadła dłuższa wyprawa. Napijcie się? Pijcie!

Robert nie rozpoznał pozostałych dwojga graczy, oni też byli zamaskowani. Zwłaszcza ksiądz wyglądał dziwnie, bo nad koloratką miał karnawałową maskę z wielkim zakrzywionym nosem. Jego partnerka zdecydowała się na strój francuskiej pokojówki, uzupełniony frywolną maseczką z czarnymi piórami.

Adam wrócił z baru z kuflem piwa dla Roberta i kieliszkiem białego wina dla Katherine.

- Jakże się cieszę, że cię widzę, wielki magu! Jak było? Dobrze się bawiłeś?

Robert kiwnął głową.

- Ze mną możesz rozmawiać, ty pacanie, tylko z nią nie. Pilnuj, żeby cię nie słyszała.

- Katherine jest wspaniała. Bardzo dziękuję, że mnie zaprosiłeś.

- Bzdura. Jesteś kluczową postacią w całym przedsięwzięciu.

- Jak to?

- Wszystko w swoim czasie, przyjacielu. Obserwuję cię z oddali. Tak, Kat jest wspaniała. Pomyślałem, że się polubicie. Niewykluczone, że później będę miał dla ciebie propozycję. Ofertę, powinienem powiedzieć. Mówiła ci o sztuce, którą oboje piszemy?

- Trochę. Jest o Newtonie, tak?

- Tak. Porozmawiamy o tym później. Po imprezie przyjdź z Kat do mojego pokoju, dobrze?

Podeszło do nich dwoje uczestników zabawy. Wysoki mężczyzna z lekko wystającymi zębami ubrany był w długi biały rycerski płaszcz z czerwonym krzyżem na piersiach i srebrną piżamę, która pełniła funkcję zbroi. Robert zauważył wystające spod niej grube wełniane kalesony. Rudowłosa kobieta o obfitych kształtach miała na sobie długą spódnicę, sznurowany stanik i nakrycie głowy z woalem. Twarz krzyżowca była biała, prawie sina.

- Adam, ty draniu! - krzyknął rycerz.

- To trochę zbyt brutalne - odparł Adam. - Napijcie się, ogrzejcie. I opowiadajcie.

- Komu zapłaciłeś? Ile cię to kosztowało?

Rycerz cały się trząsał, ale Robert nie potrafił stwierdzić, czy z gniewu, czy z zimna. Jego partnerka też nie sprawiała wrażenia rozbawionej.

- Wszystko się wyjaśni w trakcie wieczoru.

Katherine położyła dłoń na twarzy rycerza.

- Jesteś przemarznięty do kości. Gdzie byliście?

Zanim rycerz zdążył odpowiedzieć, Adam znowu stanął na krześle.

- Panie i panowie, proszę o uwagę. Swoją historię przedstawią nam dziwka i wielebny. Jakie zagadki rozwiązaście? Pozostali niechaj się weselą i piją.

Pierwsza przemówiła dziewczyna.

- O ósmej wieczorem przed moimi drzwiami pojawił się ten oto podejrzany duchowny w śmiesznej masce i wręczył mi śliczną różę. Zawsze miałam słabość do duchownych, choć bardzo jestem ciekawa, skąd ty o tym wiesz, Adamie. Skończyłam szkołę katolicką i w ogóle, więc go wpuściłam i poczęstowałam kawą. Duchowny wyjął podpowiedź. Brzmiała następująco: „Jestem końcem ziemi”. Zastanawialiśmy się nad tym. Zgodnie z instrukcjami swoją kopertę miałam tutaj... - Pokazała podwiązkę, co wywołało aplauz zebranych. - Chociaż wielebny nie mógł oderwać od niej wzroku, próbowaliśmy zrozumieć pierwszą wskazówkę. Land's End? John O'Groats? John's? Finisterre? Wielebny uważał, że powinniśmy łyknąć mszalnego wina, żeby pobudzić nasze umysły, więc...

W tym momencie głos zabrał ksiądz.

- Po stosownym łyku obecna tu dobra kobieta okazała się skłonna do otworzenia swojej koperty, w której znajdowała się fraza: „dla Wojtyły to krótki spacer”. Ponieważ jestem wykształconym teologiem i geografem, wydedukowałem co następuje: Wojtyła jest papieżem, jako taki mieszka w Watykanie, skąd z każdego miejsca blisko jest do Rzymu... ale Rzym i „koniec ziemi” nie bardzo do siebie pasują.

- Równocześnie Wojtyła jest Polakiem - przerwała mu partnerka - a to otwiera bardziej interesujące możliwości. Biegun południowy i północny<sup>3</sup> znajdują się na krańcach ziemi, a „krótki spacer”...

- Kapitan Oates - wtrącił rycerz, któremu humor nieco poprawił wypity kufel piwa. - „Wybieram się na spacer i przez jakiś czas może mnie nie być”. Podczas jednej z ekspedycji polarnych wyszedł z namiotu, by nie być ciężarem dla towarzyszy.

- Właśnie - potwierdził ksiądz. - Co w przeciągu kilku sekund doprowadziło nas do wniosku, że powinniśmy pójść do Instytutu Polarnego Scotta przy Lensfield Road.

- Brawo - powiedział Adam.

- No i poszliśmy - podjęła opowieść dziewczyna. - W tym stroju nie mogłam jechać na rowerze. Kiedy byliśmy na miejscu, zajęliśmy się drugą zagadką. „QAPVD. Rozszyfrujcie i podajcie rozwiązanie skrótu”.

- Szukaliśmy wszędzie, tylko nie tuż przed naszymi nosami - powiedział ksiądz. - A słowa były wyrzeźbione na frontonie budynku. W końcu je dostrzegliśmy. *Quaesivit arcana poli videt dei.*

- A to znaczy? - zapytała Katherine.

- To na cześć Scotta, zdobywcy południowego bieguna i odparł ksiądz. - „Chciał odkryć tajemnice bieguna, a znalazł ukrytą twarz Boga”. Te oto magiczne słowa mieliśmy przynieść, tak?

Adam bił brawo, zachęcając pozostałych, by się do niego przyłączyli.

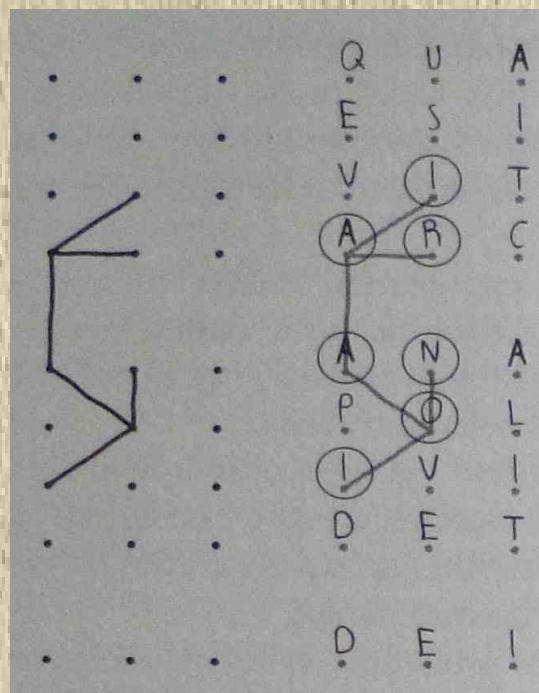
- Czy sekretne pragnienie zostało spełnione?

Ksiądz i dziwka wymienili spojrzenia.

- Żadne z nas się nie odważyło - powiedział ksiądz. - Naprawdę.

- Wcale wam nie wierzę - huknął Adam wesoło. - Ale idźmy dalej. W jednej z waszych kopert na dzisiejszy wieczór była karta ze wzorem na tle kropek, który wyglądał jak klucz albo konstelacja.

Ksiądz wygrzebał z kieszeni kartę i pokazał ją grupie.



- A teraz zaczynając od góry, zaznacz na karcie łacińskie zdanie, które odkryliście; jedna litera odpowiada jednej kropce. Zrobione? Proszę, podaj litery, które odpowiadają wzorowi.

<sup>3</sup> W oryginale gra słów; po angielsku pole oznacza „Polaka” oraz „biegun” [przyp. tłum.].

- Niech sprawdzę - powiedział ksiądz. - I, A, R, A, N, O, I.

Adam krążył wśród grupy, zachwycony gorliwością, z jaką notowali litery.

- W każdej z waszych przygód jest nieobecność - powiedział. - A w tym przypadku co nią jest?

- Scott nigdy nie wrócił - odezwał się rycerz. - Oates poświęcił siebie. Mnóstwo tych nieobecności.

Katherine uniosła rękę.

- Nie wiem, czy to była jego wyprawa, czy jedna z wypraw Shackletona, ale uczestnicy opisywali, że będąc u granic wytrzymałości, mieli wrażenie, że między nimi jest o jedną osobę więcej, niż wynikało z przeliczenia. T.S. Eliot pisze o tym w „Jałowej ziemi”.

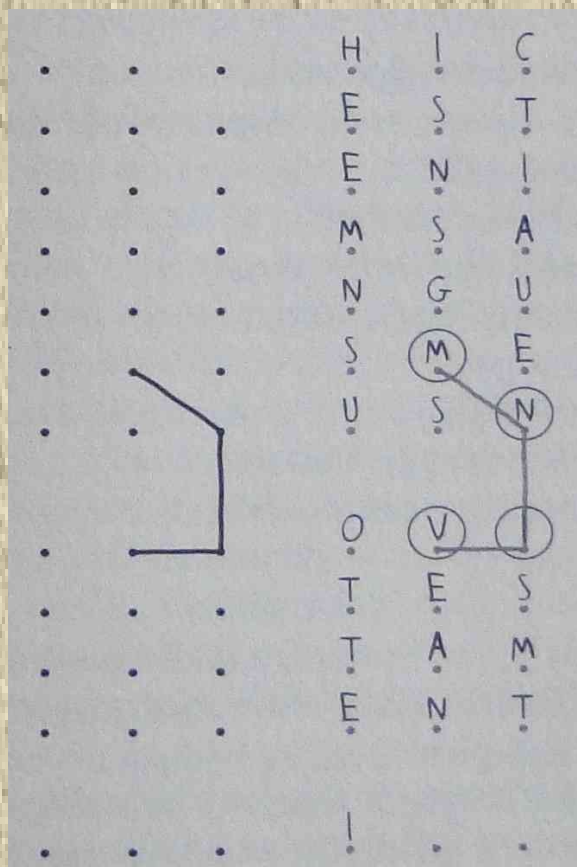
- Dziękuję - Adam podniósł kieliszek. - Tak. Za nieobecnych bohaterów i duchową pomoc, której mogą udzielić. Czarownico, twoja kolej. Panie i panowie, czarnoksiężnika jeszcze przez kilka minut do dziesiątej obowiązuje przysięga milczenia.

Katherine opowiedziała ich historię ze szczegółami, nie pominęła też sekretnego pragnienia, by całować się i pieścić i chłopcem na przykościelnym cmentarzu. Nagłe pojawienie się stróża było wielkim zaskoczeniem.

- *Hic est enim sanguis mens novi testamenti* w czymś tam *peccatos* - powtórzył Adam. - Odrzućmy fragment po *testamenti*, bo jest zniekształcony. A skoro o tym mowa, co tutaj jest nieobecne?

- Słowo „zbawienie” albo „wybaczenie” - odparła Katherine.

- Dziękuję. Zapisz zdanie na waszej karcie i podaj litery z klucza.



- M, N, I i V - powiedziała Katherine.

Pozostali zrobili notatki.



- Dziękuję. A teraz proszę rycerza i damę o ich opowieść,  
- Po pierwsze prawdziwy z ciebie drań - powiedziała dama. - Mój biedny rycerz o mało nie umarł ze strachu. Nie powinieneś robić nam takich sztuczek.  
- Zaintrygowałaś mnie - stwierdził Adam. - Słuchamy.  
- Tak więc mężczyzna w srebrnej piżamie i kapeluszu Neda Kelly'ego zapukał do moich drzwi. Cudowna róża i tak dalej. Pierwszą wskazówką był cytat z Biblii. Księga Ezechiela 38,2. „Synu człowieczy, zwróć się ku Gogowi, ku krajowi Magog”. Bardzo wyraźna wskazówka. Wzgórza Gog Magog są położone blisko Cambridge, na południowym wschodzie. Ale są wielkie, łatwo się w nich zgubić, dlatego sięgnęliśmy po drugi trop. Brzmiał następująco:

*Jestem stworzeniem tego miejsca,  
Jestem jego duchem, żadna magiczna różdżka  
Mnie nie pogrzebie.  
Gervase z Tilbury napisał,  
Że wojownik może mnie wykraść  
Jeśli zdetronizuje mego mistrza  
Przy pełni księżyca.  
Mieszkam w kręgu,  
Jestem arabski i jestem kredowy.  
Jestem pogrzebany, a mimo to chodzę.  
Znajdź mnie.*

- W mojej „Historii literatury światowej” jest wzmianka o Gervase z Tilbury, który w trzynastym wieku dla uciechy imperatora napisał książkę będącą po części encyklopedią, po części zbiorem legend i opowieści o cudach ze wszystkich stron świata, ale wziąwszy pod uwagę porę, nie byliśmy w stanie jej zdobyć. Założyliśmy, że zawiera fragment o wzgórzach Gog Magog. Wzięliśmy mapę i powtarzaliśmy na głos wskazówkę. Trafiliśmy na Wandlebury<sup>4</sup>. „Żadna magiczna różdżka mnie nie pogrzebie...” Bardzo sprytnie, Adamie. Na wzgórzach Gog Magog jest fort z epoki żelaza o nazwie Wandlebury. Popędziliśmy na postój taksówek i pojechaliśmy. Taksówkarz był strasznym dziwakiem. Dopytywał się, dlaczego w takiej mgłę i tak późno chcemy tam jechać, nie dawał nam spokoju, a potem zapytał, czy znamy legendę o rycerzu z fortu. Nie znaleźliśmy, więc nam opowiedział. Jeśli w księżycową noc wojownik wejdzie w środek kręgu w forcie Wandlebury i wypowie pewne zdanie, będzie musiał walczyć ze zjawą rycerza o jego karego wierzchowca. Mój partner odparł, że jest czymś w rodzaju wojownika, jako że uczestniczył w kursie Korpusu Szkolenia Oficerów, więc kierowca powiedział nam, jak brzmi to zdanie. *Knight to knight, come forth* - „Rycerz rzuca wyzwanie rycerzowi: stań w szranki”. I dodał: „Nie wypowiadaj tego zdania, jeśli nie traktujesz sprawy poważnie”. Żartowniś.

- Wyszliśmy na parking - podjął opowieść rycerz. - Cholernie pusto i okropnie zimno. Szukaliśmy jakiejś tablicy informacyjnej, żeby rozwiązać zagadkę, a obecna tu dama zapytała, czy mam sekretne pragnienie zamarznąć na śmierć na wzgórzu w Fenland, bo ona na pewno nie, a poza tym kto w ogóle słyszał o wzgórzu w Fens. Odpowiedziałem, że zawsze chciałem walczyć na miecze z prawdziwym rycerzem. Adam wie, że uprawiam szermierkę, i zawsze się zastanawiałem, jak dobrzy byli szermierze w dawnych czasach. Weszliśmy w krąg i tam znaleźliśmy tablicę o Godolphinie Arabskim. Ktoś o nim słyszał?

Wszyscy pokręcili głowami. Adam przyglądał się im rozradowany.

- W forcie Wandlebury niegdyś znajdował się dwór earla Godolphina - został zniszczony w 1950 roku. Do dziś pozostały stajnie, zamienione obecnie na mieszkania. Pochowany jest

<sup>4</sup> W oryginale gra słów; nazwa Wandlebury składa się z wand, „różdżka”, oraz bury, „grzebać” [przyp. tłum.].

tam chyba najwspanialszy koń, jaki kiedykolwiek stąpał po ziemi, Godolphin Arabski. Padł w 1753 roku. Legendarne stworzenie. Był ojcem Regulusa, Latha, Cade'a - wszystkich najlepszych koni wyścigowych i reproduktorów. Jeden z trzech ogierów, od których wywodzą się angielskie konie wyścigowe czystej krwi.

Rycerz przerwał, by napić się piwa, a jego partnerka opowiadała dalej:

- Tak więc wiedzieliśmy, skąd ten arabski element, mieliśmy rycerza i jego upiornego wierzchowca ze wskazówki, a także krąg. Nie rozwiązialiśmy kwestii kredy, ale i tak byliśmy bardzo zadowoleni... Od stajni poszliśmy do środka kręgu. To rozległy obszar. I w samym jego środku ten cholerny idiota krzyknął wyzwanie.

- *Knight to knight, come forth*, tak po prostu. Zrobiłem to dla zabawy. A potem... -

Rycerz oblizwał wargi i napił się piwa. - A potem... pojawił się ten pieprzony czarny koń. Gapił się na mnie. Z nozdrzy buchały mu kłęby pary, jakby galopował. Stał nieruchomo i patrzył na mnie, przysięgam. Stał we mgle. W życiu tak się nie bałem. Komu za to zapłaciłeś, Adamie?

- Szczegóły, szczegóły. I jak brzmi wasza odpowiedź?

- „Koń”, ty stuknięty draniu.

Katherine położyła dłoń na kolanie damy.

- A ty go widziałaś?

- Coś widziałam, choć trudno powiedzieć, co to było. To mógł być koń. Coś faktycznie tam było. Strasznie się bałam.

- Pewnie z pobliskiego pola uciekł jakiś koń - powiedział ksiądz. - Albo nas nabieracie.

Robert napisał parę zdań i podał kartkę Katherine.

- Mój dobry czarnoksiężnik mówi, że jego zdaniem Adam zapłacił dwóm chłopcom ze wsi, żeby włożyli kostium konia i poczekali, aż przyjdzie para biednych kretynów z uniwersytetu.

- Popędziliśmy na parking jak ostatnie głupki. Taksówkarz uważał, że od lat nie widział śmieszniejszej rzeczy.

Rycerz upierał się, że widział konia.

- Jestem o tym przekonany. Komu zapłaciłeś?

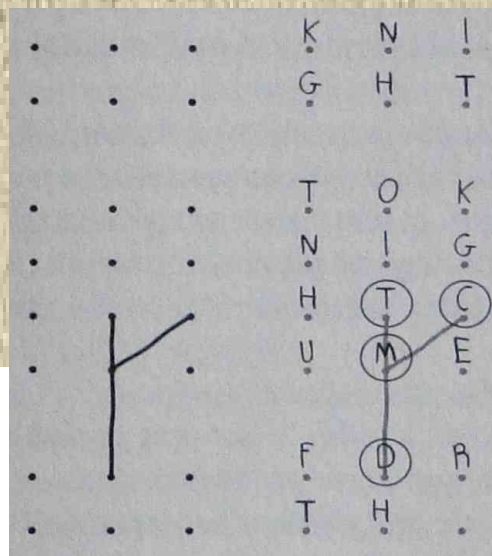
- Rycerza nie było? - zapytał Adam. - W takim razie muszę zażądać zwrotu pieniędzy.

- Ty draniu!

Większość zebranych roześmiała się. Dama wydała z siebie ni to histeryczny, ni to wesoły chichot. Na twarzy rycerza także pojawił się słaby uśmiech.

- Dodatkowe punkty za dzielność dla rycerza i damy - oznajmił Adam. - A teraz zapiszcie wyzwanie ze wzgórza Goga Magoga na karcie.

Rozległo się skrzypienie długopisu.



- To daje T, C, M i O - zawołał rycerz.

- Chwileczkę - przerwała dama. - A o co chodziło z tą kredą? Bo resztę rozwiązaliśmy.

- Na wzgórzach wyrzeźbiona jest wielka kredowa postać, choć teraz zasłoniła ją roślinność - wyjaśnił Adam. - Przedstawia wielkiego konia albo konie dosiadane przez potężną boginię z trzema piersiami. Niektórzy uważają, że pochodzi ze starożytności, inni są przekonani, że autorem wizerunku był dżentelmen, który poinformował o jego odkryciu w latach pięćdziesiątych; istniały wzmianki o takich figurach, a on ją znalazł, wtykając pal w grunt i szukając poruszonej ziemi i kredy. Z drugiej strony...

- Tak?

- Cóż, rzeźba położona jest na linii łączącej prehistoryczne miejsca o magicznych właściwościach, która biegnie przez fort Wandlebury, Instytut Polarny Scotta i Okrągły Kościół. Jeśli oczywiście ktoś wierzy w takie rzeczy. Podobno w kręgu pogrzebany jest złoty rydwan. Powiadają, że to miejsce mocy.

- Ja powiedziałbym, że to miejsce pełne lodowatej mgły - wtrącił rycerz.

Robert zanotował w myślach dwie nowe rzeczy, o których dowiedział się tego wieczoru: ofiarny pelikan i metoda poszukiwania ukrytych pod powierzchnią ziemi śladów przeszłości.

- Panie i panowie - przemówił Adam. - Dochodzi dziesiąta. Przed nami boskie dzieło stworzenia nowego towarzystwa. Nadzrędnym celem dzisiejszego wieczoru było znalezieniu motta, ukrytego w piętnastu literach, które wskazały wasze klucze. Motto składa się z trzech wyrazów zaczynających się od O, V i A.

- Po angielsku czy łacinie?

- Po łacinie. W każdej z par jest osoba znająca łacinę przynajmniej na poziomie podstawowym.

Rozpoczęły się gorączkowe konferencje.

- Pozwólcie, że wykorzystam ten czas i odczytam wam regulamin towarzystwa. „Nie posiadające jeszcze nazwy Towarzystwo jest klubem towarzyskim, którego celem jest układanie i rozwiązywanie zagadek, swatanie, wyzbyta frywolności rozrywka oraz zgłębianie niekonwencjonalnej mądrości poprzez zabawę. Do metod działania należą randki w ciemno, podchody, powieści szpiegowskie i bale maskowe. Członkostwo uzyskać można tylko poprzez zaproszenie.”

- Nie masz jeszcze nazwy?

- Odgadniemy ją na podstawie waszych przygód. Stanowi kombinację wszystkich odkryć.

- Więc się zamknij i daj nam w spokoju pomyśleć.

Robert i Katherine naradzali się. Z Instytutu Scotta mieli litery: I A R A N O I, z Okrągłego Kościoła: M N I V a z kręgu Wandlebury: T C M O.

Robert zakreślił je okręgiem, Katherine kwadratem; każde stosowało własną technikę rozwiązywania zagadek.

- Odkupienie... - szepnęła Katherine do ucha Robertowi - samopoświęcenie... święty wojownik... Dobrze znasz łacinę?

W odpowiedzi Robert napisał: „Wojownik walczy, by zwyciężyć. Przebaczenie pokonuje grzech. Nie ma większej miłości...”

I nagle już wiedział. Złapał Katherine za ramiona i mocno ścisnął, po czym nabazgrał dużymi literami zdanie i pokazał jej.

- Tak! - krzyknęła, podnosząc rękę. - Strzał w dziesiątkę!

Wokół grupy zebrała się część gości; byli ciekawi, co tutaj właściwie się dzieje.

Adam spojrział na zegarek. Robert zrobił to samo: była dziesiąta. Razem z Katherine krzyknął jednym głosem:

- OMNIA VINCIT AMOR!

- A niech to! - mruknął ksiądz, odrzucając z rozgoryczeniem długopis.

- Miłość wszystko zwycięża! - powtarzała z triumfem Katherine. - Miłość wszystko zwycięża.

Chwyciła dłonie Roberta i ścisnęła.

- Na wieki będziesz moim bohaterem! Miłość wszystko zwycięża!

Adam, klaszcząc w dłonie i radośnie tańcząc, śmiał się tak głośno, że Robertowi wydało się, iż zaraz uniesie się w powietrze.

- Doskonała robota, Katherine Rota i Robercie Reckliss - huknął. - Panie i panowie, zdejmijcie maski.

Mimo pomocy Katherine Robertowi nie udało się rozwiązać swojej, wspólnymi siłami zsunęli ją tylko, tak że teraz wisiała mu na szyi. Katherine uśmiechnęła się.

- Witaj, przystojniaku.

Jej maseczka nie stawiała oporu. Podbiegła do Adama, pocałowała go i czule wyściskała. Robert oczekiwał, że w ten sposób potraktuje jego. I nie pomylił się - po chwili wróciła i również go uściskała. Była śliczna. Błękitnooki skrzat.

Rycerz okazał się studentem trzeciego roku biologii z Downing College. Dama studiowała na drugim roku medycyny w Emmanuel College. Ksiądz przedstawił się jako student trzeciego roku geografii z Jesus College, a dziwka była zupełnie niepasującą do tej roli studentką czwartego roku lingwistyki w Newnham College, w której Robert rozpoznał także aktorkę z przedstawienia w teatrze ADC. Rozległy się oklaski, podano kolejne drinki.

Adam wstał.

- A teraz ostatnie wyzwanie. Jakie stworzenie kojarzy się z wszystkimi waszymi wyprawami? Do czego doprowadziły wasze wysiłki? Nasze towarzystwo będzie nosiło nazwę tej istoty.

- Krańce ziemi - zaczęła studentka z Newnham - nieznane krainy, w których żyją magiczne istoty... podobne do konia, obdarzone uzdrowicielskimi mocami biorącymi się z cierpień... zbawcze, ale emanujące seksem... czy tylko ja tak to rozumiem?

Rycerz miał już tego dość.

- Uch... Pegaz?

- Nosorożec? - Robert nie mógł się powstrzymać od kpiny.

- Jednorożec! - krzyknęło pięć osób jednym głosem.

I tak oto powstało Towarzystwo Jednorożca Uniwersytetu Cambridge. Kilka miesięcy później, kiedy Adam zrobił dyplom, ogłosił jego rozwiązanie, ale podobno nadal istnieje w zmienionej formie - cele i metody ma takie same.

NOWY JORK, 26 SIERPNIĄ 2004

Robert stał przed domem, którego adres Adam przesłał mu w skrzynce złościwości, i dopasowywał klucz do wejściowych drzwi. Drugi okazał się tym właściwym. Mieszkanie znajdowało się na czwartym piętrze kamienicy bez windy. Pochodzący z lat trzydziestych budynek wzniesiony był z pomalowanej na biało cegły, a mieszkanie należało do rodzaju „kolejowych”: jeden pokój, długi i wąski, biegł przez całą szerokość budynku, przypominał wagon lub okręt podwodny. Na ostatnie piętro wiodły wąskie i kręte schody z zapadniętymi w części środkowej od ciężaru wchodzących po nich ludzi stopniami. Farba na ścianach zaczynała odpadać. Robert nadepnął na zużytą prezerwatywę.

Drugim kluczem otworzył mieszkanie.

Nie orientował się, że Adam miał w Nowym Jorku *pied-a-terre*, gniazdko miłosne czy jak to nazywał. Mieszkanie nie odznaczało się luksusem, z całą pewnością nie było miejscem, do którego ktoś zapraszałby kochankę, tak przynajmniej wydało się Robertowi.

Na tanim czarnym biurku pod ścianą stał włączony komputer. A do komputerów potrzebne są hasła.

Robert uderzył w klawisze i na ekranie pojawiła się informacja, że ekran jest zablokowany. Nacisnął kombinację control-alt-delete. Nazwa użytkownika już była wpisana. W miejsce hasła wprowadził słowo z kawałka papieru: vitriol. Natychmiast otworzył się dokument w Wordzie.

*Witaj, Robercie.*

*Od dawna się nie widzieliśmy. Bardzo mi przykro, że nie pisałem, nie dzwoniłem. Przepraszam.*

*Nie będę dłużej owijał w bawelnę. Muszę prosić cię o zrobienie pewnych rzeczy i będą one dość dziwne. Część z nich może być niebezpieczna, inne zaprowadzą cię w rejony życia, z którymi na co dzień się nie stykasz. Jeśli spełnisz mą prośbę, pomożesz zapobiec straszniemu nieszczęściu. Czynowi prawdziwie piekielnemu. Być może uratujesz też moje życie.*

*To, o co cię proszę, nie będzie aż tak trudne, niektóre z tych rzeczy wykonasz na swojej ulicy, tak mi się wydaje, inne zaś mogą się okazać wstrząsające.*

*Dlaczego nie miałbyś teraz skasować tego listu?*

*Ponieważ proszę cię, byś mi zaufał. Ponieważ ty i Katherine znajdziecie się pomiędzy ofiarami, jeśli nic nie zrobisz. Ponieważ należysz do nielicznej garstki ludzi, którzy mogą zapobiec katastrofie*

*Musisz rozpocząć swą misję szybko, a skoro raz zaczniesz, nie będziesz mógł jej przerwać aż do końca. Raz jeszcze powtarzam, że bardzo mi przykro, ale stawką nie jest wyłącznie moje marne życie. Chodzi o wszystkich ludzi.*

*Prawdę mówiąc, wszedłem w pewne rzeczy dość głęboko i teraz nie wiem, jak się z nich wydobyć. Niewykluczone, że nie będę w stanie.*

*Będziesz potrzebował telefonu z łączem internetowym i aparatem fotograficznym, żeby przekazywać zdjęcia oraz korzystać z SMS-ów, wyszukiwarki Google i innych tego rodzaju rozwiązań. Telefon znajdziesz w kartonowym pudle po twojej prawej ręce. Chyba nazywa się Quad Plus czy jakoś tak. Ma GPS-a i mapy. Skorzystałem z dobrej rady - to fantastyczne urządzenie.*

*Będziesz potrzebował mapy Nowego Jorku, głównie Manhattanu z zaznaczonymi trasami metra i autobusów, na wypadek gdyby elektronika zawiodła. Czasami lepiej polegać na ołówku i linijce.*

*Pamiętasz czasy, kiedy byłeś harcerzem? Potraktuj to jak podchody.*

*Przede wszystkim jednak będziesz potrzebował swojego dobrego mocnego serca, Robercie, całej odwagi i rozumu. Po drodze trafisz na wskazówki i przyjaciół, choć obawiam się, że spotkasz także wrogów.*

*Musimy odwiedzić tajemne komnaty pod miastem, sekretne ogrody i platformy nad nim oraz ukryte miejsca pomiędzy tymi dwoma poziomami. Musimy też odwiedzić tajemne zakamarki serca.*

*Nazwij to po części zwiedzaniem miasta, po części samopomocą, a po części rodzajem wprowadzenia do medytacji. Widzisz, musimy skłonić cię do pośpiechu. Myśl o tym jako o intensywnym kursie doskonalącym zdolności duchowe, mentalne i zmysłowe. Jeśli nie zdasz egzaminu, nikomu na nic się nie przydasz i mnóstwo ludzi umrze. Robi się gorąco?*

*Pozdrowienia,*

*Adam*

„Zrezygnuj z niedowierzania”, poprosił go Horace.

List był datowany na 14 sierpnia. Pierwsza rocznica zaciemnienia. Robert wydrukował list i zamknął dokument.

W plikach nie było żadnego niedawno otwieranego dokumentu. Przeskakując po programach, włączył przeglądarki Explorer i Netscape, gdzie nic nie znalazł w zakładkach, wreszcie otworzył America Online. Widniało tam nazwisko jednego użytkownika: AdamHD1111. Robert wpisał „vitriol” jako hasło. Zadziało.

AdamHD1111 nie miał nowej poczty, nie miał starej poczty, nie wysyłał wiadomości, nie odwiedzał ulubionych witryn. Za to lista kontaktów zawierała jedną pozycję: z tą osobą Adam regularnie się porozumiewał albo chciał zachować jej dane. Kimkolwiek była, nie miała włączonego komputera. Robert sprawdził pseudonim. TerriC1111. W profilu użytkownika przeczytał:

„Nazwisko: Terri, 22/K

Miejsce: Pomiędzy Hadesem a ziemią. Eliot opisuje mnie jako „dwa życia znającą”<sup>5</sup>

Płeć: Kobieta

Stan cywilny: Otwarty. Na siebie, na boskość

Zainteresowania: Przepowiadanie. Uwodzenie. Posługiwanie się językiem ptaków, zielonym językiem

Ulubione przedmioty: Ja sama, moje oczy

Zawód: Widz, przewodnik, kochanka

Osobisty cytat:

Trafiam na dwa węże splecione w miłosnym akcie

Rozpląuję jednego, samice, i sama staję się kobietą

Na siedem lat

Aż do czasu, gdy znowu widzę te same dwa węże pogrążone

W miłosnym akcie

Rozpląuję samca i sama staję się mężczyzną

Przez co zmieniają się pory roku”

Na jej stronie AOL znajdowało się zdjęcie bezgłowego, ale kształtnego kobiecego manekina w witrynie sklepu. Czarną suknię zdobił wąż, w tle wiło się kłębowisko tych gadów. Jednym słowem jakieś chore bzdury.

Robert zajrzał do kartonowego pudła, o którym pisał Adam. W środku znalazł srebrno-szare urządzenie z wielkim ekranem, przypominające trochę mniejszy palmofon Treo czy Palm Pilota. Było dosyć ciężkie, ale bez problemu mieściło się w dłoni. Poza tym w pudle

<sup>5</sup> Przekład Cz. Miłosza [przyp. tłum.].

były też akcesoria: ładowarka, coś, co wyglądało jak składana klawiatura, mikrofon i słuchawki. Robert włączył urządzenie. Zapiszczało, po czym na ekranie pojawiła się niepokojąca liczba ikonki. W programie GPS wprowadzono kilkanaście lokalizacji, wszystkie oznaczono trzycyfrowymi liczbami. Bateria była na wyczerpaniu, Robert włączył więc ładowarkę.

Krażąc po mieszkaniu, wyobrażał sobie, że rozmawia z Adamem:

- Tym razem przekroczyłem granice.
- Rzeczywiście je przekroczyłeś, Adamie.
- Tym razem jestem za woalem.
- Zrzuciłeś go.
- Nie potrafię wrócić.
- Sztuczka z liną.
- Naprawdę to zrobiłem.
- Sztuczka ze znikaniem. Fiu! Zniknął z powierzchni ziemi.
- Nie powinienes iść za mną. Nie możesz.
- Zawsze się bałem, że to zrobisz.
- Zawsze wiedziałem, że to zrobię.
- Adamie Hale'u! Wdrap się po linie na szczyt...
- Jestem przerażony. Spotkałem pewnych ludzi. Poważnych ludzi. Nie sądzę, by

pozwolili mi wrócić.

- Zaczyna się od listu.
- Witaj, Robercie.
- Witaj, Robercie, tak jest napisane. Świat niedługo się skończy. Pamiętasz, jakie miałeś sny?

Robert usiadł, próbując rozwiązać zagadkę. O co chodziło Adamowi? Odwiedził Lawrence'a Hencotta? Zabił go? To nie miało sensu.

Z komputera dobiegł skrzyp otwieranych drzwi - TerriC111 była dostępna. Robert zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Śmieszne, ale serce znowu zaczęło mu szybciej bić.

Komputer zapiszczał, na ekranie pojawiło się okno z wiadomością „Cześć, kochanie” od TerriC1111. Myśli, że rozmawia z Adamem. Robert zawahał się. Udawać, że jest Adamem, czy nie? Czy jeśli się przedstawi prawdziwym imieniem, dziewczyna wystraszy się i wyłączy komputer?

„Cześć”, napisał.

Kursor migał przez pół minuty. Przez minutę. Robert usta miał suche jak pieprz. Czy Adam nigdy tak się nie wita? Posługiwali się sekretnym kodem? Językiem kochanków? Dopóki nie powiem „rabarbar”, zakładaj, że mnie złapali?

I znowu przenikliwy pisk.

„Próbowałam się z tobą skontaktować, ty świrze... u ciebie wszystko w porządku?”

Oto po ponad dwudziestu latach znowu ktoś brał go za Adama. Pomimo wszystko przypadło mu to do gustu. Podobał mu się pomysł bycia kimś innym przez kilka minut. Takie wakacje od cierpienia. Podniecające. Dające wytchnienie.

„Tak. Jestem zmęczony”

„Gdzie byłeś?”

Robert skoczył na głęboką wodę.

„Tutaj, w Nowym Jorku”.

„Zrobiłeś wszystko, co konieczne?”

„Mam nadzieję”.

„Czemu nie pewność? Były jakieś kłopoty?”

„Rzadko kiedy można mieć pewność, tak mi się wydaje. Potem odwiedziłem Hencotta”.

„Kogo?”

Cholera. I jak z tego wybrnąć? TerriC1111 była ogniwem łączącym go z Adamem. A może odwrotnie? Napisał:

„Właściciel kopalń złota? Lawrence Hencott?”

„Och, przepraszam. Wiem. Kiedy się z nim widziałeś?”

„Chyba wczoraj. Nie spałem. Tracę poczucie czasu”.

Robertowi przyszło do głowy, że dziewczyna jest urażona.

„Przepraszam, chciałem ci powiedzieć, gdzie byłem, ale najpierw musiałem się z nim zobaczyć”.

„Biorąc pod uwagę okoliczności, można ci wybaczyć. Możemy bezpiecznie się spotkać? Taaak bardzo chcę cię zobaczyć”.

„Ja też. Ale jeszcze nie teraz”.

„Kochanie, to było trudne?”

„Lawrence nie żyje”.

Przez kilka sekund nie odpowiadała.

„Mówiłeś, że tak czy inaczej umrze. Co się stało?”

„Zabił się. Zastrzelił. Najpierw zadzwonił”.

„Do kogo?”

„Do Roberta Recklissa”.

„To dobrze czy źle?”

Robert chwilę się zastanawiał. Nie chciał, by ta rozmowa wymknęła mu się spod kontroli.

„Jest godny zaufania. Nie mówiłem ci?”

„Mówiłeś. Nie potrafię uwierzyć, że to zrobiłeś. Bałeś się?”

„Tak. Myślałem o tobie. Dużo”.

Niemal wyczuwał, jak dziewczyna się uśmiecha.

„Mam coś dla ciebie”, napisała. „Chcesz zobaczyć?”

Migający kursor. Robert czuł się jak nastolatek.

„Bardzo.” Na końcu dodał uśmiechniętą buźkę.

„OK. Jakie jest hasło, kochanie?”

Ona teraz pyta o hasło? Cholera.

„Hasło do twojego serca?”

„Hasło do mnie całej, kochany”.

Zaryzykował i wystukał:

„Vitriol”.

„Interesujące. OK, dziecinko, wysyłam”.

Przez chwilę nic się nie działo. A potem męski głos ze sztuczną wesołością oznajmił: „Masz pocztę”.

Zaraz pojawiła się wiadomość od Terri.

„Mam nadzieję, że ci się spodoba, słoneczko”.

Kliknął na żółtą kopertę. Przysłała mu tylko fotografię, bez żadnego tekstu. Zdjęcie odślaniało się od góry, towarzyszyła mu informacja, ile procent transmisji wykonano: 8, 23...

Robert patrzył na czubek kobiecej głowy, czarne włosy, czoło... Uświadomił sobie, że to obraz. Brwi niczym wirujące galaktyki spiralnie schodzące ku oczom w twarzy o kształcie serca, bardzo białej. Długa łabędzia szyja, czarna suknia z głębokim dekoltem, czarne rękawiczki sięgające nad łokcie... w sumie pociągające, na pół abstrakcyjny wizerunek młodej, dwudziestoparoletniej kobiety, mającej w sobie coś gotyckiego...

„Zrobiłam zdjęcie wczoraj na ulicy w Chelsea. Podobna do mnie, prawda?”

Podobna?

„Piękne. Bardzo ładne”.



Migający kursor. Głośny oddech Roberta. Wciąż miał suche usta. Obliznął je. Teraz był zakłopotany. Przestraszony

Już miał położyć dłonie na klawiszach, kiedy znowu odezwał się głupekowaty, przyjazny głos.

„Dostałeś pocztę”.

Następna fotografia od Terri. Robert zawahał się z palcem nad myszką.

Pisk i kolejna wiadomość: czerwona twarzączka diabełka od TerriC1111.

Otworzył przesyłkę i patrzył, jak ekran powoli wypełnia się fotografią. Ta przedstawiała prawdziwą kobietę z krótkimi czarnymi włosami i niewiarygodnie długimi nogami, ubraną w czarną wieczorową suknię z rozcięciem niemal do pasa. Jedną dłoń trzymała na biodrze, drugą rozchyłała suknię na tyle, by odsłonić koronkowe wykończenie pończochy

Robert poczuł, jak krew odpływa mu z głowy. Od ośmiu miesięcy prawie wcale nie kochali się z Katherine.

„Przestań”, napisał.

„O nie, ja dopiero zaczynam. To moja najnowsza fotografia. Opowiedz mi historię”.

„Poczekaj, proszę”.

„Nie podoba ci się?” I obok tekstu nadał buzia.

Robert zawahał się.

„Podoba, i to bardzo”.

„Nie jesteś Adamem”.

Nie mógł sobie pozwolić na zerwanie kontaktu, nie wiedział jednak, jak podtrzymać fikcję. Przerażony, zdecydował się na prawdę.

„Nie”.

Migający kursor. Minęła minuta.

„Jestem... zaintrygowana”.

„Próbuję go odnaleźć. Chcę mu pomóc. Jestem przyjacielem”.

I znowu cisza. Kolejna przerwa.

„Dlaczego?”

„Mam powody przypuszczać, że grozi mu niebezpieczeństwo”.

„Z czyjej strony?”

„Nie wiem. Poproszono mnie, żebym tu przyszedł. Żebym zaufał. Czy ty i on jesteście razem? Tworzycie parę?”

„Czy jesteście kochankami? O tak”. Buzia z przymrużonym figlarnie okiem.

„Wiesz, gdzie on jest?”

„Przez większość czasu Adam jest nieuchwytny...”

Co zrobić, żeby jej nie przestraszyć?

„Przepraszam, że udawałem Adama. Nie wiedziałem, co robić, kiedy się odezwałaś”.

„Tak, niegrzeczny z ciebie chłopiec... Podobało ci się?”

„Oglądanie twoich zdjęć? Były śliczne”.

„Udawanie Adama. Myślę, że ci się podobało”.

„OK. Może”.

„Jak rozumiem, jesteś Robertem Recklissem? Którego Adam nazywa Ricklesem? Podobno wszystkim się dzielicie”.

Do diabła, a to co znowu?

„Skąd wiesz, kim jestem?”

„Powiedział, że istnieją trzy możliwości: albo to będzie on, albo ty, albo też on będzie martwy i to będzie jego zabójca. Nie masz pojęcia, co Adam właśnie zrobił. Jakie ryzyko podjął. Powiedział, że jeśli to nie będzie on, muszę zgadnąć, czy człowiek podszywający się pod niego jest jego zabójcą, czy tobą”.

„A skąd wiesz, z kim rozmawiasz?”

„Powiedział, że jeśli będzie martwy, zabójca idealnie wcieli się w jego rolę, ale ja wyczuwam w nim zło”.

„Ja nie naśladowałem go idealnie?”

„Prawdziwy Adam na tym etapie rozmowy mówiłby wprost o swojej żądzy. Zwłaszcza że wyszedł cało z zadania, które musiał wykonać”.

„Na czym polegało?”

„Nie wszystko naraz. Sporo o tobie mówił, Robercie. Uratowałeś mu życie”.

„Tak. Wiele lat temu”.

„On uratował moje. W pewien sposób. Tak więc mamy trójkąt do zamknięcia. Ja uratuję twoje?”

„W jaki sposób uratował ci życie?”

„Chroni mnie przed złym miejscem. Sprawia, że życie wydaje się szczęśliwe i radosne, choć wcale takie nie jest. Wiesz, jak on to robi?”

Robert uśmiechnął się, niemal wybuchnął śmiechem. Adam miał ten doprowadzający do szaleństwa dar. Nagle poczuł, jakby był obok niego w pokoju. Potrafił cię rozśmieszyć, choć do kolan tkwiłeś w łajnie. Zwykle zresztą znalazłeś się tam z jego powodu.

„Nie, ale dokładnie wiem, co masz na myśli”.

„Sprawia, że sprawy przybierają lepszy obrót, nawet jeśli wyglądają jak katastrofa kolejowa”.

Znała Adama, to nie ulegało wątpliwości.

„Czy to oznacza, że Adam jest bezpieczny?”

„Nie. Nie jestem pewna, co to oznacza. Chyba tyle, że wciąż żyje”.

„Co się dzieje? Proszę, powiedz”.

„Najpierw muszę się zastanowić”.

„Mówiłaś, że Adam wiedział, iż Lawrence umrze?”

„W taki albo inny sposób, tak powiedział. Nie rozumiałam tego”.

„Jak mogę pomóc?”

„Zwolnij. Muszę pomyśleć”.

Przez chwilę oboje milczeli.

„Kim jesteś, Terri?”

„Adam nazywa mnie Red Hooker<sup>6</sup>”.

„Red Hook. Brooklyn”.

„Miał dwa w jednym”.

„Powiedz mi coś więcej o sobie. I o nim”.

„Od mniej więcej roku jesteśmy kochankami. Od zaciemnienia. Jeśli chodzi o mnie, oto moja standardowa kwestia: Jestem emerytowaną kurierką rowerową, zarządzam tożsamością. Szukam Boga. Robię filmy wideo. Mam rozwinięte poczucie empatii. Dominuję i ulegam. Piszę blog. Gram w *geocaching*. Lubię seks w miejscach publicznych. Byłam *suicidegirl*, ale nie powiem ci którą, jestem przewodniczką wycieczek. Jestem uzdrowicielką. Przerazam ludzi.

„Uch... nie wszystko rozumiem. Ile masz lat?”

„Dwadzieścia dwa. Nie marudź. Jesteś taki poważny. Teraz o tobie: Adam mówi, że jesteście związani na całe życie. Że macie wspólną historię”.

Obrazy, których przywoływanie Robert przez dwadzieścia lat sobie zabraniał, nagle wróciły. Zobaczył siebie przewracającego stół w pokoju Katherine w akademiku i rozbijającego leżące na nim przerażające przedmioty. Znowu poczuł czyste przerażenie i zamęt tamtej nocy. Zobaczył Katherine kochającą się z Adamem i z nim. Języki ognia

---

<sup>6</sup> „Red Hook” to określenie małych, prowincjonalnych miast, natomiast „hooker” oznacza prostytutkę [przyp. tłum.].

pędzące przez pokój Adama w Trinity i twarz śmierci w dymie, pojedyncze nieruchome i piękne oko, spoglądające wprost w jego duszę.

Utkwił wzrok w ścianie, pogrążony we wspomnieniach. Jego palce leżały bezwładnie na klawiaturze. Stracił poczucie czasu.

„Zaczynam się niecierpliwić”, napisała Terri.

Serce mocniej mu zabiło.

„Trudno wyjaśnić. Wspólna historia to dobre sformułowanie. Raz dzieliliśmy się kobietą”.

„Tylko jedną?”

„Tylko jedną. O innych nie wiem. Posłuchaj, Adam prosił o pomoc. Wiesz, w jakie kłopoty się wpakował?”

„A ty?”

Robert nie miał pojęcia, ile powinien zdradzić z tego, co powiedział mu Horace. Wybrał ostrożność.

„Nie. Wiem o ludziach, którzy nie pozwalają mu odejść. O straszliwie nikczemnym czynie. Adam mówi, że mogę pomóc”.

Terri nie odpowiadała.

„Terri?”

„Zastanawiam się nad tobą. Poczekaj”.

Nagle Roberta ogarnęło wyraziste uczucie, że ktoś go obserwuje. Włosy na jego karku stanęły dęba. To było tak, jakby oglądano go... poznawano... od środka. Doznanie pogłębiło się, stało się niemal fizyczne. Grano na nim. Kpiono z niego. Badano.

„Jezu! Co to jest, cholera?”

Wrażenie odeszło tak szybko, jak się pojawiło. Na ekranie widniała wiadomość od Terri.

„OK. Gotowe. Niech będzie”.

„Hej, co przed chwilą zrobiłaś?”

W głowie mu szumiało. Niespodziewana intymność była jak pocałunek. Czy to ona tego dokonała? A może był to wytwór jego wyobraźni, reakcja na wspomnienia? Do diabła, kim są ci ludzie?

„Próbowałam odczytać, czy jesteś zdolny do tego przedsięwzięcia. Masz w sobie wiele strachu, Robercie Reckliss. Ale możemy nad tym popracować. A teraz uważaj”.

Wysłała mu kolejnego e-maila. To był list. Od Adama do Terri.

*Moja droga Terri.*

*Wkrótce wyruszę w to mroczne miejsce, o którym ci opowiadałem. Wiesz, że muszę iść i że wolałbym zostać z Tobą, ale chodzi tu o coś więcej niż tylko o życie nas dwojga i dlatego nie mam wyboru. Muszę zapobiec nieszczęściu, które sam spowodowałem.*

*Oto, co można powiedzieć:*

*Knowania rozpoczęto. Urządzenie obdarzone niezwykłą mocą ukryto gdzieś na Manhattanie. Nosi wiele nazw, w tym Gnosis, Ma'rifat', Maszyna Duszy. Ma'rifat' jest oknem prowadzącym do krainy zamieszkiwanej przez nasz potencjalny mrok, w której stoi przed nami zadanie przekształcenia przerażenia w światło, w przeciwnym wypadku zginiemy. To równocześnie miejsce i stan rzeczy. Nauka, która go stworzyła, jest zadziwiająca i pradawna.*

*Urządzenie rozbroić mogą jedynie istoty obdarzone potężnymi psychiczno-duchowymi mocami. Nie ma ich wielu, a obecnie na Manhattanie przebywają dwie. Pierwszą możemy nazwać Jednorożcem, istotą czystego światła. Druga to Minotaur, istota zgubiona. Minotaur służy złym panom. Przebywa w moim wnętrzu, zżera mnie od środka. Rozbrojenie urządzenia nie przyniesie mu korzyści. Wręcz przeciwnie, chce skłonić mnie, bym je uruchomił; do tego samego dążą ludzie, których niebawem spotkam. Jednorożec przebywa we wnętrzu śpiącego człowieka, nieświadomego swoich mocy. Jeśli umrę, przyjdzie do ciebie mój zabójca albo*

*śpiący, nie wiem, który z nich. Śpiącemu musisz pomóc się obudzić. Musisz poprowadzić go Drogą tak daleko, jak będziesz mogła, tak by zgromadził siły niezbędne do powstrzymania grożącej nam katastrofy.*

*Urządzenie jest uzbrojone. Rozbrojenie go wymagać będzie siedmiu mniej ważnych kluczy i klucza głównego. Siedem kluczy ukrytych jest na Manhattanie w porządku geometrycznym i należy je odnaleźć.*

*Klucz główny odesłano w bezpieczne miejsce.*

*Być może uda mi się, co zamierzam. Błagam o to Boga.*

*Robię to dla nas. Wybacz mi, proszę, jeśli poniosę klęskę.*

„Napisał to tuż przed zniknięciem?”

„Tak. Poszedł na spotkanie z ludźmi, o których wczoraj wspominał. I do teraz nie miałam od niego żadnej wiadomości”.

„Co jeszcze mówił o tym przeklętym urządzeniu?”

„Ma'rifat'. Tak je najczęściej nazywał”.

„To po arabsku?”

„Tak”.

„Co to znaczy?”

„Między innymi znaczy znajomość boskości. Tak jak znasz człowieka, nie fakt. I Adam powtarzał, że ostatnią rzeczą, jaką możemy zrobić, to wezwać gliniarzy. To dotyczy nas wszystkich. Musieliby przysłać jakiegoś księdza albo duchownego, a możesz założyć się o własny tyłek, że tego nie zrobią. Wyobrażasz to sobie? Policja broniąca Nowego Jorku? Może nawet wojsko? Gdyby oddział SWAT zbliżył się na pięćdziesiąt jardów do urządzenia ze świadomością, do czego jest ono zdolne, eksplodowałoby. Urządzenie odczytałoby ich strach. Tak jak ja odczytałam twój”.

Dla Roberta początkowo to nie miało sensu. Po chwili zrozumiał.

„Tylko psychopaci nie czują strachu. Zwykli ludzie są przerażeni, żołnierze i policjanci są przerażeni, choć uczą się, jak odsunąć strach. On jednak wciąż w nich jest”.

„Adam powiedział, że urządzenie odkryje strach. Zwielokrotni go. Wykorzysta”.

„A potem?”

„Jeśli władze się o tym dowiedzą, przypomnij sobie Hiroszimę. Jeśli panowie Minotaura zdetonują urządzenie, pomyśl o czymś o wiele gorszym. O rodzaju duchowej bomby. Pomyśl, co zrobią ludzie, kiedy ich dusze ulegną zatruciu i zwrócą się jeden przeciwko drugiemu. Pomyśl o Auschwitz w Ameryce. Pomyśl o absolutnym zniszczeniu”.

Robert myślał o przyjacielu, który stoi twarzą w twarz z takim złem. Dyletant zmuszony w końcu do zmierzenia się ze swym przeznaczeniem. Wybrał walkę zamiast ucieczki. Poczł irracjonalną dumę z Adama.

„Myślę, że przysłał mi rzecz, którą nazywa głównym kluczem. Ja nazwałem ją skrzynką złośliwości”.

„Schowałeś ją w bezpiecznym miejscu?”

„Zdefiniuj, co rozumiesz przez bezpieczne miejsce. Mam ją w kieszeni”.

„Jezu Chryste”.

„Czym jest Minotaur?”

„Pasożytniczą formą myśli, niezaspokojoną duszą. Cierpiącą. Kiedyś była dobra, teraz stała się zła”.

„A Jednorożec?”

„Domyśl się sam”.

„Ty mi powiedz”.

„Jest w tobie, Robercie. Jest tobą”.

Robert zamknął oczy. Na wszystkie świętości... Zaklął. Znowu ogarnęły go strach i panika.

„Nie. Nie wierzę ci”.

Terri dostrzegła w nim coś, co Robert usiłował ukryć przed samym sobą: niewypowiedzianą wiedzę, zepchniętą na samo dno świadomości, że pewnego dnia coś takiego jak to się stanie. I zmieszana z przerażeniem dumę, że to jego dotyczy.

Wspominał nieżyjących już rodziców: ciężko pracujących, uczciwych ludzi, którzy twierdzili, że dawne zwyczaje to nonsens, że przesady są przekleństwem rodziny, mającym spaść na ich syna. Od wczesnych lat uczyli go niewiary; wychowywał się sam na wielkiej posiadłości, odcięty od ciotek, wujów i strzępów historii o mrocznych wydarzeniach, które miały miejsce trzydzieści lat wcześniej, w czasie wojny. Jego krewni nie urządzali rodzinnych spotkań.

Tylko raz, gdy skończył osiemnaście lat, skontaktował się z nim jeden z jego krewnych. W pierwszym tygodniu studiów na uniwersytecie dostał niepodpisany list.

*Jesteś z mojej krwi i masz prawo wiedzieć o pewnych sprawach. Żadne z twoich rodziców ci nie powie, więc ja to zrobię, niechaj Bóg mnie zachowa. Oto podstawa wiedzy. Zrozumiesz każdy wers, kiedy będą ci potrzebne. Zachowaj ten list.*

Ponizej widniało siedem zdań. Robert uznał je za wierutne bzdury i pod koniec pierwszego semestru spalił list, nigdy jednak nie zapomniał jego treści.

*Żyć dobrze, znać śmierć  
W miłości dawać, by otrzymywać; nasienie nie jest doznaniem  
Poszukuj odległych krańców wolności  
Krocz ścieżką Innych  
Bądź własną pogodą poprzez zamiary  
Tak wysoko, jak nisko, tak w środku, jak na zewnątrz  
Umrzyj, by żyć*

Oboje milczeli, po chwili Terri przesłała wiadomość.

„OK, postanowiłam, że ci pomogę. Zbierz siły, bo od tej chwili sprawy potoczą się błyskawicznie. Zegar zaczął tykać”.

„Od kiedy?”

„Od chwili, gdy zacząłeś wierzyć”.

Wyświetliła się wiadomość o następnym e-mailu. Było to zdjęcie niewielkiego pomnika otoczonego barierkami.

„Wiesz, co to jest?”, zapytała Terri.

„Nie. Pomnik nagrobny?”

„Tak. Wryta na nim inskrypcja brzmi:

*Wzniesiono ku pamięci/Miłego dziecka/St Claire Pollock/Umarł 15 lipca 1797/W piątym roku życia.*

Nagrobek znajduje się przy Riverside Church. Dziecko. Na wieczność uwolnione od wszystkiego, co dzieje się wokół. Zachowaj ten obraz w pamięci, później będziesz go potrzebował. Zaufaj mi. Choć wygląda to jak gra, wcale nią nie jest. Masz Quad Plus? Wiesz, co to jest?”

„Tak, Adam mi go zostawił”.

„Od tej chwili głównie przez niego będziemy się kontaktować. Adam zaprogramował go tak, żebyśmy mogli mu pomóc. Zadzwoń do domu, jeśli uważasz, że to konieczne. Niewykluczone, że się spóźnisz. Nie mów żonie, co się dzieje. To tylko pogorszy sprawę”.

„Jak to?”

„Posłuchaj, musisz pojechać w pewne miejsce, rozwiązać zagadki, umieścić zdjęcia w sieci. Skorzystaj z pierwszej zakładki. E-mail oraz URL załadowano do Quada. Zrób test. Pośpiesz się. Możemy mu pomóc, ale czasu zostało niewiele.

„Zaczekaj”.

„Adamowi grozi wielkie niebezpieczeństwo, Robercie Zaufaj mi. Jedź do punktu 025 zaznaczonego w GPS-ie. Tam się spotkamy. Ruszaj”.

„Co? Dlaczego?”

„Po zlokalizowaniu punktu musisz rozwiązać zagadkę. Rozwiązanie wskaże ci schowek, w którym będzie jeden z kluczy do Ma'rifat'a. To są także etapy Drogi. Każdy etap jest znaczący, będziesz musiał udowodnić, że rozumiesz. Zrobię wszystko, żeby ci pomóc”.

„Skąd masz te lokalizacje do GPS-u?”

„Adam zdobył je w dniu zaciemnienia. Budowniczy urządzenia wpisał do komputera kieszonkowego setki punktów, w większości fałszywych, ale te właściwe Adam załadował do Quada. Nie mam pojęcia, które są które. Kilka minut temu dostałam wiadomość. Mam ci powiedzieć, żebyś jechał do punktu 025”.

„Od kogo ta wiadomość?”

„Tego nie wiem. Adam powiedział mi, że bym ufała wszelkim informacjom przekazywanym mi przez Stróża. Co oznacza, że oboje tam pędzimy. Zbieraj się”.

Rozległ się trzask zamykanych drzwi, na ekranie zgasła ramka komunikatora.

Robert wpatrywał się w monitor, oszołomiony i zdumiony

Musi podjąć decyzję. Spotkać się z nią? Uwierzyć jej? Uwierzyć Horace'owi i Adamowi? W głowie mu wirowało. Odrzucić wszystko i wrócić do domu? Nie wierzyć?

Zastanawiając się gorączkowo, wkleił całą rozmowę z komunikatora do e-maila i wysłał do swojej skrzynki. A także list Adama oraz zdjęcia otrzymane od Terri.

Zdecyduj się, pomyślał.

Potrzeba mu więcej informacji, co oznacza, że musi się spotkać z Terri.

Podjął decyzję.

Złapał Quada i sprawdził ustawienia! Przetestował kamerę, robiąc zdjęcie przycisku do papieru „New York Skyline” na biurku Adama, i wysłał na stronę internetową z pierwszej zakładki. Zauważył, że wpisano już nazwę użytkownika AdamHD1111 oraz hasło. Otworzył adres w przeglądarce, żeby sprawdzić, czy fotografia przeszła. Wywołał punkt 025. Na ekranie Quada pojawił się plan z zaznaczonym miejscem pomiędzy Broadwayem i Church, blisko Fulton. Robert próbował przypomnieć sobie, co się tam znajduje.

Zadzwoił do Katherine. Odezwała się jej poczta głosowa.

- Cześć, kochanie - powiedział. - Mam zwariowany dzień, chyba wrócę późno. U mnie wszystko w porządku, ale spróbuję dowiedzieć się czegoś więcej o tym przedmiocie, który przysłał nam Adam. - Zastanawiał się, co jeszcze dodać. - Zadzwoń do mnie, jak będziesz mogła. Muszę opowiedzieć ci o kilku sprawach.

CAMBRIDGE, MARZEC 1981

Katherine, Adam i Robert poszli do mieszkania Hale'a w Nevile's Court w Trinity College, nad eleganckimi północnymi krużgankami, gdzie w siedemnastym wieku Newton

próbował zmierzyć prędkość dźwięku: tupał i notował czas, po jakim odzywało się echo. Katherine szła pierwsza. Na piętrze skręcili w mroczny korytarz, na końcu którego znajdowały się pokoje Adama.

Roberta zaintrygował spis lokatorów, wypisany ręcznie białym tuszem na czarnym papierze.

- Naprawdę jesteś tutaj jedynym studentem, Adamie?

Wszyscy pozostali w najgorszym razie byli doktorami, jeśli nie profesorami.

- Tak. Straszne, nie? Powód ci się nie spodoba. Niewiele ma wspólnego z równymi prawami.

- Byłem tylko ciekawy.

Adam otworzył drzwi.

- To dzięki dziadkowi. Jest tutaj bardzo szanowany. Ma na koncie dokonania z czasów wojny, coś związanego z Kierownictwem Operacji Specjalnych, wywiadem i tak dalej. Jest fundatorem kilku stypendiów naukowych, dość sporych. Postawił tylko jeden warunek: jeśli jakiś jego potomek w prostej linii zechce tutaj studiować, musi dostać jego dawne pokoje, o ile wyrazi takie życzenie.

- Miłe.

- Ja naturalnie wyraziłem życzenie. Najlepsze jest to, że nie mogą mnie stąd usunąć, w przeciwnym razie dawno już by to zrobili. Nie mam najlepszej opinii u dziekana. Później o tym porozmawiamy.

W przestronnym i wysokim salonie pod ścianami stały regały pełne książek. Meble były stare i kosztowne. Pokój w niczym nie przypominał studenckiego lokum.

- Pochodzisz z zupełnie innego świata - powiedział Robert.

- Tylko nie wydawaj osądów.

- To nie osady, ale obserwacje. Twój ojciec też tu mieszkał?

Twarz Adama na chwilę się zachmurzyła.

- Tata? Nie. Był trochę tępy.

- Adam i jego ojciec właściwie się rozstali - wtrąciła Katherine. - Adam został wydziedziczony. To robi wrażenie.

- Rzeczywiście. Macie ochotę czegoś się napić? Czerwone wino? Pimm's? Gin z tonikiem?

Adam i Katherine wcześniej powiedzieli, że Robert został wybrany i jest kluczem do jakiegoś przedsięwzięcia. Do diabła, co właściwie mieli na myśli?

Adam krzątał się przy kieliszkach i butelkach, Katherine krążyła po pokoju. Robert usadowił się w fotelu.

„Rozstali się. Robi wrażenie”. Musi zapytać ją o akcent. Jest bardzo seksowny.

- Katherine, w twoich „r” jest coś...<sup>7</sup>

Adam i Katherine wybuchnęli śmiechem. Robert poczuł, że policzki spłonęły mu rumieńcem.

- Źle to ująłem.

- Słodki jesteś - odparła Katherine. - Wszystko w porządku. Moja matka była Amerykanką, jeśli o to pytasz. Babcia pochodziła z Kalifornii, ale większą część wojny spędziła tutaj. Wychowałam się w Anglii. Mój tata jest Brytyjczykiem, ściślej rzecz biorąc Anglikiem z Argentyny. Chciał za córkę angielską różę i oto, co dostał.

Usiadła na sofie, podciągnęła kolana i ułożyła się wygodnie. Robert nachylił się ku niej.

- Od jak dawna piszesz tę sztukę? Kiedy planujesz ją wystawić?

Katherine zerknęła na Adama.

<sup>7</sup> Woryginalne gra słów: „your r's” [twoje r] wymawia się tak samo jak „twoja dupa” [przyp. tłum.].

- Prawie od początku ostatniego semestru - odparła. -Chciałam napisać pracę dyplomową o historii nauki, więc zajęłam się archiwum Keynesa, bo myślałam, że znajdę korespondencję, która mi się przyda. To dla mnie typowe. A jak zaczęłam, to nie mogłam przestać.

- Keynes to ten ekonomista? John Maynard Keynes?

- Ten sam. W 1936 roku kupił na aukcji papiery Newtona, bo nie chciał, żeby wpadły w ręce prywatne. W testamencie zapisał je Kings College.

- Dużo czasu poświęcasz teatrowi?

- Przez pierwsze dwa lata praktycznie mieszkalam w ADG W tym roku chcę pisać.

Zawarliśmy z Adamem pakt.

Hale podał jej kieliszek czerwonego wina. Na jego ustach igrał uśmiech.

- Jaki pakt?

- Nie będziemy ze sobą spać, dzięki czemu będziemy mogli razem pisać.

- Kat, doprawdy, zachowuj się - wtrącił Adam, podając Robertowi gin z tonikiem.

Zrzucił fałszywą brodę i turban, po czym usiadł w wielkim fotelu, przyglądając się swoim gościom niczym dumny ojciec rodziny.

Katherine przeciągnęła się.

- Dlatego zgodziłam się na randkę w ciemno. Adam nie chciał, żebym mu się narzucała, więc zdecydowałam się mu pomóc. Nie przeszkadza ci to, prawda?

- Mówiąc szczerze, sam nie chciałem się narzucać.

- A potem myślałam, że przyjdzie w przebraniu, zauroczy mnie i będzie udawał, że jest kimś innym.

- Przykro mi, że cię rozczarowałem.

- Nie rozczarowałeś, Robertcie. Zachowałeś się jak prawdziwy dżentelmen. Spełnienie marzeń każdej dziewczyny. Odprowadzisz mnie do domu?

Robert nie mógł się powstrzymać, by nie sprawdzić reakcji Adama. Była wystudiowane neutralna.

- Z największą przyjemnością.

- A jeśli chodzi o sztukę, chciałem cię o coś prosić - powiedział Adam. - Planujemy wystawić ją na trawniku przed Trinity.

- Koło Drzewa Newtona?

- Tak, ale nie z tego powodu. W czasach Newtona to był ogród otoczony murem. Jego laboratorium znajdowało się niedaleko kaplicy, a mieszkał pomiędzy Great Gate a kaplicą. Wystarczyło, że z werandy zszedł po schodach do ogrodu.

- Dostaniecie pozwolenie?

- I do tego ty jesteś nam potrzebny. Mnie na pewno nie dadzą pozwolenia. W zeszłym roku doszło do pewnych nieporozumień, kiedy pożyczyłem kilka uniwersyteckich łodzi - sporo, mówiąc ściśle - żeby odtworzyć bitwę pod Waterloo na rzece...

- Ale to była bitwa lądowa?

- Dosłowność cię zgubi, Robertcie

- Więc...

- Więc przyszło mi do głowy, że może zechciałbyś zostać producentem sztuki. Zastąpić mnie w negocjacjach z władzami Trinity, ale też pomóc nam w sprawach organizacyjnych.

- Udawanie Adama nie będzie ci przeszkadzać?

Robert wytrzymał spojrzenie Katherine. Czy go obrażają? Drażnią się z nim?

Przypuszczał, że nie. Postanowił zaryzykować. Przekonać się, dokąd go to zaprowadzi.

- Absolutnie nie. Ale dlaczego ja?

- Przede wszystkim dlatego, że moim zdaniem świetnie się do tego nadajesz. Jesteś wiarygodny, rzeczowy i solidny. Czy za takiego uważają cię przyjaciele w domu? Jestem o tym przekonany.



Robert wyjechał z rodzinnego gniazda zaledwie pół roku temu. Prosto z liceum przybył na studia do Cambridge i zamieszkał w Trinity Hall. Tam było wszystko, co solidne i rzeczywiste w jego życiu.

- Moi przyjaciele przypuszczalnie uznaliby, że cały dzisiejszy wieczór jest bardzo pretensjonalny, choć ja świetnie się bawię. Tak, jestem dobrym organizatorem. Cieszę się bardzo, że mnie o to prosisz. Dziękuję.

- Wiesz, Adam od jakiegoś czasu cię obserwuje. - Katherine stanęła za fotelem i położyła Adamowi dłonie na ramionach. - Powiedział, że znalazł diament w bagnie. Chciałby w jakiś sposób pomóc ci wejść.

W Robercie duma zapłonęła wysokim płomieniem.

- Wejść? Dokąd?

- Do miejsca, w którym przestaniesz się obawiać marzeń - powiedział Adam. - W którym nie pozwolisz, by jakiś kompleks niższości, kompleks pochodzenia przeszkodził ci w nieskrępowanym cieszeniu się przez trzy lata cudami, niezależnie od tego, co twoi przyjaciele w domu o tym sądzą.

- Zaczynam łapać. To prawda, nie odznaczam się taką leniwą swobodą jak ty, ale...

- Radzisz sobie wyśmienicie, widzę to wyraźnie. Stąpaj twardo po ziemi. Spraw, by się to urzeczywistniło. Myśl o mnie jako o łowcy talentów.

- Czy to będzie ta chwila, w której poprosisz mnie o wstąpienie do MI6?

Adam wybuchnął śmiechem.

- Nie chodzi o nic równie zbrodniczego. Chociaż jeśli cię to interesuje...

Robert spojrzął na Katherine.

- Więc od samego początku wiedziałas, że to ja?

- Och, nie, nawet tak nie myśl. - Sprawiała wrażenie szczerze przejętej. - Nie miałam pojęcia, kogo przyśle Adam. Obiecał mi tylko, że to będzie ktoś, kto może przypaść mi do gustu. To chyba brzmi dość dziwnie. Ale pomysł mi się spodobał. Chociaż równie dobrze mogłam cię wyrzucić.

- Rozmawiałem z Katherine o tobie i sztuce, ale dzisiejszy wieczór to była zupełnie odrębna sprawa, przysięgam. Więc jak, Robercie? Zgadzasz się?

- Od czego mam zacząć? Macie egzemplarz sztuki, który mógłbym przeczytać?

- Proponuję, żebyś zaczął od skontaktowania się z dziekanem. Nic nie dorówna tupetowi studenta pierwszego roku. A jeśli chodzi o sztukę...

- Pierwsze dwa akty są właściwie skończone - wtrąciła Katherine. - Trochę utknęliśmy w trzecim. Chodzi o kulminację. Widzisz, wybucha pożar.

- Pożar?

- Płonie laboratorium. Ścisłej mówiąc, płonęło zimą na przełomie 1677 i 1678, kiedy Newton, co zupełnie do niego niepodobne, był w kaplicy. Nie odpowiadało mu to, co stało się z kościołem.

- Dość trudno przedstawić to na scenie.

- W czasie pożaru zniszczeniu uległo pewne jego dzieło. Świeca przewróciła się na manuskrypt. Nie wiadomo, o czym traktował, ale Newton nigdy do tej pracy nie wrócił. Jedni twierdzą, że książka poświęcona była głównie temu, co współcześnie nazywamy chemią. Inni, że dotyczyła spraw mniej konwencjonalnych.

Adam uśmiechnął się.

- Newton odznaczał się niezwykłym umysłem, wszyscy o tym wiedzą. Niektórzy obecnie przyznają, że zajmował się także alchemią, aczkolwiek uważają ją za stek nonsensów,

- Jak powinni - powiedział Robert.

- Może zmieniłbyś zdanie, gdybyś zobaczył to, co ja widziałem. Wiesz, na tamtej aukcji Keynesowi nie udało się kupić wszystkich materiałów. Część dokumentów nabyli Niemcy.

Mój dziadek odzyskał je od nazistów w czasie wojny. Jeden przywiózł do Trinity. Był jego stróżem, by tak to ująć. Teraz stróżem jestem ja.

- Czego dotyczy ten dokument?

- Niestety, nie mogę ci powiedzieć, staruszk. W każdym razie jeszcze nie. Nie wszystko naraz. Katherine też chce wiedzieć, ale jej także nie mogę powiedzieć.

- Albo nie chcesz - poprawiła go Katherine.

- To pojedyncza karta, przypalona na krawędziach. Wygląda, jakby uratowano ją z pożaru. Nie jestem pewny, czy w pełni zrozumiałem wszystko, co na niej napisano, ale powoli się uczę.

- Jest tutaj? - Robert rozejrzył się po pokoju.

- Nie, w bezpiecznym miejscu. Wiesz, Kat i ja znamy się od roku. Zabawne, ale spotkaliśmy się na balu kostiumowym.

- Niech zgadnę. Ona była czarownicą, a ty czarnoksiężnikiem?

- Szybko łapiesz - roześmiała się dziewczyna.

- To był taki niewinny żarcik wobec Katherine - rozpromienił się Adam. - Wybacz, proszę. Tak... Kiedy mi powiedziała o znalezionych dokumentach, przekonałem ją, że to wcale nie jest materiał na pracę naukową, ale na pracę twórczą, do której jest wyjątkowo dobrze przygotowana, wzięwszy pod uwagę jej zainteresowania, oraz że ten temat wymaga bardziej subiektywnego podejścia. A ponieważ...

- „Ponieważ w teatrze mamy do czynienia z oczarowaniem i zawieszeniem niedowierzania”, tak powiedziałaś. „A w pracach akademickich w większości nie”. I miałaś świetne pomysły.

- Zaczęliśmy więc pisać razem, Sam też miałem kogoś w rodzaju mentora, który zaraził mnie tym pomysłem. Zapytał, a co, jeśli...

- Co, jeśli Newton wziął pożar za znak od Boga, w którego bez wątpienia żarliwie wierzył na swój własny heretycki sposób, że w swoich badaniach wkroczył na zakazaną ścieżkę - trzeba pamiętać, że to było w 1677 roku, przed jego „Pryncypiami” - i w rezultacie zmienił kurs, co z kolei doprowadziło go do...

- Do stworzenia świata takiego, w jakim obecnie żyjemy. Jaki byłby obecnie świat, gdyby Newton kroczył tamtą porzuconą drogą? Co w tamtym świecie oznaczałoby słowo „newtonowski” i jak bardzo by się to różniło od znaczenia, które ma dla nas?

- I co było w tamtych spalonych papierach? - podjęła Katherine. - Jakie odkrycia zawierała zniszczona książka?

Robert z zakłopotaniem poprawił się w fotelu. Wszystko to jak na jego gust było zbyt ezoteryczne. Próbował sprowadzić ich na właściwy temat

- Wróćmy do spraw praktycznych. Co z drzewem? Chcecie zbudować platformę dla widowni czy postawić krzesła na trawniku? Wtedy trzeba wziąć pod uwagę zniszczenie trawy

- A ty co o tym sądzisz?

- Drzewo rośnie w samym środku trawnika. Nie możecie go ignorować. Trzeba jakoś je włączyć. Posadzić pod nim Newtona. Albo zamienić w piec laboratoryjny, zakrywając i oświetlając od środka. Platforma na krzesła byłaby dość droga i doszłyby koszty ubezpieczenia. Zależy od tego, ilu widzów się spodziewacie.

Katherine pomachała pustym kieliszkiem.

- Myśleliśmy, żeby widownia siedziała po dwóch stronach, od południa i wschodu, mniej więcej tam, gdzie dawniej było ogrodzenie. Drzewo w środku. Jak w Edenie.

- Drzewo wiadomości dobrego i złego, jak rozumiem.

Adam podszedł do Katherine z butelką i napełnił jej kieliszek, spoglądając z ukosa na Roberta.

- Albo drzewo życia. Tak czy owak, to wszystko są dobre pomysły. Jestem pewny, że można położyć deski albo coś w tym rodzaju, żeby ochronić trawę. Co do widowni - około dwustu osób? Już mam wrażenie, że jesteśmy w dobrych rękach.

Katherine popijała wino, zerkając znad kieliszka na Roberta.

- Dzisiaj wieczorem zamierzam pisać. Mógłbyś mi pomóc?

Tym razem Robert zobaczył, że zirytowała Adama, który odwrócił się plecami do nich i z uwagą przyglądał książkom.

- Nie wiem, czy pisarstwo to moja mocna strona, ale...

- Katherine zna niezwykle techniki pisarskie - wtrącił Adam jak zwykle lekkim tonem. - Jestem pewien, że ci się spodobają.

Katherine wyjęła z torebki pogniecioną paczkę papierosów.

- Boże, przez cały wieczór się powstrzymywałam. Będzie wam przeszkadzało, jeśli teraz zapalę?

Robert nagle pożałował, że sam nie pali. Rozejrzał się w poszukiwaniu zapalek, ale Adam go uprzedził, nachylając się ku Katherine z płonąca zapalką, którą nie wiadomo skąd wziął. Dziewczyna przyciągnęła jego dłoń ku sobie i trzymała, uśmiechając się zalotnie, aż zapalka spaliła się niemal do końca. Adam pochylił głowę i zdmuchnął płomyk, nie odrywając spojrzenia od Katherine. Robert przez chwilę czuł się tak, jakby go nie było w pokoju.

Zakaszła.

- Więc... co oboje zamierzacie robić w przyszłym roku?

Słowa opuściły jego usta, nim zdążył je powstrzymać.

Miał ochotę się kopnąć. Pytanie ludzi z ostatniego roku o przyszłość stanowiło niemal pewną gwarancję zepsucia atmosfery. Dotąd doskonale sobie radził, a tu nagle wyskoczył z niego chłopak z Fens.

Katherine sprawiała wrażenie, jakby zaraz miała się rozplakać! Adam, urodzony dyplomata, dostrzegł zażenowanie Roberta i natychmiast postarał się je rozproszyć.

- Cieszę się, że pytasz, Robercie. W tym tygodniu rozmawiałem ze znajomymi z Fleet Street. Zastanawiam się, czy nie spróbować sił jako korespondent zagraniczny W małym kraju, nic wielkiego. Gdzieś w Afryce, może w Ameryce Łacińskiej.

- Ojej..

- Jako wolny strzelec, rozumiesz.

- W przyszłym roku o tej porze będzie obalał rząd - powiedziała Katherine rozchmurzona.

- A Katherine będzie jaśniała na londyńskiej scenie albo przymierała głodem w zespole teatralnym w Bermondsey

- Jedno niekoniecznie wyklucza drugie - odparła z uśmiechem. - Co jeszcze mogłabym robić z pierwszą lokatą z matematyki i trzecią z filozofii?

- Zmieniłaś kierunek?

- Tak, po pierwszym roku. Pomyślałam, że w gruncie rzeczy obie te dziedziny dotyczą tego samego. W matematyce byłam dobra, w filozofii nie. Przerzuciłam się na miłość i doznałam rozczarowania. No i grałam.

- Doznałaś rozczarowania? Jak to?

- Opowiem ci kiedy indziej. To był skandal. Napiszę o tym. Sztukę pod tytułem „Katherine dorosła”.

I znowu zabrzmiał jej nerwowy śmiech.

- A co z Towarzystwem Jednorożca, które dzisiaj założyliśmy?

Adam roześmiał się z satysfakcją.

- Wieczór był udany, zgodzicie się chyba? Naprawdę byłem zadowolony.

Katherine zaciągnęła się głęboko, po czym wydmuchała wielki kłęb dymu.

- Adam powiedział, że w moim zespole potrzebuję kogoś, kto sprowadzi mnie na ziemię. Powstrzyma mnie od zapalania się. Mówi, że jestem zbyt niestała.

- Wydaje mi się, że użyłem słowa „nieprzewidywalna”.

- Masz zamiar urządzić następną imprezę? - Robert wciąż mówił do Adama.

- Chciałbym bardziej się dostroić. Nie jestem pewien, jak wydobyć z uczestników to, czego się dowiedzieli. Nie jestem nawet pewien, co to może być. Wiem, jak to wygląda. Wiem, co może zawierać, wiem, z jakich elementów może się składać. To był eksperyment. Próbuję się nauczyć, jak tworzyć doświadczenia dla ludzi. Wszyscy musimy to przetrwać.

- Czasem światło jest tak intensywne, że doświadczyć je można wyłącznie jako ciemność - powiedziała Katherine. - Czasami obecność jest tak przemożna, że doświadczyć ją można tylko jako nieobecność. I odwrotnie. Rozumiem, do czego zmierzasz.

- W gruncie rzeczy myślę, że „Pisma Newtona” mogłyby być następnym projektem Towarzystwa. Nasz rycearz jest wojskowym, cholernie dobrze sobie radzi z oświetleniem i tak dalej. Jego dama to doskonała szwaczka, nie wiem, czy zwróciłeś uwagę na jej strój, uszyła go sama. Książ - urodzony kierownik sceny. Droga stara dziwka jest wyśmienitą aktorką. Kat reżyseruje, ty zajmujesz się produkcją, ja wtrącam się do wszystkiego: idealny układ.

- Lepiej zabierzmy się za pisanie - powiedziała Katherine. - Zamierzam pracować nad tym utraconym dziełem. Adamie kochany, dziękuję. Dobranoc. Robercie, będziesz taki miły i mnie odprowadzisz?

Robert podniósł się z krzesła, podczas gdy Katherine i Adam zwarli się w gorącym uścisku. Kiedy byli przy drzwiach, do głowy przyszło mu pytanie.

- A tak z ciekawości, dlaczego do dziesiątej nie miałem prawa się odezwać?

Adam uśmiechnął się.

- Przyjacielu, zaobserwowałem podczas spotkań towarzyskich, że kiedy jesteś zdenerwowany albo próbujesz zrobić dobre wrażenie, wypowiadasz na minutę mniej więcej czterokrotnie więcej słów niż zwykle. To naturalna reakcja na stres, taka sama jak jej przeciwieństwo, kiedy człowiek zaczyna się albo milknie.

- Kiedy właściwie miałeś okazję mnie obserwować?

- Robercie, moi szpiedzy są wszędzie. Kiedy doszedłem do wniosku, że w interesie nas wszystkich jest, żebyś zrobił dobre wrażenie na Kat, pomyślałem, że powinniśmy kazać ci zamilknąć i w ten sposób skłonić do cichego flirtu i oczarowania jej bez słów - co najwyraźniej ci się udało.

Katherine ujęła Roberta pod ramię, patrząc na Adama.

- Pozwoliło mi też, panie Hale-Devereaux, sądzić przez chwilę, że to ty ukrywasz się pod kostiumem, nie Robert.

Adam uśmiechnął się szeroko.

- Dobranoc, przyjaciele.

Katherine nie poruszyła się.

- Ile musiałeś zapłacić, żeby ten czarny koń pojawił się w forcie Wandlebury? Czy miał siedzieć na nim rycearz?

- Ach, to jedna z niespodzianek wieczoru. Widzicie, nikomu za nic nie płaciłem. Nie mam zielonego pojęcia, co ten koń tam robił.

NOWY JORK, 26 SIERPNI 2004

Stróż kilkakrotnie zamrugał, po czym szeroko otworzył oczy. Siedząc w absolutnym bezruchu, na nowo przyzwyczajał się do otoczenia. Wcześniej zapadł w stan głębokiej medytacji. Teraz, po powrocie do świata realnego, stwierdził, że jego troski nieco zmalowały. Był nawet trochę podniecony. Gra się zaczęła. Wezwano pomoc. Ryzyko było ogromne, nie wszystkie rzeczy potrafił dojrzeć. Jednakże pierwsze kroki zostały zrobione.

Jego wzrok spoczął na korkowej tablicy nad biurkiem, na której pomiędzy notatkami, diagramami i pocztówkami przedstawiającymi najsłynniejsze budynki Nowego Jorku widniały fotografie dwóch mężczyzn i kobiety.

Trzy niezwykle talenty, związane przez los, połączone przez lata w niekończącym się tańcu...

Trzeba przejść próby. To jedyny sposób. Próby, zdrady i cierpienie.

Zegar tykał. Wszystko potrwa najwyżej tydzień.

Wyczuwał siłę potężnej woli Adama Hale'a. Adam walczył.

Stróż zamknął oczy, kierując uwagę do wnętrza. Modlił się.

Pierwsza będzie Próba Ziemi. Może okazać się końcem. Nie było jednak innego wyboru jak podjąć ryzyko.

Po niej przyjdą Próby Wody, Powietrza, Ognia. Cztery próby, cztery dni, cztery schowki. Cztery klucze do urządzenia. Cztery możliwości, że Robert umrze. Cztery śmierci, którym musi stawić czoło.

A potem tajemnica się pogłębi.

Przejście przez cztery próby - jeśli tego dokona - pozwoli mu zapanować nad czterema podstawowymi żywiołami. Zrównoważenie ich stworzy piątą, będącą niewidzialną bramą, bardziej przezroczystą niż powietrze. Eter, kwintesencja. A jeśli Robert znieśie otwarcie bramy, poprowadzony zostanie do dwóch następnych, także niewidzialnych, chyba że nauczy się patrzeć. Szósty element to umysł albo światło. Siódmy to duch albo miłość, wypełniający i ogarniający wszystkie pozostałe. To Droga. Jedyny sposób. On pomoże, gdzie zdoła, ale przede wszystkim będzie obserwował. Dlatego jest ich Stróżem.

Znowu zamknął oczy i zaczął się modlić z żarliwością większą niż przedtem.

Stróż nauczał mężczyzn i kobiety, wiedział, że istnieje tyle odmian Drogi, ilu jest ludzi.

Trzy dni wcześniej, kiedy Adam przygotowywał się do odwiedzenia Iwnwu, Stróż spotkał się z nim w Central Parku, w ośmiokątnym ceglany Domu Szachów i Warcabów, i tam dyskutowali o mających nastąpić wypadkach. Siedzieli przy jednym z szachowych stolików i konferowali. A potem Stróż odesłał Adama. Został sam i przygotował mapę prób dla Roberta Recklissa.

To będzie wyścig z czasem: Robert musi podążać Drogą na tyle szybko, by dotrzymać kroku słabnącemu oporowi Adama, a równocześnie na tyle wolno, by nie zabiła go nadmierna prędkość. Zadaniem Stróża będzie zrównoważenie woli oporu Adama ze zdolnością ewoluowania Roberta. Jeden idzie w górę, drugi upada.

Robert musi przetrwać Drogę Seta. Nie ma innej możliwości. Zostanie rozdarty na strzępy i zbudowany na nowo, a wszystko w siedem dni, nie więcej. Adam nie będzie w stanie dłużej opierać się Braterstwu. Nawet Stróż nie przeszedł takiej drogi. Nie byłby w stanie.

Wielowymiarowe próby będą dotyczyć miejsc, wzorów, działań i doświadczeń splecionych misternie w całość. Roberta trzeba skłonić, by poznał i przyjął określone fizyczne i psychiczne energie, jedną po drugiej, każdą budując na poprzedniej.

Próby będą związane z bliską detonacją Ma'rifat'a - podążając Drogą, Robert musi odnaleźć klucze i zneutralizować siatkę, na której zostały ułożone.

Stróż widział siatkę okiem umysłu. To był znany wzór szczególny klucz służący okiełznaniu energii fizycznych i duchowych światów. Twórca Ma'rifat'a, korzystając z tych

samych sił, zwiększył moc urządzenia przez połączenie dwóch punktów centralnych na dolnym i górnym Manhattanie. Robert pójdzie ich śladem przez miasto, przechodząc przez kolejne próby.

Trzeba wtajemniczać go powoli i ostrożnie. Wychowano go na sceptyka, wpojono mu wrogość do zasad Drogi. Tak więc Stróż początkowo nadał próbom postać jednej z gier Adama, tak by Robert znalazł się na znajomym gruncie. Adamowi kazał przed spotkaniem z Braterstwem Iwnwu wysłać główny klucz, jądro, do Roberta. Zresztą i tak musiał się go pozbyć. Dzięki temu Katherine mogła mu pomóc w kształtowaniu pierwszego doświadczenia.

Droga Seta nazwana została imieniem bohatera starożytnego egipskiego mitu, który zamordował swojego brata Ozyrysa, króla dobrotliwego i cywilizowanego. Set porąbał go na kawałki i rozrzucił jego członki na cztery strony świata. Izyda, żona i siostra Ozyrysa, pozbiierała je, ożywiła męża i poczęła z nim syna, którego ukryła na bagnach, dopóki nie osiągnął dojrzałości. Kiedy to się stało Horus, bo tak brzmiało imię syna, napadł na Seta, by pomścić ojca. W bitwie wzajemnie się zranili, ale żaden nie potrafił przechylić szali zwycięstwa na swoją korzyść. Sprawę rozwiązał dopiero trybunał bogów, który wydał wyrok skazujący Seta na zesłanie w mrok jako złego boga pustyni, chaosu i burz.

Sam mit, jak wiele podobnych mu w kulturach całego świata, w części odzwierciedlał milenijne bitwy toczone pomiędzy tymi, którzy zapoczątkowali Drogę Stróża i Braterstwo Iwnw. W Chinach przodkowie Stróża znani byli jako Fan Kuang Tzu albo Synowie Odbitego Światła. W starożytnym Meksyku żyli wyznawcy cywilizowanego kapłana Quetzalcoatla, Pierzastego Węża oraz jego wroga Tezcatlipoca albo Dymiącego Zwierciadła.

Każdemu etapowi towarzyszył prosty dylemat: zabić albo dać się zabić. Droga Seta rozpocznie się od śmierci.

Na początku Robert będzie musiał się zmierzyć z najpotężniejszymi, najbardziej surowymi i chaotycznymi energiami, tkwiącym w stanie uspienia w jego wnętrzu, związanymi z plemiennymi reakcjami, zabijaniem i walką o przetrwanie i terytorium - z mocami ziemi.

Aby przejść tę próbę, Robert musi pogрузić się w działania i doświadczeniach towarzyszących śmierci, uzyskać dostęp do mocy przetrwania drzemiących w nim samym i znaleźć sposób na uniknięcie ich mrocznej strony

Część z tych, co kroczyli Drogą, nigdy nie wyszła poza ten etap i poświęciła się wyłącznie walce. Dla takich ludzi, niezdolnych do uwolnienia się z władzy mrocznych aspektów energii przetrwania, życie stało się wyłącznie brutalnym zmaganiem o dominację.

Robert będzie musiał stawić czoło atakowi Iwnwu. Walczyć o życie z realną szansą, że może przegrać. I będzie musiał zajrzeć w samo jądro tych energii, zobaczyć, co leży u podstaw nienawiści i pogardy, zyskać ich siłę, równocześnie wykraczając poza ich cień.

Odnajdzie klucz o okrągłym kształcie

Stróż modlił się za niego.

CAMBRIDGE, MARZEC 1981

Przy drzwiach do swojego pokoju Katherine spojrzała na Roberta i westchnęła.

- Wejdiesz?

- Boże, tak.

Pierwszy pocałunek był elektrycznością i krwią, winem i papierosami. Katherine cicho jęczała, przytulając go mocniej. Objęli się o meble i szarpali z guzikami. Drogę do łóżka znaczył szlak zniszczenia.

Katherine zdjęła suknię czarownicy. Stali się jednością szeptając dźwięki, których nie rozpoznawał, ich oddech pachniał miodem i pomarańczą. Pożerała ich żądza.

Robert, wciąż na wpół ubrany, zasnął na jej łóżku. Kiedy się obudził, Katherine, która już zdążyła wziąć prysznic, krążyła po pokoju w męskim szlafroku. Podeszła do łóżka. Robert rozwiązał pasek jej szlafrocka i zaczął ją całować po całym ciele. Odsunęła się z uśmiechem.

- Pora zająć się pisaniem - powiedziała. - Trochę magii, trochę pisania, trochę seksu. Dobrze? Pomożesz mi?

Wykonując jej polecenie, przesunął stolik na środek salonu i tak ustawił krzesła, żeby mogli siedzieć przy każdym jego boku.

- Przyda się parę świec. - Zapaliła je i umieściła w różnych punktach pokoju.

Robert przyglądał się jej zafascynowany.

- Lubisz tworzyć nastroj. Bardzo odpowiedni. Naprawdę jesteś czarownicą?

- Adam tak uważa.

- Pociągasz go.

- To prawda, choć na sztuce zależy mu bardziej niż na mnie. I dlatego nie śpimy ze sobą. Tłumimy pożądanie. Ale mam swoje małe sztuczki. Sztuczki czarownicy

- Należą do nich surogaty? Takie jak ja?

- Nie jesteś surogatem, tylko Robertem Recklissem.

- Dlaczego myślisz, że jesteś czarownicą, a nie po prostu czarodziejką?

- Słyszałeś o magiji? Przez „j”.

- Kojarzy mi się z Tommym Cooperem.

W stojącym na podłodze czajniku elektrycznym zagotowała się woda.

- No, niezupełnie. To tabu, a ja je uwielbiam. Są takie seksowne.

- Więc na czym to polega?

- To nie jest rzeczywiste. Bawię się, a celem jest uwolnienie podświadomości. Tylko że podświadomość jest bardzo potężna. O wiele potężniejsza, niż sobie zdajemy sprawę.

- Chodzi ci o śpiewy, inkantacje i tego rodzaju rzeczy?

- Też.

- Co mówiłaś, kiedy się kochaliśmy?

- To był sposób na nadanie aktowi większej siły, intensywności.

- Słowa tak na ciebie wpływają?

- Jeśli w nie wierzysz, to oczywiście tak.

- Więc to jednak jest rzeczywiste.

- Zdefiniuj rzeczywistość. Wszyscy tworzymy własną. Herbaty?

Katherine wstała, by nalać gorącej wody do dwóch kubków stojących na niskim stoliku przy biurku, po czym przeniosła je na stół.

- Będzie ci smakować. Magiczna herbata.

- Co w niej jest? Oko traszki?

- Tak. I parę innych rarytasów.

Robert podejrzliwie przyjrzał się zawartości kubka. Była zielona.

- Czy to legalne?

- Zaufaj mi. Będzie ci smakować.

Upił łyk. Herbata była gorzka, ale dość przyjemna w smaku.

- O jakim skandalu mówiłaś u Adama?

- Miałam romans z kierownikiem działu nauczania. Przez prawie cały pierwszy rok. Przeniosłam się na filozofię, żeby pełniej stać się postacią z jego marzeń, jego kreacją, jako że wykładał właśnie filozofię i tego pragnął.

- Co w tym złego?

- Musiałbyś zapytać jego żony Zerwałam z nim tego samego dnia, kiedy od niej odszedł, biedaczysko. Takie niebezpieczeństwo wiąże się z postaciami z marzeń. Mogą zwrócić się przeciwko tobie.

Robert napił się herbaty.

- Czy w Fens jest dużo dziewcząt takich jak ja?

- O tak, mnóstwo u nas czarów. Niektóre są niesamowite. W mojej rodzinie były... wyznawczynie. Kuzynki, ciotki. Ale nigdy ich nie poznałem. Nie wolno mi było. Wychowano mnie w niewierze. A ja wolę nie wierzyć.

- Dlaczego?

- Ponieważ gdybym wierzył, świat stałby się przerażającym miejscem.

- Robercie, świat jest przerażającym miejscem.

- Jak to?

- Straciłam matkę, kiedy miałam dwanaście lat. Brat Adama umarł we wczesnej młodości.

- Naprawdę? To znaczy... nie wiedziałem. Tak mi przykro.

- Później. Nie ma o czym mówić. Teraz spróbujemy zdobyć materiał na trzeci akt.

- Jak?

- Zapytamy Wiji.

- Kogo?

- Tabliczki Ouija, głuptasie. Zobaczymy, co nam powie. Przedtem się udało, więc nie widzę powodów, żeby teraz miało nie zadziałać.

Robert siedział w absolutnym bezruchu i gapił się na mą. To były jakieś bzdury.

Katherine przyniosła zza parawanu okrągłą tabliczkę i położyła na stole. Wokół krawędzi na pąsowym tle widniały czerwone litery alfabetu. Usiadła naprzeciwko Roberta, w dłoni trzymała szklanę.

- Zrób to ze mną.

Robert nie poruszył się.

- Nie ma czego się bać - powiedziała ze śmiechem. - To nie jest rzeczywistość, tylko nasza podświadomość, sposób na wejście w nią. Napij się herbaty i pomóż mi.

Z ociąganiem złączył dłonie z jej dłońmi.

- Bądź Adamem - mówiła śpiewnie Katherine. - Myślisz, że to też kompletne bzdury. Robisz to, żeby zrobić mi przyjemność.

- Bardzo ci zależy, żebym był Adamem, prawda?

- Jeśli będziesz bardzo dobry, później zajmiemy się magią seksu. Uwielbiam to mówić. Magija seksu. Spodoba ci się, zobaczysz. Będę się kochała z wami oboma.

Robert napił się herbaty, po czym położył palce na odwróconej szklance, stykając ich czubki z jej palcami.

- Czekaj, czegoś brakuje - powiedziała Katherine. - Już wiem. - Podeszła do łóżka i wzięła maskę oraz pelerynę, które rzucił tam, kiedy się kochali. - Włóż je, to poprawi nastrój.

Roześmiał się, choć ogarnął go strach.

Katherine podała mu części stroju.

- Proszę, Robercie.

Przez chwilę się wahał. Ale do diabła, to tylko zabawa.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.



Ubrał i na powrót zajął miejsce za stołem, stykając palce z jej palcami na szklance. Katherine wzięła głęboki oddech.

- Możemy zaczynać. Poszukujemy odpowiedzi. Czy możemy zadać pytanie?

Nic się nie wydarzyło. Robert zamknął oczy. To nie dzieje się naprawdę.

- Poszukujemy odpowiedzi. Czy możemy zadać pytanie? Nie chcemy nikogo skrzywdzić.

Wciąż nic.

- Moja niewiara psuje zabawę - powiedział Robert. -Przykro mi.

I wtedy szklanka się poruszyła. Katherine głęboko oddychała, oczy miała zamknięte. Powietrze nagle się oziębiło. Czubki ich palców ledwo się stykały Robert zmusił się, by zachować spokój i obserwować.

Szklanka przesunęła się kolejno na litery: T... A... K.

- Niechaj czas i miejsce ulegną zmianie. Jest zima roku 1677. Znajdujemy się w drewnianej szopie mieszczącej laboratorium, na południe od kaplicy Trinity College. Jest pożar. Czy możemy zobaczyć ten pożar?

Szklanka znowu się poruszyła. Robert nie wiedział, w jaki sposób Katherine to robi, ale uzyskiwała odpowiedzi, o jakie jej chodziło. Tworzy własną postać ze snu, powiedział sobie: ducha przynoszącego słowa i doznania z miejsc, które sama boi się odwiedzić. T... A... K.

- Jest pożar, tutaj jest to miejsce, dołącz do mnie i Adama. .. to znaczy do mnie i Roberta, żebyśmy mogli zobaczyć papiery, które spłonęły.

N... I... E.

Nagle zakreśliło mu się w głowie. Zamknął oczy.

- Nie widzę tych papierów. Czy możesz mi je pokazać? Proszę, pokaż mi je.

Z... A... K... A...

Robert poczuł, że pędzi w powietrzu. Otworzył oczy. Siedział nieruchomo na krześle. Katherine oddychała regularnie, choć coraz głębiej. Czoło pokrył mu zimny pot. Szklanka znowu się poruszała. Z... A... N... E.

Robert zamknął oczy. Wrażenie podróży w przestrzeni ustało, a on znajdował się w cudzym umyśle - sześć lat temu. Żal i wyrzuty sumienia zalały go wielką falą. Pograżony był w myślach o bracie, którego nie miał. Bracie Adama. Nie potrafił oderwać palców od szklanki. Był w wielkim starym domu w Buenos Aires, boleśnie pragnął, by Moss wrócił, choć wiedział, że to niemożliwe. Moss Hale-Devereaux. Zmarł w czternastym roku życia. Tłum lekarzy i księży, niewiarygodne cierpienie. Rodzice zgorzkniali i zamknięci w sobie. Wyrzuty sumienia, których nic nie stłumi. Robert siłą oderwał myśli od tych obrazów.

- Jestem Adamem - usłyszał swój głos i poczuł, jak poruszają się jego usta. Rozległ się stukot maszyny do pisania. Robert nie potrafił unieść powiek. - Co się ze mną dzieje?

Czuł siłę grawitacji, gęstą masę przyciągającą go do swego źródła. Leżał na plecach, nad nim unosiła się Katherine. Blisko swojej widział jej twarz, niematerialną niczym mgła. W pokoju Adama. W łóżku Adama. Kochała się z nim, a on był Adamem.

- Czas i miejsce się przenikają - powiedziała Katherine. Jej głos dochodził z daleka. - O czym traktują te pisma? Jaka jest treść spalonej książki? Pokaż mi.

Szklanka zawirowała jak szalona pod ich palcami. Robert znowu usłyszał stukot maszyny do pisania. Otworzył oczy i spojrzał na Katherine. Widziała go na wylot, całą jego żądzę i przerażenie. Szklanka skoczyła na F, potem na L.

- Zapamiętaj to! - krzyknęła Katherine. - Zapamiętaj! A... M... M... A... U... N... I... C... A... C... L... A... V... I... S... M... U... N... D... I...

Pod powiekami Roberta eksplodowało nieznośne, rozłupujące czaszkę światło. To było światło, którego nauczył się bać, zaprzeczać jego istnieniu, gdy czuł, jak połyskuje w jego umyśle. Teraz po raz pierwszy płonęło z wnętrza jego głowy, równocześnie wspaniałe i przerażające. Światło zmywało granice pomiędzy Robertem a Adamem, Robertem a

Katherine, wszyscy troje tańczyli, wtopieni w siebie nawzajem. Czuł, jak w jego ciele zapala się intensywne białe światło, które przeskoczyło z jego palców do palców Katherine, a od niej do Adama. Doznanie było zbyt silne. Zakazane. Robert nie potrafił go znieść.

Krzyknął ile sił w płucach. Dość tego. Kopnął w stół, zwalając na podłogę tabliczkę i szklankę. Nie widział Katherine. Ściągnął maskę na bok, sznurki kołysały mu się na gardle. Zerwał jeden i przerzucił maskę na ramię. Maszyna do pisania umilkła. Robert skoczył przez pokój i wyrwał kartkę papieru z wałka. Przeczytał:

MADAM OTOM ADAM  
MADAM OTOM ADAM  
MADAM OTOM ADAM  
FLAMMA UNICA CLAVIS MUNDI  
FLAMMA UNICA CLAVIS MUNDI  
FLAMMA UNICA CLAVIS MUNDI.

„Kluczem do świata jest pojedynczy płomień” - przetłumaczył.

Krew zastygła mu w żyłach. Czy to są słowa z zakazanego dokumentu? Mógłby przysiąc, że żadne z nich nie zbliżyło się do maszyny do pisania. Ale gdzie jest Katherine? Wciąż był niesamowicie związany z nią i Adamem.

Zatoczył się, czując straszliwie piekący ból na twarzy. Okiem umysłu zobaczył płomienie, regały z książkami wyschniętymi na wiór, zajmujące się ogniem... Pokój Adama... Katherine kochająca się z Adamem, Katherine kochająca się z nim, nieświadoma szalejącego wokół ognia... nienaturalne światło, żółte, przerażające...

W głowie mu wirowało, kolana się pod nim ugięły. Rzucił się w stronę łóżka, wołając Katherine. Potem poczuł na sobie dłonie, anielskie, kojące. Stracił przytomność.

Kiedy się ocknął, Katherine nie było.

Z wysiłkiem podniósł się na nogi, porządkując doznania. Zawroty głowy. Dziwna jasność myśli. Przewrzenie. Pożar. O Boże, pożar.

Robert ruszył pędem. Korytarz, schody, otulony mgłą dziedziniec. Wybiegł na King's Parade, minął Senates House. Obraz był tak rzeczywisty, że czuł wzmagający się żar. Płomienie liżące drzwi. Nienaturalne światło. Musi ich uratować.

Skoczył w Trinity Street. Był koło Kajusza, kiedy zegary wybiły północ. Pelerynę wydymał wiatr, maska podskakiwała mu na plecach.

Wreszcie dotarł do Great Gate w Trinity College. Zaczął walić w okno stróżówki i wołać, żeby go wpuścili.

- Pożar! Pali się w Neville's Court!

- Może się uspokojmy, szanowny panie?

- Pali się! Pomóżcie mi!

- A skąd o tym wiemy, szanowny panie? Jesteśmy członkiem college'u?

Rozepchnął stojących mu na drodze, pędem wbiegł na Great Court. Usłyszał, że go gonią.

- Hej! Tutaj!

Wbrew zakazom Robert przebiegł na ukos po trawie, ignorując ścieżki. Przejściem dotarł do Neville's Court. Zeskoczył po kamiennych schodach na północną arkadę; jego kroki odbijały się głośnie jak kroki Newtona trzysta lat wcześniej. Wybiegł na piętro, pognął mrocznym korytarzem. Zobaczył gaśnicę, zerwał ją ze ściany.

Pod drzwiami jak cienie tańczyły języki ognia.

Drzwi nie były zamknięte. Robert otworzył je na oścież. Katherine i Adam leżeli bez ruchu na łóżku, wciąż spleceni w uścisku. W ciemnych obłokach dymu Robert zobaczył twarz

śmierci: pojedyncze oko, bezdennie czarną źrenicę spoglądającą z żółto-niebieskiej tęczówki, emitującej długie czerwone promienie podobne do błyskawic.

- Odejdź! - krzyknął.

Słowo wypłynęło gdzieś z samego dna jego przerażonej duszy.

Wylókł Katherine na korytarz. Wciąż oddychała.

Za jego plecami pojawili się dwaj portierzy - powierzył im Katherine. Rozległ się alarm przeciwpożarowy, jeden z portierów walił kolejno w drzwi na korytarzu. Robert wrócił do mieszkania, gaśnicą robiąc sobie przejście w płomieniach. W sypialni zobaczył, że palą się luźne kartki i skrypty leżące przy łóżku. Złapał Adama i przez salon wylókł go na korytarz. Adam był półprzytomny, mamrotał coś pod nosem.

- Moss?

- Jestem Robert.

Z oddali dobiegł ryk syren. Z mieszkań wychodzili lokatorzy. Jeden pomógł mu znieść Adama po schodach na dziedziniec, gdzie portier otulał siedzącą na trawie Katherine niebieskim kocem. Zobaczyła go.

- Robercie! - zawołała. - Coś ci się stało!

- Wywołałem pożar.

- Nic ci nie jest?

- Przewróciłem stół. Od tego zaczął się pożar.

- Przewróciłeś stół. Krzyczałeś coś o pożarze. Przeraziłeś mnie. Zachowywałeś się bardzo dziwnie. Myślałam, że zrobisz sobie krzywdę.

- Straciłem przytomność.

- Pomogłam ci się położyć. Zemdlałeś. A potem poszłam do Adama.

- Ja byłem Adamem.

- Mówiłeś różne rzeczy. Mamrotałeś. - Twarz jej się ściągnęła i wybuchnęła płaczem. - Przeraziłeś mnie! - Zaczęła trząść się na całym ciele.

- Jest w szoku - powiedział portier. - Najlepiej pan zrobi, jak zostawi ją pan samą.

Na dziedziniec wjeżdżały karetki pogotowia i wozy strażackie. Robert ukląkł, by przytulić Katherine, ale siedziała nieruchomo jak posąg, tylko po jej policzkach toczyły się łzy.

- Katherine, dodałaś czegoś do herbaty?

Wyciągnęła rękę i uderzyła go raz, potem drugi.

- Nie bądź głupi. Przecież tylko się bawiliśmy. To był rumianek.

Portier odepchnął Roberta.

- Denerwuje ją pan. Niech pan ją zostawi w spokoju.

Spotkali się kilka dni później u Katherine, którą dopiero co wypisano ze szpitala. Pili kawę w milczeniu, żadne nie chciało odezwać się pierwsze. Wreszcie przemówił Adam:

- Robercie, ocaliłeś nam życie.

- Nie ma o czym mówić.

- My tak nie uważamy. Na zawsze będziemy twoimi dłużnikami.

W jego umyśle pojawiły się straszliwe obrazy. Nie potrafił ich powstrzymać.

- Nie mogę o tym rozmawiać, przykro mi.

Katherine położyła mu dłoń na ramieniu.

- Adam uważa, że doznałeś przebudzenia. Spontanicznego otwarcia się na moce psychiczne. On wcześniej je w tobie dostrzegł, widział twój potencjał.

- Proszę, przestań tak mówić. To nonsens. Jeśli twierdzisz, że niczego nie dodałaś do herbaty, wierzę ci. Pamiętam, że mnóstwo wypilem. Myślę, że w ostatecznym rozrachunku byłem po prostu zazdrosny. Po tym, jak odleciałem przy tabliczce Ouija, byłem zazdrosny o

Adama, o to, że poszłaś kochać się z nim. Więc zacząłem walić do drzwi, rzucać kamieniami w okna, bić się albo robić coś równie dziecinnego.

- Robercie, moim zdaniem to było coś zupełnie innego - powiedział Adam.

- Niech myśli, co chce - upomniła go Katherine łagodnie. - Ale uważam, że chyba nie powinniśmy przez jakiś czas się spotykać.

- Jesteśmy związani ze sobą na zawsze - powiedział Adam. - Splątani. Aczkolwiek krótka rozłąka to dobry pomysł. W końcu niektórzy z nas mają przed sobą końcowe egzaminy. Obawiam się, że musimy odłożyć na bok „Pisma Newtona”. Pisanie teraz sztuki jest zbyt niebezpieczne. Może na zawsze będziemy musieli zrezygnować.

Robert prychnął.

- Co za bzdury

Czuł, jak strach pulsuje tuż pod powierzchnią jego racjonalnego, żyjącego w świetle dnia, budującego systemy umysłu. Siłą woli odepchnął go głębiej w mrok. Na krańcach świadomości czaiły się straszne, przerażające rzeczy, chaotyczne i złe; rozważanie ich także było złe. Krzywdzące jego samego i innych. Rodzice mieli rację, trzymając go z dala od takich rzeczy. Zrobił więc to, czego nauczyli go rodzice. Nastroił umysł na chłodny, kliniczny ton, który zaprzeczał istnieniu takich spraw, pozbawiał je życia.

- Wierz, w co musisz - powiedział Adam z uprzejmym uśmiechem. - Teraz możesz się od tego odwrócić. Niewykluczone jednak, że nadejdzie pora, gdy twoje moce będą potrzebne, czas wielkiego niebezpieczeństwa, i zostaniesz wezwany. Przyrzeknij mi tylko, że nie odwrócisz się, gdy takie wezwanie nadejdzie.

Robert w milczeniu spojrział mu w oczy, potem przeniósł wzrok na Katherine. Była taka piękna.

- Nie mogę nic takiego przyrzec - odparł.

Katherine nachyliła się i oparła dłoń na jego kolanie.

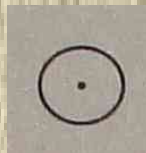
- Byłeś bardzo odważny, Robercie - powiedziała. - Ty mój nieustraszony rycerzu.

Robert uniósł do ust jej palce i ucałował je, potem wstał i uścisnął Adamowi dłoń.

- Muszę iść. Przykro mi.

# Część druga

## Próby



### 1

#### *Próba Ziemi*

NOWY JORK, 26 SIERPNIĄ 2004

Robert wyszedł z mieszkania na Greenwich Street z Quadem w ręce i słuchawką w uchu. Na zewnątrz było wilgotno i parno, po kilku krokach zaczął się pocić. Czekał, aż GPS złapie sygnał z satelity.

Rozległ się dzwonek telefonu. Robert odebrał. W słuchawce trzeszczało, ale nikt się nie odzywał.

- Terri? - zapytał.

Milczenie.

- Zostawiam linię otwartą, zgoda?

Czy to czyjś oddech? Robert nie potrafił stwierdzić.

Musi spotkać się z Terri. Zrozumieć, co tu się dzieje.

Na ekranie Quada pojawił się schematyczny ludzik stojący na ziemskim globie. Nad jego głową migały cztery satelity.

- Czekaj... szukam... - usłyszał; ledwo widoczne kropkowane linie wybiegły z dłoni ludzika do każdego z satelitów, nabierając mocy, gdy łączność została nawiązana.

- Jak długo to trwa? - zapytał Robert.

Usłyszał trzaski, ale nikt mu nie odpowiedział.

Po czterech minutach Quad zapiszczał. Na ekranie widniał napis: „Gotowy do nawigacji. Dokładność: 70 stóp”.

Robert wybrał polecenie „Idź do punktu 025”, na ekranie pojawiła się strzała wskazująca na południowy wschód. Ruszył osłoniętą drzewami stroną Greenwich Street; urządzenie właściwie odczytywało jego tempo, wyświetlając komunikat „1,6 mili, prędkość 2,5 mili na godzinę”.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i skręcił w lewo w Christopher Street, kierując się ku stacji metra linii 1 i 9.

Nagle, bez ostrzeżenia, tuż po tym, jak dotarł na drugi brzeg Hudsonu, w jego głowie rozbrzmiał młody kobiecy głos, a ulica pod jego stopami zabłysła od gwiazd i brylantów.

- Witaj, Robercie. Słyszysz mnie?

-Tak.

- Świetnie. Pomogę ci. Będę cię osłaniać.

- W jaki sposób?

- Trudno to wyjaśnić. Powiedzmy, że cię widzę, że potrafię wyczuć, co cię otacza.

- Ale jak? Jesteś w stanie odczytać lokalizację Quada? Poprzez GPS?

- Coś w tym rodzaju. Potraktuj to jako metaforę. Jestem... wyczulona na twoje otoczenie.  
- Czy tym, którzy ewentualnie będą mnie śledzić, chodzi o to, żeby nie dopuścić do rozwiązania zagadki i znalezienia schowka? Czy oni też tego szukają?  
- Nie wiem. Niewykluczone, że pomogą ci w zrozumieniu zagadki, ale mogą też próbować zrobić ci krzywdę. To nietypowa sytuacja. Teraz się pośpiesz. Skontaktuję się z tobą, gdy wyjdiesz z metra.

Robert szedł na wschód, mokry od potu. Neony i detale budowli zdawały się napływać ku niemu ze ścian i chodnika. Wypożyczalnia wideo. Studio tatuażu. Dwie spirale w ceglach po lewej miały w sobie coś hipnotycznego. Chryste, w witrynach sklepowych są figurki Freuda. Seksowna bielizna dla dziewcząt i chłopców, kubańska restauracja... po drugiej stronie Bleecker kwaciarnia na rogu, warsztat ślusarski ukryty głęboko w suterenie, stary kościół z napisem wzywającym przechodniów, by się wzajemnie miłowali, bar dla gejów Boots and Saddles. Później Yillage Cigar z dziwną trójkątną plakietką w chodniku - najmniejsza prywatna nieruchomości na Manhattanie. Robert zszedł do metra.

Pociąg nadjechał niemal natychmiast. Grzechocząc i kołysząc się, przebyli pięć przystanków do Rector Street, mijając zamkniętą stację Cortlandt Street, znajdującą się tuż pod Strefą Zero. Zbudowano ją w miejscu stacji zniszczonej podczas ataków z jedenastego września, kiedy fragmenty ruin wpadły przez dach na tory

Robert wysiadł i przez żeliwną bramkę pobiegł do wyjścia. Wyszedł na Greenwich Street, gdzie niegdyś znajdowało się nabrzeże Manhattanu, tuż koło baru topless o nazwie Pussy Lounge. Przeszedł na drugą stronę Rector Street i ruszył na wschód ku Trinity Place, gdzie pod kościołem pod wezwaniem Trójcy Świętej wznosił się potężny mur oporowy. Mur oddychał, niczym klatka piersiowa rozszerzając się i kurcząc niemal o cal pod wpływem upału i zimna. Robert poznał Horace'a w czasie pieszej wycieczki po tej właśnie części miasta. Iglica kościoła Trójcy Świętej, niegdyś najwyższej budowli w mieście, wbijała się w błękitne niebo razem z młodszymi konstrukcjami wzniesionymi przy Wall Street numer 1 i 40, wysmukłą kremową wieżę w stylu art deco oraz stromą zieloną piramidą.

Robert przeszedł pod estakadą łączącą dziedziniec kościelny z budynkiem sąsiadującym z gmachem American Stock Exchange; w tym ostatnim uwagę przyciągał fronton w stylu neoegipskim oraz rzeźbienia z lat trzydziestych XX wieku, reprezentujące współczesność i postęp: statek, fabryka, silnik parowy, coś, co wyglądało na szyby naftowe, potężne buldożery. Robertowi kojarzyło się to z krzykliwym przesłaniem Rockefeller Center. Postęp! Przemysł! Mądrość!

W grubym murze otaczającym kościół znajdowało się kilka bram. Wybrał środkową, zwaną bramą Cherubina.

Wszedł po stopniach do arkady, a stamtąd na przykościelny cmentarz. Podniósł Quada, czekając, aż na otwartej przestrzeni urządzenie złapie sygnał z satelity.

Ruszył pomiędzy grobami na wschód, ku Broadwayowi Quad ożył, Robert usłyszał głos Terri.

- Nie idź prosto, skręć w lewo. Widzisz wielki nagrobek? To grób Leesona, Jamesa Leesona... Złam szyfr. Wykorzystaj sieć. Pokaż, że tu byłeś i złamałeś szyfr. Pośpiesz się. Jesteś obserwowany.

- Szyfr?

- Zobaczysz.

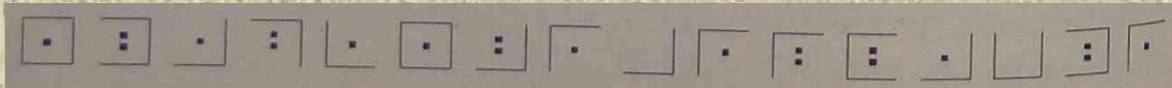
- U ciebie wszystko w porządku?

- Zrób to, proszę.

Idąc, znowu zobaczył złoto-białe wejście do Bank of New York przy Wall Street 1. Sygnał GPS-u wrócił, słabszy teraz, i skierował go na północ, po czym zanikł.

Robert zobaczył gotycki pomnik z brązowego kamienia, „poświęcony pamięci wspaniałych i dobrych ludzi, którzy zmarli uwięzieni w tym mieście za swoje oddanie sprawie amerykańskiej niepodległości”, wznoszący się przy północno-wschodnim końcu cmentarza.

Przyjrzał się uważnie otaczającym go nagrobkom; Bez trudu znalazł ten, o który mu chodziło. Inskrypcja głosiła: „Tutaj spoczywa ciało Jamesa Leeson, który odszedł z tego świata 28 dnia września 1794 roku w wieku trzydziestu ośmiu lat”. Wzdłuż górnej krawędzi nad klepsydrą i innymi tajemniczymi symbolami widniała seria znaków, która mgliście przywołała Robertowi na myśl kody z opowiadań o przygodach Sherlocka Holmesa. W tym przypadku nie były to schematyczne ludziki, ale kropki umieszczone wewnątrz zamkniętych lub częściowych kwadratów.



Przykucnął przed nagrobkiem, przyglądając się szyfrowi. Jako chłopiec widywał takie rzeczy w powieści szpiegowskiej, instrukcji do Action Mana i na butach Clarks Commandos. Pamiętał, że te buty na podeszwach miały wyryte ślady zwierzęcych łap, kiedy więc szedł się bawić na dwór, był równocześnie sobą i niedźwiedziem, jeleniem albo borsukiem. Robert przypomniał sobie tamte czasy, zagajnik, w którym się chował i rozmyślał o dręczących go problemach. Siadał wówczas na gładkim kamieniu i zatraczał się w śpiewie ptaków, czasami na długie godziny. Przypomniał sobie ptasi język, bezkresne morze dźwięków i harmonii, ćwierkanie, pogwizdywanie i śpiewy, które wydawały mu się głosem całego świata. Nigdy nie wychodził z zagajnika bez odpowiedzi na nurtujące go pytania. Teraz też puścił myśli swobodnie, zanurzony we wspomnieniach o dawno nie słyszanej ptasiej muzyce.

Poczuł, że jest głodny. Pomyślał o barze przy trasie nr 3, gdzie czasami wpadał w drodze do domu: Tick Tock Diner, neon i błyszczące metalowe pokrycie ścian. Na Ósmej Alei na poziomie hotelu New Yorker też był bar o nazwie Tick Tock, cały w neonach i chromie. Czasami Adam wyobrażał sobie, że wchodzi do Tick Tocka w New Jersey, a wychodzi z Tick Tocka na Ósmej Alei. Może wszystkie bary w stylu art deco są połączone. Może wszystkie są po prostu jednym barem. Tick Tock. Tik-tak. Tic-tac-toe. Kółko i krzyżyk, jak mówią w Anglii.

I już wiedział. Kółko i krzyżyk.

A	B	C	J	K	L	S	T	U
D	E	F	M	N	O	V	W	X
G	H	I	P	Q	R	Y	Z	

Wpisał litery alfabetu w pola do gry w kółko i krzyżyk: A w lewym górnym rogu, B w środkowym górnym, C w prawym górnym i tak dalej. Zajął trzy plansze, pierwsza zawierała litery od A do I, druga J do R, trzecia S do Z. Na pierwszej zamknięty kwadrat odpowiadał literze E, kwadrat otwarty od góry literze B, kwadrat otwarty z dołu literze H. Jak odróżnić jedną ramkę od drugiej? W niektórych kwadratach na nagrobku znajdowała się jedna kropka, w innych dwie, były też kwadraty puste.

Robert wpatrywał się w ramki. Jeśli jedna kropka oznacza pierwszą ramkę, dwie kropki drugą, a brak kropek trzecią, w takim razie hasło brzmi: E... M... A... P... C... E... J... I... S... I... R... O... A... T... M... I.

To nie miało sensu. Coś było nie tak. Chwila. Zaraz, zaraz. Trzeba przestawić litery P... A... M... I... E... T... A... J.

I dalej: O... S... M... I... E... R... C... I.

Po kręgosłupie przebiegł mu lodowaty dreszcz, mieszając się z radością wywołaną faktem, że złamał kod.

- Cholera - powiedział głośno, po części dlatego, by odpędzić strach.

Robert wpisał do Quada hasło oraz umieścił zdjęcia na stronie internetowej.

- Doskonała robota, Robercie. Zapamiętaj hasło, będzie ci potrzebne. Teraz idź na północ, dopóki nie złapiesz sygnału na GPS-ie. Stosuj się do wskazówek. Mam tu wiersz z podpowiedzią, który przed chwilą dostałam. Zapamiętaj go.

- Terri, kto ci to przysłała? Skąd wie, kiedy przysłać?

- Mówiłam ci, przysłała je Stróż. Adam powiedział, żebym mu zaufała. Wiersz jest ci potrzebny do znalezienia pierwszego schowka. Dostałam go zaraz po tym, jak umieściłeś w sieci odszyfrowaną wiadomość z grobu, więc to była odpowiedź. Może nagroda.

- Czyli to nie był pierwszy schowek?

- Nie. Ale myślę, że jest gdzieś w pobliżu. Zapisz go i pośpiesz się.

Robert wyjął ołówek i notatnik.

Nasze zero to miejsce dla bohaterów  
Strefa bycia, sposób postrzegania  
Spokojnie szukaj egipskiego detalu  
Podobnego do cyfry, by znaleźć fant  
Nasz sekretny schowek jest tam, gdzie nie złożono  
Popiołów i kości Irlandii  
Na wieczny spoczynek.  
Idź za gwiazdą w dal  
By udowodnić swą wartość i przejść Próbę Ziemi

Słyszał jej ciężki oddech. Potem zapytała:

- Zapisales? Więc ruszaj.

Szedł na północ Broadwayem, stąpając po pięcioramiennych gwiazdach w chodniku, honorujących gwiazdy sportu, bohaterów wojennych oraz zagranicznych dygnitarzy, dla których w latach pięćdziesiątych urządzano tutaj huczne parady.

Klucząc między przechodniami, minął po prawej wielką czerwoną kubistyczną rzeźbę, tkwiącą wbrew prawom fizyki na ostro zakończonym postumencie. Na zachodzie budynki się rozstępowały, ukazując potężną pustkę Strefy Zero. Dalej wznosiły się dwie ogromne budowle World Financial Center z rozjaśnionymi pomarańczowym światłem oknami.

Robert przebiegł na drugą stronę Cortland Street, spoglądając w dół na gigantyczny Century 21 Department Store. Minął sklep z bielizną New York Stocking Exchange, przeszedł przez Day, a potem Fulton. Kiedy znalazł się przed kaplicą św. Pawła, Quad złapał sygnał. Dokładność odczytu wynosiła 43 stopy. Urządzenie kierowało go na zachód. Robert ruszył w dół z boku ku Strefie Zero.

Przeszedłszy na drugą stronę Church Street, oparł czoło o metalowy płot ogrodzający ogromną wyrwę w ziemi. Stał tam krzyż zrobiony z dwóch dźwigarów znalezionych w ruinach. Ziemia święta, ziemia, w którą wsiąkła nienawiść, ale nie przepelniła jej, ziemia, która nie jest całkowicie naładowana złem; było tu coś jeszcze, nie w chrześcijańskim



znaczeniu krzyża, ale... coś, co wydawało się przeciwieństwem strachu, co przypominało owe oczyszczające, niosące wybaczenie wiatry, wiejące na Manhattanie w pierwszą rocznicę ataków z jedenastego września. Czy to możliwe? Robert zajął wzrok na samo dno wspomnień z tamtego dnia. Nie, to niemożliwe. Jego na to nie stać.

- Do diabła, o co chodzi, Terri? Jestem we właściwym miejscu? - zapytał, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Teraz Quad kierował go w stronę kaplicy. Zapędził się za daleko na zachód. Wchodząc na dziedziniec kościelny przez bramę od strony Strefy Zero, nie odrywał wzroku od ekranu: 184 stopy, 181 stóp, skręć na wschód, zostały 44 sekundy, 2,3 mili na godzinę, 150 stóp, 147 stóp. Odliczanie trwało. Robert szedł cmentarną alejką równoległą do Fulton. 96 stóp... 2,5 mili na godzinę... Przy około 69 stopach na ekranie pojawił się komunikat: „Cel blisko”. Przy 37 stopach sygnał zanikł.

Przeklinając, Robert wyjął notatnik i przeczytał wskazówki podyktowane mu przez Terri. Dokładnie przed sobą na wschodzie widział obiekt, z całą pewnością mający w sobie coś egipskiego i przypominający cyfrę.

Wielki stary obelisk z różowoszarego kamienia.

Robert skręcił z alejki na trawę, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

Na jego zachodnim boku widniały bardzo niewyraźne pozostałości liter i cyfr, a na wschodnim resztkę długiej wyblakłej inskrypcji. Z trudem odczytał nazwisko „Thomas Addis” i coś jeszcze.

Cofnął się i na skraju rabaty z czerwonymi i kremowymi kwiatami, otaczającej podstawę obelisku, dostrzegł wysoką na stopę pięcioramienną gwiazdę w metalowym kręgu z literami „U.S.” w środku - takie same widywał na grobach żołnierzy poległych w czasie wojny o niepodległość. „Podążając za gwiazdą, dojdiesz daleko”, mówiła podpowiedź.

- Tam jest schowek - odezwała się znowu Terri. - Znajdź go... tajemnica kryje się w ziemi.

- Chwileczkę. Jakoś nie mam ochoty grzebać w ziemi gołymi rękami. Kiedy się spotkamy, Terri? Musisz się ze mną spotkać.

- Nie natrafisz na żadne zwłoki, zaufaj im. Znajdź schowek.

- Wyjaśnij mi, co się tu dzieje. Spotkamy się i wszystko mi opowiesz.

- Robercie, inicjatywa nie należy do ciebie. Musisz mi pomóc ochraniać Adama.

Zapobiec straszliwemu nieszczęściu. Jeśli uważasz, że to tylko głupia gra, zrezygnuj od razu.

Robert ponad nagrobkami spojrzął w kierunku wielkiej dziury, gdzie przedtem stały wieże. Poproszono go, by pomógł powstrzymać coś jeszcze gorszego w mieście, które uznał za własne. Poproszono go, by pomógł przyjacielowi. Może to brzmi jak szaleństwo, ale dobrzy ludzie powiedzieli, że go potrzebują. A on gdzieś na samym dnie swojej świadomości odkrywał tę część siebie, od której dotąd był odcięty którą niemal zabił. Gdyby teraz stracił kontakt z Terri, pewnie nigdy by się nie dowiedział, czym jest ta część. Jeśli natomiast to tylko jakaś pokrecona zabawa, to musi odnaleźć Adama i sprać go na kwaśne jabłko.

- Nie rezygnuję.

- Nie myślałam, że to zrobisz. Jeśli teraz zerwę połączenie, nigdy więcej mnie nie znajdziesz, Robercie. Przysięgam, chcę ci pomóc. Ale musisz przyjąć moje reguły. To jedyny sposób.

- Jaki? - warknął.

- Zobaczysz. I spotkamy się. Ale najpierw zrób, co ci powiem.

Robert ukląkł przed obeliskiem i pozorując oddawanie hołdu, a może łapanie oddechu albo zapinanie buta, wsunął palce w ziemię po obu stronach metalowej gwiazdy. Nic. Kopał głębiej, ale wciąż bez skutku. Dopiero po chwili czubki jego palców dotknęły gładkiego, twardego i plastikowego przedmiotu.

Wyciągnął go i ukrył w rękawie z całą zręcznością, na jaką go było stać, później ruszył alejką.

Ukrywając pobrudzone ziemią dłonie w kieszeniach kurtki, wszedł do kaplicy. Z jakiegoś powodu czuł się bezpieczniej w jej wnętrzu. Usiadł w części graniczącej z Broadwayem i przyjął pozycję jak do modlitwy, by sprawdzić, co było w schowku. Wyjął zatyczkę z pojemnika, plastikowego futerału na cygaro, i poczuł w dłoni twardy metalowy przedmiot.

Rozejrzał się, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Jego wzrok padł na ołtarz: na połyskliwe złote promienie symbolizujące boską obecność, na wypisane w ich środku od prawej do lewej hebrajskimi znakami imię Boga. Y... H... V..., H... Jahwe. Największa zagadka ze wszystkich.

Horace powiedział mu, że ołtarz został zaprojektowany przez tego samego człowieka, który zaplanował centrum Waszyngtonu. Jego nazwisko brzmiało Pierre L'Enfant. Niektórzy uważali, że próbował zmienić miasto w potężny zegar słoneczny czy coś w tym rodzaju.

Robert znowu spuścił wzrok na dłoń, na której leżała łuska po naboju.

- Mam - szepnął do Terri.

- Chwała niech będzie Panu. Trzymaj to w bezpiecznym miejscu.

- A teraz co?

- Wyjdź. Potrzebne są twoje myśli. Znajdź miejsce i napisz raport. Umieść w sieci fotografię tego, co znalazłeś, i swoje rozważania. Potem musisz działać dalej.

- Czyli co robić? Mamy się spotkać, pamiętasz, Terri?

Odpowiedziała mu cisza.

Robert przez dziedziniec kościelny wyszedł na Broadway. Rozejrzał się i ruszył w kierunku najbliższego baru, jaki zna w tej okolicy - lokalu o nazwie Les Halles.

Był to klasyczny bar wykładany ciemną boazerią; w lustrach za plecami barmana odbijały się rzędy butelek, na kontuarze stał pojemnik z jajkami na twardo, wyglądający jak model systemu słonecznego. Prawie nikogo nie było. Zaglądając do wnętrza z ulicy, Robert pomyślał, że światło jest niemal bursztynowe. Żółtozłote lampy kontrastowały z ciemnobrązowym, niemal czarnym drewnianym tłem. Coś mu się przypominało, ale na początku nie potrafił tego dookreślić. Dopiero potem uświadomił sobie, że już wcześniej był w Les Halles na drinku z kolegami po jakimś rozdaniu nagród. Z Katherine, ubraną w elegancką kreację, poszli do toalety na piętrze, choć kelner próbował ich zatrzymać, mówiąc, że to tylko dla pań. Katherine uniosła sukienkę, chcieli kochać się w toalecie, ale stchórzyli. To było pierwsze rozdanie nagród po jedenastym wrześniu; z baru poszli do Strefy Zero i płakali.

Robert umył ręce w toalecie. Wróciwszy do baru, zamówił piwo. Musiał uporządkować myśli.

Po chwili Quad zadzwonił.

- Terri?

- Tak. Słuchaj, nic nie mów. Tutaj zaczynamy. Jesteśmy u stóp Drabiny Jakubowej. Budujemy ją, wspinając się od ciemności do światła, od strachu do miłości. Każdy stopień to próba. Pamiętaj o tym. A potem spisuj swoje myśli. Umieść w sieci,

- To jest chore i w niczym nie pomoże.

- Zrób to, bardzo proszę.

- Spotkaj się ze mną.

- Potem - Terri rozłączyła się.

Przetarł twarz rękami. Musiał się z nią spotkać.

- Pieprzyć to - powiedział.

Wziął łuskę do toalety i tam ją sfotografował; nie chciał tego robić w miejscu publicznym.

Po powrocie do baru próbował zobaczyć swoje odbicie w lustrach. Irracjonalizm. Kłębowisko uczuć, panika, a wszystko mgliste, nie do końca zrozumiałe. Uświadomił sobie jednak, że jakaś jego część chce to robić.

Otworzył przenośną klawiaturę, którą znalazł w *pied-a-terre* Adama, podpiął do Quada. Napisał krótki tekst i umieścił na stronie internetowej z pierwszej zakładki.

#### Dowód dobrej woli

*Tak jak mi poleciłaś, piszę raport. Mogę udowodnić, że wykonałem następujące czynności:*

- *Poszedłem na pierwsze podane przez ciebie miejsce. Współrzędne odpowiadały dziedzińcowi kościelnemu, z którego widać Strefę Zero na dolnym Manhattanie.*
- *Odnalazłem ukryty przedmiot. Zgodnie z instrukcją zamieszczam jego fotografię. To łuska po naboju w przezroczystym plastikowym futerale na cygaro. Nie wiem, co to oznacza. Mam zgadywać? Łuskę mam przy sobie.*

*Terri, chciałbym ci pomóc. U ciebie wszystko w porządku? W twoim głosie brzmi cierpienie. Kto jeszcze czyta nasz blog? Kto założył tę stronę?*

Robert dołączył zdjęcie łuski i czekał on-line. Po dwóch minutach Terri odpowiedziała:

*Robercie, musisz zdać sobie sprawę z tego, co cię czeka. Otrzymasz serię wskazówek, prowokacji, wyzwania, i w każdym przypadku będziesz musiał wejrzeć w siebie, by znaleźć odpowiedź. To polowanie, śmiertelne polowanie. I tylko w taki sposób możesz pomóc. Dla każdego stanu wewnętrznego istnieje stan zewnętrzny. Połącz lokalizację schowka z jego zawartością. Spisz swoje wrażenie. Udokumentuj swój rozwój. To jedyny sposób. U mnie wszystko w porządku. Ale sytuacja jest trudna. Stronę tuż przed swoim zniknięciem założył Adam, żeby pomóc Stróżowi. Napisz więcej.*

Robert napisał więcej, wypił też więcej piwa. Umierał z głodu, zamówił więc kanapkę, pożarł ją kilkoma kęsami i pisał dalej. Dołączył zdjęcia obelisku przy grobie oraz Strefy Zero, bo Terri chciała, żeby te miejsca także zobaczył. Sfotografował widok ze swego stołka przy barze.

#### Czego nauczył mnie pierwszy schowek

*Terri*

*Nie wiem, jak mam to zrobić. Mówisz, żebym połączył przedmioty ze schowków z ich lokalizacją. Świat wewnętrzny z zewnętrznym.*

*Zaczynam więc: na każdym kroku widzę śmierć. Posłałaś mnie na dwa cmentarze, miejsca otoczone czcią, żebym na pierwszym złamał szyfr o śmierci, a na drugim gołymi rękami kopał wokół jednej z najstarszych budowli na Manhattanie, odesłałaś mnie do początków miasta, gdzie pośród kwiatów, kamieni i trawy spoglądałem na ogromną wyrwę Strefy Zero... kościół jakimś cudem ocalał, gdy runęły wieże. Kazałaś mi patrzeć na miejsce, które napętnia mnie gniewem, ponieważ budzi w moim sercu prymitywne emocje; kazałaś mi grzebać pośród nagrobnych kamieni, jakbym był niespełna rozumu, aż wreszcie znalazłem schowek, a w nim łuskę po naboju. Więc tak, śmierć. Śmierć, siła przetrwania i gotowość, by walczyć o życie za wszelką cenę. Pierwotne instynkty. Czy każesz mi wędrować po całym mieście i kopać gołymi rękami w grobach? Czy to wystarczy? Pomóż mi, nic nie rozumiem.*

*George Washington miał swoją ławkę u św. Pawła; ta ławka wciąż tam jest. Modlił się na niej po zaprzysiężeniu w Federal Hall na pierwszego prezydenta naszego kraju. Narodziny narodu, odrodzenie po wojnie. Teraz toczy się następna wojna. Zniszczenie, przetrwanie. Czy to jest kierunek, w którym mam iść?*

*Moja przyjaciółka była w centrum, gdy runęły wieże; ściślej mówiąc, ja ją tam posłałem. Powiedziała, że tumany kurzu, które widzimy na filmach wideo zrobionych tamtego ranka, pełne były kawałków metalu. Piłem z nią w tym barze. Celem ataku było sprowokowanie plemiennych reakcji. Wszyscy jesteśmy rozsądnymi, cywilizowanymi ludźmi, dopóki ktoś nie zrani naszego plemiennego instynktu. Wtedy zmieniamy się, a może budzi się nasza pamięć. Gotowi jesteśmy zabijać, gotowi jesteśmy na wszystko dla naszego plemienia. Wszyscy mamy w sobie potencjalnego kata. Pewnych rzeczy nie da się zapomnieć.*

*Terri, czego jeszcze ode mnie oczekujesz ?*

I znowu odpowiedź nadeszła szybko:

*Robercie, zacząłeś bardzo dobrze. Zanurz się głębiej w te sprawy, o których piszesz. Uczysz się patrzeć od środka i będziesz umiał patrzeć, nie patrząc. To nasz pierwszy krok na pełnym trudów szlaku. Modlę się za ciebie. Zaczynaj zwracać większą uwagę na swoje otoczenie. Nie ignoruj rzeczy, które przyciągną twój wzrok. Zrób zdjęcie. Umieść na stronie.*

Musiał ruszać w drogę. Wstał i opuścił bar.

Próbował zadzwonić do Terri, ze zniecierpliwieniem naciskając klawisze Quada, ale nie znał numeru. Nie potrafił się z nią połączyć.

Tuż koło Les Halles przy John Street 11 stał piękny brązowy budynek mieszczący czytelnię Christian Science i cukiernię Manhattan Muffin. Na frontonie Robert zauważył zdobienie podobne do odznaki zawodu lekarza, owych węży owiniętych wokół laski, tylko że tutaj były to małe jaszczurki wspinające się po kolumnie. Zauważył je po raz pierwszy. Pośród ornamentów było też kilka dzikich, brodatych twarzy porośniętych roślinami, które z jakiegoś powodu go zaniepokoiły.

Wrócił na Broadway. Naprzeciwko, przed witryną Stocking Exchange prezentującą cokolwiek frywolną bieliznę widniały ślady gołych kobiecych stóp prowadzące - co oczywiste - do wnętrza sklepu. Robert zrobił zdjęcie śladów, po czym zawrócił, by sfotografować terakotowe ptaki i porośnięte zielenią głowy.

Kierował się na południe. Ponownie minął potężny czerwony sześcian ustawiony pod nieprawdopodobnym kątem przy Liberty. Tym razem dostrzegł, że jest przedziurawiony na wylot. Przyjrzał się uważniej. Rzeźba tworzyła iluzję sześcianu, bo miała boki różnej długości. Sześcian chyba jednak tak nie wygląda.

Terri się nie odzywała.

Pokonawszy dwie przecznice, po prawej znowu miał kościół Trójcy Świętej. Doszedł na róg Wall Street, gdzie pod numerem pierwszym mieścił się Bank of New York. Widział go wcześniej z cmentarza: wspaniały budynek w stylu art deco, z białego kamienia i lśniącego złota, niczym katedra zbudowana z udrapowanej materii. Kiedy stał przed głównym wejściem, promienie słońca zaczęły wpadać do czerwono-złotego holu, sławnego Czerwonego Pokoju, który od jedenastego września był zamknięty dla publiczności, i sprawiły, że wnętrze rozpalilo się niczym piec. Robert stał zauroczony Szkarłat, biel, złoto.

To tutaj, na tym niegdyś najbardziej wysuniętym na północ krańcu Nowego Jorku, wznosiła się drewniana ściana, chroniąca miasto przed najeźdźcami. Najbardziej na północ wysunięty przyczółek, oddalony zaledwie o milę od przyczółka południowego. Oprawne w brąz okna banku od strony Broadwayu odbijały iglicę Trójcy Świętej rysującą się wyraźnie na tle czystego nieba.

- Robercie.
- Terri? Gdzie byłaś?
- W piekle.
- Co jest...

- Idź na zachód. Znajdź anioła. Szybko.
- Co?
- Nie mogę wyjaśnić. Nie teraz. Pamiętasz, co mówiłam?
- Terri, długo tego wszystkiego nie zapomnę.
- Idź na zachód.
- Idę. Skręcam z Broadwayu na Rector Street, idę wzdłuż południowej ściany kościoła

Trójcy Świętej.

Na barierce przed kościołem znalazł to, czego Terri kazała mu szukać: plaketkę znaczącą pierwszą siedzibę Columbia University, z czasów kiedy uczelnia nosiła jeszcze nazwę Kings College. Widniały na niej dwie owalne pieczęcie. Pieczęć z lewej zdobiły na górze słoneczne promienie z hebrajskim imieniem Boga umieszczonym w środku, takie same jak nad ołtarzem w kaplicy św. Pawła.

- *Yod, heh, vau, heh.*

- Terri?

- Imię, którego nie można wypowiedzieć... Imię, którego nie można poznać... Robercie, znajdź Człowieka Światła.

Na prawej pieczęci, która, jak sądził Robert, była pieczęcią kościoła, znajdowało się niezwykle wyobrażenie.

- Wirujący Człowiek - powiedział na głos.

- Tak - odparła Terri.

Z jedną nogą w morzu, drugą na lądzie, z twarzą otoczoną słońcem: w środku pieczęci stała postać, sprawiająca wrażenie zbudowanej z wirujących kół albo zwojów; mógł to też być mężczyzna odziany od łędźwi do głowy w strój ze spiral. Jedna biegła przez środek ciała, dwie pozostałe z obu stron kręgosłupa.

- Potężny anioł, otulony w chmurę... Robercie, kiedy będziesz patrzył w siebie, tak daleko i głęboko, na ile pozwoli ci odwaga, i jeszcze głębiej, miej obraz tej postaci przed oczyma. Bo właśnie to zobaczysz. Tak naprawdę wyglądasz, tak wygląda twoje ciało ze światła. Jesteś pod ochroną. -wszyscy jesteśmy... uwierz mi. A teraz idź na zachód. Dalej na zachód.

Robert sfotografował postać ze światła i ruszył Rector Street. Wracając ku stacji metra, przeszedł pod arkadami Szkoły Językowej Berlitz. Stał dokładnie naprzeciwko Pussycat Lounge.

- Robercie, idź teraz do domu.

- Co?! Nie, nie, nie. Teraz się z tobą spotkam.

- Myślę, że niebezpieczeństwo minęło. Dość na dzisiaj zrobiłeś. Dość na dzisiaj zrobiliśmy. Zaufaj...

Jej głos ucichł, słuchawka milczała. Robert stał przed wejściem do metra, zastanawiając się, co robić; ogarnęło go przemożne pragnienie, by kogoś z całej siły uderzyć. Kogokolwiek.

Czy Terri jest bezpieczna? Czy wyczerpała swe siły? Z tonu jej głosu wcale nie wynikało, że niebezpieczeństwo minęło.

Quad zabuczał. Na ekranie wyświetliła się krótka wiadomość: „Wsiądź do pociągu linii 1 jadącego w kierunku północnym. Spotkamy się w ostatnim wagonie”.

„Terri?”

„Jeśli chcesz jeszcze zobaczyć Terri, wsiądź do pociągu linii 1”.

„Kim jesteś?”

Brak odpowiedzi.

Robert stał przed wejściem do metra; miał wrażenie, że coś go wciąga, zmusza do zejścia w dół. Co by się stało, gdyby nie wsiadł do pociągu?

Nie miał wyboru. Zszedł po schodach. Kasy od peronu oddzielały kołowroty. Litera „R” w nazwie Rector Street ułożona była z czerwonych, niebieskich i zielonych płytek. Wcześniej tego nie zauważył. Teraz wszystko wydawało się wyraźniejsze, ostrzejsze.

Robert poszedł na koniec peronu, gdzie zatrzymywał się ostatni wagon. Usłyszał odległe trzaski i klekotanie obwieszczające przyjazd pociągu z kierunku South Ferry, pierwszej i ostatniej stacji linii numer 1. Ostami wagon był pusty. Robert wsiadł, zajął miejsce na końcu i czekał. W chwili gdy pociąg ruszył, rozsunęły się drzwi między wagonami. Postać odziana od stóp do głów w czerń, z twarzą zasłoniętą kominiarką, podbiegła do Roberta tak szybko, że ledwo miał czas podnieść się z miejsca. Nieznajomy rzucił się na niego. Robert instynktownie opuścił ramię i nachylił się ku napastnikowi, usiłując zachować równowagę. Usłyszał kość uderzającą o kość i poczuł, że tamten unosi go w powietrze i ciska nim w metalowe drzwi na końcu wagonu.

Gdy osunął się na ziemię, napastnik przyłożył mu nóż do gardła, mocno chwytając za głowę. Zabrakło mu tchu z bólu i przerażenia. Zimny metal naciskał na skórę, żebra i kręgosłup pękały, kwaśny zapach wypełniał nozdrza. Desperacja. Niewykluczone, że przeciwnik boi się bardziej niż on. Ale czego?

- Daj mi to.

Robert próbował rozpoznać głos. Był szorstki, niebezpieczny. Znał go. Naprawdę? Energiczny, pewny siebie, ale nieco zniekształcony

- Chcesz mój portfel?

- Przedmiot ze schowka.

- Nie ma sprawy, bierz gotówkę.

- Dawaj to, co znalazłeś w schowku. Gdzie to jest?

- Muszę włożyć dłoń do kieszeni marynarki.

- Której?

- Wewnętrznej lewej.

To było kłamstwo, ale Robert pomyślał, że przy tym ruchu napastnik będzie musiał przesunąć nóż.

W kieszeni jednak nic nie było. Głowa Roberta w zderzeniu z metalowymi drzwiami eksplodowała bólem.

- Gdzie to jest?

Napastnik chciał odebrać Robertowi ogniwo łączące go z Adamem. Nie ma mowy. Robert, na którego spłynął dziwny spokój, wybrał odpowiedni moment i gwałtownie uniósł nogi, trafiając nieznajomego w kość. Nie podda się.

Potężne dłonie okręciły nim, dostał w usta i nos. Padł na kolano, szukając podparcia.

Zaczynało mu się kręcić w głowie, światło wokół niego ulegało zmianie. Słabe i żółte, z każdą chwilą nabierało mocy, nasączało powietrze wokół napastnika. Robertowi drętwiała twarz, pięść zamknęła mu umysł w lodowatym uścisku i znowu był w swoim śnie...

geometryczne kształty... pioruny... przenikliwy ból za oczami. To było zło. Ogarnęły go nudności.

W jego głowie rozległ się głos Terri: „Ukryj się z dzieckiem i Człowiekiem Światła. Ukryj się z nimi”.

Powróciło wspomnienie nagrobka, którego zdjęcie Terri mu przysłała. Schronił się tam. Razem z Mossem. I wirującą postacią anioła.

Na zewnątrz ból się podwoił.

Dłonie przeszukały mu kieszenie, znalazły łuskę i zabrały

Robert poczuł, jak napastnik podnosi go na nogi. A potem nagle obserwował całą scenę z wysoka, z bardzo daleka. Myślał o Katherine, zastanawiał się, czy to jego ostatnie chwile. Sądził, że tak. Świat pęka niczym lód na stawie

Wrażenie minęło równie gwałtownie, jak się pojawiło. Jego umysł został uwolniony. Kolana się pod nim ugięły. Napastnik szedł w kierunku następnego wagonu, chowając łuskę w kieszonce na rękawie kurtki.

- Nie!

Robert rzucił się na mężczyznę, gdy ten rozsuwał metalowe drzwi. Razem z nim wtoczył się w wąską, połączoną łańcuchem klatkę między wagonami. Metalowa platforma pod ich stopami trzęsła się i kołysała, pęd powietrza ranił skórę.

Spojrzał w oczy wroga i to było jak spoglądanie w złe słońce. Znowu patrzył w twarz śmierci, którą widział w noc pożaru. Płuła nienawiścią, zmieniała się w czarną dziurę, wciągając go w siebie. Robert i przeciwnik złapali się za gardła, obijali od drzwi i metalowych uprząży pomiędzy wagonami. Pociąg pędził przez zamkniętą stację przy Cortlandt Street, dokładnie pod Strefą Zero. Obaj mężczyźni kołysali się na boki, ślizgali na metalowej podłodze. Pod nimi uciekały tory.

Zamykając oczy przed złośliwym żółtym światłem, Robert uwolnił gardło z uchwytu i złapał napastnika za przegub. Wykręcił mu rękę na plecy. Wepchnął palce w zamykaną na zamek błyskawiczny kieszonkę i odzyskał łuskę. A potem uderzył głową napastnika o metal i wypchnął ją ponad łańcuchami ku pędzącej ścianie tunelu.

- Kim jesteś? - krzyknął. - Kim jesteś?

Odpowiedziało mu milczenie.

Jeszcze mocniej wypchnął napastnika ponad łańcuchem;

- Kim jesteś?

Zdumiało go, że łyzy wypełniły mu oczy. Pragnął zabić tę kreaturę. Zdekoncentrowany, na moment poluźnił uchwyt.

Wbity w brzuch łokieć pozbawił go tchu. Napastnik wyrwał się i próbował otworzyć drzwi na końcu wagonu. Pociąg wjeżdżał na stację Chambers Street.

Zgięty w pół z bólu Robert czuł, jak całe jego ciało nabiera ciężaru, jakby pompowano weń olów, który następnie spływa do stóp, przykuwa go do ziemi. Czas rozciągał się niczym melasa przelewana do słoja. Mimo to, ku swojemu zdziwieniu, utrzymywał się na nogach. Czuł, jak ciężar płynie przez jego ciało, zastępuje ból, napęcza mu płuca i piersi siłą, jakiej nigdy wcześniej nie odczuwał.

Jednym potężnym susem przemieścił ciało do przodu, jego tors napiął się niczym proca, nadając moc pięści. Uderzył napastnika w plecy w chwili, gdy ten przez otwarte drzwi wchodził do ostatniego wagonu. Mężczyzna wyleciał w powietrze, jakby rażony pociskiem. W środku wagonu zawadził o jeden z metalowych słupków, potoczył się i wpadł na drzwi na końcu pociągu.

Robert z niedowierzaniem wpatrywał się w swoją pięść. Rozpoznawał w sobie coś jeszcze: podniecenie i dumę. Czuł, jak roztopiony metal płynie mu przez żyły i mięśnie, choć teraz już zaczynał sączyć się w ziemię, ku jej środkowi. Napastnik pozbierał się i gdy otworzyły się drzwi pociągu, uciekł na stację.

Roberta opuszczały siły, w głowie mu wirowało. Wyskoczył z platformy pomiędzy wagonami na peron i ruszył prosto do kosza na śmieci. Zwymiotował, chwiejnie podszedł do ściany, przykucnął i ujął głowę w dłonie. Na chwilę stracił przytomność.

LITTLE FALLS, 26 SIERPNIĄ 2004

Katherine, drząc na całym ciele, wpatrywała się w lustro.

Widziała walkę. Widziała, jak jej męża zaatakowano, widziała, jak zdołał ująć z życiem. Obrazy napływały nieproszone, fale gniewu i bólu uderzały ją niczym podmuchy huraganu, podczas gdy Robert walczył o życie. W głębi lustra na ułamek sekundy jego oczami wpatrywała się w uwodzicielskie, nienawistne oko.

Więc w końcu to naprawdę się działo. Długi łańcuch zdarzeń, który rozpoczął się ponad dwadzieścia lat temu - może dwadzieścia istnień temu - nabierał swej ostatecznej, starannie wypracowanej eleganckiej formy. Wszystkie wypadki z dnia zaciemnienia wreszcie miały znaleźć swój finał.

Teraz Katherine potrzebowała instrukcji, by zrealizować ostatnie zadanie.

Tyle lat wykonywała rozkazy, organizowała i realizowała misje, żyła w świecie podstępów, półprawd i zdrady. A wszystko na próżno, takie życie brukało tylko jej duszę.

Tylko tej jednej tajemnej misji naprawdę pragnęła. Czekwała na znak od Stróża, by po raz ostatni rozpocząć konspiracyjne działanie.

Kochała Roberta. Ale czy była w nim zakochana, jak mówił powszechnie znany banal? Czy to w ogóle było ważne po tylu wspólnie spędzonych latach? Oszukiwanie go sprawiało jej ból. Czuła wstyd, nawet gdy robiła to dla jego dobra. A wychodziło jej to świetnie. Zawsze tak było.

Wyszła do ogrodu za domem i zapaliła pierwszego tego dnia papierosa. Bywały dni, kiedy ledwo potrafiła znieść samą siebie, dzisiaj jednak wreszcie poczuła, że jej się uda. Że zyska zbawienie.

Trzeba zapłacić za wiele lat spędzonych w sekretnym świecie - świecie, dla którego się urodziła, w którym czuła się jak ryba w wodzie.

Dzisiaj zafundowała sobie godzinną rozrywkę w towarzystwie terapeutki Sarah.

Reagowała jak trzeba, gdy mówiły o stadiach żałoby, wiedziała, na jakim etapie się znajduje, przyjmowała swój ból. Sarah powiedziała, że Katherine nie wyszła ze stadium myślenia magicznego, w którym rzeczą absolutnie normalną są próby targowania się z Bogiem, łączenie własnych złych myśli i postępów ze straszliwą stratą, jakby w jakiś sposób sama ją spowodowała. Naturalne jest czepianie się wiary, że jej mały synek wcale nie odszedł. Choć oczywiście wszyscy wiedzą, że to nonsens. Naturalna, dziecięca, fałszywa reakcja na stratę. Oto, co mówiła jej Sarah.

Tylko że Katherine poznała straszniejsze rzeczy niż większość ludzi. Nauczyła się oszukiwać, szantażować i wymuszać. Zdradzać. Wykorzystywać ludzi, a potem odrzucać ich jak śmieci.

I już dawno przekonała się, że myślenie magiczne to coś więcej niż tylko stadium żałoby.

Sesje terapeutyczne były oszustwem. Katherine od trzech miesięcy chodziła na nie sama lub z Robertem, by sprawić mu przyjemność. Grała na czas. Dzięki temu chroniła męża. Zawsze przysięgała, że będzie chronić go tak długo jak to możliwe, do chwili, gdy nadejdzie pora wykorzystania jego daru. Zwodzenie nie zawsze jest złe.

Zadzwoił telefon.

Uważnie wysłuchała słów Stróża, po czym się rozłączyła.

Przez chwilę wpatrywała się w przestrzeń. Polowanie rozpoczęte, oznajmił Stróż. Robert nawiązał kontakt z Terri. wyruszył w misję i odnalazł pierwszy schowek. Musiał stoczyć walkę, by zachować klucz. Wszystko balansuje na ostrzu noża. Jeśli Katherine ma jakies wątpliwości, teraz jest odpowiedni moment, by je wyrazić.

Katherine nie miała wątpliwości. Gdyby ją zdemaskowano, sytuacja stałaby się straszliwie niebezpieczna. Rozkazy były jasne. Złamała jeden szyfr, teraz musi złamać następny, dla dobra wielu ludzi.

Czekało ją odnalezienie sprzętu, przygotowanie roli.



A poza oficjalną misją zrealizuje też własne tajemne zadanie. Nie wiedziała jak, ale naprawi to, co było złe.

Wreszcie wszystko nabrało tempa.

Zostawiła liścik do Roberta, wyjaśniając swoją nieobecność w sposób, który pomoże mu zrobić następny krok, po czym wyszła z domu.

NOWY JORK, 26 SIERPNIĄ 2004

Przytykając drżącą ręką chusteczkę do krwawiących ust i czując ulgę, że nikt nie zwraca na niego specjalnej uwagi, Robert jechał metrem ze stacji Chambers Street do garażu, w którym rano - miał wrażenie, że to było kilka dni temu - zostawił samochód. Dotarł na miejsce, wsiadł do auta i wolno ruszył w kierunku Tunelu Lincolna.

Była szósta po południu.

W ustach i gardle czuł kwaśny posmak wymiotów. Pragnął być z Katherine.

Wyłączonego Quada schował do kieszeni. Skupił się na prowadzeniu pojazdu zatłoczoną ulicą, wyłączył wszystkie inne myśli.

Radził sobie dobrze, dopóki drogi nie zajechała mu ciężarówka, zmuszając go do gwałtownego hamowania. Z tyłu wściekle zawyły klaksony. Serce zaczęło mu walić, czuł parcie na pęcherz, chciało mu się płakać, miał ochotę walić kogoś w głowę tak długo, aż rozłupie czaszkę. Co. Jest. Cholera. Uderzył pięścią w kierownicę. Zrobił to kilka razy.

Głośno wypuścił powietrze z płuc. Z wysiłkiem się opanował. Wjechał w tunel. Powoli. Uspokoił się. Jakimś cudem przejechał przez New Jersey i nikogo nie zabił.

Zatrzymał się przed wyłożonym wiśniową boazerią i ozdobionym chromem barem Tick Tock przy trasie nr 3. Chciał napić się kawy, zjeść kanapkę i doprowadzić do porządku. Dekoracje przy drzwiach miały wzór taki jak pękający lód w jego śnie. Robert miał wrażenie, że rozdzielił się na kilkanaście wersji samego siebie.

W jego żyłach przetrawiony alkohol i adrenalina walczyły z kawą i krwią pobudzoną jedzeniem w żołądku. Wyjął Quada, żeby zadzwonić do Katherine, ale wpierw zaniknął oczy, zastanawiając się, co jej powie. Nie miał pojęcia, mimo to zadzwonił. Znowu odpowiedziała poczta głosowa. Zostawił wiadomość, żeby Katherine się nie martwiła, on już wraca do domu. Potem padł: zasnął przy stoliku, obudziła go kelnerka, potrząsając za ramię. Zapłacił i wyszedł z baru. Kiedy usiadł za kierownicą, uświadomił sobie, że nie jest w stanie prowadzić. Znowu zasnął.

Wchodząc do domu, spodziewał się, że Katherine przeżyje wstrząs na widok jego spuchniętych warg i rozbitego nosa. Jego myśli pędziły z prędkością stu mil na godzinę, rozpierzchając się na wszystkie strony Ile powinien jej ujawnić? Co zachować w tajemnicy?

Ale Katherine nie było. Robert znalazł tylko list.

*Kochany Robertcie*

*Potrzebuję czasu, by oczyścić umysł. Kocham cię, ale wiem, że nie jestem żoną, jakiej potrzebujesz czy pragniesz. Czuję, że brakuje mi nadziei, ochoty na seks i życie. Wybrałam się na przejażdżkę, wrócę późno. Nie martw się o mnie, potrzebuję tylko czasu.*

*Kat*

Robert głęboko odetchnął. Wcześniej też tak robiła, sama wychodziła do kina czy na kolację, czasami na spotkanie z przyjaciółką. Najczęściej mówiła, że była sama, a on jej wierzył. Zawsze wracała.

Czuł śmiertelne znużenie. Nie wiedział, jak pomóc żonie, jak sprawić, by do niego wróciła.

Powinien się niepokoić? Nie. Był przekonany, że Katherine nie zrobi sobie nic złego. Obawiał się jednak, że pewnego dnia po prostu nie wróci.

Wyczerpany i obolały, obmył twarz w łazience. Nalał sobie drinka i poszedł do gabinetu. Wszystko po kolei.

Starał się uporządkować myśli, odtwarzając swoje poczynania i szukając znaczeń w obrazach, które utkwily mu w pamięci od chwili, gdy wyszedł z mieszkania Adama.

Gwiazdy pod jego stopami: magiczna ścieżka. Droga wyłożona żółtą cegłą?<sup>8</sup>

Maski i kostiumy: przebrania i oszustwa. Nie wszystko jest tym, na co wygląda.

Spiralne wzory: wznoszenie się i opadanie.

Oddychająca ściana: rzeczy na pozór martwe wracają do życia.

Łamanie szyfrów: konieczność odnalezienia głębszej rzeczywistości.

„Pamiętaj o śmierci”. Jakby inna ewentualność była możliwa w Strefie Zero, miejscu śmierci i nienawiści, odwagi i poświęcenia.

Grób, łuska z naboju, atak. Więcej śmierci. Jego pragnienie, by przetrwać, by zabijać. Wstyd wywołany gotowością do zabijania. Duma z przetrwania. Czerwona mgła przed oczyma. Wciąż czuł w ciele echo mocy, którą potrafił w sobie wzbudzić, walcząc o życie.

Aby uspokoić myśli, włączył automatycznego pilota, co w tym przypadku oznaczało szukanie informacji. Wpisywał hasła do Google'a, drukował wyniki, układał je w tematyczne stosy. Musiał zrozumieć. Zadzwoił do Horace'a. Bez skutku.

Otworzył stronę, której adres podała mu Terri, i sprawdził, czy pojawiły się odpowiedzi albo komentarze. Żadnych nie było.

Przyjrzał się dokładniej działaniu strony. Została założona w darmowej witrynie przeznaczonej na błogi. Była prosta w zarządzaniu. Robert umieścił na niej fotografie przysłane mu przez Terri oraz te, które w ciągu dnia zrobił Quadem. Może ktoś inny robi to samo, na innej stronie, i konkuruje z nim. Blog kontra blog. Który lepszy. Nagroda? Adam. A może życie Adama? Życie wszystkich ludzi?

Robertowi wpadło do głowy, że Terri może nie znać adresu jego e-maila. Zalogował się jako Adam w komunikatorze AOL i kontynuował swoje poszukiwania.

Komputer świergotem oznajmił, że Terri jest dostępna. Natychmiast wysłał do niej wiadomość.

„Wszystko w porządku, Terri?”

„Adam?”

„Nie, przykro mi. Robert”.

„Nie spodziewałam się, że dzisiaj wieczorem znowu będziesz się za niego podawał. Naprawdę musisz to lubić”.

„Są granice”.

„Znasz własne granice, Robercie?”

„O mało nie zginąłem, kiedy się rozłączyłaś”.

„Wiem. Przepraszam, nie mogłam ci pomóc. Walczyłeś. Uszedłeś z życiem. Wciąż masz pierwszy klucz. Czułam to”.

„Jest nim ten przedmiot?”

„Tak. I nadal masz ze sobą jądro, klucz główny, prawda. Doskonale sobie poradziłeś. Teraz dobrze je chroń”.

„Będę”.

„Co widziałeś? Gdybyś miał wybrać jedną rzecz, co by to było?”

<sup>8</sup> Droga w krainie Oz, którą Dorotka wędruje do Szmaragdowego Miasta [przyp. tłum.].

Robertowi przed oczyma stanęła chwila, gdy puścił napastnika, oślepiony łzami wściekłości. Chciał zabić tego człowieka. Zrobić mu krzywdę. Zamienić w nicość, w stwora bez znaczenia, nie mającego żadnych cech człowieczeństwa.

„Coś mi się przytrafiło. Wściekłość minęła, kiedy stwierdziłem, że zaraz zmiążdżę mu twarz o ścianę tunelu. Na kilka sekund zwolniłem uścisk. Potem stałem się silny jak tur. Mięśnie miałem ze stali. Wykopałem faceta w środek przyszłego tygodnia.”

„Ale co widziałeś?”

„Nienawiść. Strach”.

„I co jeszcze?”

„To wszystko. Musiałem przerwać”.

„Doskonale sobie poradziłeś”.

„Puściłem go”.

„Musiałeś”.

„Zabiłbym go”. Robert westchnął. „Ten blog... czy Adam może go przeczytać?”

„Ucieka, ale mam nadzieję, że tak”.

„To nie on przysłał ci lokalizację na GPS? Ta krótka podpowiedź nie była od niego?”

„Mówiłam już, nie wiem, kto je przysłał. Jednego natomiast jestem pewna: Adam nie orientuje się, gdzie są schowki. Zostały wybrane przez budowniczego Ma'rifat'a”.

„Po co?”

„Nie wiem”.

„Wyjaśnij mi te transy czy cokolwiek to było, kiedy udzielałaś mi wskazówek. Mówiłaś tak, jakbyś czuła wielki ból”.

„Robercie, nie kieruję tobą, czerpiąc z własnej mądrości. Wybieram fragmenty znaczeń z twojego otoczenia i przekazuję je tobie. Oboje próbujemy rozwiązać zagadkę, rozumiesz? Dostaję sygnały przestrzenne: idź w prawo, zatrzymaj się, skręć w lewo, oraz obrazy tego, co jest ważne: zakopany przedmiot, kształt, emocja, echa dawnej działalności związanej z danym miejscem, wycucie geometrii, figury, którą idąc zakreślasz. Czasami jest to zestaw współrzędnych, ale w równym stopniu dotyczący czasu i emocji, jak przestrzeni. Czasami są to kształty albo rymowanki... i nie potrafię zapamiętać, co mówię. Muszę to notować, zapisywać w blogu... co pozwala mi wszystko uporządkować. Ty natomiast musisz sprowadzać mnie na ziemię i łączyć to, co widzę, ze światem materialnym, z tu i teraz”.

„To zadziwiające”.

„Masz o wiele większe zdolności niż ja. Tkwi w tobie ogromny potencjał. Ja pracuję z silnymi kobietami, które uczyły mnie, jak mój dar wykorzystać, ale ty nas przewyższasz. Zawsze to wiedziałaś. Zawsze częścią swojej osoby rozumiałaś to, co nazywamy zielonym językiem, językiem ptaków”.

„Nic nie rozumiesz. Wychowano mnie tak, żebym te umiejętności zniszczył”.

„I niemal ci się udało. Wyczuwałam w tobie strach. Pomogę ci je odzyskać. Muszę, dla dobra nas wszystkich. Jesteś prawdziwym jednorożcem. Nie wiesz nawet, jakim przywilejem jest pomaganie ci”.

Robert potarł oczy, szukając właściwych słów.

„Dziękuję ci. Co właściwie jest takiego wyjątkowego w jednorożcu?”

Terri odpisała po kilku minutach. Kiedy przeczytał jej odpowiedź, wypełniła go wdzięczność, której nie potrafił wyrazić.

„Jednorożec to najpotężniejszy rodzaj uzdrowiciela. Jest istotą, która może przyjąć pełny wachlarz ludzkiej energii (mam na myśli pełny wachlarz, poczynając od żądy zabijania) i wykorzystać ją do zbudowania ciała ze światła tak intensywnego, że żadne zło nie będzie w stanie przedrzeć się przez nie ani znieść jego dotknięcia”.

„Ciało ze światła? Jak u Wirującego Człowieka?”

„Tak to wygląda. Adam powiedział, że w twoim przypadku jest tak silne, że nawet ludzie nieprzebudzeni je dostrzegają. Lśni wokół ciebie. Sprawia, że wyglądasz, jakbyś miał siedem stóp wzrostu. Tacy ludzie pojawiają się w mitach jako giganci, świetliści nauczyciele, aniołowie...”

W umyśle Roberta zapłonęło pierwsze zdanie z listu, który spalił ponad dwadzieścia lat temu: „żyć dobrze, poznać śmierć”.

Chciał zabić tego człowieka. Chęć zabicia go była konieczna. Teraz musi przekształcić tę moc.

„Wydaje mi się, że rozumiem. Co się stanie, jeśli potencjalny jednorożec nie potrafi skanalizować energii, nie zdoła jej przekształcić?”

„Wtedy umrze”.

Oboje chwilę milczeli. Robert spoglądał w swoje wnętrze. Odnajdzie siłę. Nie ma innego wyjścia.

„Mogę prosić cię o przysługę, Robercie?”

„Naturalnie”.

„Czy mógłbyś przestać podawać się za Adama? Niewykluczone, że będzie próbował się ze mną skontaktować, a nie zdoła, jeśli ty korzystasz z jego profilu... Znam adres twojego e-maila”.

„Och...”

„Bardzo cię proszę. Teraz musisz odpocząć, zebrać siły”.

„Jutro chcę się z tobą spotkać”.

„Bądź przy pierwszym schowku o drugiej po południu”.

„Ty też tam będziesz?”

„Zobaczysz mnie. Teraz już się rozłącz. Jutro przyślę ci nagranie. To część zagadki. Do jutra. Spotkamy się. Wszystko ci wyjaśnię. To ci się spodoba. Zaufaj mi, bardzo proszę”.

I Terri się wylogowała.

Robert zaniósł łuskę i skrzynkę złości do ukrytego sejfu, w którym on i Katherine przechowywali cenne przedmioty. Wróciwszy do biurka, kontynuował poszukiwania, podczas gdy jego myśli gnały jak szalone.

Obraz Człowieka Światła płonął mu przed oczyma. Robert znalazł go w Apokalipsie św. Jana, 10,1-4:

„I ujrzałem innego potężnego anioła, zstępującego z nieba, obleczonego w obłok, i tęcza była nad jego głową, a oblicze jego było jak słońce, a nogi jego jak słupy ogniste, i w prawej ręce miał otwartą książeczkę. Nogę prawą postawił na morzu, a lewą na ziemi. I zawołał donośnym głosem tak, jak ryczy lew. A kiedy zawołał, siedem grzmotów przemówiło swym głosem. Skoro przemówiło siedem grzmotów, zabrałem się do pisania, lecz usłyszałem głos mówiący z nieba: Zapieczętuj to, co siedem grzmotów powiedziało, i nie pisz tego”<sup>9</sup>.

Siedem grzmotów, każdy to zapieczętowana tajemnica. Czy w metrze pod Strefą Zero usłyszał pierwszy grzmot?

Pokręcił głową, czując znużenie w całym ciele. Pracował dalej.

Obelisk u św. Pawła czczył pamięć irlandzkiego patrioty i prokuratora generalnego stanu Nowy Jork, Thomasa Addisa Emmeta, brata straconego irlandzkiego patrioty, Roberta Emmeta, choć w tym miejscu nie było jego grobu. Ciało Thomasa Addisa Emmeta pochowane zostało na drugim końcu miasta, w kościele St Mark's-in-the-Bowery. Na obelisku wyryto współrzędne: długość i szerokość geograficzną w minutach, stopniach i sekundach.

<sup>9</sup> Wszystkie cytaty z Biblii za Biblią Tysiąclecia, wyd. V Pallottinum 2003 [przyp. tłum.]

To nie miało sensu. Robert z frustracją potarł oczy. Terri przysłała mu e-maila z plikiem audio i napomnienie, by wysłuchał go dopiero wtedy, gdy mu powie. Robert załadował plik do Quada. Terri prosiła, żeby szukał głębiej. Zebrał myśli i zaczął pisać.

#### STREFA ZERO, DOLNY MANHATTAN

*Kiedy w tym miejscu spoglądam w siebie, wracają do mnie wspomnienia tak bolesne, że odchylam głowę, jakbym cofał się przed ciosem. To obraz burzowych chmur nad ulicą pokrytą grubą warstwą czarnego pyłu i wciąż stojące na jej końcu pozostałości po wieżach World Trade Center, wykrecone, osmalone i przypominające bramę do piekieł, gotyckie łuki oświetlone w popołudniowym półmroku latarkami ratowników, wilgotny pył jak żużel pod moimi stopami, czysta nienawiść wibrująca przez wiele tygodni po ataku. Widok zaskoczył mnie, choć przecież wiedziałem, że tu jest. Trzymając się za ręce, szliśmy z Katherine w deszczu przez centrum Manhattanu, żeby zrobić zakupy w tamtejszych sklepach i wspomóc w ten sposób ich właścicieli. To był jedyny powód, który mógł mnie skłonić do pójścia tam.*

*Ale było i piękno: łuki oparły się atakowi, nie wszystkie zwalono. O porze mówił ich kształt, przypominający wejście do katedry, modlące się dłonie, portal, który niósł przesłanie: w tych łukach mieści się lono, po zbezczeszczeniu nastąpi odrodzenie, nawet tutaj zawsze będzie miłość.*

*Równocześnie jednak pulsował tu taki gniew i nienawiść, że nie potrafiłem patrzeć na ruiny dłużej niż przez parę sekund. Musiałem się odwrócić i odejść na wschód, w kierunku South Street Seaport. To doznanie nigdy mnie nie opuści.*

*Od tamtego dnia jesteśmy uwięzieni w labiryncie. Jak reagujemy, jak każdy reaguje na atak równie wielkiej nikczemności i wciąż pozostaje sobą? Nie możesz być dobry, jeśli nie przetrwasz. Ale jest w nas potwór, który kierowany czystym strachem mówi: zrób coś, skrzywdź kogoś, nic mnie to nie obchodzi; każdemu, kto nie należy do mojego plemienia, można zrobić wszystko*

*Dzisiaj myślałem, że umrę. Byłem taki przerażony że przez moment pragnąłem, by coś, cokolwiek, temu zapobiegło. A potem nagle strach mnie opuścił. Znajdowaliśmy się dokładnie pod Strefą Zero. Wpatrywałem się w twarz śmierci i walczyłem o życie. Dojrzałem w sobie coś, czego wcześniej nie widziałem, i wyszedłem po drugiej stronie. To była zdolność do zabijania, żądza mordy.*

*Phnęła przeze mnie niebezpieczna, nieokreślona, surowa energia. Energia krwi. Teraz wiem, jestem o tym absolutnie przekonany, że kiedy zajdzie potrzeba, znowu będę mógł ją przywołać.*

*Wiele lat temu jeden z moich krewnych przysłał mi siedem wersów mądrości. Pierwszy brzmiał tak: „Żyć dobrze, poznać śmierć”. Myślę, że rozumiem: to pierwsze siły, z których musiałem skorzystać podczas rozpoczętej przeze mnie misji. Surowe, potężne, potencjalnie mordercze. Jeśli nie potrafię ich okiełznać, okażę słabość i nie przetrwam. Ale jak tego dokonać?*

*Kiedy runęły wieże, kościół św. Pawła pozostał nietknięty, nie stłukła się ani jedna szyba. Moja przyjaciółka, masażystka, przez wiele tygodni jako ochotniczka pracowała ze strażakami, policjantami i robotnikami budowlanymi, okazując im współczucie, podczas gdy inni przygotowywali posiłki i wodę, miejsce do spania, miejsce dające sercu ukojenie. Ale to wszystko czynione było dla „naszych” ludzi, dla takich jak my, którzy cierpieli, takich, z którymi się identyfikujemy. Bo „identyczność” pochodzi od idem, „taki sam”. Łatwo się modlić za naszych przyjaciół. Ilu z nas jednak potrafi szczerze modlić się za naszych wrogów, za tych, którzy dołożyli starań, by nas zabić?*

Robert umieścił swoje rozważania na stronie internetowej. Niedługo potem rozległ się sygnał komunikatora i pomyślał, że Terri przysłała odpowiedź. Ale nadawcą był AdamHD1111.

„Więc poznałeś rozkoszną Terri?”

„Adam?”

„Jutro przypuszczalnie będzie chciała rznąć się z tobą jak szalona. Masz z tym problem?”  
I zniknął.

Robert wpatrywał się w ekran komputera, myślą nakazując Adamowi, by wrócił, a równocześnie modląc się. tego nie robił. W końcu nie potrafił tego dłużej znieść i poszedł się położyć.

NOWY JORK, 26 SIERPNIĄ 2004

Adam nabrał powietrza głęboko w płuca i wolno wypuścił. Był sam, dręczył go straszliwy ból. Wstał od komputera i zwinął się w kłębek na łóżku, równocześnie modląc się z głębi najbardziej tajemnego zakątka swego wnętrza. Podjął straszliwe ryzyko, atakując Roberta. Któryś z nich mógł zginąć.

Zmuszony przez Iwnw do tej napaści, udawał całkowite posłuszeństwo, chciał bowiem zyskać na czasie. Modlił się, by to doświadczenie pozwoliło Robertowi wkroczyć na Drogę. Czuł, że się udało, choć mało brakowało, a skończyłoby się źle. Ale Robert przeszedł Próbę Ziemi. Kierowała nim surowa wola przetrwania. Spojrzał śmierci w twarz i walczył o życie. Zobaczył też mroczną stronę instynktu przeżycia, poznał plemiennego dzikusa, kata, dręczyciela. I odwrócił od niej twarz. Od czystej ziemi ku wodzie, która zmywa śmieci.

Ból narastał. Adam zebrał całą swoją wolę, by odpędzić stwora zżerającego mu duszę, wgrzyzającego się w jego DNA, Minotaura, który zagnieździł się w nim na rozkaz Iwnwu. Wyrecytował mantrę oporu: ... śmierć nie zapanuje... śmierć nie zapanuje...

Wiedział, że tylko jeden na tysiąc przeżył drogę, na którą wkroczył Robert. Adam zostanie z nim do samego końca, choć długo nie będzie w stanie się opierać. Jeszcze tylko kilka dni. Akurat tyle, ile potrzeba.

#### Miłosna pieśń męczennika: budowa Ma'rifat'a

*Jestem budowniczym Ma'rifat'a.*

*Nie ma we mnie nienawiści. Kocham Boga każdą cząstką mojego ciała i każdym moim oddechem. Jestem w Bogu zakochany. Wszystkim życzyłbym, by w Bogu dojrzeli to, co ja w nim widzę. Proszę, nie myślcie o mnie jako o prymitywnym, wypełnionym wściekłością prostaku. Mam specjalistyczne wykształcenie jestem fizykiem. Przed przyjazdem do Ameryki studiowałem na najlepszych uczelniach Kairu i Londynu. Pracowałem w miejscu, które lubię nazywać Złotym Kregiem, choć jego oficjalna nazwa brzmi Relativistic Heavy Ion Collider, relatywistyczny akcelerator jonów ciężkich, z siedzibą w Brookhaven na Long Island. Zderzaliśmy w nim cząsteczki i obserwowaliśmy skutki tych kolizji. Gdzieś na dnie duszy jednak zawsze pragnąłem rozbić coś większego, na przykład wszystkich chłopców. My zderzaliśmy atomy złota z wielką prędkością, prędkością bliską prędkości światła, przy której czas i przestrzeń zaczynały się zwiijać. Mój ojciec wykladał fizykę i chemię w Egipcie i Iraku; akcelerator byłby spełnieniem naszych marzeń. Wytwarzaliśmy w nim energię tak potężną, że pojawiały się cząsteczki, które w naturze obecne były tylko w czasie pierwszych nanosekund po akcie Stworzenia. To jest cud. To jest prawie jak modlitwa: zbliża nas do energii Boga.*

*Moja matka jest Amerykanką i ja też jestem Amerykaninem.*

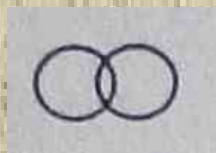
*Możecie nazywać mnie Al-Khidir. Wziąłem to imię od wielkiego nauczyciela i przewodnika po ukrytej wiedzy o Bogu, który nauczał samego Musę - wy nazywacie go*

*Mojżeszem - ponieważ udzielę wam największej lekcji z historii waszego narodu, a jej tematem będzie zniszczenie i odrodzenie, oczyszczanie, uświęcanie tego, co zbezczeszczone.*

*Moje prawdziwe imię jest bez znaczenia. Pozbyłem się go dawno temu. Żyłem pomiędzy wami, uczyłem się w waszych szkołach, jadłem w waszych domach, spałem z waszymi kobietami. Miałem wszelkie przepustki. Nie uznalibyście mnie za nudziarza czy zrzędę. Znam waszą literaturę, wasze święte księgi i modlitwy. A wy znacie moje? Wiem, jakie są wasze obawy i koszmary. A wy wiecie, jakie są moje? Moje imię to Al-Khidir, starożytny przewodnik, i przynoszę wam lekcję, której wszyscy musimy się nauczyć.*

*Nie wypełnia mnie nienawiść, ale miłość. Pokochałem wolność, mocniej jednak Kocham Boga. Pokochałem Amerykę, silniej jednak Kocham Ziemię.*

*Ameryka musi doświadczyć poddania się woli Boga. Amerykę trzeba rozbić, by powstała bardziej kompletna i pokorna. Ameryka musi zrozumieć, że prawdziwa wolność pochodzi z posłuszeństwa, a nie z bycia największym, najgłupszym, najhałaśliwszym i najbardziej napalonym chłopakiem w dzielnicy. Dlatego zdecydowałem, że zniszczę Nowy Jork. Nie mówcie jednak, że uczyniłem to z nienawiści.*



## 2

### Próba Wody

LITTLE FALLS, 27 SIERPNIA 2004

Katherine wróciła do domu trochę po północy. Przyszła do pokoju Roberta i bez słowa położyła się koło niego w ciemności, oddalona o kilka cali i lata świetlne. Minęło siedem lat, odkąd zrezygnowała z kariery, sześć - odkąd ponownie się spotkali i pokochali.

Żadne nie lubiło kłótni, ale taka sytuacja była rzadkością. Katherine po prostu leżała obok Roberta. Zapadli w sen, ledwo dotykając się czubkami palców. Dawali sobie wzajemnie do zrozumienia, że nienawidzą śmiertelnego chłodu, który ich rozdziela, choć równocześnie przyznawali, że on istnieje.

Robert śnił, że się kochają.

Śnił, że się obudzili i zobaczyli, że się kochają. Ulga i radość były tak wielkie, że wybuchnęli śmiechem.

A potem we śnie Robert otworzył oczy i przekonał się, że trzyma w objęciach Terri. Siłą woli nakazał jej, by znowu stała się Katherine, ale go nie posłuchała. Kiedy Terri uśmiechnęła się do niego, zobaczył, że przy łóżku stoi jego żona.

- Nie mogę cię winić - powiedziała. - Każdy pragnie Terri.

Robert dostrzegł swoje odbicie w lustrze. Był Adamem.

Obudził się przestraszony. Katherine nie było obok niego. Czując obolałe ciało, wpatrywał się w mrok aż do świtu.

14 SIERPNIA 2003: ZACIEMNIENIE

Od wielu miesięcy Adam ścigał zdobycę, wykorzystując umiejętności zdobyte na Drodze, czasami pracując samotnie, czasami wspomagany i kierowany przez Stróża. Teraz stał na skrzyżowaniu ulic Tesla i Robinson w Shoreham na Long Island i bacznie przyglądał się opuszczonym budynkom. Nad najważniejszym z nich, dawnym laboratorium, wznosiła się ceglana wieża. Od pierwszego spojrzenia Adam wiedział, że jego cel znajduje się w środku.

Przycisnął palce do talizmanu, który dała mu Terri, potem wyciągnął go spod koszuli i ucałował. Był całkowicie spokojny, ożywiony i bardziej czujny niż kiedykolwiek w życiu.

Do czwartej pozostało pięć minut.

Sprawdził pozycję ochroniarza - był przy tylnym wejściu. Okiem umysłu Adam zobaczył ruchy wroga tego dnia, przyjazd na miejsce, wejście przez zamaskowaną dziurę w ogrodzeniu.

Adam czuł przy sobie także moc Katherine. Jej zawdzięczał ostateczną wskazówkę: dzisiaj dojdzie do ataku.

Znalazł przejście i ruszył ku laboratorium. Przez okno zobaczył na prostym drewnianym stole połyskujące łagodnie złotym światłem urządzenie, przypominające płytki bębna. Na krześle siedział pogrążony w medytacji krępy mężczyzna koło pięćdziesiątki. W palcach trzymał mniejszą kopię bębna, wykonaną z tego samego połyskliwego złotoczerwonego



metal. Zdawało się, że krawędź bębna kręci się w przeciwnych kierunkach równocześnie, geometryczne kształty zdobiące jego boki połyskiwały bielą i złotem. Na granicach swojej percepcji, tak subtelnych, że Adam nie był pewien, czy rzeczywiście to widzi, dostrzegał ponad urządzeniem wątlą obłok, który wirował - raz był widzialny, raz nie. Przez moment Adamowi wydało się, że to oko.

Modlił się. *Pozwól mi powstrzymać ten akt niegodziwości, nawet kosztem mojego życia.*

Mężczyzna nagle wstał i z zamkniętymi oczami zrobił krok w kierunku urządzenia. Po jego policzkach płynęły łzy. Adama ogarnęło poczucie dotkliwej straty i krzywdy, a także wielki gniew. Wszedł do laboratorium. Zbliżał się ku widocznemu jak na dłoni celowi. Mężczyzna otworzył oczy i spokojnie odłożył główny klucz na stół.

Kiedy Adam niemal się z nim zrównał, mężczyzna wyciągnął dłoń i zdecydowanym ruchem uderzył go otwartą dłonią w pierś.

Na ułamek sekundy przed ciosem Adam wyraźnie zobaczył, jak wątlę oko ponad urządzeniem wiruje i wtapia się w ciało jego przeciwnika. Zaraz potem jak rażony prądem przeleciał dwadzieścia stóp przez pomieszczenie. Oszołomiony, z trudem odzyskał równowagę. Uniósł wzrok i zobaczył, że mężczyzna spokojnym krokiem zbliża się do urządzenia.

Adam uspokoił myśli.

- Stój! - zawołał zdecydowanie.

- Nie. Nie, nie. Po co się zatrzymywać?

Ścigany przez Adama człowiek umieścił główny klucz na urządzeniu, które zaczęło wirować ze zdwojoną prędkością, wydając przy tym głębokie basowe pomruki. Otaczające je powietrze wibrowało, zwijało się. Mężczyzna usunął klucz i owinał go w tkaninę. Ma'rifat' zwolnił.

- Teraz jest kompletne. Uzbrojone. Nie jesteś w stanie go powstrzymać. Zabiorę je na Manhattan, gdzie paliwo jest najbogatsze. Chciwość. Strach. Hipokryzja. I tam ponownie włożę klucz. Napelni się.

Adam podszedł bliżej. Urządzenie zamigotało, plując światłem.

- Reaguje na mnie - powiedział Adam. - W moim sercu nie ma nienawiści.

- Cofnij się - rozkazał mężczyzna.

Adam zrobił następny krok.

- I nie ma we mnie strachu - dodał.

- Cofnij się!

Adam rzucił się do przodu, próbując wyrwać klucz z dłoni mężczyzny. Upadli na ziemię i zwarli się w walce. Kiedy klucz potoczył się po podłodze, obaj za nim skoczyli. Adam złapał go pierwszy i chciał podnieść, ale przeciwnik wykręcił mu rękę na plecy. Upuścił klucz prosto w dłonie wroga, który jednym susem znalazł się przy stole i ponownie położył bębenek na urządzeniu.

Ma'rifat' znowu zaczął wirować, płonąc od środka na granatowo i czerwono. Powietrze wzburzył dźwięk przypominający grzmot.

Adam natarł na wroga ramieniem. Znowu upadli, łapiąc się wzajemnie za gardła. Toczyli się po podłodze, próbując znaleźć oparcie dla stóp. Wpadli na stół, łamiąc przy tym jego nogę. Nim któryś zdążył zareagować, Ma'rifat' zsunął się na beton.

- Nie ma we mnie przebaczenia - powiedział mężczyzna, gdy urządzenie spadło i wybuchło.

Adam patrzył wstrząśnięty, jak czas i przestrzeń zawirowały wokół zniszczonego Ma'rifat'a uformowało się wściekłe, kręcące się oko światła, plujące żółtym i niebieskim światłem w kierunku obu mężczyzn i oblewające ich ogniem. Adam zmienił swój umysł w idealne lustro. Zobaczył, jak ciało jego wroga w jednym błysku rozpada się na atomy. Później stracił przytomność.

Wytwarzając własną zwichrowaną geometrię, szukając paliwa, energii, którą mógłby wykorzystać, zsuwając się po drabinie od ducha przez eter do materii, Ma'rifat' nakarmił się echami bólu, nienawiści i gniewu swojego twórcy, po czym ruszył w świat. Drobinę czasu i przestrzeni uległy wokół niego zniekształceniu. Fragmenty czasu i miejsca wzajemnie się przeniknęły, z otchłani w sercu Ma'rifat'a wypłynął potężny strumień energii, wznosząc się łukiem w powietrze.

Wówczas jednak Ma'rifat' stracił władzę nad duszami, które wyczuwał wokoło, nad tą ogromną aglomeracją duchów... Osłabił go spokój, bezruch Adama; jego moc spiralnie poszybowała w dół, zmieniła się w elektromagnetyczne pulsowanie, potężne, lecz chaotyczne, a z duchowej siły pozostał tylko ułamek tkwiącego w urzędzeniu potencjału. Impuls krążył tam i z powrotem po liniach wysokiego napięcia, psuł systemy bezpieczeństwa, wysadzał bezpieczniki, rozprzestrzenił się niczym atrament w wodzie. Z gwałtownym skokiem energii fizycznej podobnym do niewidzialnego pioruna Ma'rifat' zgasił światła w całych północno-wschodnich Stanach.

LITTLE FALLS, 27 SIERPNIĄ 2004

Przy śniadaniu Robert okłamał Katherine, opowiadając jej historyjkę o tym, jak to próbował przerwać bójkę między taksówkarzem a jego klientem i za swoje wysiłki dostał pięścią w nos.

- Każdy dobry uczynek zostaje ukarany - powiedziała. - Siniaki szybko znikną.

Nienawidziła odgrywania tej roli, ale stosowała się do życzeń Stróża, przygotowując własne tajemne zadanie. Przy prawdziwych kłopotach, które z Robertem mieli od czasu poronienia, to nie było trudne. Katherine pogardzała swoim aktorskim talentem.

Robert powiedział jej o śmierci Lawrence'a Hencotta, ale nie wspominał o przypuszczalnym udziale Adama. Katherine słuchając o hańbiącym usunięciu Roberta z biur GBN, nie okazała współczucia.

- John to prawdziwy fiut. Boi się ciebie, dlatego to robi. Uważa cię za rywala. Nie potrafi myśleć w inny sposób. Scott dopilnuje twoich interesów.

Oznajmiła, że znowu wychodzi.

- Jeśli będziesz wiedział, co dzieje się z Adamem i o co chodzi z tym nieszczęsnym pudełkiem, daj mi znać. Będę na jodze.

- Jadę na Manhattan. Muszę zobaczyć się ze Scottem i podpisać jakieś dokumenty.

Katherine zatrzymała się w drzwiach.

- Kiedy pracowałam w Ministerstwie Spraw Zagranicznych...

Minęło tyle lat, a ona wciąż nie była w stanie mówić o tym, czym się tam zajmowała. Doskonale ją wyszkolili.

- ... uczyli nas, by słuchać własnych instynktów. Zwracać uwagę na pierwsze wrażenia. Na intuicję. Włoski na karku. To mogło ocalić nam życie.

- Doskonale zrobiłaś, że wtedy zrezygnowałaś. Jestem ci nieskończenie wdzięczny.

- Odnoszę wrażenie, że coś u ciebie nie w porządku. Mówię to, żebyś wiedział.

- Coś między nami jest nie w porządku.

- Nie, chodzi mi o świeżą sprawę. Z ostatnich dni.

- A dokładnie?

- Boisz się. Nigdy wcześniej nie widziałam, żebyś się bał.

- Czego?

- Nie wiem. I nie sądzę, byś ty wiedział. - Chwilę mu się przyglądała. - Jesteś skałą, Robercie. Nie przestawaj nią być.

- Jestem Gibraltarem.

- I nie wdawaj się znowu w bójkę. Nie mamy już wody utlenionej.

Gdy został sam, Robert myślał o Terri. Nie było możliwości, żeby coś między nimi zaistniało. Nigdy na to nie pozwoli, choć zdawał sobie sprawę, że tego pragnie. To jedna z tych rzeczy, których się bał. Gotów był na to, co się miało wydarzyć.

Wrócił myślami do weekendu, kiedy on i Katherine zakochali się w sobie.

MIAMI, WRZESIEŃ 1998

W piątkowe popołudnie wszyscy zebrali się w holu hotelu Biltmore.

Robert, który od kilku dni relacjonował przesuwanie się huraganu Georges przez Karaiby, był wyczerpany i poirytowany. Mnóstwo ludzi zginęło w powodziach w Dominikanie, tysiące musiało opuścić swoje domy. Żywiół zbliżał się do wysp Keys, prognozy nie wykluczały, że uderzy nawet na Miami. Robert ewakuował biura GBN ze śródmieścia do hotelu usytuowanego z dala od wybrzeża. Zszedł do holu, by odwiedzić Adama od organizacji zagadkowego weekendu.

Dzielący swój czas pomiędzy Hawanę i Miami Adam dwa tygodnie wcześniej zaprosił niewielkie grono znajomych do hotelu Biltmore - swoim zwyczajem używając szarad, przedartych na pół widokówek i atramentu sympatycznego. Robert chciał, by Adam odwołał imprezę.

- Georges jest potężny - powiedział Adamowi przez telefon. - Jeśli z tą siłą nadejdzie od strony morza, uderzy w Miami jak bomba. Wielka bomba.

- Wiem. Cudownie, prawda? Nastroj wzbożony elementem zagłady.

- Przyrzeknij, że nie wyślesz ludzi na ulice Miami, żeby tam szukali cholernych wskazówek.

- Robercie, wszyscy zostaną przywiązani do masztów na Miami Beach.

- Kpisz sobie?

- Odpnę się, obiecuję, że nikt nie straci życia.

- Ja się wycofuję.

- Rozumiem. Zejdź chociaż na dół i przywitaj się.

- Mam robotę.

- Zlec ją komuś. To tylko godzina. W holu o piątej po południu. Proszę, przyjdź. Ludzie chcą cię spotkać. Mam niespodziankę.

Stał więc pomiędzy ozdobnymi ptasimi klatkami w mrocznym holu, czekając na Adama. Ziarnojady i słowiki ćwierkały i rzucały się w klatkach, zaniepokojone zbliżającym się huraganem.

Mężczyzna w eleganckiej marynarce, którego nie znał, mrugnął do niego znacząco. Śmiertelnie znużony Robert usiłował odpowiedzieć tym samym, ale nie miał nastroju. Mężczyzna przedstawił się jako William, Amerykanin. Był z Angielką imieniem Penny, którą poznał w czasie rejsu na Kubę zorganizowanego przez Adama rok wcześniej. Wśród zebranych była też Carmen, wysoka czarna Amerykanka kubańskiego pochodzenia, ubrana w elektryzującą biało-żółtą kreację, oraz Vladimir, czujny mężczyzna o ziemistej cerze, który mierzył ją wzrokiem lubieżnika pewnego siły swoich pieniędzy. Nagle Robert dostrzegł zbliżającą się ku niemu szybkim krokiem kobietę.

- Miau. Ty musisz być tym przystojniakiem, przed którym ostrzegał mnie Robert.

- Katherine - odparł Robert z uśmiechem. Więc to jest niespodzianka Adama. - Mój Boże. Ile czasu minęło?

Białe szorty i oficerska czapka nadawały jej marynarski wygląd. Pocałowała go w policzek.

- Zbyt wiele. Wyglądasz na zmęczonego. Zajęty?

Nie widział jej od dziesięciu lat, od czasów Londynu. Jej nieudanego małżeństwa z Adamem. Przedstawienia „Pism Newtona”.

- Adam mówił, żebym spodziewał się niespodzianki, ale...

Katherine była szczuplejsza, niż zapamiętał. Wyrzeźbione zmartwieniami linie wokół oczu marszczyły się przy uśmiechu, ale pomimo opalenizny i ożywienia nie sprawiała wrażenia swobodnej. Raczej udręczonej, pomyślał Robert.

- Od dawna jesteś w Ameryce?

- Półtora roku temu zostałem szefem tutejszego biura.

- Rodzina jest z tobą?

- Jacqueline nie przyjechała. Rozstaliśmy się.

- Och, przykro mi. Dzieci?

- Nie mieliśmy A ty?

- Zrezygnowałam z pracy w MSZ. Jestem wolna jak ptaszek. O, popatrz, oto i on.

Adam, samozwańczy szaman, nadchodził od strony wind. Ubrany był w białą marynarkę i dżinsy, na nosie miał okulary przeciwsłoneczne. Wyglądał jak żigolak. Całował niemal wszystkich.

Cała grupa przeniosła się do baru. Wszyscy okazywali sobie sympatię, zwłaszcza gdy obserwowali ich inni. I każdy na swój sposób aż za bardzo kochał Adama. Kiedy zajmowali miejsca przy stole, Robert, czując się jak miejscowy głupek i pragnąc jak najszybciej wrócić do pracy, szeptem powiedział do Katherine:

- Podejrzewam, że jesteśmy jedynymi, którzy mają prawdziwą pracę.

Uśmiechnęła się do niego i ścisnęła za ramię.

- Vladimir wygląda, jakby dorastał w laboratorium.

Wszyscy uczestnicy pocztą dostali zagadkę oraz połówkę widokówki w szarej kopercie. W przypadku Roberta połówka przedstawiała krzywiznę opalonego ciała i pasek tkaniny - przypuszczalnie, aczkolwiek nie na pewno, kobiece piersi w bikini. Zagadka brzmiała następująco:

*Uzupełnij zręcznie widoczek, znajdź pobożną istotę. Jeśli ci się uda, usiądź przy jednym stole z seksowną laseczką, ale nie próbuj nadmiernie raczyć się wódeczką. Nazwisko i dzień: Mercury, eksiv ieks na raz.*

Restauracja Pelican. Środa, mercredi, miercoles, dzień nazwany na cześć Merkurego. Eksiv ieks to XIV IX, czyli 14 września. Na raz, czyli o pierwszej. Rezerwacji dokonano na nazwisko Fredericka Mercury'ego.

Podobną zagadkę otrzymała Penny; zaprowadziła ją ona o tej samej porze do tej samej restauracji w Miami Beach.

Przy lunchu mogli połączyć swoje połówki widokówki, która rzeczywiście przedstawiała dziewczynę w bikini oraz zawierała informację o spotkaniu w hotelu Biltmore.

Adam określił to jako zebranie herosów ze wszystkich czterech stron świata, ewentualnie grę salonową, w której uczestnicy muszą przyjąć rolę herosów, by odkryć wielką tajemnicę.

Z miejsca u szczytu stołu Adam mówił:

- Poprosiłem was, żebyście wszyscy tu przyszli, ponieważ...

LITTLE FALLS, 27 SIERPNI 2004

Z notesem w jednej i przyciskiem do papieru w kształcie obelisku z Buenos Aires w drugiej ręce Robert kucnął przy stole, na którym leżała mapa Manhattanu ze stojącymi na niej miniaturkami budowli, patrząc na ciągi ulic. Mruczając do siebie, umieścił przycisk, prezent od ojca Katherine, u zbiegu Fulton i Broadwayu.

- Pierwszy punkt. Pierwszy schowek. Obelisk.

Wyjął z biurka opakowanie pinezek.

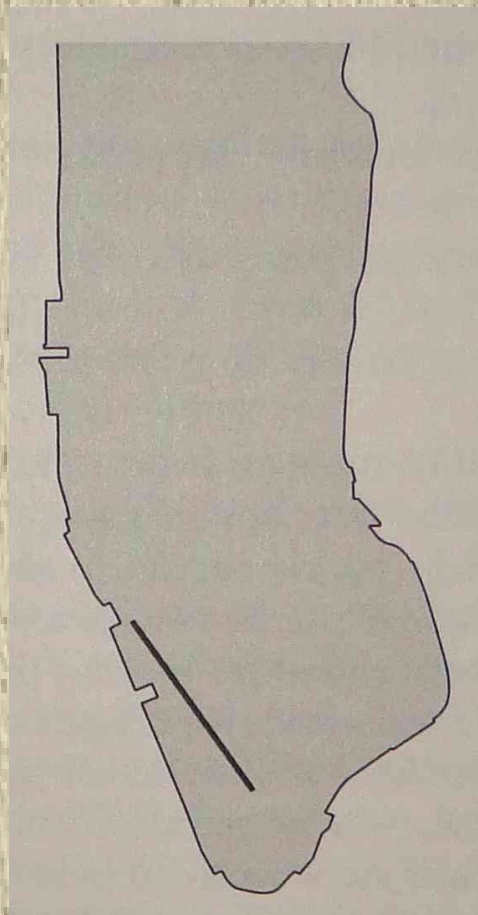
- A wcześniej mieszkanie Adama. - Wbił żółtą pinezkę przy skrzyżowaniu Greenwich i Charles.

- I znowu pierwszy punkt. Kościół św. Pawła. - Czerwona pinezka pojawiła się koło obelisku przy Fulton.

- Połącz kropki... - Przywiązał sznurek do obu pinezek i znowu przykucnął, by spojrzeć na mapę od południowego wschodu. Obszedł stół i zrobił to samo z północnego zachodu.

„Jeśli coś przyciągnie twój wzrok, przyjrzyj się temu. Sfotografuj. Umieść na stronie”. Ale nic mu się nie kojarzyło.

W notatniku narysował pod kątem linię, przyjmując, że cała strona to Manhattan.



Co jeszcze? Łuska po naboju.

W swoim życiu kilka razy brał udział w bójkach. Nigdy z własnej inicjatywy. Był potężnie zbudowany i zazwyczaj nikt go nie zaczepiał, ale w czasach szkolnych stawał w obronie słabszych i dał solidną nauczkę kilku dręczycielom. Rozbity nos nie martwił go nadmiernie, ale tym razem było inaczej. Nóż. I twarz, której nie było. To młode żółte światło tam, gdzie powinna być twarz, i pulsujące, hipnotyczne oko. Robert wiedział, że to była śmierć, ścigająca go przez czas, od płonącego pokoju w Cambridge do nowojorskiego metra.

Pożar w sypialni Adama został wzniecony na nowo, a on nie potrafił go ugasić. Dlaczego śmierć go ściga? Jak może z nią walczyć?

Skupił myśli na łusce. Jego wzrok przyciągnęła reklama na tylnej okładce magazynu leżącego na biurku. Czerwona kropka w czerwonym okręgu. Reklama firmy Target. Robert wydarł logo ze strony i przez środek przypiął do mapy koło obelisku. Pocisk i cel.

- Czy Adam jest celem? - szepnął do siebie. - Ja? Kto strzela?

Wziął skrzynkę złości. Główny klucz, tak ją nazywali.

- Niech ci się jeszcze raz przyjrzę, pieprzone pudełko pełne zła.

Robert wyszedł na tylne podwórko, bo potrzebował słonecznego światła. Skrzynka opierała się próbom otwarcia.

- Pomóż mi, Hale, jak cię znajdę, to skręcę ci kark.

Robert lekko naciskał na rozmaite geometryczne wzory na bokach połyskującego rudawym brązem pudełka. Bez skutku. Koncentrycznie wznoszące się okręgi na górnej pokrywie raz zdawały się wypukłe, raz wklęsłe... a potem jakby zaczęły się wolno obracać, tworząc spiralę. Robert nie odrywał od nich wzroku. Zatracił się w nich. To było jak maleńka czarna dziura. Potrząsnął głową, by oczyścić myśli. Wyjął Quada z kieszeni na piersi i sfotografował pudełko na dłoni.

Później schował je razem z łuską po naboju w sejfie na piętrze. Był gotów do wyprawy na Manhattan.

#### 14 SIERPNIĄ 2003: ZACIEMNIENIE

Kiedy Adam odzyskał przytomność, otaczał go mrok. Nie czuł własnego ciała. Przed sobą miał oko, nieodparcie piękne.

- Popsuleś nam szyki - przemówiło. - A przynajmniej popsuleś szyki naszemu pełnomocnikowi, istocie przez nas stworzonej. Ale za wszystko trzeba płacić. Teraz weszliśmy w twoje ciało. Poprzez nie spleliśmy się z tobą w twoim DNA. I weszliśmy w twoje nasienie.

Adam uświadomił sobie, że na podłodze niedaleko jego stóp leży spalony, rozbity Ma'rifat'. Jednakże spotkanie odbywało się gdzie indziej, w najgłębszym zakątku jego świadomości.

W jego umyśle pojawił się nieproszony obraz: nitki światła przechodziły od jednej podwójnej spirali do drugiej, od niego do Terri, od Terri do Katherine, od Katherine do Roberta, łącząc wszystkich w jedno. Czuł w swoim wnętrzu cudzą obecność, substancję zatrutą nienawiścią i poczuciem straty, której nie mógł się pozbyć.

Pojawił się nowy obraz: Terri. Widział jej ciało na wylot, jak na prześwietleniu. Zobaczył zapłodnione jajo.

- Jest w ciąży?

- Była. Ale znowu może być. Teraz jednak jesteśmy splątani. Człowiek, którego zabiłeś. Ta kobieta. Ty z nami. Powstrzymaliśmy ciążę, nim do niej doszło. Zamieniliśmy ją w coś innego i unieruchomiliśmy w czasie do chwili, gdy spełnisz nasze życzenia.

- Kim jesteście?

- Jesteśmy Braterstwem Iwnwu.

- Co to jest?

- Od wielu lat walczymy z twoimi pobratymcami, ale pod wieloma względami jesteśmy tacy sami. Żyjemy zarówno w waszym świecie, jak i w następnym. Docieramy do ciebie poprzez budowniczego Ma'rifat'a.

- On nie żyje.

- Teraz żyje w tobie. Splótł się z tobą. Istotę taką jak on nazywamy Minotaurem. Jest uwięziony pomiędzy światami, zżera go poczucie straty i strach. Potężna istota, która stała się słaba. On będzie naszą bramą do ciebie. Nie odrzucisz nas. Spełnisz nasze życzenie w wybranym przez nas czasie i odwrócimy to, co uczyniliśmy. Jeśli nam odmówisz, podział komórek będzie następował w formie życia wiecznego

- Wieczne życie? - warknął Adam. - Jak to?

- Istnieje forma fizycznej nieśmiertelności dostępna dla każdego. Powoduje ją enzym, o nazwie telomeraza, który zapobiega śmierci zużytych komórek i pozwala, by w nieskończoność się dzieliły. Istnieją też określone warunki, w których płód się nie rozwija, za to łożysko nienormalnie rośnie w sposób, któremu enzym ten sprzyja. I błyskawicznie może rozprzestrzenić się na resztę ciała. Wiesz, co to jest?

- Powiedz mi.

- To rak. Zmieniliśmy strukturę komórki, by zyskać pewność, że to właśnie nastąpi, jeśli go rozmrozimy. Jeśli nie stawisz się na nasze wezwanie, zadbamy, by była to najbardziej złośliwa ze wszystkich jego odmian.

MIAMI, WRZESIEŃ 1998

- ... potrzebuję waszej pomocy. Doszło do zabójstwa. Niezwykłego. Niezbędne są wasze wyjątkowe moce.

Goście Adama wymienili rozbawione spojrzenia.

- Zbliżający się huragan wymusił zmianę planów... na zabójcy, ale i na nas. Jesteśmy skazani na pobyt w tym wspaniałym hotelu przez następne dwadzieścia cztery do trzydziestu sześciu godzin. Nikt nie może wyjechać. Jesteśmy tu zamknięci. Ale zamknięta jest też osoba, której szukamy. Znajduje się pomiędzy nami. - Wyjął kilka zielonych teczek z aktówki u swoich stóp i rozdał zebranym. - Wśród innych materiałów znajdziecie fotografie poszukiwanej osoby.

Robert otworzył teczkę i wybuchnął śmiechem. Rozejrzał się dokoła i stwierdził, że wszyscy mają tę samą fotografię.

Był to narysowany kredą zarys postaci, w rodzaju tych, które policja szkicuje wokół trupa w filmach kryminalnych: biały rysunek na ciemnym tle. Ale bez ciała.

- To ktoś, kogo wszyscy bardzo kochamy. Ofiara broniła się do samego końca, walka była brutalna. Pościg za mordercą odbędzie się wewnątrz tego wspaniałego hotelu. Na zewnątrz nic nie ma, tylko zbliżający się sztorm. Zaplanowałem wprowadzić wyjścia, ale musimy je odwołać. Z drugiej strony możemy doskonale poradzić sobie tutaj. - Przerwał, uśmiechając się smutno. - O ile ujdziemy z życiem... A teraz proszę, byście zapoznali się z materiałami i rozpoczęli poszukiwania. Och, jeszcze ostatni szczegół. Tożsamość waszego celu odnajdziecie w zabezpieczonej kopercie. Każde z was ma taką kopertę. Nie wolno wam ich otworzyć, dopóki nie będziecie gotowi na konfrontację z nim... albo z nią.

Zadzwonił telefon komórkowy Roberta. Usłyszał głos swojego zastępcy:

- Za chwilę burmistrz wygłosi następną mowę, szefie.

- Już idę.

Robert wziął teczkę i na migi pokazał Adamowi, że bardzo mu przykro. Na wizytówce napisał numer swojego pokoju i wsunął do teczki Katherine.

Wrócił do holu. Teraz ptaki przeraźliwie krzyczały i obijały się o pręty klatek. Przed pójściem do prowizorycznego biura Robert wyszedł przed hotel i spojrzał na niebo. Było jaskrawozielone i fioletowe. Zaczynało się gotować.

Katherine przyszła do pokoju Roberta krótko przed północą. Zbliżający się Georges spuścił na hotel rześistą ulewę. Robert rozmawiał przez telefon z wydawcą wiadomości, ustalając plan relacji na następną dobę. Gestem dał jej znać, by usiadła. Katherine przeglądała zawartość swojej teczki, dopóki nie skończył.

- Wyglądasz na wyczerpanego.

- Mam sześć godzin wolnego Rano zastąpię Miksa.

- Huragan tu nadciągnie?

- Huragany zwykle kierują się prosto na Miami i w ostatniej chwili skręcają. Ten jeszcze nie skręcił. - Robert potarł oczy. - Jeśli przyjdzie, będziemy o tym wiedzieli. Jest wielkości Teksasu. Ma dość energii, by przez dziesięć lat oświetlać Manhattan. Jak ci powiem, żebyś weszła do wanny i przykryła głowę, zrób to.

- I to mnie ochroni?

- Nie, ale mnie serdecznie rozbawi. Wanna jest pełna wody. Na wypadek, gdyby huragan uderzył.

Katherine uśmiechnęła się.

Robert wstał i powiódł wzrokiem po zawartości minibarku.

- Masz na coś ochotę?

- Proszę Jacka Danielsa, bez lodu. Dzięki.

Dla siebie Robert otworzył małą butelkę wina.

- Więc... do czego zmusił was Adam?

- Do szukania tropów. Świetna zabawa. Przy kolacji porównywaliśmy nasze odkrycia.

Wszyscy biegali po całym hotelu.

- W dwuosobowych zespołach?

- Nie, każdy działa na własną rękę, ale współpracujemy ze sobą.

- Przykro mi, że nie biorę w tym udziału.

- Tropy są prawie na każdym piętrze, poczynając od piwnicy. Chcesz posłuchać?

- Nie teraz. Mój mózg odmówił posłuszeństwa.

- Mam wyjść?

- W żadnym razie. Opowiedz mi o sobie. Wszystko. Krążyły plotki, że zostałaś szpiegiem.

- Pracowałam w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

- Gdzie dokładnie?

- Wszędzie. W Paryżu, trochę w Londynie. Krótko w innych miejscach.

Pod pozorem spokoju skrywała ogromne napięcie.

- I zrezygnowałaś.

- Są sprawy, o których nie mogę rozmawiać.

- Rozumiem. Ale zrezygnowałaś.

- Moja praca w większości była związana z działaniami na rzecz nierozprzestrzeniania broni jądrowej. W pewnym sensie. - Prychnęła z niesmakiem, potem długo spoglądała w okno.

- Dlaczego tu przyjechałaś?

- Nie miałam zamiaru, decyzję podjęłam w ostatniej chwili. Uważałam, że Adam i ja widywaliśmy się w przeszłości dostatecznie często, i to wystarczy.

- Dostałaś jego list z Hawany?

Kilka miesięcy wcześniej, po wizycie papieża na Kubie, Adam napisał do kilkorga przyjaciół, zawiadamiając między innymi o śmierci swojej matki, odziedziczeniu niewielkiego majątku i rezygnacji z pracy korespondenta zagranicznego. Obecnie zamierzał poświęcić się całkowicie sztuczce z liną, jak to nazywał: poszukiwaniu mądrości i dobrej zabawy, niekoniecznie w tej kolejności.

- Pomyślałem, że ześwirował.



- Ja też. Ale miło widzieć, że jest szczęśliwy.
- Więc to jest część sztuczki z liną?
- Powiedział, że to sposób na podzielenie się nią z przyjaciółmi. Eksperyment.
- No to dlaczego przyjechałaś?
- Darmowy bilet na samolot. Zmiana otoczenia. Adam powiedział, że ty tu będziesz. I chciałam mu powiedzieć, że wreszcie zrozumiałam.
- Co rozumiałaś?
- Czym jest utrata bliskiej osoby Kiedy siłą ci ją zabierają. Utrata przez przemoc. Tak jak on utracił Isabelę.
- Co się stało?

Katherine wstała i podeszła do okna. Była spięta, sztywna.

- Nie byłam w stanie dalej tego ciągnąć, to wszystko.
- Mówisz o pracy?
- Przestało mi zależeć. Nigdy nie należy się przejmować. Ani ludźmi, ani sprawami. Czasami się zapomina, że wcale nie służy się sprawie, tylko krajowi.
- Stało się coś szczególnego? Jakiś incydent? Powiedziałaś, że kogoś straciłaś.
- Chryste, czy kogoś straciłam.
- Co się stało?
- To takie niezdarne. Stracić kogoś. Zmarnować życie. Ojej. Ale gapa ze mnie.
- Obwiniasz siebie.

Katherine walczyła ze łzami.

- Możemy porozmawiać o czymś innym? Opowiedz mi o Jacqueline. Albo o pracy.

NOWY JORK, 27 SIERPNIĄ 2004

O drugiej po południu Robert stał na Broadwayu przed kościołem św. Pawła i przez ogrodzenie przypatrywał się obeliskowi. Na ekranie Quada pojawił się komunikat informujący o łączności z czterema satelitami, dokładności do 29 stóp i gotowości do pracy. Rozległ się dzwonek.

- Robercie, punkt 064.
- Ja też serdecznie cię witam.
- Cześć. Możesz pojechać metrem do Canal Street.

Quad nowy punkt zlokalizował w Soho, niewiele ponad milę na północny zachód. Idąc, Robert znowu deptał gwiazdy w chodniku.

Przeszedł na drugą stronę Broadwayu i ruszył na północ, kierując się w stronę ratusza. Na rogu Barclay zielone ośmiokątne stoisko oferowało bezpłatne mapy Manhattanu. Robert wziął jedną, nie potrafił się powstrzymać.

Sygnal zanikał. Próbuując go wzmocnić, Robert wszedł do City Hall Park, gdzie złapał się na tym, że utkwiał wzrok w granitowych płytkach w chodniku z rycinami przedstawiającymi tę część miasta w przeszłości. Granit był gładki, Robert widział w nim swoje odbicie, jakby przez ziemię spoglądał w swoją przeszłość.

Znowu wróciło wspomnienie płonącego pokoju. Przeszłość nigdy nie wydawała się bliższa. Robert wrócił na Broadway. Sygnal GPS-u powrócił, kiedy dotarł do stacji metra R i W. Po prawej miał pilnie strzeżony ze względów bezpieczeństwa ratusz.

Quad informował, że dokładność wynosi 0,9 mili.

Coś w ogrodzeniu stacji zwróciło jego uwagę. Zrobił zdjęcie

- Opowiem ci historię - powiedziała Terri. - Mam nadzieję, że ci się spodoba.
- Dam ci znać.

- Widziałeś „Salome” Oscara Wildea, którą Al Pacino wystawił w zeszłym roku w Barrymore? Z Marisą Tomei?

- Niestety nie.

- Marisa Tomei wykonała taniec siedmiu zasłon, bardzo wschodni. Pośladki jej drgały i wibrowały. Podczas przedstawienia, które widziałam, zerwała z siebie górę, pokazała piersi. Był w tym niezwykle ładunek erotyzmu. Nie robiła tego co wieczór.

- Szkoda, że tego nie widziałem.

- O tańcu siedmiu zasłon nie ma wzmianki w Biblii, chociaż naturalnie jest scena, gdy Janowi Chrzcicielowi ścinają głowę... nie każdy o tym wie.

- Nie zastanawiałem się nad tym, ale tak, masz rację.

- Taniec siedmiu zasłon zaistniał w naszej świadomości dopiero w dziewiętnastym wieku, kiedy Wilde napisał tę sztukę... w dodatku po francusku... Ale historię, z której się wziął ten taniec, spisano na glinianej tabliczce. Jest bardzo, bardzo stara. To historia Isztar.

- Filmowa wersja nie była zbyt udana.

- Zamknij się i słuchaj. Masz tę opowieść w pliku mp3, który wczoraj wieczorem ci przysłałam. Włącz go, kiedy będziesz schodził do metra. Dotyczy tego, co ci się przydarzy. Wsiądź na stacji Canal, wyjdź wyjściem po lewej, przejdź na drugą stronę Broadwayu i idź na zachód. - Po tych słowach Terri się rozłączyła.

Robert odnalazł odpowiednią ikonę na ekranie Quada i uruchomił plik, schodząc koło zielonej żeliwnej balustrady.

Stacja była funkcjonalnym brązowo-żółtym pudłem, ozdobionym na odległych krańcach peronu granatowymi mozaikami przedstawiającymi ratusz.

Głos Terri brzmiał teraz bliżej, bardziej intymnie. Użyła do nagrania dobrego sprzętu.

- Witaj, Robercie. To ci się spodoba. Isztar, bogini miłości, córka księżycy, wybrała sobie kochanka. Za męża wzięła pasterza Tammuza, który stał się bogiem płodności. Życie na ziemi bujnie rozkwitło. Ale siostra Isztar, władczyni krainy umarłych, pojmowała go i uwięziła.

Nadjechał pociąg linii R. Robert wsiadł i znalazł miejsce siedzące.

- Isztar rusza więc do królestwa siostry, kraju, z którego nie ma powrotu, domu cieni, ojczyzny mroku, by uwolnić ukochanego. Z tej drogi nie można zawrócić, z tego domu, gdzie jedynym pożywieniem są glina i kurz, nie da się wyjść. W tej opowieści umarli przypominają ptaki. Isztar żąda, by ją wpuszczono. Jej siostra Ereszkigal może z radości, może ze strachu zgadza się.

Robert zamknął oczy i zanurzył się w opowieści Terri. Wkroczenie do krainy zmarłych... wyrwanie stamtąd straconej duszy... oto, co robią. Ratują Adama...

- Wartownik zaprasza Isztar do krainy zmarłych i szeroko otwiera pierwszą bramę. Isztar nie ma na sobie sukni, odziana jest tylko w biżuterię i skromność. Wartownik zdejmuję jej z głowy koronę. „Dlaczego zabierasz mi koronę?”, pyta Isztar. „Wejdz, pani. Takie są rozkazy mojej królowej”, odpowiada wartownik.

Przy drugiej bramie każe jej odpiąć zausznicę.

Przy trzeciej bramie każe jej zdjąć naszyjnik.

Przy czwartej bramie każe jej usunąć z piersi ozdoby z drogocennych metali.

Przy piątej bramie każe jej zdjąć wyłożoną talizmanami przepaskę biodrową.

Przy szóstej bramie każe jej zdjąć bransolety z rąk i nóg.

Przy siódmej bramie każe jej zdjąć ostatni fragment stroju.

Robert uśmiechnął się, nie dopuszczając do siebie erotycznych skojarzeń. Czy Terri rozbiera się dla niego? Opowiadała głosem obojętnym, choć z nutką kpiny. Czy Robert pozwoli się dzisiaj uwieść? Nigdy nie był kobieciarzem. Nie należał do tego rodzaju mężczyzn. Będzie się opierał. Musi. Na tym z pewnością polega ta próba.

- Tak więc Isztar jest naga, gdy staje twarzą w twarz z królową umarłych, i natychmiast atakuje siostrę. Siedmiu sędziów piekła zwraca oczy śmierci na Isztar, Ereszkigal szczuje na

nią choroby jak watahę wilków. Isztar umiera, a jej zwłoki wieszają na palu. Ziemia jałowuje. Płodność umiera. Mężczyzna i kobieta syją osobno. Byk nie pokrywa krowy, drzewa, rośliny nie wydają owoców.

Hejże, pomyślał Robert. Erotyczny nastrój pękł jak bańka mydlana, i po problemie.

- Ale Isztar zostawiła wiadomość, że jeśli po trzech dniach nie wróci z krainy umarłych, należy ruszyć jej na ratunek. Posłaniec bogów, widząc jałowość ziemi, rozmawia ze słońcem i księżycem, a także błaga boga mądrości, by przywrócił płodność. Bóg mądrości tworzy istotę ze światła, którą wysyła na ratunek Isztar. Imię tej istoty brzmi Asushu-na-mir, co znaczy „oblicze światła”. Bramy podziemi otwierają się przed Asushu-namirem, królowa umarłych przyjmuje go na audiencji.

Jednorożec, pomyślał Robert. Człowiek z Wirującego Światła. Nim musi się stać.

- Asushu-namir, istota niezwykła, emanuje taką jasnością, że kiedy prosi królową podziemi o wodę życia dla Isztar, ta przeklina i pluje, ale nie potrafi odmówić i w końcu wydaje rozkaz, by spełniono życzenie posłańca i usunięto siostrę z jej oczu. Isztar wraca do życia.

Przy pierwszej bramie oddają jej bieliznę.

Przy drugiej bramie wkłada bransolety na ręce i nogi.

Przy trzeciej bramie wkłada pas wyłożony talizmanami.

Przy czwartej bramie wkłada ozdoby na piersi. Przy piątej bramie zakłada naszyjnik.

Przy szóstej bramie zapina nausznicę. Przy siódmej bramie wkłada koronę. Przy jej boku pojawia się Tammuz. Roślinność pokrywa ziemię. Płodność wraca i ziemia ożywa.

Historia dobiegła końca w chwili, gdy pociąg zatrzymał się na stacji Canal Street. Jazda trwała zaledwie dwie minuty. Robert wysiadł z głową pełną obrazów.

Wyjście znajdowało się w środku peronu, nad nim widniał napis POCZEKALNIA po angielsku i chińsku. Zgodnie z instrukcją wybrał schody po lewej, po wyjściu przeszedł na drugą stronę Broadwayu i dotarł do północno-zachodniego krańca skrzyżowania. Naprzeciw wznosił się kremowy gmach National City Bank of New York, zbudowany w 1927 roku w stylu neoegipskim, obecnie mieszczący sklep z obuwem. Sygnał GPS-u powrócił z dokładnością do 40 stóp. Robert ruszył na zachód. Quad polecił mu skręcić w prawo przy pierwszej możliwości. Punkt oddalony był o niecałe pół mili.

Musiał zapytać o opowieść.

„Terri?”

Brak odpowiedzi.

Robert minął sklepy sprzedające tanie torebki i paski, perfumy i odzież, salon masażu, sklep ze sprzętem muzycznym i elektroniką, przed którym na chodniku stały ogromne głośniki, zamknięty sklep żelazny oraz sklep z wyrobami plastikowymi ze ścianami pokrytymi złotym graffiti, i znalazł się na rogu Mercer Street.

Skręcił w prawo. W pierwszej przecznicy, zrujnowanej i otoczonej ścianami pomalowanymi sprayem, w nozdrza uderzył go odór uryny. Kiedy doszedł na róg Grand Street, gdzie zaczynało się SoHo, w przeszłości nazywane Cast Iron District, jego oczom ukazały się dawne eleganckie magazyny, obecnie mieszczące galerie, butik, strychy przerobione na mieszkanie oraz modne restauracje.

Zapisał Quad, obwieszczając powrót Terri.

- Idź Mercer Street, dopóki sygnał nie powróci, i słuchaj. Po drodze będzie jeden albo dwa przystanki...

- Ta historia?

- Podobała ci się? Zawiera cel dzisiejszego dnia, w każdym razie jego fragment.

- Istota ze światła? To ja?

- W pewnym sensie całość jest o tobie. Kawalek po kawalku obnażamy twoją tożsamość. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, na końcu przywdziejesz nowe szaty. Ze światła. Wyobraź sobie, że teraz zdejmuję koronę. Potrafisz? I zatrzymaj się, gdy dojdiesz do Eve's Delight.

Wymienione przez nią miejsce znajdowało się na północ od Grand; szklana witryna prowadziła do pustego holu, z towarami dyskretnie ustawionymi w głębi. Zegar wskazywał wpół do trzeciej. To był sex shop, jeden z bardziej eleganckich, prowadzony przez kobiety. Robert nie zaglądał do takich sklepów, chociaż on i Kat na początkowym etapie związku dla zabawy kilka odwiedzili.

Robert zatrzymał się i rozejrzył. Na południu na tle czystego błękitnego nieba wyraźnie rysowała się gotycka wieża Woolworth Building. Na północy zobaczył równie wyrazistą metalową iglicę Chrysler Building z siedmioma parabolicznymi łukami połyskującymi w słońcu.

- Wejdz, Robercie. Coś tam na ciebie czeka.

- To nie jest punkt orientacyjny. Czy tam znajduje się schowek?

- Nie, na niego przyjdzie czas później. To po prostu prezent, który pomoże ci w dzisiejszym zadaniu. Zapytaj przy ladzie,

Robert wszedł do środka, czując się nieco niezręcznie. Powitała go miła kobieta z wielokolorowymi włosami i kolczykami w nosie.

- Jak rozumiem, jest tu przesyłka dla mnie. Na imię mam Robert.

Kobieta uśmiechnęła się do niego z sympatią.

- Cześć. Jak się pan miewa? Zaraz sprawdzę. - Zajrzała pod ladę. - Dzisiaj jest pański szczęśliwy dzień. Żona zostawiła to dla pana.

Wyjęła pomarańczowo-czarną plastikową torbę z przypiętą kartą, na której widniało jego imię.

- Naprawdę?

- Pozwoli pan, że zaprezentuję zawartość? Prosiła, żebym wyjaśniła panu parę rzeczy.

- Och... jasne

Kładąc na kontuarze kolejne przedmioty, mówiła wesołym, rzeczowym, pozbawionym uwodzicielskich tonów głosem:

- Może będzie pan chciał kilkakrotnie rozciągnąć pierścień przed pierwszym użyciem i trochę nasmarować... nakłada się go przed pełną erekcją. Do pierścienia dołączona jest instrukcja.

- Kurczę.

- Najważniejsze jest, by zdjąć pierścień, jeśli poczuje pan ból albo ucisk, i nie należy nosić go zbyt długo po seksie... tu jest środek nawilżający... opaska na oczy nie wymaga wyjaśnień... oooch, uwielbiam te wiatraczki. Nie przecinają skóry, ale doznania są naprawdę niesamowite, dobrze jest zaczynać wolno... Myślę, że to wszystko?

Oszołomiony Robert stał w milczeniu, czując wielkie zażenowanie. Nie mógłby użyć tych przedmiotów z Terri. Nie wiedział nawet jak. Ale właściwie go odczytała: część jego osoby lubiła, gdy się z nim drażniono.

- Wszystko w porządku, proszę pana?

- Moja żona była ostatnio... zajęta.

Kobieta uśmiechnęła się.

- Życzy pan sobie coś jeszcze? Jeśli chciałby się pan zejrzeć, proszę się nie śpieszyć.

- Nie, to... ile płacę?

- Rachunek został uiszczony, proszę pana.

Wyszedł na chodnik.

- Właśnie zdjęłam zausznice, Robercie. Chodźmy.

- To było...

- Tak?

- Wiesz, te sprawy nie są mi obce...

- Nie.

- Ale ja nigdy...

- Odpręż się, Robercie. Musimy porozmawiać. Na wypadek gdybyś potrzebował wyjaśnień, zapewniam, że to wszystko jest etapem Drogi.

Po prawej minął Pearl River, wielki sklep z chińskimi towarami, który ciągnął się aż do Broadwayu, podobnie jak niektóre z opuszczonych, pokrytych graffiti zabudowań. Przeszedł na drugą stronę Broome.

- Policz kwiaty lotosu, Robercie.

- He?

- Naucz się patrzeć, a zobaczysz.

Zatrzymał się przed sklepem dla dzieci o nazwie Enchanted Forest i rozejrzał się.

- Nic nie widzę.

- Naucz się patrzeć, a zobaczysz.

Na czarnych żelaznych kolumnach starego magazynu po drugiej stronie ulicy widniał jakiś wzór. Robert podszedł bliżej, by mu się przyjrzeć. Był to kwiat z czarnego żelaza podobny do lotosu, powtarzający się na niektórych kolumnach. Policzył je.

- Jest ich jedenaście, Terri.

- Spójrz na to z innej strony

- Z innej strony? Jak?

Zobaczysz. Zastanów się dobrze.

- Zastanawiam się.

- Weź pod uwagę inne możliwości,

Jakie możliwości? O co jej chodzi?

- Rozumiem. Suma cyfr.

- Więc jak brzmi odpowiedź?

- Dwa.

- Dobrze Zapamiętaj tę odpowiedź, pasuje do sekwencji. To część hasła. Co Isztar zdjęła w następnej kolejności?

- Po zausznicach? Wydaje mi się, że naszyjnik.

Minął wielki magazyn towarów hinduskich i sąsiadujący z nim butik z modną odzieżą.

- Ja też go zdejmuję.

Robert był u zbiegu Mercer i Spring.

- W dziewiętnastym wieku wszędzie tu były burdele -powiedziała Terri. - Idź dalej. Co zdjęła Isztar przy czwartej bramie?

Robert wyczuwał wodę płynącą pod ziemią. Strumienie i trawę, które dawno stąd zniknęły.

Jego uwagę przykuł znak mówiący: UWAGA NIEBEZPIECZEŃSTWO.

ZAPADNIĘTY CHODNIK. Sfotografował go Quadem. Istotnie, nie ufał już niczemu, nawet gruntowi pod stopami.

- Hmm... ozdoby z piersi.

- Zrzucam stanik... Czytałeś „Neuromancera”, Robercie?

- Williama Gibsona? Nie.

- Jest tam scena, w której bohater Case poprzez komputer odbiera doznania dziewczyny ulicznego samuraja, dzięki czemu może iść tam gdzie ona i widzieć to co ona... jak to się nazywało - symstym?

- Nie czytałem.

- Dziewczyna przesuwając palcem po swoim sutku, by pokazać mu, jak to działa...

Uwielbiam tę scenę. Jest taka podniecająca.

Robert chciał powiedzieć, że jest żonaty, ale nie był w stanie. Zresztą ona i tak o tym wiedziała. Uświadomił sobie, że pod jednym względem na tych kilka godzin wolałby nie mieć zobowiązań. Zaczynał siebie nie poznawać.

Minał najpierw sklep z bibelotami i zabytkami, potem salon z bielizną, gdzie na wystawie stały manekiny w prowokacyjnych pozach. Odwrócił wzrok, próbując się uspokoić. Kiedy doszedł do Fanelli's Bar na rogu Prince Street, powrócił sygnał GPS-u z dokładnością do 62 stóp. Na ekranie Quada wyświetlił się komunikat: „Jesteś u celu”.

- Jestem u celu - powiedział.

Dochodziła trzecia.

- Dobra robota. To też był burdel. I nielegalny bar. Na dole jest tajemny pokój. Wejście przez szafę w barze. Teraz potrzebujesz wskazówki.

- Jestem gotowy

- Po pierwsze, co było piątą rzeczą, którą zdjęła Isztar?

- Pas z drogocennymi kamieniami. Nie wiedziałem, że w tamtych czas już takie mieli.

- Wyobraź sobie wysadzany kamieniami pasek, może łańcuch na brzuch, pas do pończoch, coś w tym rodzaju. Zdejmuję go.

- Co jest na końcu, Terri?

- Ja, Robercie. I ty. Gotowy na wskazówkę?

- Tak.

- Kiedy zobaczyłam, gdzie jest ten punkt, nie mogłam się powstrzymać. Miałam czas, żeby ją przygotować. Zrobiłam to sama. Moja wskazówka jest lepsza od tej, którą przysłał mi Stróż.

*W zasłoniętym pokoju, w tajemnej alkowie  
Szukaj świętej róży, odnajdź święty kwiat  
Wystawia się na pokaz, namawia do zabawy  
I z pierwszym pocałunkiem łamie wszelki opór  
Aby uratować księżycową córę  
Przejdź Próbę Wody.*

Robert zanotował słowa Terri.

- Jestem postacią z twoich marzeń, Robercie. Chodź i odejdz mnie. Pozbywam się bransolet z rąk i nóg.

Zdezorientowany Robert zawrócił ku Eve's Delight. Ale sklep był za bardzo oddalony od punktu orientacyjnego. Co Terri miała na myśli? Tajemny pokój w Fanelli's Bar?

Po kilku krokach znowu się zatrzymał. „Wystawia się na pokaz”.

- Ciepło.

Witryna sklepu z bielizną.

„Zasłonięty pokój...”

Robert przyjrzał się manekinowi po lewej. Długie czarne włosy, czarne figi i pończochy, czarne rękawiczki do łokci...

- Ciepłej.

- Jesteś w środku.

- Gorąco... wejdz i zapytaj o żonę. Ale dobrze się przyjrzyj manekinowi, który stoi po lewej stronie witryny. Tak jestem ubrana.

- Terri...

- Zrób to, proszę.

Robert wszedł do sklepu. Wnętrze było utrzymane w szarościach i różach. Powitała go dwudziestokilkuletnia dziewczyna w obcisłym różowym stroju, z piersiami podniesionymi i

zachęcająco wypełniającymi dekolt. Dwie inne identycznie ubrane kobiety krzątały się przy ladach. Robert był jedynym mężczyzną w sklepie.

- Szukam żony. Na imię mam...

- Robert? Witam, jak się pan miewa? Jestem Gemma. Żona czeka na pana.

Poprowadziła go obok wieszaków z koronkami na wyłożony lustrami tył sklepu. Gestem wskazała okrągłą sofę w intensywnym odcieniu pomarańczowej czerwieni. Wzdłuż ściany znajdowało się kilka przebieralni, każda ze srebrno-szarą zasłoną.

- Proszę usiąść, powiem jej, że pan już jest.

Dziewczyna wsunęła głowę do drugiej przebieralni od lewej i powiedziała coś cicho.

Robert usłyszał radosny śmiech.

Gemma obejrzała się na niego.

- Żona chce panu coś pokazać - szepnęła.

Robert zbliżył się do zasłony. Gemma uściśnęła mu rękę i odeszła. Zerknął do przebieralni.

W środku była Terri.

- Cześć.

- Cześć.

Ubrana była w krótki srebrnoszary szlafroczek. Krótkie czarne włosy. Okulary słoneczne w posrebrzonych oprawkach. Drobną. Uśmiechała się do niego.

Zsunęła szlafrok pozwalając, by opadł na podłogę. Miała na sobie czarne figi, czarne pończochy, czarne operowe rękawiczki. Tak samo jak manekin.

Krew odpłynęła mu z głowy

- Wreszcie się spotykamy, Robercie. Daj mi lewą dłoń.

Włożył rękę za zasłonę.

Ujęła ją i zwinęła w luźną pięść, oddzielając tylko palec wskazujący. Przyciągnęła go do ust i delikatnie dmuchnęła. Uśmiechnęła się krzywo.

- Robercie... nic nie mów.

Rozchyliła usta i koniuszkiem języka muskała czubek jego palca. Przerwała, spojrzała na niego i uśmiechnęła się, potem znowu zaczęła leciutko go lizać. Robert próbował cofnąć dłoń.

- To jest zakazane, prawda? - powiedziała. - Dlatego jest takie... rozkoszne. Nic nie mów. Przestał nawet próbować.

Otworzyła usta i położyła na języku jego palec. Jej oddech był gorący, ale nie zamknęła ust. Cofnęła jego palec. Lizała od nasady do koniuszka, ledwo muskając skórę.

- Ty... i ja... musimy poważnie... porozmawiać.

Ułożyła wargi w okrąg i zamknęła je na pierwszym stawie jego palca. Poczuł, jak przez ciało przepływa mu prąd. Naparł na oddzielającą ich zasłonę. Terri położyła mu na piersiach dłoń.

- Cieszysz się, że mnie widzisz?

Zaczęła rytmicznie ssać jego palec, wolno, coraz głębiej.

- Przestań - powiedział Robert.

Zwolniła, przerwała, ściskając usta na koniuszku jego palca, po czym wolno go cofnęła. Uformowała się strużka śliny. Ciągnęła się tak mocno, aż pękła.

- Nie dam rady się temu opierać - szepnął Robert. - Poniosę klęskę.

- Głuptasku... nikt nie oczekuje, że będziesz się opierał. Teraz pomóż mi wybrać gorset.

Przez zasłonę odepchnęła jego pierś.

- Cofnij się, wychodzę.

Robert wrócił na sofę, dokładając starań, by ukryć erekcję. W głowie mu się kręciło, w uszach dudniło. Terri w jedwabnym szlafroku wyłoniła się zza zasłony i zawołała Gemmę.

- Chcielibyśmy przymierzyć kilka gorsetów. Może pani coś zaproponować?

Poruszała się w sposób, który równocześnie sugerował kruchość i stalową wolę. Gemma przyniosła lekki czarny gorsecik i solidniejszą różową kreację z czarnymi podwiązkami. Terri przyłożyła je po kolei do siebie.

- Który bardziej ci się podoba, kochanie?

- Różowy - odparł Robert.

- Gemmo, czy mogłaby pani za chwilę przyjść i pomóc mi się zasznurować? - zapytała Terri, po czym wróciła do przebieralni i zaciągnęła zasłonę.

- Będzie świetnie w tym wyglądała - powiedziała Gemma do Roberta. - Ma piękną szyję i ramiona.

Robert z uśmiechem pokiwał głową.

- Mówiła, że to wasza rocznica. Gratulacje! A która.

Zakaszła.

- Pierwsza?

Terri wyszła zza zasłony. Gemma położyła jedną dłoń jej plecach, drugą naciągnęła tasiemki.

- Mocniej - powiedziała Terri. - To takie seksowne, kiedy jest ciasno zasznurowany

- Wyglądasz rewelacyjnie - odezwał się Robert.

- Zapłacisz? Nie będę go zdejmować.

Kiedy wychodzili ze sklepu, ujęła go pod ramię. Miała na sobie elegancki czarny żakiet i spódnicę do kolan, a pod nimi gorset i pończochy

- Nie idziemy daleko.

Zawrócili do baru Fanelli na rogu, tam przeszli na drugą stronę Prince Street. Zaraz potem pod wielkim żelaznym zegarem Terri otworzyła nieoznaczone czarne drzwi w bezimiennym budynku z czerwonej cegły

Znaleźli się w holu wyglądającym jak biblioteka dla hipsterów. Ścianę po prawej zapelniały książki. Przy niskich stolikach siedziało kilka osób, stukając w laptopy albo rozmawiając. Roberta oślepiła biała pusta ściana na wprost. Terri poprowadziła go prosto ku windom koło biurka recepcjonistki, która z uśmiechem do niej pomachała.

NOWY JORK, 27 SIERPNI 2004

Kiedy Horace, zapadając w głęboką medytację, przyjął rolę Stróża, ogarnął go dziwny chłód. Choć był lojalny wobec swoich podopiecznych, nie mógł dłużej być ich przyjacielem. Jako Stróż musiał być gotowy do podjęcia drastycznych decyzji, do poświęcenia jednego z nich, jeśli będzie trzeba. Miał nadzieję, że do tego nigdy nie dojdzie. W myślach badał każdy szczegół planu. Nie może się nie powieść. Modlił się o to żarliwie. Każdy etap niósł wielkie niebezpieczeństwa.

Obserwował graczy - każdy z nich szukał swojego fragmentu układanki, każdy działał zgodnie z instrukcjami, ale wiedział tylko tyle, ile trzeba.

Czas uciekał, ale na razie nie mieli opóźnień.

Siedem mniejszych kluczy zostało ułożonych na Manhattanie w specjalny wzór. Stróż teraz pojmował, że twórca urządzenia rozbudował je niczym antenę, tak by powiększyło siłę ataku.

To Adam zdobył komputer kieszonkowy twórcy urządzenia w dniu zaciemnienia, jednakże Stróż nie mógł mu go powierzyć. Od dnia zaciemnienia stało się jasne, że dusze się połączyły, utworzyły związki, zasiano ziarno zepsucia w duszy Adama. Dlatego w najgłębszej tajemnicy Stróż oddał komputer Katherine. Nalegał, by zdekodowała pliki, oddzieliła prawidłowe informacje od śmieci. Zajęło jej to rok, złamała szyfry, choć tajemnice



pozostały. Była w stanie wskazać właściwe punkty informacyjne, nie zdając sobie sprawy z ich pełnego znaczenia.

Kiedy jej się to udało, ledwie kilka dni temu, komputer włączył się i wysłał sygnał. Twórca Ma'rifat'a bez wątpienia założył pułapkę na wypadek, gdyby odkryto punkty orientacyjne.

Kat natychmiast powiadomiła Stróża, ten zaś doszedł do wniosku, że uzbrojone zostało drugie urządzenie. Zegar zaczął tykać.

Stróż znał znaczenie punktów. Widział pełny obraz. Dzięki temu potrafił kontrolować grę i rozdzielać odpowiednie role. Adamowi. Katherine. Terri, częściowo za plecami Adama. Robertowi. Każde z nich doświadczyło utraty i cierpienia. Bez subtelnej równowagi wszyscy zginą.

Gdy Kat złamała kody w komputerze kieszonkowym Adama niemal natychmiast wezwano na spotkanie z Iwnwem. Przez rok się im opierał, a oni nie naciskali zbyt mocno, czekając na chwilę, która teraz najwyraźniej nadeszła. Nie mógł dłużej im odmawiać. Kiedy Hale otrzymał zaproszenie, Horace zdecydował, jaką formę przyjmą próby, przez które musi przejść Robert.

Druga próba dotyczyć będzie seksu. Robert zostanie wystawiony na działanie potężnych niszczycielskich mocy tkwiących w żądy seksualnej. Taka jest energia wody, ustępującej swą surową siłą tylko energii ziemi. Aby przejść próbę, Robert musi przyjąć owe siły i w całości włączyć je w swoją wędrówkę Drogą, nie trwoniąc ich i nie osłabiając. Podobnie jak wielu ludzi, został odcięty od ich pełnego wymiaru.

Stróż dostrzegał konieczność zmian, które muszą nastąpić w związku Roberta z Katherine oraz w związku Terri z Adamem.

Wszyscy muszą cierpieć, powiedział do siebie. Niestety, wszyscy muszą cierpieć.

Robert zmuszony będzie do wyboru pomiędzy wiernością sobie a wiernością świętej przysiędze. To go rozedrze na strzępy, ponieważ zacznie niszczyć jego małżeństwo.

Odnajdzie drugi klucz, mający kształt jednego okręgu wyłaniającego się z drugiego. I zacznie na nowo budować ciało, swoje nowe ciało ze światła.

Adam poprosił o spotkanie z Robertem w kilku punktach Drogi. Stróż wahał się, nie zamierzał bowiem ujawniać przed Haleem punktów orientacyjnych i wzdragał się przed okazaniem mu pełnego zaufania. Adam twierdził, że to pomoże im obu: kiedy Robert będzie nabierał mocy, jego siła pomoże opóźnić zepsucie Adama. I dzięki konfrontacji z nim Robert będzie mógł skupić swoje moce. Zasugerował pierwszą i trzecią próbę, może też piątą. Stróż odmówił; oznajmił, że tylko on będzie obserwował postępy Roberta. Jeśli starcie z Adamem okaże się dla Roberta niezbędne, Horace wyśle mu współrzędne w stosownym czasie.

Teraz Stróż rozważał pozostałe pięć prób, jedną po drugiej. Robert, wspinając się po drabinie kolejnych etapów Drogi, będzie przyjmował energię mniej surową i bardziej zorganizowaną; subtelniejszą i bardziej zdolną do zamierzonego ukierunkowania. Każda będzie też mniej śmiertelna. Bez pouczonych mocy ziemi i wody Roberta może zabić któraś z wyższych energii, nie wspominając o Braterstwie Iwnw, zanim zdoła wznieść się wyżej.

Niechaj niebios nam pomogą, rzekł Stróż do siebie.

MIAMI, WRZESIEŃ 1998

Adam uśmiechnął się z radością, gdy Robert w sobotni wieczór zszedł na kolację.

- Jakie nowiny? - zapytał.

- Georges daje niezły łomot wyspom Key.

- Myślisz, że jest spokrewniony z pianistą w holu?

- Dobrze.

- Czy twoja obecność oznacza, że jesteś bezpieczni?

- Zrobiłem sobie przerwę. Obawiam się jednak, że nie będę mógł wziąć udziału w wielkim finale. Wciąż mamy problem. Wygląda na to, że huragan skęci w stronę zachodniego wybrzeża i Panhandle. Ale może też zawrócić i ruszyć prosto na nas.

Zebrani przy stole kończyli główne danie. Katherine zatrzymała wolne miejsce koło siebie, ale Robert na migi ją przeprosił.

- Tak więc - powiedział Adam bez pretensji w głosie - musimy rozwiązać zagadkę bez pomocy naszego dobrego przyjaciela Roberta. Zabierajmy się do roboty.

Później tego wieczoru Katherine wyciągnęła się na łóżku w pokoju Roberta.

Zdała mu relację z całego doświadczenia, któremu poddał ich Adam, bardziej rozbawiona niż zdziwiona. Adam zamykał ich w pokojach, kazał szukać tropów w wiaderkach z lodem i łamać podstawowe szyfry. Zaprezentował im też prestidigitatorską sztuczkę. W jednym z pomieszczeń wynajętych dla uczestników gry poprosił wszystkich, by pieniądze, paszporty, prawa jazdy i fotografie ukochanych włożyli do metalowej puszeki, a potem udał, że podpala jej zawartość.

- O mało go nie zlinczowali - powiedziała.

W kulminacyjnym momencie, kiedy zgromadzili się w zapierającym dech apartamencie na dwunastym piętrze, w którym w czasach prohibicji mieściło się nielegalne kasyno. Adam oznajmił, że morderca znajduje się pośród nich. Ofiara także, dodał. Poprosił, żeby otworzyli zabezpieczone koperty zawierające dane na temat prawdziwej tożsamości zarówno zabójcy, jak i ofiary.

W kopercie Katherine była jej fotografia. Wszyscy mieli swoje zdjęcia w kopertach. Kiedy sobie to uświadomili i zaczęli ze zdziwieniem protestować, Adam zapalił niezwykle intensywne światło podobne do błysku magnezji i zniknął. Zostawił notkę, w której zapraszał ich do pozostania w hotelu do niedzieli na jego koszt, a także fragment przetłumaczony z dwunastowiecznego arcydzieła perskiej literatury „Narada ptaków”. Gorąco im go polecał; dodawał też, że celem zabawy była dramatyzacja i pokazanie sławnego mistycznego dzieła w nowym świetle.

- Chyba stracił kilkoro przyjaciół, ale szczerze mówiąc, świetnie się bawiłam - powiedziała Katherine. - Przypuszczam, że całość dotyczyła języka ptaków

- Nie mam pojęcia, co to znaczy.

- W porządku. Nie rozmawiajmy więcej o Adamie.

Katherine pograżyła się we wspomnieniach, zapatrzona w niewidzialny tajemny świat, który za sobą zostawiła, o którym nie mogła szczerze mówić.

Opowiadała o mężczyźnie, którego utraciła.

- Na swój sposób był odważny jak lew. Zgodził się szpiegować dla nas. Zdradzić ojczyznę w imię większego dobra świata. Należał do ludzi, którzy szczerze tak myślą.

Robert przypuszczał, że chodziło o tajemnice związane z produkcją broni nuklearnej.

- Już wcześniej werbował go wywiad jego kraju, Mukhabarat. Nie chciał się zgodzić.

Wywierali na niego naciski poprzez rodzinę. To było żałosne i głupie; powiedział, że nawet nie zadawali mu rozsądnych pytań. Więc przyszedł do nas. A ja uczyniłam z siebie większe

dobro świata. Tym dla niego byłam. Beze mnie nic dla niego nie istniało, szczęście świata równało się mojemu szczęściu.

- Byłaś jego... kontrolerem? Prowadziłaś go?

- Sam siebie prowadził. Ale tak, jeśli chodzi o struktury, odpowiedzialność ponosiłam ja. Nie odkryłam go. Odkrywcy zwykle nie bywają stróżami. Sam do nas przyszedł. „Pragnę zdradzić swój kraj, raczej wcześniej niż później, i bardzo chciałbym się zakochać”. Mnie powierzono zadanie wykorzystania go i byłam w tym bardzo dobra.

- Nie powinnaś sobą pogardzać.

- Zastanawiam się, czy ktoś inny na moim miejscu znaczyłby dla niego tyle samo.

- Wątpię, zakładając, że byliby to mężczyźni z nieświeżym oddechem i owłosionymi plecami.

- W takim razie jakaś kobieta.

- A było ich dużo tam, gdzie pracowałaś?

- Dość dużo.

- Ale oni dali go tobie.

- Tak.

- Jak przypuszczam, istnieją regulacje dotyczące związków uczuciowych z osobami, które się kontroluje. Prowadzi.

- Tak. *Verboten*. Podczas gdy sytuacja odwrotna może okazać się bardzo użyteczna.

- Czy pokochał twój matematyczny talent?

- To, że mogliśmy dyskutować o nauce na profesjonalnym poziomie, bez wątpienia pomagało. Wiesz, jakie mam wykształcenie. A nasz związek był platoniczny.

- Za obopólną zgodą?

- Nie, oczywiście że nie. On chciał go skonsumować, ja mu nie pozwalałam.

- Ale nie pozbawiłaś go nadziei.

- Nie, ponieważ dostrzegłam, dokąd to prowadzi. Wiedziałam, że pewnego dnia może okazać się przydatnym narzędziem. A potem...

- Tak?

- On coś powiedział. Nic wstrząsającego czy patetycznego. W gruncie rzeczy to było dość niemądre.

- Co?

- Powiedział, że nie odstępuje go strach. Jest przy nim w dzień i w nocy, przez cały czas. Wyjątkiem są spotkania ze mną i rozmowy o matematyce. Powiedział, że to uspokaja jego myśli.

Robert spojrzał na nią pytająco.

- Coś się we mnie załamało. Uświadomiłam sobie, że nie mogę go w taki sposób traktować. Że przez takie postępowanie uczyniłam z siebie część problemu. Definitywnie, bez cienia wątpliwości nie stałam się większym dobrem świata, ale czymś całkiem przeciwnym.

- Powiedziałaś o tym przełożonym, odsunięto cię od sprawy i nigdy więcej go nie widziałaś.

- Nie.

- Wyobrażam sobie, że takie postępowanie nazywają nieprofesjonalnym?

- Mają mnóstwo określeń, jeśli o czymś takim się dowiadują.

- Ale się nie dowiedzieli.

- Nie. A ja go wykorzystywałam, ponieważ w przeciwnym wypadku nie zbawilibyśmy świata. Nie istniała inna możliwość. On mógł mnie kochać tylko pod warunkiem, że to właśnie robimy. I gdzieś po drodze zaczęłam wierzyć.

- Mogę zapytać, gdzie to było?

- Czy to ważne? Na imię miał Tariq. Tak wiele dawał. Wszystko. Czulałam, że muszę dać mu coś w zamian, coś, co będzie dla niego cenne, coś równorzędnego. - Westchnęła. - I dałam mu coś, czego nie powinnam była dawać.

- Co to było?

Katherine zmarszczyła czoło.

- Wiele rozmawialiśmy o wielkich myślicielach arabskich. Filozofach, uczonych, alchemikach. Tariq był niezmiernie dumny ze swojego dziedzictwa, jak to nazywał.

- Tak...

- Pamiętasz dokument Newtona, który Adam przechowywał?

- Pamiętam.

- Są tam cytaty z kilku wybitnych arabskich uczonych. O naturze i tworzeniu wielkiego sekretu. O sposobach połączenia szkła i metalu. Dałam mu kopię.

- Czy Adam wiedział?

- Nie Ufałam Tariq'owi. A formuła nie była kompletna. Ale od tamtej pory myśl o tym mnie prześladowa.

- I co z tym zrobił?

- Nazwał pięknym zabytkiem i pamiątką po zaginionej wiedzy. A potem mi go oddał. Zaufanie za zaufanie. Przez kilka lat mieliśmy dobry materiał. Najlepszy. Nikt inny go nie miał. Nawet Amerykanie. Nikt. Babcia byłaby ze mnie dumna.

- A potem?

- A potem on chciał odejść.

- Więc jednak nie zależało mu aż tak bardzo na zbawieniu świata?

- Nie masz pojęcia, pod jaką presją żył. Kazano mi zatrzymać go w kraju.

- Wyobrażam sobie, że niewielki byłby z niego pożytek, gdyby go wypuszczono.

- Był bezcenny. Wiele mu zawdzięczaliśmy. Ale naciskaliśmy jeszcze mocniej. W końcu zgodziliśmy się na jego wyjazd, ale najpierw zamierzaliśmy wycisnąć z niego wszelkie możliwe informacje. I tak zrobiliśmy. Obiecaliśmy też, że załatwimy coś dla jego rodziny. Że wydostaniemy jego ojca z łap Mukhabarata.

- Kiedy to było?

- Pod koniec lata 1997 roku. Organizowałam jego przerzut

- Sama?

- Z partnerem. Ja dowodziłam.

Robert siedział bez ruchu i czekał na dalszy ciąg.

- Wszystko załatwiliśmy. Furgonetka, schowek, lewe paszporty. Potwierdził, że się pojawi. Falszywy termin poprzedniego dnia, ustalona z góry lokalizacja. Był szary poranek. Chmurny.

- Zimno?

- Tak. A on... nie przyszedł. Po prostu... go nie było.

- Czekaliście.

- Aż stało się to niebezpieczne. Zbyt niebezpieczne. Nie mogliśmy czekać w nieskończoność.

- Aresztowano go?

- Nie wiem. Przypuszczalnie tak. Pewnie go torturowali, przez wiele dni. Założyłam, że potem umarł. Nie miałam możliwości dowiedzenia się prawdy. Pod wieloma względami to utrudnia żałobę, ale wolę nie wiedzieć. Zawsze jest wątpliwa nadzieja, że zdołał przeżyć.

- Tak mi przykro.

- I sama zwolniłam się ze służby.

- Cieszę się.

- Jest jeszcze jedno.

- Twój dar?

- Zniknął. Nie zdawałam sobie w pełni sprawy z jego istnienia, dopóki go nie straciłam. Próbowałam okazać sympatię, zachowując przy tym swój sceptycyzm.

- Kat, zawsze uważałem, że to była empatia, wysoka świadomość języka ciała, coś w tym rodzaju. Intuicja, wchodzenie w podświadomość. Sama w ten sposób mówiłaś o tym na uniwersytecie.

- Tak mówiłam, wiem. Ale to było coś więcej. W dzieciństwie myślałam, że każdy potrafi to co ja. Ale nikt inny tego nie słyszał. To było jak muzyka, jak cudowna harmonia. Jakby wszystko rezonowało, a ja potrafiłam dostroić się do ludzi i rzeczy i uczyć się od nich. Rozmawiałam z kimś tylko dotykałam, a słowa same formowały się w moim umyśle.

- Słyszałaś głosy?

Kat westchnęła.

- Nie, nie głosy. Jeśli już, to rodzaj głosu wewnętrznego. Ale słowa, które do mnie przychodziły, były dokładnie takie, jakie ludzie chcieli usłyszeć albo powiedzieć. Słowa w rodzaju „samotny”, „bezbronny” albo... - Urwała i uśmiechnęła się.

- Napalony?

- Dość często, panie Reckliss.

- I straciłaś tę umiejętność?

- Częściowo straciłam ją w noc pożaru.

- Nie rozmawiajmy o tym.

Popatrzyła na niego z rozbawieniem.

- Ta noc wciąż cię przeraża, choć minęło tyle lat.

- To minęło, już nie jest ważne. Mów dalej.

- Kiedy straciłam Tariq'a, dar do końca zniknął.

- Tak po prostu?

- Jak kurcząca się kulka waty. W ciągu kilku dni.

- Czy kiedyś powróci?

- Nie jestem pewna, czy mi na tym zależy. Był bardzo użyteczny w tamtej pracy. Teraz kojarzę go z utratą. Ze zdradą. Zaznałam wielu niebezpieczeństw, więcej niż chciałam. Skończyłam z tym. Im jestem starsza, tym wyraźniej sobie uświadamiam, że potrzebuję stabilizacji. Mężczyzny, który zawsze przy mnie będzie. Kogoś takiego jak ty.

Robert ją pocałował.

- Zostań ze mną.

- Zostanę.

NOWY JORK, 27 SIERPANIA 2004

Robert i Terri wjechali na piąte piętro. Drzwi hotelowych pokoi zrobione były z solidnego szarego metalu przypominającego żłobkowaną stal. Na drzwiach do ich pokoju na zielonym magnesie widniały słowa: „Tak, proszę”.

Weszli do środka i stanęli naprzeciw siebie. Terri wypełniła pokój swoją obecnością. Była uosobieniem seksualnego przyciągania.

- Robercie, pora porozmawiać. Myślisz, że teraz będę uprawiać z tobą seks?

- Miałem nadzieję, że zechcesz. I miałem nadzieję, że nie będziesz chciała.

- To zrozumiałe. W końcu jesteś żonaty.

- Od sześciu miesięcy nikt mnie nie dotykał. Dałbym wszystko za kobiece ciało przy moim. Ale...

- Wiem.

- Kim jesteś?

- Jestem twoimi potrzebami. Od tych, które miałeś jako nieporadny i napalony czternastolatek, do tych, które masz jako nieporadny i napalony czterdziestodwulatek. Wszyscy ci Robertowie są w porządku. Wszyscy Robertowie, którzy chcą się ze mną pieprzyć, są w porządku. Nie musisz czuć wyrzutów sumienia wobec któregoś z nich. I wszyscy Robertowie, którzy czują się winni, bo chcą się ze mną pieprzyć; też są w porządku. Jesteś dobrym człowiekiem.

Uniosła głowę ruchem świadczącym o pewności siebie, a mimo to sprawiała wrażenie bezbronnej. Przyglądał się jej z podziwem.

- Robercie, kilka następnych godzin jest wyłączonych z czasu i przestrzeni. To dotyczy wyłącznie nas. Jest święte, jest niezbędne i nikt się o tym nie dowie. Musisz zrobić parę rzeczy dla mnie i ze mną... Poczujesz się dobrze, oboje poczujemy się dobrze. Dzięki temu pozbedziesz się strachu, Zyskasz coś, czego nigdy nie miałeś, czego każdy potrzebuje i powinien mieć.

- Co to jest?

- Każdy jest wyjątkowy - mówiła lekkim, niemal żartobliwym tonem. - Każdy reaguje inaczej, każdy ma inne psychoseksualne potrzeby. Ale w ostatecznym rozrachunku wszyscy potrzebujemy tego samego. Kwestia polega na znalezieniu odpowiedniej drogi, by to osiągnąć.

- Co to jest?

- To nie jest miejsce, tylko doznanie. Obawiasz się Boga w seksie. Boisz się tego, co przeżyjesz, kiedy utracisz lub zyskasz pełną kontrolę. Przeraza cię całkowite zaangażowanie. Seks jest jak urok lub zaklęcie, ale ty nigdy nie pozwalasz, by zabrał cię do kresu. Zawsze zawracasz i zaczynasz siebie obserwować. Obawiasz się Boga w różnych sprawach, ponieważ obawiasz się Boga w sobie. Ukryłeś część swej osoby głęboko pod woalem strachu i nie potrafisz jej przywołać, a to cię zabija. Musimy ją uwolnić. W przeciwnym wypadku nie będziesz dla nikogo użyteczny. A już na pewno nie dla mnie.

Wiedział, że powinien wyjść, ale wiedział też, że tego nie zrobi.

- Seks to seks - powiedział. - Może być cudowny, ale w ostatecznym rozrachunku to tylko fizyczny spazm.

Przypomniawszy sobie noc pożaru. Seks z Katherine. To był jego pierwszy raz, choć jej o tym nie powiedział. Już zawsze od tamtej nocy towarzyszyło mu skojarzenie seksu ze zniszczeniem, z krzywdzeniem innych, podkładaniem ognia... już zawsze oddzielał się od swego ciała, które własnym rytmem dążyło do rozkosznego, lecz pustego fizycznego rozładowania. ...

- Nigdy nie jest za późno na poznanie nowych rzeczy, Robercie.

- Terri, spójrz mi w oczy.

- Rozpracowujesz moje sekrety?

Zobaczył własne zniekształcone odbicie w srebrnych krzywiznach jej okularów przeciwsłonecznych. Wcześniej tego nie dostrzegał, ale teraz wiedział.

- Jesteś ślepa.

- Tak. A mimo to widzę,

- Jak to się stało?

- Uległam wypadkowi w dniu zaciemnienia. Mnóstwo rzeczy się wtedy popsuło.

- Opowiedz mi.

- Opowiem. Ale na razie są ważniejsze sprawy.

Wolno rozpięła żakiet, ociągając się przy każdym guziku, później pozwoliła, by z jej dłoni opadł na podłogę. Gorset podkreślał wdzięk jej szyi, pełne piersi.

- Terri, jesteś zadziwiająca.

- Nie masz pojęcia jak bardzo. Uwielbiam ten hotel. Dotknij pościeli. Szczerze mówiąc, wystarcza sam splot tkanin, żebym miała orgazm. - Rozsunęła zamek, spódnica wylądowała u jej stóp. Zgrabnie ją przekroczyła. - Kochaj się ze mną, Robercie.

Serce tak mu waliło, że myślał, iż upadnie. W głowie mu się kręciło, w uszach huczało, ciało rozpalał żar, w żyłach szybko krążyła krew. Jej seksualny magnetyzm wziął go we władanie, przyciągnął ku jej uśmiechniętym ustom, hipnotyzującym perfumom. Widok i zapach jej ciała rozpalił w jego oczach szkarłatne i fioletowe błyski, w umyśle rozbrzmiał śpiew ptaków, każdą cząstkę jego ciała przepełniło bolesne pożądanie.

Zrobił krok do przodu i podniósł ją, opierając o ścianę. Terri owinęła ciasno nogi wokół jego pasa. Jęknęła, obejmując go za szyję, jedną ręką ciągnąc za włosy. Sztywny gorset wbił mu się w klatkę piersiową, gdy całował ją w usta, twarz, Szyję.

Okręcił się i zrobił dwa kroki w kierunku łóżka. Z Terri w ramionach rzucił się na pościel i wylądował na łokciach. Ukląkł, by rozpiąć pasek. Zdjął koszulę i na moment znieruchomiał, oddychając ciężko. Terri wyciągnęła do niego otwartą dłoń.

- Zdejmij wszystko - powiedziała. - Ja tu będę.

Zsunęła figi i położyła się, jedną rękę podkładając pod głowę, drugą przesuwając po swoim ciele, po pończochach i czarnej koronce, po szyi i udach. Rozebrawszy się, Robert wrócił do niej; nie znając siebie, pchał głęboko, czując dreszcze, gdy słyszał jej okrzyki zaskoczenia i rozkoszy. Zatracił się we własnym ciele i jego poruszającym się rytmicznie ciężarze, kiedy Terri przyciągnęła go ku sobie.

Był stracony dla siebie, dla świata, pchając i pchając. Czas się zatrzymał. Dopiero gdy poczuł, jak Terri dwukrotnie szczytuje, i gotował się do wytrysku, zauważył, że jej dłonie wędrują po jego plecach od pasa do łopatek i podstawy czaszki. Słyszał, jak śpiewnie i cicho coś mówi, ale nie rozumiał słów. Oddychała głęboko, wciągając go w siebie, odpychając.

- Zwolnij, kochany - szepnęła mu do ucha. - Przerwij na chwilę. Czas, żebym pokazała ci coś nowego.

Trzymała go mocno w sobie, przesuwając dłońmi po jego kręgosłupie i szeptała uspokajająco. Robert odetchnął głęboko, wpatrując się w jej wystające kości policzkowe, uśmiechnięte usta, bladą przezroczystą skórę.

- Większość ludzi nie rozumie - powiedziała - że orgazm to doświadczenie całego ciała, całego umysłu, całej duszy, które niewiele ma wspólnego z ejakulacją. Nie pozwolę ci na wytrysk. Jeśli to zrobisz, rozproszysz energię, którą w sobie nagromadziłeś i nagromadzisz w ciągu następnych kilku godzin. Ale ja pokażę ci coś lepszego.

Poczuł, jak u podstawy jego kręgosłupa zapala się ogień, płomień rozprzestrzeniają się po plecach, wędrują do czubków palców rąk i nóg. Terri trzymała dłonie tuż nad jego kością ogonową, potem przesunęła palcami w górę i w dół po plecach. Całe jego ciało zaczęło się kołysać, umysł wypełniły burzliwe fale fioletowego światła. W jego piersi zaczął się rodzić głęboki jęk. A potem zatracił się w potężnym, opróżniającym płuca, wstrząsającym całym ciałem krzyku rozkoszy, trwającym tak długo, że w końcu nie wiedział, kim jest ani gdzie się znajduje.

Kiedy odzyskał przytomność, wciąż był w niej, twardy i napięty.

- Grzeczny chłopiec - szepnęła. - Grzeczny chłopiec.

Kochali się przez wiele godzin.

*Każdy milimetr kwadratowy, każde ścięgno, staw i krzywizna ciała. Ponowne sprawdzanie, respektowanie potrzeb, otrzymywanie pełnej uwagi, dawanie i otrzymywanie serdecznej troski. Poznawanie i nazywanie każdego zakątka, pora, rzęsy, smaku, kończyny. Splatanie i łączenie. Poznawanie całości. Nieskończone, poza czasem. Odkrywanie ciała*

*kochanka jest niczym odkrywanie wzorów miasta, oddawanie czci każdej części ciała jest odbudowywaniem mistycznego ciała, budowaniem i wspominaniem ciała ze światła.*

Odoczywali. Terri opierała głowę o jego pierś. Robert ze stolika przy łóżku wyjął z wiaderka z lodem butelkę wody. Obok leżały jej srebrne okulary i naszyjnik oraz jego ślubna obrączka. Oczy Terri były dzikie, barwy ostrej zieleni. Obserwował ją w lustrze.

- Nie możesz mnie zobaczyć.
- Mogę cię czuć. Więcej mi nie trzeba.
- Masz wielką wyobraźnię.
- Nie, to wielka perwersja. O wiele zabawniejsza.
- Nigdy dotąd nie czułem się tak pełny życia.
- Jeszcze nie skończyliśmy, dziecinko.
- Nie mam pojęcia, która jest godzina.
- To dobrze, Robertcie. Odzyskasz siły... dzięki seksowi pod prysznicem.
- Za chwilę. Jeszcze nie.
- Mają tu rewelacyjne prysznice. Bicze wodne, które biją w kręgosłup. A jeśli się odwrócisz... trafiają we wszystkie erogenne strefy równocześnie.

Pocałował ją w głowę.

- Myślę, że rozpracowaliśmy lokalizację schowka numer dwa.
- Powiedz mi.
- To ty. Twoje ciało.
- Brawo.
- Ukryty przedmiot masz na sobie.
- Mam. Czy raczej miałam.
- Naszyjnik? Ten, który tak rozkosznie spoczywał pomiędzy twoimi piersiami, dopóki go

nie zdjąłem?

- Ten sam.
- Skoro znasz schowki i przedmioty, które się w nich znajdują, dlaczego kazesz mi tam po nie iść?

- Nie wiem, gdzie są pozostałe klucze. Ponieważ jednak ta próba wymagała naszego spotkania, musiałam znać położenie punktu. A Stróż przysłał mi wskazówkę na tyle wcześniej, że zdążyłam się domyślić, gdzie jest schowek. Mówiąc ściśle, znajdował się na dachu tego hotelu. Wiedziałam, że będzie lepiej, jeśli klucz będę miała przy sobie, więc go wzięłam i zawiesiłam na łańcuszku.

- Kto pisze wskazówki?
- Nie wiem. Jeśli chodzi o pozostałe klucze, musisz je wszystkie zebrać. Chodzi o to, jaki się stajesz, gdy znajdujesz kolejny.
- Jaki?
- Potężniejszy. Piękniejszy.
- Jak to?
- Z większym prawdopodobieństwem zdołasz pomóc Adamowi. Pomóc nam wszystkim.
- Czy potrafię to zrobić? Czy ktokolwiek to potrafi?
- Dobrze zacząłeś. Nie myśl tylko, że wszystkie próby będą takie jak ta. Musisz

nadbudować energię seksualną na energii walki, tej morderczej sile, którą zyskałeś wczoraj. Jutro czeka cię inne wyzwanie. Nie przetrwasz jutra bez doświadczeń dnia dzisiejszego.

Robert chwilę milczał. Jego ciało wypełniał relaksujący żar, wspomnienie jej dotyku. W jakiś sposób czuł też, że ściga ich śmierć.

- Rozumiem teraz drugi wers listu, który dostałem, gdy miałem osiemnaście lat. „Dawać, by otrzymywać”. To dobra rada dotycząca relacji z ludźmi, jak przypuszczam, ale też dobra



rada dotycząca miłości i seksu. Bo wtedy „nasienie nie jest doznaniem”. To właśnie mi pokazałaś. Myślałem, że takie rzeczy robią jogini.

- W wielu praktykach i wierzeniach, które wydają się tak od siebie różne, tkwi fundamentalna prawda - odparła Terri. - Kroczysz Drogą tej prawdy.

Robert wyciągnął rękę po naszyjnik. Wisiorzek zrobiony był z lekkiego metalu barwy rudawozłotej i wyglądał jak skrzynka złościwości.

- Poznaję ten kształt - powiedział. - Jak się nazywa taki rybi kształt?

- *Vesica piscis*, rybi pęcherz.

- I to jest klucz? Więc muszę go zabrać,

- Tak. Pilnuj go. Schowaj w bezpiecznym miejscu.

- Co to są za klucze, Terri?

- Do piekła. Jeśli zostaną niewłaściwie użyte.

- Do piekła. Więc na czym to wszystko polega? Kto stoi za tym zbliżającym się atakiem? Horace powiedział, że to jakiś rodzaj bomby niszczącej dusze, nie zwykła ciężarówka pełna azotanu amonu. Powiedz mi.

- Wiem tylko, że Adam straszliwie bał się ludzi, z którymi poszedł się spotkać w środę. Są uosobieniem zła. Potrzebują pośredników, poprzez których mogą działać. Czekają i czekają, a kiedy dostrzegają okazję, łączą się z osobą będącą w psychiczno-duchowym stresie i wolno przeciągają ją na swoją stronę. Urządzenie, Ma'rifat', zostało zbudowane z bardzo rzadkich materiałów, które można zdobyć jedynie poprzez wykorzystanie bardzo starej wiedzy, w rodzaju tej, którą odnajdziesz na Drodze. Ona przemawia do ludzkich dusz. Z wielokrotnia to, co w nich znajduje. Z tego powodu nie mówi się zbyt wiele o Drodze, bo to bardzo niebezpieczne. Urządzenie zbudował człowiek, którego ból i cierpienie przyciągnęły Iwnw, i teraz służy ono ich celom.

- A jakie są ich cele?

- Cóż, po raz ostatni pokazali się na świecie w Bośni. Byli w stanie wpłynąć na niektórych najważniejszych nazistów w czasie drugiej wojny światowej. Na otoczenie Heinricha Himmlera. To ich poplecznicy. Dziadek Adama walczył z nimi.

- SS? Naziści?

- Tak. Adam nazwał ich Braterstwem Iwnw.

Robert utkwiał wzrok w suficie.

- Wczoraj o mało nie zostałem zabity z powodu łuski po naboju. Czy to byli oni?

- Mówiłam ci, miałeś ochronę.

- Cholera, nic na to nie wskazywało.

- Gdybyś nie miał ochrony, zginąłbyś.

- Przypuszczam, że dzisiaj też ktoś będzie chciał mnie zabić z powodu tego klucza?

- Już trudniej cię zabić. Jesteś silniejszy. Miejmy nadzieję, że nikt cię nie zaatakuje.

- Czy tobie też grozi niebezpieczeństwo?

- Potrafię o siebie zadbać. Ale niebezpieczeństwo grozi nam wszystkim. Tyle zrozumiałam. Wszystko wiąże się z dniem zaciemnienia.

- Tamtego dnia zostało poczęte nasze dziecko.

- Wiem. Wtedy w życiu nas wszystkich zaszła pewna zmiana. Adam i ja jesteśmy ze sobą od tamtego dnia. Od... Nie o wszystkim mogę ci mówić.

- Chcę wiedzieć wszystko.

- Przez całe życie miałam głęboką intuicję. Ale po tamtym moje zdolności wzrosły dziesięciokrotnie, może więcej. Jakby mnie kopnięto, uderzono. Jakbym w środku się rozszerzyła, jakby moje wewnętrzne ciało, ciało ze światła, jak zawsze sobie je wyobrażałam, nagle nabrało mocy i zaczęło przeświecać przez skórę. Zdmuchnęło moje oczy do piekła, nie wiem, jak to opisać... Nagle straciłam wzrok, ale potrafiłam wzniecać pożary w ludzkich umysłach. Nagle wyczuwałam, czego inni pragną, wiedziałam, które guziki naciskać. To nie

było wyłącznie dobre, uwierz mi. Wcale nie. Miałam wpływ na zdarzenia, wiedziałam sporo o ludziach, byłam zdolna do rzeczy, o których wcześniej tylko marzyłam... widziałam innych na wylot, do samego jądra... odczytywałam ich potrzeby...

- Jak dobrze potrafisz odczytać mnie? Czy to głupie pytanie?

- Czytam cię tak, jakbyś był zrobiony ze szkła, mój drogi.

- Możesz tę zdolność wyłączać?

- To konieczność. Muszę się przed tym chronić. Ostrość percepcji jest zbyt wielka.

Umarłabym. Na początku za bardzo żyłam dla innych, ale teraz odnalazłam równowagę.

Kiedy warto, mogę mój dar włączyć na całą moc. A dla ciebie warto, Robercie. Dlatego mogę być postacią z twoich marzeń. Widzę twoje potrzeby. I potrafię je spełnić.

- Czego teraz mi potrzeba?

- Porozmawiajmy raczej o moich potrzebach.

- Jakich?

Podala mu pierścień na penisa.

- Domyśl się. To pomoże.

Znowu się kochali, coś zjedli, wzięli prysznic, kochali się, następny akt zlewał się z poprzednim. Byli pijani sobą i rozkoszą. Wydawało się, że Terri ma ciągły orgazm. Dała mu dwa kolejne wszechogarniające szczyty, po których roztrzęsiony z trudem łapał oddech, mimo to eksplodował czystą energią.

Pomiędzy jednym orgazmem a drugim Terri wręczyła mu wiatraczek. Było to okrągłe metalowe urządzenie z tępyimi kolcami, które przypominały ostrogi.

- Bardzo, bardzo delikatnie... bardzo... przejedź tym po mojej skórze - powiedziała. -

Potrafię to znieść tylko wtedy, gdy jestem bardzo podniecona, tak jak teraz.

Westchnęła, zamykając oczy. Robert zrobił to samo. Doznania sprawiały, że dygotała i pojękiwała.

- Delikatnie... delikatnie...

Wolno osiągnęła intensywny orgazm, drżąc w jego ramionach, potem odebrała mu wiatraczek. Po kilku głębokich oddechach ujęła go za rękę.

- Ścieżka, którą kroczysz, nosi nazwę Drogi Seta. Oparta jest na idei rozczłonkowania podmiotu - w tym przypadku ciebie - i zbudowania go od nowa. Za chwilę odprawimy związany z tym rytuał. To ci pomoże w dalszych działaniach.

Na dworze zapadał zmrok. Robert ledwo poznawał samego siebie.

- Opowiedz mi więcej o Terri. Skąd jesteś?

- Z Nowego Jorku. Brooklyn. Gorsza część.

- Na czym polega zarządzanie tożsamością? Jesteś geniuszem komputerowym?

- Och, Robercie, mówisz jak starzec. Błagam.

- O co chodzi?

- Geniusz komputerowy? Mam wiele imion, wiele tożsamości. Ta jest dla ciebie. I tak, znam się na komputerach. Skończyłam college.

- Terri to twoje prawdziwe imię?

- Nie.

- Masz coś równie przyjemnego jak praca?

- Nie. Mam takie talenty, że pieniądze same mnie szukają

- Naprawdę kręcisz filmy wideo?

- Może. Jeśli nawet, to o żadnym nie słyszałeś.

- I szukasz Boga.

- Gdybym miała wybrać religię, powiedziałabym, że jestem sufi. Tylko że wszelkie etykiety są bez znaczenia: ważne jest to, co masz w sercu. Jestem tym, co robię. Gdybym

powiedziała, że jestem buddystką, sprawiłoby to jakąś różnicę? Że wyznaję religię wicca? Co jest w moim sercu?

- O co chodzi z rybim pęcherzem?

- Przyjrzyj się uważnie.

Robert posłuchał.

- Drugi stopień drabiny. Taki kształt powstaje, gdy dzielą się dwie komórki. To akt stworzenia. Dwa okręgi, jeden wydłużony, wzajemnie przecinają się w połowie, co daje kształt ryby, tworzy zaokrąglony owal. Taki kształt mają wejścia do kościołów. I sromy. To nie przypadek.

- Chcę, by to trwało wiecznie.

- Będzie.

- Ale nie w tym świecie, w którymś momencie muszę wrócić do domu.

- Wszystko w swoim czasie. Jeszcze nie skończyliśmy.

- Nie?

- Połóż się - powiedziała Terri i podała mu opaskę na oczy

- Co to za rytuał?

- Zaufaj mi.

Usiadła i utkwiała spojrzenie w jego oczach. Hipnotyzujące szmaragdowe głębie wciągały go w siebie. Terri pochyliła się i pocałowała go. Zamknął oczy i zatracił się w tym pocałunku. Założyła mu opaskę. Szeptala jakieś słowa, których nie rozumiał. Poczuł, jak wiatraczek porusza się wolno po jego skórze, znacząc miejsca, gdzie ramiona łączą się z tułowiem, przenosi się na nogi, a potem z mostka wędruje na brodę. Wrażenie było silne, aczkolwiek ani bolesne, ani seksualne. Terri przesunęła wiatraczkiem po obu stronach szyi, po czym odłożyła go na bok.

Światło w pokoju uległo zmianie, czerń straciła swą głębię. Terri zdjęła mu przepaskę z oczu i pocałowała jego wciąż zamknięte powieki. Jedną. Drugą. Obie na raz. Czoło. Robert otworzył oczy i zobaczył, że pokój zalewa złotożółte światło.

Terri uśmiechała się do niego. Teraz były dwie Terri. Robert patrzył, jak bliźniaczka wypływa z jej ciała i przechodzi na prawo. Bliźniaczka ze światła. Obie połyskiwały złoto. Obie pochylły się i pocałowały go w szyję. Pocałowały go w klatkę piersiową. Dwa języki rysowały splatające się wzory na mostku i brzuchu Roberta.

Obie spojrzwały na niego i jednocześnie powiedziały:

- Dopiero zaczynamy.

- Do diabła, jak to zrobiłaś? - syknął. - Panie Jezu!

Całowały linie, które Terri wyznaczyła kołowrotkiem, jakby symbolicznie go zszywały. Tym razem drżał z rozkoszy.

- Kiedy zgromadzisz dość mocy, dość energii właściwego rodzaju - powiedziały wciąż jednym głosem - będziesz mógł projektować ciało ze światła. Takie jak to.

Całowały go wszędzie, na przemian i równocześnie. Później jedna położyła się obok Roberta i z wolna zaczęła blaknąć, wtapiając się w jego ciało, podczas gdy druga krzepła, odzyskiwała jasną skórę Terri.

- Odpocznij - powiedziała. - Obdarowałam cię moją energią. Niechaj cię wzmocni.

Zasnął na chwilę. Cały świat śpiewał w jego skórze, a skóra była tworzywem, z którego on i świat byli zbudowani.

Świece zapachowe w szklanych miseczkach zalewały pokój przytłumionym światłem. Terri ubrała się.

- Teraz zostawię cię samego, żebyś doszedł do siebie - szepnęła mu do ucha. - Było cudownie. Ty byłeś cudowny. Na dzisiejszą noc zegar się zatrzymał, czas dla nas nie istnieje, ale jutro popłynie szybciej. Bądź gotowy.

- Terri...

- Cicho.

Robert znowu zapadł w sen, tym razem prawie na dwie godziny, potem wstał i wziął kąpiel.

Leżał w wodzie przez kilka minut, wpatrując się w naszyjnik Terri owinięty wokół palców, jeden krąg spleciony z drugim. Nagle usłyszał trzask otwieranych drzwi.

- Terri?

Nikt nie odpowiedział.

Usiadł, gotów wyjść z wanny

- Kto tam? - krzyknął.

W drzwiach pojawiła się jakaś postać, trzymająca przed sobą prześcieradło. Robertowi wydało się, że dostrzega zarys kobiecej figury. W następnej chwili prześcieradło spadło mu na twarz i klatkę piersiową, dłoń, która się zza niego wysunęła, wepchnęła mu głowę pod wodę, zatkała mokrą materią nos i usta.

Robert starał się zachować spokój. Ze wstrzymanym oddechem gwałtownie wyciągnął rękę, próbując złapać napastnika za głowę. Chybił, młócił pięściami w mokre prześcieradło. Pięść w rękawiczce uderzyła go w splot słoneczny. Robert wbrew sobie krzyknął, łykając przy tym wodę. Płótno mocniej przywarło do jego twarzy. Ogarnęła go panika. Kopał i szarpał się; wydawało mu się, że przez szum krwi w uszach słyszy kobiecy głos. Poczł dłoń chwytającą naszyjnik w jego dłoni. Z trzaskiem rozbiło się szkło, gdy zrzucił świecę z krawędzi wanny

Pole widzenia zaczęła przesłaniać ciemność. Był na dnie głębokiej mrocznej studni, jego palce ześlizgiwały się z omszałych kamieni, gdy próbował się z niej wydobyć... Temperatura wody rosła, parzyła go. Poprzez prześcieradło oblepiające mu twarz nagle zobaczył własne ręce, uniesione wysoko, oblane sinoniebiskim nieprzyjemnym światłem. Ono też było gorące, płynne, lecz gęste, skapywało z jego palców. Z zamkniętymi oczami widział wyraźniej. Złapał napastnika za ramiona, Kobieta krzyknęła. Poczł skwierczenie przypalanego ciała, gdy wbił palce w jej skórę.

A potem postać zniknęła, oklejające go prześcieradło zwisło. Żar opuścił jego ciało równie szybko, jak się pojawił. Robert przechylił się przez krawędź wanny, wypluwając wodę, tapiąc łapczywie powietrze. Wciąż trzymał naszyjnik w zaciśniętej dłoni. Trzasnęły drzwi.

Wygramolił się z wanny i potoczył po podłodze łazienki. To dzieje się naprawdę, powiedział do siebie, i ciągle się powtarza. Jest rzeczywiste. Dobry Boże, to wszystko jest rzeczywiste. Jakaś część jego umysłu nadal nie wierzyła, że duchowe zagrożenia, o których mówili Horace, Adam i Terri, dotyczyły prawdziwej fizycznej przemocy w rzeczywistym świecie. Mówił sobie, że napastnik w metrze mógł być kieszonkowcem, a cała sprawa makabryczną grą, która wymykała się spod kontroli.

Teraz jedno wiedział na pewno: jacyś ludzie chcą go zabić, ale on ma siłę i wolę, by z nimi walczyć.

LITTLE FALLS, 27 SIERPNIA 2004

Kiedy Robert wrócił do domu, Katherine nie było. Zostawiła liścik w kuchni z informacją, że pojechała odwiedzić swoją przyjaciółkę Claire w West Village. Dzisiaj też wróci późno.

Poczuł ulgę. Nie potrafiłby okłamać Katherine, to nie leżało w jego naturze, a z drugiej strony obawiał się wyznać jej, co zrobił. Miał wrażenie, że wciąż pachnie Terri, pachnie seksem.

Minęła dziesiąta wieczorem. Robert trzymał mocno naszyjnik, ale nie miał obrączki. Kiedy chciał ją zabrać z nocnego stolika, nie było jej tam. Przeszukał cały pokój, ale na próżno. Próbował zadzwonić do Terri. Numer był zablokowany.

Przebrał się, włożył swoje rzeczy do pralki i włączył ją. Wziął prysznic. Zadzwonił do Katherine, by jej powiedzieć, że zaraz się kładzie. Znowu zgłosiła się poczta głosowa, więc zostawił wiadomość. Zadzwonił na telefon stacjonarny Claire i dowiedział się, że Katherine właśnie wyszła.

Siedział sam i wpatrywał się w swój powracający strach.

Zaatakowany, walczył bez skrupułów. Ochronił klucze i był z tego powodu zadowolony. Jego siła rosła, czuł przypływ witalności. Ale jakim kosztem? Złamał przysięgę, choć ślubował, że nigdy jej nie złamie. Czekają go za to konsekwencje, nie uniknie ich. A równocześnie był przekonany, że konieczne i słuszne było fizyczne zbliżenie z Terri. Nie zdołałby ocalić życia bez siły, którą go obdarowała. Ale to nie koniec. Czy następnym razem będzie równie silny? Żołądek mu się ścisnął. To była rzeczywistość. Nie miał wyboru, musiał iść dalej.

Sprawił, czy jest wiadomość od Terri. Przysłała mu drugi plik audio i nic więcej. Plik nosił nazwę „Dwaj rycerze” i był chroniony hasłem. Robert wypróbował różne wariacje określenia „vesica piscis”, a potem przypomniał sobie kwiaty z czarnego żelaza. Terri powiedziała, że dwa to część sekwencji. Część hasła.

Hasło „Vesica2” otworzyło plik z niesamowitym, niepokojącym męskim duetem operowym. Śpiewali po niemiecku. Robert przesłuchał nagranie kilkakrotnie. Poszukał w Internecie i zidentyfikował utwór. Aria pochodziła z „Czarodziejskiego fletu”. Odnalazł kilka tłumaczeń, bardziej lub mniej wiernych. Część, którą przysłała mu Terri, była niekompletna. Mniej więcej brzmiała następująco:

*Ten, kto kroczy po tej drodze cierpienia, zostanie oczyszczony*

*Przez ogień, wodę, powietrze i ziemię.*

*Jeśli zdoła przezwyciężyć strach przed śmiercią,*

*Dojdzie prosto do nieba...*

Robert włączył Quada i zapisał krótki tekst.

*Czego nauczył mnie drugi schowek*

*Dzisiaj była Próba Wody. Odnajdź Boga w morzu seksu. Nigdy dotąd nie czułem się tak do końca poznany, tak zelektryzowany, tak całkowicie swobodny z drugą istotą ludzką. Miałem ją bez reszty w swojej władzy. I bez reszty byłem w jej władzy.*

*Ale obiektem moich seksualnych pożądań nie może być Terri, tylko Katherine. Muszę skierować je ku niej.*

Po kilku minutach nadeszła odpowiedź, ale nie od TerriC1111.

*Sprawiłeś się doskonale, Robercie. Przeszedłeś drugą próbę. Stróż*

### Pieśń miłosna męczennika: budowa Ma'rifat'a

Nie zwracam się do was kwiecistymi i wspaniałymi zwrotami mojego ojczystego języka, ponieważ dobrze znam amerykańskie zwyczaje i wiem, że gdybym rzekł: „Bóg jest wielki” i „Chwała niech będzie Allahowi”, poczulibyście zażenowanie. 14 sierpnia 2003 zabiło mnie moje własne dzieło. Czy uwierzycie, że człowieka mogą zabić jego grzechy? Bo tak właśnie umarłem, uwalniając ogromną energię, która pogrążyła w ciemnościach całe północno-wschodnie stany.

Poniosłem klęskę, moja misja się nie powiodła, detonacja bowiem była niezamierzona. Zaatakowano mnie w kluczowym momencie uzbrajania urzędnika, a nie miałem dostatecznie czystego serca, umysłu i duszy, by właściwie zareagować. Chociaż rezultat był wielki, uwolniony został tylko ułamek potencjalnej energii.

Wiedźcie jedno: istnieje drugi Ma'rifat', albowiem były dwa urzędnicy. Kiedy drugi zostanie zdetonowany, zniszczy wszystko, co nieczyste w najbardziej nieczystym mieście najbardziej nieczystego kraju: zniszczy Manhattan, lechtaczkę wielkiej kurwy - tam urządzenie znajdzie najbogatsze paliwo, Manhattan bowiem przeżarty jest chciwością, żądzą, zawiścią i pychą, które sprawią, że raz rozpoczęta reakcja łańcuchowa doprowadzi do wybuchu równego eksplozji dziesięciu tysięcy słońc. Apokalipsy dusz.

Możecie pomyśleć, że plotę bzdury. Przyjrzyjmy się temu terminowi. Bo może to, co uważacie za bzdury, co w waszych uszach brzmi niczym bełkot szaleńca, po prostu ujawnia wasze przesady i ignorancję. Wiecie, skąd pochodzi to słowo? I „alchemia”, „algebra”, „algorytm”. „Alkohol”?

Przyjrzyjmy się tym słowom.

Bo kiedy niektórzy stwierdzą, że „bzdury”<sup>10</sup> to zwykły wyraz dźwiękonaśladowczy, inni opowiedzą wam o człowieku nazwiskiem Dżabir ibn Hajjanan, znanym tu, na Zachodzie, jako Geber, największy z muzułmańskich alchemików, a także geometra i matematyk, bo dla mędrca cała wiedza jest jednym; jego język i idee były tak wyrafinowane, a odszyfrowanie największych sekretów tak skuteczne, że jedynie najwspanialsze umysły potrafią przedrzeć się przez „bzdury” jego pism, by odkryć pod nimi złoto.

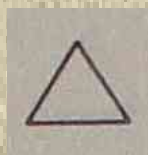
A może powinniśmy zająć się „algebrą” - słowem niegdyś po angielsku oznaczającym nastawianie kości, wiedzieliście o tym? - które bierze się z al-dżabr, po arabsku znaczącym składanie rozrzuconych elementów w całość. Użył go żyjący w dziewiątym wieku matematyk Muhammed ibn Musa Alchwarizmi z Bagdadu. W tytule swojego wybitnego traktatu o równaniach: *Hisab al-dżabr wa'l-mukabala*, czyli „O odtwarzaniu i przeciwstawianiu”.

Albo „algorytm”, będący po prostu zniekształconą formą nazwiska tego samego człowieka, Alchwarizmi, który dał wam też arabskie cyfry.

A sama „alchemia”, która wywodzi się od al-chimija ta zaś od „Kham”, starożytnej nazwy Egiptu, czarnego lądu, czarnej ziemi. To nie wszystko, mógłbym na przykład opowiedzieć o „alkoholu”! Nie chciałbym jednak was zanudzić.

Spoglądając w przeszłość, widzimy, że świat muzułmański stoi pomiędzy światem współczesnym a starożytną mądrością Egiptu i Grecji; my jesteśmy bramą, przez którą wasz świat przeszedł; my jesteśmy filtrem i zbawcami owej mądrości. Bez nas nigdy nie byłoby was.

<sup>10</sup> W oryginale gra słów: po angielsku „bzdury” to gibberish, tutaj pouczony z nazwiskiem Gebera [przyp tłum.].



### 3

## Próba Ognia

LITTLE FALLS, 28 SIERPNIĄ 2004

Robert obudził się wcześnie; miał wrażenie, że jest obcy we własnym domu. Jego ciało śpiewało, śpiewało całe jego jestestwo. Ale nie potrafił sobie wyobrazić życia gdzie indziej. Katherine. Pamięć o Mossie. Ich wspólne życie.

Z całą pewnością wciąż pachniał Terri. Mógł ją smakować, czuć jej zapach i dotyk na swoim ciele. Był kompletny. Pełen sił witalnych. Nigdy dotąd jego nie ciało nie wibrowało taką fizyczną radością. W czaszce. W umyśle. W koniuszkach palców. W sercu. Źródłem tego był seks. Walka i przetrwanie drugiego ataku.

Zajrzał do pokoju, który miał być dziecięcym. Nagle z oczu popłynęły mu łzy, zadrżały ramiona. Stał i cicho płakał za swoim utraconym synkiem.

Wyszedł, nie budząc Katherine; zostawił list. Nie potrafiłby spojrzeć jej w oczy. Napisał, że pilnie wezwał go Horace. Kolejne kłamstwo, ale nie czuł wyrzutów sumienia, to było jakby poza nim.

NOWY JORK, 28 SIERPNIĄ 2004

Robert wysiadł na dworcu autobusowym Port Authority. Kiedy znalazł się na Ósmej Alei, włączył Quada. Czekala na niego wiadomość od Terri z nowym punktem orientacyjnym X62, położonym w odległości kilku mil dalej na południowy wschód, na rogu Tompkins Square Park, tak przynajmniej wydawało się Robertowi, oraz terminem - godziną jedenastą. Ledwo minęła dziesiąta, zdecydował więc, że Czterdziestą Drugą Ulicą dojdzie do stacji linii F przy Bryant Park i metrem pojedzie do Delancey.

Był parny, słoneczny dzień. W mieście rosło napięcie przed zbliżającą się konwencją republikanów. Przy Tunelu Lincolna stali uzbrojeni członkowie gwardii narodowej w panterkach. Unoszący się nad nim balon z reklamą Fujifilm pomalowano w ostrzeżenia policyjne. Kiedy Robert spoglądał w niebo, widział nieruchome oko. Ulicą pędziły wozy policyjne jadące z jednej części Manhattanu na drugą. Kawalkada pięciu czarnych pojazdów z przyciemnionymi szybami na skrzyżowaniu wjechała pod prąd, migając światłami. Policjanci byli wszędzie, nawet na drapaczach chmur rozstawiono posterunki. Robert zamienił parę zdań z gliniarzami na Times Square.

- Gotowi na republikanów?

- Gotowi na wszystko.

- Na protesty też?

- Na wszystko. Jest pan w najbezpieczniejszym miejscu świata. Widzi pan te dachy? Na większości z nich są snajperzy.

Wielu nowojorczyków wyjechało na krótkie wakacje, na razie do miasta przybyło niewielu republikanów i protestujących. Jednakże wyczuwało się bliskość przełomowych

zmian - na dobre lub złe. Zasady ulegały erozji, przestrzeń otwierała się na niezwykle wydarzenia.

Robert płonął z pragnienia, by zobaczyć Terri. Wbiegł na schody prowadzące ze stacji Delancey na ulicę i wyciągnął Quada. Kiedy urządzenie pokazało oddalony o pół mili na północ punkt orientacyjny, ruszył biegiem Essex Street.

Zbliżając się do Houston, zobaczył ogromny zegar na ścianie apartamentowca. Cyfry na jego tarczy były pomieszane: 12, 4, 9, 6... Potrząsnął głową i znowu spojrzął. Nic się nie zmieniło.

Kiedy doszedł do południowo-zachodniego rogu Tompkins Square Park, na ekranie Quada wyświetlił się komunikat: „Zbliżasz się do celu”. Rozejrzał się, ale nigdzie nie dostrzegł Terri. Sprawdził czas: za pięć jedenasta. Zbadał uważnie teren wokół siebie, szukając jakichś znaczących elementów.

Gdzie ona jest? Co mu robi?

Wszedł do parku. Wokół kamiennych stolików do gry w szachy zebrało się pięciu, sześciu mężczyzn. Jeden mówił po hiszpańsku. Nikt nie grał. Robert usiadł na zielonym krześle przy wolnym stoliku i czekał.

Każda cząstka jego ciała uśmiechała się do Terri. Każda sekunda rozkoszy zapisała się na jego skórze. Najłabsze poruszenie koszuły na piersi przywodziło wspomnienie dotyku jej włosów i piersi, jej oddechu, oczu, żaru, jej słodkiej wilgoci, słonej wilgoci, miodowej wilgoci.

Na ekranie Quada widniał komunikat: „Gotowy do nawigacji, dokładność 75 stóp”.

Ktoś usiadł na krześle plecami do Roberta.

- Nie odwracaj się, Robercie - powiedział męski głos. - Czas, żebyśmy porozmawiali.

- Adam?

- Tylko się nie odwracaj.

- Co jest, do diabła?

- To miejsce wielkiej świętości i wielkiej straty, wiesz o tym? Straszliwego smutku.

Wielu bezdomnych, mnóstwo rozpacz, utraconej wiary i nadziei. Ale jest też i radość, taniec, śpiewy. Jeśli wiesz, gdzie ich szukać.

- Gdzie jest Terri?

- Dojdziemy do niej za kilka minut, nie denerwuj się.

- Jesteś bezpieczny?

- Nie, stary przyjacielu, nie jestem. Wcale nie

- Co się dzieje?

- Myślę, że mnie ratujesz. Mam taką nadzieję. Ratujesz mnie?

Słowa nie przeszły mu przez usta. Robert chciał się odwrócić, ale powstrzymał go ostry głos Adama:

- Na litość boską, nie rób tego.

- Nie rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi.

- Udawaj, że się wygrzewasz na słońcu albo coś w tym rodzaju. Mów cicho. Za chwilę pójdziesz dalej. Na razie odpręż się i słuchaj.

Robert zacisnął szczęki.

- Pytałeś, czy grozi mi niebezpieczeństwo. Tak, grozi. Tobie też, nam wszystkim. Musisz kontynuować grę, jeśli chcesz wyjść po drugiej stronie. To droga jednokierunkowa, inaczej się nie wydostaniesz.

- Ja...

- Proszę. Niestety, te podchody, w które wszyscy jesteśmy zaangażowani, mają w sobie wielkie zło. Zmuszono mnie do wzięcia w nich udziału, w tej kwestii nie pozostawiono mi wyboru, a co więcej, mojego udziału nie da się zignorować.

- Zdecydowano o tym ponad twoją głową?



Robert usłyszał sardoniczny śmiech.

- Do tego stopnia ponad moją głowę, że nie mogę nawet patrzeć dłużej na słońce. Czasami tylko zerkam. Jest takie piękne, że gdybym na nie spojrzął, serce by mi pękło.

- Możesz uciec.

- Nie, przed tym nie można się ukryć.

- Chcę ci pomóc.

- Dziękuję. Zawsze byłeś niezwykłym człowiekiem, Robercie, po części dlatego, że tak zwyczajnym. Dobry, bezpośredni, uczciwy, aczkolwiek przyznać muszę, że wczoraj, co zresztą było konieczne, sprzeniewierzyłeś się wszystkim swoim cnotom. A najbardziej zadziwiające w tobie jest to, że nie dostrzegasz własnej mocy. Nie wiesz, kim jesteś. W noc pożaru, kiedy uratowałeś życie mnie i Katherine, nasze losy... splątały się. Czy nam się to podoba, czy nie. Orientujesz się, na czym to polega?

- Powiedz mi.

- Wyobraź sobie obdarzone niesamowitą umiejętnością siostry bliźniaczki. Ubierają się wyłącznie w biel lub czerń, ale nigdy nie noszą tego samego koloru równocześnie. I nigdy nie decydują, w co się ubiorą, dopóki ktoś na jedną z nich nie spojrzy, dopiero wtedy jej strój przybiera określoną barwę. Powiedzmy białą.

- Podoba mi się twoja metafora. Jakie mają imiona?

- Obie mają na imię Phoebe. Ale jest jeszcze coś. Muszą dodawać do zera. Muszą dodawać do szarości. W chwili gdy strój Phoebe Pierwszej przybiera barwę białą, strój Phoebe Drugiej momentalnie staje się czarny, niezależnie od tego, jaka odległość dzieli je w czasie i przestrzeni. Informacje nie mogą przenosić się z miejsca na miejsce szybciej niż światło, a jednak jakimś sposobem tak się dzieje, mimo iż sposób taki nie istnieje. Naukowcy nazywają to splątaniem.

- To niemożliwe. Teraz sobie przypominam, że już o tym słyszałem. Einstein nazwał to „niesamowitym działaniem na odległość”. Nie wierzył w to i odrzucał. Jestem po jego stronie. Bóg nie gra w kości, jak powiedział. To po prostu skaza w naszym rozumieniu.

- Niezupełnie, w warunkach laboratoryjnych robiono to z fotonami. Po raz pierwszy w Paryżu, niemal trzydzieści lat temu. I nie chodziło o kolory, ale o coś, co nazywają spinem. Od tego czasu doświadczenie wielokrotnie powtarzano, tak więc jest to zjawisko fizyczne. Ale w naszym przypadku nie chodzi o zjawiska fizyczne ani o białe i czarne suknie, Robercie. Chodzi o nasze dusze. Twoją, moją, Katherine, Terri.

- Terri?

- Wszyscy jesteśmy splątani. Ty, ja i Kat od nocy pożaru w osiemdziesiątym pierwszym. Terri ze mną, a tym samym z wami, od dnia zaciemnienia. Istnieje taki poziom rzeczywistości, na którym jesteśmy jak te dziewczyny, jak te fotony: to, co dotyka jednego z nas, dotyka nas wszystkich. A teraz odbierz Quada, skoro dzwoni.

Robert zamknął oczy, usiłując powstrzymać falę strachu. Nie rozumiał. Quad dzwonił i dzwonił. W końcu odebrał. Usłyszał głos Adama:

- Robercie.

Robert okręcił się na siedzeniu. Za nim nikogo nie było. Rozejrzał się po parku, ale nigdzie nie widział przyjaciela.

- Gdzie jesteś, Adamie?

- Wstań i idź na wschód. Zakładam, że masz zagadkę?

- Poczekaj, żadnych zagadek jeszcze nie ma.

- Robercie...

- Lawrence Hencott. Byłeś u niego, zanim popełnił samobójstwo.

- Ach.

- Skąd w ogóle go znałeś?

- Proszę, nie rozmawiajmy o tym teraz.

- Albo teraz, albo odchodzę.
- Nie możesz.
- Poczekaj, a zobaczysz.

Nastąpiło milczenie. Udało mu się wyrzucić nacisk na Adama? A może właśnie stracił z nim kontakt? I z Terri?

Po chwili, która wydawała się wiekiem, Adam odpowiedział:

- Musiałem się z nim zobaczyć. Zostałem... zmuszony.
- Dlaczego popełnił samobójstwo?

Adam boleśnie krzyknął.

- Ja... chronię nas przed... Iwnwem... padlinozercami... nie mogę tego robić, jeśli będziemy o tym rozmawiać.

- Dlaczego się zabił?

- Proszę...

- Powiedz.

- Żeby... chronić... ciebie.

Połączenie zostało przerwane.

Robert usiłował przypomnieć sobie słowa Lawrence'a z tamtej rozmowy: „Zrobić ci krzywdę... pocisk... padlinozerca... umrzeć”.

Czy to możliwe, że nie była to groźba, a ostrzeżenie?

Quad znowu zadzwonił.

- Robert.

- Co masz na myśli: żeby mnie chronić?

- Znajdź najpierw schowek, potem ci powiem. Proszę.

- Nie wiesz, gdzie są schowki?

- Nie. Nie ufają mi na tyle, żeby mi powiedzieć.

- Kto?

- Znajdź schowek, Robertcie. Nie przysłali ci wskazówki?

- Nie, jeszcze nie.

- Sprawdź Quada.

- Kto je przysłał?

- Stróż.

- Kto nim jest?

- Niedługo się dowiesz, jestem pewien.

Quad zapiszczał, Robert otrzymał nową wiadomość:

*Idź tam, gdzie żywe drzewo*

*Zwróć przyłbicę ku więzowi*

*Jestem ascetą, nie szaleńcem*

*W trójcy pierwszy z trzech*

*Jak ognia splecione w miłosne trójkąty języki*

*Samotność twą pokutą*

*Stłum swoje żądze*

*Przejdź Próbę Ognia*

Na końcu znajdowały się numery dwóch kolejnych punktów orientacyjnych.

Wzdłuż parkowych alejek biegły pięknie rzeźbione żeliwne balustrady. Robert wybrał ścieżkę, która prowadziła w kierunku wschodnim, i rozglądał się bacznie wokół siebie, szukając Adama. Dość szybko trafił na drzewo z pniem zdobionym girlandami i rozrzuconymi u podstawy kwiatami. Był to amerykański wiąz, *Ulmus americana*. Plakietka na niskim płotku informowała, że 9 października 1966 roku A.C. Bhaktivedanta Swami

Prabhupada i jego wyznawcy siedzieli pod tym drzewem, prowadząc pierwsze poza granicami Indii spotkanie modlitewne na świeżym powietrzu. *Hare Kriszna, Hare Kriszna, Kriszna Kriszna, Hare Hare...* Wśród uczestników był Allen Ginsberg, poeta pokolenia beatników. Wydarzenie uznano za początek religii Hare Kriszna w Stanach Zjednoczonych.

- Robert.

- Tak.

- Znalazłeś?

- Tak.

- Skup się. Znajdź schowek. Przeczytaj mi wskazówkę.

Robert spełnił jego prośbę, po czym zapytał:

- Wstąpiłeś do wyznawców Kriszny i nikomu nic nie powiedziałaś?

- Nie, nie o to chodzi. Skoncentruj się na idei radości. Jeśli ci to pomoże, w tym parku grał Jimi Hendrix, a sam park nazwano na cześć faceta, który zniósł niewolnictwo w stanie Nowy Jork. Ignoruj szczegóły.

Robert obszedł drzewo, sprawdzając, czy nie ma śladów poruszonej ziemi. Zglądał w dziuple i pęknięcia... Nic. Wrócił do plakietki, zajął się ogrodzeniem. Przesuwał palcami u podstaw słupków. Także nic. Później jego uwagę przyciągnęła dziupla w drzewie, dość wysoko.

Robert zawołał mężczyznę o udręczonym wyglądzie, siedzącego na pobliskiej ławce, i zaproponował mu pięć dolarów za podsadzenie. Po krótkich targach uzgodnili cenę - dziesięć dolarów. Mężczyzna oparł się plecami o pień i podstawił złączone dłonie, umożliwiając Robertowi podciągnięcie się i wsunięcie dłoni w dziuplę. Robert wyczuł żyłkę wędkarską. Na jej końcu zobaczył podłużny pojemnik z przezroczystego plastiku.

- Mam.

- Dyskretnie, Robercie, bardzo proszę.

Robert zeskoczył na ziemię i rozejrzał się wokół. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Pojemnik zawierał nieregularny czterokątny kawałek metalu, długi może na cal. Wydawał się być zrobiony z tego samego stopu co skrzynka złościwości.

- Muszę umieścić informację na stronie internetowej.

- Jeszcze nie. Podejrzewam, że klucz składa się z trzech części. Teraz idź na północ.

Musisz zobaczyć coś jeszcze.

Robert wsunął metalową płytkę do zamykanej na zamek błyskawiczny kieszeni spodni. W jego umyśle tworzył się wzór, choć znajdował się tuż poza granicą percepcji. Poszedł krętymi alejkami na północny kraniec parku, gdzie brama w parterowym budynku mieszczącym toalety dla kobiet i mężczyzn prowadziła do ogrodu na jego tyłach. Minął dziwną budowlę, która przy bliższym zbadaniu okazała się fontanną: mityczny nosiciel wody stojący na spadzistym kamiennym dachu z wyrytym słowem WSTRZEMIEŻLIWOŚĆ.

- Idź dalej, Robercie.

Przeszedł obok masztu flagowego i dotarł do toalet. Przez bramę zobaczył stelę z różowego marmuru, wysoką chyba na dziewięć stóp.

- Przyjrzyj się dobrze, Robercie, to śmierć w ogniu.

Na pomniku widniały płaskorzeźby dwóch dziecięcych twarzy.

*Pamięci tych, którzy piętnastego czerwca MCMIV stracili życie w katastrofie parowca „General Slocum”.*

*Były najczystszyimi istotami na ziemi, owe diatki młode i niewinne.*

- Zginęło wtedy ponad tysiąc osób, głównie kobiety i dzieci - powiedział Adam. - Popatrz na buzię tego chłopczyka.

- Próbujesz pomieszać mi w głowie?

- W żadnym razie, Robercie. Mówię, że śmierć Mossa straci wszelkie znaczenie, jeśli bardziej nie zaangażujesz się w pościg.

- Bardziej? Co przez to rozumiesz? Przecież powiedziałem, że chcę ci pomóc.

- „General Slocum” zapalił się, płynąc w górę East River. Na jego pokładzie dzieci z Little Germany odbywały jednodniową wycieczkę. Zauważ, że w Nowym Jorku już nie ma takich statków. Zrezygnowano z nich po tej katastrofie. Kapitan przybił do plaży na North Brother Island, próbując uratować pasażerów. To na tej wyspie odizolowano Tyfusową Mary<sup>11</sup>, tam też umarła, gdybyś nie wiedział. Pożar na „Slocumie” pochłonął więcej istnień niż jakikolwiek inny pożar w Nowym Jorku. Był największą katastrofą przed atakami z jedenastego września.

- No i?

- Ilu ludzi zginęło podczas ataków? Około trzy razy więcej?

- W przybliżeniu. Nie ta skala.

- To, z czym mamy do czynienia, co próbujesz pomóc powstrzymać, byłoby przypuszczalnie dziesięć tysięcy razy większe. Możemy temu zapobiec, ale jedynie wówczas, jeśli będziemy kontynuować grę.

- O czym ty mówisz, cholera?

- Śmierć w ogniu. Musisz dać mi klucze, które już masz.

- Nie licz na to.

- Musisz się zastanowić, ja to rozumiem. Niedługo otrzymasz współrzędne następnego punktu.

- Już je mam. Punkt 101.

- Ruszaj, wróć do ciebie.

Robert przeszedł przez pełne wrzeszczących dzieciaków asfaltowe boiska do koszykówki. Na rogu Wschodniej Dziesiątej Quad złapał sygnał z dokładnością do 37 stóp. Punkt 101, oddalony o około dwie trzecie mili na zachód, znajdował się blisko Washington Square Park.

Idąc Wschodnią Dziesiątą, Robert gorączkowo myślał. „Notuj wszystko, co przyjdzie ci do głowy. To może być ważne”.

Coś uderzyło go w wyglądzie neogotyckiego kościoła św. Mikołaja z Myry wzniesionego z czerwonej cegły. Zatrzymał się i wpatrywał tak długo, aż znalazł. Mury świątyni zdobiły dziwne rzeźbione głowy, a ich twarze... łuszczyły się? Były pocięte? A może pokryte liśćmi? Przypominały głowy, które widział na John Street. Ich widok budził w nim dreszcz.

Po drugiej stronie ulicy zauważył sklep z antykami i osobliwościami. Na jego wystawie leżały stare wojskowe sprzęty, a przed nim, na chodniku stał krawiecki manekin. Drugi taki sklep był na Pierwszej Alei, naprzeciw Coyote Ugly Bar, i oferował stare maszyny do szycia, instrumenty muzyczne, lampy, modele wojskowych pocisków, piękne czarne pasy. W porównaniu z SoHo ta dzielnica miała bardziej zaniedbaną, studencką atmosferę. Robert minął sklep o nazwie Vinyl Market z winylowymi płytami techno.

Sygnał GPS-u zanikał pomiędzy budynkami i wracał na końcach przecznic. Na ekranie pojawił się komunikat: „Konieczność przejścia na otwartą przestrzeń”.

Na Drugiej Alei jego oczom ukazał się kościół, jakby w proteście ustawiony w poprzek siatki Manhattanu. Jego trójkątne zwieńczenie z iglicą nad kolumnadą przypominało kościół św. Pawła ze śródmieścia.

Znowu zadzwonił Adam.

- Gdzie jesteś, Robercie?

<sup>11</sup> Tyfusowa Mary to kucharka Mary Mallon, pierwsza osoba w Stanach Zjednoczonych, zidentyfikowana jako tzw. „zdrowa nosicielka wirusa tyfusu. Zaraziła tą chorobą ponad czterdzieści osób. Pamięć o niej jako sprawczyni śmierci tysięcy ludzi przetrwała w miejskiej legendzie [przyp tłum.]

- Nie umiesz mnie zlokalizować, jak Terri?
- Nie mam takich zdolności psychicznych jak ona.
- Przecież mnie obserwujesz. Jestem naprzeciwko kościoła St Mark's-in-the-Bowery. Teraz przechodzę przez ulicę, żeby wejść na cmentarz.
- Wiedziałaś, że ukradziono stąd zwłoki bogacza i zażądano za nie okupu? Wdowa musiała się targować, by odzyskać ciało męża.
- Nie.
- My też zajmujemy się wykupem umarłych, przyjacielu. Przyszłych umarłych. Tam jest pochowany nasz człowiek -Tompkins, to on dał niewolnikom wolność. W krypcie spoczywa też twój Thomas Addis Emmet. To ten, którego nie ma pod obeliskiem u św. Pawła.
- Wiesz o tym, co?
- Czytam wszystko, co umieszczasz na stronie internetowej. To część gry
- Teraz potrzebne mi są lepsze odpowiedzi.
- Uspokój się. Uzyskasz je.

Kryptę Emmeta znaczyła kamienna tablica na wykładanym brukiem dziedzińcu kościelnym. Roberta niepokoił obraz pustej komory pod obeliskiem. W kącie dziedzińca dostrzegł wielki popękany dzwon, który w całości utrzymywały wielkie żelazne nity. Nity też miały jakieś znaczenie. Położył dłonie na dzwonie i zamknął oczy. W uszach rozbrzmiała mu melorecytacja ze snu.

*Fat Mary Fat Mary Fat Mary...*

Dłużej nie był w stanie tego znieść. Z wysiłkiem odpędził obrazy, a razem z nimi strach.

Quad prowadził go Stuyvesant Street, na ukos przez siatkę Manhattanu. Pozostało niecałe pół mili. Robert przeszedł na drugą stronę Trzeciej Alei koło Cooper Union, minął zainspirowane architekturą Budapesztu eleganckie wejście na stację Astor Place, jedno z kilku zrekonstruowanych. Gdy zbliżał się do Lafayette Street, zobaczył na północy czerwoną lampę palącą się nad Con Ed Building.

Minął księgarnię Barnes & Nobles i ulicą zwaną Aleją Obelisków doszedł na róg Broadwayu. Gdy patrzył stąd na północ, widział iglice Grace Church. Przeszedł na drugą stronę Broadwayu i dalej na południe zobaczył Woolworth Building. Dwie połączone gotyckie wieże rysowały linie podobne do nitek na mapie w gabinecie Roberta. W jego umyśle pojawiły się gwałtownie wielkie geometryczne wzory.

Na Broadwayu wrócił sygnał. Została jedna dziesiąta mili.

Robert szedł na południe wzdłuż niskich tanich sklepów. Podążając za strzałką na ekranie, skreślił w prawo na Waverly Place, oddalony od punktu o 460 stóp. Strzałka wskazała w lewo na Mercer, później w prawo na Washington Place... 177 stóp... prosto, 79 stóp. Teraz strzałka pokazywała budynek na rogu Washington Place i Greene. Kiedy do celu pozostało około 30 stóp, zaczęła wirować, wolno obracając się w promieniu własnego błędu.

Robert rozejrzał się w poszukiwaniu nowych odpowiedzi. Zadzwoił Quad.

- Jesteś na miejscu?
- Stoję w punkcie orientacyjnym.
- Gdzie to jest?
- Róg Washington Place i Greene.
- Och... rozumiem. Tak. Oczywiście.
- Czego szukam?
- Będziesz potrzebował czasu, by wchłonąć to miejsce. Przeczytaj tabliczkę na budynku przy północno-zachodnim rogu Washington Place i Greene.
- Co to jest?
- Kolejna śmierć w ogniu, przyjacielu. Pomożesz jej zapobiec, jeśli zrobisz, co ci powiem.

Robert przeczytał napis na tabliczce: „W tym miejscu 25 marca 1911 roku 146 robotnic straciło życie w pożarze Triangle Shirtwaist Company.

- O Boże.

Znał tę historię, ale nie rozpoznał miejsca. Straszne krzyki kobiet spadających z góry, rozbijających się o chodnik na Greene Street; niektóre trzymały się za ręce jak ci biedacy, którzy skoczyli z wież WTC. Młode kobiety uwięzione za zamkniętymi na klucz, zablokowanymi drzwiami na górnych piętrach, zmuszone przez szalejący w fabryce ogień do cofnięcia się pod okna. Piekło za ich plecami. Skok prosto w śmierć. Robert czuł to i widział. Ból był nie do zniesienia, ulica wibrowała przemocą. To nie była jego wyobraźnia. Przez chwilę rzeczywiście tam był, psychicznie złączony z cierpieniem i strachem tych kobiet. Czuł, jak energia wybuchu wokół niego płomieniem, a potem zaczyna gasnąć. Doznanie minęło tak szybko, jak się pojawiło. Robert niczym zepsute radio łapał z powietrza strzępy sygnałów.

- Robercie - mówił Adam - co jest najcenniejszą rzeczą w twoim życiu?

- Moje małżeństwo. Wspomnienie o Mossie. Raczej wyobrażenie o nim.

- Powtarzam raz jeszcze. Musisz dać mi klucze, które do tej pory zebrałeś. Pierścień albo rodzaj cylindra, dwa przeplatające się kręgi i ten, który znajdziesz dzisiaj.

- Adamie, nie mogę tego zrobić.

- Jeśli odmówisz, dopilnuję, żeby Katherine dowiedziała się o tobie i Terri. W szczególach. Obaj ją znamy. Odejdzie od ciebie.

- Nie uwierzy ci.

- Kiedy ostatnio... nieważne. Są zdjęcia, film wideo. Terri nie wiedziała, jeśli to poprawi ci samopoczucie.

- Co? Co się z tobą stało, ty popierdolony idioto?

- Jedyne wyjście to wejść głębiej. Musisz dać mi klucze.

- W żadnym razie.

- Musisz starannie to sobie przemyśleć.

- Szantażujesz mnie. Ty. Nie potrafię w to uwierzyć.

- Skup się. Musisz sobie odpowiedzieć na pytanie, co jest najlepsze dla Katherine. A teraz idź i poszukaj następnego schowka. Jak brzmi odpowiedź?

Była podobna do poprzedniej:

*Idź tam, gdzie drzewo wisielca  
Zwróć przyłbicę ku drugiemu wiązowi  
W trójcy drugi z trzech  
Jak ognia splecione w miłosne trójkąty języki  
Samotność twą pokutą  
Stłum swoje żądze  
Przejdź Próbę Ognia*

Roberta ogarnęło lodowate zubożenie, to samo, które czuł podczas ataków. Rzeczywiście ich sfilmowano? Ale czy to ma znaczenie?

Zaczynał dostrzegać wzór. Wiedział, że zdobywa przewagę. Z tym też sobie poradzi. Nie pozwoli traktować się jak zabawkę. Musi zyskać na czasie.

- Pomyślę o kluczach.

- Dobrze. Jak brzmi odpowiedź?

Robert przeczytał ją na głos.

- Rozglądaj się za starym Garibaldiem.

Za parkową bramą Robert minął posąg włoskiego geniusza militarnego w dramatycznej pozie, przyłapanego w trakcie wyjmowania szabli z pochwy. Co było tutaj istotne?

Przebywając na wygnaniu, Garibaldi dzielił na Staten Island dom z człowiekiem nazwiskiem

Meucci, który rzekomo wynalazł telefon przed Alexandrem Grahamem Bellem. Kiedy w 1970 roku przesunięto pomnik, pod podstawą znaleziono kapsułę czasu: szklany pojemnik zawierający wycinki prasowe z lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku dotyczące śmierci Garibaldi i wzniesienia pomnika. Rzecz drogocenna, delikatna, ukryta...

Robert ruszył w kierunku okrągłej fontanny w środku parku, rozglądając się uważnie. Młody człowiek wyglądający na gliniarza w przebraniu szepnął mu do ucha:

- Trawki?
- Nie.
- OK. Miłego dnia.

Wzdłuż północnego boku ciągnął się plac Henry'ego Jamesa, na wschodzie i południu znajdowały się tereny Uniwersytetu Nowojorskiego. Zwalisty gmach uczelni zbudowany z czerwonej cegły przypominał Robertowi reaktor atomowy. Legenda mówiła, że na wiązach w północno-wschodnim krańcu parku wieszano skazańców podczas publicznych egzekucji. Robert szukał drzewa. Przed sobą miał West Village, gdzie w tajemnym mieszkaniu Adama dwa dni temu rozpoczął misję.

*Zwróć przyłbicę ku drugiemu wiązowi...*

Znalazł je. Mimo iż okryte listowiem, drzewo wyglądało jak złowroga, wyciągająca szpony, pogięta istota. Drzewo śmierci.

Niegdyś w parku był plac defilad, cmentarz dla ubogich i miejsce publicznych egzekucji, wykonywanych na tym lub innym wiąznie. A wcześniej rozciągały się tu bagna, zasilane strumieniem Minetta, który wciąż płynął pod dolnym Manhattanem. W mitologii amerykańskich Indian Minetta albo Manetta była wężem.

Robert przyjrzał się uważnie Wiązowi Wisielca. Jedyne maleńka zielona tabliczka na pniu mówiła o jego przeszłości. Robert przekroczył niskie ogrodzenie, by zbadać podstawę drzewa. W ziemi znalazł zieloną szpilkę. Schowek znajdował się głęboko pośród korzeni, zagrzebany w miękkiej glebie.

Pojemnik zawierał dwa przedmioty podobne do kawałka metalu znalezionego w dziupli, geometryczne formy o dziwnych kątach, zdające się pasować do siebie we wzorze, którego Robert jeszcze nie potrafił sobie wyobrazić. Wsunął je do zapinanej kieszeni, po czym wrócił do stolików szachowych w południowo-zachodnim kącie, gdzie odrzucił kilka propozycji gry „Stoliki wyłącznie do gry w szachy i warcaby. Wykorzystywanie w innych celach zabronione”, głosiła tablica. „Maksymalny czas korzystania ze stolika: dwie godziny. Do użytku publicznego. Zakaz gry na pieniądze i pobierania opłat”. Wykorzystując stolik do innych celów, usiadł na nim i czekał na telefon. Wiedział, jak musi postąpić. Czas przejąć kontrolę. Bał się cierpienia, które nieuchronnie nadejdzie, ale innego wyjścia nie miał.

Wrócił myślami do dziwnych twarzy na murach kościoła św. Mikołaja i świątyni przy John Street. Obdzierane ze skóry? Bogowie zniw? Maski?

Po kilku minutach zadzwonił Quad.

- Masz to?
  - Mam je, mówiąc ściślej. Takie same jak pierwszy. Teraz mam trzy fragmenty.
  - W takim razie jak przypuszczam, został ci jeszcze jeden. Gdzie jest następny punkt?
- Robert spojrzął na ekran Quada: punkt 036.
- Powiem ci, jak tam dojdę.

Znowu ruszył w kierunku północno-zachodniego krańca parku, minął Wiąz Wisielca i krążył, dopóki nie dostał nowej informacji. Do następnego punktu miał niewiele ponad pół mili w kierunku zachodnim. Wybrał drogę przez Waverly Place. Kiedy przechodził przez Szóstą Aleję, jego oczom ukazała się wieża dziwnie pięknego Jefferson Square Market Building z czerwonej cegły. Na ośmiokątnej podstawie cylindryczna wieża, na niej kwadratowa tarcza zegara, na szczycie piramida. Przypomniał sobie zburzone więzienie w stylu art déco, które dawniej znajdowało się na terenie ogrodu; mieścił się w nim obrotowy

ołtarz wykorzystywany przez więźniów różnych wyznań. To było jedyne więzienie, które chciał obejrzeć od środka.

Stróż oceniał postępy Roberta, wążąc ryzyko i wiszącą na włosku równowagę planu. W jego myślach pojawiały się w połowie ukształtowane obrazy. Adam naciskający na Roberta, opierający się Robert. Robert zmagający się z dylematami, ze strachem. Adam walczący z Braterstwem Iwnw, ustępujący pola, udający, że spełnia szatańskie rozkazy, zasłaniający się, rozpadający. Dążący do światła. Głęboko we wnętrzu Katherine przygotowującej się do konspiracyjnego zadania kryło się mroczne jądro. Nikt nie mógł go zobaczyć.

Stróż zobaczył twórcę Ma'rifat'a, zawieszzonego pomiędzy światami, wtopionego w DNA Adama, niezdolnego wybaczyć, niezdolnego zapomnieć. Niezdolnego umrzeć. Stróż zobaczył unieruchomioną w czasie chorobę Terri. Przyjrzał się raz jeszcze i z bezsilnym przerażeniem stwierdził, że rak został uaktywniony.

Po wyjściu z transu Horace wróci do przygotowań związanych z pogrzebem brata. Czekają na niego cierpienie.

Stróż modlił się za siebie i za nich wszystkich.

NOWY JORK, 28 SIERPNIĄ 2004

Robert stwierdził, że zewsząd otaczają go trójkątne motywy.

Znalazł się przy trójkątnym dziewiętnastowiecznym gmachu Northern Dispensary, otoczonym ulicami o nietypowych nazwach: Waverly Place z dwóch boków oraz Christopher i Grove z trzeciego.

Doszedł do Christopher Park, trójkątnej przestrzeni wydzielonej na życzenie mieszkańców po tym, jak w 1835 roku pożar spustoszył okolicę.

Obok parku był bar z trójkątnym wyżłobieniem na poziomie ulicy i zlewającym się z chodnikiem. Dwie uginające się pod brzemieniem dziwaczne postacie podtrzymywały nadproże nad brakującym fragmentem. Inna rzeźba przedstawiała nagą kobietę na grzbiecie morskiego potwora.

Robert uświadomił sobie, że jest na nieregularnym gwieżdzistym zbiegu ulic, tutaj dwa dni temu na stacji Christopher Street wsiadł do metra.

Ruszył w stronę trójkątnej plakietki przed Village Cigars, upamiętniającej byłego właściciela, który nie zgodził się, by władze miasta odkupiły 500 cali kwadratowych jego posiadłości.

Podążając za strzałką na ekranie Quada, Robert odtwarzał swoje kroki po Christopher Street: salony tatuażu, bary gejowskie, sklepy z ubraniami dla fetyszystów. Znowu wkroczył na gwieżdzisty chodnik, na którym Terri po raz pierwszy do niego zadzwoniła.

Boże, pożałował Terri. Na myśl o niej czuł początek erekcji.

Uświadomił sobie cel swej wyprawy, widząc, jak GPS odlicza stopy do skrzyżowania ulic Charles i Greenwich. Stał przed wykrzywionym jednopiętrowym domem z pomalowanego na białą drewna, którego kształty tak odbiegały od rzeczywistości, że wyglądał jak model samolotu niewykrywalnego przez radar. Po drugiej stronie ulicy był dom, gdzie Adam miał swoje *pied-a-terre*. Robert czekał na dzwonek Quada.

*W trójcy trzeci z trzech*

*Musisz odkryć wykrzywiony dom*

*Naszego schowka gospodarzem żelazny słup*

*Jak ognia splecione w miłosne trójkąty języki*

*Samotność twą pokutą*



*Stłum swoje żądze  
Przejdź Próbę Ognia*

Ukląkł przy żelaznej bramie prowadzącej na podwórko drewnianego domu. U jej podstawy przymocowana magnesem i pomalowana na taki sam odcień czerni znajdowała się ostatnia część układanki. Szybko schował ją do kieszeni i wstał.

Zadzwoił Adam.

- Robert? Gdzie jesteś?

- Jak patrzę na ten dom, w głowie mi się kręci. Zniekształca przestrzeń wokół siebie.

- Holenderski wiejski dom z początku osiemnastego wieku. Przewieziony w 1968 roku na ciężarówce z Upper East Side, by uchronić go przed rozbiórką. Przedtem mieszkała w nim autorka „Goodnight Moon”<sup>12</sup>. Zwróć uwagę na ogród.

Dom wznosił się na trójkątnej działce. Robert zajrzał za ogrodzenie. W białym domku dla ptaków na słupku powtarzały się szalone ukośne kąty dachu i ścian domu.

- Trochę to przypomina klucz do Ma’rifat’a, który ci przysłałem - powiedział Adam. - Mały jest miniaturą wielkiego. A teraz posłuchaj: w moim starym mieszkaniu jest coś, co powinieneś zobaczyć.

- I co tam będzie o tej porze? Ty?

- Nie.

- Terri?

- Nie, przykro mi.

- Ktoś, kogo znam?

- O tej porze w Domu Czarów nikogo nie ma. Idź tam.

- Dobrze się składa, bo muszę się wysikać.

Robert przeszedł przez ulicę, wyjął klucze i otworzył frontowe drzwi. Ruszył schodami w górę.

- Czwarte piętro. Dziękuję.

- Baw się dobrze.

Robert wszedł do mieszkania, całkowicie ogołoczonego ze sprzętów. Przy spuszczonej żaluzji mrok rozpraszała jedynie lampa stojąca na podłodze w miejscu, gdzie przedtem było biurko Adama.

- Widzę, że przerzuciłeś się na minimalizm lat siedemdziesiątych. Ładnie.

- Jaka muzyka według ciebie byłaby tu odpowiednia?

- Chyba Kraftwerk. Czy tu umawiałeś się na randki z Terri? Z innymi kobietami?

- Ja wybieram „Piątą Symfonię”. Czy teraz masz już kompletny klucz?

Robert położył cztery fragmenty układanki na dłoni. - Jakoś do siebie pasują, ale nie wiem jak. Dlaczego chciałeś, żebym tu przyszedł?

- Poczekaj. Niedługo się odezwę - Adam się rozłączył.

Robert wszedł do kuchenki z tyłu mieszkania i podniósł żaluzje. Wszystkie cztery fragmenty klucza miały identyczny kształt i były naładowane magnetycznie. Obracał je na wszystkie strony, przystawiał do siebie Adam zadzwonił po kilku minutach.

- Gotowe?

- Prawie.

- Nieudacznik. To ma być pieprzona piramida.

- Wiedziałem, domyślałem się tego.

- Robert, oddaj mi klucze. Musisz mi je oddać.

- Nie.

<sup>12</sup> Autorką „Goodnight Moon” i innych do dzisiaj niezwykle popularnych książeczek dla dzieci jest Margaret Wise Brown (1910-1952) [przyp. tłum.].

- Wiesz, wczoraj Katherine nie tylko odwiedziła przyjaciółkę w West Yillage. Ze mną też się spotkała.

- Co?

- Wysłuchaj mnie, proszę. Byliśmy w Washington Square Park. Przyśle ci zdjęcie, przyjrzyj się mu dobrze. Od jakiegoś czasu jesteśmy w kontakcie, ale prosiłem, żeby zachowała to w tajemnicy. W zeszłym roku próbowała mi pomóc. I udało jej się. Teraz chce wiedzieć, co się dzieje, ile może ci powiedzieć. To nie jest groźba, tylko przypomnienie, co jest stawką w tej sprawie.

Robert dostał plik. Otworzył go na ekranie Quada. -Fotografia przedstawiała Katherine w sukni, którą miała na sobie poprzedniego dnia, siedzącą na parkowej ławce.

Jej głowę otaczał ciemny obłok. Robert zobaczył w nim po raz kolejny twarz śmierci, piękne, uwodzicielskie oko z martwą czarną źrenicą, płonące żółto-niebieskim światłem. Czy to jest twarz Iwnwu? Ścigają Katherine? W jakim stopniu powinien wierzyć Adamowi?

- Adam...! - krzyknął do słuchawki.

Połączenie zostało przerwane.

Robert wpatrywał się w kuchenne okno, walcząc z przerażeniem. A potem usłyszał, że z pieca dochodzi słaby syk. Z palnika skoczyła iskra, nabierała mocy, rosła i rozciągała się w pionowy języczek ognia. Towarzyszył mu drugi wąż ognia, podobnie jak pierwszy wirujący w powietrzu.

Robert patrzył jak sparaliżowany, jak zahipnotyzowany na sieć płomieni, które z wolna uformowały się w połyskliwą ludzką postać. Po krótkiej chwili sylwetka rozplynęła się i przed Robertem znowu wznosił się słup ognia.

- Robercie.

Znał ten głos, ale nie potrafił go umiejscowić.

- Kim... kim jesteś?

- Opiekuję się tobą.

Głos był chrapliwym szeptem, splecionym z sykiem uchodzącego gazu i potężniejszą nutą odległego grzmotu.

- Co się dzieje?

- Kuchnia wybucha. Eksplozja już się zaczęła. To wszystko dzieje się w ułamku sekundy, ale nie obawiaj się, przestrzegam cię na czas.

- Jak to możliwe?

- Zaczynasz się uczyć widzieć.

- Całe mieszkanie wybuchnie?

- Już wybuchło. W normalnym układzie nie wyszedłbyś stąd żywy.

Płomienie ognia znowu się stopiły i zmieniły w ludzką postać, wysoką jak Robert, która drżała niczym odbicie na wodzie.

- Dlaczego tak się dzieje?

- Czas płynie inaczej dla nas wszystkich. To część klatki, którą dla siebie budujemy. Ty otwierasz drzwi tej klatki. Wychodzisz z samego siebie, poza swoją małą, śpiącą, skupioną na ego istotę. Ja tylko próbuję przetrwać.

Nitki ognia puchły, zasłaniając twarz i figurę postaci, skręcając się w grube sznury

Mimo to Robert wciąż słyszał głos.

- Mam nadzieję, że jest w tym coś więcej. Atakuje cię grupa, która sama siebie nazywa Braterstwem Iwnw. W tym celu karmią się energią psychiczną Adama. Ja jestem w stanie na tyle wcześnie zainterweniować, by dać ci szansę na przeżycie. A przy okazji, musisz skorzystać z okna. Nigdy nie zdołasz dotrzeć do drzwi.

- Jak masz na imię?

- Jestem Stróżem. Ty znasz mnie jako Horace'a. Uciekaj!

Robert usiłował podciągnąć okno nad kuchennym zlewem, ale na próżno. Ogień gęstniał. Robert złapał chochlę i rozbił szybę. Prędko oczyścił futrynę z odłamków, podciągnął się na zlewie, po czym wystawił przez okno najpierw głowę, potem ramiona. Przekręcił się na bok, jedną ręką zakrył oczy, drugą pachwinę i odepchnął się od zlewu.

Wyleciał przez okno w chwili, gdy sznury płomienia zbiły się w kulę ognia i eksplodowały z rykiem, wywołując falę uderzeniową.

Robert spadł na dach sąsiedniego domu piętro niżej. Toczył się i kulił przed gradem spadającego gruzu. Potem położył się na plecach, oddychając gwałtownie i raz po raz powtarzając:

- Dobry Boże, dobry Boże.

Krwawiąc z rany na udzie i trzęsąc się na całym ciele, zszedł na ulicę po schodach przeciwpożarowych. Słyszał zbliżające się syreny. W jego głowie jakiś głos, intuicyjne przecucie wydawało rozkaz: „Idź stąd. Władze ci nie pomogą. Uciekaj”. Serce przepełniał mu bunt. Stawał się coraz silniejszy. I znowu nie zdołali go zabić. Rósł, coraz pewniej kroczył Drogą.

Kulejąc, ruszył Greenwich Street w kierunku północnym od domu autorki „Goodnight Moon”. Trafiwszy na przystanek, usiadł, by obejrzeć ranę. Na oko wydawała się powierzchowna, choć czuł tępe pulsowanie w udzie. Miał szczęście. Ale czy istnieje coś takiego jak szczęście?

Odwrócił się i spojrzął na kamienicę. Nie było pożaru, wszystko wskazywało na to, że jakimś cudem siła eksplozji skierowała się w górę, nie czyniąc żadnych szkód w mieszkaniach poniżej. Sąsiedzi pokazywali sobie wybite okna w pokojach Adama, przed domem stał wóz policyjny.

Robertowi wciąż drżały dłonie.

W jego wspomnieniach przebiegająca w zwolnionym tempie eksplozja była niczym sen. Czy widział Horace’a mówiącego do niego poprzez płomienie? Czy miał halucynacje? Co było rzeczywistością, a co sztuczkami płatnymi mu przez wyobraźnię?

Nie będzie w stanie dłużej wytrwać. A jednak musi.

Pomyślał o Adamie, który go szantażował. Podjął decyzję. Uprzedzi go, przejmie inicjatywę. Powie Kat o Terri, nim zdąży zrobić to Adam. Niezależnie od tego, jak będzie to bolesne.

Zajął się sprawami praktycznymi. Jak wrócić do domu. Jak ostrzec Katherine.

Wiele lat temu uparła się, by ustalili szyfr na wypadek, gdyby jedno z nich znalazło się w niebezpieczeństwie. U osoby z jej przeszłością przezorność i nawyki nie znikają łatwo. Robert wybrał numer.

- Katherine?

- Robert? Co się dzieje? Wszystko u ciebie w porządku?

- Cześć, kochanie, nic mi nie jest. Chciałem ci tylko powiedzieć, że nie mam migreny, choć rano czułem, że się zbliża. Chyba będę musiał zostać z Derekiem dłużej w pracy, ale wrócę tak szybko, jak się da. I słuchaj, dostałem wreszcie bilety na „Króla Lwa”. Bardzo się z tego cieszę. Zgadnij, na kiedy?

- Na dzisiaj?

- Tak.

- W takim razie lepiej się przygotuję.

Katherine rozłączyła się. Dłonie Roberta zostawiły wilgotne ślady na słuchawce. Z każdą godziną robiło się parniej, był zlany potem. Oczy piekły go od wilgoci, ból w nodze przybierał na sile.

Zatrzymał taksówkę i zaproponował szczodry napiwek za kurs do New Jersey. Kiedy zbliżali się do Tunelu Lincolna, Katherine oddzwoniła:

- Przykro mi, ale musisz zwrócić te bilety. Przypomniałam sobie, że dzisiaj na kolację przychodzi Orlando.

- Cholera. Trudno, masz rację. Do zobaczenia.

„Migrena” i „Król Lew” oznaczały, że Katherine powinna pójść w bezpieczne miejsce, które znali tylko oni dwoje. Dzwoniąc, informowała go, że już tam jest.

Spokojny o żonę, Robert najpierw poszedł do domu, żeby się umyć, przebrać i zdezynfekować ranę. Obecnie bezpiecznym miejscem był dom ich przyjaciółki Kerry, oddalony od ich domu o kilka mil. Kiedy Robert tam dotarł, jadąc okreśną drogą, było niemal wpół do czwartej. Oboje mieli klucze. Katherine zajmowała się kotami w czasie częstych podróży służbowych Kerry, która teraz była w Chicago. Wsuwając klucz w zamek, Robert przypomniał sobie odgłos oznajmiający wieczorny powrót ojca do domu po długiej pracy w ogrodach, poczucie bezpieczeństwa, jakie go ogarniała gdy słyszał dźwięk unoszonej zasuw, nadzieja, że ojciec przyjdzie do jego pokoju, żeby porozmawiać o minionym dniu. Wchodząc jednak do domu Kerry, Robert miał wrażenie, że wnosi ze sobą coś obcego, niebezpiecznego i nieprzyjemnego. Katherine, ubrana w luźne spodnie i lekki żakiet, siedziała w salonie. Na nogach miała wysokie buty. Robert wiedział, że ukryła w nich pistolet. Na jego wypowiedziane szeptem powitanie odparła ledwo słyszalnie:

- Cześć.

Podszedł do niej i pocałował ją w czubek głowy.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział. - Przepraszam, jeśli cię wystraszyłem.

- Zwariowany dzień. Brałeś prysznic?

- Tak.

Patrzyła w głąb jego serca. Poczł drzenie na skórze i za oczami. Próbowła odczytać jego myśli? Nigdy wcześniej nie miał takich doznań.

- Słyszałeś o aresztowaniach w związku z zamachem bombowym?

- Nie, nic nie wiem.

- Policja aresztowała dwóch facetów, Amerykanina i Pakistańczyka, za plany wysadzenia stacji metra Herald Square. Mieli taki zamiar, ale nie znaleziono przy nich materiałów wybuchowych.

- Naprawdę chcieli to zrobić?

- Na to wygląda. Choć nie mieli kontaktu z grupami zorganizowanymi. Czy to ma jakiś związek z nami?

- Nie.

- Na czym polega zagrożenie?

Wyszkolenie Katherine sprawiało, że bywała bardzo rzeczowa. Pod tym względem dobrze do siebie pasowali.

- Oboje od jakiegoś czasu się oszukujemy.

- Na czym polega zagrożenie?

- Co Adam powiedział ci wczoraj?

- Wyjaśnijmy sobie coś. Przyszedł do mnie w zeszłym roku...

- I poprosił o zachowanie tajemnicy. Wiem. W jakiej sprawie miałaś mu pomóc?

- Nie mówił. Wtedy powiedział tylko, że zamierza przeciwstawić się komuś bardzo potężnemu i chciał wiedzieć, czy odzyskałam swoje dary. Odparłam, że nie, ale prosił, żebym i tak spróbowała.

- Kiedy to dokładnie było?

- Rano w dniu zaciemnienia. Czternastego sierpnia. Kazał mi przysiąc, że nic ci nie powiem - żeby cię ochronić. Powiedział, że nie zamierza cię włączać, dopóki nie będzie miał innego wyjścia.

- A wczoraj?

- Jakimś cudem wrócił człowiek, z którym musiał walczyć w zeszłym roku. W jakiś sposób wszyscy jesteście zagrożeni, ponieważ w noc pożaru w Cambridge nasze losy... się splątały. Masz jakieś nowsze wieści?

Pokazał jej zdjęcie. Bez słowa wpatrywała się w ekran.

- Adam przysłał mi to kilka godzin temu. Wciąga mnie w tę samą sprawę, wiesz o tym. Ale w jego wnętrzu dzieje się coś... mrocznego. Nie wierzę, by potrafił to kontrolować. Nie wiem, czy jest w stanie zwyciężyć.

- Co przez to rozumiesz?

- Przypuśćmy, że jestem mu potrzebny nie do powstrzymania tego strasznego aktu, ale do spowodowania go? Przypuśćmy, że z jego strony to sztuczka? Grozi ci, ale mówi, że robi to, by cię ochronić. Grozi mnie...

Popatrzała na niego.

- Jak?

Nie był w stanie spojrzeć jej w oczy.

- Bzdury. Nie boję się go.

- Ale czegoś się boisz.

- O wiele mniej niż wcześniej. Nie wiem, jak to wyjaśnić.

- To coś na zdjęciu. Widziałeś to wcześniej?

- To śmierć. Bliska. Nie pytaj, skąd wiem.

- Widziałeś ją w noc pożaru w pokoju Adama. Wiem o tym.

W jego głowie wirowało od sekretów, rzeczy, którym całe swoje życie zaprzeczał, które uważał za zakazane; ledwo potrafił uwierzyć, że widział je na własne oczy w ciągu ostatnich trzech dni. Co może jej powiedzieć? Co powinien powiedzieć?

- Ty też to widziałaś, Kat?

- Tak, w snach. I wyczuwałam w pokoju Adama tamtej nocy w Cambridge, ale wtedy nie wiedziałam, co to jest.

- A co to jest?

- Zło. Żyje w świecie potencjalnym, nie całkiem ucieleśnione, ale wciąż szuka sposobu na zaistnienie. Karmi się cierpieniem, zamętem, strachem. W jakiś sposób jest połączone z wolną wolą. Zbliża się do człowieka czyniącego zło lub tylko mającego po temu okazję. Widzi szansę, gdy ludzie zapędzają się w takie psychiczne rejony, z którymi nie potrafią sobie radzić. I przynosi ze sobą śmierć.

- W jaki sposób związane jest z ludźmi z Iwnw?

- Nie jestem pewna, co jeszcze mogę powiedzieć. Każde z nas ma swoją rolę i musi ją odegrać do końca. Niektóre rzeczy są dla nas cenne tylko wówczas, gdy sami je odkryjemy. Z tego, co Adam mówił, wnioskuję, że Iwnw żyje w tym świecie i następnym. W każdym pokoleniu mają ludzi, którzy w ich imieniu działają, rodzaj kapłanów, jeśli wolisz, a równocześnie są także tym... okiem.

- Po części zaczynam to rozumieć, ale potrzebuję pomocy. Są ludzie, którzy z nimi walczą, tak? Horace? Czy on przez cały czas nas pilnował?

- Pamiętasz tamten wieczór w Okrągłym Kościele? Wtedy jedyny raz go spotkałeś; był mentorem Adama w Anglii.

- O mój Boże.

Godzina po godzinie jego życie tworzone na nowo. Nic nie było takie, jakie się wydawało. Widział opiekuńcze siły, które przez całe życie usiłowały chronić go przed jego własną naturą. Rodzice. Adam i Kat. Horace.

- Muszę być tym, kim jestem teraz - powiedział, nie zdając sobie sprawy, że mówi na głos.

Kat milczała.

- Byłem ślepy.

- Nie - uśmiechnęła się. - Wcześniej nie byłeś gotowy Ale pamiętaj, Adam mówi, że nas chroni. Osłania. Wierzę mu.

- Nie jestem tego pewien, Kat. Wierzę, że chce nas osłonić, ale...

Zadzwoił jego telefon komórkowy. To był Horace. Robert pocałował Katherine i wyszedł do kuchni.

- Robercie, mój przyjacielu, dobrze się czujesz?

- Uratowałeś mi życie.

- Niezupełnie, choć byłem w stanie przechylić szalę na twoją korzyść. Nie zdawałem sobie sprawy, że tamci mają nad Adamem tak potężną władzę. Wykorzystali go, żeby dotrzeć do ciebie.

- Ale wciąż się opiera, prawda? Wyczuwałem, że walczy.

- Tak, chociaż traci siły szybciej, niż sądziłem. Robercie, musisz zwracać uwagę na wszystko, na każdy głos wewnętrzny, pozorny zbieg okoliczności, wrażenie, jakie na tobie robią ludzie.

W sercu Roberta zapłonął gniew.

- Poruszam się tak szybko, jak potrafię! Trzy razy mnie atakowano! Na litość boską, ktoś próbuje mnie zabić!

- Nie tylko ciebie. Ja też nie jestem bezpieczny Aktualnie dom nie jest dla mnie najlepszym miejscem. Jeśli tam wrócę, zabiją mnie.

- Co?

- Czas najwyższy dorosnąć, Robercie. To dotyczy nas wszystkich.

- Przykro mi, ale...

- Cicho. Nie mogę długo pozostawać w jednym miejscu. Znajdą mnie i Adam mnie zabije.

- Adam?

- Tak jak zabił Lawrence'a. Albo zmusił go do samobójstwa. Ja też umrę, jeśli będę musiał. Żeby cię ochraniać.

- Kim są „oni”, Horace?

- Iwnw to ścierwojady żywiące się duszami. W tym świecie i w następnym. Pasożyty. Wykorzystują Minotaura jako rodzaj bramy umożliwiającej im dotarcie do Adama. Szybko, opowiedz mi, co się dzisiaj wydarzyło.

Robert zrelacjonował wypadki, nie pomijając żadnego szczegółu.

- Musisz iść dalej. Musisz pozostać w grze z Adamem. Musisz.

- Ale mówiłeś, że on cię zabije?

- Walczy, jeszcze nie przegrał, tylko że jego siła woli ma swoje granice. Kiedy jest zmęczony, nie odpowiada za swoje czyny.

- Można go uratować?

- Tak, Robercie. Ty możesz go uratować. I wszystkich innych. Ale tylko pod warunkiem, że zaryzykujesz utratę.

- Utratę czego?

- Wszystkiego.

Myśli Roberta rozbiegły się na wszystkie strony. Pozwolił na to. Uczył się zaufania.

- Horace, czy skończyłem trzecią próbę? Przeszedłem ją?

- Pozwól, że wpieryw zbiorę myśli.

Horace zamilkł. Robert coraz wyraźniej rozpoznawał w sobie postawę znaną mu z normalnego życia, które wydawało się oddalone o wiele lat: zaangażowanie. Pragnął zrozumieć wszystko, niezależnie od kosztów. Alternatywa była zbyt straszna, by o niej myśleć.

- Sednem trzeciej próby jest wolność - powiedział Horace. - Stawia cię w sytuacji, w której twoja autonomia, niezależność, twoja zdolność do stania na własnych nogach i

decydowania o własnym losie poddana jest presji nie do zniesienia. Taką moc ma ogień, to energia napędzająca ambicję, szacunek do siebie, dążenie do sukcesu, dumę z siebie. Dzięki tej próbie głębiej wszedłeś w naturę wyścigu mającego na celu zapobieżenie eksplozji Ma'rifat'a. Aby przejść tę próbę, musisz odkryć granice wolności i zapłacić za to straszliwą cenę: wkraczając w cień tej mocy, musisz wybrać pomiędzy uległością wobec szantażu a utratą żony.

- Podjąłem decyzję. Zamierzam o wszystkim jej powiedzieć.

- Wielu aspirujących do poznania mądrości Drogi na tym etapie ponosi klęskę, bo albo nie udaje im się przyjąć mocy ognia i wykorzystać jej w tworzeniu zdrowego ego i poczucia niezależności, albo nie potrafią wznieść się ponad fascynację samymi sobą. Powiedz mi, co widzisz na granicach wolności, teraz gdy nie uległeś szantażowi i podjąłeś własną decyzję?

To samo pytanie zadano w liście, choć ujęto je w inne słowa: „Poszukuj najdalszych krańców wolności”.

- Absolutna wolność oznacza całkowitą samotność, kompletną izolację. Stracę Kat, ale nie mam innego wyboru, muszę tak postąpić, jeśli chcę przetrwać.

- Dobrze. Znalazłeś klucz w czterech częściach, które tworzą trójkąt albo piramidę, oraz odkryłeś kolejną część swojego rozbitego ciała ze światła. Gdybyś na tym etapie poniósł klęskę, zginąłbyś. Nie byłbym w stanie ci pomóc, gdybyś nie rozwinął w sobie siły przetrwania. Przeszedłeś próbę.

Nagle łzy wypełniły oczy Roberta. Był wyczerpany, przerażony, dezorientowany A równocześnie żył, walczył, uczył się rzeczy niezbędnych do udoskonalenia metod walki. Był z siebie dumny.

- Robercie, jesteś tam?

Opanował się, chrząkając i szukając w umyśle pytań.

- Jedna rzecz. Na ścianie kościoła w East Village zobaczyłem coś, co mnie zaniepokoiło. Głowa, twarz wyglądająca na... złuszczoną? Liściastą? Trudno to opisać.

- Zielony Człowiek - odparł natychmiast Horace. - Doskonale. To roślinna maska.

Opowiadają o nim wiele bzdur, ale w istocie jest tym, czego potrzebujesz: symbolem życia. Zapamiętaj go. I jeszcze jedno. Czy termin „Wodociąg numer jeden” coś ci mówi?

- To ten nowy, którego budowa ma potrwać trzydzieści lat?

- Nie, to numer trzy, a budowa idzie całkiem dobrze dzięki nowym odwiertom. Ale nie, mnie chodzi o numer jeden. Przejdź wzdłuż jego biegu, niewykluczone, że to cię oświeci. Muszę kończyć, przedłużanie rozmowy jest ryzykowne.

- Co zamierzasz zrobić?

- To, co muszę - pomóc ci w walce.

Po tych słowach Horace się rozłączył.

Robert wrócił do żony. Wziął głęboki oddech.

- Jak się miewa Horace?

- Katherine. Zdradziłem cię. Wczoraj uprawiałem seks z Terri.

### *Pieśń miłosna męczennika: budowa Manfata*

*Mój ojciec był nie tylko naukowcem, ale także marzycielem i człowiekiem o głębokich duchowych zainteresowaniach. Był nauczycielem, fizykiem, chemikiem oraz mistykiem, badaczem tajemnic Boga. We współczesnym angielskim nie istnieją już słowa na określenie dziedziny, którą studiował, ale w czasach Chaucera - tak, jestem wykształconym Arabem, pamiętacie? - nazwano by go alkamystere.*

*Weźcie chemię, weźcie alchemię, weźcie tajemnicę i połączcie je. Otrzymacie zaginioną naukę. Alcumystrie, tak ją później nazwano. Siedziałem u jego stóp. Uczylem się. A to, czego się nauczyłem, zastosowałem w praktyce.*

*Modliłem się, by jedenasty września wystarczył. By Ameryka wyciągnęła wnioski. By ogromna fala współczucia i altruizmu, którą atak wywołał, na trwale rozlała się na cały świat. Tak się jednak nie stało. We łzach uznałem, że potrzeba czegoś o wiele większego.*

*Kocham Nowy Jork. Lecz Nowemu Jorkowi postawiono większe wymagania. Miał nie tylko okazać współczucie i wielkie serce w obliczu ataku, ale umrzeć dla dobra całego świata. To wielkie serce trzeba było powstrzymać, musiało dokonać ostatecznego poświęcenia, ostatecznego skoku w boskość.*

*Kiedy nastąpiło przypadkowe uruchomienie urządzenia, umarłem dla świata fizycznego. Teraz przebywam w miejscu bez czasu, w siedzibie światła. Dla cząsteczek światła czas nie istnieje, a wszystkie miejsca są tym samym miejscem. Teraz jestem Człowiekiem Światła i obserwuję działania świata, który zostawiłem, jako jedności. Rodzę się. Umieram. Pracuję w laboratorium w Brookhaven. Biorę udział w pogrzebie dziadka. Po raz pierwszy jestem z kobietą. Obejmuję matkę. Buduję urządzenie. Robię wszystkie te rzeczy i jestem wszystkimi tymi ludźmi.*

*Stąd mogę widzieć wszystko. Mogę wszystkich obserwować. Widzę popołudnie 14 sierpnia 2003 roku w najdrobniejszych szczegółach, jak orzeł krąży nad południowo-wschodnią częścią Stanów Zjednoczonych i obserwuję rozcapierzające się palce zaciemnienia. Widzę elektryczność szalejącą po liniach wysokiego napięcia. Widzę przerzuty ciemności. Widzę świat pękający jak lód. Wielkim łukiem schodzę w dół, wkraczam w ciała i poznaję ich najbardziej intymne doznania. Widzę, jak każde z nas łączy się z innymi poprzez cienkie niczym włos szczeliny i awarie prądu spowodowane przez detonację.*

*Widzę, jak umieram.*

*Widzę Roberta i Katherine w trakcie miłostnego aktu. Widzę Terri dyszącą ciężko, zagubioną w doznaniach, pogrążoną w sobie. Widzę, jak traci wzrok.*

*Widzę Adama. Widzę, jak walczy. Widzę go w płonącym pokoju. Zawsze widzę go w płonącym pokoju. Zawsze ten sam pożar.*

*Widzę, jak czas i przestrzeń ulegają zakrzywieniu.*

*Spoglądam głęboko we własną duszę. Widzę skazę. Zbyt późno dostrzegam zły zakręt, który powinienem był wyprostować.*

*Widzę własną klęskę.*

*Koło Battery Park jest rzeźba umieszczona w wodzie. Przedstawia żeglarzy desperacko próbujących uratować tonącego, który podczas przyływu całkowicie znika pod wodą. Tak samo my wciągani jesteśmy w morze Boga, gdy indywidualne lęki każdego z nas toną w Jego miłości... a gdy strach znika, nasza miłość może swobodnie przepływać. W taki oto sposób widzę świat z mojej nowej siedziby w świetle. Drobiną miłości, odrywane jedna od drugiej i od świata przez strach. Wszystkie granice świata zbudowane są ze strachu. Potrzebujemy granic, by osiągnąć dojrzałość, ale później musimy się nauczyć, by znowu je zburzyć, przekształcić. Jaka potęga może to osiągnąć?*

*W akceleratorze cząsteczek w Brookhaven cofaliśmy zegar tak szybko, że byliśmy w stanie stworzyć materię w formie, którą we wszechświecie widziano jedynie w pierwszych nanosekundach po Wielkim Wybuchu. Nazywa się ją plazmą kwarkowo-gluonową, ale możecie myśleć o niej po prostu jako o płynnym wszechświecie. Oceanie, z którego wszyscy pochodzimy. Maszyna, przy pomocy której zderzaliśmy złoto ze złotem, jest tak potężna, że nim zezwolono nam na doświadczenia, przeprowadzono badania, by udowodnić, jak bezpodstawny jest strach, iż zniszczymy ziemię. Istniała bowiem obawa, że możemy rozbić w puch cały znany nam wszechświat. To nie żart. Raport omawiający te kwestie oraz stwierdzający, że bezpiecznie możemy korzystać z akceleratora, jest powszechnie dostępny. Każdy może przeczytać go w Internecie.*



*Kiedy wiele lat temu byłem wyróżniającym się studentem w Londynie, zwrócili się do mnie ludzie z Mukhabaratu. Nie odrzuciłem zaproszenia od wywiadu. Pragnęli się upewnić, że będę gotów do służby, że pewnego dnia, gdy zacznę pracować, stanę się dla nich cennym nabytkiem. Przez wszystkie późniejsze lata nie miałem pewności, czy byli z Mukhabaratu mojego czy innego kraju.*

*. Nie pracowałem dla nich z własnej woli. Dawałem im tak mało, jak to było możliwe. Zadawali głupie pytania, prawie nic nie rozumieli. Byłem fizykiem cząstek elementarnych, nie miałem ochoty pracować w programach bombowych ani donosić na kolegów. Wreszcie jednak w latach dziewięćdziesiątych zażądali, bym infiltrował program pracy nad bombą w obcym kraju. Aresztowali mojego ojca, by zwrócić mój umysł we właściwym kierunku. Zgodziłem się, ale postanowiłem w tajemnicy się zemścić. Poszedłem do ambasady brytyjskiej i, zgodziłem się szpiegować dla nich.*

*Teraz jestem człowiekiem zakochanym, płonę z miłostnego cierpienia. To jak łaknienie, którego nie można zaspokoić. Jestem kroplą deszczu, a moja Ukochana jest niezmiernym morzem. Aby połączyć się z moją Ukochaną, muszę na powrót roztopić się w potężnym oceanie, z którego pochodzę. Muszę się unicestwić w weselu mej miłości.*

*Znam moją Ukochaną pod innym imieniem, zdradziła mi wszakże, że jej prawdziwe imię to Katherine*



## 4

### Próba Powietrza

LITTLE FALLS, 29 SIERPANIA 2004

Katherine siedziała i paliła. Rozmawiali do wczesnego świtu.

Rozdzielał ich chłód, dystans i cierpienie. Krzywda, którą Robert jej wyrządził, pozostała z nimi. Katherine płakała, Roberta piekła twarz po jej policzku.

- Byłeś moją kotwicą. Gdyby wszystko zawiodło, wciąż byłbyś ty.

- Sprawilem ci zawód. Sobie też.

- Błagam, przez chwilę skupmy się na mnie, dobrze? Tak, zawiodłeś mnie. Skrzywdziłeś mnie.

- Przykro mi.

- Wiem, że tak. To w najmniejszym stopniu nie pomaga. Niczego nie zmienia.

Zaciągnęła się i gniewnym gestem zgasiła papierosa.

- Nie powinnam palić. Spójrz na mnie, jestem wrakiem.

Robert obserwował siebie z zewnątrz. Był z nią w pokoju, przyjmując falę jej bólu i zadawane przez nią ciosy. Potrzebowała go, a on pragnął, by wylała swój gniew na niego. A równocześnie jakaś część jego osoby pozostawała zamknięta w sobie i czujna, na chłodno oceniając, do jakiego stopnia skuteczna będzie sztuczka, dzięki której się uwolni.

Katherine pstrykała zapalniczką, płomyk pojawił się i gasł.

- Kiedy zdecydowałam, że z tobą będę, otrząsnęłam się z koszmaru. To trwało niemal dziesięć lat, większość tego czasu spędziłam w konspiracji. To mnie dobijało, więc zrezygnowałam.

- Na moje szczęście.

- To ja miałam szczęście. Myślałam, że wszyscy mężczyźni tacy jak ty są już zonaci.

- Szybko podjęłaś decyzję. I skończyłaś z niebezpieczeństwem i niebezpiecznymi mężczyznami.

- To prawda.

- Chciałaś być z kimś, na kim można polegać, kimś wiarygodnym, ale przed pięćdziesiątką, kimś, kto nie jest twoim ojcem.

- Ty taki byłeś. Sprawileś, że poczułam się ważna i bezpieczna.

- Nawet przy zbliżającym się huraganie. Nasz porywisty romans.

- Pamiętasz, co ei powiedziałam tamtej nocy w Miami?

- Że poszłabyś na koniec świata, by uniknąć zdrady, by znowu jej nie doświadczyć. By jej nie prowokować.

- A ty co zrobiłaś?

Robert milczał.

Katherine wpatrywała się w okno. Czuł jej cierpienie, pozwalał, by przez niego przepływało. Miała rację, ale chodziło o coś więcej. Częściowo ona też ponosiła winę. Przygryzł język. Wybuch gniewu oznaczałby utratę panowania nad sobą, a chodziło o coś wręcz przeciwnego.

- Robercie, po jedenastym września coś się stało. Chciałam myśleć, że postąpiłam szlachetnie, ale teraz uważam, że kierowało mną pragnienie zemsty. Nie mogłam ci wtedy o tym powiedzieć, teraz też nie powinnam, ale to zrobię.

- Wróciłaś do pracy?

- Wiedziałaś?

- Domyślałam się. Dobrze to ukrywałaś, ale zmieniłaś się. Przede wszystkim stałaś się twardsza.

- Nic nie mówiłaś.

- A co mogłam powiedzieć? Myślałam, że w gruncie rzeczy nie pozwolili ci odejść na dobre. Po części bałam się, co może się stać, jeśli zapytam cię wprost.

Katherine roześmiała się.

- Bałaś się, że będę musiała cię zabić? Jak w tym starym dowcipie?

- Że będziesz musiała mnie opuścić. Wróciłaś do Brytyjczyków?

- Nie, do Amerykanów. Amerykańska część mojej natury bardzo boleśnie odebrała jedenastego września. Miałam kilka kontaktów. Zajmowałam się antyterroryzmem.

Przyjrzał jej się uważnie,

- Od strony analitycznej;?

- I operacyjnej. Przeszłam ciężkie szkolenie, nabrałam od nowa szybkości. Ćwiczenia jogi? Nie chodziłam na jogę.

- Zardzewiałaś?

- Kiedy w osiemdziesiątym szóstym wstąpiłam do MI6, byłam najlepsza w grupie, tak dobra, że skierowano mnie na specjalistyczne szkolenie. Wciąż byłam dobra, bardzo dobra.

- Opowiadasz mi o tym z jakiegoś powodu?

Złodowaciała z gniewu.

- Przykro mi, Robercie, jeśli cię zanudzam.

- Nie, ja..

- Ty samolubny, zapatrzonej w siebie draniu. Nie mogę na ciebie patrzeć. - I znowu utkwiała wzrok w ciemnym oknie.

- Tak mi przykro, Kat.

- Muszę opowiedzieć ci tę historię, żebyś pojął, czym jest dla mnie zdrada. - Jej głos wypełniony był cierpieniem. - Żebyś mógł zrozumieć, co zrobiłaś.

Nieoczekiwanie pod powiekami wezbrały mu łzy. Zranił ją o wiele mocniej, niż myślał. Okiem wyobraźni zobaczył maleńkiego, zniekształconego głupca. To był on, jego ego. Skurczony, zagubiony w poszukiwaniu własnej przyjemności.

- Przykro mi - powtórzył przez zduszone gardło. Katherine dostrzegła jego emocje, domyśliła się, dokąd to prowadzi. Nie zamierzała mu na to pozwolić. Nie będzie szlochów na ramieniu, nie będzie pojednania.

- Nie będziesz mógł mnie zrozumieć, jeśli nie wysłuchasz tej historii.

- Mów.

- Jeden z podejrzanych, którym przyglądaliśmy się w 2002 roku, wydał mi się znajomy. To nie była miła praca. Szukaliśmy potencjalnych szpiegów wśród naukowców. W Brookhaven na Long Island pracował fizyk cząstek elementarnych pochodzenia arabskiego. Zachowywał się podejrzanie. Był w Stanach dopiero od dwóch, może trzech lat.

- Wykorzystywałaś swój dar? Sądziłem, że po wystąpieniu ze służby dar się nie pojawił.

- Po tym, jak straciłam Tariq'a?

- Tak.

- Nie zgadłbyś, ale odnalazłam Tariq'a. W Brookhaven. Pracował przy akceleratorze cząsteczek i interesował się badaniami nad szkłem metalicznym.

- Odnalazłaś go? Więc jednak nie został zamordowany?

- Nie wiedziałam, śmiać się czy płakać. Przeżył. Ale fakt, że go uwolniono i pozwolono przyjechać do Ameryki, musiał oznaczać jedno: zmusili go do współpracy. Innej możliwości nie było.

- Co zrobiłaś?

- Wstydzę się tego, co zrobiłam.

- Myślałam, że go kochałaś. Dla ciebie żył. Zdradził. Dla ciebie robił wszystko.

- Wiem. Wykorzystałam to. Zaaranżowałam przypadkowe spotkanie. Zdumienie. Łzy.

Przysięgi o niewinności, o cudownej ucieczce. Nie wierzyłam mu nawet przez moment. Ale dzięki temu mogłam się do niego zbliżyć. Poznać szczegóły jego pracy.

- Zaczęłaś się z nim widywać?

- Tak.

- Spałaś z nim?

- Nie - odparła po krótkiej chwili Katherine.

- Dałaś mu do zrozumienia, że to zrobisz?

- Tak.

- A potem?

- Ameryka wkroczyła do Iraku. Kilka tygodni później zaprowadziłam go w ustronne miejsce i przekazałam.

- Komu?

- Śledczym.

- Jezu.

- Mówiłam sobie, że na tym polega moja praca. Niezbędna praca. A potem ujawniono prawdę o Abu Gharib... O bestialstwach, jaki się tam dopuszczono. Dowiedziałam się, zanim podano to do wiadomości publicznej. To było chore. Ogarnęły mnie mdłości.

- Dobrze to ukrywałaś.

- Ty bardzo mi pomogłeś, choć nie zdawałeś sobie z tego sprawy. Znowu zrezygnowałam. Przez wszystkie te lata z tobą byłam szczęśliwsza, niż mogłam sobie wyobrazić, Robercie. A potem nastąpiło zaciemnienie.

- I zdarzył się nasz cud. Moss. Miał być matką w wieku czterdziestu trzech lat.

- Ale go straciłam.

- My go straciliśmy.

- Odnosiłam się do ciebie lodowato. Byłam bez życia.

To właśnie chciał powiedzieć. Tak, odnosiła się do niego lodowato. Tak, to było upokarzające: zesłanie do oddzielnego pokoju, obcość między nimi tak wielka, że zabiła w nich pożądanie. I tak, w mrocznym zakątku swojego serca pragnął zemsty.

- To nie była twoja wina, Kat.

- Zawsze odnosiłam wrażenie, że to są bliźniacy.

- Tak mówiłaś.

- Od samego początku, kiedy lekarze powiedzieli, że jest jeden płód, uważałam, że muszą się mylić. Coś poszło nie tak.

Po poronieniu Katherine od uniesienia przeszła do odrętwienia. Pomimo wszelkich dowodów świadczących o czymś zupełnie przeciwnym, kurczowo trzymała się idei, że Moss nie odszedł całkowicie. Typowa reakcja na traumę. Katherine hołubiła postać ze snu.

- Wiem, że to niemożliwe, ale ty myślałaś, że zwariowałam.

- Nie wiedziałem, co myśleć. Widziałem tylko, że cię tracę. Łaknąłem pieścizot. Twoich. A potem już tylko pieścizot. Kiedy to się stało, miałem wrażenie, jakbym wrócił do życia.

Katherine spojrzała mu w oczy.

- Była dobra?

- Co to niby ma znaczyć?

- W każdym razie nie była nudna. Wiesz, niektórzy tacy są w łóżku.

- Czy to będzie miało sens, jeśli powiem, że pod wieloma względami to nawet nie dotyczyło ciebie?

Bez ostrzeżenia uderzyła go w twarz. Jej twarz z wściekłości była biała jak kreda.

- Nie dotyczyło mnie? Nie potrafiłeś nawet znaleźć obrączki i mówisz, że to ze mną nie ma nic wspólnego?

- Przykro mi, Kat. Ja...

- Zawsze myślałam, że poradzę sobie, jeśli zaczniesz szukać innych kobiet. Jeśli będziesz miał romans. Po prostu odejdę. Ale to jest o wiele trudniejsze. Mimo to... - Westchnęła, walcząc ze łzami. Podjęła decyzję. - Mam inne kryjówki, o których nie wiesz. To konieczne. Teraz do jednej się przeniosę.

- Nie rób tego, bardzo cię proszę.

- Takie są koszty, Robercie.

- Kat, błagam, nie rób tego. Chcę cię chronić. Aby mi się to udało, muszę pomóc Adamowi. Horace stawia sprawę jasno. Muszę wejść głębiej, żeby mu pomóc.

- Ale ty nie ufasz Adamowi.

- Nie ufam temu, kim się staje. Kim się stanie bez mojej pomocy.

- Chcesz powiedzieć, że ten romans z kobietą Adama jest częścią twojego zadania? Ze w ten sposób też mu pomagasz?

- Nie, wcale tego nie mówię.

- Ale to niewykluczone.

- Nie twierdzą tego. Nie wykorzystuję tego jako usprawiedliwienia.

- Może częścią ceny za uratowanie Adama jest utrata zaufania do ciebie. Rzecz, którą trzeba poświęcić. Bo tego zaufania już nie ma, wierz mi.

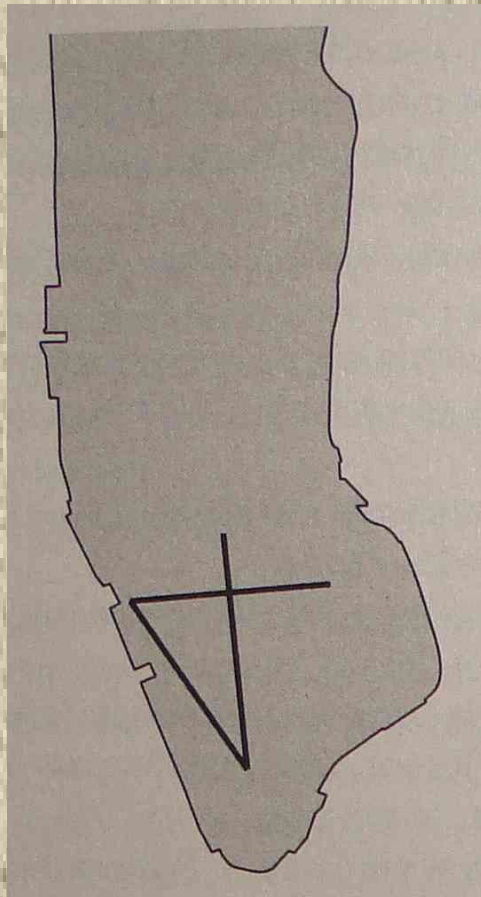
- Nie szukam wymówek. - Sprawa jednak była beznadziejna. Poczul gniew. - Ale wiesz co? Niewykluczone, że znowu będę się pieprzył z Terri.

- Więc było ci aż tak dobrze?

- Możesz być pewna.

- Ty draniu. Nie próbuj mnie zatrzymywać. Wiesz, że mnie nie znajdziesz, dopóki nie będę gotowa. A teraz zjeżdż mi z drogi.

Wiele godzin później Robert siedział wyczerpany i samotny w swoim gabinecie. Tarł oczy tak długo, aż zobaczył pod powiekami gwiazdy. Kiedy Katherine opuściła mieszkanie Kerry, wrócił do pustego domu. Teraz siedział nad trójwymiarową mapą Manhattanu. Żółte pinezki znaczyły drzewo Hare Kriszna, miejsce pożaru fabryki Triangle oraz mieszkanie Adama, czerwona - kościół św. Pawła, a pomarańczowa - Mercer, tuż pod Prince Street. Pinezki połączone były kolorowymi nitkami, które tworzyły kształt podobny do trójkąta, choć nim nie były, i do litery G, choć nią także nie były.



Robert odczuł koszty swojej decyzji w każdej cząsteczce ciała. Wytrącił szantażyście broń z ręki. Powiedział Katherine o Terri, nim zdążył to zrobić Adam. Skonsolidował siły, by walczyć samotnie. Doprowadzić próbę do końca. I teraz w swej całkowitej wolności był zupełnie sam.

Wiedział, że potrafi być zimny. Dystans, brak emocji były cnotami w jego zawodzie. Tu jednak chodziło o coś jeszcze: świadomie podjął decyzję o zranieniu Katherine. Położył na szali jej cierpienie i swoje potrzeby i stwierdził, że jego potrzeby są ważniejsze. A jeśli ona do niego nie wróci? Potrzeby wciąż były ważniejsze.

Wybacz mi, szepnął.

W głowie mu wirowało. Z jednej strony czuł ulgę, że jej o tym powiedział. I mimo ceny, jaką musiałby za to zapłacić, znowu chciał się kochać z Terri. Taka była prawda. Z drugiej strony podstępnie wykorzystał swoją spowiedź, by zranić Katherine. Zemścić się za ból, jaki mu sprawiała od poronienia. To było niewybaczalne.

A jednak uwolnił się od groźby szantażu. I zakończył Próbę Ognia. Wziął odpowiedzialność za swoje czyny i teraz ponosił konsekwencje. Stać go było na to.

Droga wyjścia znajdowała się po drugiej stronie ciemności gromadzącej się wokół niego, wokół nich wszystkich. Droga wyjścia była Drogą Seta.

Robert wrócił do mapy, ekstrapolując linie, w myślach widział, jak biegną do New Jersey, Queens i wzdłuż Manhattanu, szukał w nich znaczenia.

Horace powiedział mu, żeby przyjrzał się wodociągowi numer jeden.

Wodociąg numer jeden był stalowym węzłem pod powierzchnią miasta, który przynosił wodę, przynosił życie. Zbyt ważny, by wyłączyć go na czas remontu, zbyt stary, by bezpiecznie go zamknąć, utrzymywany przy życiu płynącym w nim strumieniem, biegł pod

Bronksem i Manhattanem, potem skręcał do Brooklynu, czerpiąc wodę ze zbiorników na północy i zachodzie. Miał dziewięćdziesiąt lat. Zaspokajał codzienne pragnienie, wyrzucając miliard galonów wody.

Robert przyjrzał się jego trasie. Przyciąganie ziemskie przynosiło wodę Manhattanowi od południa poprzez łańcuch miejskich parków. Central Park, Bryant Park koło Nowojorskiej Biblioteki, skrzyżowanie przy Madison Square Park, stamtąd do Union Square Park... Umieszczenie tunelu na gruntach publicznych miało sens, było sposobem na uniknięcie sporów z właścicielami nieruchomości.

Rozważył trasę innych wodociągów. Numer dwa omijał Manhattan, dostarczał wodę do Queens i Brooklynu i łączył się ze Staten Island. Numer trzy, gigant budowany od dziesięcioleci, miał umożliwić zamknięcie pozostałych dwóch i dokonanie ich pierwszej wszechstronnej inspekcji.

Bez wodociągu numer jeden Manhattan umrze. Czy o tym mówił Horace?

Dotąd punkty orientacyjne każdej następnej próby znajdowały się coraz dalej na północ w stosunku do tych z poprzedniej. Jeśli dalej tak będzie, wówczas trasa wodociągu połączy się z liniami na jego mapie na... Union Square. Czy stamtąd zawróci na początek wodociągu? Robert pociągnął nitkę od kościoła św. Pawła przez Mercer, gdzie spotkał Terri, spaloną fabrykę Triangle, aż do górnego krańca Manhattanu. Doprowadziło go to do Central Parku; po drodze nitka biegła blisko szybów wodociągu w Union Square Park, Madison Square Park, Bryant Park...

W jego umyśle uformował się kształt, zniknął jednak w chwili, gdy sądził, że już go widzi. Do szaleństwa doprowadzała go świadomość, że dzięki temu mógłby lepiej zrozumieć zło zżerające Adama od środka. Nie potrafił jednak tego dojrzeć.

Nie odrywał wzroku od mapy, nie był w stanie myśleć o niczym innym, ale po początkowym olśnieniu wzór mu umykał. Zostało tylko przekonanie, że odnalazł część układanki

Wciąż dręczyły go wątpliwości. Czy wszystko, co Adam mówił, było prawdą? Dlaczego prosił Katherine o spotkanie?

Robert potrzebował nowych informacji.

Musiał odnaleźć Kat i przekonać ją, by do niego wróciła. Musiał dowiedzieć się więcej o związku Adama i Terri. I mówiąc szczerze, pożałował jej. Chyba miał dwa wyjścia: wyrzucić ją z myśli albo znowu się z nią kochać i stwierdzić, że teraz już tak na niego nie działa. Znaleźć w niej jakąś wadę. Cokolwiek. Nie mógł skontaktować się z Adamem, musiał więc spotkać się z Terri. Wszystkie drogi prowadziły do niej. Robert znowu popatrzył na mapę. Z okrzykiem frustracji i wściekłości przesunął po niej z rozmachem ręką, zrzucając na podłogę miniaturowe budynki i pinezki. Wpatrywał się w ciemność.

Droga wyjścia to droga wejścia. Miał swoją wolność i teraz musi właściwie ją wykorzystać. Jego siły rosły. Zrozumienie przychodziło błyskami, które natychmiast gasły, czuł jednak, że przełom jest blisko.

Potańskował skronie. Przymknął oczy i momentalnie zapadł w sen.

Wiele godzin później obudził się gwałtownie, sztywny i zmarznięty, wykręcony na fotelu w gabinecie. Brzęczał Quad. Terri przysłała mu wiadomość: Washington Square Park, jedenasta trzydzieści.

Spojrzał na zegarek: było parę minut po dziewiątej. Powlókł się do łazienki.

Stał pod łukiem w Washington Square Park, odwrócony twarzą do śródmieścia, i czekał na telefon od Terri. Jeśli miał rację, wiedział, dokąd go posłać.

Rozległ się sygnał Quada.

- Cześć.

- Cześć. Punkt orientacyjny 057.
- Union Square.
- Bardzo dobrze. Wspaniale. Róg północno-zachodni. Coraz szybciej łapiesz. Ale po drodze rozglądaj się uważnie. Punkt jest podróżą.
- Do diabła, gdzie wczoraj byłeś?
- Ruszaj, kochany Dzisiaj mamy nowy dzień. Idąc, sprawdź numer 2.
- Wodociąg?
- Co? Nie. Numer 2 na Piątej Alei. O co chodzi z tym wodociągiem?
- Nie zwracaj na mnie uwagi. Jestem zmęczony

Robert ruszył na północ. Po drugiej stronie ulicy rozciągały się trawniki Uniwersytetu Nowojorskiego, na odległym ich końcu wznosił się pomnik w stylu zbliżonym do elżbietańskiego. Po jego lewej stronie zaczynała się Piąta Aleja z budynkami w stylu art deco. Wykładane brązem drzwi przypominały Robertowi hotel Waldorf-Astoria z ukrytym zejściem do metra.

Przyjrzał się uważnie numerowi 2, nie wyróżniającej się niczym szczególnym kamienicy. W głębi holu, na prawo od drzwi wejściowych, zobaczył przez szybę wysoką na siedem stóp plastikową rurę, żółtawą i przezroczystą, umieszczoną na podstawie z marmuru, w której bulgotała woda.

„Pod tym miejscem płynie swym krętym korytem strumień”, przeczytał na tabliczce przytwierdzonej do muru. „Indianie nazywali go Manette, czyli Woda Diabła. Dla holenderskich osadników to był Bestevaer’s Killerje, Strumyczek Dziadka. Przez ostatnie dwa stulecia mieszkający tu ludzie znali go pod nazwą MINETTA”.

Bulgocząca diabelska woda. Wąż pod Manhattanem.

Quad skierował go przecnicę na wschód od Piątej Alei na University Place. Stąd Robert ruszył na północ. Kiedy dotarł na Wschodnią Dziewiątą, na niebie znowu zabłysło siedem łuków Chrysler Building.

Robert szedł dalej. Na Czternastej Ulicy u stóp Union Square Park jego oczom ukazały się dachy Zeckendorf Towers, trzy piramidy, które przy każdym jego kroku zdawały się dryfować na horyzoncie. Kiedy się do nich zbliżył, zobaczył czwartą piramidę wyłaniającą się zza pozostałych. Od próby trzeciej do próby czwartej.

W oddali słyszał bębny, śpiewy, gwizdy i krzyki. Powietrze znieruchomiło, temperatura zbliżała się pewnie do dziewięćdziesięciu stopni Fahrenheita. Robert był zlany potem.

Na ekranie Quada pojawił się komunikat: „Zbliżasz się do celu”, zaraz potem rozległ się dzwonek.

- Witaj na Zakręcie Nieboszczyka - powiedziała Terri. -Stoisz dokładnie w tym miejscu.

- Świetna nazwa.

- Świetna zabawa. Wagoniki kolejki linowej wjeżdżające na Broadway rozbijały się albo wyrzucały ludzi na ulicę, próbując wziąć ten zakręt. Nie można było w żaden sposób zwolnić. Brzmi znajomo?

- Jestem wagonikiem.

- Idź w kierunku parku i patrz w ziemię. Na chodniku jest wzór, rodzaj koła czasu w formie podkowy, okalający południowy kraniec parku. Idź po kole, a znajdziesz mnie. Słyszysz zbliżający się marsz?

Trasa antyrepublikańskiego marszu prowadziła wzdłuż Madison Square Garden, gdzie odbywała się konwencja, i kończyła się na Union Square. W marszu brały udział setki tysięcy ludzi. Robert spojrzął na plac. Kręcili się po nim policjanci, Robert przypuszczał, że w pewnej odległości rozmieszczono większą ilość funkcjonariuszy.

Przeszedł na drugą stronę Czternastej Ulicy i spojrzął pod nogi. W chodniku znajdowały się płytki, podobne do tych w pobliżu ratusza, te jednak były metalowe, nie kamienne.



Zwracaj uwagę na wszystko, powiedział mu Horace

Ruszył zachodnią stroną koła, szukając wzrokiem Terri i przypatrując się rycinom przedstawiającym Union Square Park w różnych okresach historycznych. To było miejsce robotniczych protestów, wolności słowa, aktywizmu, całonocnych czuwań. Po jedenastym września Robert też tu był i siedział pośród świec płonących na zbudowanym naprędce ołtarzu, nurzając się w straszliwym poczuciu straty, pragnąc z całej siły wierzyć w siłę miłości tak potężną - niczym bez końca zwielokrotniany żar i światło świec o zmierzchu - że pokona przemoc, że możliwe jest przerwanie cyklu zabijania i zemsty Graffiti nagłać wołały: „Miłość, miłość” i „Zwalczaj wojnę pokojem”... ale Robert na dnie serca wątpił w to. Czuł, jak budzi się w nim zimny cynizm, który teraz też mu towarzyszył. Miłość nie Wystarczy. Czasami trzeba walczyć.

- Robert.

- Terri.

- Idź do wschodniego krańca koła.

- Niedługo się spotkamy.

Zawrócił po własnych śladach, po czym z drugiej strony ruszył w przeszłość: rok 1859... 1857... 1855.

Nie od razu zobaczył Terri.

Jego uwagę przyciągnął róg jednej z większych historycznych tabliczek w chodniku, przedstawiający kompas wskazujący północ. Nie był to jednak zwykły kompas - powstał z czterech złączonych serc, wyglądał jak róża.

Robert, Katherine, Adam, Terri.

Przez głowę przepływały mu obrazy. Wszyscy czworo tańczący przez czas, połączeni językami ognia... i cień pomiędzy nimi, ukrywający coś, czego nie potrafił dojrzeć. Czy to był Minotaur wczepiony w Adama? Obraz rozplątał się.

Potem pojawiła się róża na długiej lodydze, którą trzymał w dłoni, gdy w mglisty wieczór przed wielu laty pukał do drzwi pokoju niejakiej panny Katherine Roty, z którą był umówiony na randkę w ciemno.

Różę zniszczyło wirujące, pulsujące oko śmierci. W jego głowie rozbrzmiał głos i wypowiedział słowa, których Robert nie słyszał, ale rozumiał, odbierał je jak radiową transmisję: „Zamień krzemień w kamień szlachetny”.

To nie miało sensu, ale Robert pojął znaczenie. Przejście przez próby obdarzy go siłą. Mocą pozwalającą mu przemienić czarny krzemień w diament. Przekształcić strach w miłość i sprawić, by była wystarczająca.

- Bu.

Jej dłonie łagodnie zakryły mu oczy. Odwrócił się i przyciągnął ją ku sobie, całując długo i mocno. Pożądanie zalewało go falami. Świat ucichł, były tylko jej usta, dotyk, smak, żar jej ciała.

Terri odsunęła się od niego.

- Co się stało?

Spojrzała na niego pytająco.

- To było w piątek. Dzisiaj jest dzisiaj. Inna próba, panie Reckliss.

Wciąż był rozgrzany pożądaniem, jej ciepłem.

- Katherine odeszła ode mnie. Powiedziałem jej, co się stało.

- To był bardzo odważny krok.

- Nie wiem, co zrobiłem.

- Zrobiłeś, co musiałeś zrobić.

Teraz to on się cofnął i trzymając dłonie na jej ramionach, patrzył na nią, wchłaniał w siebie. Stała bez ruchu, nie widząc, a jednak widząc, emanując niezwykłą pewnością siebie, w idealnej pozie. Poczł, jak jego pożądanie maleje. Coś było z nią nie tak.

- Teraz jest inna próba. Rozumiem. Seksu nie będzie.

- Nie ze mną.

- To było...

- Bądź cicho.

Usta Terri zdrząły i Robert ze zdumieniem zobaczył, że po policzku spływa jej łza.

- Co się stało?

- Nie twój interes. Posłuchaj. Uczestnicy protestu zaraz tu będą.

Westchnął zniecierpliwiony.

- Muszę odnaleźć Adama, Terri.

- To nie jest bezpieczne. Dla nikogo z nas

- On mnie potrzebuje.

- Czasami zachowuje się tak, jakby nikogo nie potrzebował.

Zobaczył wyraz bólu na jej twarzy

- Zranił cię?

- Boję się, że go stracę - odparła po krótkim wahaniu.

- Boisz się, że umrze?

- Gorzej: że przestanie mnie kochać.

- Z powodu tego, co zrobiliśmy?

- Nie

- Żałujesz tego?

- Nie

- Więc o co chodzi?

- Nie wiem, czy jesteś na to gotowy. Nie powinnam ci o tym mówić.

- Terri, co się dzieje?

- Tracę kontrolę. Nigdy mi się to nie zdarzało, chyba że sama taką decyzję podjęłam, ale teraz tracę kontrolę.

- Nie rozumiem.

- Jesteśmy na rozdrożu. To dotyczy nas wszystkich, bo jesteśmy ze sobą połączeni i w każdym z nas zaszła zmiana. Kiedy powiedziałaś Katherine o tym, co zrobiliśmy, kierowało tobą coś więcej poza zwykłą uczciwością i przywiązaniem, prawda?

- Zrobiłem to, żeby Adam nie mógł mnie szantażować.

- Zrobiłeś, co musiałeś, żeby siebie chronić. Teraz ja muszę zrobić to samo.

Wydawało się, że Terri mówi w przestrzeń, do kogoś, kogo Robert nie widzi. Pomyślał, że przekonuje samą siebie.

Gwar narastał, na Union Square wtoczył się ruchliwy wąż protestujących, którzy machali transparentami, bili w bębny, wykrzykiwali hasła.

- Weź to - Terri wsunęła mu w kieszeń kawałek papieru. - To wskazówka. Teraz posłuchaj: grozi mi niebezpieczeństwo. Muszę zadbać o siebie. Twoja żona jest z Adamem. On wciąż ją kocha. Od ciebie poszła do niego. Co oznacza, że Adam być może nie będzie mnie dłużej chronił.

Kiedy się od niego odwróciła, złapał ją za rękę.

- Terri! Poczekaj!

Ona jednak uwolniła się z zadziwiającą łatwością, pozbawiając go równowagi i znikając w morzu ludzkich ciał, nim zdążył zareagować.

Stał oszołomiony. Katherine poszła do Adama? Z jego wnętrzości dobył się ryk wściekłości i bólu. Katherine i Adam? Hipokrytka! Jak śmiała! W ten sposób mu się odpląca? Z trudem łapał oddech.

- Nie! Nie!

Usłyszał własny krzyk. Przechodnie unikali jego wzroku. Pierś ścisnął mu straszliwy ból, powędrował ku głowie

- Nie! Cholera jasna!

Czuł, jak cała moc zabijania, seksu, dumy, którą zyskał na Drodze, wzmaga jego wściekłość. Widział siebie, jak bije Adama w głowę, jak obsypuje Katherine zarzutami, mimo iż pokazała mu kompletnie nieracjonalną, pełną hipokryzji naturę jego gniewu.

Tylko że to było dla niej niebezpieczne. Adam balansował na granicy zła, bliski oddania się bez reszty we władzę Iwnwu, o ile już tego nie zrobił. Nie miała o tym pojęcia? Czy ona też przechodziła na ich stronę, by pracować przeciwko niemu?

Nagle poczuł, jak cień ociera się o jego duszę. Coś przeszło przez niego, próbowało go zbadać. Oko. Jezu Chryste, nagle zobaczył śmierć patrzącą mu prosto w oczy. To był Iwnw. Próbował się nim karmić.

Jego wzrok padł na wielki cyfrowy zegar na bocznej ścianie budynku, zwróconego frontonem do południowo-wschodniego krańca parku. Na zegarze widniało piętnaście migoczących liczb - stanowił część instalacji artystycznej, której Robert nigdy nie próbował zrozumieć. Trzy środkowe liczby zwykle poruszały się tak szybko, że nie można ich było odróżnić, zewnętrzne natomiast przesuwały się wolniej.

Teraz jednak wszystkie liczby nabierały prędkości, pędziły aż wreszcie zmieniły się w niewyraźną smugę. Zegar wyraźnie sfiksował.

W myślach Roberta nagle pojawił się obraz, symbol wyrzeźbiony na nagrobku Jamesa Leesona: szklana klepsydra.

*Czas ucieka.*

Iwnw mówił do niego, karmiąc się jego zazdrością, coś mu pokazywał. Wręcz bawił się nim.

Liczby na zegarze cyfrowym zatrzymały się równocześnie, w środku widniała cyfra 7. A potem zaczęło się odliczanie: 6... 5... 4... 3... 2... 1... 0.

Z zegara buchnęły płomienie. Ludzie z krzykiem pokazywali sobie sączący się z liczb czarny dym. Smród zwarcia elektrycznego uderzył Roberta w nozdrza.

*Nie możesz nas powstrzymać.*

Słowa pojawiły się nieproszone w jego umyśle.

Instynktownie skoczył w najgłębszą, najbardziej tajemną część swojego serca i zaczerpnął stamtąd siły, napełnił siebie walecznym, wrogim światłem, by zmusić pasożyta do opuszczenia jego świadomości. Poczuł, jak intruz ucieka, wraca do wirtualnej ciemności, z której przyszedł.

Chwiejnym krokiem ruszył w głąb parku, kierując się na północ i szukając miejsca, by na chwilę usiąść. Pocił się obficie.

Organizatorzy marszu przez megafony wzywali do spokoju.

- Huk, który słyszeliście, był spowodowany awarią zegara! - wołał jeden. - Zachowajmy spokój, nie ma powodu do obaw!

Robert uniósł głowę. Przed sąsiadującym z Virgin Megastore budynkiem, na którym był zegar, roilo się od policji.

Zwrócił umysł do wnętrza. Droga. Tylko ona mogła oddalić go od Iwnwu. Musi powiększyć swoją siłę. Wyjął pomięty kawałek papieru, który Terri wsunęła mu do kieszeni.

*Zadziwiające zwroty czekają kochanka*

*Którego serce bije dla innej*

*Szukaj węża, który się wije*

*Bo czas, byś zrzucił skórę*

*Jeszcze nie jest za późno na odnalezienie bramy mądrości*

*Jeśli chcesz pokonać rozpacz*

*Przejdź Próbę Powietrza*

Park wypełniło skandowanie. „Bush łże, kto umrze?” Ludzie wciąż nadpływali fala za falą, z kukłami, transparentami i bębnami. Ich przejście przez miasto ochraniaли policjanci w granatowych mundurach i żołnierze gwardii narodowej w panterkach.

Robert musiał się skoncentrować. Jak, do diabła, ma coś znaleźć na placu zapchanym protestującymi?

Próbował przejść na północny kraniec parku, ale morze ludzkich ciał poniosło go w przeciwnym kierunku.

*Wąż, który się wiję... zrzuc skórę...*

- Piekło to inni - powiedział głośno, usiłując dotrzeć na kraniec tłumu.

W końcu zdołał przepchnąć się do zewnętrznych szeregów i niemal dotarł do księgarni Barnes & Nobles na północnym skraju parku. Na wprost niego otwierał się plac, ulubione miejsce spotkań deskorolkarzy w dni, kiedy nie zapępiały go stragany rolników. Teraz roili się na nim ludzie. Pod ich stopami Robert widział wykręcone, pomalowane na zielono kształty, na których ciągle stawały stopy w adidasach i wysokich butach. Nie potrafił dostrzec całości, ale coś przyciągnęło jego uwagę. Podszedł, wpatrując się w niedbale namalowany wzór. *Zadziwiające zwroty... wąż, który się wiję...*

Robert odnalazł kraniec jednego ze wzorów, odpychając łagodnie ludzi, ruszył jego biegiem.

*Zadziwiający zakręt... wiję się... labirynt...* Robert uświadomił sobie, że wędruje przez labirynt, po krętym zielono-żółto-czerwonym wężu, raz w jedną stronę, raz w drugą, niemal dociera do środka i znowu zawraca w drażniącym tańcu. Był w tym erotyzm, kpina, ale też dziecięca niewinność. Nagle ogarnęła go radość.

Znalazłszy się w środku, przystanął i spojrzał na południe. Po kręgosłupie przebiegł mu dreszcz podniecenia. Doszedł na koniec węża, gdzie malowana spirala rozdzielała się niczym widelec, niczym język węża.

Przed nim w północnym krańcu parku wznosił się pawilon z szarego kamienia, przypominający toalety publiczne w Tompkins Square Park, który z obu stron sąsiedował z placami zabaw, a w środku miał łukową bramę.

*Znajdź bramę mądrości...*

Robert wmieszał się w tłum, w miarę możliwości kierując się w stronę pawilonu, pozwalając, by morze ciał niosło go ku jego celowi. Nagle jednak wybuchła panika. Usłyszał krzyki i wrzaski, chaotyczne głosy wznosiły się niczym przyływ oceanu. Spoglądając w kierunku źródła tego hałasu, zobaczył wysokiego, białowłosego mężczyznę, który z uśmiechem na ustach patrzył wprost na niego. Zaraz potem nadeszła fala - miotający się na wszystkie strony ludzie przesunęli go o dziesięć stóp w prawo. Stracił równowagę i zwałił się na ziemię.

Z intuicyjną pewnością wiedział, że Iwnw wdarł się w umysł jakiegoś człowieka w tłumie.

Powietrze przecinały wypełnione strachem, sprzeczne okrzyki:

- Zastrzelili gliniarza! Zastrzelili gliniarza!

- Bez paniki! Zachowajcie spokój!

- Te świny są blisko! Niech wszyscy stąd wyjdą!

- Ludzie, to była tylko awaria zegara! Nie traćcie rozsądku! Zachowajcie spokój!

- Walczcie z tymi świniami!

- Na litość boską, tu są dzieci!

Czyjeś nogi kopały go, deptały Roberta ogarnęło przerażenie. Zaraz go zmiażdżą. Próbował się podnieść, ale nie potrafił. Zwiął się w kłębek, zasłaniając głowę i szukając podparcia dla nóg. Z krzykiem zwały się na niego ciała. Mimowolnie wypuścił powietrze przez zaciśnięte zęby. Jeszcze chwila i zgniotą go na śmierć. Zebrał siły, by wydostać się spod góry ludzkich ciał. Dzieci płakały, kobiety krzyczały, nikt już nie myślał trzeźwo.

Z największym wysiłkiem wydostał się, czołgając się zygzakiem, kopiąc i odpychając innych. Oddychał płytko i szybko, adrenalina eksplodowała mu w żyłach. Iwnw chciał go zabić. Znalazł schronienie za betonowym kwietnikiem; przysiadł, łapiąc oddech i kaszląc.

Zobaczył małego chłopca z wrzaskiem tracącego równowagę. Miał może dziewięć, dziesięć lat. Bez namysłu Robert skoczył w tłum. Rozpychał się w plataninie kończyn, by złapać chłopca, ochronić go.

Zdołał przykleknąć. Obejmując chłopca, podniósł się na nogi. Zmusił się, by wziąć głęboki, wolny oddech. Potem drugi.

- Nie bój się - powiedział, sam nie wiedząc, czy mówi do chłopca, czy do tłumu.

I znowu poddał się tłumowi, trzymając mocno dziecko. Z wolna czuł, jak rośnie w nim moc, by stać się opoką, którą będą omijać ludzie. Nie wiedział, w jaki sposób, ale instynktownie czerpał tę samą siłę, która kilka minut temu wyrzuciła z jego świadomości Iwnw, i łagodnie, acz uparcie wylewał ją na tłum.

Po prawej zobaczył matkę wołającą syna. Chłopiec zaczął wyrwać się z jego ramion.

- To twoja mama?

- Tak.

- Idź.

Postawił chłopca na ziemi i zrobił dla niego przejście. A potem poczuł, że obserwuje siebie z góry. Tłum wirował wokół niego spiralnie, niczym pielgrzymi w Mekce wokół Kaaby, niczym ryczący huragan wokół swego oka.

Jego uwagę przyciągnęły trzy głowy, przepychające się w różnych kierunkach na skraj tłumu. Wiedział, kim są. Zmusił ich do ustąpienia. Przekazując tłumowi siłę wody, ziemi, powietrza i ognia, uspokoił ludzi. Pozwolił, by uniósł go strumień ciał. Później zdecydowanie postawił stopy na ziemi.

- Nie bójcie się - powtórzył.

Poczuł, jak panika ustępuje.

Rozległy się głosy:

- To był fajerwerk

- Zachować spokój.

- To te śwynie! - zahuczał pogardliwie tłum.

- Spokój, zachowajmy spokój.

Kiedy wirowanie ustało, Robert stwierdził, że stoi w środku labiryntu.

Zrobił krok do przodu i ludzie rozstąpili się. Nikt na niego nie patrzył, przepuszczali go, jakby byli jedną myślącą istotą. Nikt nie zwrócił uwagi na to, co Robert zrobił, poza mężczyznami, którzy z całą pewnością należeli do Iwnwu. Robert wiedział, że zapobiegł panice. Członkowie Iwnwu spowodowaliby każdą katastrofę, nie licząc się z kosztami, żeby go zabić. Na chwilę poddał się swojej nowo odkrytej sile i instynktownemu jej wykorzystaniu. Zaryzykował życie, by uratować chłopca, i znalazł w sobie moc, by uratować chyba dziesiątki innych istnień. *Kroc ścieżką Innych.*

Wciąż nie miał klucza.

Przed sobą widział toalety. Brama mądrości.

Metalowa ażurowa furka na szczycie stopni była otwarta. Robert wszedł do zadaszonej centralnej części pawilonu. Po lewej zobaczył sprzęt ogrodniczy i środki czystości, po prawej toalety. Rozejrzał się, szukając wnek albo półek, ale nic takiego nie znalazł.

Płytki z matowego szkła w podłodze sugerowały, że poniżej jest jakieś pomieszczenie, ale nigdzie nie było schodów, które prowadziłyby w dół lub w górę, na ogrodzone balustradą ostatnie piętro budynku. Robert zajrzał do kabin, poczuł odór środka dezynfekującego. Protestujący krążyli spokojnie wokół pawilonu, nikt nie wchodził do środka. Był sam, w nieruchomym punkcie obracającego się świata.

Raz jeszcze spojrzął pod nogi. Jedną ze szklanych płytek otaczał krąg zielonej farby, poza tym na podłodze nie było żadnych graffiti. Ukłąkł, by zbadać malowidło z bliska.

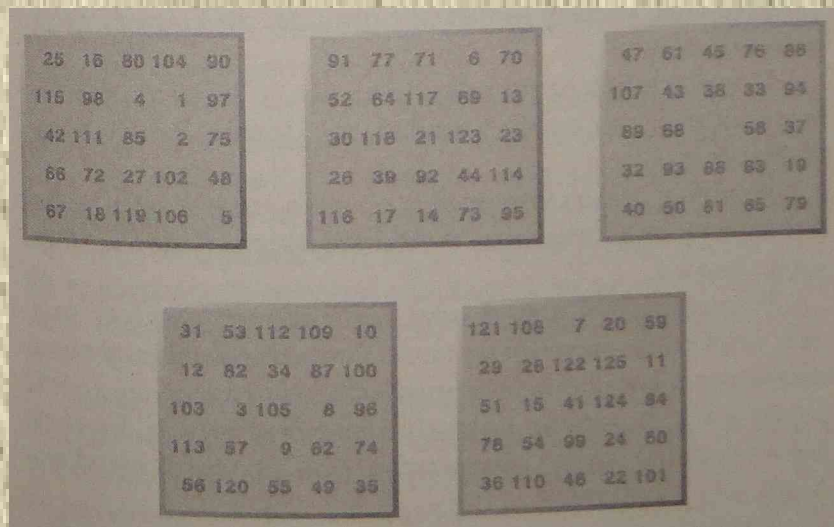
Było to prymitywne przedstawienie węża z ogonem w pysku, który okrążał centralną płytkę. Mglisto przypominało wzór labiryntu na chodniku w parku.

*Szukaj węża, który się wiję...*

Robert położył palec na płytce. Była luźna. Wyjął scyzoryk i podważył ją. Pod nią zobaczył zapieczętowany plastikowy worek. Schował go do kieszeni, pośpiesznie włożył płytkę na miejsce i wyszedł z pawilonu, przed którym tłoczyli się ludzie. Miał czwarty klucz.

Wyczerpany i znużony, wędrował wolno ulicami miasta, kierując się mniej więcej na północny zachód i usiłując ominąć protestujących.

W jakiejś bramie przeciął scyzorykiem plastikowy worek i ostrożnie wyjął jego zawartość: pięć kwadratowych płytek z metalu przypominającego cynę, o rozmiarach mniej więcej cal na cal. Na każdej były wybite liczby.



Przyłożone do siebie, tworzyły sześcián. Robert zobaczył że również na cienkich krawędziach kwadratów widnieją liczby, tak więc sześcián zbudowany był ze 125 mniejszych sześciánów, z których każdy oznaczony był jedną liczbą.

Zbyt zmęczony, by od razu spróbować rozwiązać zagadkę, schował kwadraty do kieszeni i ruszył dalej, obserwując miasto i jego mieszkańców.

Po każdej z poprzednich prób zaraz po ataku czuł, jak opuszczają go wszystkie siły, ledwo mógł myśleć czy mówić. I za każdym razem to znużenie przybierało na sile. Teraz też je czuł, mocniejsze niż poprzednio. Idąc, miał wrażenie, że zmienił się w zombie.

Nad Manhattanem zawisła gorączka. Parna, elektryczna, pełna strachu, wszechogarniająca, łamiąca bariery gorączka, z rodzaju tych, które wypełnione są wrzaskami, wyciem syren, zniekształconymi rytmami. Ulicami pędziły samochody, motocykle policyjne gnały tam i z powrotem po kręgosłupie wyspy, światła błyskały, wydzielone pasy oznaczono pomarańczowymi stożkami, czarne pojazdy wykonywały misje specjalne, bariery blokowały miejsca, do których zwykle był dostęp.

Gorączka niszczyła odległości, dając ludziom pozwolenie na rzucanie sobie wyzwania, na kłótnie, konfrontacje, uwodzenie.

Po niebie przeleciał samolot, obserwując wszystko z góry. Przez moment Robertowi wydał się okiem śmierci, wzrokiem Iwnwu.

W mieście byli obcy. Ludzi spychano ze zwykłych ścieżek, wokół nich pojawiły się nowe. Powietrze smakowało podnieceniem i strachem. W atmosferze wyczuwało się radość i

gniew. Ci, co zwykle milczeli, teraz przemówili. Panował strach przed atakiem i obawa przed tym, co strach przed atakiem robi z ludźmi.

Poczucie niebezpieczeństwa sprawiło, że miasto ożyło.

Robert doszedł na róg Trzydziestej Czwartej Ulicy i Ósmej Alei, na którym znajdowały się policyjne posterunki. Funkcjonariusze w obezwładniającym upale pilnowali dostępu do Madison Square Garden, gdzie odbywała się konwencja republikanów. Wszędzie widać było samochody transmisyjne ze sterzącymi antenami, kable wiły się po słupach niczym spiralne schody przy wieżach oświetleniowych w Tunelu Lincolna. Na czas konwencji CNN zajęła bar Tick Tock, dodając własny jaskrawoczerwony emblemat do zielono-niebieskiego neonu i chromu zdobiących fronton baru i emanującego przyblakłą chwałą stylu art deco hotelu New Yorker, którego był częścią. Dwa bary Tick Tock, jeden w New Jersey, drugi na Manhattanie, nałożyły się na siebie w wyobraźni Roberta: dwie oddzielne, acz identyczne bramy do wymyślanego, beczasowego Idealnego Baru.

Młoda kobieta z kolczykiem w nosie i czarnymi włosami zebranymi w kucyk, która na rozpiętej czarnej koszuli miała różowy znaczek „Buck Fush”, rozmawiała przez telefon komórkowym z dziennikarzem, omawiając demonstrację i przedstawiając zalety koordynowanego przez SMS-y protestu. Po chwili Robert zdał sobie sprawę, że rozmawiała z jednym z jego podwładnych.

Ku własnemu zaskoczeniu uświadomił sobie, że nie chciałby tu teraz być i zajmować się relacją na bieżąco. Od chwili, gdy wyprowadzono go z biura, na dnie serca czuł ulgę. Był śmiertelnie znudzony, na wpół śpiący, z wolna umierał, choć nie chciał sam przed sobą się do tego przyznać, przykrywając tę myśl ciągle nowymi warstwami. W pewnym sensie to samo działo się w jego związku z Katherine. Płonienie oboje ich zabijało.

Teraz ledwo rozpoznawał siebie sprzed kilku dni. Wiedział, że pragnie odzyskać Katherine. Znajdując się tak blisko wielkiego okrągłego bębna Madison Square Garden - który nie był ogrodem, nie był skwerem, nie znajdował się przy Madison - odnosił wrażenie, że w promieniu stu jardów od niego zebrało się całe trzydzieści siedem tysięcy gliniarzy z miasta. Spoceni i rozgniewani nowojorczyki oraz turyści przeklinali i jęczeli, nie mogąc przejść. Policjanci uprzejmie kierowali ich na wschód i zachód, wzdłuż granic bezpieczeństwa. Syreny wyły, oddział szybkiego reagowania pędził następną przecznicą konwojem złożonym z co najmniej sześciu pojazdów, w tym pięciu minibusów, który kierujący ruchem policjanci przepuścili na czerwonym świetle.

Robert dotarł do martwego punktu. Postanowił, że wraca do domu.

NOWY JORK, 29 SIERPNIĄ 2004

Siedząc na łóżku Adama, głęboko zanurzona w konspiracyjnej roli, którą na prośbę Stróża miała odegrać, Katherine modliła się za Roberta.

Nie ostrzeżono jej, że Droga wymagać będzie od niej rozstania się z mężem w taki sposób. Stróż nic jej o tym nie powiedział. Poleciał tylko, by zbliżyła się do Adama tak bardzo, jak to możliwe, pod pozorem, że opuściła Roberta.

Katherine stworzyła scenariusz oparty na prawdziwych kłopotach, które mieli od czasu poronienia, rozumiała bowiem, że muszą się rozstać z Robertem na czas, gdy jej mąż pokonywać będzie wczesne etapy Drogi. W myślach zaczęła wyolbrzymiać dzielącą ich obcość, równocześnie starając się pomóc Robertowi w zrozumieniu tego, co się z nim dzieje. Stróż oznajmił, że sama będzie wiedziała, kiedy uciec do Adama.

Wyznanie Roberta spadło na nią niczym grom. Nie było już potrzeby udawać. Nikt nie musiał jej dłużej przekonywać. Było to zarazem sprytnie posunięcie Stróża i forma kary - którą przyjęła z gniewem i bólem - za jej udział w spowodowaniu tego, co teraz się działo.

Próbowała uspokoić myśli, wracając do wydarzeń z zeszłego roku, które doprowadziły do zbliżającego się ataku.

Dwa dni przed zaciemnieniem dostała przerażającego e-maila od Tariq'a. To wtedy po raz pierwszy i ostatni skontaktował się z nią od dnia, gdy przekazała go w ręce śledczych. Był wolny, pisał, i chciał spotkać się z nią w hotelu Luxor w Las Vegas o szóstej po południu 14 sierpnia. Miał jej do przekazania bardzo ważne informacje. Wiadomość przepelniona była gniewem i strachem.

Katherine poszła do Stróża i powiedziała mu o tym.

Stróż z kolei skontaktował się z Adamem, który od wielu miesięcy pracował nad odkryciem sprawców potencjalnego ataku. Dla niego było jasne, że detonację przewidziano na 14 sierpnia. Najwyraźniej Tariq chciał, żeby w tym dniu Katherine nie było w mieście.

Tak więc Katherine przygotowała Adama do starcia z Tariq'em. Adam walczył z nim i zabił go. Przyniósł Stróżowi kieszonkowy komputer, który zabrał Tariq'owi, a Stróż przekazał go jej. Nigdy wcześniej takiego nie widziała. Wielopiętrowe zabezpieczenia.

Przez rok pracowała nad złamaniem kodów.

Znalazła program składający się z setek trzycyfrowych liczb.

Jeden łańcuch liczb najwyraźniej oznaczał długość i szerokość geograficzną. Kiedy jednak sprawdziła na globusie, okazało się że wskazuje miejsce na środku Pacyfiku, setki mil od jakiegokolwiek lądu.

W końcu dostrzegła wzory w trzycyfrowych liczbach. Odkryła program, który łączył liczby z długością i szerokością geograficzną. W ten sposób trafiła na punkty orientacyjne do GPS-u.

Poznała umysł Tariq'a. Wiedziała, jak potrafi bawić się liczbami i słowami. Jeden z plików zawierał dziwacznie brzmiące rymowanki w rodzaju tych, które oboje wymyślali dla rozrywki, kiedy go zwodziła. Później przekonała się, że każda z nich związana była z jakimś punktem orientacyjnym.

Ogarnęło ją wrażenie - mdlące, a zarazem rozpaczliwe - że Tariq myślał o niej, gdy tworzył te niezwykle skomplikowane szyfry.

Mimo to wciąż pracowała.

Zadziwiła ją sekwencja punktów orientacyjnych. Obecność X w pewnych liczbach dręczyła ją nieustannie. W grupach po cztery dodane do siebie liczby dawały wynik 252. Ale było coś jeszcze, czego na razie nie dostrzegła.

Ostatni przełom, ten, od którego zegar zaczął tykać, miał miejsce niecały tydzień temu.

Wówczas to uświadomiła sobie, że punkty wskazane przez współrzędne geograficzne są lustrzanym odbiciem punktów po drugiej stronie kuli ziemskiej.

Połączyła dane w komputerze i włączyła program, którego celem było ujawnienie wszystkich szyfrów i kodów. Po dokonaniu obliczeń okazało się, że punkty orientacyjne znajdują się w Nowym Jorku. Rozmieszczone są według określonego wzoru na Manhattanie.

W momencie gdy program pokazał połączone prawidłowo dane, komputer wysłał sygnał alarmowy. Przez kilka sekund energia płynęła po falach radiowych, potem włączył się program usuwający informacje odkryte przez Katherine.

Nie wiedziała, co sygnał zawierał: przekazywał informację o zdekodowaniu, podawał jej lokalizację czy w jakiś sposób uruchamiał detonację Ma'rifat'a. Mógł po prostu powiadamiać jakiegoś nieznanego jej współnika Tariq'a o złamaniu zabezpieczeń albo o czymś zupełnie innym. Na szczęście zdążyła skopiować zaszyfrowane dane na własny komputer. I nie potrafiła pozbyć się wrażenia, że w taki czy inny sposób Tariq chciał, by to zrobiła. Żeby dowiedziała się o jego czynie? Zobaczyła, jak bardzo go zraniła, skoro skłoniło go to do zbudowania takiego urządzenia?



Natychmiast poinformowała Stróża, który wezwał Adama i wspólnie ułożyli plan. Robert musi wkroczyć na Drogę Seta, to jedyne wyjście. Katherine nie zdawała sobie w pełni sprawy, co to oznacza, i jak będzie destrukcyjne.

Wiedziała, że rani Roberta, odchodząc od niego. Zawsze zamierzała oszukiwać go na tym etapie, co byłoby dostatecznie złe, lecz konieczne. Teraz, kiedy wyznał, że spał z Terri, czuła, że krzywda, którą mu wyrządziła, była uzasadniona i zasłużona. Po raz pierwszy w życiu przeklinała i równocześnie modliła się za kogoś. Robertcie, ty draniu. Musisz dać sobie radę, żebym mogła zabić cię własnoręcznie. Połowicznie w to wierzyła.

Pierwsze właściwe spotkanie Katherine ze Stróżem miało miejsce ponad dwadzieścia lat temu, po pożarze w Cambridge, kiedy pomógł wyjaśnić jej, co właściwie się im przydarzyło. Mówił o naukach udzielanych Adamowi, o potrzebie ochrony Roberta. Sesja z tabliczką Ouija skończyła się fatalnie z powodu obecności Roberta i jego nieświadomych mocy psychicznych. Poprzednie sesje nikomu nie robiły krzywdy, ponieważ były dostrojone do zdolności Katherine, Robert natomiast zadziałał jak szkło powiększające, choć żadne z nich nie zdawało sobie z tego sprawy. Niewinne myśli i przejęzyczenia - to, że on chciał być Adamem, że ona myliła imiona obu mężczyzn - oraz emocjonalne napięcie towarzyszące im przez cały wieczór zyskały potężny rezonans, przyciągając siły, które w zwykłych okolicznościach zachowałyby bezpieczny dystans. Na poziomie rzeczywistości, na którym zachodzi psychiczno-duchowe splątanie, na którym czas i przestrzeń są fikcją, zostali na zawsze połączeni: Robert, Katherine i Adam. Zazdrość i poczucie niepewności Roberta prześliznęło się przez dziurę w świecie i wywołało pożar w pokoju Adama. Krótko mówiąc, kiedy wybuchł pożar grożący Katherine i Adamowi śmiercią, ucieleśnił się Iwnw i pojawiło się oko śmierci. Jakimś sposobem Robert je odegnał.

Wówczas Katherine nie wszystko rozumiała. Sporadycznie kontaktowała się ze Stróżem w czasie lat pracy w wywiadzie, chociaż ani razu nie wspomniała mu o Tariq'u. Zbyt poufnie, powtarzała sobie. Teraz żałowała, że tego nie zrobiła.

Zdawała sobie sprawę, że nie wszystkie elementy planu w pełni rozumie. Utrata Roberta dręczyła ją śmiertelnie, podobnie jak to, że go raniła. Zamierzała jednak wypełnić rozkazy Stróża. Na razie musiała zdobyć zaufanie Adama, tak by móc pozostać przy nim i potajemnie obdarzać go siłą potrzebną mu do opierania się Iwnwowi. Jednak czy potrafi ukryć swój zamiar przez Iwnwem i czy sama zdoła opierać się teraz, gdy znajduje się tak blisko niego?

LITTLE FALLS, 29 SIERPNIĄ 2004

Wróciwszy do domu, Robert umieścił fotografię sześcianu na stronie internetowej, której adres dali mu Terri i Adam.

Teraz zauważył, że w środkowym kwadracie brakuje środkowej cyfry. Kiedy kwadraty połączył w sześcian, oznaczało to, że znajdujący się w samym centrum mały sześcian jest pusty.

Przez chwilę starał się odnaleźć oczywiste związki pomiędzy liczbami, ale sprawiały wrażenie przypadkowych, w każdym razie dla jego zmęczonego umysłu. Schował kwadraty w sejfie na piętze, gdzie leżały już pozostałe klucze.

Napisał kilka uwag, w których próbował podsumować swoje uczucia. Pragnął ze wszystkich sił, by Quad zadzwonił. Na próżno. Wybrał numer telefonu komórkowego Katherine, ale okazało się, że jest wyłączony. Gniew odebrał mu mowę. Nawet gdyby usłyszał jej głos w słuchawce, nie wiedziałby, co powiedzieć. Nie zostawił wiadomości.

Z pustką w umyśle usadowił się przed telewizorem - dawano relacje z przygotowań do konwencji i protestów.

Komisarz Kelly ogłosił, że dokonano około dwustu aresztowań. W wielkim marszu nie doszło do poważniejszych wypadków. Zamieszki wywołali jacyś prowodyrzy. Później wieczorem mniejsze grupki usiłowały zatarasować wejście do dwóch śródmiejskich hoteli, w których mieszkali delegaci republikanów.

Ktoś rozdawał fałszywe mapy nowojorskiego metra z nieistniejącymi stacjami i liniami, by wprowadzić zamieszanie w głowach republikanów spoza miasta.

Robert oglądał policjantów odgradzających protestujących i dziennikarzy pomarańczowymi taśmami, oglądał transparenty, slogany, głowy z papier mache, uliczne teatry.

Patrzył, jak republikanie ze środkowych stanów w zamęcie wybierają broadwayowskie spektakle, na protesty reagując różnorako, od lekceważenia po pogardę. Oglądał wyłowione z tłumu scenki rodzajowe; najbardziej do gustu przypadła mu kobieta w średnim wieku, wykrzykująca z oburzeniem „Spierdalaj z miasta! Spierdalaj z miasta!” do protestującego przeciwko protestom, który uczestników marszu oskarżał o wspomaganie wrogów Ameryki.

Zasnął, chichocząc do siebie, ze słowami kobiety brzmiącymi mu w uszach.

Obudził się po kilku godzinach, odświeżony i wypoczęty. Na Quadzie od jakiegoś czasu czekała na niego krótka wiadomość: „Zapisz swoje rozważania, to pilne. Horace”.

Robert zebrał notatki, uspokoił myśli i usiadł przy klawiaturze.

#### *Czego nauczył mnie czwarty schowek*

*Niekiedy woda diabła przynosi życie.*

*Jestem rozdarty, a mimo to mam coraz więcej sił witalnych.*

*Zaczynam słyszeć i widzieć rzeczy, w które wcześniej nigdy bym nie uwierzył.*

*Odkąd to się zaczęło, straciłem pracę i w sposób upokarzający wyprowadzono mnie z grona moich współpracowników, jutro mi za to odpowiedzą.*

*Zaatakowano mnie i pobito, zostawiono wymiotującego w metrze.*

*O mało nie utonąłem.*

*Wybuch gazu o mało nie rozerwał mnie na strzępy.*

*Zmiażdżono mi płuca, wyciskając z nich całe powietrze.*

*Z własnej woli zламаłem przysięgę małżeńską i zgubiłem obrączkę, symbol tej przysięgi.*

*Znieważylem żonę.*

*Doświadczyłem nowej autonomii, nowego szacunku do siebie, a potem zraniłem ukochaną, by doznania te zatrzymać. Pograżyłem się w gniewie i żądzy zemsty, ubierając je w szaty uczciwości.*

*A mimo to w bezpośrednim starciu ze śmiercią, w cielesnym pożądaniu odnalazłem siły, o których istnieniu w sobie nie miałem pojęcia. Prymitywne popędy - zabić, zerznąć - przekształciłem w duchową broń, broń ziemi i wody.*

*Odrzucając szantaż, umacniając własną bezwzględność, uzupełniłem swój arsenał o moc ognia.*

*Skacząc w tłum, by uratować chłopca, chociaż instynkt samozachowawczy nakazywał schronienie się, dodałem, jak sądzę, moc powietrza. Tej mocy nieświadomie użyłem do uspokojenia tłumu.*

*Krocząc Drogą, staję się silniejszy, chociaż wszystkie te siły zostały mi tylko użyczone, nie są moje, nie służą mojej próżności czy rozwojowi.*

*Są po to, bym pomógł Adamowi opierać się szkodliwym pasożytom, które zżerają go od środka.*

*Są po to, bym pomógł Katherine poradzić sobie z samotnością, do której ją zmusiłem, jeśli jej obecność przy boku Adama pomoże mu przejść ciężkie próby, niechaj tak będzie. Ale zrobię wszystko, żeby do mnie wróciła.*

*Są po to, bym pomógł Terri przewyciężyć ukryty nowy strach, który w niej dostrzegłem.  
Są po to, by Horace mógł prowadzić mnie i instruować w razie potrzeby.*

*Inni nie są piekłem, ale zbawieniem.*

*W moim umyśle jest kształt opierający się słowom, tak samo jak peregrynacje, które odbyłem na Manhattanie - kształt wyrysowany przeze mnie na mieście. Doświadczenia zdobyte w każdym punkcie orientacyjnym rysują kształt w mojej duszy.*

*Widzę związki tam, gdzie wcześniej żadnych nie było, linie i obrazy nowych harmonii.*

*Budzi się we mnie zdolność przemawiania językiem ptaków.*

*Wszystko po to, by pokonać tych, którzy wystawili nas na tę ciężką próbę.*

*Modłę się za wrogów, bo modlitwa za przyjaciół nie jest cnotą.*

*Wybaczam sobie, wszystko bowiem, co uczyniłem, było konieczne. Proszę innych o wybaczenie.*

*Jestem gotowy. Pełen sił witalnych. Będę walczył.*

Robert umieścił tekst na stronie. Usiadł i wpatrzył się w noc oraz rozpraszające ją światła. Czekał na wiadomość, czy przeszedł czwartą próbę.

Wreszcie zadzwonił Horace:

- Czytałem twoje rozważania. Robisz postępy, ale zaczyna brakować nam czasu.

- Zrobiłem to, czego ode mnie oczekiwano?

- Pozwól, że najpierw opowiem ci o czwartej próbie i o tym, co nastąpi później.

Powiedział, że czwarta próba doprowadziła Roberta do głównego skrzyżowania, punktu przesiadkowego Drogi. Na Union Square, noszącym stosowną nazwę dla tego etapu, zgromadzone dotąd siły fizyczne spotkały się z nieodkrytymi jeszcze mocami psychiczno-duchowymi. Przejście od jednych do drugich nastąpiło poprzez siły powietrza, czyli współzucie.

Aby przejść tę próbę, Robert musiał udowodnić, że zaczyna żyć dla innych, nie tylko dla siebie, tłumiąc własne ego i pomniejszając szansę na przetrwanie. Próba polegała na odzyskaniu klucza w postaci kwadratu albo kostki oraz odnalezieniu serca ciała ze światła. Bez mocy powietrza Robert nie przetrwałby tego, co go czeka.

- Więc przeszedłem tę próbę pomyślnie?

- Spowodowanie pożaru wielkiego zegara cyfrowego nie było obiecującym znakiem - powiedział Horacy z naganą. - Wszystkie moce mają swoje ciemne strony, a twoja zazdrość i gniew je rozpały. Pozwoliły też Iwnwowi niebezpiecznie się do ciebie zbliżyć.

- Wiem. Przykro mi. Wyciągnąłem wnioski.

- Lepiej, żeby tak było.

Nagle Roberta ogarnęło przerażenie.

- Poniosłem klęskę?

- To, co napisałeś, fakt, że zaryzykowałeś życie, żeby uratować tego chłopca i powstrzymać panikę, której jedynym celem było zabicie ciebie, i w ten sposób uratowałeś o wiele więcej istnień ludzkich, każe mi sądzić, że zdobyłeś moc powietrza. Tak, zakończyłeś czwartą próbę.

- Dziękuję.

- Nie bądź zarozumiały. Dopiero zaczynamy.

Horace jeszcze przez kilka minut mówił o naturze Drogi. Rzec dotyczy przyśpieszenia i zintensyfikowania procesów naturalnych oraz przeżywania ich wielokrotnie w ciągu jednego życia. Wojownik duchowy musi doświadczyć erozji ego. Wszystkie istoty ludzkie przez to przechodzą, poddawane próbom miłości, rodzicielstwa, służby wielkim sprawom. Różnica polega na poziomie napięcia, stopniu zdyscyplinowanego skupienia oraz liczbie przeżytych cykli doskonałości. Po części to samo kryje się też w sekretach alchemii: setki parowań i

destylacji, topienia i koagulacji substancji w laboratoryjnych probówkach odzwierciedla identyczny proces zachodzący w alchemiku, poszukiwaczu mądrości, tylko ze substancją jest on sam.

Robert zapytał, czego powinien spodziewać się w następnej kolejności.

- Pozostałe trzy próby może podjąć jedynie ten, kto w twórczej równowadze połączył żywioły ziemi, wody, ognia i powietrza. Kiedy ta równowaga zostaje osiągnięta, powstaje żywioł piąty albo kwintesencja, a wtedy wystawiony będziesz na moce eteru.

Horace powiedział, że na tym etapie większość ludzi kroczących Drogą ponosi klęskę, ponieważ eter reprezentuje poziom rzeczywistości, na którym wszystkie rzeczy są połączone - poziom, na którym wyższe harmonie zaczynają być w pełni słyszalne i człowiek doznaje jasnowidzenia, jasnosłyszenia i czucia na odległość. Wielu woli w to nie wierzyć, zjawiska te bowiem zbyt silnie przeczą światu, w jaki wierzą. Na tym poziomie język ptaków zaczyna brzmieć wyraźnie.

Od Roberta wymagane będzie przyjęcie energii eteru, zarówno poprzez wyrażanie z całkowitą szczerością swoich myśli i odczuć, jak i poddanie własnej woli, własnego ego, woli wyższej - woli samej Drogi.

Robert przejdzie pomyślnie próbę, jeśli udowodni, że rozumie sposób, w jaki teraz potrafi wpływać na rzeczywistość swoją wolą połączoną z wolą Drogi - w jaki potrafi naginać i zmieniać aspekty otaczającego go świata.

Stanie przed prostym wyborem: ufać Drodze czy nie.

Odnajdzie podzielony na trzy części pięcioboczny klucz. I odzyska kolejny członek swego rozbitego mistycznego ciała.

Robert chwilę milczał, trawiając słowa Horace'a.

- Kim się staję? - zapytał wreszcie

Horace roześmiał się.

- Żadna z tych prób nie uczyni z ciebie Buddy ani nie przeniesie na poziom wielkich nauczycieli, takich jak Chrystus albo Mahomet. Ty przechodzisz tylko jeden cykl z nieskończonej wspinaczki prowadzącej na te poziomy. Ale to wystarczy na powstrzymanie detonacji Ma'rifat'a.

W tej samej chwili Robert usłyszał jakiś odgłos dochodzący z głębi pograżonego w ciemności domu. Poczul, jak zmysły mu się wyostają, nerwy napinają, mięśnie tężeją.

- Horace, kto jest w domu. Muszę kończyć.

Odłożył słuchawkę i siedział w absolutnym bezruchu. Ciszę przerywało jedynie przyspieszone bicie jego serca. Oddychał głęboko, próbując zwolnić puls. Po chwili serce istotnie zaczęło bić wolno i spokojnie.

Wstał, starając się nie zrobić hałasu, powoli ruszył ku schodom. Wyostrzył zmysły, by stwierdzić, kto lub co jest w domu.

Na piętrze nieznacznie zaskrzypiały drzwi. Robert odniósł wrażenie, że usłyszał oddech. A potem znowu zapadła cisza.

Katherine trzymała w domu broń, jednak zabrała ją ze sobą, ale przy drzwiach frontowych był kij do baseballu. Robert cicho się podkradł i wziął go. Ciężar kija w dłoni dodał mu pewności. Zaciskając palce na drewnie, Robert stał przy schodach i nasłuchiwał.

Kompletna cisza. Serce biło mu mocno.

Zaczął wchodzić na schody, delikatnie stawiając stopy; ominął siódmy stopień, który zawsze trzeszczał. Kiedy jego oczy znalazły się na poziomie piętra, dostrzegł błysk czerwonego światła, jakby z latarki zakrytej dłonią.

Ktoś był w pokoju, który była ich wspólną sypialnią, dopóki nie rozdzieliło ich poczucie obcości i Kat nie przeniosła się do innego pokoju. Wezbrał w nim gniew na intruza. Wchodząc na ostatni stopień, mocniej ścisnął kij, gotów uderzyć, kiedy zobaczy

włamywacza. Szedł w stronę łazienki. To nie był nikt z Braterstwa Iwnw. Nie wyczuwał ich niszczącej energii. Raczej...

Nieoczekiwanie z ciemności wybiegła odziana w czern postać. Odniósł wrażenie, jakby to sam mrok trafił go w twarz, zmiął mu podbródek, odrzucił głowę do tyłu. Zatoczył się i upadł, wymachując kijem. Trafił w ciało, usłyszał jęk bólu. Potem napastnik kopnął go w pachwinę i całe jego ciało eksplodowało cierpieniem.

Postać minęła go pędem i w ciemności zbiegła po schodach, nie potykając się na żadnym stopniu. Na dole skręciła i ruszyła na tyły domu. Robert z trudem się podniósł i słaniając się ruszył w dół. Zobaczył, że tylne drzwi się zamykają, napastnik zniknął na ciemnym dziedzińcu. Robert podbiegł tam, choć wiedział, że to nic nie da. Z tylnego podwórka ich domu można było uciec w co najmniej trzech kierunkach.

Wyszedł z domu i stanął, wyteżając słuch. Nic. Pobiegnął na frontowy dziedziniec, wypatrując świateł samochodu. I znowu nic.

Pędem wrócił do domu, do sypialni na piętrze, gdzie miał sejf. Zobaczył otwarte drzwiczki.

Zajrzał do środka, rozpaczliwie grzebiąc pomiędzy dokumentami, które tam przechowywał. Wszystkie klucze do Ma'rifat'a zniknęły

### *Pieśń miłosna męczennika: budowa Ma'rifat'a*

*Trzy rzeczy doprowadziły do mojej śmierci.*

*Pierwszą był Mukhabarat.*

*Co miesiąc dostawałem kasetę wideo z filmem dowodzącym, że mojemu ojcu nie dzieje się krzywda.*

*Żądali rzeczy poniżających. Na początek domagali się ode mnie informacji naukowych, których - wiedziałem o tym - nie zamierzają wykorzystać w dobrym celu, a może wcale nie wykorzystają. Później chcieli, żebym zbudował sieć szpiegów, próbował uwikłać kolegów, szantażować ich przy pomocy kobiet, alkoholu, narkotyków, pieniędzy.*

*Dawałem mało, bardzo mało, tyle tylko, by chronić mojego ojca. Bezwartościowe informacje naukowe, które mogli znaleźć w uniwersyteckich czasopismach. Strzępy, z których nie wynikało nic sensownego.*

*Aby oddać cześć mojemu ojcu i oczyścić duszę, wróciłem do studiów nad wielką tradycją, którą on i dziadek mi przekazali, wróciłem do nauki Czarnej Krainy, gdzie „czarny” rozumiany jest prawidłowo jako „mądry”, do ignorowanej przez współczesny świat alchemystry.*

*Moja Ukochana, Katherine, dała mi w tamtym czasie cenny dar. Było to podsumowanie zaginionej wiedzy, której część zawierają sagi mojego narodu, sporządzone ręką samego sir Isaaca Newtona. Dla laika dokument ten nic nie znaczył. Składał się z listy substancji chemicznych i opisu procedur laboratoryjnych, pór dnia i nocy przeznaczonych na modlitwę i refleksję, symboli astrologicznych i matematycznych, łacińskich fraz.*

*Ten wszakże, kto rozpoznawał alchemiczne znaczenie tego dokumentu, pełną, niepodzielną alchemystry, która była zarówno naszą starodawną tradycją, jak i prawdziwym przedmiotem badań Newtona, orientował się, że ma przed sobą elementy strasznej tajemnicy: połączone procedury fizyczne i duchowe, przysłonięte całunem ostrzeżeń i szyfrów, służące do stworzenia najpotężniejszej substancji na ziemi. To forma materii, która rezonuje w polach psychicznych i zagina je wokół siebie. To kluczowy komponent budowy urządzenia zwanego Ma'rifat', szerzej znanego jako kamień filozoficzny.*

*Przyjąłem dar Katherine jako dowód miłości. Teraz wiem, że było inaczej. Wtedy jednak była to demonstracja zaufania. Wyznaję, że zrobiłem notatki, po czym zwróciłem dokument Katherine.*

*Drugim elementem prowadzącym do mojej śmierci była sama Katherine. Stanowiła dla mnie świat, świat, w którym pragnąłem żyć, świat, który pragnąłem tworzyć.*

*Dla niej podejmowałem nieprawdopodobne ryzyko i w końcu zostałem zdemaskowany. W tym samym dniu, w którym miałem zostać przetrzucony z kraju, aresztowano mnie. Poddano torturom z użyciem prądu, bito mnie. Wybrałem jedyne wyjście, które mogło uratować mi życie. Negocjowałem. Byłem obywatelem amerykańskim. W Ameryce mogłem się zakonspirować. Pracować w jakimś laboratorium. Gdziekolwiek.*

*Nie uwolnili mojego ojca. Zgodzili się jednak darować mi życie.*

*Przeszkolono mnie, bym pozytywnie przeszedł wszechstronne badania. Bym przestał być dobrym muzułmaninem. Stałem się człowiekiem Zachodu. Moja matka była Amerykanką, dobrze mówiłem po angielsku, bez naleciałości, nie sprawiało mi to kłopotów, wręcz przeciwnie - przyjemność. Od tej pory modliłem się wyłącznie w najgłębszych zakamarkach serca. Piłem alkohol. Miałem romanse z kilkoma kobietami.*

*Wreszcie dobrzy ludzie z Brookhaven przyjęli mnie do siebie.*

*Trzecim elementem prowadzącym do mojej śmierci był jedenasty września. Nienawiść tkwiąca w atakach wciąż pobrzmiewaj mojej duszy. Nie dostrzegałem w nich nic poza grzechem, mimo iż kraj, który uznałem za własny, grzeszył potężną pychą. Jednakże cios był celny i częściowo osiągnął swój zamiar: Amerykanie bardziej teraz przypominali naród, jakim zdaniem wrogów byli. Naród, jakim chcieli go widzieć wrogowie.*

*A potem zdarzył się cud. Znowu spotkałem Katherine.*

*Była piękna jak zawsze, miała jak zawsze wybitny umysł. Wkrótce jasno dała mi do zrozumienia, że żywi do mnie silne uczucie. We wcześniejszych związkach z kobietami pilnowałem się i gotów byłem je zerwać, gdybym uznał, że emocjonalnie zbyt wiele ode mnie wymagają. Tym razem jednak będąc z nią, moją Ukochaną, wydawało mi się, że Bóg się do mnie uśmiechnął. Pozwoliłem sobie na upadek. I był to upadek z wielkiej wysokości.*

*Po jedenastym września prezydent Bush mówił o islamie jako religii pokoju, co zostało dobrze przyjęte. Bo islam taki jest.*

*Jednakże pewnego dnia w obecności mojej Ukochanej zostałem opluty na ulicy. Napastnik był niewykształconym głupcem. Powiedziałem mu to. Zaczęliśmy walczyć. Moja Ukochana zdenerwowała się tym incydentem. Ale mężczyzna bez honoru jest niczym.*

*A potem wrócił Mukhabarat i postawił następne żądania. Powiedzieli, że przysyłam z Ameryki marne wiadomości. Moja sieć jest bezwartościowa. Zagrozili, że zaczną źle traktować mojego ojca. Jeszcze usilniej próbowałem dawać im niewiele, ale poniosłem klęskę. Przez telefon odtworzono mi taśmę z jękami mojego ojca. Wiedziałem, że to jego głos. Więc dałem im więcej. I wstydziłem się tego.*

*Moją oazą była Ukochana. Podejrzywałem jednak, że uważa moich rodaków za ignorantów, ludzi niezdolnych do niczego i zacofanych. Myślę, że mnie traktowała jako szlachetny wyjątek. Mój gniew rósł, bo coraz bardziej obawiałem się o ojca, a Mukhabarat coraz silniej naciskał.*

*Ukochana częściej zadawała trudne pytania o sytuacji światowej. Czulem, że mnie bada, testuje, kwestionuje moją lojalność.*

*Jedyną pociechę dawała mi starodawna tradycja. Dostrzegałem paralele z naszą pracą przy akceleratorze, związki, punkty styczności. Zderzając maleńkie drobiny złota z potężną energią i rejestrując subatomowe cząsteczki, które w rezultacie kolizji powstawały i ginęły, zbliżaliśmy się coraz bardziej do początku samego dzieła stworzenia, materii kondensującej się i znowu znikającej - tak jak w starodawnej tradycji, gdzie taniec energii i materii był przedmiotem naszych manipulacji. Różnica polegała na tym, że nie potrzebowaliśmy akceleratorów cząsteczkowych, wystarczały bowiem próby podejmowane przez umysł. W dawnej tradycji pracowano z rzadkimi substancjami - najrzadszą pośród nich było czerwone złoto, podobno niewystępujące we współczesnych czasach - które poddawano zarówno*

mentalnym, jak i fizycznym eksperymentom. Stan umysłu poszukiwacza mądrości, poziom jego duchowej koncentracji i doskonałości był na tym etapie równie ważny, jak jego retorty, probówki i piec. Ostatecznym produktem, żarliwie poszukiwanym, acz rzadko zdobywanym, nie była żadna magiczna substancja jako taka, lecz transformacja tego, kto szukał, w istotę obdarzoną wyższą duchowością. To była zaszczytna ścieżka.

Zaprzyjaźniłem się z kolegami, którzy pracowali nad nową, jak sądzili, substancją: metalicznym szkłem. Dowiedziałem się od nich wiele, sam jednak nie podzieliłem się z nimi mądrością moich przodków, fuzja szkła z różnymi metalami należała bowiem do starodawnej tradycji, stanowiła część ścieżki, na którą moi koledzy wkroczyli, choć nie mieli o tym pojęcia: ścieżki prowadzącej do stworzenia kamienia filozoficznego. Podczas pracy nie zwracali uwagi na własny psychiczno-duchowy stan. We współczesnej fizyce wykonujemy jedynie połowę koniecznej pracy, choć od początku dwudziestego wieku obserwator zjawisk postrzegany jest jako integralna część tego, co dzieje się na poziomie subatomowym. Po raz kolejny zbliżamy się do zrozumienia czegoś, o czym dawni mędrcy wiedzieli: świadomość i materia są ze sobą blisko związane. Nie miałem szans na pracę z nimi, marzyłem jednak o prowadzeniu eksperymentów w najpotężniejszym akceleratorze cząsteczkowym, jaki dotąd zbudowano, w Large Hadron Collider w CERN, europejskim centrum badań atomowych na granicy francusko-szwajcarskiej, którego uruchomienie przewidziano na rok 2007. Dzięki niemu ludzkość dowie się czegoś, co zrewolucjonizuje nasz pogląd na świat - wiedzę tę posiadali starożytni mędrcy. Może też powie nam, jak zniszczyć ziemię w mgnieniu oka.

Zorganizowałem w laboratorium dyskusję o wielkim wkładzie mojej cywilizacji w rozwój świata. Przyjęto ją bardzo dobrze. Są tam sympatyczni i myślący ludzie.

A potem pewnego dnia moja Ukochana wzięła mnie na przejażdżkę na wieś. W odosobnionym miejscu zatrzymaliśmy się i nie wiadomo skąd, pojawiła się furgonetka bez okien.

Zabrano mnie.

Ostatnie słowa, jakie słyszałem z ust mojej Ukochanej, brzmiały:

- Jest wasz. Skończyłam z nim.



## 5

### Próba Eteru

NOWY JORK, 30 SIERPNI 2004

Spotkali się punktualnie o dziewiątej w sali konferencyjnej na jednym z ostatnich pięter budynku przy Lexington 570, oddaleni o siedem kondygnacji od czujnych oczu i uszu dziennikarzy

Robert, niewyspany i zirytowany, siedział z jednej strony stołu ze Scottem z działu prawnego, Johnem z Waszyngtonu i kobietą z działu kadr, której nie znał. W przeciwieństwie do pozostałych ubrany był w wygniecioną sportową marynarkę bez krawata.

Po stronie Hencott Inc. miejsca zajmowało troje prawników różniących się stylem: dobrodusznie dyplomatyczny mężczyzna (po pięćdziesiątce), sztywna i trzymająca się procedur kobieta (po trzydziestce) i najmłodszy, groźny gorliwiec (po dwudziestce). Robert doszedł do wniosku, że najbardziej niebezpieczny jest ten pierwszy, typ ulubionego wujaszka.

Zebranie rozpoczął John; wyglądał jak kot, który dorwał się do śmietanki:

- Szanowni państwo, witam w GBN. Powiadomiliście nas o swoich zamiarach wystąpienia na drogę sądową z pozwem przeciwko nam w związku z rzekomym udziałem GBN i/lub jednego z naszych pracowników w tragicznej śmierci Lawrence'a Hencotta, prezesa Hencott Inc., która miała miejsce wczesnym rankiem w czwartek, 26 sierpnia. Pozwoli państwo, że skorzystam z okazji i złożę wyrazy współczucia z powodu śmierci pana Hencotta.

- Pozwolimy i dziękujemy - powiedział najstarszy z prawników.

Robert zamknął oczy i wyobraził sobie wspaniałe zwieńczenie budynku kilka pięter nad nimi: pioruny pulsujące z zaciśniętej pięści, mnóstwo szpiców niczym korona cierniowa, symbole fal radiowych strzelające z trzaskiem w eter. Chociaż opuścił dopiero dwa dni pracy, czuł się jak obcy w ciasnych i małych pomieszczeniach biurowych.

- Wyglądasz na... niedostosowanego - tylko tyle powiedział mu John, gdy razem jechali windą.

Znowu zaczął przysłuchiwać się rozmowie. Najmłodszy prawnik odczytywał list, zostawiony przez Lawrence'a w pokoju hotelowym, gdzie się zastrzelił:

- „...Robert Rekliss jest powodem tych zdarzeń. Bardzo mi przykro, że nie mogę osobiście mu powiedzieć, jak bardzo to wszystko się z nim wiąże. Gdyby ktoś mój czyn uznał za oznakę tchórzostwa, niechaj weźmie pod rozwagę, że czasem szlachetniejszą rzeczą jest paść na swój miecz, niż żyć dalej w świecie niewyobrażalnej, ślepej korupcji. Jadowitemu ego Roberta Reklissa powiadam, że wyuzdane, intensywne tortury rozbijają iluzję obłąkowanego losu. To brzmi jak nagłówek. Wyrazy miłości dla Horace'a, który dopilnuje, by mojej woli stało się zadość”.

- Wielkie nieba - powiedział John. - Możemy dostać kopię?

- Załatwione - odparła prawniczka, wręczając mu fotokopie.

- Bardzo zaburzony stan umysłu. - Scott ze smutkiem pokręcił głową.

- Widzę, że nie ma tu wzmianki o GBN - odezwał się John, spoglądając ponad połówkami okularów do czytania.

Słowa Lawrence'a huczały Robertowi w uszach.



- Naszym zdaniem pan Reckliss nie działał jako osoba prywatna w czasie, gdy nawiązał fatalny w skutkach kontakt ze zmarłym panem Hencottem - rzeczowo i spokojnie powiedział dobrotny wujaszek. - Należy stwierdzić, że wszelkie kroki podjęte przeciwko panu Recklissowi jako osobie prywatnej - a przy okazji, wszyscy chyba się zgodzimy, że powinien pan rozważyć wynajęcie adwokata, który będzie reprezentował pana jako osobę prywatną w tej sprawie, panie Reckliss - dotyczyć muszą również GBN, jako że jest on jednym z dyrektorów programowych, a firma złośliwie opublikowała szkodliwe i nieściste informacje, stawiające w niepocholebnym świetle pana Hencotta i korporację, którą zarządzał.

- Złośliwie? - wtrącił Scott. - Dobrze pan wie, że nie ma tu żadnych złośliwych intencji, tylko hałas i zamęt. Ostrzegam, nie próbujcie występować przeciwko Robertowi jako osobie...

John przerwał mu machnięciem dłoni.

- Robercie, ty masz prawnika?

Reckliss powiódł niewidzącym wzrokiem po zebranych. Wokół ich głów dostrzegł słabą aureolę sinoniebieskiego światła. Mrugnął kilka razy, ale z jego oczami nie działo się nic złego. Przyjrzawszy się dokładniej, pojął z rosnącym podnieceniem, że widzi wirujące wolno wzory energii. Przypatrywał się im z rozbawieniem, oddalony o miliony mil od żalosnego zebrania, w którym brał udział.

Wyuzdane, intensywne tortury? Nie potrafił sobie wyobrazić, że Lawrence Hencott był do tego stopnia wrażliwy, by przesadzać w opisie tego, co się stało. Facet znany był ze skóry grubej jak u nosorożca. I nie popełnił samobójstwa. Horace powiedział, że Adam go zabił albo zmusił do odebrania sobie życia. A właściwie nie Adam, tylko siły, które powoli zżerały go od środka. Dlaczego? Co wiedział Lawrence? Jaka była jego rola? Poczul, że musi wyjść z sali. Zobaczył, że wszyscy wpatrują się w niego.

- Nie potrzebuję pieprzonego prawnika - przemówił wolno i zdecydowanie.

Zadzwoił telefon komórkowy, wibracja przesunęła go kilka milimetrów po wypolerowanym blacie. Najmłodszy z prawników przeprosił zebranych i odebrał. Słuchał przez kilka sekund, po czym przekazał starszemu koledze, który po równie krótkiej chwili zalał się purpurowym rumieńcem.

- Co? Powtórz pan - warknął.

Ze słuchawki dobiegał zdenerwowany głos, wypowiadający pełne emocji, poszarpane zdania. Prawnik kilka razy próbował przerwać, ale mu się nie udało. Energicznym ruchem wyłączył telefon i oddał właścicielowi, po czym zaczął zbierać dokumenty.

- Nasze spotkanie dobiegło końca - oznajmił. - Mam państwu przekazać, że Hencott Inc. nie będzie podejmowało żadnych dalszych kroków prawnych w sprawie śmierci pana Lawrence'a Hencotta, którego pogrzeb, jak rozumiem, odbywa się właśnie teraz. Przepraszam za niepotrzebne zajęcie wam czasu i przekazuję panu Recklissowi serdeczne pozdrowienia od nowego głównego udziałowca naszej firmy

John sprawiał wrażenie, że równocześnie ogarnęły go euforia i przerażenie.

- Kto nim jest?

- Pan Horace Hencott, brat zmarłego.

Prawnicy Hencottów opuścili salę konferencyjną.

Siedzieli w oszołomionym milczeniu. Wreszcie ciszę przerwała kobieta z działu zasobów ludzkich:

- Nie sądzę, bym była tu dłużej potrzebna.

John gestem nakazał jej pozostać na miejscu.

- Wciąż do rozwiązania jest kwestia naszego wewnętrznego dochodzenia. Przez kilka ostatnich dni przyglądałem się działaniom Roberta i muszę powiedzieć, że istnieją podstawy do wszczęcia postępowania dyscyplinarnego.

- Zwariowałaś? - powiedział Scott, uprzedzając Roberta. - Jakie podstawy?

- Zaniedbanie obowiązków, zła ocena, niedopatrzenia. Nie możemy pozwolić na to, by nasi reporterzy następnego dnia zaprzeczali samym sobie! Wszyscy już z tego żartują.

Robert wstał.

- Nic z tego - powiedział. - Wrócę, kiedy będę gotowy. To może potrwać kilka dni. Chyba, że chcesz, żebym wziął adwokata? W takim przypadku wrócę, kiedy będę gotowy, a ty dasz mi worek pieniędzy.

Kiedy otwierał drzwi, John krzyknął za nim:

- Nikomu ani słowa o tym, co się tu działo, rozumiesz? Ani słowa! Nie żartuję!

Robert spojrzał mu prosto w oczy.

- Żadnych knebli, John.

I z radością w sercu zjechał do wspaniałego, wykładanego aluminium holu, skąd wyszedł na ulicę.

### LONDYN, WRZESIEŃ 1990

Robert, śmiejąc się głośno, trzymał w dłoni wytłaczone zaproszenie.

„Zapraszamy na wyjątkowe wydarzenie teatralne. W ogrodzie Klubu św. Jerzego w Whitefrairs Cut, EC4 o ósmej wieczorem wystawiona zostanie sztuka »Pisma Newtona«. Obowiązują stroje wieczorowe”.

Natychmiast zadzwonił do Adama Hale’a.

Obaj w tamtym okresie mieszkali w Londynie. Robert zaczynał siódmy rok pracy w GBN, za sobą miał długie pobyty w Paryżu i Madrycie. Adam na początku roku przeprowadził się do Londynu z Ameryki Łacińskiej, pozornie równie sardoniczny i wesoły jak zawsze, w rzeczywistości jednak kompletnie spłukany, udręczony i samotny. Jego dziewczyna Isabela, poetka i dziennikarka, prawie rok wcześniej została zabita. Znalazł jej ciało na poboczu drogi prowadzącej na lotnisko w Santo Tomas; dostała kulkę w tył głowy. Była miłością jego życia. W żałobie i samotności wspierała go Katherine; stali się nierozłączni i pod wpływem impulsu, kierowani tą samą potrzebą, kilka miesięcy wcześniej się pobrali.

Adam jako wolny strzelec pracował jak szalony i często podróżował. Chcąc mu pomóc, Robert próbował znaleźć dla niego posadę w GBN, chociaż Adam nie znosił instytucji. Po ataku Saddama Husajna na Kuwejt istniała spora szansa, że będą mogli go wykorzystać.

- Co to jest, do diabła? Wystawiacie tę cholerną sztukę?

- Rickles, jak miło słyszeć twój głos.

- Skończyłeś ją? Kiedy?

- Przez kilka ostatnich miesięcy zajmowałem się nią w wolnych chwilach. Pomędzy zleceniami, rozumiesz. Sposób na odpędzenie ponurego nastroju. Wspomnień i tak dalej,

- Zdumiewające. Skończyłeś sztukę sam?

- Czy we współpracy z Katherine? Dla nas obojga to było wspaniałe zajęcie, prawdę mówiąc. I teraz mogliśmy pisać ją i spać ze sobą. A przy okazji, jak się miewa Jacqueline?

Robert i Jacqueline spotykali się od trzech lat; mieli mieszkania w Paryżu i Londynie, dzięki czemu często mogli być razem. Jacqueline była przyjaciółką Katherine z dzieciństwa, pochodziła ze zubożałej francuskiej arystokracji i pracowała w public relations. Jak dotąd ich związek był monogamiczny, wolny i bezdietny.

- Wspaniale, dziękuję. Zaproszenie jest tylko dla mnie czy ją też mogę przyprowadzić?

- Obawiam się, że tylko dla ciebie. Bardzo ograniczona liczba miejsc.

- Nie ma sprawy.

- A skoro mowa o pracy, nawrzeszczałem na człowieka w ambasadzie irackiej. - Sposób działania umysłu Adama jak zawsze był dla Roberta tajemnicą. - Nieużyty dranie.

Akredytacja prasowa do Bagdadu? Równie dobrze mógłbym prosić o klucz do prywatnej łazienki Saddama.

- Słucham?

- Nie twoja wina. A może jednak? Nie pomyślałbym.

Po wszystkich tych latach Adam swoją nonszalancję i *non sequiturs* wciąż z łatwością wpędzał Roberta w rozpacz.

- Co łazienka Saddama ma wspólnego z „Pismami Newtona”?

- Absolutnie nic, staruszkule. Więc jak, przyjdiesz?

Robert ponownie sprawdził datę na zaproszeniu.

- Naturalnie, z największą przyjemnością.

- Wspaniale. A ponieważ byłeś przy poczęciu, by tak to ująć, będziesz gościem honorowym.

- A właściwie co to za klub? Nigdy o nim nie słyszałem.

- Mój dziadek był członkiem, kilku przyjaciół też. To trochę jak Klub Sił Specjalnych albo Klub Odkrywców, tylko że bardziej... ezoteryczny. Sam zobaczysz.

Tak więc pierwsze i jedyne przedstawienie „Pism Newtona” odbyło się w ciepły wrześniey wieczór w otoczonym murem ogrodzie niezwykle dyskretnego prywatnego klubu niedaleko kościoła St Bride, tuż za zakrętem od Fleet Street.

I nie było takie, jakiego oczekiwali Robert i Adam.

NOWY JORK, 30 SIERPNIĄ 2004

Kiedy po opuszczeniu siedziby GBN Robert szedł na północ Lexington Avenue, zadzwonił Quad: Stróż przysłał wiadomość. Nareszcie. Poprzedniego wieczoru Robert nie złapał Horace'a, by powiedzieć mu o kluczach. Wiadomość była krótka: „Punkt orientacyjny X69”. Według GPS było to na odległej East Side, niedaleko szpitala weteranów na końcu Dwudziestej Trzeciej Ulicy.

Robert nie miał czasu. Pragnął starcia z wrogiem. Pozostało mu tylko jedno: jak najszybciej przejść przez pozostałe etapy Drogi i modlić się, by udało mu się odzyskać klucze. W głowie mu się kręciło z radości wywołanej posłaniem prawników do diabła. Cóż za nadzwyczajny manewr wykonał Horace! Robert zawsze sobie wyobrażał, że Horace pozostawia ziemskie sprawy Lawrence'owi, najwyraźniej jednak przyjaciel był bardziej praktyczny, niż przypuszczał.

Zaczął wykręcać jego numer, ale przypomniał sobie, że pogrzeb pewnie jeszcze się nie skończył.

Stojąc na rogu Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy, gdzie powietrze z kanału klimatyzacyjnego metra wydeło sukienkę Marilyn Monroe w pamiętnej scenie „Słomianego wdowca” uniósł rękę i natychmiast pojawiła się taksówka. Wsiadł i powiedział kierowcy, żeby wysadził go przy południowej stronie szpitala przy Dwudziestej Trzeciej.

Kiedy wysiadł, Quad skierował go na północny wschód. Zdziwiony, że jeszcze nie dostał wskazówki, Robert ruszył w kierunku East River, po lewej mijając szpital weteranów oraz elegancki pawilon z przełomu XIX i XX wieku z dwójgiem drzwi; na jednych widniała tabliczka „Dla mężczyzn”, na drugich „Dla kobiet”. Była to darmowa publiczna łaźnia, obecnie mieszcząca Asser Levy Recreation Center.

Quad prowadził go dalej na północ, ku opuszczonemu placowi zabaw i boisku do koszykówki.

Wreszcie dostał wskazówkę. Robert domyślał się, że Horace dyskretnie wysłał wiadomości w czasie pogrzebu.

*Pierwsze z trzech, by stworzyć pięć  
Pozostać na szlaku, zachować życie  
Szukaj kamieni, które nie prowadzą przez rzekę  
Ryb i gwiazd, lecz się nie wahaj  
Szukaj ukrytej bramy  
W istocie rzeczy szukaj równowagi  
By przejść Próbę Eteru,  
Spróbuj zagrać w klasy*

Robert stał i wpatrywał się w plac zabaw, pozwalając myślom swobodnie dryfować, dopóki tego nie zobaczył: od zjeżdżalni do kranu z wodą pitną prowadził rząd otoczków, przypominających meduzy na powierzchni morza.

Podszedł bliżej. Czterdzieści kamieni różnej wielkości zdobiły motywy przywodzące na myśl symbole zodiakalne

Na krętej węzowej ścieżce widniały raki, ryby, rekiny, konchy, muszle i rozgwiazdy.

Robert przeszedł po kamieniach od zjeżdżalni do zepsutego kranu z wodą pitną. Obrócił się i ruszył z powrotem, wpięrow na prawo, potem na lewo. Może dzieci grały na tych kamieniach w klasy?

Jeden z mniejszych kamieni zachybotał się lekko pod jego ciężarem. Umieszczono na nim rysunek pięcioramiennej rozgwiazdy. Robert ukląkł i spróbował go podważyć. Kamień podniósł się jak pokrywa. Pod nim spoczywał zapieczętowany plastikowy pojemnik na taśmę filmową 35 mm.

- Bingo - szepnął.

Starannie odłożył kamień na miejsce, po czym tupnął kilka razy nogą, wbijając go w podłoże. Sprawdził pojemnik - był pusty

- Cholera!

Niemal natychmiast zadzwonił Quad. „Idź do punktu 090 i śpiesz się. Wydaje mi się, że Katherine jest w niebezpieczeństwie”.

GPS skierował go na zachód Dwudziestą Trzecią Ulicą. Robert rozejrzał się, ale nigdzie nie widział taksówki. Przeklinając i modląc się, w obezwładniającym upale biegiem wrócił na Pierwszą Aleję, skąd autobus na drugi koniec miasta już odjeżdżał z przystanku. Zablokował ramieniem zamykające się drzwi, zmuszając kierowcę, by znowu je otworzył.

LONDYN, WRZESIEŃ 1990

Robert pojechał Circle Line do Blackfriars, a stamtąd pieszo poszedł do kościoła St Bride. Przez kilka minut wędrował po przecznicach Fleet Street, zastanawiając się, czy przypadkiem źle nie zrozumiał zaproszenia, wreszcie znalazł nieoznaczone wejście do Klubu św. Jerzego na Whitefriars Cut.

Skromny fronton ukrywał bogato urządzone wnętrze, wyłożone czarnymi i białymi płytkami. Portier w liberii sprawdził zaproszenie Roberta, po czym zaprowadził go do małej biblioteki, gdzie czekał poczęstunek - sherry i przekąski.

- Mam nadzieję, że nie przyszedłem za wcześnie - powiedział Robert widząc, że w pomieszczeniu nikogo nie ma.

- Jest pan dokładnie na czas, sir - odparł portier; sposób mówienia wskazywał, że był w przeszłości policjantem. - Pan Hale powiedział, że mamy się pana spodziewać.

Wkrótce pojawili się inni goście we frakach i wieczorowych sukniach. Robert starał się ukryć zakłopotanie, oglądając książki na półkach i mocno ściskając kieliszek sherry; sam nie nawiązywał rozmów, chyba że ktoś go zagadnął. W bibliotece przeważały średniowieczne

romanse, przekłady z perskich i arabskich poetów, relacje z wypraw odkrywców. Robert dostrzegł też kilka pozycji o heraldyce.

W ucho wpadły mu fragmenty rozmów w obcych językach. Czeski? Polski? Rozpoznał portugalski, hiszpański, francuski. Wytworny mężczyzna w arabskim stroju bez najmniejszych trudności przerzucał się z bezbłędnej angielszczyzny na melodyjne tony arabskiego.

Po niedługim czasie w bibliotece zgromadziło się około sześćdziesięciu osób, a kolejni kręcili się w holu.

- Coś cię zainteresowało?

Robert odwrócił się i zobaczył wysokiego mężczyznę z wystającymi zębami i stalowosiwymi włosami w wojskowym mundurze, którego pod ramię trzymała rudowłosa kobieta z obfitym biustem. Uśmiechnęła się, podczas gdy Robert gorączkowo usiłował sobie przypomnieć, kto to jest.

- Witam - powiedział, grając na zwłokę.

- *Knight to knight, come forth* - odparła kobieta. - Pokonałeś nas, pamiętasz? *Omnia vincit amor?*

- Dobry Boże.

Rozległ się gong, wzywający widzów do zajęcia miejsc.

NOWY JORK, 30 SIERPNIĄ 2004

Robert wysiadł z autobusu przy Madison Square Park. przed nim wznosił się Flatiron Building - „Żelazko” wskazujące na północ; fasada sprawiała wrażenie, jakby zastygły na niej kamienne fałdki.

Poszedł na róg parku. Minał pomnik Williama Sewarda, człowieka, który kupił Alaskę. Podobno był o wiele niższy niż wysoka, koścista postać na postumencie. Ale rzeźbiarz rozgniewany, że zapłacono mu za późno albo za mało, wykorzystał tors Abrahama Lincolna, wykonany w innym celu, i tylko dodał głowę Sewarda. Tę historię Robert umieścił w teczce „zbyt dobre, żeby sprawdzać”.

Podążając w kierunku wskazywanym przez trójkątnego Flatirona, skrzył w prawo. Dokładnie na wprost za drzewami widać było Empire State Building, oddalony o dziesięć przecznic na północ. Uwagę Roberta zwrócił słup, podszedł więc bliżej. Uśmiechnął się na widok pięcioramiennej gwiazdy wyrzeźbionej u podstawy ponad słowami WIECZNE ŚWIATŁO oraz umieszczonej na czubku lampy w takim samym kształcie. Obelisk czcił pamięć żołnierzy poległych w pierwszej wojnie światowej.

- Po kwadracie mamy pentagram - powiedział głośno. - Przewiduję, że jutro będzie gwiazda Dawida. A czym będzie siedem?

Próbował odkryć znaczenie liczb i kształtów Drogi. Najpierw okrąg, potem rybi pęcherz składający się z dwóch okręgów, następnie miejsce pożaru fabryki Triangle i wszystkie te trójkątne działki, na których znalazł klucz w postaci piramidy, a ostatnio klucz w kształcie kostki z Union Square. Przy każdej próbie geometryczna forma zyskiwała jeden element. Czy to symbol jego rozwoju, coraz wszechstronniejszej wiedzy i pełniejszej osobowości w obliczu zbliżającej się katastrofy? Czy odzwierciedla to równowagę pomiędzy tworzeniem i burzeniem, które zachodzi w jego wnętrzu, a może równowagę pomiędzy jego rozwojem a upadkiem Adama?

Musiał się skupić. Przy najbliższej okazji zapyta o to Horace'a. Nie dostał żadnej nowej wskazówki. Odwrócił się tyłem do parku i spojrział na zachód, szukając czegoś, co pomogłoby mu w jego misji. Do jego świadomości dotarło coś, co wcześniej widywał wiele

razy, ale dopiero teraz zobaczył naprawdę: w środku ogromnej wysepki na skrzyżowaniu Broadwayu i Piątej Alei wznosił się wysoki na pięćdziesiąt stóp obelisk.

*Miał wrażenie, że miasto wiruje wokół niego, złączone z nim, jakby był jego osią. Kształty i sekwencje formowały się w jego umyśle, znikając z wyobraźni szybciej, niż zdążył je pojąć. Zobaczył linię pionową wzdłuż kręgosłupa Manhattanu, Linie poprzeczne biegnące z East Village do West Village, a teraz od kamienia z rozgwiazdą poprzez to miejsce z pentagramami do... dokąd? To musi być Chelsea w West Side...*

Gwałtowność wizji sprawiła, że zakręciło mu się w głowie i nogi się pod nim ugięły. Obrazy równie nagle ustąpiły.

Robert głęboko oddychał. Nie wiedział, jak zatrzymać owe błyski głębszego zrozumienia. Im bardziej próbował, tym szybciej znikaly.

Sfrustrowany, ruszył na drugą stronę ulicy, by zbadać obelisk. Wciąż usiłował odtworzyć obraz, który majaczył mu w pamięci.

Obelisk przy kościele św. Pawła sugerował, że spoczywa pod nim ciało, ale w rzeczywistości go tam nie było. Ten zaś nie pozostawiał w tej kwestii złudzeń. Pod płaskorzeźbą przedstawiającą ramię trzymające miecz widniała tabliczka z inskrypcją:

*Pod tym pomnikiem spoczywa ciało Williama Jenkinsa Wortha, urodzonego 1 marca 1794 roku w Hudsonie, stan Nowy Jork, zmarłego w Teksasie 7 maja 1849 roku.*

Obelisk otaczał ozdobny żeliwny płot z elementami w kształcie mieczy. Wzniesiono go w 1857 roku. *Cześć odważnym*, głosił napis na cokole, ozdobionym dwiema pięcioramiennymi gwiazdami.

Działania Adama były wyjątkowo odważne, a teraz, Robert w to nie wątpił, podobnie postępowała Terri. Mimo to czuł gromadzony latami gniew na Hale'a. Uświadamiał sobie, jak próżną rzeczą jest pozwalać, by strach cenzurował słowa, myśli i emocje.

Musi spotkać się z Adamem i znaleźć sposób na odwrócenie sytuacji.

Adam był wrogiem, a zarazem sojusznikiem. Jak długo jeszcze zdoła opierać się potężnej niszczycielskiej sile, która z wolna przejmowała nad nim kontrolę? Dzień? Robert na dnie serca czuł, że Adama wciąż można uratować. Jeśli Terri mówiła prawdę, to który Adam nadal kocha Katherine?

Droga wiodąca go z powrotem do Kat, była tą samą, na którą musiał wkroczyć, by pomóc Terri. Ogarnęło go współczucie dla Terri, dotąd zawsze sprawującej kontrolę, a teraz przerażonej czymś, zranionej i samotnej, przypuszczalnie po raz pierwszy w życiu. Zależnej od innych. Opuścił powieki i okiem umysłu zobaczył, że płonie, wypełniona przerażeniem, usiłująca chronić się przed Adamem i wypełniającym go mrokiem.

Terri przydarzyło się coś strasznego. Robert wzдрыgnął się.

Co przed nim ukrywała? Znowu zamknął oczy, próbując dotrzeć do niej myślą, choć nie do końca potrafił radzić sobie z nowo nabytymi mocami. W jego głowie pojawiły się wyraziste obrazy rybiego pęcherza, dwa okręgi tworzące się z jednego, cztery z dwóch, osiem z czterech... *podział komórkowy*... słowa pojawiły się same.

O Boże. Ona na pewno jest... *Podział komórkowy*... od piątku. Jest z nim w ciąży. Nie. To niemożliwe. Postarał się zajrzeć głębiej. Dobry Boże, nie. Powiedziała przecież, że to wykluczone... *nad podziałem komórek unosił się cień... podziałowi towarzyszyły ciemność i przerażenie*... Robert utracił tworzące się słowa, zniknęły w płynącej wartko rzece informacji, w którą wkroczył, choć nie wiedział jak.

Jeśli Terri nie była w ciąży, nie widział odniesienia do oglądanych przed chwilą obrazów, nie wyczuwał żadnych związków. Czy to możliwe, że ojcem nie jest on, lecz Adam? Obrazom towarzyszył cień niegodziwości. Jeśli nie jest w ciąży, to... I znowu myśl się urwała.

Strach Terri przed Adamem mógł oznaczać tylko jedno: że Adam przegrywa, coraz bardziej zbliża się do zła. Jeśli Hale wciąż kocha Katherine, Terri z pewnością czuje się

odsunięta. Pozbawiona opieki. W ich pierwszej rozmowie przez komunikator AOL powiedziała, że Adam chronił ją przed złymi miejscami. A teraz już tego nie robi. Jak daleko posunął się Adam? Gdyby to było jego dziecko i jeśli pozostał w nim choć cień ludzkich uczuć, to przecież nie odwróciłby się od Terri. A jeśli przekroczył tę granicę, to Katherine groziło z jego strony straszliwe niebezpieczeństwo, i to niezależnie od tego, jakie zdolności była w stanie w sobie odtworzyć.

Ponaddwudziestoletnie uczucia i opinie dotyczące Adama wróciły do Roberta z pełną siłą. Ciągłe wrażenie, że pewnego dnia Adam wyrządzi więcej zła niż dobra. Budząca niechęć arogancka pewność, że ujdą mu na sucho skandaliczne żarty, za które inni musieliby ponieść konsekwencje, że wyjątkowa zdolność oczarowania każdego pomoże mu wydobyć się z bagna, w którym słabsze dusze by utonęły. Poczucie, że wszystkie te oszałamiające talenty zostaną w ostatecznym rozrachunku zmarnowane, zużyte na jakąś szaloną intrygę, postawione i utracone dla samej przyjemności gry. Pomimo szczodrości Adama, pomimo jego szczerzej troski o innych, głęboko na dnie serca Robert zawsze był na niego zły. Zazdrosny, zawistny i zły.

Obchodził obelisk, szukając innych szczegółów, które by mu pomogły. Znalazł niewiele, listę bitewnych odznaczeń. Wyjął Quada i wpisał do Googlea nazwisko Worth. Czy czegoś tu brakowało? Dowiedział się tylko, że urnę ze szczątkami umieszczono w kamieniu węgielnym pomnika, podobnie jak kapsułę czasu w pomniku Garibaldiiego w Washington Square Park. Przez moment obraz chciał mu coś powiedzieć, ale szybko zniknął.

Przeszedł na drugą stronę Dwudziestej Piątej i ruszył Piątą Aleją w kierunku chorągwi z dużym „P”. Tuż za rogiem dowiedział się, co oznaczał emblemat. Pod numerem 204 mieściły się biura firmy projektowej Pentagram - jej nazwę wyryto w ścianie budynku tuż nad drzwiami. Kolejna piątka. Poczul gęsią skórę.

Nagle odezwał się Quad. Robert włączył słuchawkę i w głowie usłyszał głos Adama. Serce waliło mu młotem.

- Robercie, w niezłą kabałę się wplątaliśmy, co?

- Ty draniu. Musisz mi sporo wytłumaczyć.

- A kiedy tak nie było, Robercie?

- Adam, dla mnie to nie jest zabawa. Gdzie jest Katherine?

Mówił głośno, jakby Adam był obok, ponad nim, w chmurach.

- Dla ciebie nic nigdy nie jest zabawą, to jeden z twoich problemów. A według ciebie gdzie jest Katherine? To wolny duch.

- Chcę z nią porozmawiać, usłyszeć jej głos.

- Myślisz, że jest ze mną?

- Nie kłam. Nie pieprz głupot. Wiem, że jest. Poszła do ciebie, kiedy jej powiedziałem, że spałem z Terri. I założę się, że ma pieprzone klucze. Wszystkie. A to oznacza, że ty je masz. Dostałeś, co chciałeś. Naprawdę próbujesz uruchomić tę rzecz? Zrobisz to, tak?

Adam przez chwilę milczał. Robert wyczuwał jego gniew. Nie, nie gniew. Zamknął oczy i przytrzymał Hale'a w swoich myślach. Mrok. Strach. To był czysty strach.

- Robercie, obawiam się, że nie ma jej ze mną. Niedługo z całą pewnością coś ustalimy. Muszę wyjaśnić parę spraw.

- Powiedz mi.

- Od czego mam zacząć? Była ta kobieta...

Robert prychnął.

- Zawsze jest jakaś kobieta, Adamie. Zegar tyka. Chcę Kat. Gdzie ona jest?

Adam przez kilka sekund milczał w sposób sugerujący, że czuje się zraniony.

- Powiem ci wszystko. Wszystko. Pod warunkiem, że dasz mi dwie minuty. Wysłuchaj mnie spokojnie przez dwie minuty

- Czy Terri jest w ciąży? Dlaczego się ciebie boi? - pytał Robert z gniewem. - Ty arogancki, egocentryczny draniu! Brakuje nam czasu. Nie możesz zwlekać. Nie jesteś nadczłowiekiem. Musimy to powstrzymać! Oddaj mi Kat! Chcę ją z powrotem!

- Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć - warknął Adam - A poza tym lepiej zapanuj nad sobą, jeśli chcesz przetrwać piątą próbę. Przyjmij radę od kogoś, kto był tu przed tobą. Robert krążył po ulicy; wściekłość odebrała mu mowę.

- Nie masz pojęcia, z czym muszę sobie radzić! - krzyknął Adam - Najmniejszego pojęcia! Oddam ci Kat. Za dwie minuty. Ale najpierw mnie wysłuchaj. Przez dwie pieprzone minuty! Albo nigdy więcej mnie nie spotkasz.

Robert oddychał głęboko, siłą woli odpędzając gniew, usiłując zapanować nad swoimi uczuciami. Przyszło mu do głowy, że Adam może po raz ostatni ma szansę opowiedzieć swoją historię.

- OK, dwie minuty. Masz dwie minuty.

Adam chwilę milczał, zbierając się w sobie. Robert wrócił do obelisku.

- Zaczę od nowa. Po wystawieniu „Pism Newtona” i tych wszystkich okropnych wydarzeniach tamtego wieczoru zerwałem z Horace’em, który był moim mentorem, odkąd skończyłem osiemnaście lat. I zaczęły się dziać dziwne rzeczy.

Robert słuchał uważnie

- A wcześniej nie były dziwne? Bo wiesz, stosujesz inną miarę dziwności niż większość ludzi, powinieneś to sobie uzmysłowić.

- Nie przerywaj. Chcę, żebyś zrozumiał. Horace opiekował się mną na życzenie mojego dziadka, kiedy zacząłem wykazywać zdolności predestynujące mnie do wkroczenia na Drogę. Obaj prowadzili misję wywiadowczą w czasie drugiej wojny światowej, która doprowadziła dziadka do odzyskania manuskryptu Newtona. Szedłem ścieżką, którą ty teraz idziesz, choć o wiele wolniej. Kiedy poznaliśmy się na uniwersytecie, dopiero zaczynałem. Zabawy w noc pożaru były moją pierwszą próbą wyreżyserowania doświadczenia w sposób odzwierciedlający złożoność Drogi i jej działanie na wszystkich planach równocześnie: mentalnym, geograficznym, symbolicznym, egzystencjalnym, psychoduchowym...

- Mów dalej. Kiedy to było?

- Na początku lat dziewięćdziesiątych. Powiedziałem Horace’owi, że nie potrzebuję mentora ani mistrza, że zamierzam sam kroczyć Drogą. Straciłem wtedy rozum, nie wiem, czy to pamiętasz.

Robert wrócił myślami w przeszłość. To prawda, Adam przeżył poważne załamanie na początku lat dziewięćdziesiątych; pracował wtedy w GBN, co było z góry skazane na niepowodzenie, a sytuację pogorszyła jeszcze sprawa z „Pismami Newtona”. Twierdząc, że dręczy go pamięć o Isabeli, wrócił do Ameryki Łacińskiej, wpakował się tam w kłopoty, zaczął prowadzić wędrowne życie.

- Rzeczywiście nie wszystko było wtedy z tobą w porządku, Adamie, ale posłuchaj. Jeśli mam ci pomóc, lepiej powiedz mi coś, co mógłbym wykorzystać. Wiesz, że nie mamy czasu.

Wciąż walczył, by zapanować nad zniecierpliwieniem. Pod udawaną wesołością Adama wyczuwał znużenie. Wyczerpanie i ból, i niezłomną wolę trzymającą te uczucia w ryzach.

- Nie czułem się dobrze, to prawda. Przejdź się ze mną, dobrze? Rozejrzyj wokół siebie. Widzisz zachodnią stronę dwudziestej Piątej? Uroczy kościół, serbski, pod wezwaniem św. Sawy. Czerpię z niego pociechę. Siłę. A na wschodzie? Na północno-wschodnim rogu były dwa pierwsze budynki Madison Square Garden, te, które faktycznie znajdowały się na placu. Drugi miał niesamowitą wieżę, zainspirowaną Giralda z Sewilli. Taką jak w Biltmore. Co jeszcze widzisz?

- MetLife Building.

- Ten z kolei wzorowany jest na kampanili z placu św. Marka, wiedziałeś o tym? 700 stóp. Najwyższy budynek świata pomiędzy 1909 a 1913, kiedy to...



- ...w śródmieściu zakończono budowę Woolworth Building.

- Doskonale się orientujesz. Znanego też jako Madison Avenue numer 1. Zanim go ukończono w 1908 roku, jeden z nowojorskich dzienników zainstalował na wieży ogromny reflektor, który miał obwieścić wyniki wyborów prezydenckich odbywających się tamtego roku. Ustalono, że snop światła skierowany będzie na północ, jeśli wygra republikanin Taft, a na południe, jeśli prezydentem zostanie demokracja Bryant. Wyobraź to sobie.

I znowu w umyśle Roberta przelotnie pojawiła się biegnąca z północy na północ oś Manhattanu. Wciąż nie potrafił zobaczyć kompletnej figury. Czy Adam próbuje mu pomóc?

- A dalej na północ co widzisz, Robercie?

- Także MetLife. Numer 11 przy Madison, wspaniały budynek w stylu art deco, ciągnie się przez całą przecznicę. Zawsze uważałem, że mnóstwo na nim symboli masonskich. I dokąd nas to prowadzi?

- Och, ozdób masonskich później będziesz miał w nadmiarze, jeśli ci na tym zależy. Ten budynek ma dwadzieścia dziewięć pięter; miało ich być sto, ale zbankrutowali, kiedy zaczął się wielki kryzys. Gdyby zrealizowali pierwotny plan, przypuszczalnie byłby to najwyższy budynek świata.

- Dlaczego mi o tym opowiadasz?

- O MetLife? Zagadka jakże bazowa.

- Co?

- Zagadka jakże bazowa. MetLife.

Dziwnie to wymówił. Przez telefon i tak lekko zniekształcający głos zabrzmiało to tak, jakby Adam sepleniał.

- Masz kłopoty z wyraźnym mówieniem? Nie mam czasu na zagadki. Mów do mnie.

Adam powtórzył to po raz trzeci, z silniejszym jeszcze seplenieniem niż poprzednio.

- Zagadka jakże bazowa, *MetLice*.

Robert poczuł jakiś nieodparty przymus, błaganie. *Zapamiętaj to, zapamiętaj to.*

Zanotował wyrażenie w pamięci.

- OK, słyszę cię.

- Tak więc przybyłem do Nowego Świata. Montreal, Nowy Jork, Miami, Las Vegas. To było dziewięć lat temu.

- Vegas? Co tam robiłeś?

- Głównie wygrywałem pieniądze. Bardzo dziwne. Miałem kilka dobrych nocy, choć szczerze mówiąc, nigdy nie potrafiłem długo przy tym wytrwać. Ale to mi pomogło odnaleźć siebie. Postanowiłem sprawdzić, czy dam radę zapieprzyć się na śmierć.

- Chciałeś umrzeć czy pieprzyć się bez opamiętania?

- Jedno i drugie. W gruncie rzeczy próbowałem stworzyć własne tantryczne praktyki. To mówi coś o moim ego. Musiały odpowiadać mojej osobowości, ale też sprawiać mi przyjemność, dlatego rezygnowałem z rzeczy, na których wcale tak bardzo mi nie zależało. Rzuciłem palenie. Związałem się z kobietą. Ekstremalne odkrycia seksualne. Blisko miejsca, gdzie teraz jesteś, na Dwudziestej Siódmej za hotelem Gershwin było miejsce, gdzie... pary uprawiały seks grupowy. Szalone czasy.

- Dzięki za informację. O co w tym chodzi?

- Zapamiętaj wszystko, co mówię. W szaleństwie jest metoda. Powiadają, że możesz doprowadzić się do szaleństwa, jeśli w poszukiwaniach duchowych nie masz mentora czy przewodnika, kogoś, kto tą ścieżką kroczył wcześniej... a ja spędziłem kilka lat bez mentora. Niestety, sam wpakowałem się w kłopoty.

- Zaskoczyło cię, że boskości nie da się znaleźć podczas orgii seksualnych?

- Przekazuję ci wersję skróconą. Było w tym o wiele więcej. Odwroty. Długie okresy abstynencji. Medytacje. Ćwiczenia oddechowe. Dyscyplina. Studia. Pamiętasz zabawę z jednorożcem w Cambridge? Wiele lat karmienia się własną krwią. Wiele lat poszukiwania

kształtów wyrzeźbionych w ziemi, tylko że robiłem to na własnej duszy. Wszystko jest jednym. Niektórzy ludzie mogą osiągnąć taki stan, wykorzystując cierpienie, wymianę mocy, zabawy fetyszami. Ja za tym nie przepadam, ale istnieją też inne ścieżki. A ta jest właściwa. Naprawdę.

- Co masz na myśli, Adamie?

- Takie sprawy nie bez powodu utrzymuje się w tajemnicy. W każdej kulturze, w każdej religii istnieje ukryta droga, zarezerwowana dla wyjątkowych adeptów, przysłonięta kodami, zaprzeczeniami i rygorystyczną dyscypliną. Uwalnia ona moce umysłu i duszy, z których istnienia nawet nie zdajemy sobie sprawy, Robercie. Nazwy są różne. Sufi, ka-baliści, gnostycy... Chrześcijańscy mistycy, tacy jak św. Teresa czy św. Jan od Krzyża, także nią kroczyli. Wszyscy oni zaznali jednego: wznoszenia się duszy, oznaczającego wejście w siebie, poznanie siebie, które jakimś sposobem prowadzi do poznania boskości... ale równocześnie u ludzi, którzy nie do końca rozumieją własne poczynania, takich jak ja, następuje uwolnienie innych mocy. A to przyciąga uwagę... o tak. Przyciąga uwagę tych, którzy przeszli tę samą drogę z powodów bardzo odległych od dobra i altruizmu. Ludzi w rodzaju Iwnwu.

- Wtedy do ciebie trafili? A ta ukryta droga, o której mówiłeś, jest tą samą, którą ja teraz kroczę?

Adam prychnął, rozgniewany na samego siebie.

- O tak, odnaleźli mnie. Co do ukrytej drogi, Horace uczył mnie, że Droga jest jedna, ale można nią iść na wiele sposobów. Twój sposób należy do najbardziej mozolnych i niebezpiecznych. Droga zawiera prawdziwe wewnętrzne znaczenie wszystkich wielkich religii, które z czasem kostnieją i tracą kontakt z tym, co znajduje się poza okrywającą ich muszlą. Jej wyznawcy nie mówią o niej głośno, nikogo nie nawracają, ale kiedy ktoś gotów jest wkroczyć na Drogę, nauczyciel go odnajduje. Ludzie ci różnie są nazywani w historii, najczęściej Istotami Światła Doskonałego. Na całym świecie mają małe i dyskretne grupki zwolenników. Klub św. Jerzego do nich należy Droga związana jest też z poszukiwaniami alchemików. Otrzymywanie złota z ołowiu czy odkrywanie eliksiru życia to były produkty uboczne czy wręcz metafory osiągnięcia najwyższego poziomu Drogi, na którym świadomość staje się do tego stopnia wyrafinowana i potężna, że potrafi zapanować nad materią, kontrolować ją i manipulować. Jest to cel osiągnięty przez bardzo nielicznych, choć wielu podejmowało takie próby

- Czy Droga jest dobra? A może neutralna, w zależności od tego, jak ją wykorzystujemy?

- Jest dobra, Robercie. Mówi o rzeczach, które nie mają żadnego racjonalnego sensu, ponieważ pochodzą z miejsca znajdującego się poza granicami rozumu. Mówi na przykład, że miłość jest najpotężniejszą siłą we wszechświecie, że miłość jest wszechświatem i że wszechświat jest w każdym z nas. Jednakże każdy z poziomów Drogi ma swoją mroczną stronę. I tam właśnie mieszka Iwnw. Podobnie jak Światło Doskonałe, oni też mają przedstawicieli czy, jeśli wolisz, adeptów.

- I znaleźli ciebie?

- Tak. Pozwoliłem im na to. Musiałem wrócić do Horace'a i błagać, by przyjął mnie z powrotem, wybaczył i chronił przed nimi. To było w roku 1997, na rok przed tamtą imprezą, którą zorganizowałem w Biltmore. Horace pomógł mi pozbyć się Iwnwu. W zamian pomagałem mu walczyć z nimi.

Nagle Adam zaczął gwałtownie oddychać, nabierając powietrza szybkimi, krótkimi haustami. Z czymś walczył.

Czymś przerażającym. Iwnw wyciskał z niego życie, usiłując złamać i przejąć nad nim całkowitą kontrolę.

- Adam?

- Nie zatrzymuj się. Idź w kierunku Flatironu, potem okrąż obelisk.

- Mów do mnie.
- Okrąż obelisk.

Robert doszedł na południowy kraniec wysepki i skręcił na północ, ku dziwnej niskiej budowli z zielonego granitu, która znajdowała się za obeliskiem. Miała metalowe drzwi i zakratowane okna. W ogrodzie wokół pomnika Wortha bujnie się krzewiły rośliny. Robert okrążył róg budowli na północnym końcu wysepki. Tam, uśmiechnięty, lecz pobladły z cierpienia, ze słuchawkami telefonu komórkowego w uszach i rękami w kieszeniach stał Adam Hale.

## LONDYN, WRZESIEŃ 1990

Widownia złożona z mniej niż dwustu osób (później Robert dowiedział się, że wysłano sto siedemdziesiąt numerowanych zaproszeń) z wolna gromadziła się w ogrodzie na tyłach klubu i zajmowała wskazane przez służbę miejsca. Wieczór był idealny, ciepły, z lekkim wietrzykiem.

Siedzenia ustawiono w literę L na dwóch bokach kwadratu, tak jak zamierzał Adam dziewięć lat wcześniej. Cegły w murze były cienkie i zapewne o wiele starsze niż reszta klubu. Trzy ozdobne drewniane krzesła ustawiono w półksiężyc naprzeciwko kąta litery L. Przed nimi widniały dwie niewielkie mównice ze stojakami takimi jak na nuty. W środku kwadratu rosło samotne drzewko, wysokie może na trzy stopy, obok którego niski stolik przykryto ciemnym obrusem. Odległy kąt ogrodu, za widownią, odgrodzono czarnymi kurtynami, tworzącymi rodzaj kulis.

Robert, który w kolejce przed furtką ogrodu prowadził luźną pogawędkę z Rycerzem i Damą, teraz został sam, jego towarzyszy bowiem skierowano na drugą stronę ogrodu. Powiedzieli mu, że do klubu wstąpili kilka lat po ukończeniu uniwersytetu na zaproszenie Adama. Klub opisali jako organizację sponsorującą wykopaliska archeologiczne i wyprawy do egzotycznych części świata.

Robertowi wskazano miejsca na końcu L. Krzesło obok niego było puste.

Potrójny gong obwieścił, że przedstawienie zaraz się zacznie.

Na miejsce obok Roberta wsunęła się Katherine.

- To szalenie podniecające - powiedział.

- Bardziej, niż ci się wydaje - odparła; wyglądała na zaniepokojoną. - Dla Adama to ważne.

- Dlaczego?

- Pamiętasz dokument Newtona? Adam w czasie studiów złożył przysięgę, że będzie go chronił. Rozmawialiśmy o tym tamtego wieczoru.

Robert poczuł, jak cały tężeje.

- Z tamtego wieczoru nie pamiętam prawie nic.

- Wiem, nie denerwuj się. Adam złożył przysięgę swojemu mentorowi, staremu przyjacielowi jego dziadka. Przysięga, między innymi zobowiązuje strzegących tego rodzaju dokumenty lub wiedzę do dzielenia się nimi ze światem w określonych odstępach czasu. Muszą to jednak robić w taki sposób, żeby jedynie ludzie warci poznania tajemnic mogli je zrozumieć.

- Masz na myśli dokument Newtona, który dziadek Adama odzyskał w czasie drugiej wojny światowej?

- Tak. Ten klub pomaga strzec tego rodzaju tajemnic i próbuje odnaleźć inne, zagubione w czasie. Nie wszyscy członkowie znają prawdziwy cel, niektórzy są tu jedynie dlatego, że interesują się wyprawami i historią. Dzięki klubowi Adam może dotrzymać przysięgi, chociaż niektórzy uważa, ją, że nie powinien tego robić w taki sposób.

- Uważam, że to stek bzdur. Nie może przekazać tego dokumentu do jakiegoś muzeum i mieć sprawę z głowy?

- Dokument zawiera potężne tajemnice, Robercie.

- Nonsens.

Znowu rozległ się gong. Szmer wielojęzycznych rozmów przycichł, zza kurtyny wyszła aktorka, na oko tuż po trzydziestce Robert rozpoznał dziewczynę, która grała rolę Dziwki w trakcie zakładania Towarzystwa Jednorożca niemal dziesięć lat wcześniej.

- Panie i panowie, oto sir Isaac Newton - oznajmiła, prosząc widownię o aplauz.

Kurtyna rozsunęła się, postać w peruce i siedemnastowiecznym stroju energicznym krokiem przeszła na środek sceny. To był Adam - z uśmiechem dziękował za owację. Trzeci aktor, także ubrany na czarno, wyszedł za nim, skłaniając widzów do głośniejszych oklasków.

Aktorka uniosła księgę na wysokość piersi i odczytała z niej z emfazą:

- Subtelne oko Newtona wyznaczyło jasne okresy  
powtarzającego się czasu,  
z badało w Naturze skutek i przyczynę  
i oczarowane odsłoniło wszystkie jej uśpione prawa!

Jej towarzysz dodał:

- Natura i Prawa Natury leżały ukryte w Nocy.

Bóg rzekł: „Niechaj stanie się Newton!” i wszystko było światłem!

Dołączył do nich Adam:

- Jestem w Westminster Abbey!

Oklaski zmieszały się ze śmiechem. Adam uciszył widownię, pozostała dwójka aktorów usiadła.

- Jestem przymiotnikiem - oznajmił z dumą. - Jednostką fizycznej miary. Dewizą, *Newtonowski*. A co świat opisuje moim imieniem? - Wykrzywił się. - Mechanizm zegarowy. - Obrzucił widownię długim, zimnym spojrzeniem. - Mechanizm bezbożny, to nie ulega kwestii. - Zadrzał. - W takim świecie nie mogę żyć.

Okręcił się na pięcie i usiadł.

- Podróżowałem samotnie przez dziwne morza myśli - ciągnął gderliwie.

Dwoje aktorów cytując Woodwortha wypowiedziało wraz z nim, co dało niesamowity efekt.

Przedstawienie trwało, monologi Newtona przeplatały się z fragmentami dokumentów i listów odczytywanych przez jego towarzyszy oraz scenami odgrywanymi przez wszystkich troje.

Wywołali śmiech, przy pomocy małego manekina inscenizując pod drzewkiem historię o jabłku spadającym na głowę Newtona, które rzekomo zainspirowało go do zrozumienia istoty grawitacji. Anegdotę jednak pod koniec życia wymyślił sam Newton; aktorzy zacytowali Johna Maynarda Keynesa, który w 1936 roku zakupił pozostające przez długi czas w ukryciu pisma alchemiczne wielkiego uczonego: Newton to nie „racjonalista, ten, co nauczył nas myśleć zgodnie z torami zimnego i niezabarwionego emocją rozumu... nie pierwszy z wieku oświecenia”, ale raczej „ostatni z magów, ostatni z Babilończyków i Sumerów, ostatni wielki umysł, który postrzegał świat widzialny i intelektualny w taki sam sposób jak tamci, kładący podwaliny pod nasze intelektualne dziedzictwo dziesięć tysięcy lat temu... Kopernik i Faust w jednym”.

W jednej scenie Newton mówił o swej wszechstronnej wizji świata i smutku wywołanym faktem, że stał się symbolem tylko jednego jej fragmentu, metody naukowej, z wyłączeniem całej reszty. Jego adwersarzem był młody fizyk ateista.

- Stworzyłeś wszystko, w co wierzę - powiedział młody mężczyzna. - Zlikwidowałeś przesady. Pokazałeś, że umysł ludzki poprzez obserwację, eksperymenty i logiczne

wnioskowanie może zrozumieć wszechświat bez uciekania się do malowideł naskalnych, bogów burz i wróżenia z ptasich podrobów!

Newton zwrócił się do widowni, rozgniewany i sfrustrowany.

- Widzicie, co stworzyłem? Myślałem, że poznaję Boga bez zabijania Go. Możemy ułożyć nowe prawo Newtona. Nazwiemy je prawem niezamierzonych skutków.

- Udowodniłeś, że mówienie o Bogu nie ma sensu. Rozum nie potrzebuje baśni, by wypełnić niezbadane jeszcze luki. Bóg to patologia, owoc naszych strachów, nic więcej! Ty nas tego nauczyłeś!

- Nic takiego nie zrobiłem!

- Rzeczywiste są jedynie miary naukowe. Cała reszta to brednie.

- Ty bezbożny młokosie! Niedouczony smarkaczu!

- Oczyszciliś drogę do śmierci Boga! - nie ustępował młodzieniec.

Newton, nie posiadając się z wściekłości, niemal we łzach, krzyknął:

- Błuznierca! Zejdź mi z oczu!

Aktor usiadł, Newton zrobił krok w kierunku widowni.

- Poszukiwałem wiedzy - powiedział głosem, który zdawał się dobywać z dna jego duszy. - Kroczyłem Drogą. Wiedza leży rozrzucona po świecie, w fragmentach, niczym rozczłonkowane ciało. Możemy jednak znaleźć kawałek tu, drobinę tam i poskładać je w całość. Niczego nie wymyśliłem. Na nowo odkryłem i złożyłem kilka ułamków wiedzy. Tysiące innych fragmentów wciąż tu jest, ukryte przed naszym niewidzącym wzrokiem. Ukryte na widoku, weźcie to pod rozwagę. - Ukląkł jak do modlitwy. - Pragnąłem żyć w nierozbitym świecie, w ogrodzie Edenu, otoczony miłością Boga. Przekonałem się wszak, że na Drodze jest też wiedza zakazana. Odkrywamy bowiem wiedzę, która może zniszczyć świat.

Po tych słowach zgasły wszystkie światła.

NOWY JORK, 30 SIERPNIA 2004

Adam wyciągnął dłoń do Roberta, który instynktownie ją ujął i poczuł, jak wstrząsa nim dreszcz podobny do elektryczności. Hale ścisnął jego rękę, jakby od tego zależało jego życie, patrząc błagalnie, choć na ustach jak zawsze igrał mu nonszalancki uśmiech. Robert zamknął oczy. Zobaczył mroczny cień na tle ciemnego światła i w duchu nakazał mu odejść.

Adam puścił go i zgarbiony oparł się o mur z zielonego granitu. Na ośmiokątym okienku w głównych metalowych drzwiach widniała informacja o numerze telefonu, pod który należy dzwonić w przypadku awarii.

- Co to jest?

- Wejście do wodociągu numer jeden - odparł Adam.

Szkic trasy wodociągu przemknął Robertowi przez myśl. Union Square Park. Madison Square Park. Stamtąd wodociąg biegnie do... zobaczył to w wyobraźni. I znowu w myślach błysnęła mu oś Manhattanu.

- Dzisiaj mamy pięć - powiedział. - Pentagram. Pięcioramienna gwiazda. Przeszedłem od jednego do czterech. Wczoraj był kwadrat. Jutro będzie sześć, gwiazda Dawida w Bryant Park. Nowojorska Biblioteka Publiczna.

- Pomyśl o tym raczej jak o tarczy Dawida. Będziesz jej potrzebował. Ale pamiętaj, punkty orientacyjne pomagają ci tylko dotrzeć do celu.

- Co jest po drugiej stronie? Co zostanie, kiedy będzie po wszystkim?

- Miejmy nadzieję, że my. Dziękuję, że mi pomagasz. Śmiertelna pogoń. Droga. O to w tym chodzi. Wraz z upływem lat rozwinąłem w sobie określone moce. Przynależą do ścieżki duchowej, powstają tylko wtedy, kiedy przestają robić na tobie wrażenie i przyjmujesz pełną

odpowiedzialność, która się z nimi wiąże. Zwykły umysł nazwałby je nadnaturalnymi, chociaż po prostu są częścią naszej natury ukrytą przed większością z nas. Jedną z tych mocy jest potężna intuicja. Praca z Horace'em, mająca na celu walkę z Iwnwem pomogła mi wysledzić człowieka pracującego w Brookhaven National Laboratory na Long Island. Mają tam akcelerator cząsteczek oraz wiele innych potężnych urządzeń do zaawansowanych badań fizycznych.

- Słyszałem o tym. Wiem, co zrobiłeś.

- W takim razie wiesz, że dotarłem do tego osobnika i stawiłem mu czoło. Zbudował pewne urządzenie i zamierzał je zdetonować. Ma'rifat'. To miał być atak podobny do tego z jedenastego września, choć o wiele gorszy. Coś w rodzaju Hiroszimy. 14 sierpnia 2003 roku odnalazłem go na Long Island. Walczyłem z nim.

- Wiem o tym. Jak udało ci się zwyciężyć?

- W gruncie rzeczy wcale nie zwyciężyłem. Żyję w pożyczonym czasie. Byłem dość silny, by się ochronić, ale...

Głos mu się załamał. Zacisnął zęby. I znowu Robert poczuł siłę jego woli, która była jak wielki generator. Dudniący. Trzeszczący.

- Nastąpiło splątanie. Dotyczyło mnie, Terri też. Nie byłem dostatecznie czysty. Strach. Poczucie winy. Śmierć mojego brata. Utopił się w starej studni, mówiłem ci o tym? Bawiliśmy się w ogrodzie. Zapasy. Przepychanki. Brat wszedł na spróchniałą drewnianą pokrywę nad studnią, z istnienia której nikt nie zdawał sobie sprawy. Stracił przytomność i utonął. To nie była moja wina. Ale zostawiłem otwarte wrota duszy, między innymi przez wyrzuty sumienia związane ze śmiercią Mossa. Człowiek, którego zabiłem, umierając w wybuchu, złapał mnie i skorzystał z tych wrót. Stał się Minotaurem, zagubioną duszą, psychicznie potężną, acz niezdolną do przetrwania bez innego człowieka. Teraz inne istoty przepychają się przez tę bramę. Iwnw. Minotaur ją dla nich otworzył. Chcą się mną żywić. Wibrują niczym nuty w DNA i wolno je kolonizują, zmieniają mnie. Jestem w pułapce, a oni coraz bardziej naciskają. Boże, pomóż mi, żebym uruchomił drugie urządzenie. Długo nie będę mógł się opierać. To jedyna rzecz, która mi jeszcze pomaga trzymać ich na dystans. - Wyjął z kieszeni skrzynkę złośliwości.

- Dała ci ją Katherine.

- Zrobiła, co musiała.

- Zatem jest tak, jak myślałem. Przekazała ci wszystkie klucze, które znalazłem.

- Są w bezpiecznym miejscu. Do chwili, gdy będą potrzebne. Ten muszę nosić przy sobie.

Robert wpatrywał się w hipnotyzujące światło emanujące z urządzenia, które Adam trzymał w dłoni. Katherine. Jak mogła tak bardzo go zdradzić?

- Widzisz, zrozumiałem, że były dwa bliźniacze urządzenia. To drugie ukryto gdzieś na Manhattanie na kilka dni przed zaciemnieniem. Klucze tam rozmieszczone łączyły oba i stanowiły drogę transmisji energii od męskiego urządzenia, które zniszczyłem, do jego żeńskiego odpowiednika. Tych kluczy szukasz ty i wielu innych.

- Bliźniacze urządzenie, powiadasz. Przetrwało zaciemnienie i jest uzbrojone? Wciąż ukryte na Manhattanie? Musimy je rozbroić?

Adam potaknął, złany potem. Dłonie mu się trzęsły.

- Do rozbrojenia potrzebne są wszystkie klucze. Naturalnie po załadowaniu ich do urządzenia można je również zdetonować. Kilka dodatkowych składników i będzie potężniejsze niż to pierwsze.

- Jakich składników?

- Dowiesz się, kiedy zajdzie taka potrzeba. - Adam skrzywił się z bólu.

- Wytrzymaj, Adamie. Wiem, że dasz radę. Nie poddawaj się.

- Mogę rzecz spowolnić, ale teraz wszystko zależy od ciebie.

- Dlaczego właśnie ja? Horace jest o wiele ode mnie silniejszy. Poza nim muszą być inni.

- Nawet Horace nie jest jednorożcem. Robercie, na świecie jest tylko jeden jednorożec, czyli ty. Walka z Iwnwem jest jak wydawanie nuty czystej i dostatecznie potężnej, by zagłuszyła czy przerwała ich muzykę. Tylko że w tym przypadku to nie jest muzyka, ale modlitwa, medytacja, skupienie duchowej siły, dobroci, altruizmu. Jesteś jedynym, który potrafi tego dokonać. Horace może ci tylko pomóc w pokonaniu części drogi.

Robert zamknął oczy, całą siłą woli przywoływał strzępy i odłamki wizji, których doświadczał, fragmenty mocy i zrozumienia, i łączył je w harmonijną całość; wiedział z całą pewnością, że bez nich nie będzie dostatecznie silny. Wzywał je każdą cząsteczką ciała, później zrezygnował z własnej woli i oddał się cały do dyspozycji Drodze. Próbował złapać Adama za rękę i przekazać mu siłę.

- Walcz, przyjacielu - powiedział.

Adam wywinął się z odgłosem przypominającym warknięcie. Twarz mu pociemniała.

- Najpierw coś ci wyjaśnię. Popatrz na tę stronę internetową.

Wyjął z kieszeni palmtopa, nacisnął jeden klawisz, potem drugi. Quad Roberta otrzymał wiadomość tekstową zawierającą URL. Robert otworzył stronę. Zobaczył ziarnisty, czarnobiały i drgający obraz związanej kobiety siedzącej w absolutnym bezruchu na krześle. Na kolanach miała dziwny pojemnik.

- To Katherine - powiedział Adam. - Jest niedaleko stąd. Pięcioboczny pojemnik, czego na tym etapie możesz się spodziewać, jest szklaną fiolką zawierającą bezwoną i bezsmakową substancję, która wybuchła w zetknięciu z powietrzem. Jak bardzo zły jesteś na Kat?

Robert wyteżył wzrok, próbując ustalić, czy kobietą na małym ekranie Quada rzeczywiście jest Katherine.

- To ona, zapewniam cię. Czy jesteś na nią tak zły, że chcesz, aby umarła?

Robert lewą ręką chwycił Adama za gardło i mocno uderzył jego głową o zielony granit wejścia do wodociągu. Quadem walnął go w skroń.

- Puść ją! Puść albo nie odejdiesz stąd żywy!

Adam niczym wąż uwolnił się z uchwytu; złapał Roberta za rękę i wykręcił ją na plecy. Robert poczuł palący ból w ramieniu. Miał wrażenie, że jeszcze moment i kość mu pęknie. Próbował zrobić krok do przodu, by złagodzić ból, ale Adam pchnął go twarzą na kamień.

- Dzisiaj Katherine zachowała się bardzo niegrzecznie - syknął Robertowi do ucha. - Wróciłem do mieszkania wcześniej, niż się spodziewała, i przyłapałem ją z dwoma częściami piątego klucza, jedną z Asser Levy Park, drugą z tego ogrodu koło obelisku. Odniosłem wrażenie, że ukrywa je, zamiast dać mi. Przysięgała, że nie, ale szczerze mówiąc, nie uwierzyłem jej. - I znowu pchnął Roberta na granit. - Kocham Katherine, zawsze o tym wiedziałeś, nie przestałem jej kochać, ale nie mogę sobie pozwolić na taki brak zaufania do mnie. Nie w sytuacji, kiedy przyjaciele z Iwnwu tak wiele ode mnie oczekują. Poprosiłem ją więc o obie części klucza. Kiedy mi je dała, postanowiłem przypomnieć jej, jak poważna jest cała sprawa. Zrobić mały test, by sprawdzić, jakie postępy poczyniła na Drodze, i pokazać, z czym będziemy mieć do czynienia na końcu. W pojemniku jest tykający zegar. O określonej porze obwód elektryczny zostanie zamknięty i uruchomi się mała dźwignia, która rozbije pojemnik. Podobnie jak w naszej wielkiej gonitwie, Robercie, tutaj też czas się kończy.

Adam puścił go i cofnął się. Nie odrywając wzroku od Roberta, podszedł do zachodniego boku obelisku. Robert podążył za nim. Rozcierał ramię, rozważając, kiedy mógłby ponownie zaatakować i obezwładnić Adama.

Hale miał wszystkie klucze. Robert musi odebrać mu klucz główny, chociaż tym samym pozbawi go ostatniej obrony przed Iwnwem. Zepchnie go z krawędzi, pošle prosto do piekła, bo taki będzie koszt odebrania mu możliwości zdetonowania Marifata.

Robert nie miał innego wyjścia, musiał tak postąpić. Oczyszczył umysł z gniewu na Katherine. Przyznał, że ta emocja istnieje, ale nie pozwolił, by nim zaważnęła.

- Robercie, proszę o uwagę. Czy znane ci jest urządzenie o nazwie przechylny przełącznik rtęciowy?

- Używa się go w bombach samochodowych i systemach grzewczych.

- Tak jest. Niewielka szklana kulka, naturalnie hermetycznie zamknięta, zawierająca kroplę rtęci i dwa druty, które się nie stykają. Pod określonym kątem rtęć przesuwa się ku ściance kulki i nie ma obwodu zamkniętego. Przy zmianie kąta rtęć płynie ku przeciwnej ściance, zamykając obwód. A jeśli jest połączona z materiałem wybuchowym, następuje eksplozja.

- Chryste.

- W pojemniku znajduje się taki przełącznik, bardzo delikatny. Nie wybuchła tylko dlatego, że Katherine potrafi utrzymać go w równowadze.

Robert znowu spojrzął na ekran Quada. Wstrząsnął nim bezruch Katherine. Ledwo odważała się oddychać. Całe jej ciało zastygło w śmiertelnym przerażeniu. Widział głowę pochyloną w skupieniu, gdy dokładała starań, by panować nad każdym drzeniem, każdym skurczem mięśni buntujących się przeciwko nienaturalnej pozycji.

- Ty naprawdę chcesz ją zabić.

- Nie, jeśli znajdziesz sposób na jej uratowanie. Wierzę w ciebie. Wiesz, że nie wolno mi mieć pełnej wiedzy o misji, ale ten element sam wymyśliłem. Zachowałem go na okazję, gdy komuś trzeba będzie zadać pytanie: jak ważna jest równowaga? Jaka jest jej natura? Co się dzieje, gdy ją osiągamy? W jaki sposób ją tracimy?

- Gdzie jest Katherine, Adamie?

- Ucz się widzieć, przyjacielu. Kroczyłem Drogą przed tobą, pamiętaj o tym. Tego nikt nie może cię nauczyć, nie da się tego ująć w słowa, można tego jedynie doświadczyć.

Robert zastanawiał się gorączkowo.

- Chciałbyś dostać jakąś odpowiedź, starszku?

- Tak, ty chory porąbańcu.

- W takim razie musisz za nią zapłacić. Powiedz, dokąd poszła Terri.

- Nie wiem, gdzie ona jest.

- Wiesz, sprawia wrażenie, że bardzo się do ciebie przywiązała. Nie spodobało jej się pojawienie Katherine. Najwyraźniej przestały się lubić.

- Przestały? Powiedziałem, że nie wiem, gdzie ona jest.

- Fatalnie. Sedno tkwi w wyborze, Robercie. Pozostały trzy minuty.

LONDYN, WRZESIEŃ 1990

Pod koniec przedstawienia ktoś z widowni krzyknął do Newtona:

- Pan jest oszustem, sir! Twierdzi pan, że poszukuje boskiej prawdy, a równocześnie uprawia pan czarną magię!

Newton przystanął i odwrócił się w stronę widza.

- Słucham pana?

- Uprawiał pan alchemię. Czarną magię!

Newton wbił w niego lodowaty wzrok.

- Drogi panie, poszukiwanie kamienia filozoficznego nie jest czarną magią. - Przerwał, po czym przemówił do całej widowni: - Tak, to by mnie zrujnowało, gdyby stało się rzeczą powszechnie znaną, żyjemy bowiem pośród ignorantów. Tak więc aby ochronić swoją tożsamość podczas kontaktów z braćmi prowadzącymi owe poszukiwania, używałem pseudonimu. To był anagram mojego nazwiska. ISSACVS NEVVTONVS stał się IEOVA



SANCTVS VNVS. Jedyne Święty Bóg. Musicie jednak zrozumieć: poszukiwacze kamienia filozoficznego zgodnie z ustaloną przez siebie regułą zobowiązani są do prowadzenia życia surowego i religijnego. Wymagana jest pokora. Powiadają, że tajemnica alchemii zawiera się w jednym słowie *vitriol* skrócie którego rozwinięcie brzmi: *Visita interiora terrae, rectificando invenies occultum lapidem*, czyli „Odwiedź wnętrza ziemi, w oczyszczeniu odnajdź ukryty kamień”. A wnętrza ziemi to wnętrza naszych dusz, gdzie musimy oczyścić i wyprostować drogi poszukiwania samych siebie. Ludzie mówią, że bywam kłótlivy, nieobca mi też próżność. Jednakże podążając za tajemnym ogniem świata, pojedynczym centralnym płomieniem, który jest światłem i życiem - w alchemii, w świętych księgach, grawitacji, obliczeniach, naturze światła - byłem pobożny. Dążyłem do takiego stanu duchowej łaski, bez którego procesy alchemiczne są zwykłą... chemią. Modliłem się z całego serca. Przez większość dorosłego życia zgłębiałem alchemię, co było częścią poszukiwań Jedynej Prawdy, Drogi, którą wszyscy zagubiliśmy. Było to poszukiwanie ożywionego ducha, zasady tworzącej porządek, strukturę i życie w akcie stworzenia. Nazywaliśmy ją wieloma imionami: roślinnym duchem, tajemnym ogniem w sercu świata podobnym do tajemnego ognia w sercu Świątyni Salomona. Nazywaliśmy ją kwintesencją, cnotą fermentacji, ciałem światła, kaduceuszem Merkurego, magnezją. Dla mnie była też Chrystusem. Mediatorem. Tym, który wprowadza światło Boga do naszego świata. Kto jednoczy niebo i ziemię, tak jak ja zjednoczyłem niebiosy i ziemię pod moimi stopami poprzez teorię grawitacji... Tak, poszukiwałem kamienia filozoficznego. - Urwał na chwilę. - Ale jest coś jeszcze.

Zrobił krok do przodu i zamasztył gestem ściągnął ciemny obrus ze stolika pod drzewkiem. Na stole wolno obracał się niewielki połyskujący szklany bębenek.

- Znalazłem to.

Widzowie wstrzymali oddech. Katherine ścisnęła Roberta za ramię.

- Wiedzę można użyć w dobrym lub złym celu - mówił Newton. - Posiadacz kamienia może przekształcać materię: tworzyć złoto, leczyć choroby oraz zmieniać istoty ludzkie. Może też uwolnić siły atomowe i psychiczne w złym celu. Zwrócić człowieka przeciwko człowiekowi, brata przeciwko bratu. Uwolnić siły, które zniszczą ziemię. Kamień można wykorzystać do budowy urządzenia, które jest zdolne do takich rzeczy - Wskazał połyskliwy szklany bębenek. - Wykonałem przybliżoną kopię takiego diabelskiego urządzenia. Wirujące soczewki zbudowane z substancji kamienia, skupiające energię kamienia w jego jądrze, wewnętrzne soczewki ułożone w specyficzne geometryczne wzory. Do jego budowy niezbędne są trzy komponenty: kamień i wiedza, jak go użyć, tajemnica przesuwających się soczewek i ogniskowej oraz intensyfikująca moc substancji znanej jako czerwone złoto, Jedyne tego ostatniego komponentu nie mogłem użyć, jest to bowiem substancja niezwykle rzadka, niektórzy twierdzą, że obecnie nie można już nigdzie jej znaleźć. Każdy etap i każdy komponent muszą od samego początku być przepojone najwyższym poziomem oddania duchowego i doskonałości budowniczego, w przeciwnym razie wysiłki pójdą na marne. Pozwólcie, że opowiem wam, jak dokonałem tego odkrycia i jak je utraciłem.

Robert poczuł, jak serce mu się ścisza. Zakazana księga. Katherine powiedziała, że ta księga wywołała pożar. Adam zamierzał odczytać fragmenty tajemnego manuskryptu Newtona.

NOWY JORK, 30 SIERPNI 2004

- Potrzebuję więcej czasu. Zresetuj zegar.

- Nie mogę.

- Czego chcesz od Terri?

Adam prychnął gniewnie.

- Kocham ją. Jest wyjątkowa.

- A Katherine?

- Robercie, drogi Robercie Ją też kocham. Przykro mi. - Nieoczekiwanie Adam wybuchnął płaczem, po policzkach popłynęły łzy bólu. - To za wiele Odejdź. Wynoś się. Zbliża się, o Boże...

Po jego twarzy przemknął cień. Wzrokiem błagając o przebaczenie, gwałtownie zacisnął dłonie na gardle Roberta, który uniósł ręce, by go odepchnąć. Z całej siły walnął Adama pięścią w twarz.

- Powiedz, mi gdzie jest Katherine.

- Idź do diabła.

- Powiedz.

Tym razem Robert wymierzył Adamowi cios w splot słoneczny. Był od niego cięższy i silniejszy.

- Gdzie ona jest?

- Nie mogę powiedzieć.

- Nie jestem twoim wrogiem. Walcz z nimi.

- Ty jesteś moim wrogiem.

- Nieprawda, Adamie.

- Idź do diabła!

Rzucił Adama na balustradę otaczającą obelisk, po czym znowu go uderzył. Hale upadł na trawnik.

Robert skoczył za nim, złapał go za rękę i wykręcił mu ją na plecy, powoli otwierając jego zaciśniętą pięść. W końcu wyrwał skrzynkę złości z dłoni Adama.

- Nie!

Adam uwolnił rękę i z rozmachem wbił łokieć w gardło Roberta. Zerwał się na nogi, przeskoczył ogrodzenie i uciekł. Nim Robert zdążył się pozbierać, Hale zniknął.

Próbował go zawołać, ale na próżno. Z gardła nie dobył się żaden dźwięk. Nie był w stanie mówić.

*Powiedział, że zostały trzy minuty.*

Robert ponownie spojrzął na ekran Quada. Próbował nawiązać kontakt wzrokowy z Kat, chociaż wiedział, że to jednokierunkowa transmisja. Wciąż siedziała nieruchoma jak kamień. Jak długo walczył z Adamem? Nawet nie trzydzieści sekund. Robert wpatrywał się w pojemnik na kolanach Katherine. Wysłał ku niemu myśli. Zamknął oczy i skupił się na jednej tylko myśli: *Równowaga. Czym jest równowaga? Jakie jest jej znaczenie? Co robimy po znalezieniu równowagi? Jak tracimy równowagę?*

Siłą woli zmusił czas, by płynął wolniej wewnątrz pojemnika. By czas i vibracje ustały. Okiem umysłu zmusił temperaturę rtęci do obniżenia się, a jej atomy do wolniejszego ruchu. Zatrzymał ją w umyśle, powoli zamrażając, modląc się, by szklany pojemnik nie drgnął, nim całkowicie jej nie zamrozi. Zobaczył, że Katherine reaguje, unosząc nieznacznie głowę. Na jej twarzy malowało się niedowierzanie i zdumienie.

Robert pomyślał o tłumie na Union Square, który krążył wokół niego, gdy stał ze stopami uniesionymi nad ziemią w doskonałej równowadze, działającego na ludzi niczym biegun, centrum, więżący ich, ale i przez nich więziony.

Pomyślał o tym, co się stało, gdy chciał postawić stopy na ziemi, gdy próbował ustalić miejsce, wokół którego tłum mógłby się obracać. Kiedy walczył z tłumem i upadł. Zrezygnował z własnej woli i pozwolił, by jego zamiary wtopiły się w materię świata.

A potem zobaczył, że rtęć nieruchomieje, że zegar staje. Katherine także to zobaczyła. Uniosła głowę i spojrzała w kamerę szeroko otwartymi oczyma. Jego myśli ucieleśniały się w świetle. Jego zamiar stał się rzeczywistością,

Katherine rozluźniła napięte mięśnie i kiwnęła głową. Uśmiechnęła się. Spuściła wzrok, wykręcając ramiona i tułów, by uwolnić dłonie. Pośpiesznym ruchem wyjęła z torebki długopis i notatnik, zapisała coś, po czym podniosła ku kamerze: dom na Dwudziestej Piątej Ulicy, może przecznicę na zachód. *Piwnica*, napisała.

Robert ruszył biegiem. Budynek znalazł w ciągu niecałych dwóch minut. Była to dziesięciopiętrowa kamienica z cegły z ozdobną żeliwną balustradą od frontu oraz mieszkaniem w suterenie

Z całej siły kopnął w drzwi. Zamek puścił, drzwi z trzaskiem się otworzyły. Robert zobaczył krzesło, na którym wcześniej siedziała jego żona, pojemnik, kamerę. Nie było natomiast Katherine i bomby.

Otworzył pojemnik z nadzieją, że w środku jest część pięcioboku z metalicznego szkła. Znalazł tylko kawałek papieru z nabazgraną pośpiesznie ręką Katherine notką: *Dziękuję ci, kochany Robercie. Ta bomba nie była zabawką. Uratowałeś mi życie. Ale pomimo tego, co Adam zrobił, idę do niego. Wciąż mogę mu pomóc. Kocham cię. Idź do punktu orientacyjnego 067. Natychmiast.*

Robert kopnął w krzesło, potem w gniewie złapał je i rozbił o ścianę. Był przekonany, że Kat umrze, jeśli teraz wróci do Adama.

#### LONDYN, WRZESIEŃ 1990

Szklany bębenek zmieniał kolory, od granatu przez żółcie i głębokie czerwienie przechodził do bieli.

Widownia siedziała jak zahipnotyzowana.

- Znalazłem to, a potem utraciłem.

Adam zrzucił płaszcz i zbliżył się do bębenka, który oświetlił jego twarz od dołu. Wyglądał jak zjawa, groteskowo.

- Pewnego zimowego dnia w styczniu roku 1678 po długich modlitwach i wielu bezsennych nocach pobłogosławiony zostałem sukcesem. Otworzyłem okrągłą formę i w jej środku znalazłem tajemnicę tajemnic, kamień filozoficzny. Od pierwszej chwili wiedziałem, co mam przy sobie. To był dysk. Świecił jak ten bębenek. Jego wewnętrzne warstwy wirowały.

Wśród widzów rozległy się protesty. Syki. Wezwania do spokoju. Oklaski.

- Jak to osiągnąłem? Przez lata pracowałem z metalami przy moim piecu. Przez lata pracowałem też ze szkłem, krusząc soczewki, by zwiększyć ich precyzję. Starożytni mistrzowie mówili: *To jest kamień i zarazem nim nie jest*. Ciecz, ale stała. Mrok, ale światło. I pewnego dnia ujrzałem, że szkło jest płynne. Widzieliście szyby w starych domach, stuletnich i starszych? Szyby są grubsze u dołu niż u góry. Szkło wolno spływa w dół. To ciecz, ale stała. Można ją zrobić z piasku, w który uderzył piorun. To ogień, ziemia, powietrze i woda. Starożytni barwili szkło, mieszając metale i komponenty metalowe z rozgrzanym, połyskującym, żarzącym się szkłem. W naszych wspaniałych katedrach i kościołach wiele jest witraży, będących prawdziwymi arcydziełami. Zacząłem eksperymentować. Zmieniałem temperaturę, wybierałem inną porę dnia, położenie słońca i księżyca, składniki metalowe delikatnie rozgrzewane i chłodzone, szkło uważnie mieszane, rozgrzewane i schładzane. Modliłem się, pościłem, noc za nocą stojąc przy aparaturze

Wymienił listę metali i składników, które wykorzystał, temperatury i etapy procesu, ukrywając je w alchemicznym szyfrze: *zielony lew, biała róża, nasza siarka, księżyc i słońce, król i królowa*.

- Ci, którzy znaleźli kamień - zahuczał Newton - od niepamiętnych czasów ukrywali go na widoku. Ogłaszali sposób, w jaki go znaleźli. Zawsze jednak zostawiali jeden brakujący

element, część przemieszczoną, defekt, który dostrzegali wyłącznie mędrcy. Nie zamierzam odstąpić od tej szlachetnej tradycji.

I znowu rozległy się oklaski.

- Oto, jak przekazujemy tajemnicę. W zimowy wieczór rozbiłem formę. Robiłem to setki razy wcześniej. Ze środka płynęło czyste światło, zorza łagodna niczym miłość, silna jak piorun. Idealny amalgamat szkła i metalu, nie będący ani jednym, ani drugim. Odebrało mi mowę. Wpatrywałem się w swoje dzieło i w duszy usłyszałem takie oto słowa: *Flamma unica clavis mundi*. „Kluczem do świata jest pojedynczy płomień”. Ujrzałem jedną prawdę. Jeden płomień poza i ponad wszystkim innym. Niezmałowane światło na końcu Drogi.

Adam urwał. Sprawiał wrażenie, jakby zamierzał coś dodać. Katherine ścisnęła Roberta za ramię tak mocno, że o mało nie krzyknął z bólu.

- Nie mów tego! - syknęła do siebie, nie odrywając wzroku od Adama. - Zamknij się! Nie mów!

Adam zdecydował, że jednak nie będzie kontynuował. Cofnął się od połyskliwego bębena.

- Z Jedyną Prawdą w myślach pobiegłem z laboratorium do kaplicy, by pokornie podziękować Bogu. Tak, do tej samej kaplicy, w której obecnie możecie oglądać mój posąg. Nie było mnie może z dziesięć minut. I w ciągu owych dziesięciu minut... ponieważ pewna wiedza powoduje pożary, ponieważ ściana ognia otacza nasz świat i ustala granice naszego poznania... świeca spadła pomiędzy papiery i podłożyła ogień pod pracę z wszystkich tych miesięcy, kilku wcześniejszych lat oraz notatki z owego szczególnego dnia. Gdym po powrocie stwierdził, że ogień się rozprzestrzenił, jałem gasić go wodą. A gdy później przeglądałem nadpalone notatki i dokumenty, przekonałem się... iż utraciłem kamień. Pozostała jedna tylko karta z częścią notatek dotyczących mego odkrycia. Niekompletna. Nadpalona. A kamień? Potrzaskana, zniszczona łupina.

Adam sięgnął w fałdy kostiumu i wyjął kartę papieru. Rozwinąwszy ją, przygotował się do głośnej lektury. Kilka osób na widowni wstało, nie odrywając wzroku od dokumentu.

- *Flamma unica clavis mundi* - powtórzył Adam. - O...

Jego dalszych słów nie usłyszano. Zadudnił ogłuszający grzmot, drzewko widowiskowo zapłonęło. Efekt był oszałamiający. Drzewko paliło się z traskiem, ogniem zajął się też bębenek, obrzucając deszczem iskier aktorów i widownię.

Widzowie zaczęli klaskać. Nagły podmuch wiatru podsycił ogień, a potem jego języki skoczyły na aktorów. Przy wtórze okrzyków przerażenia kostium Adama się zapalił. W tym samym momencie dwaj widzowie rzucili się na niego, próbując wyrwać mu drogi cenny dokument z dłoni.

- Iwnw! - zawołała Katherine.

Krzycząc z bólu, Adam kopnął jednego z napastników w brzuch, drugiego uderzył w gardło. Zdarł z siebie palącą się perukę i pobiegł w kierunku kulis. Dwoje występujących z nim aktorów przy pomocy kilku członków Klubu św. Jerzego otoczyło napastników.

Robert zobaczył, że ludzie gołymi rękami gaszą płomień na kostiumie Adama. Razem z Katherine pobiegli ku niemu.

A potem ściana błękitnego ognia wystrzeliła z grupy usiłującej przytrzymać napastników na ziemi. Kilka osób w płonących ubraniach cofnęło się. Ludzie biegali chaotycznie, krzycząc z bólu. Widzowie i najważniejsi członkowie klubu rzucili im się na pomoc, przewracając na ziemię i tłumiąc płomień, inni przynosili gaśnice i ciężkie koce. Później nikt nie wiedział dokładnie, jak to się stało, ale korzystając z zamętu napastnicy uciekli.

Robert i Katherine zobaczyli, że Adam skacze za kurtynę i znika za kulisami.

Rozsunęli kurtynę - ale nikogo tam nie było.

Dziesięć osób musiało poddać się leczeniu z powodu oparzeń. Dwie zostały trwale okaleczone, w tym aktorka, która występowała z Adamem. Nigdy nie przestały go dręczyć wspomnienia z tamtego wieczoru.

Zniknąwszy za kulisami, Adam otworzył drzwi do piwnicy, niewidoczne dla widzów. Planował wykorzystać je w finale: aktorzy mieli wejść za kurtynę, a po jej odsłonięciu, okazałoby się, że „zniknęli”. Teraz jednak wyniósł przez nie drogocenny dokument i ukrył go w bezpiecznym miejscu.

Robert nie miał pojęcia, co właściwie widział. Zinterpretował wydarzenia jako atak z użyciem jakiegoś urządzenia zapalającego albo flar, ale do głowy nie przychodził mu żaden powód.

Razem z Katherine pojechali z Adamem do szpitala, gdzie opatrzone mu niegroźne oparzenia na rękach.

Kiedy później czekali na wiadomości o stanie pozostałych poszkodowanych, Katherine powiedziała:

- Na widowni byli ludzie ochraniający Adama, w przeciwnym razie o wiele bardziej by ucierpiał. Ale byli też tacy, których nie powinno tam być. Jakimś sposobem udało im się przeniknąć do klubu. Nikt z nas ich nie rozpoznał. Chcieli wejść w posiadanie tajemnicy kamienia, ale nie po to, by użyć jej w dobrym celu.

- Kim oni są? Banda podpalaczy? Konkurencyjnym klubem?

- To nie są żarty, Robercie. Najczęściej nazywa się ich Braterstwem Iwnw.

- Iwnw? I co to za bzdury z tą tajemnicą kamienia? Chyba już nie wierzysz w te wszystkie studenckie brednie?

Ujęła go za rękę i ścisnęła, spoglądając mu w oczy.

- Robercie, powinieneś stąd iść. Wracaj do domu. Zaopiekuję się Adamem.

Zdawał sobie sprawę, że odsyła go, by ochronić przed czymś, czego się bała. Nie chciał jej zostawiać.

- Mogę jakoś pomóc?

- Kiedyś, nie teraz. Dobranoc.

NOWY JORK, 30 SIERPNIĄ 2004

Robert szedł na zachód Dwudziestą Trzecią Ulicą, podążając za wskazówkami GPS-u. Gardło pulsowało mu bólem. Czuł, jak siły znowu go opuszczają, gwałtowniej niż przy poprzednich okazjach, mimo to doznanie harmonii wciąż wibrowało w jego ciele i umyśle. Dziwił się temu, co zrobił, koszty nie były ważne. Przede wszystkim uratował Katherine.

Sprzeczne uczucia miotaly jego duszą, gdy przymuszał ciężkie jak ołów nogi, by kroczyły naprzód. Quad kierował go na południowy zachód. Szóstą Aleją doszedł do Dwudziestej Pierwszej Ulicy i skręcił w prawo, mijając mały ponury cmentarz przy hiszpańsko-portugalskiej synagodze. Maszerował na zachód po starej Love Lane, już dawno temu włączonej w siatkę Manhattanu.

Kat wciąż go kochała, teraz był o tym przekonany. Pozostając z Adamem i usiłując wzmocnić umierające drobiny dobroci w jego sercu, podejmowała ogromne ryzyko. Iwnw mógł dotrzeć także do niej; Adam mógł okazać się zbyt silny.

Robert wyszedł na Dziewiątą Aleję naprzeciwko betonowego budynku z lat sześćdziesiątych z łukowym frontonem. Seminarium teologiczne. Ciągające się na północ niewielkie jednopiętrowe oszalowane domy wyglądały, jakby przeniesiono je do Chelsea sprzed stu pięćdziesięciu lat.

Quad wskazywał, że powinien wejść na teren seminarium.

Na Dwudziestej Ulicy Robert znalazł furtkę do rozległego ogrodu. Nie zdawał sobie sprawy, że jest aż tak wielki. Usiadł na ławce na zacisznym dziedzińcu z czerwonej cegły, przypominającym stare zabudowania Cambridge: prawdziwa oaza.

Pozwalał myślom błądzić bez celu, próbując przetrwać to, co przed chwilą się wydarzyło.

Dokładnie naprzeciwko miał kaplicę z panelami na drzwiach przedstawiającymi życie Chrystusa. Po lewej wznosił się piękny kamienny dom z frontonem porośniętym winem, z wieżyczkami-kominkami, ustawionymi pod kątem 45 stopni, sugerującymi istnienie wewnętrznej piątej. Na domu widniał numer 5. Było to miejsce pełne harmonii.

Robert czuł straszliwe wyczerpanie. Przez głowę przepływały mu obrazy z nocy pożaru w pokoju Adama, kiedy losy jego, Adama i Katherine na zawsze się splątały. To wciąż budziło w nim przerażenie. Przez dwadzieścia lat nigdy o tym nie mówił, powstrzymywał się nawet od myśli o tym. Czego wciąż się obawiał?

Odpowiedzi powinien szukać ponad dwadzieścia lat wcześniej, za zamkniętymi drzwiami na końcu korytarza. Po raz kolejny przyznał sam przed sobą, że pomysł otwarcia tych drzwi paraliżuje go przerażeniem i obawą, że za nimi kryją się sprawy, które tłumil przez całe swoje dorosłe życie.

Co było za zamkniętymi drzwiami na końcu korytarza?

Przez dwadzieścia lat opowiadał się po stronie rozumu sceptycznego, wybierał podejście empiryczne. Odrzucał to, co postrzegał jako wytwory wyobraźni, skutki nocnego pijaństwa i seksualnych doznań.

Ale wiedział. Pamiętał postać śmierci unoszącą się nad Adamem i Katherine. Pamiętał, jak na nią patrzył, na paraliżujące oko, emanujące niebiesko-żółte płomyki światła.

Oko przemówiło do niego. Zapytało: Kim jesteś?

A on wiedząc, że przyszło po Adama, odparł: Adam Hale.

Postać zwróciła na niego swój gniew i... zahała się zdezorientowana. Zadrzała i zniknęła.

Robert nie miał cienia wątpliwości, że ją widział i że wszystko, co wydarzyło się tamtej nocy, było rzeczywiste. Posiadał dar, który rodzice próbowali w nim zdławić, kierowani miłością i obawą przed tym, dokąd go to może zaprowadzić. A on, czując moc swego daru, wzdragał się z przerażenia.

Teraz to sobie uświadomił: nie był jeszcze gotowy. Horace, Katherine i Adam postępowali słusznie, chroniąc go. Ogarnęła go wdzięczność, potężne poczucie jasności i celu. Za taką miłość trzeba odpłacić. Teraz nadeszła pora, by odsunąć strach i w pełni stać się sobą. Naginać wydarzenia do swojej woli. Dla dobra tych wszystkich, którzy go potrzebują. Pora, by odzyskać swój dar.

Quad zadzwonił. Nadeszła wskazówka.

Odnajdź moc pięciu, jeśli chcesz zachować nas przy życiu

Znaki doprowadzą cię do winorośli

Dobrej rady udzieli dym z północno-wschodniego komina

Utwierdzi wolę twą, nie czyniąc zła

Uległość pokaże ci drzwi

W istocie rzeczy szukaj równowagi

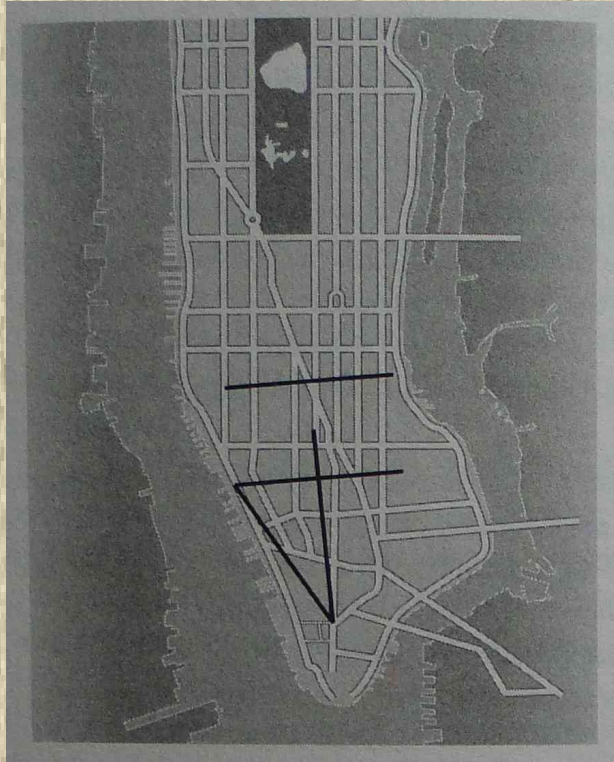
Robert podszedł do kamiennego domu i zaczął kopać w ziemi koło prawego komina, pod winoroślą. Głębiej wcisnął dłonie i znalazł plastikowy pojemnik po filmie. Niewielki szklano-metalowy kształt. Fragment pięciościanu.

Powlókł się z powrotem do ławki i niemal stracił przytomność.

Każdą cząsteczką swej istoty chciał zmusić się do wstania, chronienia Katherine, uratowania ich wszystkich, powstrzymania detonacji. Z drugiej zaś strony rozpoznawał wzór: po zdobyciu każdego kolejnego klucza i wykorzystaniu nowej mocy musiał odzyskać siły, przetrwać to, czego się nauczył. Musiał udowodnić, że to zrozumiał.

Z trudem wstał. Zdołał złapać taksówkę, zgadzając się na słoną opłatę do New Jersey. Przez całą drogę do domu spał.

Przekroczywszy próg, poszedł do gabinetu. Wziął linijkę, pinezki i nitkę, po czym narysował najnowszą wersję kształtu, który formował na mieście i w swojej duszy.



Przeprowadził też linię od obelisku u św. Pawła przez pomnik Wortha naprzeciwko Flatirona i dalej na północ...

- A niech mnie diabli - powiedział na głos. - Horace, musimy pogadać.

Zadzwoił, ale Horace nie odebrał. Włączył radio, by posłuchać najnowszych wiadomości.

W tym dniu rozpoczynała się konwencja. Przemawiać mieli senator John McCain i były burmistrz Rudy Giuliani. Rano NBC wyemitowała wywiad z prezydentem Bushem, w którym stwierdził on, że nie wie, czy można wygrać wojnę z terroryzmem. Teraz gorączkowo próbowano wyjaśnić, co właściwie miał na myśli.

Robert zapadł w drzemkę. W pewnym momencie usłyszał Giulianiego:

- Jedenastego września to miasto i cały naród stanął wobec najgorszego ataku w naszej historii... Tamtego dnia musieliśmy spojrzeć w oczy rzeczywistości. Dla mnie, który pod wieżą północną spoglądam w górę i widzę piekielne płomienie, a potem pojmuję, że patrzę na człowieka, istotę ludzką skaczącą ze 101 lub 102 piętra, była to chwila uświadomienia sobie, że mamy do czynienia z czymś wykraczającym poza wszystko, co dotąd znaleźliśmy... Wierzyliśmy, że ataki zostaną powtórzone tamtego dnia i w dniach następnych.

Robert wrócił myślami do dnia, gdy runęły wieże. Przypomnił sobie swój strach. Przypomnił sobie gniew. Zajrzał głęboko w swoje serce. Walczył z różnymi ludźmi, ale ciągle nie znał odpowiedzi na pytania: Jak zrozumieć, nie tłumacząc? Jaka powinna być odpowiedź na nienawiść? Jaka broń przeciwko złu?

Włączył komputer, otworzył stronę i napisał:

Co powiedział mi piąty schowek

*Bądź pogodą sam dla siebie, poprzez zamiar.*

*Dzisiaj zrozumiałem to zdanie.*

*Postępując Drogą, musimy zrównoważyć siły ziemi, wody, powietrza i ognia. Punkt równowagi podlega nieustannej zmianie. Kurczowe trzymanie się jednego z tych punktów rozedrze nas na dwoje. Równowagę trzeba osiągać nieustannie, w przeciwnym razie zniszczy sama siebie. Jeśli zjednoczymy się z przyprawami i ruchami natury, zyskamy jej siłę, a nawet będziemy mogli ją kanalizować i nią kierować. Oto moc eteru: dostrzeganie związków pomiędzy wszystkimi rzeczami oraz naszą łączności z nimi.*

*Istnieje żywa, ruchoma granica pomiędzy porządkiem a nieporządkiem, punkt, w którym dochodzi do aktu stworzenia. Moja wola potężnieje w procesie osiągnięcia równowagi. Moje zamiary stają się prawdziwe. Tworzę własną pogodę. Zaczynam wpływać na otaczającą mnie rzeczywistość. Jednakże siły eteru nie mogą być użyte dla zaspokojenia własnych potrzeb, bo zwróci się przeciwko mnie.*

*Dzisiaj po raz pierwszy poczułem, że istnieje możliwość, nie, konieczność odplacenia Iwnwowi inną walutą niż ich własna. Dojrzałem możliwość - nie, znowu konieczność - odnalezienia takiej broni, której nie mogą przekształcić w paliwo napędzające ich siłę. To niemożliwe, a równocześnie nie do uniknięcia. Nie do pomyślenia, a zarazem pewne: jedynie przebaczenie może powstrzymać detonację Ma'rifat'a. Ale musi to być potężna forma wybaczenia. Chcę zniszczyć Iwnw.*

Po kilku minutach na stronie pojawił się komentarz:

*Robercie, wybór, jakiego należy dokonać, jest następujący: czy zdecyduję się połączyć moją wolę, moją zdolność do współtworzenia świata, z własnymi pragnieniami, strachami i potrzebami, z pożądanym przeze mnie osobiście rezultatem? Albo też czy zdecyduję się na zaufanie i połączenie mojej woli z wolą boską, z wolą Drogi bez względu na to, dokąd ona prowadzi, na stłumienie własnych pragnień, włącznie z fundamentalnym pragnieniem życia?*

*Iwnw można pokonać jedynie poprzez miłość. Nawet ty nie znajdziesz dość miłości, by pokonać ich na zawsze. Możemy jednak przeszkodzić im w realizacji obecnej pracy. Przeszedłeś Próbę Eteru. Spisałeś się doskonale. Jednakże grozi nam wiele niebezpieczeństw. Bądź gotów. Jutro przynosi ze sobą przedostatnią próbę. Stróż*

Miłosna pieśń męczennika: budowa Ma'rifat'a

*Tak jak mnie potraktowano, nie powinno traktować się psa, tym bardziej człowieka.*

*Wsadzili mnie do furgonetki, gdzie natychmiast założyli mi kaptur i podali środki odurzające. Poczulem ukłucie w ramię i straciłem poczucie czasu.*

*Wiem, że wyciągnięto mnie z furgonetki i przez kilka minut stałem na otwartej przestrzeni, wdychając świeże powietrze. Nadgarstki związano mi plastikową taśmą. Wyczuwałem zapach, który wydawał mi się zapachem benzyny. Potem wsadzono mnie do samolotu.*

*Próbowałem krzyknąć, że jestem obywatelem amerykańskim, ale w odpowiedzi uderzono mnie w uszy i głowa zadudniła mi bólem. To przerażające, kiedy cię biją, gdy nic nie widzisz i jesteś związany. Nie ośmieliłem się ponownie otworzyć ust.*

*Zawsze wiedziałem, że Mukhabarat w mojej ojczyźnie i krajach ościennych bez skrupułów torturuje więźniów. Nauczyłem się jednak wierzyć, że Mukhabarat amerykański nie istnieje.*



*Nie wiem, kto mnie przesłuchiwał, ale z pewnością nie było to FBI Eliota Nessa. Nie sądzę, by to w ogóle miało miejsce w Ameryce. Jestem jednak przekonany, że przesłuchiwali mnie Amerykanie. Wystarczająco długo żyłem pośród nich.*

*Przetrzymano mnie nagiego z kapturem na głowie w pomieszczeniu tak zimnym, że nie potrafiłem powstrzymać dreszczy. Moje genitalia się skurczyły. W przerwach, których nie mogłem przewidzieć, słyszałem trzask otwieranych drzwi i czułem zapach perfum. Kobięce głosy po angielsku i arabsku wymieniały uwagi o moich miniaturowych genitaliach. Śmiały się ze mnie, kpili.*

*Zagłębiłem się w siebie i dotarłem do samego jądra mojej godności i próbowałem zachować siebie. Jeśli przekazałem jakieś tajemnice, czyniłem to, by ochronić mego błogosławionego ojca. Usiłowałem zminimalizować potencjalną szkodę wywołaną moimi czynami. Z własną woli poniosłem klęskę przy rekrutowaniu kolegów, wołałem to niż uczyć się, jak kompromitować i szantażować innych ludzi. Nie zgrzeszyłem, choć bez wątpienia złamałem prawo.*

*Jednakże byłem Arabem, fizykiem nuklearnym. Badaliśmy potężne energie, ale nie można było wyprodukować broni atomowej w naszym laboratorium. W każdym razie nie przy zastosowaniu zachodniej nauki.*

*Nikogo jednak to nie obchodziło. Arabski szpieg w laboratorium atomowym. Trzeba dać mu nauczkę.*

*Usiłowałem wykorzystać swój puls do odmierzenia upływających godzin. Ale czas raz wydawał się pędzić, kiedy indziej zaś włókł się jak w letargu. Myślę, że dodawali czegoś do jedzenia, w ten sposób pozbawiając mnie zmysłu orientacji.*

*W nieprzewidywalnych okresach włączali głośną, agresywną muzykę. Potem następowała cisza, czasami przerywana przez mężczyzn wpadających do celi i krzyczących na mnie bez ładu i składu, czasami przychodziły kobiety, a czasami dawano mi spokój.*

*Raz w celi było krzesło, a raz nie. Zwykle miałem posłanie, choć bywało też, że mi je zabierano. Potrzeby fizyczne załatwiałem do wiadra, które ciągle przestawiali, dlatego gdyby nie odór, nie wiedziałbym, gdzie ono jest.*

*W końcu zdjęli mi kaptur i zaczęli przesłuchiwanie. Zobaczyłem kobiety, które wcześniej kpili ze mnie; teraz przyglądały mi się pogardliwie. Wszyscy ubrani byli na czarno i nie nosili żadnych oznak. Czasami kobiety miały na sobie lekarskie fartuchy.*

*Od razu powiedziałem im prawdę, całą prawdę, pominąłem tylko moje studia nad naszą czcigodną tradycją. Nie musieli wiedzieć o takich sprawach, zresztą nie wykazywali najmniejszego zainteresowania tymi kwestiami. Nie wierzyli, kiedy mówiłem im prawdę: że przekazywałem tajemnice wywiadowi, chociaż nie byłem pewien, którego kraju.*

*Powiedziałem im o moim ojcu, o tym, jak z własnej woli przyjąłem zachodni styl życia i myślenia, o miłości do kobiety, która okazała się ich agentką.*

*Rozgniewali się i czasami wymierzali mi klapsy. Nigdy nie bili mnie pięścią. Ale dostawać mocne klapsy, gdy jest się nagim i przemarzniętym, być wyśmiewanym przez kobiety i mężczyzn, czuć całkowitą samotność i bezbronność - to przygnębiające i upokarzające. Czuję się jak mały chłopiec.*

*Godzinami, które wydawały się dniami, zmuszano mnie do kucania w pozycji, w której powoli całe ciało ogarniał dotkliwy ból. Kiedy chciałem się poruszyć, policzkowali mnie, sychali mi głowę gwałtownie w dół, obrzucali obelgami i kpili ze mnie, i znowu zmuszali do przyjęcia poprzedniej pozycji.*

*Wciąż mówiłem im prawdę. Nic więcej nie miałem do powiedzenia. Ich gniew wzrósł.*

*Przychodzili różni ludzie. A potem mnie złamali.*

*Zrobili mi to, co robili strażnicy w Abu-Gharib.*

*Sprowadzili innych więźniów. Kazali nam siedzieć jeden na drugim, odgrywać akty, których nie będę opisywał, przyjmować upokarzające pozycje.*

*Sprawdzili psy. Złe, dzikie psy, nad którymi sami ledwo panowali, szalały kilka cali od mojej twarzy. Z przerażenia oddałem mocz na siebie. Śmiali się i powiedzieli, żebym zaczął mówić prawdę.*

*Dla kogo naprawdę pracowałem? Jaką rolę pełniłem w Al-Kaidzie? W jaki sposób wykorzystano moją wiedzę o fizyce nuklearnej? Gdzie jest bomba? Czy była jakaś bomba? Co wiem o pieprzonych bombach ?*

*Po przesłuchaniu, które wydawało się trwać godzinami, jeden z nich powiedział mi, że w gruncie rzeczy wszystko sprowadza się do zdania: „Mój Bóg jest silniejszy od twojego Boga”. Tak to ujął. A potem tuż przed moją twarzą otworzył Koran i rzucił nim o ścianę.*

*Co jakiś czas wybuchałem nieopanowanym płaczem z powodu blahostek.*

*Grozili, że przeniosą mnie do innego kraju, gdzie nie będą traktować mnie dobrze. Powiedzieli, że wszystko, czego tu doświadczyłem, było zgodne z prawem i zaaprobowane przez władze. Mogli wysłać mnie do kraju, gdzie nie będą tacy delikatni.*

*Po raz kolejny powiedziałem, że jestem obywatelem amerykańskim. „Nie dostałem takiej informacji” odparł jeden ze śmiechem.*

*Zgodnie z naszą tradycją, którą przekazali mi ojciec i dziadek, istnieją różne poziomy rozwoju duchowego i zrozumienia, czasami wyrażające się w formie różnokolorowych organów na klatce piersiowej lub innych częściach ciała, czasami jako mistyczne ciała emanujące z naszego ciała fizycznego, a czasami jako właściwości prorocze. Nazywane są lata 'if co oznacza „subtelności”. Teraz zacząłem je z siebie wydobywać, by zapisać poziomy mej destrukcji.*

*Sprawili, że czułem się odsunięty od Boga: akhfa.*

*Oślepił mnie na miłość Boga: khafi.*

*Zmusili mnie do ujawnienia najgłębiej skrywanych tajemnic: sirr.*

*Zniszczyli mego ducha: ruh.*

*Zabili współczucie w moim sercu: qalb.*

*Zredukowali mnie do mojej prymitywnej, zwierzęcej istoty: nafs.*

*Wzbudzi we mnie strach przed fizyczną destrukcją: rozbili mój qalib, formę, która kształtuje nasze ciała. Od tego wywodzi się słowo „kaliber”.*

*W dniu, gdy sprawili, że czułem się, jakbym tonął, bo raz po raz ogarniał mnie paniczny strach przed śmiercią, wiedziałem, że utraciłem godność.*

*Próbowałem powiedzieć im wszystko, co chcieli, bym powiedział. Na każde pytanie udzielałem odpowiedzi. Przekazałem im wszystkie tajemnice naszej czcigodnej tradycji, które znałem. A oni wciąż mi nie wierzyli. Śmiali się. Dręczyli mnie.*

*Poddałem się. Postanowiłem, że umrę. Pragnąłem śmierci.*

*I wtedy właśnie zyskałem moc potrzebną do uruchomienia Ma'rifat'a.*



## 6

### Próba Umysłu

LITTLE FALLS, 31 SIERPNIĄ 2004

Quad zadzwonił, co znaczyło, że Robert otrzymał nową wiadomość.

Na biurku zawibrował też telefon komórkowy

- Robert? Mówi Horace. Musimy się spotkać.

- Czy to dla ciebie bezpieczne?

- Nic nie jest już bezpieczne. Robimy, co musimy robić.

- Muszę ci opowiedzieć o pewnych sprawach. Pokazać ci. Dziękuję za to, co zrobiłeś z oskarżeniem mnie. Jak ci się to udało?

- Wyjaśnię, kiedy się spotkamy. O jedenastej na Grand Central pod zegarem. Mamy wiele do zrobienia, a czasu ucieka. Idź do punktu orientacyjnego.

- Horace, bardzo się boję o Katherine. Przy Adamie grozi jej niebezpieczeństwo.

- Poleciłem jej, by przebywając blisko Adama, zgromadziła i ukryła tyle kluczy, ile potrafi, ale zaczyna wyczerpywać ją obecność Iwnwu. Masz rację, jest w niebezpieczeństwie. Staje się podatna na sugestie Adama, jednakże jej bliskość jest jedyną rzeczą, która pozwala mu jeszcze się opierać. Na razie musi z nim pozostać.

GPS pokazał punkt orientacyjny na Pierwszej Alei, blisko gmachu Narodów Zjednoczonych. Robert miał akurat tyle czasu, by dotrzeć tam przed spotkaniem z Horace'em.

- Jeśli spóźnisz się więcej niż pięć minut, odejdę - powiedział Horace. - W takim przypadku spotkamy się o dwunastej w kościele św. Tomasza na Piątej Alei.

- Będę o jedenastej.

Robert pojechał w kierunku Manhattanu. Drapacze chmur połyskiwały na horyzoncie niczym miniaturowe, które stawał na mapie w swoim gabinecie.

Musiał się dowiedzieć, co jeszcze wydarzyło się w dniu zaciemnienia. Wszystko się z tym wiązało.

Robert pamiętał, że to był piękny letni dzień. Dzień bez sensacyjnych wiadomości. Rano był w biurze, zajmował się codziennymi administracyjnymi sprawami. Koło południa zapanowała śmiertelna nuda. Potem zadzwoniła Katherine z pikantną propozycją; czasami coś takiego robili. Wynajmą pokój w hotelu, zjedzą późny lunch, zamówią szampana i będą się kochać. Wieczorem pójda na kolację i może do teatru.

- Myślałem o tym samym - powiedział Robert.

O drugiej po południu byli już w hotelu. Kochali się po raz drugi, gdy o czwartej zgasły światła. W trakcie tych hotelowych randek zawsze przeżywali seks intensywniej, a tym razem Katherine wzmocniła jeszcze doznania, recytując zaklęcia magiji seksualnej, które wypowiedziała podczas ich pierwszej wspólnej nocy wiele lat temu. Robert przestraszył się, ale szybko go uspokoiła.

Oboje szczytowali, gdy nastąpiło zaciemnienie. Katherine, wstrząsana orgazmem, otworzyła oczy i stłumiła okrzyk, który przez ułamek sekundy wyrażał bardziej przerażenie niż rozkosz. Robertowi przez głowę przemknęła seria obrazów tak gwałtownych, że cały stężał, wciąż pozostając głęboko w jej wnętrzu.

Zobaczył pasma intensywnego białego światła wiążące go z Katherine, Katherine z Adamem, Adama z inną kobietą, której twarz była ukryta. Wszyscy byli zjednoczeni w tańcu ognia. Do ich postaci rozbłyskujących przed okiem jego umysłu dołączył bezkształtny cień, a potem ktoś jeszcze, dziecko.

Katherine nigdy nie była w stanie powiedzieć mu, co zobaczyła w chwili przerażenia. Robert wiedział teraz, że drugą kobietą była Terri. Oboje odebrali sygnały z momentu splątania, gdy Adam, Terri i budowniczy Ma'rifat'a dołączyli do kręgu Katherine, Roberta i Adama, który powstał ponad dwadzieścia lat wcześniej. Robert wierzył, że cień dziecka był małym Mossem, a w każdym razie możliwością małego Mossa kilka minut po poczęciu.

Teraz jednak, gdy jechał na Manhattan, nowe obrazy i słowa pojawiły się znienacka w jego świadomości: dziecko Terri, dziecko Terri. To nie miało sensu. Zobaczył podział komórek w ciele Terri, który rozpoczął się w dniu, gdy się kochali, ale te obrazy pochodziły sprzed ponad roku.

Po gwałtownych wizjach w chwili zaciemnienia Katherine i Robert odsunęli się od siebie i leżeli, ciężko oddychając. Początkowo żadne nie zauważyło, że nie ma prądu, zresztą nic ich to nie obchodziło. Kiedy zdali sobie z tego sprawę, pomyśleli, że w hotelu była awaria, może nawet tylko na ich piętrze. Potem zadzwonił telefon komórkowy Roberta.

- Gdzie jesteś, szefie? - zapytał Ed, jego asystent. - Wysiadł prąd.

- Tutaj też. Jestem pięć przecznic od biura. Włączył się zapasowy generator?

- Tak, wszystko w porządku. Monitory tylko zamigotały. Ale poza tym nie mamy prądu ani telewizji kablowej. Zaraz, zaraz. Nie ma świateł na Times Square.

- To atak?

- Sprawdzamy. Koło Narodów Zjednoczonych dymi się transformator. Szefie, musisz wrócić. Prądu nie ma w Brooklynie, w Queens... cholera jasna, prądu nie ma w Bostonie. To poważna sprawa.

- Już jadę.

Robert pamiętał, że spojrzał na Katherine. Była blada niczym duch.

Wszedł do biura, gdy rzecznik policji oświadczył, że nie podejrzewają ataku. Jednakże zasięg awarii wciąż się rozszerzał. Prąd wysiadł w części Kanady. We wszystkich północno-wschodnich stanach. Tysiące ludzi zostało uwięzionych w metrze. Robert organizował relacje, tak jak robił to jedenastego września. Wysyłał ekipy reporterów. Wyznaczał głównych reporterów. Łączył się z oddziałami. Dziennikarzy mieszkających na Manhattanie posyłał do domu, żeby odpoczęli i rano stawili się do pracy. Koordynował pracę administratorów, elektryków, związków zawodowych, działu finansowego. Z technikami ustalał, na jak długo wystarczą zapasowe generatory.

Kiedy początkowy strach przed atakiem ustąpił, nowojorczyki dostosowali się do nowych warunków. Ludzie spali na ulicach. Odbywały się przyjęcia. Liczba popełnionych przestępstw spadła. Robert dotrzymywał przez jakiś czas towarzystwa dziennikarzom z nocnej zmiany, a około trzeciej nad ranem wrócił do hotelu z czterema pracownikami, którzy nie mogli wrócić do domu. Katherine przyjęła ich życzliwie i pozwoliła przespać się w ich pokoju.

Jazda przez Manhattan w trakcie odbywającej się konwencji republikanów była prośbieniem się o kłopoty. Robert zaparkował na West Side blisko Dziewiątej Alei i z Times Square pojechał metrem na Grand Central, a następnie pieszo pokonał trzy i pół przecznic dzielące go od gmachu Narodów Zjednoczonych.

Przechodząc na końcu Czterdziestej Drugiej Ulicy na Pierwszą Aleję, sprawdził Quada. Urządzenie skierowało go w lewo, a w chwili gdy Robert ruszył, zaczęło wyświetlać komunikat: „Zbliżasz się do celu”. Po prawej miał potężną zielono-niebieską bryłę gmachu Narodów Zjednoczonych i East River, a przed sobą - połyskliwą srebrną igłę, wznoszącą się w miniaturowym parku, którego północny kraniec był zamknięty długim łukiem muru

oporowego z ciężkich kamiennych bloków. Kręte schody przy murze prowadziły na Czterdziestą Trzecią Ulicę, do małego miasta w mieście o nazwie Tudor City. Na murze umieszczono cytat z Księgi Izajasza, wypisany złotymi literami:

*Wtedy swe miecze przekują na lemiesz, a swoje włócznie na sierpy. Naród przeciw narodowi nie podniesie miecza, nie będą się zaprawiać do wojny.*

Punkt orientacyjny znajdował się przy Murze Izajasza.

Robert zastanawiał się nad jakimś manewrem, dzięki któremu sprawdziliby, czy ktoś się go tu spodziewa albo obserwuje - takim jak gwałtowna zmiana kierunku albo rzucenie się w kierunku taksówki, bo wtedy zobaczyłby, kto mimowolnie podskakuje, pozbawiając się anonimowości z nagłego strachu, że go straci - ale uznał, że to bez sensu. Nic nie jest bezpieczne. Robimy, co musimy zrobić. Dar, którego przez całe dorosłe życie tak bardzo się obawiał, ujawnił się w jego osobowości. Robert był doskonale widoczny dla każdego, kto musiał go zobaczyć, niech więc wióry lecą, gdzie powinny. Jeśli ktoś teraz by go zaatakował, nie poddałby się bez żartowej walki.

Zabrzączał Quad. Wiadomość tekstowa od Stróża:

Następna cyfra, by znaleźć fant  
Szukając seksu, znajdziesz przeklęte sześć  
Idź za przeczuciem, a wiele zyskasz  
Pod numerem jeden bitwa jest wygrana  
Aby trafić do swoich  
Przejdź Próbę Umysłu

Robert podszedł do srebrno-stalowego obelisku. Widniał na nim napis: *Pokój tworzy liczbę jeden*. Była to cyfra - jeden wyciągnięty palec, podobnie jak obelisk Emmeta u św. Pawła. I obelisk stał w parku noszącym nazwę dyplomaty nazwiskiem Bunche.

Ukląkł i przyjrzał się podstawie rzeźby Przeszukał świeczniki i kwiaty pozostawione tutaj przez ludzi odpowiadających nocne pokojowe czuwania naprzeciwko gmachu Narodów Zjednoczonych. Wsunął palce w szczeliny u podstawy pomnika. Koniuszkami wyczuł kolejny pojemnik na film w plastikowym worku na śniadanie, przyklejony taśmą. Wyjął go delikatnie i otworzył. W środku była tylko kartka papieru z wiadomością napisaną wielkimi literami: ZACZYNASZ PRZEGRYWAĆ.

- Cholera!

Robert zmiażdżył pojemnik w dłoni, przeklinając na głos. To musiała być Katherine. Tylko ona i Horace znali punkty orientacyjne. Czy oddała klucz Adamowi? Czy zmusił ją do tego? Robert poczuł, jak żołądek ściska mu się ze strachu.

Potaął twarz obiema dłońmi. Przynajmniej ma główny klucz, skrzynkę złości. Bez niego nie mogą przecież zdetonować broni?

Uświadomił sobie, że zostało mu kilka minut, jeśli chce spotkać się z Horaceem. Pobiegnął na Czterdziestą Drugą i tam skręcił w prawo, kierując się na zachód ku śródmieściu.

Parabole i odwrócone V połyskliwej wieży Chrysler Building wznosiły się w niebo tuż przed nim, przywodząc na myśl prostokątne fale na stawie. Kiedyś Robert szedł tą ulicą z Horace'em, podziwiając arcydzieła stylu art deco, które lśniły niczym kamienie szlachetne: News Building, Chrysler Building, Chanin Building. Przed Chryslerem rozmawiali o zamkniętym tarasie widokowym, legendarnej elegancji Cloud Club na ostatnim piętrze oraz dziwnie ciasnych, zakrzywionych przestrzeniach na samej górze gmachu; Horace jako jeden z nielicznych dostąpił przywileju ich zwiedzenia.

- Pomieszczenia na samej górze otwarte są dla żywiołów, wyczuwasz podmuchy wiatru. Wieża sprawia wrażenie kruchej, ale jest niezwykle mocna - mówił Horace. - Mało kto o tym wie, ale wiele scen do kultowego filmu Q Larry'ego Cohena kręcono we fiali. Film był jakas

straszliwą bzdurą o pierzastym wężu Quetzalcoatlu, który miał tam gniazdo. Wyruszał na łowy i pożerał tych, co opalali się na dachach wieżowców Manhattanu.

- Z twojego tonu wnioskuję, że nie przypadł ci do gustu, Horace.

- Kompletnie brednie, chociaż ten Quetzalcoatl-człowiek, kapłan religii tolteckiej, to ciekawa postać. Przyjrzyj się dobrze dekoracjom kanałów wentylacyjnych. Jeśli chcesz, możesz wziąć moją lornetkę.

Robert posłuchał.

- Wyglądają, jakby miały skrzydła?

- Tak, skrzydła Merkurego albo Hermesa, jak nazywali go Grecy. To samo zobaczymy na Grand Central. Wszędzie Hermes i rzeźbione koła z jego skrzydłami. Wiesz, tu chodzi o prędkość. Rączy posłaniec.

Robert miał wrażenie, że tamta niewinna przechadzka z Horace'em miała miejsce dawno temu. Starszy mężczyzną mówił o wszystkich zamkniętych tarasach widokowych na Manhattanie.

- Tak wiele w nas strachu. Powinniśmy je wszystkie otworzyć. W wieżowcu Woolwortha, Chanina, Chryslera, we Flatironie. A zwłaszcza w Rockefeller Center. Boimy się, co zobaczymy tam wysoko?

Teraz Robert rozumiał, że Horace mówił o czymś więcej niż tylko ostatnich piętrach nowojorskich wieżowców. Sam znajdował się na krawędzi - jeszcze krok i zobaczy prawdziwie rozległe widoki i położone wysoko miejsca, które Horace miał na myśli: te w jego własnej naturze.

Przeszedł na drugą stronę Lexington Avenue. Dziewięć przecznic dalej na północ mieściły się biura GBN, do których nie miał najmniejszej ochoty wracać.

Wreszcie dotarł na dworzec Grand Central. Już miał wejść do środka, kiedy Quad zadzwonił. Wiadomość tekstowa: „Nowy punkt orientacyjny: X87”.

GPS poinformował, że punkt mieści się wewnątrz Nowojorskiej Biblioteki Publicznej, oddalonej o kilka przecznic na zachód.

Za trzy jedenasta. Robert pobiegł w kierunku punktu informacyjnego pod czterobocznym zegarem. W wielkim holu dworca roilo się od ludzi, którzy przemierzali go w różnych kierunkach stałym strumieniem, pozbawionym gorączkowości godzin szczytu.

Poczuł dłoń na ramieniu i odwrócił się. To był Horace.

- Spotkamy się w konfluencji Czasu i Informacji - powiedział, wskazując znak nad punktem. - Porozmawiamy idąc. Jest tu ktoś, kogo wolelibyśmy nie widzieć.

Robert rozejrzał się, choć nie wiedział, czego właściwie szuka, podczas gdy Horace zdecydowanym gestem ujął go za łokieć. Skierował go na północ, ku peronom. Weszli w korytarz oznaczony jako „Pasaż północno-wschodni”. Robert wyjął z kieszeni małą paczuszkę.

- To główny klucz - powiedział, podając ją Horaceowi. - Wczoraj odebrałem go Adamowi. Obawiam się, że tym samym pozbawiłem go ostatniej obrony przed Iwnwem.

Horace pośpiesznym gestem wsunął paczuszkę do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Dzięki Bogu. Świetna robota. Zyskujemy trochę czasu, ale oni mają resztę. Nie zatrzymuj się.

- Kto tu jest, Horace?

- Widziałem członka Iwnwu. Jestem o tym przekonany.

Robert obejrzał się. Nikt ich nie śledził.

- Jak wygląda?

- Białe włosy, mniej więcej w moim wieku. Teraz posłuchaj. Musimy porozmawiać. Po pierwsze Adam. Katherine wciąż przy nim jest. Pomoże mu.

- Wczoraj próbował ją zabić.

Horace spojrzał na niego, uśmiechając się nieznacznie.

- Tak, istotnie. Ale dzięki temu dokonałeś sporego postępu na Drodze. Może nie posunął się tak daleko, jak sądzisz. A teraz uważaj. W tych pasażach jest bardzo interesujące dzieło sztuki. Nosi nazwę „Tak wysoko, jak nisko”. Pouczające będzie zbadanie kilku jego fragmentów. Proszę, relacjonuj. Jak rozumiesz całą tę sytuację?

Czy to możliwe, że Adam prowadzi podwójną grę? A teraz Horace powtarzał wers z listu, który Robert otrzymał od anonimowego krewniaka, kiedy studiował na uniwersytecie.

*Tak wysoko, jak nisko, tak w środku, jak na zewnątrz.*

- Pozwól mi się zastanowić.

- Intelkt nic ci tu nie da - odparł Horace. - Samo myślenie nie wystarczy. Wejrzyj w siebie i powiedz, jakie odnosisz głębsze wrażenie. Wykorzystaj wszystkie poziomy umysłu.

- Ostatni punkt informacyjny. Klucza nie było. Myślę, że wzięła go Katherine.

- Tak.

Za ich plecami rozległy się kroki. Robert obejrzał się i zobaczył dobrze wyglądającego starszego mężczyznę w ciemnym garniturze, który nieśpiesznym krokiem szedł za nimi.

- Jest z Iwnwu?

Horace potaknął.

- To ten, którego widziałem. A tam, gdzie jest jeden, zwykle są trzej. - Spojrzał przed siebie, ale nikogo nie było. - Musimy szybko załatwić naszą sprawę. Może nie rozumiesz sekwencji moich pytań, ale muszę przygotować cię na następną próbę i powiedzieć ci o paru rzeczach, a także ocenić twój poziom zrozumienia. Znasz szepczące łuki tu, na Grand Central?

Na niższym poziomie znajdowało się kręte, sklepione pomieszczenie z łukami wyłożonymi mozaikami Guastavina, w którym o każdej porze dnia trwał niepokojący dla niewtajemniczonych spektakl: mężczyźni i kobiety przyciskali twarze do kolumn w rogach niczym odbywające karę dzieci. W tym miejscu można bowiem było porozmawiać szeptem z osobą stojącą przy kolumnie po przekątnej na drugim końcu sali. Bezcielesne głosy dobiegały wyraźnie, odbijając się echem ponad głowami rozmawiających.

- Znam.

Robert znowu się obejrzał. Białowłosa mężczyzna wciąż tam był, nie odrywał od nich wzroku i utrzymywał stały dystans - jakieś czterdzieści kroków.

- Jesteś jak radio, które próbuje się uruchomić. Dostrzegasz połączenia pomiędzy wydarzeniami ostatnich kilku dni z tymi, które miały miejsce wiele lat temu. Rzeczy pozornie ze sobą niezwiązane nagle łączą się ze sobą... To tak, jakby wszystko ze wszystkim było powiązane tajemną szepczącą arkadą.

- Tak.

- I uświadamiasz sobie, że zawsze o tym wiedziałeś. Wyczuwałeś.

- Tak, to prawda.

- Ujmijmy to tak: jesteś na etapie przyjmowania święceń - powiedział Horace z powagą. - Otwierają się przed tobą wielkie tajemnice, tajemnice kapłańskie, można by rzec.

Rozpoczynasz Próbę Umysłu.

- Muszę przyśpieszyć. Musimy. Następny punkt orientacyjny...

- Wiem - przerwał mu Horace. - Musimy się śpieszyć, z drugiej strony jednak pośpiech na Drodze jest wykluczony. Najważniejsza jest równowaga. Chodźmy.

Robert zaczął przekazywać Horace'owi swoje myśli i wrażenia.

- Adam całą siłą woli próbuje trzymać na dystans tę straszną rzecz, ale ona zwycięża. Widzę to.

- Adam jest człowiekiem wielkiej odwagi. Co jeszcze?

- Opuściła mnie Katherine. Odeszła do Adama, ponieważ spałem z Terri, ale grozi jej poważne niebezpieczeństwo. Prowadzi podwójną grę, usiłuje wspierać Adama w zmaganiach z Iwnwem i Minotaurem, który w nim jest. Terri się ukrywa, bo się boi. Chyba uważa, tak mi

się wydaje, że Adam przestał ją ochraniać. Myśli, że jej miejsce zajęła teraz Katherine, że Adam zostawił ją samą z tym, co ją przeraża. Moim zdaniem nigdy w życiu tak bardzo się nie bała.

- Terri wszystkie nadzieje pokłada w Adamie, a równocześnie się go boi. Nie stać jej na to, by go utracić, ale nie może z nim być - powiedział Horace. - Dlaczego?

- Myślę, że jest w ciąży. Z Adamem. Widziałem obrazy... dzielące się komórki... ale nad nimi wisi cień i jest coś jeszcze, czego nie potrafię w pełni zobaczyć i pojąć. Wydaje się, że jej ciąża jest sprzed roku, a zarazem istnieje dopiero od piątku...

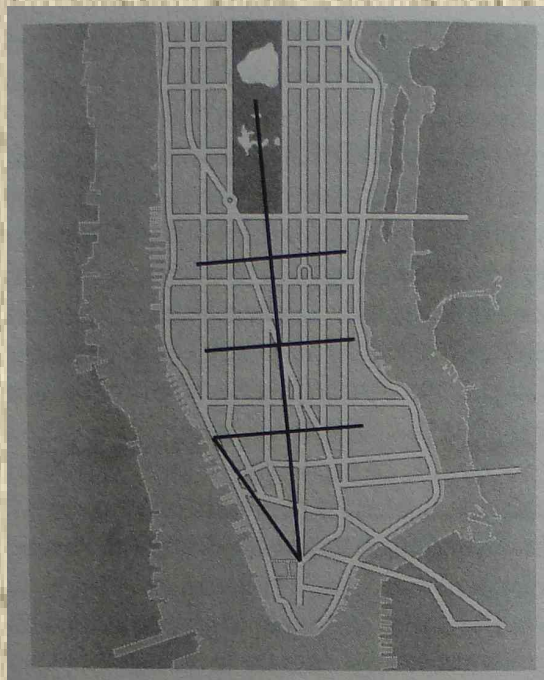
Horace potaknął, zamyślony. Robert mówił dalej:

- I jeszcze ten kształt, który odkrywam na Manhattanie. Jego kręgosłup prowadzi od obelisku u św. Pawła przez obelisk naprzeciwko Flatironu. Pociągnąłem linię dalej na północ i przekonałem się, że przechodzi przez obelisk w Central Parku.

Robert wyjął turystyczną mapę miasta i zaznaczył na niej punkty orientacyjne, w których był w ciągu ostatnich kilku dni.

- Nie wiem, czym jest ten kształt, nie wiem, czy nie jest stopem kształtów, ale ma poprzeczki i wolne przestrzenie wzdłuż kręgosłupa - to jednostka lub połowa jednostki, niektóre punkty przeskakują... Dzisiejszy punkt orientacyjny sugeruje, że jest następna poprzeczka, o tutaj...

Kształt odzwierciedlał jego poruszenia i próby. Po wizycie w kościele św. Pawła i na Mercer Street ruszył w poprzek wyspy od Tompkins Square Park przez Washington Square Park do domu autorki Goodnight Moon. Wrócił główną linią na Union Square. Następna poprzeczka prowadziła od kamieni w Asser Levy przez drugi obelisk naprzeciwko Flatironu do Seminarium teologicznego w Chelsea, trzecia - od gmachu Narodów Zjednoczonych do Nowojorskiej Biblioteki. Przedłużenie linii doprowadziło do Tunelu Lincolna na zachodnim krańcu.



- Dobrze. Powoli odwzorowujesz kształt zwany Drzewem Życia. To rodzaj klucza niezbędnego do poruszania się pomiędzy tajemnicami, do ujścia z życiem z przygody, którą rozpoczęliśmy. Każdy poziomy odpowiada próbie. Po dniu dzisiejszym pozostanie tylko jeden punkt do uzupełniania diagramu, tak samo jak tylko jedna próba dzieli cię od niezwykle trudnego zadania rozbrojenia Ma'rifat'a.



- Powiedz mi coś więcej. Chcę zrozumieć.

Szli dalej. Białowłosey wciąż utrzymywał dystans.

- To jedno z najstarszych narzędzi duchowych znanych ludzkości - powiedział Horace. - Pozbawione znaczenia dla ignoranta, za to potężne dla wtajemniczonych.

- Jak działa?

- Wskazuje określone rzeczy, które są prawdziwe. To klucz i mapa. Istniało już przed starożytnymi Egipcjanami. Z całą pewnością nie jest jedynym kluczem, ale znaleźć go można w kilku tradycjach duchowych. Z tego wzoru skorzystał budowniczy Ma'rifat'a, kiedy rozmieszczał klucze na Manhattanie, by przenieśli i wzmocniły moc jego broni. Nie przedstawił go dokładnie, ale na tyle wiernie, by był bardzo niebezpieczny. Tę samego wzoru używamy, kierując cię Drogą. Można traktować go na różne sposoby. To szlak mocy, mapa poznawania samego siebie...

Robert na moment zamknął oczy, po raz kolejny zobaczył przelotne wielowymiarowe wzory, które go nawiedzały: miał wrażenie, że potężny wszechobecny wzór wiruje wokół niego, biegnąc przez ulice miasta; wachlarz perspektyw, widoków i olśnień, łączących jego wewnętrzne i zewnętrzne podróże, budynki, pomniki i etapy próby w jeden geometryczny wzór.

- Jak wygląda kompletny klucz?

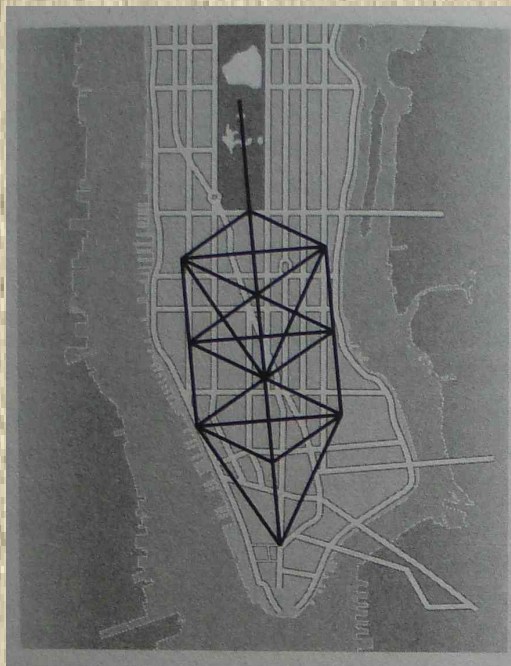
- Wygląda tak - Horace wypełnił luki na mapie, którą dał mu Robert. - Ponad najwyższym punktem Drzewa znajduje się kolejny poziom, który jest nieopisywalny, rodzaj następujących po sobie nieskończoności, który także zbadamy przed twoją ostateczną bitwą. Na Manhattanie reprezentuje go Central Park.

- Muszę odnaleźć Katherine. I Terri. Muszę to wykorzystać, żeby im pomóc.

- I tak zrobisz. Na razie zgódź się jeszcze przez chwilę znieść moje towarzystwo.

Podziemnym pasażem doszli do znaku informującego o wyjściu na Czterdziestą Ósmą Ulicę. W murze znajdowała się szklana mozaika przedstawiająca kompas o średnicy sześciu stóp z fotografią młodego Alberta Einsteina w środku.

- Musisz pamiętać, że teorie Einsteina opisują przestrzeń i czas jako jedną rzecz, którą można zaginać i wypaczać.



- Tak.

- Oraz, że materia i energia są wymienne, że jedną można przekształcać w drugą. Co dało niezwykle destrukcyjne rezultaty w przypadku bomby atomowej.

- Tak.  $E=mc^2$ . Czy urządzenie jest rodzajem bomby atomowej?

- W najlepszym przypadku. Jestem przekonany, że zamiarem Iwnwu było stworzenie czegoś o wiele gorszego. Nie zatrzymujemy się.

Idąc kilka jardów dalej na północ, dotarli do kolejnej mozaiki w kształcie koła. Przedstawiała młodą kobietę na tle ułamka kosmicznej przestrzeni trzymającą w dłoniach misę ognia. Po obu stronach wielkiego koła widniały dwa mniejsze.

- Ta mozaika symbolizuje żywioły. - Horace wskazał od lewej strony do prawej. - Albo próby, które już przeszedłeś. Ziemia. Woda. Ogień, który kobieta trzyma w dłoniach. Widzisz, jak światło zapala się w szkle mozaiki? Następnie powietrze. Wreszcie eter.

- Powiedziałeś, że ten etap jest etapem umysłu. A ostatni?

- Siódmym jest Duch.

- Z czego się składają?

W tej samej chwili Robert spojrział na północ: drugi siwowłosy mężczyzna, ubrany identycznie jak pierwszy, zbliżał się do nich spokojnym krokiem.

- Horace!

- Tędy

Zawrócili do mozaiki z Einsteinem, ku pierwszemu prześladowcy z Iwnwu, który nie przyspieszył, przyglądał się im tylko zimnym, złowrogim wzrokiem. Horace i Robert zeszli po schodach i skręcili w prawo, w pasaż prowadzący na Czterdziątą Siódmą Ulicę.

- Kiedy wszyscy trzej nas otoczą, będziemy walczyć - powiedział Horace. - A teraz słuchaj. Przedostatnia próba testuje wszechstronnie umysł. Nie tylko intelekt i nie tylko świadomość, ale pełne spektrum świadomości i podświadomości, zdolności rozumowania, snucia marzeń, kreatywność.

Szósta próba, szeptał Horace, gdy szli na zachód, postawi Roberta przed wstrząsającym nowym rozumieniem rzeczywistości, potężną prawdą. W Próbie Eteru przekonał się, że swoją wolą potrafi wpływać na otaczający go świat, teraz uczyni krok następny i pojmie, że on i świat są identyczni, że iluzję oddzielenia stworzył wyłącznie jego umysł.

- Kiedy to zrozumienie następuje, jest jak złapanie w dłoń drutu wysokiego napięcia - mówił Horace - Tylko ten, kto zakończył pięć poprzednich prób, może się z tym zmierzyć. A równocześnie zrozumienie to odbywa się jedynie w bliskości śmierci. Przynosi moc uzdrawiania.

Aby przejść tę próbę, Robert musi przyjąć owe energie i nagiąć je do celu znajdującego się poza nim, co z kolei zmusi go do stawienia czoła szóstemu dylematowi: uzdrowić czy zabić swojego wroga.

Robert odzyska szósty klucz, sześcioboczny lub sześciokątny, oraz odnajdzie przedostatni brakujący element świetlnego ciała, które jest jego na nowo rozbudzoną istotą.

Dwaj członkowie Iwnwu zeszli po schodach i wolno się ku nim zbliżali.

Robert i Horace byli przy stopniach prowadzących na perony numer 32 i 33. Horace przystanął, by wskazać kolejną mozaikę.

- W sumie *Tak wysoko, jak nisko* składa się z około dwunastu paneli. Ten tutaj może także mieć dla ciebie znaczenie. Przedstawia Persefonę skazaną na spędzenie połowy roku w podziemnym świecie za zjedzenie owocu granatu. Dość okrutna kara, nie sądzisz? Po części jest to grecka wersja wcześniejszego mitu o Inannie w świecie podziemnym. Znanej także pod imieniem Ishtar.

- Terri mi o niej opowiadała. Mit dotyczy Drogi. Wkraczam w świat podziemny, by wyprowadzić z niego Adama, Terri... a nawet Katherine.

- Wiele mitów odzwierciedla nieustanną walkę pomiędzy Iwnwem i Światłem Doskonałym.

- A skoro o tym mowa... patrz. Teraz jest ich trzech.

Trzeci białowłosy mężczyzna w ciemnym garniturze z nieznacznym uśmiechem na twarzy zbliżał się do nich od zachodu. Teraz dwóch mieli za plecami, jednego przed sobą.

- Szybko, tędy.

Horace poprowadził go schodami prowadzącymi na perony 32 i 33. Pasażem północno-zachodnim pobiegli w kierunku głównego holu Grand Central.

- Będziemy walczyć z nimi w korytarzu, jeśli zajdzie taka konieczność - powiedział Horace. - Pora, żebyś dowiedział się czegoś więcej o rodzinie Hencottów na wypadek, gdyby coś mi się przytrafiło.

Katherine obejrzała dokładnie kryjówkę i uznała, że jest odpowiednia. Policyjny snajper dokonał dobrego wyboru.

Katherine przysła wcześniej. Zawsze lubiła być przed czasem. Raz jeszcze sprawdziła wszystkie elementy broni. Ponownie przez wizjer sprawdziła odległość od celu. Rzecz będzie wymagała pewnej ręki.

Wolno, trzymając się z dala od okna, usiadła wygodnie pod ścianą pustego mieszkania i zamknęła oczy, na chwilę pograżając się w medytacji.

Iwnw zaczynał do niej docierać. Na prośbę Horacea przekazywała Adamowi tyle sił, ile potrafiła, by spowolnić jego poddanie się i umożliwić Robertowi postępy na Drodze. Jednakże równocześnie sama wystawiała się na wpływy Iwnwu i wyczuwała, że jej wola słabnie. Zmniejszała się także jej zdolność do oceny.

Mimo to nie wątpiła w słuszność i konieczność takiego kroku. To ona uświadomiła sobie, że w miejscu ukrycia ostatniej części szóstego klucza musi być co najmniej jedno stanowisko policyjnego snajpera - ze względu na podwyższony poziom bezpieczeństwa w związku z konwencją republikanów.

Tak więc dokładnie zbadała teren, wykorzystując swoje doświadczenie zawodowe i budzący się na nowo dar, i szybko doszła do wniosku, że miejsce wymaga tylko jednego strzelca wyborowego, odkryła też jego kryjówkę. Poszła się z nim zobaczyć. Sprawa była prosta: wprowadziła go w głęboki sen hipnotyczną sztuką, której przed wielu laty nauczył ją Horace.

I teraz miała karabin. Jej zadanie polegało na dopilnowaniu, by Roberta nie zastrzelili gliniarze, gdy będzie odzyskiwał ostatnią część szóstego klucza. Mogła go też osłaniać, gdyby wpakował się w kłopoty z innymi służbami porządkowymi.

Adam powiedział jej, że dokłada wszelkich starań, by pomóc Robertowi pokonać kolejne etapy Drogi, nawet gdyby wymagało to przekonania go, że on, Hale, całkowicie przeszedł na drugą stronę. Był to akt cudownej równowagi, bo równocześnie Adam sprawiał wrażenie, że daje Iwnwowi wszystko, czego Braterstwo od niego żąda.

Kiedy w niedzielę odeszła od Roberta, Adam zaprosił ją do swojej najnowszej kryjówki. Okazał współczucie z powodu rozstania z Robertem i powiedział, że ją kocha. Pomagała mu ukoić jego ból, wytrwać w czuwaniu.

Podczas nieobecności Adama do mieszkania przysła Terri. Na widok Katherine odwróciła się i uciekła. Katherine zdążyła zobaczyć tylko jej oddalające się plecy. Zawołała ją, ale w odpowiedzi wyczuła tylko falę strachu i cierpienia, zmieszana z głęboką rezygnacją.

Katherine czuła, że ponosi wielką odpowiedzialność za te wszystkie wydarzenia. Przekazując Tariqowi utracone pisma Newtona, sama stworzyła Ma'rifat'a. Dała jego konstruktorowi środki umożliwiające budowę, a po latach stała się przyczyną takiego cierpienia i gniewu, że zapragnął go użyć.

Teraz musiała to naprawić. Przede wszystkim jednak musiała się skupić na swej misji. Utrzymać Iwnw na dystans.

- Brat i ja wychowywaliśmy się w różnych częściach świata - szeptał Horace, oddychając płytko. - Obaj jesteśmy starsi, niż może ci się wydawać. Urodziliśmy się w latach dwudziestych w Aleksandrii. Ojciec był dzentelmenem, archeologiem, łowcą przygód, czasami szpiegiem. Twierdził, że kilkakrotnie spotkał Lawrence'a z Arabii, że my też go poznaliśmy we wczesnym dzieciństwie. Mam mgliste wspomnienie mężczyzny w białych szatach, który dziwnie mówił, choć to może być wymyślone wspomnienie - ojciec tyle razy nam tę opowieść powtarzał. Naturalnie mój brat dostał po nim imię.

Robert obejrzał się. Usłyszał kroki, a potem zobaczył jednego z Iwnwu schodzącego wolno po schodach. Za nim podążali pozostali dwaj.

- Zbliżają się, Horace.

- Nie zatrzymuj się. Lawrence wstąpił do wojska przy pierwszej nadarzającej się sposobności, podał się za starszego, niż był, i służył przez całą drugą wojnę światową. Był spadochroniarzem. Po wojnie przez jakiś czas pracowaliśmy razem w Paryżu, Berlinie i Egipcie. Ja w wojskowości nie odnosiłem takich sukcesów jak on, działałem w wywiadzie, czasami wykonywałem najbardziej nietypowe misje. Najpierw w wywiadzie wojskowym, potem w OSS. Słyszałeś o tym?

- To był poprzednik CIA, tak?

- Racja.

- Horace, to oznacza, że jesteś po osiemdziesiątce.

- Tak, nie rozprasza mnie. Ojciec zostawił nam ziemię w różnych częściach świata, nie grunty uprawne, ale działki górnicze, w większości z wyczerpanymi złożami, kilka ledwo działających kopalni. Kazał nam przysiąc, że nigdy ich nie sprzedamy, że zachowamy je na wieczność.

Lawrence zajął się kopalniami i sprawił, że zaczęły przynosić zyski. Poważne. Nie powiem ci, jak to zrobił, bo nie wiem. Miał odpowiednie kontakty, znał się na logistyce, nikogo się nie bał. Po opuszczeniu armii studiował, uczył się inżynierii, chemii, metalurgii. Był żywiołem. Niemał w pojedynkę ze spadku po ojcu zbudował Hencott Incorporated, imperium korporacyjne.

Zawsze powtarzał, że jeśli chcesz czynić dobro, musisz zaznaczyć swoją obecność w świecie; lepiej być silnym i bronić słabych niż słabym, który potrzebuje obrony. Wiele środków poświęcił na badania, które prowadził w laboratorium tak doskonale strzeżonym i sekretnym, że większość pracowników nawet nie zdawała sobie sprawy z jego istnienia. Mieściło się na terenie pewnej kopalni złota. Może sobie przypominasz, że wspominał o tym w wywiadzie, którego udzielił twojej agencji.

- O Boże, tak. O co w tym chodziło?

- Wszystko w swoim czasie. Lawrence był człowiekiem czynu, ja jestem człowiekiem medytacji. Każdy z nas na swój sposób poszukiwał szczególnego rodzaju złota.

- Słucham?

- Na świecie jest kilka kopalń (trzy, dla ścisłości), które mają złoża tego bardzo rzadkiego złota. Nazywamy je czerwonym złotem.

- Myślałem, że to po prostu stop miedzi i złota? Facet, który sprzedawał nam ślubne obrączki, sporo wiedział o złocie czerwonym, białym, różowym i tak dalej. Wszystkie są stopami, ponieważ czyste złoto jest zbyt miękkie, by można z niego robić biżuterię.

- Naturalnie. Ale ja nie o takim czerwonym złocie mówię. Być może nigdy o nim nie słyszałeś. Jego wykorzystywanie jest bardzo ograniczone.

- Do czego?

- W tym momencie musisz mi złożyć przysięgę milczenia. Na zawsze.

Horace przystanął i z natężeniem wpatrywał się w twarz swego towarzysza. Robert nigdy nie widział u niego takiej mocy.

- Przysięgam.

Nim jednak Horace zdążył podjąć opowieść, zadźwięczał przed nimi głos:

- Stąd nie ma wyjścia, staruszk.

Z tyłu wciąż zbliżali się trzej białowłosi mężczyźni; teraz byli oddaleni tylko o dwadzieścia jardów.

A przed nimi, zagradzając drogę powrotną na Grand Central, stał Adam Hale.

- Słuchaj uważnie - szepnął Horace, odwracając się tak, by mieć przed sobą ludzi z Iwnwu, plecami do Roberta, który nie odrywał spojrzenia od Adama. - Czerwone złoto można wykorzystać w określonych procedurach natury hermetycznej. Nazwanych tak przez mędrców wiele tysięcy lat temu na cześć Hermesa, posłańca bogów. Nazwij je procedurami alchemicznymi, jeśli wolisz.

- Adam mówił o tym w swojej sztuce. Ale powiedział, że tej substancji już nie ma na świecie.

- Cóż, jest. Hencott kontroluje wszystkie trzy kopalnie. Są pośród tych, które w spadku zostawił nam ojciec, sam działający w imieniu Światła Doskonałego. Na świecie jest może trzydzieści osób, które wiedzą o tych sprawach. Czerwone złoto, prawidłowo użyte, prawidłowo przygotowane, po wielu latach prób i błędów może w określonych okolicznościach przyciągać do siebie potężną energię albo spowodować jej uwolnienie w świecie. Ma niebывalą moc, ale tylko w połączeniu z psychicznym stanem tych, którzy je otaczają.

- To przypomina Ma'rifat? Urządzenie.

- Urządzenie bez wątplenia musi zawierać czerwone złoto. Z tych trzydziestu wspomnianych przeze mnie osób niektórzy wyznają pogląd, iż czerwone złoto należy wykorzystać w celach politycznych. Do rozwinięcia określonych tendencji, pracy przeciwko innym, kształtowania świata. Do rządzenia światem. Lawrence i ja do nich nie należymy.

- Kim są ci ludzie?

Trzej białowłosi mężczyźni zbliżyli się na odległość dziesięciu jardów. Zatrzymali się ze wzrokiem utkwionym w Horaceu.

- To Iwnw, co w języku starożytnych Egipcjan oznacza „kolumnę”. My się im przeciwstawiamy. Jesteśmy Światłem Doskonałym.

Adam, oddalony od Roberta o dwadzieścia kroków, wybuchnął gromkim śmiechem.

- No, no, dżentelmeni. Znaleźliście się w pułapce

Ruszył w stronę Roberta. Podziemne przejście było rozgrzane jak piec i wszyscy się pocili, ale z koszuli Adama wręcz ciekło. Wyglądał upiornie.

- Zachowaj siłę, Adamie! - krzyknął Robert. - Nie musisz tego robić. Oni nie mają władzy nad tobą.

- Już na to za późno! - odkrzyknął Adam. - Czy Horace opowiadał ci o biednym Lawrencie i czerwonym złocie? To bardzo wzruszająca historia.

- Iwnw zdobył trochę waszego czerwonego złota, Horace? - zapytał szeptem Robert.

- Opowiedz o tym, Horace! - huknął Adam.

- W zeszłym roku zdarzyła się rzecz nie do pomyślenia - zawołał Horace, wpatrując się w trzech członków Iwnwu. - Lawrence i ja dowiedzieliśmy się, że do naszej firmy przeniknęło kilka tych... osób. - Ostatnie słowo wręcz wypluł. - Dwadzieścia lat zajęło im dojście do bardziej sekretnych zakątków firmy, ale w końcu zdołali uzyskać krótkotrwały dostęp do laboratorium.

- Tego, o którym Lawrence mówił w wywiadzie? Które firma zamierzała zamknąć?

- Właśnie! - zawołał Adam. - Dla ciebie to niezbyt dobrze się ułożyło, prawda, Robercie? Horace zignorował zaczepki Adama.

- Wzięli trochę złota. Mniej niż gram, ale wystarczyło.

- Kiedy się o tym dowiedzieliście? - zapytał Robert.

- Niemal natychmiast. I natychmiast też podjęliśmy decyzję o zakończeniu prowadzonych eksperymentów. To zajęło nam prawie rok. Bo kiedy czerwone złoto podda się procesowi wzbogacenia, trzeba obchodzić się z nim z wielką uwagą. Oni wzięli surowe złoto, jeszcze nie wzbogacone, i najwyraźniej poddali je podstawowej obróbce. Kiedy cały nasz zapas umieściliśmy w bezpiecznej kryjówce do czasu, aż ludzkość będzie gotowa dobrze go wykorzystać, Lawrence podjął decyzję, by o wszystkim powiedzieć światu, ale w taki sposób, że zrozumie to wyłącznie tych trzydzieści wtajemniczonych osób. To odwieczna praktyka. Złożyć publiczne oświadczenie, tak układając prawdziwą treść, by mogło być szeroko rozpowszechnione. Ci, co powinni, rozumieją jego prawdziwe przesłanie. Oświadczenie stanowi też znacznik w czasie i wtajemniczeni, którzy nadejdą po nas, będą wiedzieć, że tego dnia i roku podjęliśmy odpowiednie kroki.

- Co stało się potem, Robercie? - zapytał Adam.

- Zadzwonili ludzie z firmy. Powiedzieli, że Lawrenceowi kompletnie odbiło. Odwołali każde jego słowo.

- Wszystko to Lawrencea bardzo wiele kosztowało - mówił dalej Horace. - I prawdą jest, że stres wywołany odkryciem szpiegów w firmie, decyzja o zamknięciu prac badawczych będących treścią jego życia oraz poszukiwania utraconego czerwonego złota w końcu doprowadziły do kryzysu w jego małżeństwie. Żona istotnie go opuściła. Ale był przy zdrowych zmysłach, kiedy zadzwonił do ciebie, żeby umówić się na wywiad, Robercie. Zrobił to w tak krótkim czasie, ponieważ zorientował się, że będą próbowali usunąć go ze stanowiska prezesa. I faktycznie, nastąpiło to po publikacji wywiadu przez twoją agencję.

- Och, Chryste. Podąłem im go na talerzu.

- Nie wiedziałeś. To nie twoja wina. Lawrence był żołnierzem. Podjął walkę. Zorganizował bazę w hotelu i zaczął dzwonić. Mobilizował wsparcie. Upewniał się, że nikt nie będzie majstrował przy ustaleniach dotyczących spadku po nim, przy jego ostatniej woli, regulaminie firmy i tak dalej. A potem - Horace przekreślił głowę, płonącym spojrzeniem obrzucając Adama - wizytę złożył mu pan Hale.

Robert wpatrywał się w twarz starego przyjaciela, który zbliżył się ku niemu.

- Co się stało, Adamie? Co zrobiłeś?

- To, czego zażądali ci trzej dżentelmeni. Próbowałem przekonać Lawrence'a, żeby powiedział, gdzie jest reszta złota. Ukryty zapas. Ale on nie chciał mi pomóc.

- Adam znajdował się pod wpływem obecnych tu pacholków Iwnwu, którzy wykorzystali Minotaura jako system przekąźnikowy, kiedy Adam go zabił - powiedział Horace. - Wtedy chyba po raz pierwszy przeniknęli go na wskroś. Pamiętaj, że to on, pracując ze mną, odkrył, gdzie podziąło się skradzione czerwone złoto, i w zeszłym roku odnalazł budowniczego Ma'rifat'a. Ale musiał za to zapłacić. Słono zapłacić.

- Dzięki temu zrozumiałem, po której stronie powiniennem się opowiedzieć w tych wiecznych zmaganiach! - zawołał Adam. - Nie myśl, że drogi Horace zna wszystkie odpowiedzi.

Trzej mężczyźni o białych włosach stali bez ruchu, wpatrzeni w Horace'a. Robert wyczuwał, że na coś czekają, chociaż nie wiedział, na co. Wrócił myślami do nocy, gdy umarł Lawrence. To było w zeszłą środę, a zdawało się, że minęło całe życie.

- Lawrence próbował mnie ostrzec. Zadzwonil do mnie. Wcale mi nie grozil, tylko chcial mnie ostrzec!

- Straszliwie cierpial. Wolal umrzeć, niz zdradzic tajemnice Adamowi. Napisal do ciebie, prawda? Pamietasz, co napisal?

- Ze to wszystko moja wina. Nie, poczekaj. Ze to bylo z mojego powodu, przeze mnie...

- Wskazalem cie Lawrenceowi jako czlowieka, ktory pewnego dnia moze udzielic nam pomocy.

- Lawrence napisal, ze mam jadowite ego...

- Nie. Napisał inaczej: *Jadowitemu ego Roberta Recklissa powiadam, że wyuzdane, intensywne tortury rozbijają iluzję obłaskawionego losu.* Udzielał ci rady. Mówił, że twoje ego jest ślepe na prawdę, co zdarza się nam wszystkim.

- Dobry Boże, tak niewiele rozumiałem.

- W pewnym sensie to było samobójstwo. Jednak z drugiej strony popchnięcie człowieka na krawędź, gdzie z własnej woli wybiera śmierć, by uciec przed dalszymi prześladowaniami, to bez wątpienia morderstwo.

- Nie miałem wyboru - powiedział Adam.

- Nasi obecni tu przyjaciele nie byli tak sprytni, jak im się wydawało. Lawrence zdołał sprawić, że po jego śmierci pełna władza nad firmą przejdzie niezwłocznie i nieodwołalnie na mnie. Do niedzieli wieczorem niemal wszystko miałem już uporządkowane. W poniedziałek rano, kiedy trwał pogrzeb, mogłem odwołać tych przeklętych prawników, którzy wysunęli oskarżenia przeciwko tobie.

- To było nadzwyczajne. Powinieneś być widzieć ich twarze.

Pot zalewał Robertowi oczy. Czuł napięcie w każdym mięśniu.

- Potrzebowałem ciebie. Teraz też cię potrzebuję. Tak samo jak Adam, Katherine, Terri i mnóstwo innych ludzi. Tym kreaturom nie uda się nas powstrzymać.

Po raz pierwszy przemówił wódz Iwnwu.

- Ma pan coś, na czym nam zależy, panie Hencott. Przyszliśmy, żeby to odebrać. Pan Reckliss ukradł tę rzecz naszemu koledze.

- Weźcie sami, jeśli potraficie! - krzyknął prowokacyjnie Horace. - Przysięgam na pamięć mojego brata, że z własnej woli tego nie oddam!

Nagle Adam rzucił się na Roberta i chwycił go za gardło. Horace okręcił się w jedną stronę, Robert w drugą, czując przy tym jak jego ciało płonie siłą nagromadzoną podczas pięciu prób. Odepchnął Adama, który wyleciał w powietrze i spadł na ścianę pasażu. Odwrócił się w stronę członków Iwnwu w chwili, gdy Horace odparł atak ich wodza i równocześnie wykręcił rękę drugiemu napastnikowi z taką szybkością i wyczuciem czasu, że mężczyzna uniósł się nad ziemią i pięć jardów dalej uderzył w ziemię z trzaskiem pękającej kości.

Adam podniósł się i skoczył ku Horaceowi, usiłując włożyć dłoń w wewnętrzną kieszeń jego marynarki, ale Robert złapał go za ramiona i okręcił twarzą do siebie. Przeciągnął na bok i z całej siły uderzył pięścią w brzuch. Adam z głośnym jękiem zgiął się w pół, z jego ust pociekła krew. Osunął się na ziemię i leżał bez ruchu.

Robert znowu się odwrócił, by pomóc Horaceowi w walce z Iwnwem. Jeden z napastników trzymał go z tyłu za szyję, drugi bombardował ciosami żebra i klatkę piersiową. Robert złapał drugiego z nich, wyrzucił w powietrze i skoczył na niego. Rozległ się trzask pękających kości, mężczyzna znieruchomiał. Trzeci członek Iwnwu, któremu Horace wcześniej zmiął nadgarstek, klęczał z pochyloną głową, mrużąc zaklęcia i zdrową ręką ściskając się za przedramię.

Horace uwolnił się z uchwytu wodza Iwnwu i odwrócił twarzą do niego; teraz dzielił ich jard wolnej przestrzeni. Zrobił krok do przodu i ze swej klatki piersiowej wysłał falę siły, która rzuciła przeciwnika na ścianę. Przywódca Iwnwu padł nieprzytomny, choć Horace nawet nie tknął go palcem.

Oddychając ciężko, Horace spojrzał na Roberta i wskazał w kierunku Grand Central.

- Nadal mam główny klucz - wykrztusił. - Musimy iść.

Adam leżał bez ruchu, zgięty w pół. Robert chciał do niego podejść.

- Zostaw go - rozkazał Horace.

Kilka minut później Horace i Robert wyszli z dworca Grand Central na Czterdziątą Drugą Ulicę i skręcili w prawo, kierując się na zachód. Przez chwilę obaj milczeli. Horace otarł chusteczką krew z kąca ust.

- Myślisz, że będą nas ścigać?

- Tak, ale nie od razu. Byłem przekonany, że mając główny klucz zawierający ślady czerwonego złota, mimo że poddanego tylko pobieżnej obróbce, zdołam nas obu obronić. W najgorszym razie zasłonić. Gdyby nie klucz, mogli nas zabić. Dziękuję ci za pomoc.

- W jaki sposób klucz nas osłonił?

- Zwiększa moc każdej siły psychicznej, która nas otacza. Kiedy mam go w kieszeni, moje moce wielokrotnie rosną. Nie wolno mi zdradzać szczegółów jego działania, złożyłem bowiem przysięgę Światłu Doskonałemu. Ludzkość nie posiada na razie tej wiedzy, chociaż nowy akcelerator w CERN może dać do niej dostęp, kiedy za kilka lat zostanie uruchomiony. Powiem ci tylko, że czerwone złoto rezonuje w określonych odstępach czasu, tworząc specyficzne harmoniki, które są również harmonikami działań ludzkiego umysłu.

- To jak śpiew ptaków? Język ptaków?

- To jeden ze sposobów, w jaki można tego doświadczać.

- W sztuce Adama wiele lat temu była mowa o urządzeniu takim jak Ma'rifat', ale do zbudowania go potrzebne były trzy komponenty.

- Naturalnie. Tak zwany kamień filozoficzny, będący fuzją metalu i szkła z rezonansem psychicznym podobnym jak w czerwonym złocie. Samo czerwone złoto, które harmonizuje z kamieniem. Są jak element męski i żeński. A także wiedza o szczególnych układach geometrycznych, które pozwalają substancjom działać na siebie wzajemnie jak soczewki. Z tego też powodu każdy klucz ma inny kształt: by odzwierciedlać i formować siły wewnętrzne Ma'rifat'a w odmienny sposób, zgodnie z długością ogniskowej wymaganej w różnych momentach. Jednakże bez wysokiego stopnia duchowego rozwoju operatora urządzenia wszystko to jest bezużyteczne. Chociaż jest jeden wyjątek. Urządzenie zbudować może człowiek psychicznie załamany i znajdujący się na dnie rozpacz

Nie zatrzymując się, Horace wyjął z kieszeni kawałek papieru i wręczył go Robertowi.

- Wysłałbym ci to na Quada, skoro jednak tu jesteś...

Robert odczytał wiadomość na kartce

*Nie bądź idiotą, podążaj za kostką*

*Odwiedź Babel, jeśli jesteś w stanie*

*Niewidzący przewodnik prowadzi cię do kryjówki*

*Tam zobaczysz, choć jesteś ślepy*

*Przejdź Próbę Umysłu*

*Skorzystaj z numeru JFD 00-19002.*

*PS. Aby uzyskać numer punktu orientacyjnego następnego schowka, potrój litery w pozycji, której szukasz, i odejmij grzechy śmiertelne.*

- Ten numer - powiedział Robert. - Chodzi o wypożyczenie książki z biblioteki?

- Tak myślę.

Po walce w żyłach Roberta wciąż płynęła adrenalina, ogień nadal trawił mięśnie. W głowie mu się kręciło i czuł lekkie mdłości. Zaczynał go dręczyć obraz Adama zwiniętego w kłębek na ziemi. Uderzył go bardzo mocno.

Przeszli przez Vanderbilt i Madison na Piątą Aleję. Na skrzyżowaniu Robert włączył GPS i upewnił się, że punkt orientacyjny X87 istotnie znajduje się w Nowojorskiej Bibliotece Publicznej.

- Czytajmy pomiędzy lwami - powiedział Horace z nietypowym dla siebie mrugnięciem.

Tak dostosował czas przejścia, by mogli bez zwłoki pokonać Czterdziestą Drugą Ulicę w kierunku południowym i Piątą Aleję w kierunku zachodnim. Robert dostrzegł, że starzec także nie jest odporny na szum adrenaliny.



Weszli po schodach pomiędzy Cierpliwością i Hartem, dwoma lwami strzegącymi wejścia do biblioteki. Kiedy znaleźli się przed drzwiami, na ekranie Quada pojawił się komunikat: „Zbliżasz się do celu”. Robert ponownie odczytał wskazówkę Horaceowi.

W wielkim holu minęli strażników i weszli na schody prowadzące na drugie piętro.

- A ten niewidzący przewodnik? Kojarzy mi się z Terri.

- Tak, to prawda. Musimy jej pomóc, Robercie. Biedna kobieta. Słyszałeś o Tejrezjaszu? Był twórcą czarodziejskiej różdżki, którą posługiwał się Hermes albo Merkury. Nazywana jest kaduceuszem. Dwa bliźniacze węże oplatają skrzydlatą laskę. Na płaskorzeźbach na frontonie znaleźć można wspaniałe przedstawienia kaduceusza. Powinienem być ci je pokazać.

- Pokażesz, jak będziemy wychodzić. Szukamy więc książki o Tejrezjaszu?

- Niezupelnie. Podejrzewam, że to książka autora podobnego do Tejrezjasza. Swego czasu był bibliotekarzem. To ślepiec, ten, którego wzrok sięga dalej niż wzrok większości. Pochodzi z Buenos Aires.

Weszli do katalogu i zapisali na rewersie numer ze wskazówki jednym z krótkich ołówków przeznaczonych dla czytelników.

- Niestety, nie znamy tytułu - powiedział Horace do bibliotekarki. - To część gry.

- Dwoje w jeden dzień - odparła kobieta. - Nic nie szkodzi. Ciągłe się nam to zdarza.

- Ktoś pytał o ten numer katalogowy? - zapytał Horace ostro.

- Nie mogę panu powiedzieć.

- A pamięta pani, kto pytał? Ile osób?

- Ojej, poważnie traktujecie tę swoją zabawę. Kobieta koło czterdziestki. Piękne niebieskie oczy

Bibliotekarka podała im trzycyfrowy numer; Robert i Horace poszli do pięknej czytelnicy głównej. Pod połyskliwym malowidłem przedstawiającym niebo, przy stojących szeregiem dębowych stołach siedzieli w skupieniu czytelnicy. Znak ze strzałką informował, że w sali północnej obsługiwani są czytelnicy z numerami nieparzystymi, w sali południowej - ci z numerami parzystymi. Obie sale oddzielało pomieszczenie dla pracowników, służące jako punkt dystrybucyjny książek przywożonych z magazynów, których półki mierzyły łącznie ponad dziewięćdziesiąt mil.

- Nie używamy numerów nieparzystych, nigdy nie bywa tak tłoczno - powiedziała bibliotekarka, kierując ich na lewo - Mają panowie kartę biblioteczną?

Horace odpowiedział twierdząco.

Usiedli i czekali, aż na elektronicznej tablicy pojawi się 542, taki bowiem numer im przydzielona. Książkę otrzymali po niecałych dziesięciu minutach. Odebrał ją Horace. Był to cienki tom w bibliotecznym brązowym oprawie, która chroniła złoto-czerwono-czarną miękką okładkę. *Fikcje* Jorge Luisa Borgesa w angielskim przekładzie.

Na stronie 46 znajdowało się opowiadanie *Biblioteka Babel*. Robert zaczął czytać:

- „Wszechświat (który inni nazywają Biblioteką) składa się z nieokreślonej, i być może nieskończonej liczby sześciobocznych galerii, z obszernymi studniami wentylacyjnymi w środku, ogrodzonymi niziutkimi balustradami”. - Był to opis przerażającej, nieskończonej biblioteki zawierającej nieskończoną liczbę książek oraz życie tych, co w niej mieszkali. - „Z każdej galerii widać piętra wyższe i niższe: nieskończenie... Przechodzą tamtędy spiralne schody, które zapadają się i wznoszą ku odległym okolicom... *Biblioteka jest kulą, której dokładnym środkiem jest jakikolwiek sześciobok i której obwód jest nieosiągalny*”<sup>13</sup>.

- Po takiej lekturze będę musiał się napić, Horace.

- O ilu literach jest tutaj mowa?

Robert czytał dalej, póki nie trafił na właściwy fragment.

<sup>13</sup> Przekład Andrzej Sobol-Jurczykowski [przyp. tłum.].

- O dwudziestu dwóch. Wszystkie książki w Bibliotece Babel napisane zostały przy użyciu dwudziestu dwóch liter, kropki, przecinka i spacji.

- Po potrojeniu mamy 66. Odejmujemy siedem grzechów śmiertelnych, co daje nam 59. Punkt orientacyjny 59.

- Myślałem, że na dzisiaj przypada gwiazda Dawida, nie sześciobok.

- Gwiazda Dawida to symbol otoczony wielką czcią nie tylko w tradycji judaistycznej. Znak Wisznu. Tarcza Dawida. Zgodnie z islamską tradycją Salomon używał jej do chwytania dżinów. Sześcioramienna gwiazda daje sześciobok i odwrotnie. Są tym samym. Jeśli chcesz zobaczyć gwiazdę, pokażę ci, jedna jest przed biblioteką. Najpierw jednak musimy dokładnie obejrzeć książkę. Powinno być coś do niej dołączone.

Na zmianę przeglądali kartę po karcie. Na odwrocie tylnej okładki Robert zauważył szorstki ślad, jakby ktoś oderwał taśmę klejącą.

Po twarzy Horacea przemknął wyraz rezygnacji.

- Obawiam się, że przyszliśmy za późno. Katherine to zabrała.

Oddali książkę i wyszli z biblioteki głównymi drzwiami. Horace zaprowadził Roberta na północny kraniec otoczonego balustradą patio i wskazał na północny wschód, w kierunku Czterdziestej Trzeciej Ulicy

- Od 1868 do 1927 roku była tu największa synagoga świata, Emanu-El. Dwie wieże w stylu mauretańskim. Piękna. Kongregacja przeniosła się do śródmieścia, nowa synagoga wciąż jest największa na świecie. Przez większość czasu, do roku 1911, z synagogi widać było nie bibliotekę, ale wznoszący się tu potężny kamienny neogipski mur, wysoki na pięćdziesiąt stóp. Był to wielki zbiornik wody dla Manhattanu. Po murze biegła promenada, miejsce spacerów dla mieszkańców. Brakuje mi obecnie czegoś takiego.

- Chcę dotrzeć do następnego punktu orientacyjnego. Muszę odgadnąć, co dalej.

Quad pokazał, że punkt 059 znajduje się niecałą milę dalej, tuż koło wjazdu do Tunelu Lincolna.

- Mamy pięć minut - powiedział Horace. - Muszę zapełnić twój umysł informacjami, które będą go napędzać.

Poprowadził Roberta w dół po schodach z północnego krańca patio i wskazał kaduceusze, pięknie wyrzeźbione po obu stronach.

- Masz rację mówiąc, że jesteśmy na kręgosłupie, który biegnie niemal dokładnie wzdłuż Piątej Alei. W latach dwudziestych dwudziestego wieku, zanim pojawiły się światła drogowe, ruchem kierowano z wieżyczek, rozsianych od Washington Square Park przez Piątą Aleję aż do Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy. Wieżyczki wykonano z brązu w stylu neogipskim. Były piękne. Teraz wszystkie usunięto, ale została mi po nich pamiątka. Przypomnij mi, żebym ci ją pokazał.

Okrążyli bibliotekę od frontu i Czterdziestą Ulicą ruszyli w kierunku zachodnim. Horace odwrócił się ku Bryant Park, Ignącemu się za balustradą pomalowaną na złoto i czarno; w tych samych kolorach był wznoszący się naprzeciwko American Radiator Building.

- Popatrz na ten piękny trawnik, Robercie. Co widzisz?

- Widzę ludzi cieszących się słońcem. A co powinienem widzieć?

- Widzę ciągnące się sześć stóp pod trawą czterdzieści mil regałów z książkami, które łączą się tunelem z biblioteką. Widzę wielki ośmiokątny Crystal Palace z kopułą, zbudowany w roku 1853 na Wystawę Światową tuż obok monumentalnego zbiornika. Widzę młodego Marka Twaina, który ją odwiedza. Widzę, jak z pałacu zostaje pogorzelnisko po strasznym pożarze. Widzę zgarbionego, wyschniętego na patyk mężczyznę w podeszłym wieku nazwiskiem Tesla; samotny i zapomniany karmi gołębie w parku, snując marzenia o budowie światowego systemu energetycznego i radiowego, choć nikt nie chciał go w tym wesprzeć. Widzę oddziały generała Jerzego Waszyngtona, cofające się przez teren parku przed Brytyjczykami. Widzę nędzarzy chowanych na cmentarzu dla ubogich.

- Horace, czy nasze spotkanie podczas pieszej wycieczki po mieście było przypadkiem?
- Kiedy uczeń jest gotowy, pojawia się nauczyciel.
- Głowa zaraz mi pęknie. Przestań, błagam.
- To wykluczone. Tego już nie da się powstrzymać.
- Pójdiesz ze mną do następnego punktu?
- Uważaj mnie za swojego ochroniarza - odparł Horace, klepiąc się po kieszeni

marynarki.

Doszli do Trzydziestej Dziewiątej Ulicy, skąd taksówką pojechali w kierunku zachodnim na róg Dziesiątej Alei.

Kiedy wysiedli, Quad niemal natychmiast złapał sygnał i na ekranie pojawił się komunikat: „Zbliżasz się do celu”. Horace odczytał związaną z nim wskazówkę:

*W wieży ze światła jest klucz do twej próby  
Przekłete sześć znaczy to miejsce, gotów czy nie  
Na pokonanie nocy, poszukuj wewnętrznego oka  
Wnieś się w górę spirali  
By przejść Próbę Umysłu*

Wieża Światła.

- Widzę ją - powiedział Horace.

Wskazał na język asfaltu skracający do Tunelu Lincolna. Z powodu konwencji republikanów służbę pełniło więcej niż zwykle funkcjonariuszy, choć wczesnopołudniowy ruch był relatywnie słaby.

Po obu stronach tunelu wznosiły się wieże w stylu art deco stylizowane na maszty radiowe, na których umieszczono potężne reflektory. Robertowi skojarzyły się ze świetlną bronią z filmów science fiction ery Flasha Gordona. W ich wnętrzu biegingy spiralne schody.

- Mają sześć platform, widzisz?
- Chyba nie mówisz poważnie, że tam wejdziemy?
- Nie my. Ty.

Robert ruszył zachodnią stroną Trzydziestej Dziewiątej Ulicy w kierunku południowej wieży, która wydawała się łatwiejsza do pokonania.

- Z tego miejsca jest najbliżej do punktu orientacyjnego - powiedział.
- Ruszaj - Horace wręczył mu bandanę. - Zawiąż to sobie na twarzy.
- Oszalałeś? Obu nas aresztują.

- Nie, tylko ciebie. Przekłete sześć znaczy to miejsce. Schowek jest na górnej platformie, nie wątpię w to. Potrzebujemy tego klucza. Jest częścią sześciokąta albo Pieczęci Salomona. Idź już.

- Horace...

Starzec zapłonął gniewem.

- Jeśli coś pójdzie nie tak, spotkamy się w Market Diner na skrzyżowaniu Czterdziestej Trzeciej i Jedenastej. Nie ufasz mi? Idź!

Wieżę osadzono na ceglanej podstawie, która sięgała Robertowi ponad głowę.

- W takim razie pomóż mi. Podsadź mnie.

Horace oparł się plecami o ścianę i splótł palce, tworząc z dłoni strzemień. Z niezwykłą siłą pchnął Roberta w górę, po czym nonszalancko odszedł.

Robert podciągnął się na platformę i wsunął do wieży. Ruszył po schodach. Spodziewał się, że w każdej chwili usłyszy gwizdki, syreny, huk wystrzałów. Pokonywał platformę za platformą, wspinając się po krętych schodach, które wiły się niczym helisy DNA. To było tak, jakby wchodził po schodach łączących sześcioboczne piętra w opowiadaniu Borgesa.

- Nie wierzę w to - powiedział na głos. - Jestem w Bibliotece Babel.

Wszedł na ostatnią platformę i rozejrzał się. Nic. Metal, grube czarne kable. Widok Manhattanu zapierał dech w piersiach.

Wyglądało na to, że mógł wejść po drabinie na następny poziom, tam gdzie zamontowano światła. Ostrożnie stawiając stopy na szczeblach, dotarł do góry i wystawił głowę przez otwór w platformie. Tuż przed sobą zobaczył przyklejony taśmą do jednej z metalowych rozperek zamknięty plastikowy woreczek z pojemnikiem po filmie. Oderwał go i schował do kieszeni.

W tej samej chwili usłyszał głos gliniarza, który przez megafon wołał:  
- Stój! Nie ruszaj się, zostań na miejscu. Powoli pokaż ręce.

Katherine wszystko widziała.

Widziała Roberta, jak przechyla się z wieży, by pokazać policjantom ręce. Wycelowała w niego - krzyżyk lunety znajdował się na jego czole. Dwieście pięćdziesiąt jardów. Może oddać jeden, w najlepszym razie dwa strzały. Minęło wiele czasu od jej ostatniego szkolenia. Będzie musiała skorzystać z wizjera laserowego. Wyciągnęła rękę, by go włączyć.

Robert patrzył w dół, przechylając się z wieży.

Jej podstawę otaczali policjanci. Jeden siedział w wozie z megafonem w dłoni. Horace'a nigdzie nie było.

Robert z teatralną przesadą pokazał dłonie. Na miłość boską, co dalej? Nagle zobaczył błysk wielobarwnego światła. Poczul gorąco w środku czoła. Choć zamknął oczy, wciąż to widział.

Czas się zatrzymał. Robert cofnął się za oczy, za umysł, do miejsca, gdzie przez ułamek sekundy nie było nic, tylko świetlne wzory nakładające się na siebie, spływające niczym deszcz z nieba, uginające się, mieszające i przeplatające w barwach, których nigdy nie widział. To był deszcz światła, deszcz nieprzefiltrowany, deszcz światła jednoczącego się z materią i wypływającego z niej, skręcającego się i zwracającego łukiem na siebie, a on był ledwo fałdą, wirum, pływakiem w morzu, z którego sam był stworzony.

*Tak wysoko, jak nisko, tak z, jak w środku, jak na zewnątrz.*

Zobaczył, jak część jego umysłu flirtuje strumień wibracji i światła, zmienną materię uniwersum, która nie jest ani falą, ani cząsteczką, ale jednym i drugim, a zarazem żadnym z nich, zobaczył, jak jego umysł tworzy obraz świata, wybiórczy obraz przystosowany do potrzeb instynktu przetrwania, jak wykonuje montaż tak pozbawiony szwów, by wydawał się niewidzialny

*Umysł jest budowniczym.*

Zobaczył, jak tworzony jest świat. Codziennie. W każdym ułamku sekundy Widział niekończący się cykl doskonalenia, ewolucji.

Otworzył oczy. Przekonał się, że równocześnie jest wolny i predestynowany: że pragnął i wybrał to wszystko co mu się przytrafiło, że jego zadanie polega na dowiedzeniu się, dlaczego stworzył dla siebie takie życie, takie zdarzenia.

Poddał się biegowi zdarzeń, które miały nastąpić.

Katherine zobaczyła czerwoną plamkę tańczącą po głowie Roberta i nieruchomiejącą na jego czole. Trzymała go na muszce, oddychając głęboko i cicho się modląc, by uspokoić nerwy.

Starszy rangą oficer mówił coś do umundurowanych funkcjonariuszy, wskazując wóz policyjny i Roberta, który obserwował pantomimę ociągania się, protestów, namysłu. Potem wszyscy równocześnie spojrzeli na Roberta. Widział, jak czujność i strach rozprzestrzeniają się po grupie.

Oficer z ożywieniem mówił coś przez walkie-talkie.

Katherine widziała, że dostrzegli laserową kropkę. Przez radio upewniła się, czy to ich człowiek, a nie bandyta. Przekonają się, że jeden ze snajperów nie odpowiada. Dawała im na to minutę, potem musi szybko uciekać.

Policjanci nerwowo zajmowali pozycje, dające im lepszą ochronę. Dwaj gestami dawali znak Robertowi, by schodził na dół.

Przez policyjny megafon zahuczał głos:

- Niech pan zejdzie wolno i spokojnie. Niech pan schodzi.

Katherine przeniosła celownik na policjantów.

- Grzeczny z ciebie chłopiec, Robercie - szepnęła. - Nie zatrzymuj się.

Umieściła czerwoną kropkę na piersi jednego z gliniarzy i trzymała ją tam na tyle długo, by dowódca to zauważył, po czym przeniosła ją na czoło innego. W tej samej chwili Robert doszedł do podstawy.

Zobaczyła, jak skacze na ulicę, a gliniarze rozpierchają się na wszystkie strony, by schować się przed jej bronią.

- Tu cię mam, dziecinko.

W duszę Katherine wkroczył cień. Znowu wycelowała w głowę Roberta.

Miała doskonałą pozycję do strzału.

- Kocham cię, Robercie.

Wycelowała ponownie, odetchnęła głęboko i pomiędzy dwoma uderzeniami serca delikatnie nacisnęła spust.

Robert spojrzął w kierunku błysku z lufy i czas się zatrzymał. Jego umysł rzucił się wzdłuż trajektorii pocisku; wiedział, że po drugiej stronie jest Katherine, i wyczuł w jej umyśle przerażający cień Iwnwu,

Pocisk zbliżał się, a on nie był w stanie wykonać żadnego ruchu. Widział kulę, zastygłą w półobrocie, połyskującą w powietrzu. Umysły innych próbowały go dosięgnąć. Wyczuwał Adama, a za nim Iwnw. Wyczuwał Horace'a. Schylił głowę na prawo. Schylił głowę na lewo. Spójrz w górę. Spójrz w dół. Naciskali, zmuszając go do poruszenia się w tę i tamtą stronę, paraliżowali, walcząc o to, by o cal przesunął głowę w jednym lub drugim kierunku.

Robert czuł, że Horace słabnie, rozpaczliwie próbując zablokować morderczy zamiar Iwnwu przebijający się przez ból Adama. Widział, jak poważnie zranił Hale'a. Krew huczała w żyłach, Adam wewnętrznie wykrwawiał się na śmierć. Robert widział zbierającą się krew, rozdęte tkanki. Horace tracił siły, wyczerpany po walce na Grand Central, i teraz Robert czuł, jak jego głowa wbrew niemu przechyla się na prawo, prosto pod nadlatujący pocisk...

Czy Adam przeszedł na drugą stronę, czy jeszcze nie? Czy wciąż prowadzi podwójną grę? Robert czuł, że Adam oddał Iwnwowi kontrolę. Pozwalał, by przez niego dotarł do Katherine. Usiłował zmusić Roberta, by schylił głowę ku pociskowi. Był wrogiem Roberta. Stał się jego wrogiem. Dobry Boże.

Robert mógłby pozwolić mu umrzeć. Adam się wykrwawiał. Gdyby tylko zachował równowagę pomiędzy siłami próbującymi przekrzywić mu głowę na dwie różne strony przez kilka minut dłużej, Adam by umarł i Iwnw straciłby swoją bramę. I znowu Robert dotarł swym umysłem do Adama. Mógłby nawet przyśpieszyć krwawienie.

Adam Hale. Brat, którego zawsze pragnął mieć. Niespokojny, zwariowany, serdeczny Adam. Robert nie potrafił uwierzyć, że dobro przestało w nim istnieć.

Czerpiąc z mocy ziemi i wody, ognia i powietrza, eteru i umysłu, Robert wkroczył w ciało Adama i zamknął wewnętrzne rany. Powstrzymał krwotok i uruchomił wszelkie

mechanizmy obronne i naprawcze w organizmie Adama. A potem płomieniem mentalnego światła wyrzucił Adama i Iwnw ze swojej świadomości i przekręcił głowę o milimetr w górę i na lewo.

Usłyszał syk rozgniewanej osy, poczuł pęd powietrza wywołany lotem pocisku. Skóra na jego czole pękła. Przednia szyba pustego wozu oddalonego od policjantów o dziesięć jardów rozbiła się w drobny mak, huk odbił się echem wśród budynków. Policjanci padli na ziemię. Robert uciekł.

Katherine poczuła, jak cień ją opuszcza. Wystrzeliła jeszcze dwa pociski jeden po drugim, by osłonić Roberta; trafiła w koła kolejnych dwóch wozów policyjnych. Zobaczyła, jak Robert ściąga bandanę i znika za rogiem. Zaczęła wprowadzać w życie plan uciezki: trzy minuty później wyszła na ulicę, ubrana w kostium, uśmiechnięta i spokojna.

Horace siedział przy stoliku w Market Diner z twarzą białą jak kreda. Robert wszedł, przyciskając chusteczkę do czoła, by ukryć krew. Usiadł, niezdolny przemówić, i natychmiast zaczął trząść się na całym ciecie.

- Straciłem cię - powiedział Horace. - Sam się uratowałeś. Tak mi przykro.

Przez kilka minut obaj milczeli.

Robert położył na stole miedzianoczerwony fragment metalicznego szkła, część sześcioboku.

Wziął głęboki oddech. Próbował uspokoić myśli.

- Wzór tych kluczy pochodzi sprzed setek lat - powiedział Horace. - Może jest jeszcze starszy. Wspaniały. Pełny sześciobok przedstawia sześcioramienną gwiazdę, tworzącą następny sześciobok w swoim środku. W sześcioboku z kolei jest gwiazda i tak dalej, każdy wzór sadowi się w poprzednim z niezwykłą precyzją.

- Horace, czy jesteśmy tu bezpieczni? Nie powinniśmy stąd iść? - Z ulicy dobiegał odgłos policyjnych syren.

Horace zamknął oczy.

- Mamy kilka minut

- Uzdrowiłem go. Uzdrowiłem Adama.

Horace spojrzał Robertowi głęboko w oczy.

- Dobrze zrobiłeś.

- Wciąż można go uratować. Wciąż jest w nim dobro, nawet jeśli on sam w sobie go już nie dostrzega. Nie byłem w stanie go zabić.

- Był jednak twoim wrogiem, kiedy go uzdrawiałeś.

- To prawda.

- Twoje zdolności zaczynają przerastać zdolności Adama i moje.

- Nie.

- Jeszcze ktoś potrzebuje uzdrowienia. Ktoś przerażony do szpiku kości.

- Terri.

- Czy przy pomniku Wortha Adam powiedział coś, co utkwilo ci w pamięci?

- Opowiadał o dwóch budynkach Metropolitan Life w Madison Square Park. Nie potrafiłem pojąć, dlaczego to robi. Uwielbia przeskakiwać z tematu na temat, ale to było dziwne.

- Chciał, żeby jakaś fraza utkwila ci w pamięci. Co dokładnie mówił?

- MetLife. Ciagle to powtarzał.

- I co z tego wnioskujeś?

- Obawiam się, że niewiele.

- Mówił ci, gdzie ukrywa się Terri, choć ukrywał to sam przed sobą.

- Co takiego?

- Czy tak to wymawiał? MetLife? Jak właściwie to mówił?  
- Dziwnie. Jakby nagle zaczął seplenić. F brzmiało bardziej jak S. Na początku wydało mi się to sztuczne, ale mówił z naciskiem. Naprawdę dziwne.

- Tak. Rozwiąż to.

- MetLice... zagadka jakże bazowa, powiedział. Dwukrotnie. Zagadka jakże bazowa. MetLice.

- No i?

- Metaliczne lice, jakże podstawowa...

- Poczekaj. W jakim kontekście pojawiły się te słowa? O czym wtedy mówił Adam?

- Hmm... jeśli mam być szczery, wspomniał nocny klub.

- Podał nazwę?

- Nie

- Dobrze. Wysił umysł, Robercie. Adam mówił ci coś językiem pełnego umysłu.

- No, bazowe MetLice...

- Nie zatrzymuj się, zapisz to, jeśli musisz.

Robert zanotował litery

- *Boite a malice*. Dobry Boże. To przypomina wyrażenie *boite a malice*.

- Wydaje mi się, że *boite* po francusku oznacza nocny klub? Albo miejsce pracy?

- Tak jest.

- I tam ukrywa się Terri. W firmie o tej nazwie, w której pracowała albo do której często chodziła. Adam jeszcze przez jakiś czas zdoła ukryć tę informację, ale niezbyt długo, zwłaszcza przed sobą. Oszukał nawet własną świadomość, żeby ci to powiedzieć. Musisz odnaleźć ją tak szybko, jak to możliwe.

Robert wpisał różne odmiany nazwy klubu do Googlea, ale nic to nie dało. Spróbował w innych wyszukiwarkach - z tym samym skutkiem.

- Niektóre z tych miejsc są publiczne, acz dyskretne, o innych natomiast wieść przekazywana jest tylko z ust do ust - powiedział Horace. - Pisał o tym *The New York Times*.

Robert zastanawiał się gorączkowo, czy Terri nie przekazała mu jakiejś wskazówki. Wreszcie zadzwonił do znajomego, wolnego strzelca pracującego dla Time Out i innych czasopism, a czasami także dla GBN, dostarczającego informacji o życiu nocnym.

- Matt, chciałbym zapytać cię o pewną szalenie delikatną sprawę. To pilne i wymaga dyskrecji.

Matt odparł, że nigdy nie słyszał o La Boite a Malice, ale popyta.

Horace na serwetce nabazgrał pytanie: „Czy będzie chciał za to pieniędzy?” Robert pokręcił głową. Matt albo cię lubił, albo nie.

- Będzie super, jeśli załatwisz to w dziesięć minut.

Robert przyjrzał się staremu przyjacielowi.

- Nie jesz, Horace? Chyba nigdy nie widziałem cię jedzącego.

- Człowiek w moim wieku uważa, co wkłada w system. Przenieśmy się teraz do następnego lokalu.

Określną drogą przeszli do restauracji oddalonej o kilka przecznic od miejsca strzelaniny. Wycie syren policyjnych dobiegało teraz z okolic Market Diner.

Matt oddzwonił po kwadransie, w chwili gdy zajmowali miejsca przy stole.

La Boite a Malice nie był ani nocnym klubem, ani nazwą imprezy przenoszącej się z jednego prywatnego strychu na drugi, jak mu się wydawało, ale firmą niesamowitą, otoczoną niezwykle dyskrecją i szalenie kosztowną: agencją konsultingową, prowadzoną przez kobietę, która podobno oferowała twórcze rozwiązywanie problemów przy użyciu szerokiego wachlarza metod, od psychicznych począwszy, na seksualnych skończywszy, doprawionych specyficznym poczuciem humoru. W tym sensie nazwę można luźno przetłumaczyć jako „dom złośliwych psot” czy nawet „sztuczki to my”.

- Matt mówi, że firmę otacza dziwna atmosfera, równocześnie rzeczowa i przerażająca, a ludzie opowiadają o niej jak o miejskiej legendzie. Podobno zatrudnia tylko czarownice. I nikt nie próbuje z nimi zadzierać - powiedział Robert.

- Czy ta właścicielka ma jakieś nazwisko? Można się z nią skontaktować? A może - tu Horace uśmiechnął się - one kontaktują się z tobą?

- To rodzaj firmy, o której Adam na pewno by wiedział. Matt miał tylko numer telefonu, bez adresu.

Horace wyjął z kieszeni mapę Nowego Jorku z naszkicowanym na niej Drzewem Życia i rozłożył na stole.

- Masz coś, co należało do Terri? Do czego była przywiązana albo nosiła blisko ciała?

Robert po chwili wahania zdjął z ręki łańcuszek. Terri miała go na sobie tego dnia, gdy się kochali. Czuł, jak żarzy się w jego dłoni.

- Na tym łańcuszku wisiał drugi klucz.

Horace ujął go w palce i zamknął oczy. Przez ponad minutę siedział w doskonałym bezruchu i głęboko oddychał.

Nie otwierając oczu, poprosił Roberta, by zapisał numer telefonu Domu Złośliwych Psot. Położył dłoń płasko na kartce papieru.

- Przedmioty osobiste wibrują - powiedział. - Mając przy sobie czerwone złoto, mogę odnaleźć pasującą do nich wibrację. Orientujesz się, gdzie mieszka Terri?

- Mówiła, że Adam nazywał ją Red Hooker.

Horace skoncentrował się bardziej.

- Nie ma jej w Brooklynie.

Po następnej minucie głębokiego skupienia nagle się skrzywił.

- Odnalazłem jej strach... I ból. Zadzwoń pod ten numer.

Robert wystukał cyfry. Po sześciu sygnałach odezwała się automatyczna sekretarka, ale głos na taśmie nie przedstawił się ani nie potwierdził numeru. Robert rozłączył się.

- Terri jest tam, gdzie ten telefon - powiedział Horace. - Kiedy zadzwonił, podskoczyła. Była przestraszona, potem zaciekawiona. Otoczyła się ścianą. Bała się odebrać, choć bardzo tego chciała. Zadzwoń jeszcze raz. Przedstaw się i poproś, żeby oddzwoniła. Powiedz, że jesteś ze mną. Ona mnie zna.

Kiedy Robert wybrał numer, Horace znowu się skrzywił.

- Terri, kochanie, to ja, Robert — powiedział do słuchawki. - Jestem z Horaceem. Możemy ci pomóc. Możemy cię ochronić. Potrzebujemy twojej pomocy. Odbierz, proszę.

Czekał na próżno. Połączenie zostało przerwane.

- Musimy ruszać na wschód - powiedział Horace.

Quad zadzwonił, kiedy przechodzili przez Siódmą Aleję.

- Robert, trzymaj się ode mnie z daleka. To zbyt niebezpieczne.

- Możemy cię ochronić.

- Przed nimi nic nie może ochronić.

- Pozwól, żebyśmy ci pomogli.

- Pomagają mi kobiety, z którymi jestem.

- Terri, wiem, że jesteś w ciąży.

Zaczęła płakać.

- Nie istnieje droga wyjścia... dla mnie nie istnieje

- Istnieje, jeśli ci pomożemy Powiedz, gdzie się spotkamy.

- A gdzie jesteście?

- Na skrzyżowaniu Czerdziestej Czwartej i Siódmej.

Milczała przez chwilę, która wydawała się wiecznością.



- Kolekcja zamków Mossmana w Towarzystwie Generalnym, skrzyżowanie Czerdziestej Czwartej i Piątej, za piętnaście minut.

Budynek Towarzystwa Generalnego Mechaników i Kupców, Założonego w Nowym Jorku w roku 1785, zaledwie w dwa lata po wycofaniu się Brytyjczyków i na cztery przed przyjęciem konstytucji, był prawdziwym klejnotem architektury.

Robert i Horace, wciąż zadyszani po szybkiej przechadzce, weszli do windy z drzwiami z brązu na podeście pierwszego piętra, który wznosił się nad pograżoną w ciszy czytelnia. Biblioteka skapana była w świetle padającym z pięknych świetlików trzy piętra wyżej. Ogromne lampy zwisały na łańcuchach z sufitu niczym dryfujące lilie. Robert i Horace skręcili w lewo i wzdłuż rzeźbionej balustradki z brązu doszli do małego pomieszczenia zapelnionego gablotami.

Terri tam nie było.

Gabloty zawierały zadziwiającą kolekcję zamków i kluczy, w większości niezwykle skomplikowanych. Gdziekolwiek Robert spojrział, widział szaleństwo precyzyjnych narzędzi z polerowanego brązu i srebra. Były tu zamki zegarowe, z magicznymi kluczami, szyfrowe, zapadkowe, przykłady zamków odbijających, rygle, gałki otwierane kombinacją ruchów. Jeden był opisany jako „zamek bardzo skomplikowany”. Wielkie żelazne klucze i ozdobne zamki z epoki renesansu wystawiono obok precyzyjnie wykonanych narzędzi z dziewiętnastego i początku dwudziestego wieku, które wyglądały jak maszyny do łamania kodów z numerowanymi bębnami, gwiazdzistymi kołami i karbowanymi cylindrami.

Horace ze wzrokiem błyszczącym z podniecenia zawołał Roberta i wskazał na rzeźbione drewniane instrumenty z elementami przypominającymi szczoteczki do zębów. Tabliczka głosiła: „Egiptski zamek drewniany sprzed około czterech tysięcy lat. Typ bębnowy. Mechanizm został ulepszony i przystosowany do nowoczesnego użytku przez Linusa Yalea”.

W odległym końcu sali obok kasy pancерnej z czarnego, wzmocnionego nitami żelaza, stał wysoki na pięć stóp czarny metalowy sejf ze złotymi literami. Kiedy Robert go zobaczył, jego umysł zapłonął bólem. Znowu zobaczył czarne nity pękniętego dzwonu w kościele St. Marks-in-the-Bowe-ry. *Mary Fat Mary Fat Mary Fat Mary.*

W oczach rozbłysła mu barwna błyskawica, niebiesko-fioletowo-żółta. W myślach zawirowały wzory podobne do zębów piły, takie jak w arkadach gmachu Chryslera. A potem wszystko okryła ciemność. Ciężkie nity kasy pancерnej wywołały przerażający ciąg skojarzeń, zakończony pojedynczym obrazem: fotografią przedstawiającą pierwsze bomby atomowe, którą widział jako dziecko. Głębokie nity na czarnym metalu, Fat Man. Fat Mary. Ma'rifat'. I słowa Roberta Oppenheimera, szefa „Projektu Manhattan”, opisującego pierwszy wybuch atomowy: *Staję się śmiercią, niszczycielem świata.*

Robert cofnął się zdumiony i okręcił na pięcie.

- Horace?

Przed nim majaczył kształt, szary na tle czerni, emanujący błękitne fale. Zamrugał i potrząsnął głową. Miał kłopoty ze słuchem. Jego zmysły przestały właściwie odbierać bodźce. Czuł, jak opuszcza go energia.

- Nie widzę - szepnął. - Jest już blisko, detonacja jest blisko. Jeśli nie zdołamy jej powstrzymać... - A potem wszystko powoli wróciło do normy, ciemne szarości zbladły, zmieniły się w biel.

Przed nim stała Terri, trzymając Horacea za rękę.

Przed budynkiem Towarzystwa Generalnego Horace zatrzymał taksówkę.

- Pojedziemy do mnie. Tam lepiej się tobą zajmę.

Terri uśmiechnęła się smutno.

- A gdzie mieszkasz? Zawsze się nad tym zastanawiałam.

- W budynku przy Upper West Side, dawniej nazywano go Level Club. Blisko pomnika Verdiego.

- Skąd ta nazwa?

- Zbudowali go wolnomularze jako hotel dla członków przyjeżdżających z innych części kraju. Niestety, hotel zbankrutował. Dom przeżył kilka trudnych lat, w końcu jednak go uratowano i odrestaurowano. Nie jestem masonem, ale pewne cechy budynku silnie do mnie przemawiają. Niektórzy twierdzą nawet, że to najbardziej ambitna ze wszystkich prób rekonstrukcji świątyni króla Salomona.

- Teraz naprawdę mnie zainteresowałeś.

- Zanim pojedziemy, spójrz tu, Robercie - powiedział Horace.

Tuż przed wejściem gmach Towarzystwa ozdabiała płaskorzeźba przedstawiająca muskularne ramię zdecydowanym gestem trzymające młot.

- Zapamiętaj to - dodał Horace.

Kiedy Horace opatrzył mu ranę na czole i zbadał oczy, Robert niecierpliwym ruchem podniósł się z sofy.

- Co jeszcze się stało w dniu zaciemnienia?

Horace spojrzał na Terri.

- Podejrzewam, że wszystko - powiedział. - Każde z wydarzeń ostatnich dni swój początek ma w tamtym dniu.

Robert zmarszczył czoło. Powieki same mu się zamykało, ciało ciążyło, jakby było z ołowiu, mimo to nie potrafił uspokoić myśli.

- Opowiedz.

- Nie wszystko widziałam - zaczęła Terri. - Adam przewyciężył straszliwy strach, paraliżujący. Ale potem odszedł.

- Zaczynaj od początku - przerwał Robert. - Czas mówić bez ogródek.

- Znam tylko fragment prawdy. Resztę musi opowiedzieć ci Adam.

- Słucham.

- Tak jak ci mówiłam, między innymi tego dnia straciłam wzrok.

#### 14 SIERPANIA 2003: DZIEŃ ZACIEMNIENIA

Terri przysłała do mieszkania przy Greenwich Street w Charles kilka minut przed dziesiątą, tuż przed umówioną porą.

Ponieważ miała jeszcze trochę czasu, przeszła na drugą stronę ulicy, do małego białego wiejskiego domku, stojącego pod kątem do domu jej klienta. Przypominał jej obrazek, który w dzieciństwie oglądała w książce dla dzieci. Cały pocięty, alinearne.

Zlecenie zapowiadało się na interesujące. Klient, angielski drobny arystokrata po czterdziestce, skontaktował się z La Boite a Malice i poprosił o osobę odznaczającą się bardzo szczególnymi umiejętnościami, która pomogłaby mu rozwiązać problem. Terri miała najlepsze kwalifikacje. Zgodnie z regułami, agencja sprawdziła klienta i przysłała jej wyniki tych badań. Tylko od niej zależało, czy przyjmie zlecenie.

Widząc go w progu, najpierw pomyślała, że ma o wiele bardziej radosną osobowość, niż wyczuwała z oddali, a zaraz potem, że jego oczy są niezwykle magnetyczne. Klient podający się za Adama Hale'a przedstawił Terri starszą od niej o dwadzieścia lat kobietę, śliczną i drobną, z prostymi czarnymi włosami i niebieskimi oczami. Pierwszy sygnał, jaki odebrała od niej Terri, mówił o potężnej blokadzie otaczającej jakąś istotną kwestię z przeszłości.

Terri rozpoznała ów mur, ponieważ sama stosowała ten środek obronny. Kobieta zachowywała się przyjaźnie mimo to Terri wyczuła w niej niepokój: wyrzuty sumienia, wielki szacunek dla partnera i smutek. Poczucie straty.

- To jest Katherine Rota - powiedział Adam. - Katherine, to Terri z La Boite a Malice.

Adama i kobietę łączyła silna więź, sięgająca daleko w przeszłość. Terri zobaczyła niewyraźne postaci trojga osób, złączonych ze sobą od wielu lat w zmieniających się układach, ale zawsze będących razem... trzecią był mężczyzna, partner Katherine. Terri widziała, że trwa to przez całe ich życie

Hale był niczym dynamo. Terri dostrzegała energię przepływającą przez jego ciało i tryskającą na otoczenie. Był potężny, ale cokolwiek skrepowany. I czegoś się bał.

- Terri, przedstawię to w najczarniejszych barwach - zaczął Adam. - Dowiedziałem się, że zaplanowano czyn wielkiej niegodziwości, atak wymierzony w to miasto. Jest to jednak rzecz, której władze nie mogą potraktować poważnie, zresztą ich interwencja tylko sprawę by pogorszyła.

Wykonawca tego planu jest bardzo niebezpieczną osobą, posiadającą stosowne umiejętności. Jest także człowiekiem szalenie fascynującym; w innych okolicznościach cieszyłbym się, gdyby był moim przyjacielem. Jednakże to absolutnie wykluczone.

Terri poczuła, jak ogarnia ją fala energii przepływająca od Adama. Potem poczuła falę potencjalnego zagrożenia. Na moment odebrało jej dech. W samym środku, w jądrze znajdowało się słowo. Próbowała je odczytać poprzez wirujące wzory cierpienia i wstydu. Zemsta.

- Kim jest ten człowiek?

- Nazwisko nie ma znaczenia, ale jego ojciec i dziadek, obaj Egipcjanie, mieli dostęp do wielkiej tradycji starożytnej wiedzy, będąc równocześnie wykształconymi na Zachodzie naukowcami. Przekazali szacunek do tej tradycji, a także pewne jej sekrety chłopcu, który wychowywał się pomiędzy Kairem, Londynem i Ameryką. Jego matka jest Amerykanką, dlatego ma obywatelstwo amerykańskie.

- Rozumiem.

- Temu człowiekowi przytrafiło się coś strasznego, co spowodowało psychoduchowe załamanie. A to z kolei posłużyło jako brama dla określonych potężnych sił zła. Wyśledziłem go i muszę powstrzymać...

- Zrób przerwę na oddech, Adamie - przerwała Katherine.

Terri poczuła, jak mur we wnętrzu Katherine jeszcze się umacnia. Mimo to kobieta z uśmiechem zwróciła się do Terri:

- On czasami potrafi być przytłaczający. Napijesz się herbaty?

- Poproszę wody.

Terri wyczuwała, że Katherine próbuje ją ocenić. Bez wrogości, neutralnie, choć po początkowym wnikliwym badaniu zaczęła traktować ją pozytywnie. Miała wrażenie, że Katherine jest przyzwyczajona do szybkiej oceny ludzi, że ją do tego przeszkolono. Była też jak telewizor włączony do prądu. Włączony z rozmysłem, aczkolwiek nie zdawała sobie z tego sprawy.

- Mogę mówić dalej?

Terri znowu skoncentrowała się na Adamie.

- Proszę.

- Za kilka godzin mam zamiar stawić czoło temu człowiekowi, ale nie jestem dość silny, by uczynić to samodzielnie. Związane są z nim potężne siły.

- Chcesz, żebym poszła z tobą? Jak zrozumiałam, nie w tej sprawie mnie tutaj wezwano.

- Nie. Kiedy ponad dwadzieścia lat temu poznałem Katherine na uniwersytecie, miała jeden z najbardziej potężnych darów, z jakim w życiu się zetknąłem. Teraz potrzebna mi jej pomoc, ale ona nie potrafi go w sobie wywołać.

- Widzę.

- Miałem nadzieję, że pomożesz jej odzyskać ten dar przynajmniej na najbliższe dwanaście godzin. Dodasz własną moc, jeśli zechcesz. Potrzebna mi... zbroja, by tak to ująć. Albo głębia. Głęboka studnia, z której mógłbym czerpać. Nie potrafię tego opisać.

- Wiem. Rozumiem.

Terri zamknęła oczy i nabrała powietrza w płuca, zatrzymując je tam, póki nie wchłonęła wszystkich zakłóceń, niespójności, negacji z całej jej istoty. Później wolno odetchnęła, wyrzucając je z siebie. Skupiła uwagę na Katherine, Adamie i bezimiennym mężczyźnie, z wolna rozlewając ją na tych, którzy ich otaczali.

Zobaczyła rzecz niezwykle zdumiewającą. Piękną... dziewiczą...

- Twój mąż - powiedziała do Katherine - Dlaczego nie poprosiłaś go o pomoc? On jest... Zauważyła, że Adam spogląda na Katherine.

- O niczym nie wie - powiedział. - Zagrzebał to głęboko w sobie i wierzy, że jest sceptykiem.

- To nie jest odpowiednia pora - dodała Katherine. - Robert nie jest gotowy; trzeba go chronić do chwili, gdy wszelkie środki zawiodą i jego pomoc będzie niezbędna.

Terri znowu zobaczyła wszystkich troje w łańcuchu istnienia, połączonych ze sobą i niezmiennych, podczas gdy wokół nich światy przesuwają się i zmieniają barwy. Adam. Katherine. Robert.

Zwróciła się do Adama:

- W jaki sposób się przygotowujesz?

- Oddychanie. Medytacje. Ruch. - Uśmiechnął się do niej. - Skupienie się na zadaniu.

Terri zmrużyła powieki.

- Chcesz, żebym zwiększyła także twoją energię seksualną, żebyś na niej mógł budować jak na fundamencie?

- Robisz to przez samo przebywanie w tym pokoju.

- Mogłabym zrobić to lepiej - odwróciła się do Katherine. - Pani Rota, czy mogłybyśmy porozmawiać, podczas gdy Adam będzie ćwiczył oddychanie?

NOWY JORK, 31 SIERPNIĄ 2004

Robert uniósł rękę.

- Możesz na chwilę przestać, Terri?

Kiedy słuchał jej relacji, chmury mroku i złe przecucia wypełniły mu umysł. Usiłował otrząsnąć się z przecucia zagłady. Było mu głupio na myśl o Katherine próbującej pomóc Adamowi za jego plecami, o Terri, która kochała się z nim, od ponad roku znając jego żonę - obie tę znajomość przed nim ukrywały, by go ochronić. Odnosił wrażenie, że przez całe dorosłe życie zachowywał się jak tchórz, nie przyznając się przed sobą do swego daru.

- Naprawdę musisz odpocząć - powiedział Horace.

Terri ujęła go pod ramię i zgodnie ze wskazówkami gospodarza poprowadziła do pokoju gościnnego. Kiedy Robert się położył, wielką falą zalało go przerażenie, a potem zapadł w otchłań snu.

Przespał kolację. W którymś momencie Terri przyniosła mu zupę. Gdy zjadł, zostawiła go samego, by mu nie przeszkadzać.

*Pieśń miłosna męczennika: budowa Ma'rifat'a*

*Po tygodniu nagle mnie zwolniono. Bez wyjaśnień, za to z ostrzeżeniem, bym nigdy nikomu nie mówił o tym, co mnie spotkało. Wiedzieli, co zrobiłem, ale nie zamierzali mnie oskarżyć. Po prostu nikt nigdy nie uwierzy w ani jedno moje słowo.*

*Pewnej nocy wyrzucono mnie w środku Manhattanu; miałem na sobie ubranie, w którym mnie porwano, oddano mi wszystkie moje rzeczy poza dokumentem tożsamości.*

*Wróciłem na Long Island, gdzie przekonałem się, że straciłem pracę. Nie tylko zniknąłem bez wyjaśnienia, ale też fabrykowałem dane. Zrobione podczas przesłuchań zdjęcia przedstawiające mnie w kompromitujących pozycjach z innymi mężczyznami wysłano do moich przyjaciół i krewnych.*

*Zdyskredytowali mnie jako naukowca i jako człowieka. Moje karty kredytowe okazały się nieważne. Zmuszony byłem żyć ze skromnych oszczędności.*

*Nie potrafiłem im wybaczyć.*

*Ale mogłem się zemścić.*

*Trzecie prawo sir Isaaka Newtona mówi, że każdej akcji towarzyszy reakcja równa co do wartości i przeciwnie skierowana. Zamierzałem teraz zastosować to prawo.*

*Ironycznym zbiegiem okoliczności miałem też zamiar skorzystać po części z formuły, którą Newton osobiście przekazał mi za pośrednictwem mojej Ukochanej.*

*Przekonałem się, że moja destrukcja przyniosła mi zdolności, których przez lata szukałem w naszej tradycji. Niejasne i trucicielskie, lecz rzeczywiste. Wokół mnie zgromadziło się zło, zaczęło karmić się mą duszą.*

*Dziadek przekazał ojcu na przechowanie cudownie zaprojektowany metaliczny bębenek; w dzieciństwie raz pozwolono mi patrzeć, jak się obraca i żarzy, wyczuwać jego moc, podczas gdy dorośli modlili się i odmawiali inkantacje wokół niego. Wydawało się, że bębenek wzmacnia i transmituje ich miłość, uniesienie duchowe. Potem ojciec przekazał bębenek mnie wraz z surowym napomnieniem, bym ukrył go w tajemnym miejscu, odpowiednim dla świętego skarbu, do czasu, aż będę go wart. Miałem nadzieję, że pewnego dnia to się stanie i poznam sekretne wykorzystanie bębena.*

*Teraz z pomocą Newtona wykonałem kopię. Była zrobiona z tego samego metalowego szkła, który opisał jako kamień filozoficzny. Brakowało tylko jednego elementu.*

*Powiadają, że kiedy uczeń jest gotów, pojawia się nauczyciel. Zwróciłem uwagę ludzi, którzy wyczuli moją wściekłość, moje upokorzenie. Przez piętnaście lat usiłowałem w trakcie moich tajemnych studiów przekształcić niewielką ilość zwykłego złota w substancję, którą znamy pod nazwą czerwonego złota. To operacja alchemiczna, wymagająca zarówno delikatnego fizycznego podejścia, jak i wysublimowanego stanu ducha. Nigdy mi się nie udało. W dokumencie Newtona brakowało jednego elementu. Nie napisał, jak go uzyskać.*

*Dostałem go od Iwnwu.*

*14 sierpnia 2003 wstałem wcześniej, zamierzając cieszyć się każdą sekundą pięknego dnia. Gdy weszło słońce, stałem przy otwartym oknie i czułem, jak wspaniałość niebios wkracza w moją duszę.*

*Ostateczne przygotowanie urządzenia będzie długim, znojnym zadaniem. Medytowałem przez godzinę. Próbowałem odnaleźć w sobie wybaczenie za to, co mi uczyniono, ale go nie znalazłem. Uczciłem pamięć mego ojca. Przekląłem Mukhabarat. Przekląłem wszystkie Mukhabaraty świata. Przede wszystkim jednak przekląłem Mukhabarat amerykański.*

*Dwa dni wcześniej wysłałem wiadomość Katherine, mojej Ukochanej. Od czasu zwolnienia tylko ten jeden raz się z nią skontaktowałem. Poprosiłem ją, by spotkała się ze mną w hotelu Luxor w Las Vegas w czwartek 14 sierpnia 2003 roku wieczorem. Nie zamierzałem tam jechać, ale zależało mi, by ona opuściła Nowy Jork. Nie chciałem, by uległa destrukcji podczas eksplozji Ma'rifat'a, który nieświadomie pomogła mi zbudować. Pragnąłem, by była świadkiem wybuchu. By zrozumiała mój ból. Moją destrukcję.*

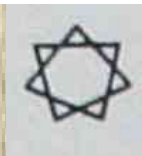
*Po śniadaniu zająłem się codziennymi sprawami. Zapłaciłem rachunki i spaliłem rzeczy osobiste. Umieściłem krótką notkę w blogu prowadzonym przeze mnie na cześć wielkiego Nikoli Tesli, który tak jak ja zbadał najdalsze granice zjawisk rezonansu i wibracji, który ostrzegał, że wiedza taka w nieodpowiednich rękach może rozwalić ziemię, którego*

*laboratorium przy Washington Square Park spłonęło w dziwnym pożarze jak laboratorium Newtona w Cambridge, którego wzrok sięgał poza ograniczenia i przesady swego wieku i który zapłacił za to cierpieniem.*

*Poszedłem do garażu i spakowałem wszystkie niezbędne rzeczy do bagażnika.*

*Mój dom był blisko miejsca, które wybrałem jako stosowną lokalizację do ostatecznej konstrukcji urządzenia. Miejsce to znajdowało się u zbiegu ulic Robinson i Tesla w Shoreham na Long Island, tylko kilka mil dzieliło je od mojej dawnej pracy. Było to puste laboratorium, gdzie Tesla planował swoją najbardziej śmiałą wizję: Radio City, które przez ziemię miało transmitować energię i informacje dla całej ludzkości. Nie zyskał odpowiedniego wsparcia. Poniósł porażkę, choć wiele dziesięcioleci później jego wkład w rozwój świata doczekał się uznania.*

*Wcześniej sprawdziłem, jak najlepiej ominąć ochroniarzy. Kiedy przyszła pora, wszedłem na teren laboratorium przez tajemną furtkę, by stanąć twarzą w twarz z moim przeznaczeniem w osobie Adama Halea.*



7

## Próba Ducha

NOWY JORK, 1 WRZEŚNIA 2004

Kiedy Robert się obudził, Terri przy stole w jadalni jadła kanapkę. Obok niej siedział Horace, popijając wodę.

- Hej, śpiochu - zawołała kobieta. - Gotowy na śniadanie?

- A ty co jesz?

- Lunch. Jest południe. Spałeś osiemnaście godzin.

Robert przeciągnął się. Zmysły miał wyostrome. Czuł, że porusza się ze swobodą i gracją.

Kiedy Terri poszła po kawę, zobaczył, jak płonie światłem na tle ciemnej tapety. Łuki i odwrócone V jak w budynku Chryslera otaczały jej głowę i barki. Zamrugał, ale wciąż to widział. Usiadł wyprostowany. Dreszcze energii przepływały przez jego brzuch i członki.

Kawa była wyśmienita. Położył dłoń na plecach Terri i poczuł prąd. Poczuł zwierzęcy żar, szalejącą energię.

- Masz gorące dłonie - powiedziała, uśmiechając się do niego.

- To od filiżanki.

- Nie, to ty.

Terri uległa cudownej metamorfozie. Od chwili gdy Horace ujął jej dłoń w sali z kolekcją zamków, jej rozpacz i przerażenie zaczęły znikać. Robert spojrzał jej w oczy. Wyczuł, że Terri widzi go na wylot.

- Kiedy spałeś, długo rozmawialiśmy z Horace'em. Może jednak uda nam się to przetrwać.

Horace podał mu gazetę i zaproponował, by zapoznał się z wypadkami, jakie zaszły w ich pięknym mieście w czasie, gdy spał.

Po ich wyjściu z Nowojorskiej Biblioteki odbyły się tam protesty, próba przymocowania transparentu do jednego z lwów, było zamieszanie, doszło do aresztowań. Kolejne aresztowania niedaleko Strefy Zero. Zabawa w kotka i myszkę pomiędzy gliniarzami i najróżniejszej maści manifestantami, w większości nastawionymi pokojowo, choć zdarzały się wyjątki.

Przed wszystkim jednak spekulowano na temat strzałów oddanych do wozów policyjnych koło Tunelu Lincolna. Przesłuchiowano policyjnego snajpera. Nie sądzono, by protestujący, który wdrapał się na jedną z wież oświetleniowych, zamieszany był w ten incydent.

Śledztwo trwało.

Nikt nie zginął. Nikt nie został ranny.

Wrócił Horace.

- Musimy stąd iść. Póki jesteśmy w trójkę, a ja mam skrzynkę złości, jak nazywasz główny klucz, Adam i Iwnw tak łatwo nie zrobią nam krzywdy. Jak sądzisz, gdzie jest następny punkt orientacyjny? Ma numer 121. Wskazówka brzmi:

*Dla nieskończonego widoku wejdź w światło*

*Ogień i złoto czekają na śmiałków  
Aby pokonać zegar, musisz wspiąć się na skałę  
Przez teleskop spojrzeć na północ  
Chcesz uratować miłość - lub ją zabić  
Przejdź Próbę Ducha*

- Jakież uwagi?

Robert otrząsnął się z zamyślenia.

- Jeśli wzór, który ci wczoraj pokazałem, jest prawidłowy, to punkt powinien być gdzieś koło Rockefeller Center. Radio City

Horace potaknął.

- Sprawy toczą się coraz szybciej.

Robert także wyczuwał przybierający na sile pęd. Najbliższe godziny będą rozstrzygające. Był gotów.

- Zaczniemy tam, gdzie wczoraj skończyliśmy, na kręgosłupie - powiedział Horace. - A to mi przypomina...

Gestem wskazał, by poszli za nim do jego gabinetu. Przy ścianie w szklanej gablocie stał wysoki na trzy stopy model z brązu, wyglądający jak ozdobna wieżyczka strażnicza w stylu art deco. Na jej szczycie znajdowały się światła w trzech kolorach.

- W pozycji poziomej wyglądałby jak trumna dla mumii - zauważył Robert.

Dostrzegł, że na ścianie wisi projekt wieżyczki. Terri położyła ręce na gablocie i projekcie, po czym się skupiła.

- To model jednej z siedmiu wieżyczek drogowych, które stały wzdłuż Piątej Alei, mówiłem ci o tym. Piękne. Niestety, wszystkie zburzono. Przyjrzyj się szczytowi, tam gdzie są światła.

Robert pochylił się.

- Dobry Boże. Wijące się węże.

- Właśnie. Kaduceusz.



- Ciągłe się powtarza, Horace, ale jakie właściwie jest jego znaczenie? Łapię fragmenty, niewyraźnie widzę, jak wpasowuje się w próby, miasto, Drzewo Życia, ale zaraz potem znowu mi umyka.

- Mity opowiadają, czasami w zniekształcony sposób, o toczonych przez wieki walce pomiędzy nami i Iwnem o prawo własności i panowanie nad Drogą - powiedział Horace.

- Motyw wijących się po lasce węży jest obrazem Drogi, tak samo jak Drzewo Życia



odzwierciedla ją z innej perspektywy. Kaduceusz jest rodzajem czarodziejskiej różdżki greckiego boga Hermesa, przez Rzymian nazywanego Merkurym, tłumacza bogów, przewodnika po świecie podziemnym, patrona dróg i granic.

Robert zobaczył strumienie podziemnej wody, rzeki płynące pod Manhattanem: obrazy, które nawiedzały go we wszystkich próbach. Pamiętał, jak wyczuwał wodę wijącą się pod miastem, widział trasę wodociągu numer jeden biegnącą wzdłuż pionowej osi Drzewa Życia, przypomniał sobie wiarę Indian amerykańskich w węża Manette, żyjącego w potokach pod Piątą Aleją.

- W jaki sposób węże reprezentują Drogę?

- Są symbolem mocy, które zdobywasz, przechodząc przez kolejne próby - powiedziała Terri. - Wspinasz się w górę, wznosisz od prymitywnych energii zabijania, seksu, żądzy władzy do energii wyższych: współczucia, kreatywności, uzdrawiania. Przekładając to na twoje próby, przechodzisz od kościoła św. Pawła i Strefy Zero przez Union Square do Radio City. Możesz myśleć o lasce jak o swoim kręgosłupie: energie wędrują od podstawy do czaszki. Skrzydła na szczycie symbolizują ducha zrywającego się do lotu, kiedy przejdiesz Drogę do końca.

- Ale dlaczego dwa węże?

- Moce ziemi, wody, ognia i powietrza, eteru, umysłu i ducha - wszystkie mają mroczną stronę - odparł Horace.

- Aby przejść Drogę, na każdym etapie musisz spleść w jedno negatywne i pozytywne aspekty mocy. Na przykład czysta moc energii zabijania jest destrukcyjna, ale nie możesz bez niej przejść Drogi, musisz wykorzystać ją do wyższego celu i czerpać z niej siłę. Bez niej nie przetrwałbyś pozostałych prób. Wijące się wokół laski węże symbolizują łączenie krańców, dobra i zła, aspektu męskiego i żeńskiego, porządku i chaosu, sama laska natomiast jest symbolem równowagi pomiędzy nimi.

- Czemu jednak znalazły się na tych wieżyczkach?

- Hermes był bogiem dróg, stąd uzasadnione jest umieszczenie jego znaku na wieżyczkach regulujących ruch przy głównej arterii miasta. Zauważ też, że kiedy usunięto te piękne wieżyczki, wykorzystano inną postać do ozdobienia świateł drogowych. - Horace wskazał przedmiot okryty kunsztownie haftowaną materią. Robert uniósł ją, odsłaniając wysoką na osiemnaście cali figurę z brązu w charakterystycznym nakryciu głowy, która w lewej dłoni trzymała skrzydlate koło.

- Merkury.

- Tak jest. Istotnie podążamy drogą Hermesa.

Kiedy zbierali się do wyjścia, Robert zauważył na korkowej tablicy fotografie przedstawiające jego, Adama i Katherine.

- Co to jest, Horace?

- Jak ci mówiłem, obserwuję was od wielu lat, Robertcie Jestem waszym Stróżem, Adam i Katherine na różnych etapach blisko ze mną współpracowali, by przeprowadzić cię przez to doświadczenie. Teraz musimy już iść.

Kiedy wyszli, Robert włączył GPS. Terri i Horace czekali na samochód, który zamówili w holu pod wielką pieczęcią Salomona umieszczoną na suficie. Fronton budynku zdobiły bliźniacze kolumny z błyszczącymi kulami na szczytach.

Quad pokazał punkt oddalony o niecałe dwie mile na południowy wschód.

Horace nalegał, by weszli do Nowojorskiej Biblioteki głównymi schodami. Skreślił w lewo i poprowadził ich głównym korytarzem do pomieszczenia znajdującego się po lewej stronie.

- Sala czasopism - oznajmił, cicho otwierając drzwi.

W sali oprócz bibliotekarza nikogo nie było. Na drewnianej boazerii w łukach i okiennych framugach wisiały obrazy przedstawiające siedziby gazet i wydawnictw z początku dwudziestego wieku. Robert rozpoznał zielono-niebieski budynek wydawnictwa McGraw-Hill, wieżowiec *The New York Timesa* przy Times Square numer 1 z pierwotnym kamiennym frontonem, dawny Newspaper Row naprzeciwko City Hall Park, kiedy wznosił się tam jeszcze Worlda Building.

- Zanim zaczniemy, przez chwilę przyjrzyj się tym malowidłom - powiedział Horace.

Siedzieli w milczeniu przez około pięć minut. Robert wyczuwał, że Stróż z wielką miłością obejmuje ich swym umysłem.

Głęboko odetchnął.

- Horace, na czym polega siódma próba?

Stróż ujął Roberta i Terri za ręce, po czym na moment przymknął oczy.

- Ostateczna próba - przemówił - da ci potencjalną zdolność, zaledwie szansę, na powstrzymanie detonacji Ma 'rifat'a. Bez niej nie będziesz miał nic. Próba Ducha jest sprawdzeniem twoich umiejętności przebaczenia, kochania, całkowitego poddania się oceanowi boskiej miłości, w którym jesteś zarówno pojedynczą kroplą, jak i naczyniem zawierającym sam ocean. Robert przejdzie próbę, jeśli udowodni swymi czynami i słowami, że bez reszty poddał się wymogom Drogi: wypracował umysł spokojny niczym zwierciadło, serce ma wolne od strachu, ducha przepełnionego miłością. Zabraknie jednego elementu i zginie.

Robert odzyska siedmioboczny lub siedmiokątny klucz.

- A potem musisz liczyć tylko na siebie. Chociaż będziemy przy tobie, ani ja, ani nikt inny niewiele zdoła zrobić, by pomóc ci w walce z Iwnem i jego tworem. A teraz zaczynamy.

Wstał i energicznie ruszył do drzwi. Robert i Terri podążyli za nim korytarzem do holu, a stamtąd schodami na Czterdziątą Drugą Ulicę.

Dokładnie na wprost biblioteki znajdowała się półokrągła brama z białego kamienia, zdobiona płaskorzeźbami przedstawiającymi znaki zodiaku. U podstawy kolumny z lewej strony Robert dostrzegł Bliźnięta. Miały niezwykły wygląd.

- Pomyśl o tym jako o świętej bramie albo tunelu prowadzącym cię do ostatecznej próby - powiedział Horace.

Poprowadził ich pod wykładanymi mozaikami Guastavina łukami do bogato zdobionego holu Wieży Salmona, w której nawet skrzynki na listy były małymi dziełami sztuki z brązu, a stamtąd na Czterdziątą Trzecią Ulicę. Obejrzawszy się, Robert zobaczył taki sam łuk z białego kamienia z wyrzeźbionymi znakami zodiaku.

- Naprzód! - polecił Horace.

Doszli do Piątej Alei i minęli róg Czterdziestej Czwartej, gdzie poprzedniego dnia po południu spotkali się z Terri.

Nie zatrzymując się, Horace wskazał jaskrawy fryz w głębokich odcieniach czerwieni, zieleni i żółci na wysokim budynku po wschodniej stronie Piątej Alei.

- Szczyt French Building! - zawołał. - Gryfy na tle fajansowego wschodu słońca! Widzisz? Tułów lwa, skrzydła i głowa orła, ogon węża. Znane z odszukiwania złota i zakopanych skarbów! Na szczycie ściany zachodniej głowa Merkurego, Posłańca, na tle złotej promienistej gwiazdy! Twórcę zainspirowała Brama Isztar. Isztar to Inanna, Robercie

- Jestem stworzeniem ze światła. Pamiętam. - Zobaczył to i zrozumiał. Poczul, jak przez ciało przepływa mu moc

Horace szybki krokiem szedł na północ.

- Nie przystawajcie!

Doszli do Czterdziestej Siódmej Ulicy, gdzie po zachodniej stronie przy wejściu do Diament District wznosiły się dwie świetlne wieże w kształcie stylizowanych ośmiokątnych brylantów osadzonych na metalowych krzyżakach.

- Robercie, są podobne do wież w Tunelu Lincolna! Chcesz na nie wejść?

- Nie zatrzymuj się, Horace.

Usłyszał, że Terri powstrzymuje odgłos, który mógł być śmiechem.

Brażowe płotki w stylu art deco ogradzające rosnące na chodniku drzewa oznajmiały, że zbliżają się do Rockefeller Center. Po drugiej stronie ulicy wznosiły się ośmiokątne stożkowate iglice katedry św. Patryka. Minawszy po lewej Maison Française z fasadą zdobioną płaskorzeźbami przedstawiającymi wijące się kobiece postaci, doszli do promenady prowadzącej wprost na zachód, do położonego niżej placu, gdzie zimą urządzano lodowisko; na jego straży stał złoty posąg Prometeusza, wiecznie kradnącego ogień bogom. Na końcu promenady ponad sąsiednimi budynkami wyciągał się ku niebu główny drapacz chmur Rockefeller Center, zwany GE Building albo 30 Rock; jego stroma bryła rysowała się ostro na tle świecącego jasno słońca.

- GPS nie może złapać sygnału - powiedział Robert, ocierając pot z czoła. - Ale jestem pewien, że to tutaj. Musimy zejść.

Schodząc po schodach, Robert zobaczył na fasadzie jednego z budynków pozłacaną figurę Hermesa ze złotym kaduceuszem w dłoni.

Przed GE Building sygnał powrócił.

- To tutaj - powiedział Robert.

Ale coś było nie tak. Jeszcze raz sprawdził współrzędne: wysokość ponad 800 stóp, co oznaczało, że punkt znajduje się na samym dachu wieżowca.

Pokazał Quada Horace'owi.

- Stary taras widokowy, innej możliwości nie ma. Ale od dwudziestu lat jest nieczynny.

- A może to Rainbow Room? Jest dość wysoko.

- Nie sądzę. Rainbow Room, nawiasem mówiąc przed wielu laty oświadczyłem się tam mojej zmarłej żonie, jest na sześćdziesiątym piątym piętrze, tarasy widokowe natomiast mieściły się na sześćdziesiątym dziewiątym i siedemdziesiątym. Były niesamowite. Zaprojektowano je tak, żeby człowiek miał wrażenie, że stoi na pokładzie transatlantyku. Jest takie zdjęcie, które stamtąd dawno temu zrobiono, przedstawiające Manhattan zatopiony w chmurach... ponad mgłą wybijają się tylko czubki Chrysler Building, Empire State Building i kilku innych wysokościowców... ten widok zapierał dech.

- Co się stało?

- Zamknęli dojsście, gdy rozbudowali Rainbow Room. Prawdziwa tragedia.

- Ten budynek jest otwarty dla publiczności od piątej po południu. Nie mamy tyle czasu. Znajdziemy inną drogę. Chodźcie za mną.

Nad drzwiami wejściowymi w odcieniach głębokiego brązu, błękitu, beżu i połyskliwego złota, pod polichromowanymi rzeźbami symbolizującymi mądrość, dźwięk i światło, widniał cytat z Księgi Izajasza: *I zawita trwały pokój w jego czasach, zasobem sił zbawczych - mądrość i wiedza.*

W holu Terri wybrała numer w swoim telefonie komórkowym.

- Jay? Cześć. Mówi Terri z... tak, pamiętasz? Jak leci? Wiesz, mam problem... - Odeszła na bok, by nie mogli jej słyszeć. Wróciła po dwóch minutach, rozradowana. - Jay to satyryk. Pracuje tutaj - wyjaśniła. - Zaraz do nas zejdzie.

- A pamięta cię z...?

- Nieważne. To było zlecenie z Boite a Malice. Drągał z awanturniczą żyłką, więcej o nim nie musicie wiedzieć.

Czekali przy windach wyłożonych polerowanym czarem granitem i brązem. Przejście zagradzały im kołowroty i ochroniarze w zielonych mundurach.

Jay, którego wizyta Terri i jej przyjaciół najwyraźniej bardzo rozbawiła, przeprowadził ich przez kontrolę. Istotnie był bardzo wysoki.

- Mogę zawieźć was na sześćdziesiąte piąte piętro, dalej trzeba pokombinować - powiedział, kiedy czekali na windę. - Na dachu miało być stanowisko snajperów w związku z konwencją republikanów, ale podobno nie przyjechali.

Wysiedli na pogrążonym w półmroku sześćdziesiątym piątym piętrze. Po lewej podświetlony abstrakcyjny wzór fal i okręgów rzucał upiorną poświatę. Czarno-białe kafelki podłogowe powtarzały pasy mroku i przytłumionego światła. Głosy dochodzące z baru dowodziły, że personel przygotowuje się do wieczornej zmiany.

- Tu powinny być schody ewakuacyjne - szepnął Jay. - Jeśli to piętro jest podobne do naszego, są tam.

Miał rację. Starając się nie robić hałasu, doszli aż do sześćdziesiątego dziewiątego piętra, gdzie natrafili na drzwi z kłódką.

- Przejście jest zamknięte, bo nikt nie musi tędy chodzić jak na piętrach, gdzie pracują ludzie - powiedział Jay. - Terri, wspaniała z ciebie kobieta, ale nie zamierzam się włamywać.

Horace delikatnie odepchnął go na bok.

- Jeśli pozwolicie...

Z kieszeni wyjął jubilerską lupę i obejrzał dokładnie kłódkę. Wyciągnął niewielkie skórzane etui, z którego wybrał dwa długie i cienkie metalowe narzędzia.

- Dni spędzone w OSS nie poszły na marne - stwierdził, gdy zamek z głębokim szczękiem ustąpił. - Nie ma śladu włamania. Idziemy dalej.

Wyszli na otwarty taras, gdzie z wrażenia zaparło im dech. U ich stóp rozciągało się miasto. Śródmiejskie drapacze chmur i wieżowce tworzyły wyspę otuloną mgiełką, którą na pół dzieliła iglica Empire State Building, a za nią na niebiesko lśnił ocean. Po lewej zza MetLife Building wyglądały połyskliwe łuki Chrysler Building.

- Chodźmy dalej, z siedemdziesiątego piętra widok jest jeszcze lepszy - szepnął Horace.

Wyprowadził ich na wąski taras, otoczony sięgającą do pasa żeliwną balustradą. Fragmenty rusztowań i budowlane pozostałości leżały oparte o drzwi nieużywanej windy. Na północy ciągnął się ku horyzontowi Central Park z wielkim zbiornikiem wodnym na krańcu.

Wszędzie dokoła widzieli na wiele mil. Zdawało się, że mogliby zobaczyć krańce ziemi.

- Masz wskazówkę, Robercie? - szepnął Horace

Robert odczytał ją na głos:

*Dla nieskończonego widoku wejdź w światło  
Ogień i złoto czekają na śmiałków  
Aby pokonać zegar, musisz wspiąć się na skałę  
Przez teleskop spójrz na północ  
Chcesz uratować miłość - lub ją zabić  
Przejdź Próbę Ducha*

- Tu nie ma teleskopów - stwierdził Horace z gniewem, obchodząc taras.

- Zostały wyrwane.

- Przez teleskop spójrz na północ - powtórzyła Terri. - Poszukajcie miejsc, gdzie były teleskopy skierowane na północ. Może zostały otwory, w których je zamocowano

- Więc tym się zajmujesz dla rozrywki, Terri? - zapytał rozbawiony Jay.

- Kochany, dla rozrywki robię zupełnie co innego.

Horace wydał zwycięski okrzyk. Robert natychmiast ku niemu podbiegł.

- Pozostały otwory, widzisz? Sprawdźmy je wszystkie

Robert zaczął od wschodniego końca, Horace od zachodniego. Reckliss pierwszy dotarł do otworu, w którym znajdował się plastikowy worek owinięty taśmą izolacyjną z pudełkiem w środku.

- Lepiej będzie, jak otworzymy to na dole - powiedział Robert. - Nie możemy pozwolić, żeby nas tu przyłapano.

Horace pokiwał głową, chowając worek do kieszeni. Popatrzył na anteny radiowe, później wolno się odwrócił, pogrążony we wspomnieniach.

- Kiedy zmarła twoja żona, Horace?

- W tym samym roku, w którym zamknięto taras.

Robert zostawił go samego. Z Jayem i Terri skierował się ku schodom. Zeszli piętro niżej.

Nagle dobiegł ich okrzyk bólu i przerażenia.

- Zostań tu - powiedział Robert do Jaya. - Nie ruszaj się.

Razem z Terri popędzili na górę, na wschodni kraniec tarasu. Na tle lśniącej iglicy Chrysler Building i okrągłej bryły wieżowca MetLife Robert zobaczył odzianą w czern postać, która klęcząc nad nieprzytomnym Horace'em, przeszukiwała mu kieszenie.

- Nie! - krzyknął Robert ile sił w płucach.

Postać uniosła ku niemu zamaskowaną twarz.

Wyglądała tak samo jak napastnik z metra, oczy miała płonące jadowitym żółtym światłem.

Robert złapał długą na cztery stopy metalową rurę ze stosu zdemontowanych rusztowań pod drzwiami windy. Mężczyzna w czerni ruszył ku niemu, w dłoniach odzianych w rękawiczki trzymał siódmy klucz i skrzynkę złości. Wpatrując się w Roberta, schował je do zamykanej na zamek błyskawiczny kieszeni w spodniach.

- Terri! Pomóż Horace'owi! - krzyknął Reckliss.

Rzucił się na przeciwnika, robiąc potężny zamach i celując prosto w jego głowę. Tamten się uchylił i przetoczył po podłodze. Minęła ich biegnąca ku leżącemu nieruchomo Horace'owi Terri. Mężczyzna wylądował na stosie rusztowań, chwycił stalową rurę, wstał i wyciągnął ją przed siebie jak miecz.

Obaj wpatrywali się w siebie, wyczekując na odpowiedni moment do zadania morderczego ciosu. Nerwowo szukali oparcia dla stóp, poprawiali broń w dłoni.

- Żyje? - zawołał Robert, wpatrując się w przeciwnika

- Tak, ale wciąż jest nieprzytomny - odparła Terri.

Robert zszedł w samo jądro swego umysłu, czerpiąc moce ziemi i wody, ognia i powietrza, eteru i umysłu. Wolą nakazał, by siła walki w metrze powróciła do jego ciała. Wziął głęboki oddech i wypuścił powietrze z płuc, wzywając swe nowo odkryte dary, poszukując wyższych harmonik, dzięki którym mógłby wkroczyć w umysł swego przeciwnika.

Na próżno.

Niczym atakujący wąż, czarno odziany napastnik skoczył i stalową rurą wymierzył cios od góry w głowę Roberta. Ten okręcił się i sparował uderzenie. Wbił przeciwnikowi łokieć w brzuch i przechylił się na bok, potem zrobił półobrót, wymachując rurą tak, jakby chciał przeciąć napastnika na pół.

Tamten odskoczył do tyłu i kopnął Roberta w plecy, pozbawiając go na moment równowagi. Ponownie skoczył i ponownie wymierzył cios w głowę. Robert uniósł rurę, by przyjąć atak. Metal uderzył o metal z przenikliwym szczękiem, wstrząs o mało nie wyrwał mu ramienia ze stawu. Obaj mężczyźni, na moment oszołomieni siłą uderzeń, wypuścili rury z dłoni; czuli wibracje we wszystkich kościach. Pierwszy pozbierał się napastnik. Z grymasem gniewu skoczył na Roberta, który zablokował cios, wystawiając ramię i bijąc przeciwnika w twarz. Ale nic to nie dało. Dłonie w rękawiczkach zacisnęły mu się na gardle.

Pograżając się głęboko w swej istocie, Robert znowu nie odnalazł siły. Pozostała mu wyłącznie determinacja. To musi wystarczyć.

- Choćbyś stawał na głowie, nie zwycięzysz! - syknął.

Chwycił dłonie zaciśnięte na swoim gardle, ze wszystkich sił, próbując je oderwać. Widział, że pochylona nad Horace'em Terri desperacko próbuje go ocucić.

Robert zobaczył, że z zamaskowanej twarzy znowu spogląda na niego śmierć, mdlące żółte światło w oczach napastnika płonęło czerwono-niebieskimi ogniami i z wolna zmieniało się w magnetyczną, martwą, czarną żrenicę. Usłyszał głos Terri:

- Puść go!

Uścisk na gardle Roberta zelżał nieznacznie.

- Stań naprzeciwko mnie! - krzyknęła Terri. - Ze mną tak łatwo ci nie pójdzie! Chodź tu i zmierz się, ty draniu!

Odziany w czerń mężczyzna odrzucił na bok Roberta, który opadł na kolano, z trudem łapiąc oddech. Ciężki but kopnął go w żebra, opróżniając mu płuca z powietrza. Potoczył się po podłodze, walcząc o oddech.

Terri schyliła się po broń Roberta, machnęła nią przed twarzą napastnika. Robert zobaczył, jak stalowa rura się zapala, bliźniacze węże błękitnego światła biegną przez całą jej długość, a Terri zbliża jej czubek ku lędźwiom mężczyzny w czerni. Chybiła, bo tamten odskoczył ku balustradzie.

Terri szła za nim, po rusze tam i z powrotem krążyła błyskawica. Celowała w brzuch albo klatkę piersiową. Przeciwnik odwrócił się i wskoczył na kamienny słupek balustrady. Wyjął z kieszeni skrzynkę złości, jądro Ma'rifat'a.

- Jedynie od tego zależy, co będzie dalej! - krzyknął, wywijając cylindrem.

Robert w gardłowych, pełnych gniewu słowach nie rozpoznawał głosu Adama.

Dostrzegł szansę. Biegiem wyminął Terri i skoczył na wroga, z potężną siłą uderzając go w żebra. Tamten wyleciał w powietrze. Robert okręcił się, próbując wylądować na nogach. Udało mu się tylko w połowie. Kiedy spadł na położony piętnaście stóp niżej taras, usłyszał trzask pękającej kostki. Potoczył się ku gotyckiej balustradzie.

Czarna postać wylądowała kilka stóp od niego na plecach. Jakiś przedmiot wypadł jej z dłoni i przeleciał przez balustradę.

Robert nie czuł bólu, kiedy jednak próbował się podnieść, przeszył go gwałtowny, straszliwy ogień, uszy wypełnił przeraźliwy gwizd. Zaczął gwałtownie wymiotować.

- Robert! - krzyczała Terri z góry; ledwo ją słyszał. - Główny klucz! Musisz odzyskać skrzynkę złości!

Gorączkowo coś wskazywała. Za czarną postacią, która gramoliła się na nogi, Robert dojrzał leżący po drugiej stronie balustrady, kilka cali od krawędzi, połyskliwy czerwono-złoty bębenek.

Nie był w stanie go wziąć. Obezwładniał go ból. Był zbyt przerażony. Dotarł do granic swej wytrzymałości.

- Robert!

Terri pojawiła się w drzwiach na sześćdziesiątym dziewiątym piętrze z rurą w dłoniach. Za nią szedł Jay. Napastnik rzucił się na nią.

Robert zmusił się do powstania. Ponownie skoczył na przeciwnika, pozbawiając go równowagi. Wylądował kilka cali od skrzynki złości. Nowe ukłucie bólu przeszło go od nogi do czaszki. Pałący, przyprawiający o mdłości ból.

Jay i Terri otoczyli czarną postać. Terri przytknęła rurę do jego czoła, węże strzelającego błękitnego ognia biegnęły po całej jej długości. Napastnik znieruchomiał. Na polecenie Terri Jay wyjął mu z kieszeni siódmy klucz.

Robert ucieszył się, widząc w progu bladego Horace'a. Starzec krzyknął do niego:

- Weź klucz!

Robert wyciągnął rękę przez balustradę, ale skrzynka była za daleko. Podczołgał się - wciąż nie mógł sięgnąć.

Od ziemi dzieliło go ponad 800 stóp.

Wyjął skórzany pasek ze spodni i przeszedł przez balustradę. Zrobił pętlę, przewlekając pasek przez metalowy gotycki luk, i owinał ją wokół swojego nadgarstka.

Złany potem, sięgnął po skrzynkę złościwo spoczywającą na skraju metalowej półki, ale była zbyt daleko. Położył się na półce i zaczął czołgać, odpychając się nogami; w końcu zdołał jej dotknąć koniuszkami palców i paznokciami przyciągnął ją ku sobie. Złapał i mocno ścisnął w lewej dłoni.

W tej samej chwili się pośliznął.

Poczuł straszliwy ból naciągających się mięśni ramienia i barku, gdy zawisł na naprężonym pasku. Zamknął powieki, krzycząc tak długo, aż zabrakło mu tchu w piersiach.

Duszę wypełniło mu czyste przerażenie.

W najgłębszej części swej istoty szukał błysku mocy zdobytych na Drodze. Nic nie znalazł. Poniósł porażkę.

Poczuł, jak za przegub łapie go jedna dłoń, potem druga. Podciągali go. Lewą ręką wciąż kurczowo ścisnął klucz. Wzięli go pod pachy, podnieśli do góry, przerzucili przez balustradę.

Spadł na taras. Nagle Terri krzyknęła przeraźliwie, bo postać w czerni wytrąciła jej rurę z dłoni i rzuciła się ku Robertowi, wyciągając rękę po skrzynkę.

Jay próbował go powstrzymać; napastnik kopnął go w brzuch i Jay zgiął się w pół. Tamten okrążył go i od tyłu złapał obiema rękami za gardło.

Przez chwilę stał nieruchomo jak kamień i wpatrywał się w nich. A potem z zimnym wyrachowaniem złamał Jayowi kark. Rozległ się suchy trzask, ciało zadrżało gwałtownym spazmem i zważyło się na ziemię.

- Nie jestem Adamem! - krzyknął napastnik chrapliwie. - Adam nie żyje. Was też to czeka, jeśli będzie sprzeciwiać się Iwnnowi.

Odwrócił się, pobiegł do drzwi i zniknął w budynku.

- Niech ucieka! - zawołał Horace widząc, że Terri chce go ścigać. - Chodź tutaj.

Terri z ociąganiem posłuchała. Przykłękała koło Jaya, spoglądając pytająco na Horace'a.

- Obawiam się, że dla niego nic nie możesz zrobić. Zapłacą za to. A teraz pomóż mi, musimy zająć się Robertem.

Skinęła głową bez słowa.

Terri i Horace przesunęli dłońmi po członkach Roberta, jakby nastawiali mu kości. Poczuł, jak gorąco przepływa przez całe jego ciało, wzmagając się do białego żaru w kostce, prawym ramieniu, żebrach.

- Jak tylko Robert będzie mógł iść, musimy się stąd zbierać - powiedział Horace.

Reckless czuł, jak złamane kości w kostce stapiają się w całość, przesywając ciało strumieniem światła. Jęknął z bólu.

Horace chwilę stał nieruchomo, sprawdzając umysłem otoczenie, oceniając miejsce pobytu napastnika i pozycje ochroniarzy.

- Widzę wyjście, ale nie możemy się ociągać - powiedział. - Robertcie, to ci musi wystarczyć.

Zejście na dół zajęło im piętnaście szarpiających nerwy minut. Przechodzili od klatki schodowej do pustej windy i z powrotem, podczas gdy Horace i Terri sprawdzali trasę. Wyszli na ulicę w chwili, gdy w budynku rozległy się dzwonki alarmowe.

Horace natychmiast skręcił na północ. Przeszli na drugą stronę Pięćdziesiątej Ulicy. Po lewej wielkie litery czerwonego neonu na Radio City Music Hall głośno głosiły: RADIO CITY - taką nazwę mogło niegdyś nosić całe centrum.

Horace wprowadził ich zachodnim wejściem do International Building. Przeszli przez hol na drugą stronę.

Hol zrobił na Robercie wielkie wrażenie. Zalewała go złota poświata, padająca spod metalowych paneli i podwieszonych, łagodnie poruszających się liści z pozłacanej stali.

- Bardzo mi przykro z powodu śmierci twojego przyjaciela, Terri - mówił Horace cicho - To jest wojna, a on był niewinną ofiarą.

- Nie prosił się o udział w tej wojnie - odparła Terri. - Kto nas zaatakował? Najbardziej przerażające jest to, że jeśli to był Adam, nie potrafiłam go wyczuć. Nic z niego nie zostało.

- Nie wierzę, że to był Hale - powiedział Horace. - Jestem przekonany, że on wciąż walczy. Myślę, że to był członek Iwnwu, jeden z trzech, których spotkaliśmy na Grand Central. Poniósł klęskę. Wciąż mamy jądro i siódmy klucz. Śmierci Jaya możemy nadać znaczenie tylko w jeden sposób: nie dopuszczając do detonacji Ma'rifat'a.

- Ale ja nie przeszedłem próby - powiedział Robert.

- Tak myślisz?

- Próbowałem wezwać moce Drogi, ale mi się nie udało.

- Próba Ducha jeszcze się nie skończyła. Rozpacz, niemożność dotarcia do swoich mocy to jej konieczny element. Pomaga nam zawrzeć pokój ze śmiercią. Przekonajmy się, czy istotnie utraciłeś swoje zdolności. Stań przed jedną z tych kolumn i spójrz w górę - odparł Horace. - Sprawdź, co zobaczysz.

Robert zrobił, jak mówił Horace. Kiedy uniósł wzrok i przesunął się o krok w jedną, a potem w drugą stronę, cienie rzucone na sufit zaczęły przybierać kanciaste kształty, a potem nagle utworzyły idealny trójkąt na szczycie kolumny. Stały się obeliskiem. W tej samej chwili Robert poczuł ogromną falę energii w postaci czerwono-żółtego światła tryskającego z kolumny i otaczającego poświatą piramidę na jej czubku. Oskoczył, jakby porażony prądem, zakrywając oczy.

- Cholera!

- Wciąż następuje u ciebie przebudzenie - powiedział Horace. - Dla większości ludzi byłby to proces zbyt szybki. Doświadczysz okresu ogromnego chaosu i zwątpienia. A teraz musimy iść dalej.

Robertowi głowa pękała z bólu.

- Cholera! Mogłeś mnie ostrzec!

Terri ujęła go za rękę i poprowadziła w ślad za Horaceem. Wyszli tuż za potężną żelazną rzeźbą Atlasa autorstwa Lee Lawriego, stojącą naprzeciwko katedry św. Patryka, i ruszyli na północ.

Na rogu Pięćdziesiątej Pierwszej Ulicy Robert, którego wciąż bolały oczy, dojrzał na wschodzie wspaniałe ostre szczyty budynku przy Lexington 570, gdzie mieściła się siedziba GBN.

Horace nalegał, by szli szybciej. Oboje z Terri ujęli Roberta pod ramiona.

- Stożek na szczycie obelisku i piramidy - powiedział Horace. - Stożek sam w sobie jest małą piramidą i często bywa pozłacany. Określa się go słowem *ben-benet*, pochodzącym od świętego kamienia *ben-ben*, symbolizującego pierwszą wyspę stworzenia, pierwszy kawałek ziemi przebijający się przez prastare wody.

- To musiało wyglądać jak czubki drapaczy chmur sterczące ponad chmurami - stwierdziła Terri.

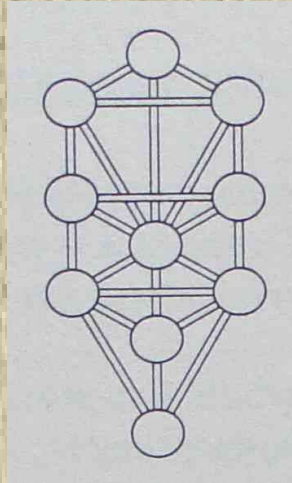
- Tak - zgodził się Horace z namysłem. - Zapewne. Niedługo zobaczymy kolejne jego przedstawienie, to, które znajduje się w samym sercu naszej misji. I wtedy więcej zrozumiecie.

Po lewej minęli kościół św. Tomasza, awaryjne schronienie Horace'a na wypadek, gdyby Robert spóźnił się na spotkanie na Grand Central.

Przeszli obok czarno-złotego wieżowca Trumpa, obok arcydzieł architektonicznych stylu art deco mieszczących Tiffanyego i siedzibę firmy Bergdorf Goodman po wschodniej stronie Piątej Alei, po czym wkroczyli do Central Parku.



## Część trzecia



### Ciało ze światła

NOWY JORK, 1 WRZEŚNIA 2004

- Tędy - powiedział Horace, prowadząc ich koło dorożek i stoisk z widokówkami w kierunku lodowiska Wollmana.

- Horace, na razie nie znamy nawet punktu orientacyjnego! - zawołała Terri.

- Nie ma już punktów orientacyjnych, jest siedem kluczy - odparł Horace. - Musimy pracować z tym, co mamy. Do powstrzymania detonacji potrzebne są wszystkie klucze. Tak samo jak do spowodowania piekielnej eksplozji, do której dąży Iwnw.

Doszli do kranu z pitną wodą znajdującego się za lodowiskiem, u stóp kamiennych schodów.

- Możemy zatrzymać się na moment i sprawdzić, co było w ostatnim schowku? - zapytała Terri.

Horace otarł czoło chusteczką.

- Oczywiście, moja droga. Wejdźmy po schodach.

Na ich szczycie znajdował się ośmiokątny parterowy budynek, ze wszystkich stron otoczony ławkami i stolikami do gry w szachy.

- Dom Szachów i Warcabów - powiedział Horace. - To tutaj ledwo dziewięć dni temu zaplanowano wszystkie próby. - Wyjął scyzoryk i rozciął plastikowy worek, który znaleźli w schowku. W środku było czarne jubilerskie pudełko z łańcuszkiem z siedmioramienną gwiazdą ze srebra.

Terri odłożyła stalową rurę, którą zabrała z Rockefeller Center, i położyła palce na wisiorku.

- Tak jak podejrzewałem - stwierdził Horace. - Gwiazda gnostyczna. Symbolizuje mistyczne zrozumienie. Inne kształty geometryczne także symbolizowały aspekty prób. Okrąg oznacza początek. Rybi pęcherz to symbol łona i podziału komórek. Trójkąt jest stabilizacją, zdolnością do samotnej walki. Sześciąt oznacza stawanie się lepszym

człowiekiem poprzez współczucie. Pentagram jest kreatywnością i odrodzeniem, ponieważ może bez końca sam siebie powtarzać. Gwiazda Dawida to związek dwóch trójkątów symbolizujących niebo i ziemię, duchowość i fizyczność.

Robert miał wrażenie, że głowa pęka mu na pół, oczy płoną od światła. Terri pomogła mu przejść w cieniste miejsce.

- To naprawdę boli - szepnął do niej.

- Wiem - odparła. - Takie są koszty. Zaraz się tym zajmiemy.

Robert usiadł przy szachowym stoliku i zamknął oczy, pogrążając się w doznawanych po raz pierwszy emocjach.

Od wybuchu energii z kolumny w International Building jego wzrok zalewało światło, jakby ciągle wpatrywał się w słońce. Nie potrafił poruszyć głową. Wzory i kształty - kwadraty stolików, fasady mijanych na Piątej Alei budynków w stylu art deco, ośmiokątny Dom Szachów i Warcabów - uderzały w jego świadomość niczym ostrze noży. Nawet cienie drzew i liści odbierał jak tatuaże na własnej skórze. Zalewały go fale intensywnych wrażeń, bodźce emocjonalne i fizyczne zmieszane z kształtami i formami geometrycznymi. Wyczuwał gniew Terri, jej bezradność wobec śmierci Jaya, jej determinację, by przetrwać, niezłomną wolę Horacea, by pokonać Iwnw. Robert raz po raz doznawał nadwrażliwości tak ostrej, że aż nie do zniesienia. Nie było spokoju, nie było ciszy. Na granicy świadomości odbierał język ptaków, ale była to kakofonia skrzyków i pisków wyprana z miłości.

- Horace, Robert bardzo cierpi - powiedziała Terri.

- Budowanie jest także burzeniem - odparł Horace bez współczucia. - Proponuję, żebyśmy tu poczekali. Adam na pewno się z nami skontaktuje.

W egipskim micie Set porąbał Ozyrysa na kawałki. Teraz Robert rozumiał, co to znaczy. Później narodził się syn Ozyrysa, Horus, nosiciel światła, i stanął do walki. Robert pomimo bólu wciąż ufał Drodze. Był równocześnie Ozyrysem i Horusem. Nowa istota powstanie z tej, która została rozczłonkowana. Już wyczuwał, jak zaczyna się budzić, choć nie odzyskał jeszcze sił po wstrząsie, jaki przeżył w Rockefeller Center, gdy zwisał z jego szczytu, pozbawiony mocy, obnażony do samego dna swojej istoty.

*Umrzeć, by żyć.*

Siódmy wers spalonego listu. Słowa znowu pojawiły się w jego myślach.

*Umrzeć, by żyć.*

Próbował to zrozumieć. Po chwili jednak zrezygnował i postanowił pomóc swym towarzyszom, mówiąc lekkim tonem:

- Właściwie to jest pod wieloma względami super. Mogę was wyczuwać, cholera, mogę widzieć wasze pieprzone aury.

Stróż uderzył go w twarz.

- Horace! - krzyknęła Terri. - O co chodzi?

- Nawet teraz pojawia się pokusa, a jest nią pycha - odparł z gniewem. - Okaż pokorę, w przeciwnym razie zostaniesz upokorzony.

Przez następne pół godziny wszyscy troje milczeli.

Wreszcie Horacy ustąpił.

- Przepraszam, Robercie. Prymitywna część naszej istoty walczy najbardziej zażarcie, gdy grozi jej unicestwienie, a mroczną stroną tego etapu jest duchowa pycha. Mówi o tym wiersz Hopkinsa, jeden z cyklu zatytułowanego „Straszne sonety”. Ich autor zmagają się z koniecznością rezygnacji z tego, co nazywa ostatnimi splotami męstwa w sobie.

*Nie, trupia otucho. Rozpaczy, ja nie, ja nie będę się sycił*

*Twą padliną; ostatnich - niechby wiotkich - splotów męstwa w sobie*

*Nie rozplączę, ani, znużony, nie jękne. Nie mogę już. Mogę;*

*Mogę coś: mieć nadzieję, świt witać, nie szukać wyjść w niebycie.<sup>14</sup>*

- Dobrze zrobisz, jeśli będziesz o tym pamiętał. To dotyczy nas wszystkich.

Robert milczał, siedział z pochyloną głową. Oczekiwał, że ta podróż zakończy się oświeceniem, zrozumieniem, a widział jedynie ciemność.

- Znam te sonety, Horace - powiedział w końcu. - Tylko przez jeden z nich mogę wyrazić to, co czułem, kiedy wisiałem z tarasu widokowego.

- Który?

*O, myśl, myśl w sobie góry ma: jeśli na szczycie*

*Staniesz, pod tobą urwisk stromość niezglębiona.*

*Jak straszna - wie ten tylko, kto z nich zwisał...*

*Teraz tak się czuję.*

*Umrzeć, by żyć.*

- Terri, powinnaś powiedzieć Robertowi, co jeszcze wydarzyło się w dniu zaciemnienia - odezwał się Horace.

#### 14 SIERPNIĄ 2003: DZIEŃ ZACIEMNIENIA

Terri zaprowadziła Katherine do sypialni, jedynego pokoju, w którym mogły usiąść. W tym czasie przy swoim biurku Adam z zamkniętymi oczami rozpoczął ćwiczenia oddechowe.

Zamknęła drzwi.

- Katherine, jak mogę ci pomóc?

Katherine usiadła na łóżku.

- Czym właściwie jest Boite a Malice?

Terri wyczuwała, że Katherine ciekawa jest jej jako kobiety. Pytała siebie, skąd u Terri w jej wieku wzięła się taka siła, czy pociąga ją Adam, czy jest manipulatorką, czy można jej ufać. Terri wyczuwała także potężną ambiwalencję Katherine wobec jej od dawna uspiętego daru.

- To grupa silnych kobiet, które świetnie się bawią - odparła Terri, uśmiechając się krzywo. - Stosujemy takie metody rozwiązywania problemów, po których każdy czuje się lepiej.

- Czy te metody obejmują też prostytutkę?

- Ja bym tak tego nie nazwała. To wyobraźnia, flirt i kreatywność. Umiejętności techniczne. Rozumienie pieniądza. Ale zasadniczo rzecz polega na odczytywaniu ludzi i dostrzeganiu ich prawdziwych potrzeb. Lubimy utrzymywać nastrój cokolwiek magiczny, kpiący, trochę mroczny i niebezpieczny. Ja bardzo dobrze umiem odczytywać ludzi. A ty?

Wewnętrzne mury obronne Katherine były ze stali. Terri nie potrafiła dostrzec tego, co Katherine ukrywa.

- Kiedyś potrafiłam. Myślałam, że to normalne. Ale później miałam traumatyczne przeżycie. O mało nie zginęłam w pożarze w czasie studiów. Straciłam bliskiego przyjaciela. I dar zniknął.

Terri dostrzegła niewyraźny obraz nocy z przeszłości, miejsca wilgotnego i zimnego, panikę, przerażenie, ogień. Odepchnęła ten obraz.

- Powiedz mi, jak włączałaś swój dar. Zanim naprawdę w niego uwierzyłaś.

<sup>14</sup> Oba cytaty z wierszy G.M Hopkinsa „Nie ma dna udreń” i „Trupia otucha” w przekładzie Stanisława Barańczaka [przyp. tłum.].

Katherine spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Widzisz aż tak daleko w przeszłość? Tak głęboko?

- Nie, ale u większości z nas tak to się zaczyna.

Katherine opowiedziała o magiji seksualnej, tabliczce Ouija, strzępkach wspomnień z nocy pożaru.

- I przeraziłaś się? Bo ja na początku tak.

- To prawda, bałam się poznawać niektóre aspekty. Ale to było krótkotrwałe. Chwilowy płomień. Chciałam za dużo naraz. Miałam dwadzieścia jeden lat, wydaje mi się, że byłam młodsza od ciebie.

- Zaczęłam wcześniej. Do szesnastego roku życia wychowywałam się w sierocińcach. Życie było trudne. Dar pomagał mi przetrwać. Dopiero w ostatnich latach nauczyłam się, jak wykorzystywać go do pomocy innym.

- Muszę wiedzieć, jak pomóc Adamowi.

- Pomóż mu zwiększyć jego moc. Wywołaj swoją.

- Chcę, ale nie potrafię znaleźć do niej drogi.

Nagle Terri dostrzegła fragment skrywanej głęboko tajemnicy Katherine. Jej związki z Adamem były silniejsze, niż chciała przyznać nawet przed sobą. Kochała Roberta, ale wcześniej była żoną Halea. Wciąż go pożałowała.

Terri rozumiała, że nikt z zewnątrz nie jest w stanie rozerwać więzi łączących tę trójkę. Kobietę, która weszłaby w relację z jednym z mężczyzn, zawsze pokonałaby Katherine. Wypełniły ją złe przeczucia i odsunęła tę myśl.

- Oto, co musimy zrobić: wrócić do nocy pożaru, nocy twojego traumatycznego przeżycia. Usunąć strach. Odzyskać tkwiącą w niej moc. Znaleźć sposób na przekazanie jej Adamowi, by przygotować go na dzisiejszą walkę.

Katherine spojrzała jej prosto w oczy.

- A co z moim mężem?

- W swoim czasie on też zostanie uwolniony od strachu. Może ci jednak pomóc. Powiedz, jakie były te zaklęcia, w które nie wierzyłaś.

- Myślałam, że to tylko sposób na wejście w podświadomość - odparła Katherine.

- Bo tym były.

- Ale chodziło o coś jeszcze...

- To prawda, ale tym razem wszystko ułoży się dobrze.

Katherine siedziała w milczeniu. Po chwili wyrecytowała, poczynając od słów *Czas i przestrzeń ulegają zmianie...*

Terri ujęła delikatnym gestem obie jej dłonie i powtórzyła za Katherine zaklęcie.

- Proponuję, żebyś po wyjściu stąd spotkała się z mężem i kochała się z nim. Wyciągnij go z pracy, bez względu na koszty - powiedziała Terri z uśmiechem. - Wykorzystaj te słowa i oczyść je ze strachu.

Terri raz jeszcze powtórzyła zaklęcie, które Katherine wypowiedziała nad tabliczką Ouija ponad dwadzieścia lat wcześniej, uwalniając je. Błogosławiąc. W myślach zatrzymała obraz Katherine i jej męża, którego twarzy nie знаła, otaczając ich głowy aureolą złotego światła.

- Weź to światło ode mnie, kiedy będziesz z nim - powiedziała. - A teraz myśl o Adamie.

Terri wyszła z sypialni. Łagodnie położyła Adamowi dłoń na ramieniu, by wyprowadzić go z głębokiego transu.

- Katherine już pójdzie. Wykonałyśmy pewną pracę; do końca dnia będzie przekazywać ci swoją siłę.

Przez chwilę trzymała oboje za dłonie. Światło przepływało przez ich ciała, kiedy stali, tworząc trójkąt. Potem Terri odprowadziła Katherine do drzwi.

NOWY JORK, 1 WRZEŚNIA 2004

Robert słuchał w milczeniu. A więc to Terri pobłogosławiła ich miłość w dniu, gdy poczęli Mossa. To ona poradziła Katherine, by dzięki magicznym zaklęciom obudziła na nowo swój dar.

- A potem nie potrafiłam się zmusić, by wrócić do domu. On był niesamowity. Wibrował energią. Po wyjściu Katherine spojrzeliśmy tylko na siebie i rzuciliśmy się sobie w objęcia. Pożeraliśmy siebie. Zapomnieliśmy o przekazywaniu energii. O wszystkim. Nie wiem, czy pomogłam mu się przygotować, przypuszczalnie nie. Ale z całą pewnością miał umrzeć szczęśliwy.

- Wielkie nieba - powiedział Horace.

- Kiedy wychodził, dałam mu swój adres. Powiedziałam, żeby po konfrontacji z tym facetem przyszedł do mnie, nie do swojego domu. I zostawiłam mu talizman, ogniwo łączące go z moją siłą. Byłam w domu, dochodziła czwarta po południu i nagle otrzymałam potężną psychiczną falę uderzeniową od Adama. Zwaliła mnie z nóg. Wokół Hale'a rozpełtało się piekło. Wiedziałam, że żyje, ale... jest skazany. Kiedy wreszcie podniosłam się na nogi, przepelniał mnie dar. Moja wrażliwość do tego stopnia się zwielokrotniła, że ból sprawiało mi poruszanie się, myślenie... a potem drętwiałam, martwiałam, nie czułam własnych stóp. Wyczuwałam, że Adam walczy, że jest w niebezpieczeństwie, miał swoją moc, miał moją, ale walka była trudna, odnosił rany. Wyczuwałam to w jednej chwili, a w następnej nie. Zmiany zachodziły raz po raz, jakby co jakiś czas przepływał przeze mnie prąd.

- I to było zaciemnienie?

- Nie, zaciemnienie nastąpiło kilka sekund później. Bum, i zgasły wszystkie światła. Kolejna fala uderzeniowa, większa niż ta pierwsza. Czułam się tak, jakby podłączono mnie do kontaktu. Straciłam wzrok. A potem siedziałam i długo, długo płakałam.

Przez chwilę milczeli.

Terri położyła dłoń na ramieniu Roberta.

- Mamy kilka rzeczy, których Adam pragnie. On ma rzeczy, na których nam zależy. Powinniśmy wykorzystać je jako przynętę. Przekonać go, żeby się z nami spotkał.

- My chcemy Katherine i Ma'rifat'a z kluczami - powiedział Horace. - Mamy kilka kluczy, czerwone złoto i klucz główny.

- Mamy też mnie i dziecko, które wciąż mogę mu urodzić - dodała Terri. - Jego dziecko.

Robert pokręcił głową.

- Możemy zaproponować klucze. Ciebie nie.

- On mnie potrzebuje.

- Kocha Katherine - odparł Robert - Sam mi to powiedział.

- Katherine nie nosi jego dziecka. Nie potrzebuje jej.

W myślach Roberta znowu błysnął obraz dzielących się komórek. Ale ten proces zaczął się w piątek i wciąż unosił się nad nim cień.

- Terri, muszę zrozumieć.

- To proste.

Terri przez moment zbierała myśli. Robert wyczuwał, jak jej gniew z powodu śmierci Jaya usuwa się na drugi plan, ustępując miejsca skupieniu.

- Kiedy zaczęło się zaciemnienie, utworzyły się łańcuchy związków na poziomie, którego zwykle nie widzimy, na płaszczyźnie psychoduchowej. Rozmawialiśmy już o tym.

Powiedziała, że Adam i budowniczy Ma'rifat'a splekli się w pasożytniczy sposób i wiedzieli o tym. Ale to nie wszystko. Przed walką Adam kochał się z Terri. Uprawiali seks bez zabezpieczenia, ulegając porywom żądzy. Kiedy kilka godzin później doszło do zaciemnienia, Terri była w początkowym stadium ciąży. Nosila zapłodnione jajeczko.

- W tym samym czasie ty i Katherine uprawialiście miłość. Twoja żona zrobiła to, co jej radziłam: zadzwoniła do ciebie, a potem powtórzyła zaklęcie, by oczyścić je ze strachu i przywrócić dla was obojga. Są to słowa tworzące łączność na najgłębszych poziomach.

- Pamiętam - powiedział Robert.

- Tamtego dnia Katherine także zaszła w ciążę. Podczas zaciemnienia była w tym samym stanie co ja. I utworzył się podwójny związek. Po pierwsze: poprzez Adama ja połączyłam się z tobą i Katherine. Krąg Katherine-Robert-Adam połączył się z kręgiem Terri-Adam-Minotaur z Adamem jako ogniwnem pośrednim. Po drugie: powstał związek pomiędzy mną a Katherine w trakcie sesji, którą wcześniej tego dnia z nią przeprowadziłam. Wciąż łączyły nas słowa, a nawet jej skóra, bo kładłam na niej dłoń. Jej DNA było na mojej skórze i wibrowałam wraz z nią, tak samo jak wibrowałam z Adamem.

- Opowiadał mi o tym. Powiedział, że Iwnw może działać także poprzez DNA. Wywołuje rezonans, tworzy harmoniki.

Robert na granicach swego umysłu słyszał świergot ptaków, nie potrafił jednak odnaleźć w nim harmonii.

- Ja też tworzę harmoniki - powiedziała Terri. - Oni wykorzystują je do złych celów, ale to szczególny dar na Drodze Tejrzejusza, którą podążam. Pamiętaj, zgodnie z mitem kaduceusz powstał równocześnie z Tejrzejuszem, dopiero potem dostał go Hermes. Bliźniacze węże oplatające laskę symbolizują między innymi podwójną helisę DNA i zdolność pracy nad nią.

- Przed rokiem 1950 nikt nie miał pojęcia o DNA! - zaprotestował Robert.

- Masz rację, jeśli chodzi o wykorzystanie aparatury do badania DNA, dzielenia go na fragmenty, manipulowania nim i tak dalej - wtrącił Horace. - Te cuda istotnie stały się możliwe dopiero niedawno. Jednakże wiedza starożytnych jest większa, niż sądzimy. Niektórzy adepci Drogi zawsze byli w stanie wizualizować DNA, współbrzmieć poprzez nie z konkretną osobą, nawet wpływać na jej psychikę. DNA pojawia się w wizjach szamanów, w mitach o węzach przynoszących mądrość.

Skrzeczająca pieśń ptaków w umyśle Roberta przybrała na sile, stała się jeszcze bardziej chaotyczna. Za oczami czuł pulsujące boleśnie światło. Usiłował je odepchnąć.

- Związek pomiędzy tobą i Katherine. Mów.

- Istniał też związek pomiędzy dwoma potencjalnymi zyciami. Pomiedzy dwoma jajeczkami, zapłodnionymi, ale jeszcze nie usadowionymi w macicy. I...

Robert poczuł nagłą falę bólu i wstydu płynącą od Terri.

- Pamiętam, że widziałem taniec ognia - powiedział. - Płonące postaci nas wszystkich. Płomienie i cienie. Widziałem ciebie, siebie, Katherine i Adama. I innego mężczyznę, Tariq'a. Ciebie, który brałam za Mossa albo możliwość jego istnienia.

- Przez chwilę dwa jajeczka były połączone, nałożyły się na siebie. Czas i miejsce znikają. Dzieliły to samo miejsce - Terri ujęła rękę Roberta. - To w chwili zaciemnienia Iwnw połączył się ze mną poprzez Adama. Dotarli do jajeczka, zmienili strukturę tkanek z formy życia na formę śmierci: raka. A równocześnie nastąpił transfer światła, siły życiowej pomiędzy mną i Katherine. Mój rak wchłonał większość siły życiowej waszego dziecka. Dlatego kilka miesięcy później twoja żona poroniła. Tak mi przykro. Stało się. Nie miałam takich zamiarów - wybuchnęła płaczem.

Robert miał wrażenie, że głowa mu pęknie. Rak. A on paplał jej o ciąży, jakby był magiem, wizjonerem.

Nie do końca potrafił uwierzyć w to, co słyszał. Terri mówiła, że w pewien sposób zabiła Mossa? Nie. Mossa zabił Iwnw.

- Terri, jest coś, czego nie rozumiem. Te wydarzenia miały miejsce rok temu?

- Rok i dwa tygodnie.

- Widziałem cień nad tobą, dokoła ciebie. Podział komórek. Ale dopiero od piątku.

- Zamrozili raka w chwili, gdy go stworzyli. A przynajmniej tak mówili. Żeby mieszać nam w głowach i grozić nami

- Dlaczego?

- Chodziło o skłonienie Adama do posłuszeństwa. Przez rok nic się nie działo.

Myśleliśmy nawet, że może kłamali. A pięć dni temu odmrozili komórki. Chcieli w ten sposób wzmocnić w Adamie przekonanie, że umrę w ciągu kilku dni, jeśli nie doprowadzi do detonacji Ma'rifat'a. Twierdzili, że jeśli Adam to zrobi, odwrócą proces rakowy i ochronią nas przed wybuchem.

- Wierzycie im?

- Adam sprawia takie wrażenie.

Pomimo iż był środek dnia, Robert wyczuwał cienie nocy wokół siebie. Miotły się w nich i wrzeszczały stwory Yales takie jak te na bramie St. Johns College. Podobne do gargulców potwory o złych zamiarach. Wyraźniej niż dotąd dostrzegał poziom zła, do walki z którym się przygotowywał. Przysiągł, że bez względu na koszty nie podda się do ostatniego tchu.

- Horace, ty o tym wiedziałeś?

Stróż ujął dłoń Terri.

- Tak. Adam i Terri zapytali, czy mogę pomóc, obawiam się jednak, że to wykraczało poza moje umiejętności. Nawet Doskonałe Światło nie zawsze potrafi naprawić wyrządzone zło.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? Czy lekarze nie mogą nic poradzić?

- Nie byłeś jeszcze gotów. Na drugie pytanie odpowiedź też jest przecząca: lekarze nie potrafią zdiagnozować raka w stadium początkowym. Powiedzieli Terri, że to wytwór jej wyobraźni.

- Czulałam, że proces został odnowiony w dzień po tym, jak byliśmy razem - podjęła Terri, wycierając oczy - A w niedzielę zastałam Katherine w naszym mieszkaniu. Zawsze wiedziałam, że jeśli Adam do niej wróci, zostawi mnie. Nie będzie w stanie nic na to poradzić. Czulałam, że nie mogę liczyć na jego ochronę. Poszłam więc do jedynych osób, które były w stanie mi pomóc, moich przyjaciółek czarownic z „domu złośliwych psot”. Przyjęły mnie.

- Mogły wyleczyć cię z raka?

- Nie. Robercie, mam tylko jedną nadzieję: jeśli pomogę Hale'owi opierać się na tyle długo, byś ty zdążył pokonać Iwnw, jakimś cudem wszystkich nas uratujesz. Adama, mnie, dziecko. Tylko ty jesteś w stanie tego dokonać.

Zadzwoił Quad.

- Witaj, Robercie - rozległ się w słuchawce głos Adama - czas, żebyśmy znowu się spotkali. Przyprowadź przyjaciół.

Robert stracił panowanie nad sobą.

- Jeśli znowu cię spotkam, będę ostatnią osobą, jaką w życiu zobaczysz! Gdzie jest moja żona?

Horace gestem dał mu znak, by się uspokoił i włączył głośnik. Robert go zignorował.

- To ty byłeś na dachu Rockefeller Center, draniu? Złamałeś kark temu facetowi? I co, czujesz się jak bohater?

Terri wyrwała mu telefon i nacisnęła klawisz głośnika.

- Nic o tym nie wiem - odparł Adam. - Ostatni raz widziałem cię na Grand Central. O mało mnie nie zabiłeś.

- Powinienem być.

- Ale zdecydowałeś, że mnie uratujesz. Winien ci jestem wdzięczność.

- Wydawało mi się, że wciąż widzę w tobie dobro. Chyba jednak się myliłem.

Zapadła cisza. Robert usłyszał coś w rodzaju głębokiego westchnienia.

- Niezależnie od tego, co sądzisz, musimy porozmawiać - powiedział Adam. - Iglica Kleopatry w Central Parku. Musimy dokonać wymiany.  
Horace gorączkowo kiwał głową, dając Robertowi znak, by się zgodził.  
- Może. Mam główny klucz.  
- I wszystkie pozostałe klucze?  
- Te, których ty nie masz.  
- Chcę Terri.  
- Nie. Główny klucz za Katherine.  
- W żadnym razie. Skończyłem z nią, możesz ją sobie wziąć. Ale dasz mi główny klucz i Terri.  
- Nawet o tym nie myśl.  
- W takim razie żegnaj.  
- Adamie! - krzyknęła Terri do słuchawki.  
- Terri, wciąż możemy mieć dziecko.  
- Możesz mieć mnie. Przyjdę, chcę być z tobą. I możesz dostać całą resztę. Tylko oddaj Katherine Robertowi.  
Zapadło milczenie.  
- Ruszajcie - odezwał się wreszcie Adam. - Przyjdę, gdy tam będziecie.

Kiedy szli na północ wysadzaną drzewami promenadą Mall, Horace opowiadał o obelisku.

- Są dwa takie obeliski. Oba trzy i pół tysiąca lat temu stały w Heliopolis, przez starożytnych Egipcjan nazywanym Iwnw. Święte miasto, święte zarówno dla Światła Doskonałego, jak i dla naszego wroga, Braterstwa, które swą nazwę wzięło właśnie od niego.

Robert dopiero teraz zrozumiał związek.

- Drugi obelisk znajduje się w Londynie, gdzie także jest znany jako Iglica Kleopatry - ciągnął Horace. - Chociaż oba wzniesiono na długo przed jej czasami.

- Poczekaj, Horace - wtrącił Robert. - Mówisz, że mity z całego świata opowiadają o bitwach toczonych pomiędzy Iwnwem i Światłem Doskonałym. Czy ten obelisk był w Iwnwie, kiedy to się zaczęło?

- Nie, pojawił się o wiele później. Wzniesiono go w okresie nazywanym przez historyków Nowym Królestwem, zaś dzieje walki o kontrolę nad Drogą sięgają dalej w przeszłość i nie są związane wyłącznie ze starożytnym Egipcem.

- Opowiedz wszystko, chcę zrozumieć.

Horace chwilę się zastanawiał.

- Droga istnieje, odkąd istnieje rodzaj ludzki - zaczął. - Ujmując rzecz prosto, jest sposobem na postrzeganie nas takimi, jakimi naprawdę jesteśmy: bezpośrednio złączonymi z resztą uniwersum, z wielką świadomością, która jest jego umysłem. Wszystkie istoty ludzkie zdolne są do kroczenia Drogą i osiągnięcia pełnej świadomości, a także do doświadczenia podczas tego procesu sposobu, w jaki umysł, materia i energia są jednym, nieustannie podlegają transformacji z jednej formy w drugą.

- Mówiłeś jednak, że tylko trzydzieści osób na świecie zna tajemnice czerwonego złota - sprzeciwił się Robert.

- Wszyscy są do tego zdolni - powtórzył Horace - ale niewielu decyduje się na kroczenie Drogą dalej niż przez jej początkowe etapy. To niezwykle wyczerpujące doświadczenie, nawet dla tych, którzy nie doznają niezwykle potężnego przebudzenia, jakie narzuciliśmy tobie.

Robert zwrócił się do idącej z rękoma przyciśniętymi do brzucha Terri; w dłoni nadal ścisnęła stalową rurę.

- Mówiłaś, że krocysz Drogą Tejrezjasza. Ja jestem na Drodze Seta. Ile jest dróg?



Terri milczała, pogrążona w myślach. Robert wyczuwał, że modli się za Adama.

- Sposobów na pokonanie Drogi jest tyle, ilu jest kandydatów - odparł Horace. - Można je jednak zgrupować w kilkunastu kategoriach. Droga Seta zarezerwowana jest dla nielicznych.

- Czy Iwnw podąża tą samą Droga?

- Tak, bo Droga jest tylko jedna. Oni jednak zamieszkują jej mroczną stronę i dążą do zapanowania nad ludźmi. Pragną władzy, my nie. Niegdyś byliśmy tacy sami. Wszyscy należymy do jednego rodzaju. Słyszemy wyższe harmonie, widzimy barwy stanów duszy, czasami dostrzegamy to, co leży poza czasem i przestrzenią. Wszędzie na świecie, gdzie znana jest Droga, doszło do podziału, secesji. Jeden nastąpił w Iwnwie, ale były też inne. W Chinach, w południowych Indiach, pomiędzy Celtami.

Robert rozważał słowa Horace'a, usiłując dopasować własne przeżycia do historii, które słuchał. Próby pokazały mu, że w mocach Drogi istnieje mroczna strona. Kiedy najbardziej się w niej pogrążył, Iwnw zdołał przeniknąć do jego świadomości.

- Ci starcy w garniturach, trzej białowłosi mężczyźni. Są Iwnwem czy tylko jego przedstawicielami? Kapłanami?

- To adepci, którzy wybrali mroczną stronę, bez reszty oddali się złu. Są Iwnwem na tym świecie, uosobieniem wściekłej, nienawistnej siły, zamieszkującej świat wirtualny, nieustannie łaknącej ucieleśnienia, wiecznie szukającej okazji do wykorzystania naszych lęków, gniewu, dumy.

- I to właśnie dzieje się na początku? Niektórzy adepci Drogi przechodzą na drugą stronę i dążą do zdobycia władzy nad ziemią?

- Wszędzie historia była taka sama - odparł Horace. - I ciągle na nowo się powtarza. Moce Drogi są potężne i trudno wyrzec się osobistych korzyści. Człowiek musi całkowicie odciąć się od własnego ego, to jest niczym śmierć.

Minąwszy Naumberg Bandshell, po schodach zeszli do sklepionego łukowo podziemnego przejścia, wykładanego niegdyś wspaniałymi, a obecnie przyblakłymi kafelkami malowanymi techniką enkaustyczną w symetryczne wzory czerwieni, żółci i błękitu. Po drugiej stronie przejścia zobaczyli bezmiar nieba i rozległe Bethesda Terrace z posągami anioła rysującym się na tle przepływających obłoków.

Robert wciąż miał pytania.

- Do czego odnosi się słowo „Iwnw”?

- Jak wiesz, oznacza kolumnę i odnosi się do dwóch rzeczy. Po pierwsze do stworzenia świata. Pierwszą wyspę, jaka wyłoniła się z pierwotnego morza chaosu, przedstawiano w Iwnwie jako kolumnę z niewielką piramidą na szczycie.

- A ta druga rzecz?

- To sama Droga. W tym sensie kolumna jest kręgosłupem, łączącym naszą najbardziej surową, prymitywną naturę z najbardziej wzniosłym potencjałem, naszą zdolnością komunikowania się z całym stworzeniem. Symbolizuje nasz rozwój, gdy kroczymy Droga. Świątynie w Iwnwie były miejscami wielkiej wiedzy i duchowych osiągnięć.

- Mówisz o Drodze, ale nie wspominasz Boga, Horace. Nie sądzę, bym kiedykolwiek słyszał, jak mówisz o Bogu.

- Na końcu Drogi, na szczycie kolumny, którą możesz wyobrazić sobie jako drabinę, jeśli wolisz, czeka adepta doświadczenie boskości - powiedział Horace. - Jedni nazywają to Bogiem i personalizują. Inni doświadczenia wyłącznie wypełnionej, nieskończonej brzemiennej pustki - świadomości tworzenia, które zachodzi w każdym ułamku sekundy, w każdym miejscu. To to samo.

Skręcili potem na północ, mijając Boathouse Cafe. Przez Ramble doszli do Turtle Pond i konnego pomnika Władysława Jagiełły, polskiego króla, wznoszącego nad głową dwa skrzyżowane miecze.

Rzymianie przenieśli obelisk z Heliopolis do Aleksandrii w 12 roku p.n.e., mówił Horace. Tam pozostał do roku 1879, kiedy to przewieziono go do Nowego Jorku jako dar dobrej woli od władcy. Ku wielkiemu podnieceniu wolnomularzy po zdjęciu obelisku pod postumentem odnaleziono między innymi kamień rzeźbiony na kształt masońskiego kwadratu, kielnię przymurowaną do wapnia na znak, że nie została w tym miejscu przez przypadek, kamień niezwyklej białości, sześciany o kształtach odpowiadających masońskiej symbolice, oraz szczelinę w formie diamentu, którą wzięto za symbol kamienia znanego masonom jako Klejnot Mistrza.

- Masoni trafili na Drogę podczas wypraw krzyżowych, kiedy wciąż nazywali siebie templariuszami - mówił Horace, - W większości jednak zachowali drobny ułamek wiedzy, której niegdyś strzegli.

Szli dalej na północ, ku gęstym drzewom. Nagle po prawej, wcześniej niż się spodziewał, Robert dostrzegł połyskujący w słońcu, wysoki na siedemdziesiąt stóp biały obelisk. Przyspieszyli kroku, wkrótce dotarli do schodów prowadzących na ośmiokątną platformę, na której wznosił się obelisk.

- Horace, co znaczą te napisy? - zapytała Terri.

Stróż podszedł do południowego boku monumentu.

- Moja znajomość hieroglifów cokolwiek zardzewiała, ale odczytam główną inskrypcję, biegnącą przez środek kolumny. Zewnętrzne napisy dodał później panujący faraon. *On jest niebiańskim Horusem, potężnym, wspaniałym bykiem, ukochanym Ra, króla Górnego i Dolnego Egiptu. Zbudował ten pomnik ku czci swego ojca Atuma, pana Iwnwu, wznosił dla niego dwa wielkie obeliski z piramidami na szczytach ze szczerego złota. Iwnw... kilka fragmentów nieczytelnych... niechaj syn Ra, Tutmos, żyje na wieki.* Ścisłe mówiąc, chodzi o Tutmosa III.

Terri uśmiechnęła się. Horace uniósł wzrok.

- Wyobraźcie sobie, jak to musiało wyglądać, gdy słońce padało na złoto na szczycie obelisku. Spektakularny widok - Wskazał w kierunku śródmieścia. - Wszystkie obeliski, wieżowce, drapacze chmur są tym samym. Wyrażają nasze pragnienia dotknięcia nieba, poznania naszej bezcielesnej natury. Są raketami umysłu, ducha. Fajerwerkami, które nigdy się nie wypalają. Są współczesnymi odpowiednikami świętej jaskini, kamiennych ścian pomalowanych naszymi snami, pierścieniem wokół paleniska, kręgiem magicznych kamieni. Linga i joni. Linie proste i zakrzywione.

Robert zobaczył aurę szarobłękitnego światła wokół monumentu. Koncentrując się stwierdził, że potrafi przybliżyć ją i oddalać, redukować i wzmacniać jej natężenie. Gwałtowność jego wcześniejszych wizualnych i duchowych doznań powoli malała, odkąd doszli do obelisku.

Terri ciężko opadła na ławkę.

- Cholera, gdzie jest Adam?

- Przyjdzie, gdy będzie gotowy. Podejrzewam, że próbuje zgromadzić dość sił, by móc ukryć swoje myśli i czyny przed Iwnwem, choć może już za późno, by na to liczyć.

- Nie - odparła Terri. - Jeszcze nie jest za późno. - Wstała i zdenerwowana zaczęła krążyć. - Kiedy Adam przyjdzie, możecie obaj się nim zająć? Jest jakiś sposób na udzielenie mu pomocy, zanim z nim odejdę?

- Gdyby była tu Katherine, może istniałaby szansa, zwłaszcza że mamy skrzynkę złośliwości, główny klucz - odparł Horace. - Pod warunkiem, że Adam przyjdzie bez Iwnwu. Bez tych, co go pilnują. Niewykluczone, że to tak długo trwa, bo próbuje się ich pozbyć.

- Tariq - powiedziała Terri.

- Tak, Minotaur - zgodził się Horace. - Gdyby jakimś sposobem można go było uwolnić czy wyrzucić z wnętrza Adama, zniszczeniu uległoby ogniwo łączące Adama z Iwnwem. A

równocześnie zniszczone zostałyby ogniwo łączące ich z tobą, utraciliby władzę nad strukturą twoich cząsteczek.

- Co należałoby zrobić?

- Być może nie jest to niemożliwe - powiedział Horace - ale Katherine musiałaby spróbować porozmawiać z człowiekiem, którego przez swoją zdradę posłała do piekła.

Cicho omawiali alternatywne plany, otaczając się psychicznymi barierami przeciwko uszom Iwnwu. Robert stwierdził, że robi to naturalnie, nie myśląc o tym ani nawet nie wiedząc, że tego dokonał.

Mimo to nie czuł oświecenia, stanu przebudzenia, którego spodziewał się po przejściu przez próby. Wszystko było ciemnością, mrocznym chaosem.

Usiedli, tworząc sobą literę Y, z obeliskiem w środku i pogrążyli się w myślach.

- Robercie, pamiętasz szczelinę, którą znaleziono pod obeliskiem? - zapytał Horace. - Nie było tam klejnotu, ale symbolizujący go kształt. Klejnot reprezentuje oczyszczoną świadomość tego, kto przeszedł Drogę do samego końca. Skup się teraz na klejnocie. Proponuję, byśmy wszyscy chwilę medytowali. To pomoże ci się przygotować do nadchodzącej próby. Obawiam się, że Adam nas tu jakiś czas potrzyma.

Robert wrócił myślą do czarnego krzemienia, który czuł w swym sercu na Union Square po jedenastym wrześniu, kiedy nie potrafił uwierzyć, że sama miłość może wystarczyć do przeciwstawienia się nienawiści stojącej za atakami. Teraz rozumiał, że miłość i tylko miłość będzie jedyną bronią, przy pomocy której zdoła pokonać Iwnw.

- Kiedy zajrzałem do środka skrzynki złości - powiedział - odniosłem wrażenie, że na przemian jest wklęsła i wypukła, jakby równocześnie miała obie te cechy

- Równocześnie ma obie te cechy i nie ma żadnej - odparł Horace - Paradoks jest językiem boskości. Koncentruj się na nieobecności klejnotu, dopóki klejnot nie pojawi się w twojej świadomości.

Robert wyobraził sobie pustą szczelinę w kształcie klejnotu i pozwolił, by wszelkie inne myśli odplynęły. Czas zatrzymał się, a równocześnie popędził do przodu i żadne z tych zjawisk nie wydawało się realne. Robert wpatrywał się w pustą niszę, aż sam się nią stał: pustą niszą, pustym naczyniem, bolesną otchłanią, która z wolna zaczęła przemieszczać się pomiędzy pustką a pełnią, obecnością a klejnotem.

W poszukiwaniu siebie, w poszukiwaniu zrozumienia Robert udał się do miejsca, w którym był najszczęśliwszy. Wokół niego rozbrzmiewał świergot, ptasi śpiew prowadził go do zagajnika na terenie wielkiej posiadłości, w którym bawił się w dzieciństwie. Gdy siedział na gładkim kamieniu, na jego skórze igrały plamy światła przefiltrowane przez zielone liście. Pozwalał, by ptasi język przenikał jego zmysły, sam zaś rozważał tajemnice świata. Nigdy się nie zdarzyło, by opuścił to miejsce bez odpowiedzi. Teraz zatracił się w melodyjnym, beztróskim świergotaniu ptasiego języka i wiedział, czym jest prawdziwy spokój.

Ktoś nadchodził. Pod ciężkim butem trzasnęła gałązka, czyjaś serdeczna obecność wkroczyła do zagajnika niespiesznym krokiem człowieka żyjącego w zgodzie z naturą. Robert czuł zapach mokrej ziemi, deszczu w powietrzu, wilgotnych liści. To był jego ojciec. Kiwając głową, usiadł obok syna na kamieniu.

Milczeli, czując się ze sobą swobodnie, od dawna przyzwyczajeni do wyrażenia swej miłości bez słów. Siwowłose i ogorzały, z sękatymi dłońmi i silnym dzięki dziesięcioleciom pracy na roli grzbietem - ojciec był taki, jakim pamiętał go Robert: potężny i dobry, zamyślony i małomówny.

- Zawsze lubiłeś to miejsce, co?

Robert potaknął. Czuł, że nie musi nic mówić.

- Kilka razy przychodziłem tu po ciebie Mama też. Kiedy nie wiedzieliśmy, gdzie się podziałeś, przychodziliśmy tutaj.

Jego piwne oczy spoglądały badawczo na syna, jakby chciały zakomunikować mu coś, czego nie da się ująć w słowa

- Napisałem do ciebie - powiedział ojciec. Wyjął z kieszeni list i podał synowi. Dłoń nieznacznie mu drżała. - O rzeczach, które powinieneś znać, na wypadek gdyby kiedyś były ci potrzebne.

Robert wziął list. Rozpoznał go od razu: to był list, który dostał na studiach, który spalił, choć wciąż pamiętał każde zawarte w nim słowo. Spojrzał w oczy ojcu i zobaczył, że coś go dręczy

- Twoja mama i ja trzymaliśmy cię z dala od takich spraw - powiedział ojciec. - Wiedzieliśmy, że zbyt wielkie niebezpieczeństwo, zbyt wielka niegodziwość spowodowana została bawieniem się rzeczami, których nie rozumieliśmy. Zdarzyły się straszne rzeczy, opowiadały o tym rodzinne historie... Zdecydowaliśmy, że wychowamy cię inaczej, w nowoczesny sposób. Chcieliśmy dać ci szansę, jakich my nigdy nie mieliśmy, których dawny sposób nigdy by ci nie dał.

Robert uświadomił sobie, że ojciec go przeprosza, że prosi o wybaczenie za to, iż utrzymywał syna w niewiedzy o jego darze.

- Nikomu nie mów, że ci to dałem - powiedział ojciec. - A kiedy będziesz miał dzieci, dołóż starań, by nie ograniczać ich własnymi lękami.

Wyciągnął do syna rękę. Robert ujął ją i delikatnie uścisnął.

- Nie ma powodów, żebyś mnie przeproszał - rzekł do ojca. - Wtedy nie byłem gotowy, teraz jestem. Nie muszę ci nic wybaczać.

Ojciec podniósł się i kiwnął głową, ostatecznie zegnając się z synem. Wyszedł z zagajnika, zostawiając Roberta samego z harmonijnym śpiewem ptaków, czystym i krystalicznym niczym idealny, połyskliwy klejnot.

Robert otworzył oczy. Było ciemno. Nigdzie nie dostrzegł Horace'a, Terri siedziała ze swoją prowizoryczną bronią na kolanach, czujnie wpatrując się w ciemność.

- Gdzie byłeś? Minęło wiele godzin - powiedziała. - Witaj.

- Dziękuję - odparł Robert.

Usłyszał, jak ktoś kaszle za obeliskiem.

- Właściwie, staruszku, myślę, że ona mówi do mnie.

Pojawił się Adam, a za nim Katherine. Na jej widok serce Recklissa zadrżało. Wyglądała na znużoną i zrozpaczoną. Hale trzymał w dłoni pistolet żony Roberta. Machnął nim, jakby to była zabawka, po czym wsunął za pasek.

- Musiałem odebrać go Katherine. Bezużyteczny narzędzie pośród takich jak my przyjaciół, ale lepiej, żebym je miał. Nie ruszaj się, Robercie. Łzawe powitanie może jeszcze poczekać.

Adam wyglądał jak upiór, był śmiertelnie blady i spięty. Podejrzliwie rozejrzał się dokoła.

- Horace, wychodź, gdzie jesteś? Wyczuwam twoją obecność.

Nikt mu nie odpowiedział. Adam wydawał się zastanawiać, wreszcie podjął decyzję.

- Katherine, siadaj tam. - Gestem wskazał ławkę, którą zajmowała Terri.

Robert czuł, że Katherine bez reszty skupiona jest na przekazywaniu całej swej siły Adamowi.

- Teraz ty, Robercie. Usiądź pomiędzy paniami.

Robert powoli wstał i wykonał polecenie. Katherine spojrzała mu w oczy z gniewem i przerażeniem. Próbował przekazać jej, że będzie ją chronił, będzie chronił ich wszystkich.

- Cóż za skomplikowaną sieć upletliśmy - powiedział Adam z sadystyczną radością. Rzucił Robertowi pod nogi jakiś przedmiot. - Rickless, nie mów, że nie szukałeś.

To była jego ślubna obrączka.

Robert spojrział najpierw na Terri, potem na Katherine. Żadna z nich nie zareagowała. Schylił się i podniósł obrączkę, ale nie włożył jej na palec, tylko wsunął do kieszeni.

- Tobie zostawiam wymyślenie sposobu na pojednanie - powiedział Adam. - Terri na moją prośbę ukradła obrączkę podczas waszej schadzki, żeby w próbach nie zabrakło niezbędnych przeszkód. To brutalny interes, bez dwóch zdań.

Adam sprawiał wrażenie, że utracił resztkę swego człowieczeństwa.

- W zamian oddaj mi skrzynkę złości i klucze. Natychmiast.

Robert podniósł się wolno i z kieszeni spodni wyjął woreczek zawierający siódmy klucz oraz fragmenty piątego i szóstego.

- Połóż woreczek na ziemi. - Adam wskazał miejsce pomiędzy nimi.

Robert wykonał polecenie.

Hale schylił się po woreczek, nie spuszczać wzroku z Roberta i obu kobiet.

- A teraz jądro, klucz główny, bez którego pozostałe nie działają. Małą skrzynkę złości, która pasuje do wielkiej skrzyni złości.

Terri podniosła się i podeszła do Adama. Ujęła go za rękę.

- Najpierw coś nam powiedz.

Napięcie w ciele Adama jakby zelżało. Położył dłoń na jej twarzy.

- O Boże, Terri. Co?

- Opowiedz o Lawrence'ie. I o Iwnwie. Czego chcą.

W mroku za plecami Adama stanął Horace.

- Jak to było z Lawrence'em?

Zaskoczony Adam drgnął. Terri wciąż trzymała go za rękę.

- Mów - powiedziała nagle - Horace'owi jest to potrzebne. Wszyscy powinniśmy wiedzieć, do czego cię zmusili. Co musiałeś znieść. Proszę.

Adam wpatrywał się w nią, nie mając ochoty zaczynać.

- To nie jest przyjemna historia - powiedział wreszcie.

- Adamie, bardzo proszę.

W końcu ustąpił, wzruszając ramionami.

- Skoro chcesz.

Terri wypuściła jego dłonie i cofnęła się o kilka kroków.

- Horace zapewne wam powiedział, że Lawrence zmarł śmiercią żołnierza. Ze działając na rzecz Iwnwu, poddałem go naciskom nie do zniesienia. On jednak odmawiał odpowiedzi, a w końcu złapał pistolet i zastrzelił się, wolał bowiem umrzeć, niż zdradzić mi miejsce ukrycia czerwonego złota.

- Jestem przekonany, że tak to się odbyło - powiedział Horace.

Robert nigdy dotąd w jego głosie nie słyszał równie lodowatego tonu.

Adam skrzywił się.

- Obawiam się, że to niezupełnie jest prawdą. Zdobył się na heroiczny wysiłek i zadzwonił do obecnego tutaj Roberta, by go ostrzec. Wielka szkoda, że ledwo potrafił mówić, tak bardzo cierpiał. Niedługo potem też do ciebie zadzwoniłem, Robertcie, żeby zamieszać ci w głowie. Jak się pewnie domyślacie, byłem bez reszty pod wpływem Iwnwu. Trudno uwierzyć, że od tamtego wieczoru minął dopiero tydzień.

Terri zamrugnęła, siłą powstrzymując łzy gniewu i wściekłości.

- Ze smutkiem to mówię, ale prawda jest taka, że Lawrence przed śmiercią się załamał. Szlochał i jęczał, i wreszcie podał mi wskazówkę - przyznając, że drobna, acz wystarczająca - dotycząca miejsca ukrycia czerwonego złota. Pozwoliłem mu napisać list pożegnalny i zastrzeliłem go, kończąc w ten sposób jego udrękę.

Wstrząśnięci wpatrywali się w Adama. Na jego twarzy pojawił się wyraz wstydu zmieszanego z dumą.

Horace nie krył pogardy

- Na wszystko, co święte - szepnął - jeśli to prawda, niechaj twe czyny po stokroć zwrócić się przeciwko Iwnwowi, niezależnie od tego, czy ja będę narzędziem odплаты, czy ktoś inny. Wybaczam im, bo tego wymaga przysięga, którą złożyłem, ale nie rozgrzeszam ich ze skutków ich czynów.

W myślach Roberta uformowały się słowa. *Przypomnij sobie list*. Odszukaj przesłanie Lawrence'a. *Przypomnij sobie list*.

Adam przeniósł wzrok na Roberta.

- Wiesz, kilka godzin temu uświadomiłem sobie, i muszę przyznać, że poczułem się dziwnie, na jakie sposoby Droga wyraża samą siebie od chwili, gdy zaczynamy nią kroczyć. Wspominałem tamtą grę z jednorożcem w Cambridge i pojąłem, że zakodowane klucze, które dałem uczestnikom, po ułożeniu jeden na drugim tworzą dość bliski zarys Drzewa Życia. Wtedy nie miałem o tym pojęcia. Horace dopiero zaczynał wprowadzać mnie w tajniki korzystania z niego jako narzędzia na Drodze, a mimo to przemawiało przeze mnie, znajdując własny sposób na zaistnienie w świecie.

Robert spojrział mu w oczy, zadając sobie pytanie, czy wbrew temu, co się zdarzyło, Adam nie usiłuje przekazać mu sekretnej informacji. O jakim aspekcie zabawy z jednorożcem mówił? Próbował uspokoić myśli, by usłyszeć słowa formujące się na krawędzi umysłu. Na próżno.

- A wracając do Lawrence'a - mówił dalej Adam. - Zniósł niezmierny ból. Iwnw dręczył go za moim pośrednictwem. Zadawałem mu ból fizyczny i psychiczny. Milczał jednak, więc zastosowali własną broń. Torturowali jego psyche. Sprowadzili koszmary z dzieciństwa, wygrzebali obawy ukryte na samym dnie umysłu. Załamał się. Zaczął mówić, niewiele, to prawda, ale dał do zrozumienia, że drobiny czerwonego złota domieszano do sztab zwykłego złota z kopalń Hencottów i ukryto w oczywistym miejscu.

Robert zobaczył rozpacz na twarzy Horace'a.

- Większość sztab zgromadzono tam, gdzie ludzie zwykle przechowują złoto - ciągnął Adam. - W jednym z najbezpieczniejszych miejsc na świecie. W Banku Rezerw Federalnych w śródmieściu Manhattanu.

Iwnw, który przez rok od poprzedniej detonacji cierpliwie próbował wysledzić resztę czerwonego złota, teraz wiedział, gdzie można znaleźć sporą jego ilość.

- Zależało im na złocie, ponieważ, ujmując rzecz w skrócie, byli rozczarowani zasięgiem pierwszej eksplozji przewidzianym przez twórcę Ma'rifat'a. Nawet gdyby jego broń wybuchła z całą mocą, a nie zmieniła się w niewypał, doszłoby do czegoś w rodzaju Hiroshimy, mimo iż w charakterze paliwa wykorzystywała surową energię psychiczną. Teraz chcą więcej, o wiele więcej. To dlatego tak im zależało na wzmacniającej mocy czerwonego złota. Nie chodzi im wyłącznie o fizyczną destrukcję i bierne ofiary. Chcą, by ludzie własną ręką zadawali sobie śmierć. By wybuchały wojny domowe, by brat stawał przeciwko bratu, rodzina przeciwko rodzinie. Obozy koncentracyjne na całej ziemi. Masakry dokonywane przy użyciu wszelkiej dostępnej broni. To ma być bomba niszcząca dusze, doprowadzająca do rozkładu psychikę tych wszystkich, którzy znajdą się w jej zasięgu, a będą to miliony ludzi. Oto, kim oni są. Oto, czego pragną. - Adam popatrzył na nich buntowniczo. - Wdarli się w moje wnętrze, pożerając od środka, by zmusić mnie do przejścia na ich stronę, a ja opierałem się tak długo, jak było to możliwe. Teraz jednak rak atakuje Terri, zajmuje miejsce, w którym powinno być nasze dziecko. A ja wciąż mam nadzieję, że na końcu oddadzą jej to dziecko. Przyrzekli, że będziemy bezpieczni, że odwrócą rozwój choroby.

Robert wyczuwał, że Adam stracił resztki rozsądku.

- Wierzysz im, Adamie?

- Muszę.

Katherine wstała i delikatnym ruchem położyła dłonie na brzuchu Terri. Terri przykryła je swoimi dłońmi. Adam odwrócił od nich wzrok.

- Usatysfakcjonowany? - zapytał Roberta. - Jak widzisz, nie miałem większego wyboru, niezależnie od tego, jak bardzo się starałem. Ale niewykluczone, że zdołam osiągnąć jedną dobrą rzecz. Oddaj główny klucz. Proszę.

- Ja go mam - powiedział Horace, wyjmując skrzynkę złośliwości z kieszeni.

Robert dostrzegł strumienie energii przepływające przez ramię starca, nie odrywającego wzroku od Adama.

- Tak samo jak Robert położył go na ziemi - polecił Adam.

Zamiast wykonać rozkaz Adama, Horace zawołał:

- Katherine, porozmawiaj z Tariq'iem.

Spojrzała na niego zdumiona.

- Co?

- Mów do Tariqa.

Adam sprawiał wrażenie zdezorientowanego. Cofnął się przed idącą ku niemu Katherine, najwyraźniej rozumiejąc, o co prosił ją Horace.

- Tariq, słyszysz mnie?

Horace, Robert i Terri chwycili się za ręce i utworzyli wokół Adama krąg, wysyłając całą swą moc ku niemu, próbując zwabić Minotaura w świadomość Hale'a. Adam stał wyprostowany jak struna, z napiętymi mięśniami. Nagle głowa odskoczyła mu w tył.

Katherine, która stała na zewnątrz okręgu, z największą starannością dobierała słowa.

- Zawiodłam cię. Chcę, żebyś wiedział, jak bardzo mi wstyd z powodu tego, co zrobiłam. Zdradziłam cię.

Adam zadrzał. Nic nie mówiąc, przechylił głowę i utkwilił wzrok w oczach Katherine. W jego spojrzeniu była straszliwa udręka, ból i wyczerpanie.

- Wiem, że wiele wycierpiałeś, Tariq, nikt nie powinien przechodzić przez to, przez co ty przeszedłeś. Twojego ojca aresztowano i źle traktowano. Wywiady różnych krajów próbowały cię wykorzystać i manipulowały tobą dla własnych celów. Szantażowały cię i groziły. A ty przez cały ten czas dokonywałeś wielkich wysiłków, by postąpić słusznie. By w miarę możliwości żyć w zgodzie z honorem pomiędzy ludźmi bezwstydnymi. Ja to wszystko wiem i doceniam. Nie zasłużyłeś na to. Zrobiłeś, co w twojej mocy.

Powoli w powietrzu wokół głowy Adama zaczął wirować słaby kształt, cień spoglądający na nich z głębi jego udręczonej duszy

- Szybko! - syknął Horace. - Pośpiesz się!

Pojedyncza, czysta nuta zaczęła rozbrzmiewać w umyśle Roberta, tam, gdzie ptaki śpiewały z niezmaconą radością.

- Tariq, wiem, do czego zdolni są śledczy - mówiła Katherine. - Złamali cię, ponieważ potrafią złamać każdego. Nikt nie jest w stanie długo opierać się ich metodom. To nie powód do wstydu. Ty nie masz czego się wstydzić, cały wstyd i wina spadają na mnie.

Kształt wokół głowy Adama zawirował i zakręcił się, emitując fale gniewu i poczucia straty, które Robert odebrał niczym ciosy w brzuch. Widząc oko śmierci tworzące się nad Adamem, błyskające żółtym i błękitnym ogniem, boleśnie piękne, wzmocnił uchwyt na dłoniach Terri i Horace'a.

Katherine przemówiła do oka:

- Byłeś potężnym mężczyzną, człowiekiem silniejszym niż ja, ale stałeś się słaby, zmieniłeś w pasożyta. To nie przystoi twojej duszy. Byłeś odważny i znowu możesz taki być. Wiem, że budowałeś Ma'rifat' z myślą o mnie. Wiem, że chciałeś, bym wiedziała, jak strasznie cię zraniłam i zdradziłam, jak bardzo cię upokorzyłam, jak głęboko okaleczyłam. Wiem, że rymowanki i piosenki, które układaliśmy, wykorzystałeś przy tworzeniu podpowiedzi wskazujących miejsca ukrycia kluczy. Wiem, że zrobiłeś to, by upewnić się, że w planie jest skaza, możliwość powstrzymania cię, szansa, bym cię uratowała od realizacji zamierzeń. I ta szansa pojawiła się teraz.

Katherine padła na kolana, wpatrując się w oko.

- Możesz mi wybaczyć? Błagam, wybacz mi. Błagam, wybacz, tak jak ja wybaczam tobie.

Przez ułamek sekundy oko błysnęło białym opalizującym światłem, gniew i strach walczyły z innymi uczuciami, z duchami innych możliwości. Robert poczuł, jak niczym przypływ ogarnia go fala smutku i żalu. Potem jednak Adam wziął głęboki oddech i ile sił w płucach wrzasnął:

- Nie!!!

Gorączkowym ruchem otrząsnął się z paraliżu i rzucił na łańcuch dłoni, przewracając wszystkich troje na ziemię. Skoczył ku Katherine, która krzyknęła i zaczęła rozpaczliwie szlochać. Adam pochylił się nad nią, wyciągając ręce niepewnym gestem, jakby chciał ją pocieszyć, objąć niczym kochanek.

- Adam, zostaw ją! - krzyknął Horace.

Zbyt późno Robert dostrzegł, że Adam zawraca i atakuje Horace'a, siłą ciosu wyrzucając go w powietrze. Starzec opadł na ławkę i uderzył głową w oparcie. Znieruchomiał, zgięty w pół. Adam znowu ku niemu skoczył i wyrwał z jego bezwładnej dłoni skrzynkę złościwości.

Terri podbiegła ku Horaceowi, Adam natomiast zwrócił się w kierunku Roberta i Katherine, która stanęła wyprostowana, z rękami przy ciele, rzucając mu wyzwanie.

Adam ryknął gniewnie.

- Za późno! Za późno!

Podniósł główny klucz, z którego ku ich twarzom popłynął szeroki strumień oślepiającego światła.

NOWY JORK, 2 WRZEŚNIA 2004

Gdy Robert odzyskał przytomność, wstawał świt. Przeturlał się na plecy i usiłował podnieść się na nogi. Każdą cząstkę jego ciała przeszył gorący ból.

Horace siedział na ławce z zamkniętymi oczami, w pozycji medytacyjnej. Robert wyczuwał, że starzec jest poważnie ranny, mimo to emanował spokojem.

Brzask skąpał park złotą poświatą. Robert czuł ją na skórze niczym ciepły lekki deszcz. Zadrżał.

Terri nie było, a Katherine leżała nieprzytomna niedaleko podstawy obelisku. Podeszedł do niej, ukląkł i położył dłoń na jej czole. Wiedział, że nie jest ranna, choć nie miał pojęcia, skąd bierze się ta pewność. Poglądził ją po włosach.

- Moje kochanie, tak mi przykro.

- Niepotrzebnie przepraszasz, Robercie - odezwał się za jego plecami Horace. - Aby pójść dalej, musieliśmy dotrzeć do tego miejsca.

- Wciąż mogę uratować Adama - powiedział Robert. - To nie był on.

Horace chrząknął gniewnie.

- Zajmij się żoną. Potem porozmawiamy. Musimy powstrzymać detonację.

- Jesteś ranny, Horace

- Zajmij się Katherine

Horace wyjął z kieszeni mapę Manhattanu i zaczął uważnie ją studiować. Była to ta sama mapa, którą dostał od Roberta na Grand Central, z wyrysowanymi liniami świętego kształtu, znaczącego jego wędrówki po mieście podczas kolejnych prób.

Robert zdjął kurtkę i podłożył delikatnie pod głowę Katherine. Ujął rękę żony i zaczął całować jej palce. Po kilku minutach jej powieki zatrzepotały. Odzyskała przytomność i z nagłym przerażeniem rozejrzała się.

- Próbowałam go uratować! Próbowałam! Horace? Terri?



Usiłowała się podnieść, ale Robert ją powstrzymał.

- Zrobiłaś, co mogłaś, kochanie. Oni są zbyt silni. Odpocznij trochę.

- Horace dobrze się czuje? Musimy ich powstrzymać! Naprawić to wszystko!

- Zrobimy to, na pewno

Horace pomachał mapą.

- Słuchaj uważnie. Mamy bardzo mało czasu. Schowki. Zabytki. Zagadki. Wszystkie były po coś, to znaczy nie chodziło tylko o osiągnięcie następnego etapu. Wszystkie rezonują i wszystkie są ze sobą połączone. Dają... - Skrzywił się z bólu, kiedy wstał, by pokazać im mapę.

- Horace, siedź spokojnie.

Katherine złapała Roberta za szyję i podniosła się na nogi. Robert objął ją i prawie zaniósł do ławki, na której siedział Horace. Zajęli miejsca po obu jego stronach.

- To są lokalizacje schowków. - Horace wskazał narysowane przez siebie okręgi i linie. - Musicie zrozumieć, że wszystko łączy się ze sobą. Możesz mi podać broń Terri? Szybko.

Robert podniósł leżącą pod ławką stalową rurę i wręczył ją Horace owi.

- A teraz pomóż mi wstać, proszę.

Horace z wysiłkiem zrobił kilka kroków, podpierając się rurą jak laską. Staął i zaczął rysować nią na ziemi linie.

- To jest Manhattan - powiedział głosem chrapliwym z bólu. Naszkicował wyspę, a w jej wnętrzu prostokąt Central Parku. - Potężny strumień mocy, który możemy nazwać linią łączącą miejsca magiczne lub strumieniem energii ziemi, biegnie przez całą długość wyspy. - Narysował linię prowadzącą przez środek Manhattanu. - Większość ludzi świadomie nie zdaje sobie z tego sprawy, ale linia ta poprzez podświadomość wkroczyła w plan i życie miasta, i to na wiele sposobów. Stała się główną arterią miasta. Piąta Aleja zasadniczo się z nią pokrywa. Umieszczone są na niej co najmniej trzy obeliski, co widziałeś na własne oczy, Robercie, a także wielki drapacz chmur Rockefeller Center.

Horace narysował jeden okrąg w dole wyspy, gdzie był usytuowany kościół św. Pawła, drugi tam, gdzie wznosił się pomnik Wortha, i trzeci, znaczący ich aktualne miejsce pobytu w Central Parku. Wszystkie znajdowały się na linii łączącej miejsca magiczne. Czwarty okrąg, na południe od Central Parku, symbolizował Rockefeller Center.

- Myślę, że to widziałem - odezwał się Robert. - Wyczuwałem ten wzór, gdy przechodziłem przez próby. Ale było coś jeszcze. Było...

Horace uniósł dłoń.

- Nie wszystko naraz. Kiedy budowniczy Ma'rifat'a szukał sposobu na zmaksymalizowanie mocy swej broni, najwyraźniej uznał, że wykorzysta tę linię do połączenia dwóch urządzeń, zamiast użyć tylko jednego. Dzięki temu zyskiwał pewność, że niszczycielska siła rozprzestrzeni się na cały rozległy obszar, a nie będzie emanować tylko z jednego punktu. Wziął więc klucze do jednego z urządzeń i ukrył według określonego wzoru na wyspie, wzdłuż centralnej linii mocy, tworząc coś w rodzaju anteny do przenoszenia siły.

Horace narysował okręgi oznaczające miejsca ukrycia kluczy.

- Wybrał wzór znany jako Drzewo Życia. Nosi też inne nazwy, ta jednak jest najczęściej używana. A wybrał go dlatego, że od niepamiętnych czasów wzór ten wykorzystywany jest przez ludzkość jako pomoc przy posługiwaniu się psychoduchową energią. Pojawia się w starożytnym Egipcie, w żydowskiej mistycznej kabale, w islamskim sufizmie, i zawsze jest kluczem uwalniającym energię. Jest obrazem Drogi.

- Jak się go wykorzystuje?

- Istnieje wiele sposobów. Wzór składa się z dziesięciu okręgów albo sfer, połączonych przez dwadzieścia dwie ścieżki. Niektórzy używają go do medytacji, jak mandale, wizualizując podróż przez ścieżki Drzewa od jednej sfery do drugiej. Każda sfera w tym przypadku symbolizuje inny aspekt ludzkiej świadomości, od czysto zmysłowej i fizycznej na

dole do niewysłownych tajemnic boskości na szczycie. Inni z kolei nadają sferom wartość astrologiczną albo łączą je ze zwierzętami, kamieniami i roślinami leczniczymi. Ale nie z tym mamy do czynienia. Nasz człowiek nie wykorzystał ani wszystkich ścieżek, ani aspektów wzoru. Odwrócił natomiast tradycję, według której Drzewo symbolizuje dzieło stworzenia - niewiarygodnie potężne boskie światło na szczycie zstępuje jak błyskawica poprzez kolejne sfery, by w najniższej uzyskać fizyczne urzeczywistnienie. Jego zamiarem było wykorzystanie mrocznej strony drzewa, siły niszczycielskiej, nie stwórczej. Błyskawicy czarnego światła, jeśli wolicie.

- Ale to się nie udało, kiedy Adam zabił Tariq'a - powiedział Robert. - Nie zdołał ustawić jednego z urzędzeń.

- Masz rację. To byłby ostatni fragment układanki, cała reszta znajdowała się na swoich miejscach. Ale Adam zmusił Ma'rifat'a do wybuchu kilka mil od Manhattanu.

- Klucze zostały więc tam, gdzie były, a drugie urządzenie... Gdzie jest drugi Ma'rifat'?

Podczas tej rozmowy Katherine nagle z całkowitą jasnością zobaczyła sześcian, stanowiący czwarty klucz do Ma'rifat'a, ten, który ukradła z sejfu w ich sypialni. Sześcian zbudowany ze 125 mniejszych sześcianów, z których każdy był oznaczony liczbą. Większy sześcian podzielony był na pięć tabliczek zawierających 25 sześcianów.

Zamknęła oczy i zbadała liczby Wyobraziła sobie, że jest w hotelu o kształcie sześcianu i każdy pokój ma inny numer.

25	16	80	104	90
116	98	4	1	97
42	111	85	2	75
86	72	27	102	48
67	18	119	106	5

91	77	71	6	70
52	64	117	69	13
30	118	21	123	23
26	39	92	44	114
116	17	14	73	95

47	61	45	78	86
107	43	38	33	94
89	68		58	37
32	93	88	83	19
40	50	81	65	79

31	53	112	109	10
12	82	34	87	100
103	3	105	8	96
113	57	9	62	74
56	120	55	49	35

121	108	7	20	59
29	28	122	125	11
51	15	41	124	84
78	54	99	24	80
36	110	46	22	101

Pionowo, poziomo i po przekątnej każdy szereg pięciu liczb po dodaniu dawał w sumie 315.

Środkowy pokój w samym sercu hotelu nie miał numeru. To musi być główna tajemnica, najważniejsza rzecz, którą Tariq chciał ukryć. A jednak nie potrafił powstrzymać się od zabawy.

Przebiegła w myślach po numerach punktów orientacyjnych. Pierwsze punkty nosiły numery 025, 064, X62, 101. Wewnętrzna przekątna sześcianu. Od górnego lewego rogu do dolnego prawego.

Wiedziała, że złamała szyfr.

Następne cztery punkty orientacyjne to 036, 057, X69, 090. Kolejna wewnętrzna przekątna. Od dolnego lewego rogu do górnego prawego.

Przyjrzała się pozostałym punktom. Wszystkie przechodziły przez środkowy sześcian bez numeru. W każdym przypadku X oznaczał ten sam sześcian.

Wszystkie łańcuchy pięciu sześcianów dawały w wyniku 315.

Tak więc sześcian centralny, bezimienna tajemnica, musi wynosić... 63.

Katherine zrozumiała, że to musi być punkt oznaczający lokalizację Ma'rifat'a.

Najgłębsza tajemnica Tariq'a.

Odetchnęła głęboko.

- Robercie, daj mi Quada - powiedziała.

Włączyła GPS i sprawdziła, czy w indeksie znajduje się punkt orientacyjny 063, ale na liście nie było takiego punktu. Tariq musiał go ukryć. Wywołała polecenie Idź do punktu... i ręcznie wpisała cyfry. Program odpowiedział.

- W śródmieściu! Drugie urządzenie jest w śródmieściu! Blisko miejsca, w którym zacząłeś próby. Program nie pokazuje dokładnej lokalizacji, nie ma też podpowiedzi, ale to gdzieś w okolicy kościoła św Pawła.

Horace spojrział na nią ze zdumieniem.

- Doszedłem do podobnych wniosków. Urządzenie musi się znajdować blisko czerwonego złota złożonego w banku, by czerpać z niego siłę wzmacniającą. Jak do tego doszłaś?

- Tariq ukrył coś w środku danych oznaczających punkty, orientacyjne. To liczba wynikająca z numerów wszystkich punktów, ukryta w czwartym kluczu, magicznym sześciennym pokrytym liczbami. Nie sądzę, by nasze wysiłki mające na celu skontaktowanie się z Minotaurem poszły na marne. Myślę, że na tyle długo komunikowałam się z Tariq'iem, że jakimś sposobem przekazał mi tę informację.

Robert wstał, przyglądając się mapie narysowanej przez Horace'a. Czuł zniecierpliwienie. Pragnął ruszyć do ataku. Kakofonia w jego głowie ustępowała miejsca coraz wyraźniejszemu poczuciu celu i mocy. Wskazał południowy kraniec wyspy.

- Skoro wiemy, że to jest tam, dlaczego tam nie idziemy!

- Bo gdybyś tam teraz poszedł, zginąłbyś. Musisz jeszcze parę rzeczy zrozumieć, potem pójdziemy Niedługo.

- O jakich rzeczach mówisz?

- Po pierwsze o próbach. Ułożyłem je w takiej kolejności i tak dobrałem ich zawartość, byś przeszedł po Manhattanie nie według tego samego wzoru, który budowniczy Ma'rifat'a wykorzystał do destrukcji miasta: Drzewa Życia, ale odwróconego. Chodziło o to, byś absorbując moce uwolnione przez każdą próbę, rozpraszał cienie towarzyszące każdemu poziomowi Drzewa. Odzyskiwał wzór dla dobra. I budował moc konieczną do całkowitego usunięcia go, gdy na końcu pokonasz Iwnw i powstrzymasz detonację.

- Przeszedłem Drzewo Życia od dołu do góry.

- To prawda, przeszedłeś najważniejsze poziomy, każdy odpowiadał kolejnej próbie. Miały one przygotować cię do ostatecznej batalii, walki o życie, co nastąpi w ciągu kilku najbliższych godzin. Na arenę wkroczyć mogą jedynie godni tego adepci. Aby rzecz wyjaśnić, proszę, Robercie, żebyś położył się na mapie.

- Co?

- Rób, co mówię! - wykrzyknął Horace głosem pełnym zniecierpliwienia i bólu. - Już prawie nie mamy czasu.

Robert przepaszająco pochylił głowę i położył się na mapie twarzą do góry.

- Łatwiej to zrozumiesz, trzymając głowę na Rockefeller Center, a mnie to pomoże odprawić rytuał mocy.

Robert poczuł, jak fala energii wpływa do jego ciała z ziemi.

- Pierwsza Próba Ziemi. Niemal zginąłeś pierwszego dnia, prawda? Musiałeś walczyć o fizyczne przetrwanie, zanurzyć dłonie w ziemi, patrzeć na Strefę Zero. Pomyśl, jak reagujemy na atak, jak odpowiadamy na śmierć. Następna była potężna moc seksu: Próba Wody. Zauważ, że Mercer Street znajduje się pod twoimi łędwami. Potem egotyzm, autonomia, szacunek do siebie i egocentryzm: Próba Ognia. Nie uląkłeś się szantazu, odebrałeś Adamowi możliwość przejęcia kontroli nad tobą.

- I poszedłem na Union Square.

- Tam znajduje się duchowe serce. Miejsce spotkań istot fizycznych i duchowych. W tradycji judaistycznej miejsce takie nosi nazwę Tiferet, co oznacza piękno, lub Rahamim, czyli współczucie. W mityce islamu to Qalb, serce. Zobacz, twoje serce leży na nim.

- W islamie też to istnieje?

- Naturalnie. Każda prawdziwa praca duchowa we wszystkich tradycjach prowadzi do tego miejsca. Na czwartym poziomie zaczynasz przewyżczać ego, egoizm, zaczynasz żyć bardziej dla innych niż dla siebie. Naturalnie możesz przewyżczyć jedynie zdrowe ego, chore nie pozwoli ci tam dotrzeć, bo wszystko wsysa w siebie. Na Union Square odbyła się Próba Powietrza.

- Dlaczego powietrza?

- To najmniej materialny z czterech podstawowych żywiołów. Ten z największym prawdopodobieństwem uleci, o ile nie jest przykuty do ziemi przez pozostałe. Samo współczucie nic nie znaczy, jeśli nie zostanie poparte czynem. Odczuwanie litości do małego chłopca nie uratowałyby mu życia. Mogłeś dokonać tego tylko poprzez skok w gęstwinę nóg i zasłonięcie dziecka własnym ciałem.

- A potem?

- Poziom piąty. Próba Eteru, czyli elementu jeszcze bardziej ulotnego niż powietrze, a mimo to przenikającego wszystko jak pole siłowe. Oznacza wzajemne związki wszystkiach rzeczy. Jest miejscem ekspresji, kreatywności, usytuowanymi na poziomie twojego gardła, organu, którym wyrażasz swoją prawdę. Można dotrzeć do niego tylko poprzez dynamiczne zrównoważenie pierwszych czterech żywiołów. To tutaj zaczynasz odkrywać, do jakiego stopnia możesz tworzyć otaczający cię świat. To tutaj poznajesz prawdziwe znaczenie intencji, która jest kombinacją twojej woli i zdolności tworzenia. To stan poszukiwany przez starożytnych alchemików, poziom percepcji, na którym dostrzegasz, że świadomość i materia to dwie strony tego samego medalu. Dzięki temu powstrzymałeś wybuch bomby.

Poziom szósty. Próba Umysłu, poziom oświecenia i zrozumienia. Wizji wewnętrznej. Trzecie oko, szczałkowe oko w szyszynce. Nowojorska Biblioteka jest na poziomie twojego czoła, w niej właśnie spotkałeś ślepego wizjonera Borgesa. I tam nabyłeś mocy uzdrawiania. Na tym poziomie zraniono cię w głowę. Uratowałeś się przed kulą Katherine, kiedy nie byłem w stanie cię chronić.

- To był jedyny moment, kiedy Iwnw do mnie dotarł -wtrąciła Katherine. - Robercie, tak mi przykro. Przez chwilę naprawdę myślałam, że cię zabiję.

Robert nie odpowiedział, jego umysł przebywał daleko w niebie.

- Następnie Próba Ducha. Siedmioramienna gwiazda oznacza wiedzę ezoteryczną, gnozę, rozpoznanie tego, co tajemne, ukryte. Może to jest powodem, dla którego policje różnych krajów używają jej jako swojej odznaki, co samo w sobie jest osobliwością. Jest przy czubku twojej głowy, tam gdzie Rockefeller Center.

Robert wrócił na ziemię.

- Więc w pewnym sensie moje ciało, próby i miasto są jednością. Jak to wykorzystamy, Horace?

- Schodząc w dół Drzewa Życia, by stoczyć walkę z Iwnwem. Teraz będziesz w stanie wchłonąć surową moc linii łączącej magiczne miejsca, biegnącej przez środek Drzewa Życia, wzdłuż jego środkowej kolumny. Będziesz miał także własne w pełni rozbudzone moce, czerpiące z sił ziemi, wody, ognia, powietrza, eteru, umysłu i ducha.

Robert rozumiał. W trakcie prób został rozerwany na strzępy, jego dotychczasową tożsamość zdarto i zniszczono. W jej miejscu czuł teraz pełnię swego nowego wcielenia, wyrastającego na ruinach poprzedniej, skrepowanej strachem i poruszającej się jak we śnie osobowości. Wyczuwał światło płonące w swoim wnętrzu, podczas gdy jego nowe ciało tworzyło się, złączone z pełnią mocy w jego wnętrzu i pełnią świata na zewnątrz siłą przyciągania ziemi i nieskończoną miłością niebios.

- A teraz rytuał mocy - Horace z największą powagą zaintonował: - Przeszliśmy Drogę Seta. Rozczłonkowaliśmy tego człowieka i teraz odbudowujemy jego rozdarte ciało światłem odrodzenia. Gdzie znajdziemy głowę?

- Dwukrotnie widziałem tę samą głowę, podczas pierwszej próby i trzeciej - odparł Robert. - To była głowa Zielonego Człowieka, któremu z twarzy wyrastały rośliny.

- Odnowienie - rzekł Horace, metalową laską szkicując głowę nad Robertem. - Gdzie znajdziemy ramiona?

- Próba piąta i szósta. Odcięte ramię trzymające miecz na pomniku Wortha oraz ramię trzymające młot w Towarzystwie Generalnym, gdzie spotkaliśmy się z Terri.

Horace narysował nowe ręce nad leżącym Robertem. Wraz z każdym nowym członkiem ciała ze światła Stróż rysował odpowiadający mu kształt w powietrzu.

- Uderzaj z siłą wynikającą z prawości. Gdzie znajdziemy serce?

- Próba czwarta. Union Square. Znalazłem cztery połączone serca tworzące kompas.

Katherine, ja, Adam, Terri.

- Współczucie. Gdzie znajdziemy nogi?

- Pierwsza próba. Nogi ze złota.

- Niechaj doprowadzą cię do celu. Gdzie znajdziemy kręgosłup?

- Próba szósta i siódma. Kaduceusz wyrzeźbiony na stopniach Nowojorskiej Biblioteki oraz niesiony przez Hermesa w Rockefeller Center. Magiczna różdżka Hermesa i Tejrezjaszu symbolizuje kręgosłup prowadzący od mocy ziemskich u podstawy do boskich u szczytu. A tym samym symbolizuje Drogę.

- Z takim kręgosłupem możesz wstać i nigdy więcej nie upadniesz. Kaduceusz odzwierciedla także centralną kolumnę Drzewa Życia wyrysowanego na mapie miasta. Płyń przez niego moc linii łączącej miejsca magiczne i moc przebudzonego Roberta Recklissa, bliźniacze węże istoty fizycznej i duchowej. Gdzie wreszcie znajdziemy skórę ze światła?

- Ponownie pierwsza próba. Człowiek z Wirującego Światła. Anioł siedmiu pieczęci. Horace namalował wiry światła nad ciałem Roberta.

- Odpieczętowałeś obecnie siedem tajemnic. Syn rozczłonkowanego człowieka narodził się i jest dawnym człowiekiem odrodzonym z samego siebie, stworzonym na nowo w świetle Drogi. Jaką bronią będziesz walczył z Braterstwem Iwnw, które domaga się prawa własności do Drogi?

Robert wstał czując, jak moc emanuje z jego ciała. Wziął stalową laskę od Horacea.

- Miłością. Miłością i laską Hermesa.

- Co słyszysz?

- Najczystszy ptasi śpiew.

- Przeszedłeś przez mrok nocy i ukończyłeś Próbę Ducha.

Katherine wpatrywała się w niego oczyma pełnymi łez.

Ujął jej dłoń i pocałował.

- Popatrz, czym o mało za to nie zapłaciłem.

- Kocham cię, Robercie.

- Kocham cię, najdroższa.

Robert zwrócił się do Horacea.

- Co jeszcze powinniśmy wiedzieć, nim ruszymy w drogę?

- Teraz możesz poznać świętą tajemnicę. Podczas przygotowywania materiałów takich jak czerwone złoto i metaliczne szkło, znane jako kamień filozoficzny, wykorzystuje się pewne słowa mocy. Kiedy w określonym porządku wypowie je adept, który osiągnął wysoki stopień duchowego rozwoju, zapewnią mu panowanie nad tymi materiałami.

- Co to za słowa?

- Ja ich nie znam, ale ty tak.

- O czym ty mówisz? Nie znam żadnych słów mocy.

- Wręcz przeciwnie, usłyszałeś je w którymś momencie swoich kontaktów z Droga. Kiedy będą ci potrzebne, przypomnisz je sobie. Musisz.

- Tego rodzaju słowa są w dokumencie Newtona, który Adam przysiągł chronić - wtrąciła Katherine. - Ale połowa z nich została zdrapana. Adam nigdy mi nie powiedział, jak one brzmią.

- Druga połowa sama do ciebie przyjdzie, kiedy będą ci potrzebne. To są słowa mocy dla kamienia, dla szklistego metalu.

- A co z czerwonym złotem? Musisz znać słowa dla czerwonego złota.

- Lawrence i ja znaleźliśmy każdy połowę formuły. Mogę powtórzyć wam moją część: *quaero arcana mundi*, czyli „Szukam tajemnic świata”. Nie wolno mi jednak było znać frazy Lawrence’a, a po jego śmierci nie znalazłem żadnego śladu po niej.

- Więc skąd może ją znać Robert? - krzyknęła Katherine z frustracją w głosie.

- To niemal pewne, że Lawrence próbował ją przekazać, nim umarł. Jeśli istotnie tak było, przypomnisz ją sobie w odpowiedniej chwili. Ufaj Drodze.

Katherine i Robert pomogli Horace’owi dojść do ławki. Usiadł na niej, jęcząc z bólu.

- Masz pomysł, jak może wyglądać ostatni punkt orientacyjny? - zadał finalne pytanie Robert. - Czego szukamy?

Horace wskazał wznoszący się nad nimi obelisk.

- Mówiąc w skrócie, znajdujemy się na biegunie męskim. Musimy poszukać bieguna przeciwnego, przestrzeni przepojonej pierwiastkiem żeńskim.

- Żeńskim? Jak to?

- Dokładnie nie wiem. Od jakiegoś czasu szukam psychicznego echa, wyobrażeń tego miejsca, ale jest doskonale zasłonięte. Dostrzegam jedynie, że to przestrzeń żeńska, położona blisko miejsca, w którym zacząłeś. Musisz ją odnaleźć. Zakrzywiona. Okrągła. Ukryta.

- Adam wziął wszystkie klucze do Ma’rifat’a. Dlaczego nie zdetonuje go w chwili, gdy tam dojdzie?

- Może to zrobić, ale eksplozja będzie mniejsza niż ta, której pożąda Iwnw. Potrzebuje twojej obecności, by nadać urządzeniu pełną moc bomby duchowej, choć równocześnie ty jako jedyny możesz go powstrzymać. Iwnw gotów jest na to ryzyko.

- Ale...

- Ma’rifat’ wybuchnie dzisiaj, w ciągu najbliższej godziny, chyba że go rozbroisz, taka jest prawda. Ale do uzyskania pożogi, na której zależy jego panom, potrzebna jest twoja moc. Moc, którą udoskonaliliśmy w tobie przez ostatni tydzień. Jest to moc pokonania Adama, choć równocześnie możesz ją wykorzystać, by mu pomóc. Aby osiągnąć swoje cele, potrzebują jednorożca. Mówiąc ściślej, potrzebują ofiary z jednorożca.

- Jestem gotowa - powiedziała Katherine - Chodźmy

- Dzieci, przypomnijcie sobie wszystko, co mówił wam Adam. Przypomnijcie sobie wszystkie jego gry. Bez jego wiedzy mogą tworzyć klucz. Szyfr. Metaforę. Mogą uratować wam życie. Mogą uratować wasze dusze.

Horace na moment przymknął oczy. Robert poczuł płynącą od niego falę bólu.

- Robert, mój synu. Droga doprowadziła cię do swego szczytu. Do miłości, altruizmu, połyskującej boskości. Do Boga, jeśli wolisz takie określenie. A w tym przypadku także do samotnej walki. Walki na śmierć i życie. Bezlitosnej. Musisz zwyciężyć.

Robert spojrzał staremu przyjacielowi w oczy

- Dziękuję ci, Horace.

- Idźcie już, moi drodzy Ja nie mogę, odniosłem zbyt poważne rany. Słabnę. Będę was osłaniał.

Katherine ujęła go za rękę.

- Potrzebujesz lekarza? Możemy jakoś ci pomóc?

Horace poklepał ją z uśmiechem po dłoni.

- Moja droga, szpital nie udziela pomocy, jaka jest mi potrzebna. Zawsze miałem dobrą ochronę. Kochany Lawrence oddał swoje życie, by chronić mnie i Roberta. Teraz moja kolej chronić was. Z Bogiem! Ruszajcie.

Katherine i Robert pobiegli na wschód, przez Greywacke Arch ku Piątej Alei. Pierwszy samochód, jaki zobaczyli, był długą białą limuzyną ozdobioną wstążkami, najwyraźniej wynajętą poprzedniego dnia na ślub. Katherine zatrzymała ją gorączkowym machaniem.

- Może nas pan zawieźć do śródmieścia? Sprawa jest pilna. Szybko. Tu są pieniądze. -  
Przez uchylone okno od strony pasażera podała kierowcy garść jednodolarowych banknotów.

- Miałem tu niezłą imprezę - powiedział kierowca, biorąc pieniądze. - Szalone wesele. Chyba nikt nie został z tyłu, ale może na wszelki wypadek sprawdźcie. Druhny panny młodej, druźbowie pana młodego. Chcieli się bawić do rana. Myślę, że odwiozłem ostatnich.

Robert i Katherine wsiedli do limuzyny. Po podłodze pomiędzy czapeczkami, opakowaniami po pizzy i konfetti wałały się puste butelki, siedzenia pokryte były cekinami i płatkami kwiatów.

- Tak jak na naszym weselu - powiedziała Katherine. - Proszę jechać prosto na Piątą Aleję, potem przez Broadway na Maiden Lane. Szybko.

- Tak, proszę pani. Zależy wam na prywatności?

Kierowca podniósł ściankę za swoimi plecami. Włączył silnik i nacisnął gaz. Katherine i Roberta rzuciło na oparcie.

Mijali grupki turystów, którzy zerwali się wczesnym świtem, delegatów na konwencje uprawiających jogging, czasami jakiegoś zagubionego uczestnika protestów. Zostawili za sobą Rockefeller Center, Nowojorską Bibliotekę, Empire State Building.

Robert wrócił myślami do telefonu od Lawrence'a i jego listu pożegnalnego, szukając w nich wskazówek. Potem wspominał gry Adama i sztukę...

Katherine zamknęła oczy i regularnie oddychając, zapadła w stan głębokiej medytacji. Zniknęła mroczna aura strachu i gniewu, która otaczała ją ubiegłej nocy; Robert wyczuwał, jak na nowo budzi się w niej pewność siebie i determinacja.

Patrzył przez okno na sklepy z pamiątkami. Miniaturki Empire State Building, Chylera, wież World Trade Center... teraz rozumiał swoją chorobę. W rzeczywistości dochodził wtedy do zdrowia. Jeszcze przed przebudzeniem przewidywał próby, tajemnicę świętego wzoru biegnącego przez ulice Manhattanu. I coś jeszcze. Niektóre budynki wpływały na jego zmysły bezpośrednio, śpiewając w tonacjach, których nigdy wcześniej nie słyszał.

Gdy przejeżdżali Dwudziestą Dziewiątą Ulicą, z lewej, niczym zbliżający się pociąg, skoczył na niego budynek. Numer 261. Kolor burgunda, błękit i złoto. Sześciokąty, sześciiany i zigguraty uderzyły go prosto w oczy. Wstrzymał oddech, odwrócił wzrok. Wciąż się przyzwyczajał do intensywności swojej zwielenokrotnionej percepcji i intuicyjnie teraz ją rozumiał. Pewne budynki były martwe, odbierał je jako płaskie zimno, inne wkraczały wprost w jego system nerwowy. Najsilniej odbierał budowle w różnych odmianach stylu art deco, zdobione motywami i proporcjami zapożyczonymi ze świętych starożytnych budowli: monumentalne bramy, kształty na wzór krętej błyskawicy, ostro zakończone fasady jak w świątyniach egipskich i środkowoamerykańskich. Były dla niego fizycznym odzwierciedleniem Drogi, którą podążał, jakby jego doświadczenia wyrzeźbiono i zamrożono w czasie, by wszyscy mogli je oglądać. Dostrzegał nowe harmonie proporcji, barwy i przestrzeni, rozumiał też, że Droga została zakodowana w architekturze świętych budowli wiele tysięcy lat temu.

Cała jego dusza śpiewała. Wyczuwał Katherine w nowy sposób, jej obecność przy jego boku była magiczna, wibrująca. Ujął ją za rękę. Ścisnęła jego dłoń z całej siły, gdy spojrzał jej w oczy.

- Kat, tak mi przykro, że byłem niewierny Bardzo mi przykro. Zwłaszcza z powodu rzeczy, które powiedziałem w czasie tamtej kłótni. Że chciałbym znowu to zrobić. Że...

Położyła mu palec na ustach.

- Gdybyś tak nie postąpił, wszyscy bylibyśmy teraz martwi. Rozumiem, że to musiało się stać. - Trzymała jego dłonie w swoich. - Wciąż jestem zła na Horace'a i Adama, że nie byli w stanie wymyślić lepszego sposobu na przeprowadzenie cię przez drugą próbę. Można to było załatwić inaczej. Współczuję Terri z powodu raka. I przykro mi z powodu pewnych rzeczy, które mówiłam w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy Przepraszam za ten chłód pomiędzy nami. Za dystans, jaki nas dzielił od dnia, gdy straciłam dziecko.

- To nie była twoja wina, że straciliśmy Mossa.

- Tak wtedy czułam. Teraz wiem, że było inaczej.

Robert wyjął z kieszeni obrączkę.

- Proszę, włóż mi ją na palec.

Zajrzała mu w oczy, sięgając w najgłębsze zakątki jego serca. Mimo iż otworzył się przed nią bez reszty, przez moment obawiał się, że ona odmówi. Później wsunęła mu pierścionek na palec. Długo się całowali, a kiedy skończyli, Katherine usadowiła się tak, by opierać się plecami o Roberta, który ją obejmował. W milczeniu patrzeli na uciekające w tył budynki Broadwayu, przygotowując siły na spotkanie z bliskim niebezpieczeństwem.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział kierowca przez interkom. - Maiden Lane. Jazda z wami była prawdziwą przyjemnością.

Limuzyna zahamowała, Katherine i Robert wysiedli. Niebo pulsowało bielą, gdy na nie patrzył. Usiłował umysłem dotrzeć do Adama, do Terri, ale nic nie znalazł.

Bank Rezerw Federalnych mieścił się po drugiej stronie ulicy, kilka przecznic na wschód od Broadwayu. Było w nim więcej złota niż w jakimkolwiek innym miejscu na świecie, nie wyłączając Fort Knox. Robert zwiedził kiedyś podziemne krypty, wykute w skale pod Manhattanem, i widział sztaby zgromadzone w nieoznaczonych kłatkach. Obecnie w banku było dość czerwonego złota, by przy jego pomocy Iwnw mógł zabić miliony ludzi.

Czy to możliwe, że tam znajduje się Ma'rifat'? Nikt nie dałby rady się tam włamać, poza tym Robert nie pamiętał rozkładu podziemi.

Wyjął Quada i spróbował zlokalizować punkt orientacyjny 63, ale ekran zapełnił się bzdurnymi danymi. Strzałka wirowała gwałtownie.

- Kat, odbierasz jakieś informacje o Adamie albo Terri? O Iwnwie?

- Nie.

Jednakże na rogu Maiden Lane, gdy mieli skręcić ku bankowi, Katherine stanęła jak wryta przed sklepem jubilera. Robert zobaczył odbijający się w witrynie wieniec żółtego światła, który poruszył się i otoczył Katherine. Głośno odetchnęła, cała jej postawa uległa zmianie.

- Czas i przestrzeń pod moimi stopami - powiedziała, ale to nie był jej głos.

- Terri?

Katherine stała na umieszczonym w chodniku zegarze, otoczonym brązowym pierścieniem z oznaczeniami północy, południa, wschodu i zachodu.

- Widzę, gdzie jesteście. Patrz na północ, szukaj czterech żywiołów.

- A ty gdzie jesteś?

- W śródmieściu. W ukryciu. Pod ziemią. Cierpienie.

- Idziemy do ciebie, Terri. Dokąd on poszedł?

- Krzywizny Łuki. Nie widzę dokładnie. - Nagle przeraźliwie krzyknęła. - Iwnw tu jest! Żar! O Boże, jaki żar! Przyjdźcie szybko!

Po tych słowach zniknęła. Katherine zgarbiła się, dłonie oparła na kolanach. Ciężko oddychała. Po chwili splunęła.

- Boże wielki! Co to było?



Ujął ją za ramiona, ale się wyrwała.

- Terri weszła w ciebie. Dobrze się czujesz?

Zadrzała, usiłując odzyskać panowanie nad sobą.

- Powiedziała, gdzie jest? To było ohydne. I bolesne.

- Udzieliła pewnej wskazówki. Powiedziała, że mamy iść na północ i szukać czterech żywiołów.

Północna strzałka w zegarze na chodniku wskazywała stary gmach AT&T przy Broadway 195. Pobiegli tam. Fronton zdobyły cztery czarne panele wykładane złotymi listkami, przedstawiające kolejno: kobietę z nagim biustem, bez wątplenia zmysłową kusicielkę, w otoczeniu roślin; młodego mężczyznę pośród ptaków; kolejnego młodego mężczyznę otulonego płomieniem; wijącego się ducha morskiego. Ziemia. Powietrze. Ogień. Woda.

Robert po raz kolejny sięgnął umysłem do Terri. Pamiętał cudowną, zmysłową bliźniaczą kochankę, która wyłoniła się z jej ciała, by uwieść go w tamtym hotelu. Bolesnie piękna, zmieniła seks w światło. Teraz ją odnalazł, ale udręczoną cierpieniem i strachem. W jej wnętrzu wibrował ogarnięty płomieniami mężczyzna. Robert czuł, jak rak rozprzestrzenia się po jej ciele. Czuł jej wielki gniew na Iwnw, rozpaczliwe modlitwy za Adama. Strach o świat. Terri dostrzegąca, że świat płonie, nie tylko ona sama. Łagodnie namawiał ją, by skierowała się ku nim, z dala od swojego bólu. Zobaczył przelotny obraz miejsca, gdzie była, piękny szklany glob nad jej głową niczym oko śmierci. Potem obraz zniknął.

- Kat, mam zamiar sprowadzić Terry z powrotem. Możesz przyjąć ją do siebie, jeśli nam się to uda?

Katherine z ociąganiem pokiwała głową.

- Spróbuję tym razem się nie opierać.

Robert poszukał Terri z większą siłą, ale wyczuł, że osłania ją czyjaś potężna obecność. Jego umysł odsuwano od miejsca, które doskonale znał. Nagle to doświadczenie doprowadzało go do szaleństwa. Uświadomił sobie, że zna lokalizację Ma'rifat'a. Kiedyś tam był, ale osłanianie je z taką mocą, że nie potrafił go zobaczyć nawet w myślach.

- Skoro muszą zabić jednoroźca, by osiągnąć pożądany poziom wybuchu, to dlaczego chronią to miejsce przede mną? To nie ma sensu - powiedział do Katherine.

- Owszem, ma sens, jeśli nie są jeszcze gotowi na spotkanie z tobą. Nie są przekonani o swoim zwycięstwie nad tobą. Z całą pewnością gromadzą siły, może czerpią moc czerwonego złota. Zbierają energię.

- W takim razie Terri musi nas tam doprowadzić, nim będą gotowi. Próbuje to robić. Myśli, że wciąż istnieje szansa na powstrzymanie wybuchu.

- Sprowadź ją do mnie. Jestem gotowa.

Robert poszukał Terri; znalazł ją, gdy przemykała przez psychiczne barykady Iwnwu. Zharmonizował swoją świadomość z jej świadomością i łagodnie doprowadził ją do Katherine, która lekko zadrzała, po czym skinęła głową.

- Północ - przemówiła Terri ustami Katherine. - Północ. Cure Mary. Cure Mary.

Minęli kościół św. Pawła i obelisk, potem przeszli na drugą stronę Broadwayu w kierunku City Hall Park. Robert podtrzymywał Katherine.

Terri znowu przemówiła, ciężko oddychając, chrapliwie:

- Kurara? Plakietka przy drzewie... Cure? Cure Mary? O Boże... odnajdźcie to... poskładajcie w całość... to boli...

Robert przyjrzał się drzewom za parkowym ogrodzeniem. Wkrótce też pojawił, o czym mówiła Terri: mała czerwona tabliczka na pniu drzewa zasadzonego na cześć Marie Skłodowskiej-Curie, datowana na rok 1934. Marie Curie. Cure Mary. Kurara. Cure me.\*

Zrozumiał, o co chodzi Terri. Prowadziła ich do miejsca, w którym przebywała, poprzez obrazy nadchodzącego koszmaru.

\*Ciąg skojarzeń opartych na podobieństwie fonetycznym, przy czym ostatnia fraza - cure me - oznacza „ulecz mnie” [przyp. tłum.].

Marie Curie. Radioaktywność. Promienie rentgenowskie. Siła atomu.

W jego umyśle pojawił się obraz, potężny i szalejący, obraz oka śmierci. Spoglądało z Dolnego Manhattanu, wysyłało błyskawice błękitno-żółtego światła w niebo, fala uderzeniowa nienawiści i przerażenia rozprzestrzeniała się z nieprawdopodobną szybkością po całym globie.

- To tak bardzo boli - jęknęła Terri. - Robert idź na północ... 270. Idź na północ. 270.

- Czy to punkt orientacyjny 270?

- Nie! Ulica... Numer 270... Ulica... Manhattan... Cholera, pali, Boże, jak pali...

Zobaczył ten dom. Broadway numer 270, na południowo-zachodnim skrzyżowaniu z Chambers. Biurowiec liczący około dwadzieścia pięter, biała cegła na górze, na dole nitowane pasy czarnego żelaza. Mieścił się w nim bank. Robert zastanawiał się, co dziewczyna miała na myśli.

- Terri?

Teraz Katherine trzęsa się ze strachu. Siłą woli nakazał jej zatrzymać Terri jeszcze chwilę.

- Jesteś pewna?

Nie odpowiedziała, jęknęła tylko z bólu.

Czarne nity w belkach nośnych przypominały mu ciężkie czarne nity na dzwonie u św Marka. Kasę pancerną w sali z kolekcją zamków.

Nagle w jego umyśle zabił dzwon. To był głos śmierci. Podobne nity widział na fotografiach przedstawiających pierwsze bomby atomowe użyte w gniewie, Fat Man i Little Boy.

Wyjął Quada i wpisał do wyszukiwarki adres. W wynikach otrzymał dziesiątki stron nie zawierających interesujących go informacji. Do hasła dopisał „Marie Curie”.

Cholera jasna. Tym razem otrzymał tylko jeden wynik, zawierający frazę „Projekt Manhattan”. Budynek przy Broadway numer 270 był pierwszą siedzibą zespołu pracującego nad bombą atomową podczas drugiej wojny światowej. To tutaj rozpoczęto „Projekt Manhattan”, potem przeniesiono go do Los Alamos, Oak Ridge i innych miejscowości na południu i zachodzie kraju. Tutaj wszystko się zaczęło.

*Fat Man. Fat Mary. Cure Mary. Cure me.*

- Robert... ratusz... wracaj do ratusza.

Kilka jardów dzieliło ich od zbudowanego na początku dziewiętnastego wieku ratusza, gdzie znajdował się gabinet burmistrza. Robert czuł, że ma to na końcu języka. Umysł nalegał, by sobie przypomniął.

- Niemal pod twoimi stopami - powiedziała Terri. - Ukryte pod twoimi stopami. Znajdź to.

Z krzykiem opuściła ciało Katherine, która padła na kolana i zwymiotowała.

I nagle barykady Iwnwu runęły.

Stacja metra. Nieużywana. Z łukowym sklepieniem. Stary Dworzec Ratuszowy.

Przypomnienia tej nazwy domagał się jego umysł. Stacja została zamknięta ponad pięćdziesiąt lat temu. Była pierwszą stacją pierwszej linii metra w Nowym Jorku i do dzisiaj żadna inna nie dorównywała jej urodę. Znajdowała się dokładnie pod ratuszem.

Quad zadzwonił. Horace.

- Widzę to. Nagle zobaczyłem. Stary Dworzec Ratuszowy!

- Wiem, też to widzę.

- To oznacza, że już są gotowi. Pewni zwycięstwa.

- Ja też jestem gotowy.

Katherine podniosła się. Biły od niej gniew i niewzruszona wola.

Horace zapytał Roberta, czy wie, jak tam się dostać.

- Wiem.

- Będę się za ciebie modlił i przesyłał ci całą moją siłę.

- Wiem, stary przyjacielu. Muszę iść.

- Jeszcze jedno, Robercie. Nadal w żadnym razie nie możesz powiadamiać władz, bo Ma'rifat' wybuchnie. Rozumiesz? Strach i gniew sił porządkowych doprowadzą do eksplozji. Tę sprawę musi załatwić jednorozec. To starcie pomiędzy Światłem Doskonałym a Iwnwem.

- Rozumiem.

Katherine wzięła od niego Quada.

- Horace, dziękuję ci za wszystko. Musimy już iść. Uratujemy tylu ludzi, ilu zdołamy

Dworzec Ratuszowy zamknięto, ponieważ był zbyt mały i kręty jak na wymagania współczesności. Później zakazano wstępu ze względu na bezpieczeństwo. Wykorzystywano go wyłącznie jako pętlę, na której zawracały pociągi linii numer 6. Pomimo zakazów Robert dzięki swemu zamiłowaniu do perełek architektonicznych Nowego Jorku dwukrotnie zdołał tam dotrzeć, ukrywając się w pociągu. Wiedział, że stacja ma dwa poziomy: peron przy torach i powyżej poczekalnię z pięknym lukowym sufitem.

Jedną ręką ujął dłoń Katherine, drugą zacisnął na stalowej rurze, którą dał mu Horace. Katherine słabła, niemal musiał ją nieść, gdy szli Chambers Street, mijając Tweed Courthouse i kierując się na drugi koniec City Hall Park ku stacji linii 6.

Po wschodniej stronie ratusza na esplanadzie stała elegancka, ciemnozielona winda z kopułą w budapesztańskim stylu, przypominająca mgliście staroświecką angielską budkę policyjną.

- Brama do piekieł - powiedział Robert. - Kto by pomyślał?

Winda zjechała piętro w dół, drzwi rozsunęły się na wprost kołowrotów. Katherine odzyskiwała siły. Sama zeszła na peron, skąd odjeżdżały pociągi do śródmieścia i Brooklynu.

Czekali na pociąg linii 6. Kiedy zahamował, dudniący głos z głośników nakazał pasażerom opuścić pociąg. Stojący w połowie peronu Katherine i Robert poczekali na ostatnią chwilę i gdy drzwi zaczęły się zamykać, wskoczyli do środka. Pociąg z piskiem kół na krętych szynach zanurzył się w mroczny tunel. Katherine i Robert przeszli na koniec. Kiedy pociąg się zatrzymał, wysiedli z ostatniego wagonu na peron. Pociąg odjechał.

Przykucnęli w najdalszym kącie zamkniętej stacji, czekając, aż ich oczy przyzwyczają się do ciemności.

Przed nimi w mroku rozpraszającym światłem z żyrandoli i ozdobnych świetlików ciągnął się kręty peron z procesją żebrowanych łuków. Ściany wyłożone były glazurowanymi ciemnozielonymi, kremowymi i ciemnobrazowymi kafelkami. Nikłe światło spływało ze świetlików w suficie. To była magiczna pętla, zagubiona stacja, upiorne, smutne, piękne miejsce.

Robert szukał linii prostych, ale żadnych nie znalazł. Jego wzrok pograżył się bez reszty w cieniach i krzywiznach. Ze ścian dobywał się nagły, pulsujący dźwięk i wkładał w umysł Roberta. Każdym atomem swego ciała wyczuwał przepelnioną złem obecność Iwnwu. Dostrzegał zarys schodów prowadzących do sali biletowej, skąd płynęło mdławo żółte światło, rozbłyskujące czerwonymi i błękitnymi ognikami. To były barwy oka śmierci.

Usłyszał odgłos kapiącej wody i czyichś stóp poruszających się po kamieniach nad jego głową. Wolno i z rozmysłem ruszył naprzód. Katherine szła tuż za nim, przytrzymując się ściany.

Światła w górze zmieniły się, przybierając odcień ciemniejszej żółci, pulsująca nuta z basowej zmieniła się w piskliwą, niemal na granicy słyszalności. Robert czuł, jak wciąga go

gra światła, mimo iż infradźwięk Ma'rifat'a budził na dnie jego umysłu pierwotne lęki. Światło było piękne, uwodzicielskie.

Na peronie pod ścianą leżał podłużny kształt. Robert ostrożnie podszedł ku niemu; bał się, że wie, co to jest. Przesunął po kształcie prawą dłoń. Poczuł lepką wilgotną kałużę, jego zmysły przepelnił metaliczny zapach krwi. Chciał sprawdzić puls na szyi, ale trafił na ziejącą ranę po nożu.

Instynktownie odsunął palce, tłumiąc okrzyk przerażenia. Przez moment nie potrafił złapać tchu. Odzyskawszy panowanie nad sobą, ponownie przesunął dłoń po ciele. Trafił na pas i kaburę, ale nie było radia i broni.

- Gliniarz - szepnął Robert. - Martwy.

Policjant wydawał się bardzo młody. Robert zamknął mu oczy. Ciało wciąż było ciepłe. Czy funkcjonariusz musiał się meldować co kilka minut? Ile czasu minie, nim stwierdzą jego zaginięcie?

Katherine odmówiła krótką modlitwę nad ciałem, po czym ostrożnie ruszyli dalej.

Teraz do ich uszu dobiegł cichy odgłos świętych inkantacji, mieszający się z głębokim, nieziemskim rezonansem dobywającym się z kafelek i kamieni pięknej jaskini. Horace miał rację, nazywając ją najbardziej żeńską z możliwych przestrzeni. Świetliki były niczym różane okna, a ich cudowne maswerki niczym żyły pod białą skórą.

Dotarli do schodów prowadzących do sklepionej kopuły sali biletowej. Robert ostrożnie wyjrzał za róg, kryjąc głowę w cieniu. Luki sali na piętrze zalane światłem ze świetlików wyglądały niczym pojedyncze oko, którego obraz przekazała mu Terri.

W środku sali, dokładnie pod świetlikiem, Robert zobaczył Ma'rifat'a. Był piękny. Półprzezroczysty biało-złoty bęben okręcał się wolno, pulsując od środka, geometryczne wzory i ozdobne napisy połyskiwały w różnych kolorach, dolna i górna krawędź wirowały w przeciwnych kierunkach. Ma'rifat' umieszczono na liczącej cztery stopy kolumnie z substancji wyglądającej jak czyste złoto. Obok na materii rozłożonej na podłodze spoczywały metaliczne przedmioty. Siedmioramienna gwiazda, sześciokąt, piramida, maleńki bębenek. Skrzynka złości, którą Adam przysłał Robertowi pocztą, jądro, klucz główny.

- Fat Mary - szepnął Robert. - Ma'rifat'. Skrzynka złości.

Wolno się wyprostował, dokładając starań, by nie skrobnać metalową rurą po ziemi. Usłyszał kroki za plecami, szurnięcie stóp, krzyk Katherine. A potem głowa zapłonęła mu bólem i padł na ziemię nieprzytomny.

Oko wpatrywało się w duszę Roberta, który się modlił.

*...zmień strach w miłość...*

Przed oczyma widział kształty i fragmenty miejskich widoków.

*...umysł niczym lustro...*

Linie światła i pragnień, żądzy i strachu.

*...litościwe serce...*

Sięgnął na zewnątrz swoim umysłem. To był dar, który chował w sobie przez ponad dwadzieścia lat, którego istnieniu zaprzeczał; teraz jego umysł śpiewał w otaczającą go przestrzeń i nasłuchiwał sygnałów. Czuł, że wszystko skąpane jest w pięknym, ledwo widzialnym świetle.

Rozległ się męski głos. Schrypnięty. Znużony.

- Robercie. - To był głos człowieka, który go zaatakował w metrze.

Takie samo zniekształcone warknięcie.

Nadeszła pora walki. Robert był gotów. Wrócił myślami w przeszłość.

*...wybacz mu...*

Otworzył oczy. Naprzeciw niego stał ubrany na czarno mężczyzna. Twarz miał zakrytą, ale Robert go znał, rozpoznawał postawę, ramiona splecione w znajomym geście na piersiach, schyloną głowę.

- Adamie - odpowiedział.

Adam spozryzał na niego, w ciemności widoczne były tylko jego oczy. Za jego plecami Robert dostrzegał inne niewyraźne postaci. Trzy zjawy w czarnych kapturach cicho powtarzały słowa, których nigdy nie słyszał, ale które wnosiły w jego serce mrok. Na schodach siedziała zgarbiona postać. Terri. Robert widział czerwoną aurę bólu wokół jej głowy i brzucha.

- Rickles. - W głosie Adama pojawił się strach, zaraz jednak odzyskał panowanie nad sobą. - Znowu się spotykamy Po raz ostatni, jak sądzę.

Jego słowa odbiły się echem w sklepionej sali.

- Nie jesteś Adamem. Zabiłeś Adama. Jesteś wcielonym złem, kolejnym pachółkiem Iwnwu.

- Działają poprzez mnie, ale wciąż jestem Adamem, którego znasz i kochasz.

- Jeśli tak, mogę ci pomóc.

- Rzeczywiście, ale w inny sposób, niż ci się wydaje. Doszliśmy do „wielkiego rachunku na małym świstku”. Wygląda na to, że to moje przeznaczenie.

- *Z Jak wam się podoba?*

- Tak, chociaż mnie wcale się to nie podoba.

- Gdzie jest Katherine?

- Obawiam się, że leży nieprzytomna. - Adam wskazał miejsce, którego Robert nie widział. - Ale na razie nie czuje bólu. Jeszcze nie.

Poniżej niczym upiór zawył pociąg. Na czas jego przejazdu Ma'rifat' stłumił swoje światło i uciszył głęboką pulsującą nutę.

- Wiem, co myślisz. Policjanci dość regularnie patrolują stację. Iwnw musiał zabić ostatniego, który tu był. Ale ja przeniosłem jego ciało. Nikt nas nie znajdzie, dopóki nie skończymy. A gdyby jednak się pojawili, doprowadzą do wybuchu urządzenia, choć nie w sposób, jakiego życzą sobie moi panowie. Stąd dość skomplikowane przygotowania.

- Nie pomogę ci.

- Robert, Robert. Nie zdajesz sobie sprawy z tego, kim jesteś, prawda?

- A kim jestem?

- W pewnym sensie jesteś bronią. Zebraliśmy wszystko, co niezbędne do nadania urządzeniu pełnej mocy. Wszystkie klucze. Klucz główny. Magazyn czerwonego złota tuż obok. Ale nie możemy tego zrobić sami. Ostatnim elementem jest jednorożec. Istota wypełniona pięknem i mocą ducha, złożona w ofierze przez Iwnw. Czyli... ty, Robercie. Tym zawsze byłeś, choć odrzucałeś tę świadomość. Dlatego wiele lat temu zbliżyłem się do ciebie. Dlatego Katherine u ciebie poszukała schronienia.

- Nie zrobię tego.

- Zrobisz. Będziemy walczyć, a działający poprzez mnie Iwnw, zmusi cię do czynu tak jak mnie. Załamiesz się i umrzesz. Nie będziesz miał innego wyboru. Umierając, uruchomisz skrzynkę złośliwości.

- Nie zrobię tego

Nagle inkantacje ucichły i w tej samej chwili ucichł Ma'rifat'. Zmiana była tak całkowita, że nieobecność dźwięków uderzyła Roberta w uszy niczym cios.

Z mroku i cienia przemówił najwyższy z trzech odzianych na czarno mężczyzn.

- Jednorożec. Wreszcie. Jesteśmy zaszczyceni.

Robert rozpoznał szefa, z którym razem z Horaceem stoczyli walkę na Grand Central.

- Uwolnij Katherine i Terri. Oswobodź Terri z bólu - powiedział Robert. - Odwróć proces chorobowy Potem może porozmawiamy.

Szef Iwnwu roześmiał się sucho, zdejmując kaptur z głowy

- Nie, to mnie nie satysfakcjonuje. Pozwól, że wyjaśnię ci parę rzeczy. Może ci się wydawać, że masz po swojej stronie prawo, ponieważ twojej inicjacji dokonał członek

Światła Doskonałego, który cię też uformował. Jednakże prawowitymi panami Drogi i jej mocy nie są oni, lecz my, Braterstwo Kolumny. Iwnw. Rozważ swoje położenie. Nie raz, a kilka razy stanąłeś twarzą w twarz ze śmiercią po to, by w bardzo krótkim czasie zyskać niezwykłą moc. Sami parę razy próbowaliśmy cię zabić.

- Myślałem, że mnie potrzebujecie.

- Gdyby nam się udało, byłby to znak, że nie jesteś tym, za kogo cię biorą. W istocie nasze wysiłki pomogły zaktywizować w tobie siły, dzięki którym przeszedłeś pomyślnie przez próby. Tylko garstka przetrwałaby podobną serię ciężkich doświadczeń. Niektóre prace Horace'a bardzo się nam podobają. Jesteś członkiem elity, więcej, jesteś wybranym spośród jej szeregów. Czy nie powinieneś... rządzić? Mądrze, to oczywiste, i sprawiedliwie, ale popatrz. Przyjrzyj się światu.

Kiedy człowiek w czarnych szatach przemawiał, Robert okiem umysłu poszukał Katherine. Adam mówił prawdę: nie doznała obrażeń, a teraz odzyskiwała przytomność. Była bardziej czujna, niż to okazywała. Potem poszukał Terri. Starannie osłaniając swoje działanie, próbował zajrzeć w jej brzuch. To, co zobaczył, nappełniło go mrokiem. Potężny, gwałtowny podział komórek. Przerzuty następowały błyskawicznie. Robert nie odrywał wzroku od szefa Iwnwu. Jego dwaj towarzysze podjęli inkantacje, odpowiedział im Ma'rifat', dostosowując swój pulsujący rytm do ich słów.

- Popatrz, co rasa ludzka uczyniła światu, podczas gdy transformacyjne moce Drogi są trzymane w ukryciu przez szlachetnych głupców Światła Doskonałego. Planeta zatruta, z przypuszczalnie na zawsze zaburzoną równowagą witalną, już skazana na zagładę, jeśli silni przywódcy nie zaczną szybko działać. Przeludnienie wysysa zasoby ziemi, miliardy ludzi tłoczy się w umierających miastach, które rozlewają się niczym śnieć po powierzchni globu. Nieuporządkowane stosunki między państwami. Ciągłe wojny. Nieustanna brutalność. Miliony dzieci umiera w straszliwych mękach na choroby, które można wyleczyć. Być może dano ci do zrozumienia, że planujemy akt wielkiego zła. Ale spójrz na dzisiejszy świat. Ktoś mógłby pomyśleć, że taki czyn już miał miejsce.

Robert stał w absolutnym bezruchu, czerpiąc ze swego wnętrza moce ziemi i wody, ognia i powietrza, eteru, umysłu i ducha. Uczynił swój umysł doskonałym zwierciadłem, odbijającym wznoszącą się falę czarnego jadu, którą zalewał go Iwnw. Całą moc uzdrowicielską, jaką potrafił zebrać, przesłał do Terri, otulając komórki rakowe białym światłem, próbując odwrócić wyrządzone jej zło. Musiał grać na zwłokę.

- Jakie są wasze intencje? Czego chcecie?

- Istoty ludzkie stały się chorobą. Większość nie zasługuje na to, by żyć. Przez całe życie śpią, nie wykorzystując swego potencjału, potem umierają. Jedzą, nie wychodzą poza koleiny, zabijają się nawzajem, wydalają, marzą o czymś lepszym, ale w gruncie rzeczy nie chcą niczego, co by się różniło od tego, co już mają. Są leniwi. Zmarnowany zbiornik mocy psychicznej, niemal w całości niewykorzystanej.

- Więc co, należy zrobić z nich niewolników? Chcecie być współczesnymi faraonami? Rządzić ich umysłami?

- Kpisz, ale byłbyś jednym z władców. Jednym ze sterników prowadzących stada. Jak wiesz, Iwnw kroczy Drogą w pełnym jej wymiarze, nie ograniczając się wyłącznie do pięknych aspektów. W strachu, nienawiści, pogardzie kryje się potężna władza. Właśnie te emocje są źródłem naszej władzy. Ma'rifat' może zniszczyć Manhattan, to nie ulega wątpliwości. To już by się dokonało, gdyby ta żalonna kreatura spleciona z Adamem zdołała przeprowadzić swój pierwotny plan. Dzięki temu jednym ciosem zrównalibyśmy z ziemią światowe centrum finansowe, gadatliwych ignorantów w ONZ-ecie i miasto, będące uosobieniem choroby społeczeństw znanej jako demokracja.

Robert czuł, że Terri reaguje, że przyjmuje nadchodzącą od niego moc. Przełał w jej organizm całe światło, jakie mógł zebrać, nie zwracając uwagi wroga.

Z kamienną twarzą słuchał szefa Iwnwu.

- Ale prawdziwa bomba dla dusz, prawdziwie alchemiczne urządzenie ustawione tak, by eksplodowało w świadomości może miliarda ludzi w ciągu kilku sekund... to broń o wiele skuteczniejsza. Momentalny upadek psychiczny, spychający wszystkich na najniższe, najbardziej surowe, najmroczniejsze poziomy ludzkich możliwości. Naród obawiający się sąsiedniego narodu, wieś obawiająca się sąsiedniej wsi, ludzie niezdolni przyjąć żadnej inności językowej czy rasowej, niezdolni zaakceptować obcego akcentu, zapachu. Korzystanie z broni raketowej, przypuszczalnie też nuklearnej. Pierwsze ataki. Odpowiedź na nie. Wyłapywanie każdego, kto nie należy do naszego plemienia. Dzieci donoszące na rodziców. Rodzice zdradzający dzieci, sąsiedzi wydający sąsiadów. Ciągłe wzmagający się rozlew krwi. Rwanda w Ameryce. Srebrenica w Ameryce. Nowe obozy Dachau, Belsen i Auschwitz na całym świecie. To są siły, które pragniemy uwolnić. Stanowią bowiem nasz pokarm, dzięki któremu staniemy się tak potężni, że nikt nas nie powstrzyma. A gdy się nakarmimy, narzucimy nasz porządek tym, co pozostaną. Uratujemy planetę przed naszym gatunkiem i będziemy nią rządzić!

Zapadła cisza przerywana jedynie pomrukami Ma'rifat'a, który przybierał na sile, wzmacniany nienawiścią wypełniającą sklepioną łukowo salę.

- Idźcie do diabła - rzucił Robert z pogardą.

- Już tam jesteśmy

I znowu w świadomości Recklissa pojawił się obraz oka śmierci, wysyłającego z Dolnego Manhattanu w świat pełne nienawiści, magnetyczne kule ognia, które przekraczały Atlantyk, wędrowały wzdłuż Andów. Martwa czarna żrenica karmiła się nienawiścią i przerażeniem w ciągle powiększającym się kole.

Oddychając ciężko, Robert z wysiłkiem utrzymywał swoją tarczę, umysł niczym lustro. Byli silniejsi, niż się spodziewał. O wiele silniejsi. Nie przestał przesyłać uzdrawiającej mocy do Terri, chociaż nie potrafił teraz stwierdzić, czy jest skuteczna.

Adam zbliżył się do niego i szepnął mu do ucha:

- Przejmiesz obowiązki prezydenta USA. Jest teraz w Waldorf-Astoria. Nie dotrze na miejsce, by wygłosić dzisiaj wieczorem wielką mowę na konwencji. To by ci się spodobało: skorzystali ze starego tunelu metra pod hotelem, żeby go tam przewieźć.

Robert usłyszał, że Katherine się porusza. Musi skłonić ją, by odeszła. Po raz pierwszy zaczął naprawdę się bać, że może ponieść klęskę. Ale było coś, czego wciąż nie rozumiał.

- Więc jeśli Ma'rifat' eksploduje, nie wszyscy umrzemy?

I znowu suchy śmiech przywódcy Iwnwu odbił się echem od łuków sali biletowej.

- Nie. Mamy tarczę i możemy osłonić innych, jeśli zechcemy. Ma'rifat' jest prawdziwie alchemicznym urządzeniem, otwierającym bramę pomiędzy światami. Istnieje świat czystej świadomości, która rzadko się ucieleśnia. Widziałeś ten świat, skoro przeszedłeś Próbę Umysłu. Być może widziałeś świadomość i materię w ich prawdziwym związku, w beczasowym tańcu, w czasie którego wzajemnie się przenikają. My, przedstawiciele Iwnwu na tym świecie, służymy bez reszty bezcielesnemu Braterstwu, nienasyconemu głodowi, mrocznej inteligencji, potrzebującej do życia ludzkiego strachu i cierpienia. Oko śmierci. Iwnw odnalazł nas, swoje trzy sługi. Iwnw odnalazł budowniczego Ma'rifat' i żywił się nim. Poprzez niego Iwnw karmił się Adamem. Poprzez Adama Iwnw dotarł do Terri i zmienił strukturę jednej tkanki. Z życia na śmierć. Z zarodka dziecka na raka. - Przerwał, by nabrać powietrza, zaraz jednak z gwałtowną nienawiścią podjął przemowę. - Poprzez Terri w dniu, który wy nazywacie dniem zaciemnienia, Iwnw dotarł także do Katherine Reckliss, do jej przysłego dziecka i przeniósł wszystkie jego siły witalne w komórki rakowe Terri.

Nagle koło Roberta przebiegła jakaś postać z rozpostartymi rękami i rzuciła się białowłosemu mężczyźnie do gardła. To była Katherine. W tym samym momencie Terri podniosła się ze schodów i od tyłu zaatakowała jednego z jego towarzyszy. Odwróciła go i z

całej siły pchnęła na ścianę, później wyciągnęła rękę po stalową rurę, którą Adam zabrał Robertowi, gdy pozbawił go przytomności. Kiedy tylko zamknęła na niej dłoń, po rurze powędrowały bliźniacze węże energii. Terri wepchnęła ją przeciwnikowi w brzuch, potem z całej siły uderzyła go w głowę.

Ułamek sekundy później Robert skoczył na trzeciego członka Braterstwa, w jeden cios wkładając całą swoją żądzę życia. Trafiony w klatkę piersiową mężczyzna poleciał na odległą ścianę. Z trzaskiem pękły kafelki, gdy w nie uderzył, mimo to ruszył na Roberta i wymierzył mu potężne uderzenie w brzuch. Robert zgiął się w pół z bólu.

Padając zobaczył, że Adam podchodzi do Ma'rifat'a i po kolei wkłada weń klucze. Następnie wziął klucz główny, mniejszą skrzynkę złośliwości, i nałożył na większą.

Z ogłuszającym trzaskiem budzącej się energii i błękitno-żółtym płomieniem Ma'rifat' wypuścił wirującą kolumnę ognia wysoką na sześć stóp. Czerwone ogniki, które w jej wnętrzu błyskały, rozprzestrzeniły się wzdłuż załomów sklepienia, podczas gdy nad nimi i dokoła nich uformowało się oko śmierci.

Gdziekolwiek spojrzął Robert, oko tam było, wpatrując się prosto w jego duszę. Chciało jego. Chciało ich wszystkich, milionów dusz. Uwodzicielskie płynne barwy oka zapalały się czerwienią i żółcią, podczas gdy na głowę i plecy Roberta spadał grad ciosów. Ma'rifat' przygotowywał się do wybuchu. Kątem oka Robert dostrzegł Adama, stojącego z rękoma wyciągniętymi ku skręconej kolumnie białego ognia i twarzą wykrzywioną śmiertelnym bólem.

Reckliss z wielkim trudem podniósł się i skoczył, głową celując w zębra napastnika. Teraz też odrzucił go na ścianę. Palce żółtego ognia strzeliły z płytek i popłynęły w oko śmierci. Robert nie zdążył ponownie uderzyć. Uprzedziła go Terri, spuszczaając rurę na głowę jego wroga, który zwałił się na ziemię i leżał bez ruchu. Robert odwrócił się i zobaczył, że Katherine na szczycie schodów próbuje wyrwać się przywódcy Iwnwu. Nim Robert do niej dobiegł, przeciwnik chwycił ją za szyję i zrzucił na mroczny peron.

Sekundę później Terri wepchnęła mu pod łopatkę płonąca laskę. Stalowa rura przebiła klatkę piersiową na wylot.

- To za Jaya, ty pieprzony draniu! - krzyknęła.

Mężczyzna zachwiał się z wyrazem czystej nienawiści na twarzy, po czym upadł. Terri zbiegła po schodach ku Katherine.

- Ja się nią zajmę! - zawołała. - Co robi Adam?

Robert odwrócił się do Ma'rifat'a i Adama, który cofnąwszy dłonie od kolumny ognia, szedł ku niemu.

- Zabiliście trzech ludzi Iwnwu. To oznacza, że teraz Iwnwowi pozostałem tylko ja. Jestem dzięki temu silniejszy.

- Nie musisz tego robić. Jestem tu, by rozbroić Ma'rifat'a. To wszystko.

- Wcale nie. Przyszliśmy tu, by stoczyć ze sobą walkę. Ta prostota jest pociągająca. Zabiję cię i miliard ludzi umrze w czasie wybuchu albo ulegnie zepsuciu dusz, które później nastąpi. Spowodujesz Armagedon. Ale ja będę żył, Terri będzie żyła i nasze dziecko także. Ochroniać nas będzie Iwnw.

- Czy ona tego chce?

- Pomyśl. Terri nie ma wyboru.

- Nie wierzę w to. Nie zasłaniaj się koniecznością uratowania Terri! Ona nigdy się na to nie zgodzi. To nie jest wyjście, tylko listek figowy mający przysłonić fakt, że twoim właścicielem jest Iwnw.

- Nie byłbym tego taki pewien. Jeśli mnie zabijesz, rozbroisz Ma'rifat'a i pokonasz Iwnw, który wycofa się, by w przyszłości znowu stanąć do walki. Wszyscy ludzie będą uratowani. Ale Terri umrze na raka.



Robert wciąż nie potrafił stwierdzić, czy zdołał uzdrowić Terri. Nie opuszczała go wiara, że tak.

- Jestem jednorożcem - powiedział - i umrę, jeśli będę musiał. Ale poza tym nikt więcej nie umrze, tylko ty

Skoczył na Adama i zacisnął dłonie na jego szyi. Ten niemal leniwym ruchem uwolnił się i odrzucił go na ścianę.

- Nie sądzę, Robercie.

Zdawało się, że Adam złapał powietrze w pięść i zakręcił nim. Robert poczuł, jak głowa eksploduje mu bólem, jak zalewają go czarne fale. Oko śmierci połyskiwało na żółto i błękitno, spoglądając na niego ze wszystkich kierunków.

Czerń zabarwiła się na czerwono. Ma'rifat' obracał się coraz szybciej, plując niebieskimi błyskawicami. Powietrze wypełniło się głęboką, wibrującą nutą. Był to grzmot zapowiadający bliską detonację.

Robert znowu rzucił się na Adama. Obaj chwycili się za gardła.

- Załamiesz się i umrzesz, Robercie - warknął Adam. Z jego oczu i ust wypływało mdłe żółte światło Iwnwu. - Tak jak mnie złamali.

Adam rzucił go na ścianę. Ma'rifat' się obracał, kamienie drżały od wydawanego przez niego dźwięku, powietrze przecinały czerwone, niebieskie i zielone błyskawice. Robert czuł, że traci siły. Przegrywał. Zamknął oczy.

W czerni płonęło czarniejsze od niej światła Robert miał wrażenie, że siatkówki ma odsłonięte, w głowie mu szumiało i trzaskało jak w odbiorniku radiowym pod linią wysokiego napięcia. Cała jego skóra zniknęła, nie pozostało prawie nic pomiędzy nim a światem. Został siłą otwarty. Jego wnętrze i zewnątrz wzajemnie się przenikały. Gdziekolwiek patrzył, widział czarną dziurę w oku śmierci, która wysysała z niego moce, jego wolę przetrwania.

- Horace - szepnął.

- Horace jest starcem - warknął Adam. - Nie może ci pomóc.

Czerń zamknęła się nad Robertem. Zobaczył nieodparcie piękne, przerażające oko z mikrokosmosu wokół głowy Adama. Przyzywało go do siebie.

- Czas umierać, Robercie.

Adam wyszarpnął laskę Terri z ciała przywódcy Iwnwu i przeciął nią powietrze.

Terri uniosła głowę, wyczuwając, co się dzieje. Pobieгла na górę.

- Nie! - krzyknęła. - Nie możesz go zabić!

Adam zamachnął się, celując w kark Roberta, ale Terri z krzykiem skoczyła, przyjmując na siebie całą siłę ciosu. Rozległ się trzask pękającej kości. Terri z rozbitą czaszką upadła do stóp Adama.

Hale przez chwilę stał sparaliżowany przerażeniem, potem osunął się na kolana, z rykiem bólu odrzucając rurę.

- Nie!

Wziął Terri w ramiona. Nie żyła. Z jego ust wydobył się nieartykułowany wrzask wściekłości.

Robert wpatrywał się w nich oszołomiony. Terri poświęciła życie dla niego. Widziała, że Adam przegrywa walkę z Iwnwem, że chce zabić Roberta, wołała więc umrzeć, niż na to pozwolić. W ramionach Adama wydawała się taka drobna. Roberta zalała fala czułości. Terri już wcześniej oddała mu swoją siłę, by przeszedł przez próby. Dwukrotnie uratowała mu życie.

Przenikliwy dźwięk Ma'rifat'a ulegał modulacji, pojawiły się w nich ledwo słyszalne harmoniczne tony.

Adam delikatnie położył Terri na ziemi i wstał. Ruszył na Roberta z twarzą wykrzywioną żalem i cierpieniem.

Robert zajrzał w swoje wnętrze, szukając sił potrzebnych do ostatecznego starcia. Życ, aby umrzeć. Porzuci wszelką nadzieję na przetrwanie, jeśli tylko dzięki temu powstrzyma detonację.

Poczuł, jak jego członki zaczynają połyskiwać. Ramiona, nogi, tułów. Otworzył oczy i zobaczył, że jest ciałem ze światła. Wirującym aniołem, którego Terri pokazała mu na początku prób, odzianym w strój ze świetlnych spirali, które powoli wchłaniały się w jego skórę. Czuł, jak otacza go opiekuńcza energia Horace'a.

Z wrzaskiem dzikiego zwierzęcia Adam skoczył na Roberta. Obaj potoczyli się po schodach na peron, mijając nieprzytomną Katherine.

Robert zerwał się na nogi i złapał Adama za gardło. Hale wyrwał się i uderzył go w szczękę. Zwarli się, stracili równowagę i spadli na tory. Robert postawił Adama na nogi.

Oko ponownie uformowało się wokół Adama. Twarz śmierci. Oko przemówiło:

- Kim jesteś?
- Nazywam się Robert Reckliss.
- My jesteśmy Iwnwem.
- Jesteś diabłem.
- Skoro tak wolisz. Nie możesz z nami wygrać.
- Uwolnij mojego przyjaciela.
- Nie.

Robert sięgnął głęboko do pamięci. Odnalazł ostatnią broń. Zobaczył słowa, które Lawrence i Adam usiłowali mu przekazać.

- Tych słów nauczyli mnie przyjaciele, Adam oraz Horace i Lawrence Hencottowie. Tego ostatniego poddałeś strasznyemu torturom i zabiłeś.

- Co to za słowa?

- Słowa mocy. Słowa wykorzystywane do zdobycia panowania nad czerwonym złotem i Kamieniem Filozoficznym.

- Nie.

- Zakłęcie do czerwonego złota: *quero arcana mundi*. „Poszukuję tajemnic świata”.

Wreszcie Robert wiedział, co Lawrence chciał, by zapamiętał. Wyuzdane, Intensywne Tortury Rozbijają Iluzję Oblaskawionego Losu. To samo powiedział mu Adam na początku prób

- Odpowiedź brzmi „vitriol”.
- Przestań.

Robert zaczął cytować z „Pism Newtona” kwestię, którą Adam włożył w usta Newtona w kulminacyjnym momencie sztuki. Kwestię, która pojawiła się na maszynie do pisania Katherine w noc pożaru.

- Zakłęcie do kamienia filozoficznego: *Flamma unica clavis mundi*.
- Przestań.
- „Kluczem do świata jest pojedynczy płomień”.
- Nie.
- Przyjmuję zło Adama w swoje wnętrze. On jest we mnie, a ja jestem silniejszy.
- Nie.

Oko zapłonęło na niebiesko, cofając się od Roberta. Ma'rifat' wydawał coraz silniejsze harmonijne tony. Nabierał mocy, karmiąc się jego umysłem. Jego duszą.

A potem Robert zobaczył ostateczną kwestię, którą Adam miał wypowiedzieć na koniec swej sztuki, kiedy drzewo i bębenek zapłonęły ogniem. Uświadomił sobie, że znał ją przez cały czas. Adam ukrył ją na widoku.

- *Omnia vincit amor!*
- Przestań! Nie!
- *Omnia vincit amor!* Miłość! Wszystko! Zwycięża!

Robert otworzył oczy. Oko zwinęło się przerażone. A na twarzy Adama pojawił się uśmiech.

Reckliss pojął najgłębiej ukryty plan, który aż do ostatniej chwili Adam chronił przed ciemnością, przed Iwnnem.

Spojrzał w oko. Przemówił do niego.

- Rozumiem.

- Co?

- Adam chce, żebym go zabił.

- Nie.

- Zdaje sobie sprawę, że nie jest w stanie przed tobą uciec.

- Nie.

- Oszukał cię. Czekał na chwilę, gdy psychicznie będę zdolny do pokonania go.

Dostatecznie potężny duchowo, by tego dokonać.

- Nie.

- To jedyny sposób na złamanie twojej władzy i rozbrojenie Ma'rifat'a. W ten sposób Adam wszystkich uratuje kosztem swego życia.

- Nie. Mylisz się. Teraz ty umrzesz.

- Nie. Adam wsunął dłonie w kolumnę ognia z Ma'rifat'a, żeby go spowolnić. Opóźnić detonację. I to mu się udało. A gdy w ostatniej chwili naprawdę zyskałeś nad nim władzę, powstrzymała go Terri. Zrobiła to, by plan został zrealizowany. Od początku o wszystkim wiedziała.

- Nie. Teraz umrzesz.

- Nie. OMNIA! VINCIT! AMOR!

Wrzask pierwotnego zła wydobył się ze środka oka, wokół strzelały żółto-niebieskie płomienie.

Adam wiedział, że Robert wszystko zrozumiał. Obaj wpatrywali się w siebie przez chwilę, czas się zatrzymał. A potem Robert pchnął Adama na trzeci tor i cofnął się.

Hale odbił się, głowa odskoczyła mu w tył. Przez długi czas zdawał się opierać elektryczności, z trzaskiem przepływającej przez jego ciało. Stał, chwiejąc się na nogach, podczas gdy kwaśny dym i swąd przypalanego ciała napełnił duszne powietrze podziemnej stacji.

Oczy uciekły mu pod czaszkę. Przestał się opierać, uniósł dłoń w geście wdzięczności. Bez życia osunął się do stóp Roberta.

Ma'rifat' zwolnił, wydając piękne, niesamowite tony.

Robert ukląkł i zamknął Adamowi oczy. Przeciągnął go przez tory i położył ciało na peronie. Potem podszedł do Katherine, wziął ją na rękę i pogładził po włosach. Była ledwo przytomna. Przez długą chwilę opłakiwał swojego przyjaciela. Wracaly do niego wspomnienia jego zwariowanych zabaw, szalonego serca, nieograniczonej wyobraźni, dobroci i niezwykłego poczucia humoru. A potem zobaczył mdłe żółte światło, które go pożerało, zobaczył jego nieugiętą wolę walki do ostatniej chwili, ryzykowanie własnym życiem, by zyskać pewność, iż w ostatniej chwili detonacja zostanie powstrzymana.

- Przykro mi, przyjacielu - szepnął. - Dziękuję.

Poszedł schodami do sali biletowej, gdzie był Ma'rifat'.

Kolumna ognia zgasła.

Robert nachylił się nad pięknym urządzeniem, teraz jego krawędzie obracały się wolno, i jeden po drugim wyjął klucze z otworów.

Kiedy skończył, zadzwonił do Horace'a.

- Ma'rifat' jest rozbrojony. Terri i Adam nie żyją. Oddali swoje życie

- Wielkie nieba. Wychodźcie stamtąd jak najszybciej i przychodźcie do mnie.

Przynieście Ma'rifat'a, żebym mógł go zniszczyć.

## Epilog

NOWY JORK, SOBOTA 4 WRZEŚNIA 2004

Horace dłońmi w grubych gumowych rękawicach uniósł łuskę po naboju, pierwszy z siedmiu mniejszych kluczy Ma'rifat'a, i delikatnie wrzucił do wielkiego pojemnika z kwasem siarkowym, stojącego na nieheblowanym drewnianym stole w jego mieszkaniu. Otwarte szeroko okna zapobiegały gromadzeniu się oparów. Z gwałtownym sykiem i obłokiem czerwonego dymu klucz się rozpuścił.

- Oddajemy wam honor, Adamie i Terri, i pamiętamy was jako wojowników - powiedział Horace z powagą.

Robert i Katherine, trzymając się za ręce, powtórzyli jego słowa.

Horace wziął drugi klucz, rybi pęcherz, który Terri nosiła na szyi, i wrzucił do kwasu. Klucz przez moment dryfował na powierzchni cieczy, a potem zniknął z odgłosem przypominającym westchnienie.

- Adamie i Terri, oddajemy wam cześć jako kochankom i tak też was zapamiętamy - rzekł Horace. - Pamiętać będziemy dziecko, odebrane wam przez Iwnw.

Horace podobnie postąpił z resztą mniejszych kluczy, każdy łącząc z cechą, którą dwoje zmarłych przyjaciół wykazało się w walce.

Robert uleczył rany na głowie i plecach Horace'a odniesione w starciu przy obelisku. Horace przygotowywał się do spędzenia kilku tygodni w odosobnieniu. Zamierzał rozważać możliwości wykorzystania pełnego zestawu słów mocy, jaki przekazał mu Robert, a także medytować nad wnioskami, jakie można wyciągnąć na przyszłość, gdy znowu przyjdzie im walczyć z Braterstwem Iwnw. Katherine i Robert, znowu dzielący wspólną sypialnię, poprosili go, by po powrocie poprowadził nieoficjalne odnowienie przysięgi małżeńskiej.

Kiedy Horace podniósł skrzynkę złościwości, maleńki bębenek, który zdruzgotał poprzednie życie Roberta i obudził go do nowej, bogatszej i pełniejszej egzystencji, Katherine głęboko westchnęła i zaczęła cicho płakać.

- Adamie, dziękuję ci za wszystkie twoje gry, szarady i łamigłówki, wyzwania i prowokacje, szaleństwo i wiecznie poszukujące, niezmożone dobre serce - powiedział Robert przez ściśnięte gardło.

W jego oczach błysnęły łzy.

Horace ostrożnie wrzucił małą skrzynkę złościwości do kwasu, który łakomie zbulgotał i z głośnym pluskiem wciągnął bębenek z metalicznego szkła.

- Zanim pójdziecie, dam ci klucze do mieszkania, gdzie są zgromadzone należące do Adama papiery - powiedział Horace. - Niewykluczone, że trzeba też będzie obejrzeć kilka depozytów. Jakiś czas temu Hale powiedział mi, że uczynił cię wykonawcą swojej woli.

- Dziękuję ci - odparł Robert.

- Są tam maszynopisy i niebiosy tylko wiedzą, co jeszcze. Trzeba wszystko przejrzeć.

- Zajmę się tym - powiedział Robert.

- Powinieneś to zrobić. Będą inne bitwy. Może w jego notatkach znajdziesz coś użytecznego... A teraz czas na główne zadanie.

Horace ostrożnie wziął Ma'rifat'a, przechowywanego w bezpiecznym miejscu od czwartku, od kiedy Robert przyniósł go ze stacji metra, i uniósł nad kwasem.

- W imię miliona dusz, oszczędzonych dzięki wydarzeniom ostatnich dni oraz w imię Adama i Terri, którzy oddali swoje życie, by powstrzymać wybuch urządzenia, wypowiadamy słowa mocy, dzięki którym zyskujemy moc nad jego składnikami i decydujemy o jego zniszczeniu - zaintonował Horace. - *Quaero arcana mundi*.

- Vitriol - odpowiedzieli równocześnie Katherine i Robert.

Horace bardzo delikatnie zanurzył Ma'rifat'a w kwasie. Trzaski i bulgotanie ustąpiły miejsca głębokiemu, gwałtownemu syczeniu, w powietrze uniosły się zielone, pomarańczowe, czerwone i żółte opary. Horace cofnął dłonie dopiero w chwili, gdy urządzenie dotarło do dna. Kwas pluł i bulgotał.

- *Flamma unica clavis mundi* - powiedział Horace.
- *Omnia vincit amor* - odrzekli Katherine i Robert.